

ERIC VAN LUSTBADER

PASSPORT



United States
of America



R O B E R T

L U D L U M

ŚWIAT BOURNE'A

ERIC VAN LUSTBADER

PASSPORT 1



*United States
of America*



ROBERT
LUDLUM
ŚWIAT BOURNE'A

ROBERT
LUDLUM

ERIC VAN LUSTBADER

ŚWIAT BOURNE'A

Z angielskiego przełożył
KRZYSZTOF OBŁUCKI



Wydanie elektroniczne

ROBERT LUDLUM
(1927-2001)

Amerykański aktor, producent teatralny i pisarz. W latach 1945-47 służył w piechocie morskiej. W 1951 ukończył Wesleyan University. Od najmłodszych lat pasjonował się aktorstwem. W wieku 16 lat po raz pierwszy wystąpił w sztuce na Broadwayu. W latach 50-tych zagrał w ponad 200 filmach telewizyjnych; był producentem około 300 przedstawień teatralnych. Jako pisarz zadebiutował późno – mając 41 lat – powieścią *Dziedzictwo Scarlattich*. Odrzucona początkowo przez 10 wydawców stała się bestsellerem i zainicjowała oszałamiającą karierę literacką najbardziej znanego współczesnego twórcy thrillerów spiskowych. Łączna sprzedaż książek Ludluma przekroczyła 300 milionów egzemplarzy w 32 językach. Za życia pisarza ukazały się 24 powieści; po jego śmierci – kilkanaście następnych, z których większość powstała na podstawie pozostawionych przez niego notatek i szkiców, przy współpracy takich autorów jak Patrick Larkin, James Cobb, Eric Van Lustbader i Paul Garrison. Do najbardziej znanych thrillerów Ludluma należą m.in.: *Testament Matarese'a*, *Tożsamość Bourne'a*, *Krucjata Bourne'a*, *Mozaika Parsifala*, *Strażnicy Apokalipsy* i *Kłątwa Prometeusza*. Wiele z nich zostało zekranizowanych – jako seriale telewizyjne lub pełnometrażowe filmy kinowe.

Tego autora

REKOPIS CHANCELLORA
PROTOKÓŁ SIGMY
KŁĄTWA PROMETEUSZA
PIEKŁO ARKTYKI
CZWARTA RZESZA
KRYPTONIM IKAR
STRAŻNICY APOKALIPSY
MOZAIKA PARSIFALA
IMPERIUM AKWITANII
STRATEGIA BANCROFTA
ILUZJA SCORPIO
TOŻSAMOŚĆ AMBLERA

Jason Bourne

TOŻSAMOŚĆ BOURNE'A
DZIEDZICTWO BOURNE'A
SANKCJA BOURNE'A
MISTYFIKACJA BOURNE'A
CEL BOURNE'A
ŚWIAT BOURNE'A
KRUCJATA BOURNE'A
ULTIMATUM BOURNE'A
IMPERATYW BOURNE'A
RETRYBUCJA BOURNE'A

Dynastia Matarese

TESTAMENT MATARESE'A
SPADKOBIERCY MATARESE'A

Paul Janson

DYREKTYWA JANSONA
ODYSEJA JANSONA
OPCJA JANSONA

Spis treści

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[Prolog](#)

[Księga pierwsza](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Księga druga](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Księga trzecia](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Księga czwarta](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Epilog](#)

[Przypisy](#)

Pamięci Barbary Skydel

Z podziękowaniami
dla Sama Golda i Kena Dorpha

Prolog

Phuket, Tajlandia

Jason Bourne przemieszczał się niespostrzeżenie wśród tłumu. Zewsząd atakowała go muzyka, przenikająca na wylot, przyprawiająca o zawał serca, rozwalająca bębunki w uszach, która dochodziła z wysokich na trzy metry głośników, ustawionych przy obu końcach ogromnego parkietu do tańca. Nad podrygującymi głowami tancerzy pasma świateł przypominających zorzę polarną łączyły się i przenikały na kopule sklepienia, by po chwili rozproszyć się niczym armada komet i spadających gwiazd.

Jakaś kobieta z burzą blond włosów przeciskała się przed nim przez rojowisko niestrudzonych ciał, mijała wirujące pary wszelkich możliwych kombinacji płci. Bourne ruszył za nią. Miał wrażenie, że przedziera się przez gęstą watę. Powietrze było tak rozgrzane, że prawie namacalne. Śnieg na futrzanym kołnierzu jego grubego płaszcza zdążył już stopnieć, podobnie na włosach, które były teraz pozlepiane. Kobieta pojawiała się i znikła w migotliwym świetle niczym błyszczka pod powierzchnią zalewanego słońcem jeziora. Jakby poruszała się skokami: widoczna najpierw tu, a za chwilę tam. Bourne przepychał się za nią. Zbyt głośne basy i dudnienie perkusji zagłuszały mu puls.

Po pewnym czasie zorientował się, że blondynka zmierza do damskiej toalety, dlatego obmyśliwszy skrót, zrezygnował z bezpośredniego pościgu i podążył przez ciżbę inną drogą. Dotarł tam w chwili, gdy znikła w środku. Z otwartych na moment drzwi buchnęła na niego mieszanina zapachów trawki, seksu i potu.

Zaczekał, aż dwie rozchichotane nastolatki wyszły stamtąd na niepewnych nogach, otoczone chmurą perfum, a potem wślizgnął się do środka. Trzy kobiety o długich zmierzwionych włosach, pobrzękując masywną biżuterią, tłoczyły się przy umywalkach tak zaabsorbowane wciąganiem kresek koki, że nawet go nie zauważyły. Szybko minął rząd kabin, przykucając, żeby zajrzeć pod drzwi. Tylko jedna okazała się zajęta. Wyciągnął glocka i nakręcił tłumik na lufę. Kopniakiem otworzył drzwi kabiny. Gdy uderzyły o ściankę przepierzenia, kobieta o zimnych niebieskich oczach i burzy jasnych włosów trzymała wycelowaną w niego niewielką srebrzystą berettę dwudziestkędwójkę. Pierwszą kulę wpakował jej w serce, drugą w prawe oko.

Zanim uderzyła głową o posadzkę, rozwiął się jak dym.

•••

Bourne otworzył oczy. Zalewał go blask tropikalnego słońca. Spojrzał na ciemny lazur Morza Andamańskiego, na zakotwiczone żaglówki i łodzie motorowe kołyszące się na falach. Przeszedł go dreszcz, jakby nadal tkwił pamięcią gdzieś indziej, a nie na plaży Patong na

Phukecie. Gdzie była ta dyskoteka? W Norwegii? W Szwecji? Kiedy zabił tamtą kobietę? I kim ona była? Celem zleconym mu przez Alexa Conklina, zanim doznał silnego wstrząśnienia mózgu na Morzu Śródziemnym. Pewność miał tylko co do tego ostatniego.

Dlaczego jednak Treadstone chciało ją zlikwidować? Wysilał umysł, starając się zebrać w całość wszystkie szczegóły snu, ale niczym piasek przesypywały mu się przez palce. Pamiętał futrzany kołnierz palta, swoje włosy mokre od śniegu. Ale co jeszcze? Twarz tej kobiety? Pojawiała mu się przed oczami i znikła razem z echem pobłyskujących świateł. Przez chwilę pulsowała w nim muzyka, a potem zamilkła na dobre.

Co przywołało to wspomnienie?

Podniósł się z koca. Odwracając się, zobaczył sylwetki Moiry i Berengarii Moreno Skydel odcinające się na tle gorejącego błękitnego nieba, oślepiając białych chmur i sterczących w górę zielono-brązowych wzgórz. Moira zaprosiła go do wiejskiego domu Berengarii w Sonorze, ale on chciał znaleźć się dalej od cywilizacji, dlatego ostatecznie spotkali się w kurorcie na zachodnim wybrzeżu Tajlandii i spędzili tu ostatnie trzy dni i trzy noce. Moira opowiedziała mu w tym czasie, co robiła w Sonorze z siostrą nieżyjącego potentata narkotykowego Gustava Morena. Obie kobiety poprosiły go wcześniej o pomoc, a on zgodził się jej udzielić. Moira powiedziała, że czas odgrywa zasadniczą rolę. Po wysłuchaniu szczegółów zdecydował się wyjechać do Kolumbii już nazajutrz.

Popatrzył znowu w stronę morza i zauważył kobietę w skąnym pomarańczowym bikini, biegnącą przez fale i unoszącą nogi wysoko niczym cwałujący koń. Jej gęste jasne włosy lśniły w świetle słońca. Bourne ruszył za nią, ulegając echu fragmentarycznych wspomnień. Wpatrywał się w jej brązowe plecy, w miejsce, gdzie mięśnie prężyły się między łopatkami. W tej samej chwili kobieta odwróciła się nieco i zobaczył, jak zaciąga się dymem z ręcznie skręconego jointa. Przez krótki moment ostry zapach morskiej bryzy zmieszał się ze słodką wonią narkotyku. Zaraz potem wyrzuciła skręta do morza, a on podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

Plażą zbliżało się trzech policjantów. Mieli na sobie mundury, ale i bez tego nie było wątpliwości co do ich profesji. Kobieta zachowywała się, jakby myślała, że przyszli po nią. Myliła się. Przyszli po Bourne'a.

Nie wahając się ani chwili, skoczył w morze. Musiał odciągnąć ich od Moiry i Berengarii, bo Moira na pewno próbowałaby mu pomóc, a on nie chciał jej w to mieszać. Tuż przed zanurkowaniem w nadpływającą falę spostrzegł, że jeden z detektywów uniósł rękę, jakby w salucie. Kiedy Bourne wynurzył się z wody, daleko za linią fal, zorientował się, że to był sygnał. Dwa skutery wodne pędziły ku niemu z obu stron. Na każdym siedziało dwóch mężczyzn: kierujący i facet z akwalungiem. Ci ludzie zamykali mu wszystkie drogi ucieczki.

Popłynął w kierunku *Parole*, niewielkiej żaglówki znajdującej się blisko niego. Cały czas myślał intensywnie. Biorąc pod uwagę koordynację i drobiazgowość, z jaką go podeszli, było pewne, że rozkazy nie zostały wydane przez tajską policję, która nie słynęła z takich metod działania. Dowodził nimi ktoś inny. Bourne podejrzewał, że wie kto. Zawsze istniało ryzyko, że Severus Domna będzie szukała zemsty za to, co zrobił tej tajnej organizacji. Jednak domysłami mógł zająć się potem. Teraz musiał wydostać się z pułapki i uciec, żeby dotrzymać obietnicy danej Moirze i zapewnić bezpieczeństwo Berengarii.

Kilkunastoma silnymi wymachami ramion dotarł do *Parole*. Wciągnął się po burcie na

pokład i miał zamiar wstać, gdy grad kul zakołysał łodzią na boki. Podczołgał się ku zwojowi nylonowej liny, chwycił go i obiema rękami złapał za nadburcie. Przy kolejnym ostrzale skutery znalazły się już znacznie bliżej. Siła uderzeń kul wprawiała żaglówkę w tak gwałtowne chybotanie, że Bourne z łatwością przewrócił ją do góry dnem. Wpadł plecami do wody, rozrzucając ramiona, jakby został trafiony.

Skutery okręzały przewróconą łódkę, ich pasażerowie szukali wzrokiem głowy wystającej ponad wodę. Ponieważ niczego takiego nie było widać, nurkowie założyli maski, podczas gdy kierujący pojazdami zmniejszyli szybkość. Dociskając maski do twarzy jedną ręką, nurkowie wpadli do morza.

Bourne, zupełnie dla nich niewidoczny, unosił się na powierzchni pod łodzią, oddychając zamkniętym tam powietrzem. Ale zapas był niewielki. W przezroczystej wodzie łatwo dostrzegł bąble powietrza, gdy nurkowie zbliżyli się z obu stron kadłuba.

Szybko przywiązał koniec liny do knagi na sterburcie. Kiedy pierwszy z nurków ruszył na niego z dołu, zrobił unik, okręcił linę wokół szyi mężczyzny i mocno zaciągnął. Nurek wycelował kuszę, chcąc odeprzeć atak, ale Bourne'owi udało się zerwać mu maskę, czym skutecznie go oślepił. Błyskawicznie chwycił kuszę, którą tamten wypuścił, odwrócił się i strzelił w pierś drugiemu nadpływającemu nurkowi.

Krew rozlała się gęstą plamą, którą szybko rozrzedzał prąd wznoszący się z głębin. Bourne wiedział, że zostawanie w tych wodach, gdy połała się krew, nie jest mądrym posunięciem. Płuca o mało mu nie pękły, kiedy ponownie wynurzył głowę pod przewróconą łodzią. Jednak niemal natychmiast zanurkował ponownie, żeby odszukać pierwszego z napastników. Woda pociemniała, stała się mętna od krwi. Martwy nurek unosił się w jej smugach z ramionami rozłożonymi na boki, płetwami skierowanymi prosto w czarną otchłań. Jason był w połowie obrotu, gdy nylonowa lina oplotła mu szyję i mocno się na niej zacisnęła. Pierwszy nurek dociskał kolana do jego krzyża i jednocześnie ciągnął za oba końce sznura. Bourne spróbował go chwycić, ale mężczyzna łatwo się uchylił. Lina wrzynała się mocno w tchawicę, trzymając go poniżej lustra wody. Choć zaciskał wargi z całych sił, z kącika jego ust zaczęła wydobywać się cienka strużka bąbelków.

Stłumił w sobie chęć szamotania się, bo wiedział, że spowoduje to mocniejsze zaciśnięcie liny i wyczerpie go. Zamiast tego zastygł na moment w bezruchu i podobnie jak martwy nurek znajdujący się o niecały metr od niego poddawał się prądowi, udając nieżywego. Napastnik przyciągnął go bliżej i wydobył nóż, żeby podciąć mu gardło.

Jason sięgnął za siebie i nacisnął guzik czyszczenia na automacie oddechowym. Uderzenie powietrza było tak silne, że wyrwało ustnik spomiędzy warg nurka, wyrzucając do wody gęsty pióropusz bąbli. Lina wokół szyi Bourne'a zwiotczała. Uwolnił się, wykorzystując zaskoczenie nurka. Odwrócił się i spróbował unieruchomić ramiona przeciwnika, lecz ten skierował ostrze noża w jego pierś. Jason odparował atak kopnięciem, ale nurek rzucił się na niego, żeby nie pozwolić mu na wynurzenie się i zaczerpnięcie powietrza.

Bourne wcisnął sobie do ust octopus – drugie źródło powietrza z automatu oddechowego – i wciągnął tlen w bolące płuca. Nurek szamotał się, próbując sięgnąć po swój ustnik, lecz Bourne go odepchnął. Twarz mężczyzny stała się blada, rysy napięte. Raz po raz usiłował dźgnąć nożem Bourne'a lub octopus, ale daremnie. Zamrugał powoli powiekami, zanim oczy obróciły mu się w oczodołach, w chwili gdy uszło z niego życie. Bourne sięgnął szybko po

jego nóż, lecz nurek wypuścił go z ręki. Ostrze opadało po spirali w głąb morza.

Choć Bourne oddychał teraz normalnie przez octopus, miał świadomość, że po czyszczeniu w butlach nie zostało wiele powietrza. Martwy nurek oplatał go w pasie nogami skrzyżowanymi w kostkach, nylonowa lina zaplatała się wokół nich obu, tworząc coś w rodzaju kokonu. Bourne był zajęty uwalnianiem się z niej, gdy poczuł gwałtowny pęd wody.

Zimniejszy prąd uniósł się z głębin, a zaraz potem w zasięgu wzroku pojawił się rekin. Miał około trzech i pół metra długości, był srebrzystoczarny i płynął w górę prosto na Jasona i dwóch martwych nurków. Zwiertzył krew, wyczuł rzucające się ciała, których vibracje w wodzie były dla niego informacją o zdychającej rybie, może nawet więcej niż jednej, mogącej stać się dla niego ucztą.

Bourne, ciągnąc splecionego ze sobą pierwszego nurka, z trudem obrócił się ku drugiemu. Rozpiął mu szelki butli z tlenem i ściągnął je z niego. W tej samej chwili ciało zaczęło opadać, otoczone czarnymi kłębammi krwi. Rekin zmienił kierunek i popłynął wprost na trupa. Otworzył szeroko paszczę i odgryzł ogromny kęs z ciała mężczyzny. Jason pozwolił sobie na moment odpoczynku, choć bardzo krótki. W każdej chwili mogło pojawić się więcej rekinów ogarniętych szałem żerowania – do tego czasu nie powinno go być w wodzie.

Rozpiął pas balastowy pierwszego nurka, a potem ściągnął mu z ramion zbiorniki z powietrzem. Założył maskę na twarz. Zaczerpnął tlenu po raz ostatni i puścił butle – i tak były puste. Złączony w makabrycznym uścisku z martwym napastnikiem rozpoczął wznoszenie się ku powierzchni, jednocześnie starając się uwolnić od nylonowej liny. Nie wyglądało to najgorzej, tyle że biodra nadal miał oplecione nogami mężczyzny. Chociaż starał się ze wszystkich sił, nie był w stanie ich rozgiąć.

Wychynął nad powierzchnię i od razu zobaczył jeden ze skuterów, zmierzający dokładnie w jego kierunku. Pomachał ręką. Miał nadzieję, że z powodu maski kierowca weźmie go za jednego z nurków. Zbliżając się do niego, skuter zwolnił. Tymczasem Jasonowi udało się rozplątać linę. Gdy maszyna zataczała wokół niego kręgi, chwycił się tylnej części skutera. Klepnął kierowcę w udo i skuter wystartował. Bourne nadal znajdował się do połowy w wodzie, ale szybkość poluzowała uścisk nóg martwego nurka. Walnął go w kolana, rozległ się głuchy trzask pękających kości i nareszcie był wolny.

Wciągnął się na skuter i skręcił kierowcy kark. Zanim wrzucił go do wody, odpiął mu kuszę od pasa. Kierowca drugiego skutera widział dokładnie, co się stało, i właśnie zawracał, kiedy Jason ruszył wprost na niego. Mężczyzna dokonał złego wyboru. Wyciągnął pistolet i oddał dwa strzały, ale nie był w stanie trafić w rozkołysany skuter. Do tego czasu Bourne znalazł się wystarczająco blisko, żeby skoczyć. Wycelował z kuszy i strącił kierowcę do morza, przejmując jednocześnie kontrolę nad jego maszyną.

Teraz już sam na szafirowej wodzie, Bourne pomknął w dal.

Księga pierwsza

Rozdział 1

Tydzień później

– Przez nich wychodzimy na głupców.

Prezydent Stanów Zjednoczonych omiatał gniewnym spojrzeniem Gabinet Ovalny i wbijał wzrok w mężczyzn stojących niemal na baczność. Popołudnie było ciepłe i słoneczne, lecz w pomieszczeniu wyczuwało się napięcie tak duże, że wszyscy mieli wrażenie, jakby przetaczała się przez nie prywatna burza prezydenta.

– Jak doszło do tak opłakanego stanu rzeczy?

– Chińczycy wyprzedzają nas o cztery lata – powiedział Christopher Hendricks, nowo mianowany sekretarz obrony. – Zaczęli budować reaktory atomowe, żeby uniezależnić się od ropy i węgla, ale dopiero teraz okazało się, że kontrolują także dziewięćdziesiąt sześć procent światowego wydobycia metali ziem rzadkich.

– Ziem rzadkich! – zagrzmiał prezydent. – A co to takiego, do cholery, te ziemie rzadkie?

Generał Marshall, szef sztabu z Pentagonu, przestępował z nogi na nogę, najwyraźniej bardzo zmieszany.

– To minerały, które...

– Z całym szacunkiem, panie generale – wszedł mu w słowo Hendricks – ziemie rzadkie to źródło cennych pierwiastków.

Mike Holmes, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, odwrócił się do Hendricksa.

– Co za różnica i kogo to może obchodzić?

– Każdy z tlenków metali ziem rzadkich charakteryzuje się szczególnymi właściwościami – powiedział Hendricks. – Metale ziem rzadkich mają zasadnicze znaczenie dla nowych technologii, wykorzystywane są do produkcji samochodów o napędzie elektrycznym, telefonów komórkowych, turbin wiatrowych, laserów, nadprzewodników, potężnych magnesów i, co zapewne jest najważniejsze dla wielu z panów obecnych w tym pokoju, a zwłaszcza dla pana, generale, wyposażenia armii we wszystkich dziedzinach żywotnych dla naszego bezpieczeństwa: elektronice, optyce i magnetyzmie. Weźmy na przykład bezzałogowy samolot Predator lub inny rodzaj uzbrojenia nowej generacji, zapewniający niesłychaną precyzję, jak laserowe celowniki czy sieć satelitów komunikacyjnych. Wszystkie zależą od metali ziem rzadkich, które importujemy z Chin.

– Dlaczego w takim razie nie wiedzieliśmy o tym wcześniej, do cholery? – ciskał się Holmes.

Prezydent zgarnął z biurka kilka dokumentów i trzymał je niczym rozłożoną talię kart.

– Mamy tu dowód A. Sześć notatek służbowych z datami z ostatnich dwudziestu trzech miesięcy od Chrisa do pańskiego personelu, generale, w których Chris pisze o tym samym, co nam teraz powiedział. – Prezydent wyciągnął jedną z kartek i odczytał jej treść na głos: – „Czy ktokolwiek w Pentagonie jest świadomy, że potrzeba dwóch ton tlenków metali ziem rzadkich do zbudowania tylko jednego wiatraka produkującego energię elektryczną, a turbiny wiatrowe,

których używamy, są importowane z Chin?”. – Spojrzał pytająco na generała Marshalla.

– Nigdy nie widziałem tych dokumentów – odpowiedział szef sztabu drewnianym głosem. – Nie miałem pojęcia...

– Zapewne jednak ktoś z pańskich ludzi je widział – przerwał mu prezydent. – Co oznacza, panie generale, że pańskie kanały komunikacyjne są do dupy. – Prezydent bardzo rzadko używał wulgaryzmów, dlatego zapanowało milczenie wywołane szokiem. – W najgorszym przypadku – mówił dalej prezydent – mamy tu do czynienia z rażącym zaniedbaniem.

– Rażące zaniedbanie? – Generał zamrugał. – Nie rozumiem.

Prezydent westchnął.

– Wyjaśnij mu to, Chris.

– Nie dalej jak pięć dni temu Chińczycy zapowiedzieli, że w przyszłym roku ograniczą eksport metali ziem rzadkich o siedemdziesiąt procent. Magazynują je na własny użytek, o czym przewidując napisałem w mojej drugiej notatce do Pentagonu sprzed trzynastu miesięcy.

– Ponieważ nie podjęto żadnych działań – odezwał się prezydent – mamy teraz przejebane.

– Pociski samosterujące dalekiego zasięgu Tomahawk, pocisk XM982 Excalibur z systemem naprowadzania, o zwiększonym zasięgu i celności, GBU-28 Bunker Buster, wyspecjalizowana bomba do niszczenia bunkrów – wyliczał na palcach Hendricks – światłowody, noktowizory, wielozadaniowy zintegrowany wykrywacz substancji chemicznych MICAD, wykorzystywany do wykrywania skażenia chemicznego, superczułe kryształy Saint-Gobain do wykrywania promieniowania, przetworniki w sonarach i radarach... – Przekrzywił głowę. – Mam wymieniać dalej?

Generał wpatrywał się w niego gniewnie, ale całkiem rozsądnie zatrzymał jadowite uwagi dla siebie.

– No właśnie. – Prezydent zabębnił palcami po biurku. – Jak wydostać się z tego szamba? – Nie oczekiwał odpowiedzi. Nacisnął guzik interkomu i rzucił: – Przyślij go.

Chwilę później niski, krągły i łysiejący mężczyzna wszedł energicznie do Gabinetu Ovalnego. Jeśli nawet poczuł się onieśmielony aurą władzy panującą w tym pokoju, nie dał nic po sobie poznać. Zamiast tego skłonił lekko głowę w sposób przypominający pozdrowienie kierowane do jakiegoś europejskiego monarchy.

– Dzień dobry, panie prezydencie, Christopherze. Prezydent się uśmiechnął.

– Ten dżentelmen, panowie, to Roy FitzWilliams. Odpowiada za Indigo Ridge. Czy ktoś z was poza Chrisem słyszał o Indigo Ridge? Tak myślałem. – Pokiwał głową.

– Gdybyś zechciał to wyjaśnić, Fitz...

– Oczywiście, panie prezydencie – podjął skwapliwie FitzWilliams. – W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym Unocal kupiło Indigo Ridge, obszar w Kalifornii z największymi po chińskich złożami ziem rzadkich. Petrochemiczny gigant zamierzał eksploatować te złoża, ale z tych czy innych powodów nigdy do tego nie doszło. W roku dwa tysiące piątym pewna chińska firma chciała przejąć Unocal, ale transakcję zablokował Kongres, tłumacząc to względami bezpieczeństwa narodowego. – Odchrząknął. – Nie chodziło jednak o ziemie rzadkie, o których zapewne w Kongresie nigdy nie słyszano, podobnie jak o Indigo Ridge. Po prostu obawiano się, by Chińczycy nie położyli łapy na przetwórstwie ropy naftowej.

– Zatem – wtrącił prezydent – jedynie opatrności bożej zawdzięczamy to, że kontrola nad Indigo Ridge pozostała w naszych rękach.

– Co prowadzi nas do czasów obecnych – powiedział Fitz. – Dzięki pańskim staraniom, panie prezydencie, i pana Hendricksa, utworzyliśmy spółkę o nazwie NeoDyme. Jednak produkcja metali ziem rzadkich wymaga tak wysokich nakładów, że jutro NeoDyme wchodzi na giełdę z ogromną pierwszą ofertą publiczną. Część z tego, co panom powiedziałem, nie jest oczywiście tajemnicą. Zainteresowanie ziemiemi rzadkimi bardzo wzrosło po oświadczeniu wydanym przez Chińczyków. Nie zasypialiśmy gruszek w popiele przy NeoDyme, omówiliśmy ofertę z czołowymi analitykami giełdowymi i mamy nadzieję, że będą rekomendowali nasze akcje swoim klientom. NeoDyme nie tylko rozpocznie wydobywanie, co powinno być robione od dziesięcioleci, ale także zapewni bezpieczeństwo naszemu krajowi. – Wyciągnął jakąś notatkę. – Do dzisiaj zidentyfikowaliśmy w Indigo Ridge trzynaście różnych pierwiastków ziem rzadkich, w tym szczególnie cenne metale przejściowe. Czy mam je wyliczyć?

Podniósł wzrok znad kartki.

– Och, nie, może jednak nie. – Ponownie odchrząknął. – W tym tygodniu nasi geolodzy przekazali nam jeszcze lepsze wiadomości. Badania z ostatnich odwiertów wskazują na obecność kilku tak zwanych zielonych pierwiastków ziem rzadkich, mających ogromne znaczenie dla przyszłości, bo nawet kopalnie chińskie nie wydobywają tych metali.

Prezydent poruszył lekko ramionami, co robił zawsze, gdy dochodziło do sedna sprawy.

– W sumie oznacza to, panowie, że NeoDyme stanie się najważniejszą firmą w Ameryce i niewykluczone... a zapewniam, że nie ma w tym przesady... na całym świecie. – Przeszywał spojrzeniem wszystkich obecnych w pokoju. – Nie muszę wspominać, że bezpieczeństwo Indigo Ridge to dla nas priorytet.

Odwrócił się do Hendricksa.

– Dlatego jeszcze dzisiaj powołam do życia ściśle tajną grupę operacyjną o kryptonimie Samarytanin, na której czele stanie Christopher. Będzie komunikował się z wami wszystkimi i żądał od was pomocy, jaką uzna za potrzebną. Macie z nim współpracować pod każdym względem.

Prezydent wstał.

– Chcę, żeby to było jasne jak słońce, panowie. Ponieważ stawką jest bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych... ich przyszłość... nie możemy sobie pozwolić na popełnienie choćby jednego błędu, na jedno przekłamanie, jedną chybioną piłkę. – Jego wzrok pochwycił spojrzenie generała Marshalla. – Nie będę tolerował żadnych wojenek o wpływy, intryg, wzajemnego podkopywania się ani międzyagencyjnej zawiści. Każdy, kto nie udostępni danych wywiadu albo nie da ludzi Samarytaninowi, będzie surowo ukarany. Potraktujcie to jako ostrzeżenie. A teraz żegnam, panowie.

• • •

Boris Iljicz Karpow złamał rękę jednemu mężczyźnie i wbił łokieć w oczędło drugiego. Krew płynęła, głowy zwieszały się bezwładnie. Mocny smród potu i zwierzęcego strachu otaczał obu więźniów. Siedzieli przywiązani do metalowych krzeseł przyśrubowanych do

betonowej posadzki. Między nimi był otwarty kanał ściekowy, złowieszczo szeroki.

– Powtórzcie swoje historie – powiedział Karpow. – I to już.

Karpow, nowo powołany szef rosyjskiej tajnej policji FSB-2, utworzonej przez Wiktora Czerkiesowa z brygady antynarkotykowej i konkurencyjnej wobec rosyjskiej FSB, która przejęła obowiązki KGB, robił porządki. Już od wielu lat chciał się tym zająć. Teraz, dzięki umowie zawartej w absolutnej tajemnicy, dostał swoją szansę od Czerkiesowa.

Pochylając się, Karpow spoliczkował obu mężczyzn. Normalna procedura polegała na odizolowaniu podejrzanych, żeby wyłapać niezgodności w ich zeznaniach, ale tym razem odbywało się to inaczej. Karpow znał odpowiedzi. Czerkiesow powiedział mu wszystko, co musiał wiedzieć, nie tylko o czarnych owcach w FSB-2 – o tych, którzy byli opłacani przez poszczególne rodziny mafijne, czyli *gruppirowki*, albo przez oligarchów przemysłowych, którzy utrzymali się po upadku Kremla – ale również o oficerach próbujących podważyć autorytet Karpowa.

Żaden z więźniów nic nie powiedział, dlatego generał podniósł się i wyszedł z celi. Stał samotnie w piwnicy budynku z żółtej cegły tuż za placem Łubiańskim, gdzie nadal mieściła się siedziba konkurencyjnej FSB, dokładnie tak samo, jak w czasach, gdy rządził tam budzący strach Ławrientij Beria.

Karpow wytrząsnął z paczki papierosa i zapalił. Opierając się o wilgotną ścianę, palił w milczeniu. Pogrążył się w myślach o tym, jak wykorzysta potencjał FSB-2, jak przemieni ją w siłę, która zapewni sobie stałą aprobatę prezydenta Imowa.

Kiedy pet zaczął parzyć mu palce, wyrzucił go, rozgniół obcasem i ruszył energicznym krokiem do następnej celi, gdzie siedział skorumpowany oficer FSB-2, teraz już złamany. Karpow chwycił go za ramię i zaciągnął do celi, w której wcześniej przesłuchiwał dwóch oficerów. Odgłosy szamotaniny sprawiły, że obaj podnieśli głowy i wpatrywali się w nowo przybyłego więźnia.

Karpow wyciągnął makarowa i strzelił mężczyźnie w tył głowy. Siła strzału była tak duża, że kula przeszła przez czaszkę i wyleciała przez czoło, otoczona rozbryzgującą się krwią i kawałkami mózgu, które ochlapały oficerów przywiązanych do krzeseł. Trup runął na posadzkę między nimi.

Karpow krzyknął i pojawiło się dwóch wartowników. Jeden z nich przyniósł duży, mocny, plastikowy worek, drugi – piłę łańcuchową, którą uruchomił na polecenie Karpowa. Kłęb gęstego niebieskawego dymu uniósł się nad maszyną. Obaj mężczyźni zabrali się do pracy przy zwłokach. Najpierw odcięli głowę, potem pokroili resztę. Siedzący po obu stronach oficerowie patrzyli w dół, nie mogąc oderwać oczu od makabrycznego widoku. Kiedy ludzie Karpowa skończyli, zebrali kawałki i wrzucili do plastikowego worka. A potem wyszli.

– Nie odpowiadał na pytania. – Karpow patrzył surowo to na jednego, to na drugiego więźnia. – Podzielicie jego los, chyba że... – Zawiesił głos.

– Chyba że... – powtórzył Anton, jeden z oficerów.

– Zamknij ryj, do kurwy nędzy! – wrzasnął Georgij, drugi oficer.

– Chyba że pogodzicie się z nieuniknionym. – Karpow stanął przed nimi, ale mówił do Antona. – Ta agencja się zmieni, z wami czy bez was. Pomyślcie o tym w ten sposób. Macie jedyną szansę na wejście do mojego wewnętrznego kręgu, na zaufanie mi i poddanie się mojej władzy. W zamian będziecie żyli i nie wykluczam, że całkiem dobrze będzie się wam

powodziło. Ale jedynie wtedy, gdy będziecie bezwzględnie lojalni wobec mnie i tylko mnie. Jeśli wasze oddanie osłabnie, bliscy nigdy się nie dowiedzą, co was spotkało. Nie zostaną nawet ciała, które by można pochować, żeby przynieść ulgę rodzinie. Prawdę mówiąc, nie zostanie żaden ślad waszego pobytu na ziemi.

– Ślubuję wam dozogonną wierność, generale Karpow. Możecie na mnie polegać.

– Zdrajca! – rzucił Georgij. – Rozszarpię cię na strzępy!

Karpow zignorował ten wybuch.

– To tylko słowa, Antonie Fiodorowiczu – powiedział.

– W takim razie co mam zrobić?

Generał wzruszył ramionami.

– Jeśli musiałbym ci powiedzieć, to nie miałyby sensu, prawda?

Anton zastanowił się przez chwilę.

– Więc mnie rozwiążcie.

– Jeżeli cię rozwiążę, to co wtedy?

– Wtedy – odparł Anton – przejdziemy do sedna sprawy.

– Od razu?

– Bez cienia wątpliwości.

Karpow skinął głową, przeszedł na tył krzesel obu więźniów, rozwiązał Antonowi ręce i kostki nóg. Oficer wstał. Świadomie powstrzymał się od rozcierania poranionych nadgarstków. Wyciągnął przed siebie prawą rękę. Karpow spojrzał mu prosto w oczy, a po chwili podał makarowa, kolbą w jego stronę.

– Zastrzel go! – krzyknął Georgij. – Zastrzel jego, nie mnie, idioto!

Anton wziął pistolet i strzelił Georgijowi dwa razy w twarz.

Generał przyglądał się temu z obojętnością.

– Co zrobimy z ciałem? – zapytał tonem, jakiego używa się na egzaminie ustnym, gdy zadaje się ostatecznie, rozstrzygające pytanie, choć może był to po prostu pierwszy krok do indoktrynacji.

Anton odpowiedział równie ostrożnie co rozważnie:

– Piła łańcuchowa była dla tamtego. Ten człowiek... temu człowiekowi nic się nie należy, nawet mniej niż nic. – Wpatrywał się w kanał ściekowy, który wyglądał jak paszcza potwornej bestii. – Tak się zastanawiam... Czy macie, generale, jakiś mocny kwas?

• • •

Czterdzieści minut później, w jasnym słońcu pod błękitnym niebem, Karpow zmierzający do prezydenta Imowa, żeby złożyć raport o poczynionych postępach, odebrał bardzo krótką wiadomość: „Granica”.

– Ramienskoje – rzucił do kierowcy, mając na myśli główne moskiewskie lotnisko wojskowe, gdzie zawsze czekał na niego zatankowany samolot z załogą. Kierowca zawrócił, gdy tylko ruch mu na to pozwolił, i docisnął pedał gazu.

• • •

Kiedy Karpow pokazywał swoje dokumenty żołnierzowi z kontroli paszportowej, z cienia

wyłonił się mężczyzna tak drobny, że w pierwszej chwili Boris wziął go za nastolatka. Był ubrany w ciemny garnitur, paskudny krawat i znoszone brudne buty. Nie było na nim grama tłuszczu, jakby mięśnie wypracował wielogodzinnymi ćwiczeniami na siłowni. Można było odnieść wrażenie, że traktował własne ciało niczym broń.

– Generale Karpow. – Nie wyciągnął przed siebie ręki, nie przywitał się w żaden sposób. – Nazywam się Zaczik. – Nie podał ani imienia, ani patronimiku.

– Co? – zdziwił się Karpow. – Jak paladyn?

Pociągła twarz Zaczika o ostrych rysach nie wyrażała niczego.

– Kim jest paladyn? – Zabrał żołnierzowi paszport Karpowa. – Proszę za mną, generale.

Odwrócił się i zaczął iść przed siebie, a ponieważ miał ze sobą dokument Karpowa, ten, choć wściekły, musiał iść za nim. Zaczik poprowadził go korytarzem, oświetlanym z rzadka żarówkami, gdzie śmierdziało gotowaną kapustą i karbolem, i dalej przez nieoznakowane drzwi do małego, pozbawionego okien pokoju przesłuchań. Był tam stół przyśrubowany do podłogi, a na nim zupełnie niepasujący do tego wnętrza piękny, mosiężny samowar razem z dwiema szklankami, łyżeczkami i niewielką mosiężną cukiernicą z kostkami białego i brązowego cukru.

– Siadajcie – powiedział Zaczik, wskazując generałowi jedno z dwu niebieskich, zniszczonych plastikowych krzesel. – Proszę się rozgościć.

Karpow zignorował zaproszenie.

– Jestem szefem FSB-dwa.

– Dobrze wiem, kim jesteście, generale.

– A kim wy jesteście, do cholery?

Zaczik wyjął z kieszeni na piersi marynarki legitymację w plastikowej okładce i otworzył ją. Karpow musiał zrobić kilka kroków w jego stronę, żeby ją obejrzeć. „Służba Wniesznej Razwiedki”. Przeczytał raz jeszcze. Ten człowiek należał do kierownictwa Służby Wywiadu Zagranicznego, odpowiedniczki amerykańskiej Centrali Wywiadu w Federacji Rosyjskiej. Ściśle biorąc, FSB i FSB-2 powinny ograniczać się do spraw krajowych, Czerkiesow jednak rozszerzył zakres działania agencji na zagranicę i nikt mu w tym nie przeszkodził. Czy to spotkanie było skutkiem wejścia FSB-2 na terytorium SWR? W tej chwili Karpow bardzo żałował, że nie poruszył tej kwestii w rozmowie z Czerkiesowem, zanim objął stanowisko.

Zmusił się do fałszywego uśmiechu.

– Co mogę dla was zrobić?

– Chodzi raczej o to, co ja... albo mówiąc precyzyjniej, SWR może zrobić dla was, generale.

– Czyżby?

Karpow stał wystarczająco blisko, żeby wyrwać Zaczikowi legitymację z ręki, kiedy ten chciał ją schować. Machał nią teraz niczym proporcem wojennym na polu walki, niemal słysząc podzwanianie szabel.

Zaczik wyciągnął przed siebie rękę z paszportem generała i obaj panowie dokonali wymiany jeńców.

Karpow schował paszport w bezpieczne miejsce, po czym oświadczył:

– Samolot na mnie czeka.

– I poczeka, dopóki nie dokończymy tego spotkania. Pilot dostał od nas jasne instrukcje. –

Zaczik podszedł do samowara. – Herbaty?

– Dziękuję, nie.

Agent SWR odwrócił się do niego tyłem i nalał herbaty do jednej szklanki.

– Błąd, to pewne, generale. Mamy tu najlepszą herbatę, czarną „Rosyjską karawanę”. Ta mieszanka ulung, keemun i lapsang souchong jest wyjątkowa, bo wszystkie gatunki są dostarczane z najróżniejszych plantacji przez Mongolię i Syberię, tak samo jak to się odbywało w osiemnastym wieku, kiedy karawany wielbłądów przywoziły ją z Chin, Indii i Cejlonu. – Ujął szklankę palcami i podstawił pod nos, wciągając głęboko zapach. – Zimny, suchy klimat sprawia, że herbata wchłania jedynie odrobinę wilgoci, gdy jest transportowana nocami przez pokryte śniegiem stepy.

Napił się, odczekał chwilę i ponownie upił łyk. Potem popatrzył na Karpowa.

– Jesteście pewni?

– Całkowicie.

– Jak sobie życzycie, generale. – Zaczik westchnął i odstawił szklankę. – Zwróciliśmy uwagę...

– My?

– SWR zwróciła uwagę. Wolicie w ten sposób? – Chudzielec zacisnął i rozprostował dłoń.

– W każdym razie zwróciliście na siebie uwagę SWR.

– Z jakiego powodu?

Zaczik złączył ręce za plecami. Wyglądał jak kadet na placu defilad.

– Wiecie, generale, zazdroścę człowiekowi takiemu jak wy.

Karpow zdecydował, że nie będzie mu przerywał. Chciał, żeby to zagadkowe spotkanie skończyło się możliwie jak najszybciej.

– Jesteście ze starej kadry, przeszliście twardą szkołę, musieliście walczyć o każdy awans, pozostawiając w polu ciała tych, którzy okazywali się słabsi od was. – Wskazał palcem własną pierś. – Mnie wszystko przyszło znacznie łatwiej. Widzicie, doszedłem do wniosku, że mógłbym się bardzo wiele nauczyć od człowieka takiego jak wy. – Czekał na reakcję Karpowa, ale kiedy odpowiedziało mu jedynie milczenie, mówił dalej: – Co sądzicie o zostaniu moim mentorem, generale?

– Jesteście jak ci wszyscy młodzi technokraci, którzy grają w gry wideo i którym się wydaje, że to wystarczy zamiast doświadczeń zdobywanych w terenie.

– Mam na głowie ważniejsze rzeczy niż zabawa w gry wideo.

– Zawsze opłacało się wiedzieć, co knuje konkurencja. – Boris machnął ręką. – A teraz przejdźcie wreszcie do rzeczy. Nie mam zamiaru tracić całego dnia.

Zaczik skinął głową w zamyśleniu.

– Chcemy jedynie zapewnienia, że będziecie przestrzegali postanowień umowy, jaką mieliśmy z waszym poprzednikiem.

– Jakiej umowy?

– O Boże, chcecie przez to powiedzieć, że Czerkiesow prysnął, nie informując was o niczym?

– Nie słyszałem o żadnej umowie – oświadczył Karpow. – A jeśli dobrze się przygotowaliście, to wiecie, że nie wchodzę w żadne układy. – Dla niego ta rozmowa się skończyła. Ruszył w stronę drzwi.

- Pomyślałem – odezwał się Zaczik cicho – że w tym wypadku moglibyście zrobić wyjątek. Karpow policzył do dziesięciu i odwrócił się do niego.
 - Wiecie, rozmowa z wami jest bardzo wyczerpująca.
 - Przepraszam – powiedział agent SWR, choć wyraz jego twarzy bynajmniej nie świadczył o skruse. – Umowa, generale. W grę wchodzi pieniądze... miesięczną stawkę możemy szybko ustalić... i wywiad. Podzielcie się z nami waszą wiedzą.
 - To nie jest umowa – warknął Karpow. – To wymuszenie.
 - Możemy bawić się w słowa przez cały dzień, generale, ale jak sami powiedzieliście, samolot na was czeka. – Ton jego głosu zhardział. – Zawrzemy tę umowę, podobnie jak z waszym poprzednikiem, a wy i wasi koledzy będziecie mogli swobodnie przemieszczać się po świecie znacznie dalej, niż pozwala na to statut FSB-dwa.
 - Autorem naszego statutu jest Wiktor Czerkiesow. – Karpow nacisnął klamkę w drzwiach.
 - Proszę mi wierzyć, generale, że możemy urządzić wam piekło na ziemi. Ostrzegam was. Nie zapominajcie o tym.
- Boris otworzył drzwi i wyszedł energicznym krokiem.

• • •

Ramienskoje dzieliło ponad tysiąc kilometrów od lotniska w Uralsku w zachodnim Kazachstanie, płaskiego i brzydkiego pasa jałowej, burej i suchej ziemi.

Wiktor Deljagowicz Czerkiesow czekał na niego oparty o zakurzony pojazd wojskowy i palił czarnego tureckiego papierosa. Był wysokim mężczyzną o gęstych, pofalowanych włosach, siwiejących na skroniach. Oczy miał czarne i nieprzeniknione. Widział zbyt wiele potworności, wydał zbyt wiele rozkazów, brał udział w zbyt wielu przestępstwach.

Karpow podszedł do niego, czując, że puls mu przyspiesza. Układ z tym diablím pomiotem przewidywał między innymi, że za stołek w FSB-2 będzie mu co jakiś czas wyświadczał przysługę. Nie zawracał sobie nawet głowy pytaniem, o jakie przysługi może chodzić, Czerkiesow i tak by mu nie powiedział. Teraz jednak nadeszło pierwsze wezwanie i Karpow zdawał sobie sprawę, że musi wywiązać się z obietnicy złożonej byłemu szefowi FSB-2. Odmowa nie wchodziła w grę.

Czerkiesow podsunął mu paczkę papierosów. Karpow wziął jednego i pochylił się, żeby dosięgnąć płomienia zapalniczki. Nie znosił tureckiego tytoniu, ale nie chciał w niczym sprzeciwiać się byłemu szefowi.

– Dobrze wyglądasz – zagaił Czerkiesow. – Rujnowanie życia innymi ludziom dobrze ci służy.

Boris skrzywił się w cierpkim uśmiechu.

– A tobie służy nowe życie.

– Służy mi posiadanie władzy. – Czerkiesow wyrzucił papierosa. Pet jarzył się jasno na lichym asfalcie. – Obu nam służy.

– Gdzie się podziewałeś, kiedy od nas odszedłeś?

Czerkiesow się uśmiechnął.

– W Monachium. Czyli nigdzie.

– Monachium to rzeczywiście nigdzie – potwierdził Karpow. – Jeśli zobaczę jeszcze kiedyś

to miasto, zawsze będzie na to stanowczo za wcześnie.

Czerkiesow wyjął następnego papierosa i zapalił.

– Znam cię, Borisie Iljiczu. Coś cię gnębi.

– SWR – odpowiedział Karpow. Był wściekły przez całą drogę. – Chciałbym z tobą porozmawiać o umowie, jaką z nimi zawarłeś.

Czerkiesow zamrugał oczami.

– Jakiej umowie?

I wtedy wszystko stało się jasne. Zaczik posunął się do blefu w nadziei, że uda mu się wykorzystać fakt powołania Karpowa na stanowisko zaledwie miesiąc wcześniej. Boris opowiedział byłemu szefowi o odrażającej rozmowie na lotnisku Ramienskoje, nie pomijając żadnego szczegółu, od zjawienia się Zaczika podczas kontroli paszportowej do ostatniego zdania, które wypowiedział, wychodząc z pozbawionego okien pokoju przesłuchań.

Gdy mówił, Czerkiesow przygryzał w zamyśleniu wewnętrzną stronę policzka.

– Chciałbym powiedzieć, że jestem zaskoczony – odezwał się w końcu – ale nie byłaby to prawda.

– Znasz tego Zaczika? Facet ma w sobie coś z wazeliniarza.

– Wszyscy sługusi to wazeliniarze. Zaczik wykonuje polecenia Berii. To na Bериę powinieneś uważać.

Konstantin L. Beria był obecnym szefem SWR i jak jego budzący strach przodek, zasłynął z paranoi, podłych intryg i stosowania przemocy. Konstantina bano się w równym stopniu jak kiedyś Ławrientija Pawłowicza Berii i tak samo nim pogardzano.

– Beria bał się do mnie zbliżyć – powiedział Czerkiesow. – Wysłał Zaczika, żeby wybadał, czy uda im się przekabacić ciebie.

– Pieprzyć Bериę.

Oczy Czerkiesowa zmieniły się w szparki.

– Ostrożnie, przyjacielu. Tego faceta nie można lekceważyć.

– Rada przyjęta.

Czerkiesow krótko skinął głową.

– Jeśli stosunki się popsują, skontaktuj się ze mną. – Otworzył i zamknął zapalniczkę. Odgłos przypominał brzęczenie owada ukrytego w trawie. – A teraz przejdźmy do rzeczy. Mam dla ciebie zlecenie.

Karpow wpatrywał się w jego twarz, szukając jakiegokolwiek znaku, który zdradziłby mu, czego sprawa może dotyczyć. Ale niczego nie spostrzegł. Czerkiesow właśnie taki był. Twarz miał równie nieprzeniknioną jak ściana bankowego sejfu. Na pasie stał wojskowy odrzutowiec, otoczony aurą czujności i napięcia. Od czasu do czasu pojawiał się przy nim mechanik, ale nikt nie zbliżał się do dwóch Rosjan.

Czerkiesow oderwał kruszynę tytoniu od ust i roztarł ją na pył.

– Chcę, żebyś kogoś zabił.

Karpow zaczerpnął powietrza, nie do końca świadomy, że od jakiegoś czasu wstrzymuje oddech. To wszystko? Poczuł, jak ogarnia go fala ulgi. Skinął głową.

– Podaj mi szczegóły, to się tym zajmę.

– Trzeba to zrobić natychmiast.

Karpow ponownie kiwnął głową.

– Oczywiście. Od razu. – Zaciągnął się papierosem i zmrużył jedno oko, bo wpadł w nie dym. – Zakładam, że masz zdjęcie celu.

Uśmiechając się złośliwie, Czerkiesow wyjął fotkę z kieszeni na piersi i podał swojemu następcy w FSB-2. Patrzył, zaciekawiony i uważny, na twarz Borisa, która stawała się biała jak kreda.

– Nie masz wyboru. I to żadnego. – Odchylił do tyłu głowę. – Co? Czyżby cena za twój awans była zbyt wysoka?

Karpow usiłował coś powiedzieć, ale czuł się tak, jakby były szef właśnie go dusił.

Uśmiech Czerkiesowa stał się szerszy.

– Nie, wydaje mi się, że nie.

Rozdział 2

Jason Bourne obudził się w ciemności pokoju hotelowego na skraju kolumbijskiej puszczy, ale nie otwierał oczu. Leżał przez chwilę na cienkim, powygniatanym materacu, owładnięty wspomnieniem dziwnego snu. Znajdował się w domu o wielu pokojach, z korytarzami prowadzącymi do miejsc, w których ślepl. Zupełnie, jakby próbował zobaczyć własną przeszłość. Dom płonął, wszędzie kłębił się dym. Ale Jason nie był tam sam. W domu znajdował się ktoś jeszcze, ktoś, kto poruszał się ze zwinnością kota, ktoś, kto go szukał, ktoś o morderczych zamiarach, kto był już bardzo blisko, lecz gęsty dławiący dym zakrywał go zupełnie.

Nie potrafił powiedzieć, gdzie kończył się sen, a zaczynała rzeczywistość. Czuł zapach dymu i to właśnie go obudziło. Zwlókl się z łóżka, ciągle otoczony smrodem spalenizny, i ponownie zaatakowało go wspomnienie snu. Ruszył do drzwi, ale zaraz przystanął.

Ktoś na niego czekał, tuż za drzwiami. Ktoś uzbrojony. Ktoś, kto chciał go zabić.

Bourne cofnął się, chwycił zdezelowane krzesło, tak liche, że nadawało się jedynie na podpałkę. Otwierając drzwi, cisnął nim przed siebie. Usłyszał huk strzału i rzucił się przez próg.

Uderzył w nadgarstek napastnika z taką siłą, że roztrzaskał mu kość. Broń zwisała w pozbawionych czucia palcach, ale strzelec jeszcze nie był załatwiony. Kopniakiem posłał Bourne'a na przeciwległą ścianę. Zyskawszy trochę przestrzeni, przemieścił się wśród dymu niczym zjawa, zamachnął kolbą pistoletu – trzymanego teraz w drugiej ręce – i uderzył Jasona w bok głowy.

Bourne osunął się i został na podłodze. Dym gęstniał, Jason czuł gorąco, gdy płomienie podpełzały bliżej. Nisko przy ziemi powietrze było czystsze, dawało mu przewagę, choć jego przeciwnik jeszcze sobie tego nie uświadamiał. Napastnik ponownie przymierzył się do kopniaka, ale Bourne chwycił go za but w powietrzu i wykręcił tak, że kostka pękła. Mężczyzna wrzasnął z bólu. Jason, już na klęczkach, uderzył go mocno w nerki, a potem, gdy ciało strzelca zaczęło się zwijać, chwycił go za tył głowy i walnął kolanem w brodę.

Dym wypełniał korytarz. Ogień podchodził do podstawy schodów, grożąc przemianą pierwszego piętra w płonące piekło. Chwyciwszy pistolet napastnika, Bourne rzucił się w stronę swojego pokoju. Kiedy wpadł do środka, zakrył ramionami twarz, a potem, skacząc, przebił sobą szkło i drewno okna.

Czekali na niego na dole. Było ich trzech, podeszli, gdy toczył się po ziemi, po tym jak spadł z okna pierwszego piętra w otoczeniu odłamków szkła. Dopadł jednego i przejechał mu kolbą pistoletu po policzku, zalewając jasnoczerwoną strużką krwi. Zatopił pięść w brzuchu drugiego mężczyzny, który zgął się wpół. I wtedy poczuł silny ucisk lufy na karku.

Podniósł ręce. Mężczyzna z rozoranym, zakrwawionym policzkiem wyrwał mu pistolet z dłoni, a potem walnął pięścią w szczękę.

– *Basta!* – rozkazał ten stojący za Bourne'em. – *El no quiere ser lastimado.* – Nie róbcie mu krzywdy.

Bourne skalkulował, że dałby radę załatwić tych trzech, ale stał w bezruchu. Ci ludzie nie pojawili się tu, żeby go zabić. Ten, który czał się przy jego drzwiach, mógł je wyłamać kopniakiem i próbować go zastrzelić, lecz tego nie zrobił. Ogień miał go wypłoszyć, podobnie jak strzały w korytarzu. To, że wdał się w walkę z pierwszym napastnikiem, było dla nich zaskoczeniem.

Jason domyślał się, kto przysłał tych ludzi, dlatego pozwolił im związać sobie ręce za plecami i nałożyć konopny worek na głowę. Wepchnęli go do nagrzanego, zdezelowanego samochodu, który cuchnął benzyną, potem i smarem, a kiedy z warkotem silnika wjechali w dżunglę, po braku amortyzatorów zorientował się, że musi to być jakiś bardzo wysłużony pojazd wojskowy. Bourne zapamiętywał skręty i liczył w myślach, żeby przynajmniej mieć szacunkowe pojęcie o pokonywanej odległości. Przez cały czas próbował przepiłować krępujący mu ręce kabel o metalową krawędź znajdującą się za jego plecami.

Mniej więcej po dwudziestu minutach samochód się zatrzymał. Przez jakiś czas nic się nie działo, słychać było jedynie sporadycznie ostre albo jadowite zdania w hiszpańskim slangu. Usiłował zrozumieć, o czym mówią, ale gruby worek i szczególna akustyka wnętrza pojazdu praktycznie to uniemożliwiały. Zaraz potem został pospiesznie zaciągnięty w chłód głębokiego cienia. Muchy i komary bzycały, opadający liść otarł mu się o wierzch dłoni, gdy ciągnięto go naprzód. Gryzący smród latryny, a potem woń smaru do broni, prochu i kwaśnego potu. Popchnięto go na coś, co w dotyku przypominało składany stołek z brezentu, gdzie przesiedział kolejne pół godziny, nasłuchując. Słyszał krzątanie, ale nikt nie odzywał się słowem, co było znakiem panującej tu żelaznej dyscypliny.

Zupełnie niespodziewanie zerwano mu worek z głowy. Bourne mrugał w półmroku lasu. Rozejrzał się i przekonał, że jest w prowizorycznym obozie. Zauważył trzynastu ludzi – i to tylko w zasięgu wzroku.

Zbliżył się do niego mężczyzna eskortowany przez dwóch identycznych facetów w mundurach, uzbrojonych po zęby w półautomaty, pistolety i pasy z amunicją. Dzięki szczegółowemu opisowi Moiry Bourne rozpoznał Roberta Corellosa. Był przystojny na swój toporny sposób mocno umięśnionego mężczyzny. Ciemne uwodzicielskie oczy i silna aura męskości nadawały mu pewną charyzmę, która bez wątpienia działała na jego ludzi.

– No więc... – Z kieszeni na piersi pięknie haftowanej koszuli wyjął cygaro i zapalił je, posługując się ciężką zapalniczką zippo. – Mamy tu myśliwego i zwierzynę. – Wypuścił z ust kłąb aromatycznego dymu. – Zastanawiam się jednak, kto jest kim?

Bourne przyglądał mu się bardzo uważnie.

– Zabawne – powiedział. – Nie wygląda pan na skazańca. Corellos wykrzywił twarz w uśmiechu i zatoczył ramieniem w szerokim geście.

– To dlatego, kolego, że moi przyjaciele z FARC okazali się wystarczająco dobrzy, by wyciągnąć mnie z La Modelo.

Bourne wiedział, że FARC to Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii, lewicowa partyzantka.

– Ciekawe – skwitował. – Jest pan jednym z najbardziej wpływowych baronów narkotykowych w Ameryce Łacińskiej.

– Na świecie! – poprawił go Corellos, unosząc wysoko cygaro.

Jason pokręcił głową.

– Lewicowa partyzantka i prawicowi kapitaliści, nie bardzo rozumiem.

Corellos wzruszył ramionami.

– A kto to rozumie? FARC nienawidzi rządu, podobnie jak ja. Mamy umowę. Co jakiś czas wyświadczamy sobie wzajemnie przysługi, a w rezultacie cierpią frajerzy z rządu. Poza tym nie wchodzimy sobie w drogę. – Wypuścił z ust następny kłęb dymu. – Chodzi o interesy, nie o ideologię. Ja robię pieniądze. Ideologię mam w dupie. Zatem przejdźmy do interesów. – Corellos pochylił się, opierając dłonie na kolanach, tak że jego twarz znalazła się na wysokości oczu Bourne'a. – Kto cię nasłał, żebyś mnie zabił, *senior*? Który z moich wrogów, co?

Ten mężczyzna był zagrożeniem dla Moiry i jej przyjaciółki Berengarii. Moira poprosiła Bourne'a na Phuкеcie, żeby odszukał Corellosa i się z nim dogadał. Nigdy wcześniej o nic go nie prosiła, dlatego wiedział, że musiało to być wyjątkowo ważne, może chodziło nawet o życie lub śmierć.

– Skąd pan wie, że zostałem przysłany, by pana zabić? – zapytał.

– To jest Kolumbia, przyjacielu. Nie dzieje się tu nic, o czym bym nie wiedział.

Był jednak jeszcze jeden powód, który przesądził o decyzji Bourne'a. Burzliwe spotkanie z Leonidem Arkadinem nauczyło go czegoś o nim samym. Nie czuł się dobrze w zawieszeniu, w mrocznych, samotnych chwilach, gdy nic się nie działo, kiedy świat zamierał w bezruchu, a wszystko, co on, outsider, mógł zrobić, ograniczało się do obserwacji otoczenia. A przecież łąpał się na tym, że ceremonie ślubne były mu równie obojętne jak pogrzeby. Ponieważ żył dla chwil, gdy wkraczał do akcji, kiedy zarówno jego ciało, jak umysł w pełni się angażowały i pędził przed siebie, balansując na granicy życia i śmierci.

– Zatem? – Corellos niemal dotykał nosem nosa Jasona. – Co masz mi do powiedzenia?

Bourne uderzył go czołem w nos. Usłyszał satysfakcjonujący odgłos trzaskającej chrząstki wbitej w twarz i uwolnił ręce z pętającego je kabla, który ukradkiem przepiłował. Złapał Corellosa i postawił przed sobą, zaciskając mu zgięte ramię na gardle.

Lufy pistoletów powędrowały do góry, ale nikt się nie poruszył. Wtedy na scenie pojawił się inny mężczyzna.

– To zły pomysł – powiedział do Bourne'a.

Bourne zacieśnił chwyt.

– Z całą pewnością dla *seniora* Corellosa.

Mężczyzna był wielki, dobrze zbudowany, o skórze orzechowego koloru i oczach doświadczonego człowieka, ciemnych jak głęboka studnia. Miał burzę ciemnych włosów, niemal loków, i długą, gęstą, kręconą brodę niczym starożytny Pers. Emanował z niego pewien rodzaj energii, która nawet na Jasonie robiła wrażenie. Choć był znacznie starszy, Bourne rozpoznał go z fotografii, którą widział wiele lat wcześniej.

– Jalal Essai – odezwał się Bourne. – Zastanawiam się, co tu robisz w towarzystwie tego króla narkotyków. Czy Severus Domna zajmuje się teraz heroiną i kokainą?

– Musimy porozmawiać, ty i ja.

– Wątpię, żeby do tego doszło.

– Panie Bourne – powiedział Essai wolno, ważąc każde słowo. – Zamordowałem Fredericka Willarda.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Nie byłeś sojusznikiem pana Willarda? Nie, myślę, że nie. Nie po tym, kiedy zużył tyle

czasu i energii, żeby doprowadzić do twojej walki z Leonidem Arkadinem. – Machnął ręką. – W każdym razie zabiłem Willarda z bardzo konkretnego powodu, bo zawarł układ z Benjaminem El-Arianem, głową Domny.

– W to akurat trudno uwierzyć.

– Niemniej to prawda. Widzisz, Willard pożądał złota Salomona równie desperacko jak twój dawny szef z Treadstone, Alexander Conklin. Zaprzedał duszę El-Arianowi, byle móc uszczknąć dla siebie choć odrobinę.

Jason pokręcił głową.

– I mówi to członek Domny?

Brodacz rozciągnął usta w powolnym uśmiechu.

– Byłem człowiekiem Domny, kiedy Conklin nasłał cię na mój dom – odpowiedział. – Ale to działo się dawno temu.

– A teraz...

– Teraz Benjamin El-Arian i Domna są moimi zaprzysiężonymi wrogami. – Jego uśmiech trochę przygasł. – Widzisz, mamy jednak bardzo wiele do omówienia.

• • •

– Przyjaźń – powiedział Iwan Wołkin, stawiając dwie szklanki i napełniając je wódką. – Przyjaźń jest przereklamowana. – Podał jedną Borisowi Karpowowi, drugą uniósł wysoko w toaście. – Chyba że mówimy o Rosjanach. My nie zaprzyjaźniamy się lekkomyślnie i jako jedyni ze wszystkich ludzi na świecie rozumiemy, co znaczy przyjaźń. Wasze zdrowie!

Wołkin był stary i siwy, twarz miał zapadniętą. Ale niebieskie oczy nadal pobłyskiwały wesołością, będąc dowodem, gdyby wszystko inne nie wystarczało, że na emeryturze nie stracił zupełnie nic z przenikliwości wyjątkowego umysłu, dzięki któremu stał się najbardziej wpływowym negocjatorem pomiędzy szefami rosyjskiej mafii.

Boris sam dolał sobie więcej wódki.

– Jak długo się znamy, Iwanie Iwanowiczu?

Wołkin obliznął fioletowe usta i wyciągnął rękę z pustą szklanką. Dłonie miał duże, z nabrzmiałymi żyłami o chorobliwie niebieskosinym kolorze.

– Jeśli dobrze pamiętam, razem moczyliśmy się w pieluchy. – Zaśmiał się, wydając przy tym gulgoczący dźwięk z głębi gardła.

Boris skinął głową. Melancholijny uśmiech uniósł mu kąciki ust.

Stali w zagraconym małym pokoju mieszkania w centrum Moskwy, które Wołkin zajmował od co najmniej pięćdziesięciu lat. To dziwna rzecz, pomyślał Boris. Za pieniądze, które Iwan zgromadził przez wszystkie lata, mógł kupić każde mieszkanie, dowolnie duże i wspaniałe albo drogie, a mimo to zdecydował się zostać w tym lichym skansenie z setkami książek i półkami, na których stały poutykane pamiątki z całego świata – drogie prezenty otrzymane od wdzięcznych klientów.

Wołkin rozłożył ramiona.

– Siadaj, przyjacielu. Siadaj i oprzyj wygodnie nogi. Nieczęsto odwiedza mnie generał Karpow, szef FSB-dwa.

Sam usadowił się na zwykłym miejscu, tapicerowanym fotelu z uszakami, który od piętnastu

lat aż prosił się o zmianę obicia. Jego krwistoczerwony kolor dawno wypłowił i teraz fotel przypominał pozbawioną barwy bryłę. Boris usiadł naprzeciwko niego na pokrytej perkalem sofie, poobijanej i zapleśniałej, jakby wyciągnięto ją z zatopionego wraku. Zaszokowało go, jak bardzo Iwan się postarzał, jak przygarbił, pochylony niczym drzewo nękane przez dziesięciolecia burzami, deszczami ze śniegiem, suszą. Ile lat minęło od naszego ostatniego spotkania? – pytał sam siebie. Z przykrością przekonał się, że nie potrafi sobie tego przypomnieć.

– Za generała! I haniebną śmierć jego wrogów! – zawołał Iwan.

– Iwanie, proszę!

– Wzniesmy toast, Borisie, toast! Pijmy, kiedy czas po temu! Ilu mężczyzn osiągnęło w życiu to, co ty? Jesteś u szczytu kariery. – Poruszył chudymi ramionami. – Co, nie jesteś dumny z tego, do czego doszedłeś?

– Oczywiście, że jestem – odpowiedział Boris. – Tylko że... – Zawiesił głos w pół zdania.

– Tylko co? – Iwan usiadł prosto. – Co ci chodzi po głowie, stary przyjacielu? No dalej, zbyt wiele nas łączy, żebyś musiał coś przede mną ukrywać.

Boris zrobił głęboki wdech i wypił kolejny łyk palącej wódki.

– Po tych wszystkich latach wpadłem w groźną pułapkę, Iwanie, i nie wiem, czy uda mi się z niej wydostać.

Wołkin chrząknął.

– Z pułapki zawsze jest jakieś wyjście, przyjacielu. Mów dalej, proszę.

Kiedy Boris opowiedział mu o układzie ze swoim poprzednim szefem i o tym, czego Czerkiesow od niego chciał, oczy Wołkina znieruchomiały, wzrok stał się dziki, do głosu dochodziła jego wrodzona przebiegłość, niczym potwór z głębin morskich wypływający na powierzchnię.

W końcu oparł się ponownie o fotel i założył nogę na nogę.

– Moim zdaniem, Borisie Iljiczu, pułapka istnieje tylko w twojej głowie. Problemem są twoje relacje z tym człowiekiem, Bourne'em. Spotkałem go kilkakrotnie. Prawdę mówiąc, nawet mu pomogłem. Ale to Amerykanin. Co gorsza, jest szpiegiem. Na ile w ostateczności można mu zaufać?

– Uratował mi życie.

– O, widzę, że dochodzimy teraz do sedna problemu. – Wołkin pokiwał głową niczym mędrzec. – A polega on na tym, że w głębi serca jesteś sentymentalny. Myślisz o tym człowieku, Jasonie, jak o przyjacielu. Może nim jest, może nie, ale jesteś gotów zrezygnować z wszystkiego, na co harowałeś przez ostatnie trzydzieści lat, żeby ratować jego skórę. – Wołkin popukał się palcem w bok nosa. – Pomyśl, że to w ogóle nie jest pułapka, ale sprawdzian twojej woli, twojej determinacji, twojego oddania. Wszystkie wielkie sprawy wymagają ofiar. W gruncie rzeczy to właśnie odróżnia je od banalnej reszty, to czyni je wielkimi, stawia poza zasięgiem zwykłych ludzi, sprawia, że dokonać ich może jedynie bardzo niewielu, jednostki gotowe ponieść takie ofiary i umiejące tego dokonać. – Pochylił się do przodu. – Ty jesteś kimś takim, Borisie Iljiczu.

Otoczyła ich cisza. Zegar z brązu tykał, odmierzając minuty niczym bijące serce wyrwane z ciała ofiary. Wzrok Borisa spoczął na starej carskiej szabli, którą podarował Wołkinowi wiele lat wcześniej. Była w doskonałym stanie, dobrze nasmarowana, z czułością

wypolerowana, jej stal błyszczała w świetle lampy.

– Powiedz, Iwanie Iwanowiczu – odezwał się w końcu – co by było, gdyby Czerkiesow kazał mi zabić ciebie?

Oczy Wołkina stały się niemal żółte jak oczy kota, tajemnicze, nieprzeniknione.

– Sprawdzian to sprawdzian, przyjacielu. Ofiara to ofiara. Zakładam, że dobrze o tym wiesz.

• • •

La Défense wyrosła niczym postmodernistyczny obcy twór na dalekich zachodnich krańcach Paryża. Mimo wszystko jednak usytuowanie dzielnicy zdominowanej przez interesy świeżej daty w La Défense okazało się znacznie lepszym rozwiązaniem niż zgoda na spaskudzenie cudownej architektury centrum Paryża przez nowoczesne budynki. Połyskująca, zbudowana z zielonego szkła siedziba banku Île de France stała w połowie Place de l’Iris, który rozpiętał się w samym sercu La Défense. Piętnastu mężczyzn siedziało po obu stronach stołu z polerowanego marmuru na najwyższym piętrze wieżowca. Wszyscy, nawet muzułmanie, ubrani byli w szyte na miarę garnitury, białe koszule i konserwatywne krawaty. Tego wymagała Domna, podobnie jak złotego sygnetu na palcu wskazującym prawej ręki. Domna była prawdopodobnie jedyną istniejącą grupą, w której przedstawiciele dwóch najważniejszych odłamów islamu, sunnitów i szyitów, koegzystowali pokojowo, a nawet pomagali sobie wzajemnie, gdy zachodziła taka potrzeba.

Szesnasty mężczyzna zajmował miejsce u szczytu stołu. Miał usta świadczące o okrucieństwie, orli nos, świdrujące niebieskie oczy i skórę koloru miodu. Przy jego lewym łokciu, ale trochę z tyłu, siedziała jedyna kobieta z papierowymi teczkami na kolanach. Była młodsza od mężczyzn, przynajmniej takie sprawiała wrażenie dzięki długim rudym włosom, porcelanowej cerze i szeroko rozstawionym oczom, przezroczystym niczym morska woda. Od czasu do czasu, kiedy mężczyzna zajmujący miejsce u szczytu stołu wyciągał w bok lewą rękę, podawała mu kartkę papieru, szybkim ruchem pielęgniarki podsuwającej chirurgowi skalpel. Nazywał ją Skarą, ona mówiła do niego per pan.

Kiedy mężczyzna u szczytu stołu czytał wydruk, wszyscy zebrani w pokoju słuchali, może poza Skarą znającą na pamięć zawartość stale uzupełnianych teczek, które uważała za zbyt poufne, by wprowadzać je do komputera.

Siedemnaście osób zapełniało salę zbudowaną z betonu i szkła i nafaszerowaną elektroniką uniemożliwiającą nawet najbardziej zaawansowany technologicznie podsłuch.

Członkowie kierownictwa Severus Domna przybyli z czterech stron świata – z Szanghaju, Tokio, Berlina, Pekinu, Sany, Londynu, Waszyngtonu, Nowego Jorku, Rijadu, Bogoty, Moskwy, New Delhi, Lagos, Paryża i Teheranu.

Benjamin El-Arian, siedzący u szczytu stołu, przemawiał do mężczyzn zajmujących miejsca po jego obu stronach.

– Prawdę powiedziawszy, Ameryka zawsze była nam cierniem w boku. Aż do teraz. – Zwinął dłoń w pięść. – Nasz cel jest w zasięgu ręki. Znaleźliśmy inny sposób.

Przez następne dziesięć minut El-Arian objaśniał każdy szczegół nowego planu.

– Z założenia będzie to dla mnie i dla naszych członków z Ameryki ogromne obciążenie, ale

pokładam głęboką wiarę, że dzięki temu nowemu planowi zyskamy znacznie więcej, niż wtedy, gdy Jason Bourne wszedł nam w drogę.

– Podsumował całość w kilku słowach, a potem poprosił o przerwę.

Gdy wszyscy wyszli, El-Arian użył interkomu, żeby wezwać Marlona Etanę, najsilniejszego, a przez to najbardziej wpływowego agenta działającego w terenie.

– Mam nadzieję, że zastanawiasz się nad zleceniem komuś likwidacji Bourne’a – powiedział Etana, podchodząc do szefa. – Wymordował naszych ludzi w Tineghirze. W tym Idira Syphaxa, którego wszyscy kochaliśmy.

El-Arian wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zapomnij o Jasonie. Twoim celem jest Jalal Essai. Swoją zdradą naszego świętego zaufania stał się źródłem poważnych kłopotów. Chcę, żebyś go znalazł i zlikwidował.

– Ale przez to, że Bourne się wtrącił, straciliśmy naszą szansę na złoto Salomona.

El-Arian zmarszczył czoło.

– Po co mówisz o czymś, co i tak wiem?

Etana zacisnął pięści.

– Chcę go zabić.

– I zostawić Essaia przy życiu, żeby narobił więcej szkód? – Położył rękę na ramieniu agenta. – Zaufaj tym decyzjom, Marlonie. Zajmij się swoim zadaniem. Pamiętaj o posłuszeństwie. Domna liczy na ciebie.

Etana skinął głową, odwrócił się i nie oglądając się za siebie, wyszedł z pokoju.

Salę wypełniała zupełna cisza, dopóki Skara się nie podniosła.

– Pięć minut – powiedziała bez patrzenia na zegarek. El-Arian kiwnął głową i podszedł do okna wychodzącego na północ. Zapatrzył się na szeroką ulicę, na maleńkich ludzi. Był naukowcem, profesorem archeologii, znawcą starożytnych cywilizacji, sztywnym człowiekiem, noszącym się niemal po królewsku.

– To się uda – rzucił niby do siebie.

– Na pewno się uda – przytaknęła Skara, zbliżając się do niego.

– Jaki kolor?

– Czarny. Citroën. – Oddech Skary omiatał mu ramię. Jej zapach był intrygujący, pachniała cynamonem i czymś lekko gorzkawym, może palonymi migdałami. – Za trzy minuty od tej chwili nikt nie będzie o tym pamiętał.

El-Arian ponownie skinął głową, niemal nieobecny myślami. Dobrze mu znany dreszcz, o jaki go przyprowadziła, nadal trochę zbijał go z tropu. Pomyślał chwilowo o bezpieczeństwie żony i dzieci, dobrze chronionych, ale znajdujących się tak daleko.

– Kim będę jutro?

Odwrócił się i zobaczył jej wyciągniętą dłoń. Sięgnął do kieszeni na piersiach i wyjął grubą paczuszkę.

Kiedy Skara ją otworzyła, znalazła w środku paszport, swoją nową legendę, bilet pierwszej klasy na samolot z otwartą datą powrotu, karty kredytowe i trzy tysiące dolarów amerykańskich.

– Margaret Penrod – przeczytała w paszporcie.

– Maggie – wszedł jej w słowo El-Arian. – Sama siebie nazywasz Maggie. – Odrzucił lekko głowę do tyłu i wrócił do patrzenia na ulicę w dole. – Wszystko jest w legendzie.

Skara pokiwała głową, jakby to ją satysfakcjonowało.

– Dziś wieczorem nauczę się tego na pamięć w samolocie.

– Jest Laurent – powiedział El-Arian, wskazując na postać w ciemnym garniturze wychodzącą z budynku. Nie udało mu się stłumić swego rodzaju podniecenia w głosie.

Skara wyjęła telefon komórkowy na kartę i wstukała numer Laurenta. W jednej chwili zaprogramowany wcześniej kod został nadany. El-Arian zaczął już odliczać w myślach. Laurent lekko się wzdrygnął, wyciągnął komórkę i spojrzał na wyświetlacz.

– Co robi? – zapytał El-Arian.

– Nic – uspokoiła go Skara. – Musiał poczuć wibrację, to wszystko.

El-Arian zmarszczył czoło.

– Nie powinien niczego poczuć.

Rudowłosa wzruszyła ramionami.

– Czy on może coś z tym zrobić?

– Nic a nic.

Z wysokości piętnastego piętra spostrzegł coś kątem oka, dlatego przeniósł wzrok na nadjeżdżającego czarnego citroena.

El-Arian wyciągnął szyję.

– Czy Laurent do kogoś dzwoni?

Zgrabne ramiona Skary uniosły się i opadły.

– Nie ma się czym przejmować.

W następnej chwili El-Arian zrozumiał powód jej pewności. Citroën uderzył Laurenta tak mocno, że mężczyzna wyleciał na co najmniej trzy metry w górę. Spadł na ziemię, leżał przez kilka sekund, a potem – zadziwiająco – zaczął się ruszać, próbując przczołgać się z powrotem do krawężnika. Samochód gwałtownie zakreślił i prawą oponą zmiażdżył mu głowę, a później od razu odjechał na pełnym gazie, tak że zanim gapie wybiegli na ulicę, nie było po nim śladu.

Rozdział 3

Corellos stawał się coraz bardziej nerwowy. Bourne czuł, jak ciało Kolumbijczyka napina się w oczekiwaniu na moment jego nieuwagi.

– To jest ta chwila – powiedział Bourne – innej nie będzie.

Jalal Essai skinął głową, ale Jason widział wyraźnie ogień nienawiści w jego oczach. Wiele lat wcześniej Bourne został wysłany do domu Essaia, żeby zabrać stamtąd laptop. Dla człowieka takiego jak Essai nie było większej obrazy od wtargnięcia do domu, gdzie jego rodzina jadła i spała. Na tym polegał zasadniczy dylemat: Essai nie mógł wybaczyć Bourne'owi, ale z drugiej strony musiał odłożyć na bok zajadłą wrogość, żeby osiągnąć swój cel. Jason za żadne skarby nie chciałby się znaleźć w jego sytuacji.

Ludzie Corellosa otaczający Bourne'a odłożyli broń.

– *Hombre*, czy wiesz, co robisz? – W głosie Corellosa słychać było ogromne zdenerwowanie.

– Robię to, co trzeba – odpowiedział Essai.

– Nie możesz ufać temu bydlakowi. Został nasłany, żeby mnie zabić.

– Sytuacja się zmieniła. Teraz pan Bourne już wie, że zabijając cię, osiągnąłby skutek przeciwny do zamierzonego. – Przekrzywił pytająco głowę. – Mam rację, Bourne?

Jason uwolnił szyję Roberta Corellosa, który odsunął się od niego na chwiejnych nogach i stał pod pręgierzem surowego spojrzenia Essaia, trzęsąc się od tłumionych emocji. Z nosa sączyła mu się krew. Sztywnym krokiem podszedł do jednego ze swoich ludzi i wytarł krew rękawem koszuli. Błąd mężczyzny polegał na tym, że wgapił się w nos szefa. Corellos wyrwał mu z rąk AK-50 i bijąc go kolbą, zmusił do opadnięcia na kolana.

Bourne był w tym czasie zajęty rozgryzaniem relacji, jaka łączyła Essaia i Corellosa. Przed tym spotkaniem nie uwierzyłby, że Corellos jest w stanie przyjmować rozkazy od kogoś innego. Nad swoją domeną sprawował władzę absolutną. Nikt nie śmiał mu się sprzeciwić, nawet nowo powstałe grupy rosyjskiej, albańskiej i chińskiej mafii. Jego wyraźne podporządkowanie się Jalalowi Essaiowi budziło zaciekawienie i stanowiło zagadkę. Wszedł na nowy i większy teren, pomyślał Bourne. Essai skusił go sferą wpływów Domny. A potem pomyślał jeszcze: Jaką nagrodę obiecał mu Essai? Najważniejsze pytanie brzmiało jednak: Do czego Essai zmierza?

To, że Bourne pozwolił się złapać, było opłacalne. Już wcześniej domyślał się, że napastnicy zostali wysłani przez Corellosa, ale szokujące pojawienie się Essaia wprowadziło go do innego świata, który budził jego większe zainteresowanie.

Essai wyciągnął przed siebie rękę w jawnym geście zgody.

– Pod drzewem stoją składane krzeselka. Usiądźmy, podzielmy się chlebem, napijmy się herbaty i pogadajmy.

– Podnieście tę pieprzoną broń, *maricón* – warknął Corellos, spoglądając to na jednego, to na drugiego mężczyznę.

A potem odrzucił do tyłu głowę. – Przynieś tequilę, mnóstwo tequili! – krzyknął do jednego

ze swoich ludzi. Był to policzek wymierzony Essaiowi, któremu jako muzułmaninowi nie wolno było pić alkoholu.

Kiedy usiedli, Essai uśmiechnął się pod nosem, w oczach miał stłumiony blask, jakby już obmyślił odpowiednią karę dla Kolumbijczyka za tak wyraźne okazanie mu braku szacunku. Nie teraz, nie jutro ani pojutrze. Cierpliwość stanowiła jeden z nieoficjalnych siedmiu filarów islamu, podczas gdy Corellos był w gorącej wodzie kąpany, o czym świadczył jego nagły wybuch agresji. Prawdę mówiąc, Bourne zdawał sobie sprawę, że zachowanie barona narkotykowego było próbą odzyskania twarzy – bo stracił ją w oczach własnych ludzi. Ale to nie zmniejszało obrazy, jaką odczuwał Essai. Jason zorientował się już, że tych dwóch mogło być partnerami, lecz nie lubili się jak jasna cholera, co mogło okazać się przydatne w przyszłości.

Muzułmanin patrzył na Bourne'a i zupełnie ignorował Corellosa, który odchylił się do tyłu i chlusnął zawartością pełnej butelki tequili na nos. Prychając krwią i wodą, pociągnął długi łyk z butelki, a potem następny, równie zachłanny. Oczy płonęły mu gniewem. Essai tak ustawił składane krzeselka, że zajął miejsce naprzeciwko Bourne'a. Dzięki temu było jasne, że baron narkotykowy jest raczej obserwatorem tej rozmowy, a nie jej uczestnikiem.

– Domna ma cię na oku – zaczął Essai.

– Już próbowała mnie zabić w Tajlandii. – Bourne poprawił się na krześle. – Zatem jest zupełnie odwrotnie, niż było.

Essaiowi, Bourne'owi i Corellosowi podano *posole* w miskach z terakoty, razem z drewnianymi łyżkami. Corellos napluł do swojej miski i zamasztył ruchem wyrzucił ją daleko za siebie. Wrócił do tequili. Bąble powietrza w opróżnianej butelce lśniły w słońcu niczym szklane kulki.

Essai skinął głową.

– Prawdopodobnie. Niemniej bardzo im zaszkodziłeś, więc możesz mi wierzyć, kiedy mówię, że nie ustaną, dopóki cię nie zabiją.

– Czuję do nich dokładnie to samo.

Brodacz wpatrywał się w niego nieprzeniknionym wzrokiem.

– Wierzę, że naprawdę tak jest. – Westchnął, odstawił miskę i złożył dłonie na udach.

Bourne usiłował się zorientować, czy Essai jest zrezygnowany, czy usatysfakcjonowany. Niewykluczone, że i jedno, i drugie.

– Wiem, że mi nie ufasz. – Essai wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, czułbym to samo, gdybym był na twoim miejscu. – Pochylił się do przodu, położył łokcie na kolanach.

– Ale coś ci powiem: po królewsku wydymałeś Domnę. Plan polegał na tym, żeby dzięki zasobom złota Salomona ustanowić nowy parytet złota i osłabić amerykańską walutę. Teraz, rzecz jasna, to zupełnie niemożliwe. Przez ciebie. Niezliczona ilość czasu i pieniędzy została bezpowrotnie stracona. – Zaczął klaskać. – Dobra robota!

O ile Bourne mógł się zorientować, w jego głosie nie było cienia sarkazmu.

Nagle wyraz twarzy Essaia spowaźniał.

– Na tym jednak nie koniec. Nieszczęściem dla nas obu, to dopiero początek.

– Zakładam, że plan B będzie miał takie same fatalne skutki.

– Niewykluczone, choć mogą być gorsze. – Muzułmanin wzruszył ramionami.

Zapadła nieprzyjemna cisza, którą Bourne przerwał słowami:

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie znasz planu B.

– Poza tym, że będzie miał na celu rozszerzenie wpływów Domny na terenie Stanów Zjednoczonych, nic nie wiem. – Zabił komara, uderzając się w przedramię, i wytarł kroplę krwi, która po nim została. – Widzę, że jesteś rozczarowany.

– Rozczarowanie to mało powiedziane. Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego chciałeś ze mną rozmawiać.

Kiedy zaczął się podnosić, Essai oznajmił:

– Domna nałożyła na ciebie sankcję.

– Nie pierwsza i nie ostatnia – odparł Bourne, na którym nie zrobiło to wrażenia. – Jakoś przeżyję.

– Nie, nie rozumiesz. – Teraz i Essai wstał. – W świecie Domny sankcja jest traktowana bardzo poważnie. Nie wygrywa ten, kto da największej. To świętość.

Bourne patrzył obojętnie na muzułmanina.

– To znaczy?

– To znaczy, że śmiertelny cios nadejdzie w miejscu i czasie, które nawet ciebie zaskoczą. – Uniósł palec wskazujący. – A wykonawcą będzie ktoś...

– Tak?

Essai wciągnął głęboko powietrze.

– Faktem jest, że cię potrzebuję, panie Bourne.

Bourne'owi udało się stłumić śmiech. Choć nie zdołał się powstrzymać przed pokręceniem głową.

– Wiem, że trudno to sobie wyobrazić – kontynuował Essai – mnie również, możesz mi wierzyć. – Zrobił krok w stronę Jasona. – Ale mówię prawdę: życie kojarzy dziwne pary i naprawdę nie wyobrażam sobie dziwniejszej niż nas dwóch. – Wzruszył ramionami. – Niemniej...

Bourne czekał. Nie miał zamiaru wyświadczać Essaiowi żadnej przysługi. Nie chciał prowadzić dalej tej pokręconej rozmowy. Nie czuł jednak niechęci do tego mężczyzny i wcale mu się nie podobało, że włamał się kiedyś do jego domu. Dokonania tej śmiertelnej obrazy nie mógł zwalić na Alexa Conklina, choć właśnie nieżyjący już szef kazał mu to zrobić. Conklin nie miał pojęcia, jakie mogą być konsekwencje zadania Bourne'a, albo w ogóle go to nie obchodziło. Ale Bourne wiedział – doskonale się orientował, jaka będzie reakcja muzułmanina na wtargnięcie do jego domu – mimo to wykonał rozkaz. W rzeczywistości był dłużnikiem Essaia.

I ten dług trzymał go w tym miejscu.

– Od jak dawna jesteś przeciwnikiem Domny? – To pytanie miało zasadnicze znaczenie.

– Od wielu lat – odparł Essai bez wahania. – Ale dopiero w zeszłym roku postanowiłem otwarcie z nimi zerwać.

– Co chciałeś zrobić z informacjami z laptopa, który ukradłem ci z domu przed laty?

– Planowałem, że go zabiorę i ucieknę – powiedział Essai. – Ale ty mi to uniemożliwiłeś.

Zapadła tak głęboka cisza, że wydawało się, iż tłumi nawet bzyczenie owadów i pokrzykiwania ptaków.

Essai uniósł ramiona, szeroko je rozkładając.

– A więc jesteśmy tutaj, w gęstym dżungli, pożerani żywcem przez komary i kąsani przez muchy.

Odszedł od pijanego już Corellosa, który tulił do siebie butelkę tequili, jakby była dziwką za dziesięć dolarów. Bourne podążył za nim w gęste zarośla. Dwóch ludzi Corellosa patrzyło za nimi ze źle skrywaną pogardą, a potem, znudzeni, splunęli i poszli wziąć piwo z przenośnej lodówki.

– Ci Kolumbijczycy – odezwał się Essai konspiracyjnym szeptem, który pojawiał się u niego ni stąd, ni zowąd. Nie dodał nic więcej, jakby znaczenie tych słów wykraczało poza ich słownikowe definicje – bo tak właśnie było. Bourne zdawał sobie sprawę, że Essai czuł się kimś lepszym od tych ludzi i niewykluczone, że miał do tego podstawy. Na pewno był lepiej wykształcony, lepiej znał świat, ale może nie o to chodziło. Ci Kolumbijczycy, nawet najmniej wykształceni, posiadali zapasy energii, która jak cyklon w mgnieniu oka mogła dokonywać spustoszeń. Śmierć nic sobie nie robiła z wykształcenia ani pewności siebie – wszystkich traktowała równo.

Było jednak coś bardzo ważnego, co Bourne chciał wiedzieć.

– Miałem wrażenie, że kiedy należałeś do Domny, byłeś jej oddany całym sobą. Dlaczego się odciąłeś?

– W którymś momencie Severus Domna wydawała się czymś prawdziwym i szczerym... miejscem spotkania umysłów Wschodu i Zachodu. To było szlachetne przedsięwzięcie, śmiały projekt, choć przypominał mieszanie oliwy z wodą. Stopniowo i tak subtelnie, że dosłownie nikt niczego nie zauważył, Domna się zmieniła. – Wzruszył ramionami. – Może za sprawą Benjamina El-Ariana. Z drugiej strony, choć gardzę tym człowiekiem, to jednak uproszczenie tego procesu. El-Arian był i jest odgromnikiem, w to nie wątpię, a jednak choroba, która zaczęła toczyć Domnę, rozprzestrzenia się. To zaszło za daleko, żeby dało się zatrzymać.

– O jakiej chorobie mówisz?

Essai odwrócił się do niego.

– Bardzo niewiele o tobie wiem, panie Bourne, ale orientuję się, że nazwa Czarnego Legionu nie jest ci obca.

Mówił o grupie zniechęconych muzułmanów, których naziści przywieźli z terenów Związku Radzieckiego w czasie drugiej wojny światowej. Muzułmanie, głęboko nienawidzący Stalina, zostali wyszkoleni przez SS, utworzono z nich oddziały i wysłano na front wschodni, gdzie walczyli z niesłychaną zawziętością przeciwko żołnierzom ich dawnej ojczyzny.

Czarny Legion miał całkiem sporo bardzo wpływowych przyjaciół wśród faszystowskich dowódców. W ostatnich dniach wojny jego żołnierzy wycofano z frontu wschodniego i odesłano do bezpiecznych kryjówek, gdzie alianci nie mieli do nich dostępu. Choć rozproszeni, nigdy nie zapomnieli, kim są. Całe dziesięciolecie później skupili się wokół Meczetu w Monachium, który teraz był znany jako jeden z ośrodków terroryzmu muzułmańskich fundamentalistów.

– Miałem do czynienia z Czarnym Legionem – przyznał Bourne. – Ale od dwóch lat siedzi cicho: nie wydaje żadnych manifestów, nie dokonuje żadnych ataków. Jakby się zapadł pod ziemię.

– Taka jest wola Allaha – powiedział Essai. – Wiem to w głębi serca. – Otarł czoło

wierzchem dłoni. Był przyzwyczajony do wyjątkowo dużych upałów, ale wilgotność sprawiała, że ubranie miał zupełnie mokre. – W każdym razie po kilku porażkach, a przynajmniej jedna z nich była twoim dziełem, Legion skierował uwagę, powiedzmy, do wewnątrz.

Rozejrzał się wokół, jakby ustalał i analizował pozycje Corellosa i wszystkich jego ludzi.

– Przez dziesięciolecia przywódcy z monachijskiego Meczetu bacznie obserwowali Domnę. Postrzegali jej cele jako bezpośrednie zagrożenie, bo jak wiesz, Meczet dąży ni mniej, ni więcej tylko do dominacji islamu na Zachodzie. To Meczet stał za ciągłym napływem muzułmanów do Europy Zachodniej i to on nawoływał ich do żądania większych praw, większej władzy i większego wpływu na miejscowe rządy. Kiedyś Meczet miał dwóch albo trzech swoich ludzi w Domnie. Teraz jego członkowie stanowią w niej większość i jest wśród nich Benjamin El-Arian. Dzisiaj, gdy Severus Domna ma globalny zasięg, znacznie większy niż Meczet, stanowi dla świata zagrożenie, o jakim jeszcze nie słyszeliśmy.

Bourne zastanawiał się nad tym przez jakiś czas.

– Jesteś bardzo oddany swojej rodzinie. A wdałeś się w zbyt niebezpieczną grę.

– Ty jeden wiesz, jak niebezpieczną. – Powolny uśmiech pojawił się na twarzy Essaia. – Ale kości zostały rzucone, decyzje podjęte. Nie potrafiłbym spojrzeć sobie w oczy, gdybym stał obok i nie zrobił nic, żeby powstrzymać Domnę. – Oczy gorzały mu niczym węgle. – Ta organizacja musi zostać zmiażdżona, panie Bourne. Nie ma innego rozwiązania dla mnie, dla ciebie, dla twojego kraju.

Bourne widział wyraźnie nienawiść w oczach muzułmanina i słyszał ją w jego głosie. To był mężczyzna o twardych zasadach, niezłomnym duchu, ostry w akcji, mądry w namyśle. Po raz pierwszy Bourne poczuł do niego szacunek. Ale zaraz przypomniał sobie o włamaniu do domu Essaia i jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu, że tego mu ten mężczyzna nigdy nie wybaczy.

– Wydaje mi się, że nie mamy za dużo czasu, by dowiedzieć się, na czym polega nowy plan Domny – powiedział Essai.

Kolejny raz zapadła między nimi cisza. Słyszać było jedynie bzyczenie owadów, skrzek nadrzewnych żab, cichy łopot skrzydeł nietoperzy przemieszczających się w koronach drzew.

Muzułmanin wstał i odszedł jeszcze dalej od obozu. Zapatrzył się gdzieś między drzewa. Bourne dołączył do niego po jakimś czasie.

– Mam czworo dzieci – powiedział Essai po długiej chwili. – Właściwie troje. Moja córka umarła.

– Przykro mi.

– To było wiele lat temu, mam wrażenie, że w innym życiu. – Essai zagryzł usta, jakby zastanawiał się, czy mówić dalej. – Była bardzo nieposłuszną dziewczyną, co jak potrafisz sobie wyobrazić, nie jest najlepszą cechą w muzułmańskiej rodzinie. Mogłem ją kontrolować, gdy była dzieckiem, ale nadszedł czas, kiedy się zbuntowała. Uciekała trzy razy. Za pierwszym i drugim razem udało mi się sprowadzić ją z powrotem... miała dopiero czternaście lat. Ale cztery lata później uciekła z młodym Irańczykiem. Dałbyś wiarę?

– Mogło być gorzej, jak myślę – powiedział Bourne.

– Nie – odparł Essai. – Nie mogło. – Zaczął odrywać kawałki kory od drzewa, a potem długimi, ostrymi paznokciami skubał łyko. – Chłopak był zaręczony i miał się żenić, ale jak

idiota zabrał ją ze sobą do Iranu. Nie pytaj mnie dlaczego, bo do dziś nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

– Może naprawdę ją kochał.

Essai pokręcił głową.

– Rzeczy, które ludzie robią...

Jego głos zamarł, ale palce nie przestawały skubać drzewa. W chwilę później zaczerpnął głęboko powietrza, a kiedy je wypuścił, słowa zaczęły wylewać się z niego jak woda z przepełnionej studni.

– Oczywiście stało się to, co było nieuniknione. Córkę zabrano od niego i uwięziono. Mieli zamiar ukamienować ją na śmierć, wyobrażasz sobie! Irańczycy, co za barbarzyńcy!

Rzecz jasna miał na myśli sunnitów, bo chociaż Irańczycy nie byli Arabami, jak on, niemniej wyznawali islam. I sporo wśród nich było sunnitów, a nie szyitów, jak on. Wrogość, jaka zapanowała po schizmie między dwiema najważniejszymi sektami muzułmanów, był zjadła i nieodwracalna.

– To pierdolone zwierzęta i tyle.

Wtedy po raz pierwszy przeklął. Bourne widział, jak wiele go to kosztowało, ale narastające w nim wzburzenie było nie do opanowania.

– No więc pojechałem... sam, osobiście. Wyciągnąłem ją z więzienia, wywozłem z Teheranu, a potem z Iranu. Byliśmy na statku płynącym przez Morze Śródziemne, w drodze do domu, kiedy pojawiła się Domna. – Zupełnie niespodziewanie zwrócił oczy na Bourne'a. – Sześciu mężczyzn. Sześciu! Oszacowali, że tylu właśnie będzie potrzebnych. Domna ostrzegała mnie, żebym nie jechał do Iranu, żebym się nie wtrącał, że trzeba utrzymać pokój z Wysoką Radą. A to wymagało, żeby sunnici i szyici szanowali nawzajem swoje tradycje. „Ale to moja córka – zaprotestowałem. – Krew z mojej krwi”. Odpowiedzieli, że w przeciwnym razie w samej Domnie wybuchnie wojna między sektami i nie będziemy wcale lepsi od tych, nad którymi chcemy przejąć kontrolę. Bardzo wątpię, czy w ogóle mnie słuchali, a nawet jeśli, wcale ich to nie obchodziło. „Przypominamy ci o posłuszeństwie – powiedzieli. – To rzecz najważniejsza”.

Ponownie odwrócił głowę. Pod paznokciami miał korę i brud. Po jednym z palców wędrowała zbłąkana mrówka.

– Wtedy ostatni raz widziałem córkę. Nie powiedziano już niczego więcej. Nic nie zrobiłem, bo... bo wtedy należałem do Domny i nic nie można było zrobić wobec jej kolektywnej decyzji. To prawda, że straciłem dużo krwi i cierpiałem. – Uniósł prawą rękę, żeby Bourne mógł zobaczyć paskudne białe zgrubienie, bliznę pośrodku dłoni. – Cała siła ze mnie uszła, powtarzałem sobie, okazałem lojalność. Ale kiedy wróciłem do domu i zobaczyłem wyraz twarzy mojej żony, kłamstwa, którymi się karmiłem, rozwiały się niczym mgła w słońcu. – Znowu poszukał wzrokiem Bourne'a. – Wszystko się zmieniło. Rozumiesz?

– Przekroczyłeś Rubikon.

Essai pomyślał przez chwilę, a potem skinął głową.

– Wróciłem do domu jako inny człowiek, wojownik, mężczyzna o skamieniałym sercu. Moi kompani... ci, których uważałem za przyjaciół... zdradzili mnie. Usunęli się, a ja nawet tego nie spostrzegłem. Nie należeli już do Domny, przynajmniej do tej Domny, którą kiedyś podziwiałem. To była nowa Domna, zniewolona przez Meczet i jego odrażający Czarny

Legion. Teraz potrafię myśleć tylko o zemście. Informacje w laptopie, który zabrałeś, miały być tą zemstą. Chciałem ukraść Domnie złoto sprzed samego nosa, ale to stało się niemożliwe.

Bourne otworzył usta, żeby coś wtrącić, lecz Essai uciszył go machnięciem dłoni.

– Ale Allah jest wielki. Allah jest dobry, bo po pewnym czasie znowu się pojawiłeś, ty, narzędzie mojej zemsty.

Ponownie zamilkł. Nocne stworzenia zaczęły pokrzykiwać nad nimi, Corellos, z zamkniętymi oczami i brodą opartą na piersi, chrapał jak wieprz.

Essai zaśmiał się gorzko, a potem odchrząknął.

– Potrzebuję twojej ekspertyzy, panie Bourne. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu ufam, a który jest w stanie się dowiedzieć, na czym polega nowy plan Domny, żebyśmy razem mogli go pokrzyżować.

– Pracuję sam.

– Dziwne, prawda? – Nie usłyszał Bourne’a, a jeśli nawet, to puścił jego słowa mimo uszu.

– Wspomniałeś o zaufaniu.

– Obaj jesteście ludźmi honoru, prawda?

Bourne skinął głową.

W kącikach oczu Essaia pojawiły się zmarszczki.

– W takim razie moja propozycja brzmi...

– Wiem, czego oczekujesz ode mnie – wszedł mu w słowo Bourne.

– To jedynie coś, co sam zamierzałeś zrobić. A teraz masz moje wsparcie.

– Nie potrzebuję twojego wsparcia.

– Z całym szacunkiem, panie Bourne, w tej sytuacji bardzo go potrzebujesz. Domna jest ogromna i wpływowa, jej macki docierają do każdego zakątka globu. – Pokiwał palcem wskazującym w kierunku Jasona. – Chyba zachowuję się trochę teatralnie, ale zapewniam cię, że nie przesadzam.

– Zrobię to, co mam zamiar zrobić.

Essai pokiwał głową niemal zbyt gorliwie.

– Rozumiem. Ale w zamian mógłbym ci powiedzieć, kogo Domna wysłała, żeby cię zabił.

Bourne wzruszył ramionami.

– Tego dowiem się w swoim czasie. Znam wszystkie ścieżki, wszystkich graczy.

– A mimo to nie masz o niczym pojęcia. Jak ci mówiłem, Domna rozpoczęła świętą misję. Bez mojej pomocy możesz zostać łatwo zlikwidowany.

– Jak przypuszczam, zatrzymasz tę wiedzę dla siebie, dopóki nie dostarczę ci informacji, których potrzebujesz o Domnie.

– Nic z tych rzeczy, panie Bourne! Chcę, żeby pan żył! Poza tym ustaliliśmy, że obaj jesteśmy ludźmi honoru. Powiem to panu od razu. – Podszedł o krok bliżej i zniżył głos. – Jeśli nie powstrzymasz swojego przyjaciela, Borisa Karpowa, to on cię zabije.

Rozdział 4

- Zachował się pan wobec nas bardziej niż w porządku, panie sekretarzu.
- Prosiłem, żebyś mówił mi po imieniu, Peter – odpowiedział Christopher Hendricks, sekretarz obrony.

Peter Marks, siedzący obok równej mu stanowiskiem dyrektorki Sorai Moore wymamrotał przeprosiny i zgodę.

- Mam pewne pomysły na przywrócenie Treadstone do życia – mówił dalej Hendricks. – Zanim jednak je wyłożę, chciałbym usłyszeć wasze zdanie. Jak sobie wyobrażacie Treadstone w przyszłości?

Cała trójka siedziała w salonie domu Hendricksa w Georgetown, gdzie zaczęli właśnie naradę dotyczącą strategii. Choć rodzina Hendricksa wywodziła się z najwyższych warstw waszyngtońskiej śmietanki towarzyskiej, była zwyczajnie biedna, co oznaczało, że pomimo błękitnej krwi Christopher musiał pracować. I bardzo się starał. Ktoś mógłby nawet powiedzieć, że miał wyniki lepsze od oczekiwanych.

Był szczupły, wysoki i nosił się prosto, z wojskowym sznytem. W rzeczywistości służył w wojsku przez krótki okres w Korei, został ranny w walce i zgodnie z porządkiem rzeczy sam prezydent odznaczył go medalem, zanim Hendricks zdecydował się na powrót do służby państwowej. Do poprzedniego roku był doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Teraz gdy znalazł się na uprzywilejowanej pozycji, postanowił wprowadzić w życie kilka inicjatyw, nad którymi pracował od lat. Pierwszą z nich – i najważniejszą – było wskrzeszenie Treadstone jako jego własnej organizacji, wolnej od kagańców Centrali Wywiadu, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i Kongresu.

Hendricks nie palił się do obchodzenia prawa. Niemniej już wcześniej zauważył, że od czasu do czasu rodziła się potrzeba zorganizowania grupy ludzi – niewielkiego, zgranego zespołu, niezwykle lojalnego wobec siebie nawzajem i wobec Ameryki – mogącej działać na obszarach niedostępnych dla agencji rządowych. Teraz gdy Stany Zjednoczone stały się celem ataków najróżniejszych frakcji ekstremistów, zarówno z zagranicy, jak i rodzimych, nadszedł taki czas.

Właśnie do tego zadania Hendricks zatrudnił Sorayę Moore i Petera Marksa. Moore kierowała wcześniej własną operacyjną grupą specjalną, Typhon, ostatecznie jednak została zwolniona przez M. Errola Danzigerę, maniakalnego nowego dyrektora CI, a Peter Marks był w bardzo bliskich stosunkach z kilkoma poprzednimi szefami wywiadu. Soraya i Peter dobrze się znali, ich osobowości się uzupełniały i byli na tyle bystrzy, by widzieć dalej poza wyznaczone granice, co w opinii Hendricksa idealnie pasowało do nowej wojny prowadzonej przez tysiące pionków z najróżniejszych agencji, organizacji i grup, na której polach się znaleźli. Za największy atut Sorai uważał jednak to, że była muzułmanką, półkrwi Egipcjanką o ogromnej, głębokiej wiedzy i doświadczeniu zdobytym bezpośrednio na Bliskim Wschodzie i dalej. Krótko mówiąc, ta dwójka jawiła się jako totalne przeciwieństwo sklerotycznych generałów i polityków karierowiczów, zachwaszczających środowisko amerykańskiego

wywiadu niczym przez uprawne pola.

Marks i Moore siedzieli naprzeciwko niego na skórzanej kanapie, identycznej z tą, którą sam zajmował. Jego asystentka, Jolene, stała za nim ze słuchawką Bluetooth w uchu, połączoną z jej telefonem komórkowym. Przez szparę między grubymi zasłonami wpadało słońce, oświetlając kawałek wnętrza. Na niskim stoliku między nimi zostały resztki śniadania. Cleo, wspaniała bokserka Hendricksa, siedziała nieporuszona przy jego nogach, pysk miała lekko rozchylony, łeb trochę przekrzywiony i wpatrywała się w dwójkę gości swego pana, jakby zaciekawiona długą ciszą.

Soraya i Marks wymienili spojrzenia, potem kobieta odkaszlęła. Duże niebieskie oczy, wydatny nos i skóra o kolorze cynamonu nadawały jej klasycznie arabski wygląd. Otaczała ją aura władczości, która robiła na Hendricksie spore wrażenie. Ale i tak najbardziej podobało mu się w niej to, że nie miała w sobie ani krzty dziewczęcości – choć nie charakteryzowała jej też oschła samczość widoczna u bardzo wielu kobiet w strukturach zdominowanych przez mężczyzn. Była jedyna w swoim rodzaju, co wydawało mu się odświeżające i jednocześnie dziwnie uspokajające. Dlatego tak samo liczył się z jej zdaniem, jak ze zdaniem Marksa.

– Chcielibyśmy z Peterem poruszyć sprawę pewnej poufnej informacji, która wypłynęła dziś rano – odezwała się w końcu Soraya.

– Na ile ta informacja jest wiarygodna?

– Przepraszam, panie sekretarzu – powiedziała Jolene, pochylając się. – Mam na linii Brada Findlaya.

Hendricks gwałtownie odwrócił głowę.

– Jolene, czy nie prosiłem cię, żeby niczym nie przerywać tego spotkania?

Asystentka cofnęła się odruchowo o krok.

– Przepraszam, ale ponieważ to szef bezpieczeństwa wewnętrznego, założyłam, że pan...

– Nigdy, przenigdy niczego nie zakładaj – warknął. – Idź do kuchni. Wiesz, jak sobie poradzić z Findlayem.

– Tak jest. – Jolene z czerwonymi policzkami pospiesznie wyszła z pokoju.

Marks i Soraya ponownie wymienili spojrzenia. Soraya odchrząknęła.

– Trudno powiedzieć.

– Nie sposób uznać jej za normalny cynk – wtrącił Marks.

Hendricks zmarszczył czoło.

– To znaczy? – Zapomniał już zupełnie o Jolene, telefonie i swojej ostrej reakcji.

– Nie pochodzi od żadnego ze zwykle podejrzewanych ludzi: niezadowolonych mułłów, opiumowych watażków, Rosjan, Albańczyków albo chińskich mafiosów. – Soraya wstała i obeszła pokój, w jednym miejscu dotknęła rzeźby z brązu, w innym brzegu ramki ze zdjęciem. Cleo obserwowała ją wielkimi wilgotnymi ślepiami.

Soraya zatrzymała się dość nagle, odwróciła i popatrzyła na Hendricksa.

– Pochodzenie tych wszystkich przedmiotów tutaj jest znane. Ale ten wyjątkowy cynk nadszedł z niewiadomego źródła...

Czoło sekretarza obrony zmarszczyło się jeszcze bardziej.

– Nie rozumiem. Terroryzm...

– Nie terroryzm – weszła mu w słowo Soraya. – Przynajmniej nie w takich ramach, w jakich do tej pory go definiowaliśmy. To jeden człowiek, który się ze mną skontaktował.

– Co chce w zamian? Jakie są jego pobudki?
– Tego nie udało się jeszcze ustalić.
– A zatem, kimkolwiek jest twój informator, sprowadź go tu na przesłuchanie – powiedział Hendricks. – Mało mnie obchodzą tajemnice.
– Oczywiście tak należałoby postąpić zgodnie z procedurą – włączył się Marks. – Niestety, on nie żyje.
– Zamordowany?
– Wypadek samochodowy, sprawca uciekł – odpowiedział Marks.
– Sęk w tym, że nie wiemy, co się naprawdę wydarzyło. – Soraya chwyciła ręką krawędź oparcia fotela. – Chcemy jechać do Paryża i przeprowadzić śledztwo.
– Zapomnijcie o nim. Macie ważniejsze sprawy, którymi powinniście się zająć. Poza tym nie wiadomo przecież, czy można mu było wierzyć.
– Przekazał mi wstępne informacje o grupie znanej jako Severus Domna.
– Nigdy o niej nie słyszałem i powiem więcej, nazwa brzmi jak wymysł – oznajmił Hendricks. – Myślę, że wasz kontakt zwyczajnie pogrywał.
– Nie podzielał tej opinii – nie ustępowała Soraya. Hendricks wstał i podszedł do okna. Kiedy pierwszy raz zobaczył Sorayę Moore, zastanawiał się, czy jest lesbijką. Dostrzegając w niej zrównoważenie, otwartość, gotowość akceptowania ludzkich dziwactw, na jakie bardzo niewiele kobiet hetero by się zdobyło. Pogrzebał potem głębiej w jej życiorysie i przekonał się, że była kochanką Amuna Chaltuma, szefa Muchabaratu, egipskiego wywiadu wojskowego. Posunął się nawet do tego, że zadzwonił do Chaltuma i odbył z nim interesującą dwudziestominutową rozmowę. Romans Sorai z Egipcjaninem Danziger wykorzystał jako pretekst do wyrzucenia jej z Typhona. To posunięcie zajmowało wysoką pozycję na liście idiotyzmów M. Errola Danzigersa. Bezcenne kontakty i głęboko zakopani tajni agenci współpracujący z Typhonem byli lojalni tylko wobec niej. Gdy Hendricks mianował ją współszefową Treadstone, wszyscy oni przeszli wraz z nią do odrodzonej agencji. Teraz wiedział już dobrze, jak bardzo była wyjątkowa.
– W porządku – mruknął. – Przyjrzyjmy się temu. – Odwrócił się z powrotem w ich stronę.
– Chcę jednak, Peter, żebyś tu został. Treadstone jest nadal w powijakach, a ja wyobrażam sobie, że będzie to agencja, która zaprowadzi własną politykę i posprząta gigantyczny bałagan w środowisku wywiadowczym, jaki zapanował po jedenastym wrześniu. Od dwa tysiące pierwszego roku powołano lub przeorganizowano dwieście sześćdziesiąt trzy jednostki wywiadowcze, i stale ich przybywa. Nie wspominam nawet o setkach prywatnych firm szpiegowskich, na których usługi się zdecydowano. Wiele z nich działa zupełnie poza naszą kontrolą i zachowuje się tu, w Stanach, tak samo jak w strefach wojny na świecie. Czy zdajecie sobie sprawę, że w tej chwili osiemset pięćdziesiąt tysięcy Amerykanów ma dostęp do spraw ściśle tajnych? To stanowczo za dużo, to zdumiewająca liczba. – Żeby podkreślić wagę tych słów, pokręcił głową. – Nigdy się nie zgodzę, żeby dwójka moich dyrektorów znalazła się jednocześnie w terenie.

Marks zrobił krok w jego stronę.

– Ale...

– Peter. – Hendricks się uśmiechnął. – Soraya ma doświadczenie w pracy terenowej, więc przejmie to zadanie. To prosta logika. – Kiedy wychodzili, dodał: – A tak przy okazji, udało

mi się zyskać dostęp serwerów Treadstone do wszystkich baz danych tajnych służb.

Po ich wyjściu Hendricks pomyślał o Samarytaninie. Celowo nic nie powiedział Peterowi o jego istnieniu, bo zdawał sobie sprawę, że w chwili, gdy Marks zwęszyłby, w czym rzecz, chciałby zaangażować się w ochronę Indigo Ridge. Wbrew wyraźnemu ostrzeżeniu ze strony prezydenta Hendricks chciał zatrzymać Petera w Treadstone, agencji będącej teraz jego oczkiem w głowie, urzeczywistnieniem wieloletniego marzenia, z którego nie miał zamiaru rezygnować, nawet dla Samarytanina. Doskonale wiedział, jakie ryzyko podejmuje. Gdyby ktokolwiek z obecnych na spotkaniu w Gabinetce Owalnym, zwłaszcza zaś generał Marshall, zorientował się, że zachowuje kluczowych ludzi do własnego użytku, nie obroniłby swojej pozycji.

Do licha, cóż byłoby warte życie bez ryzyka? – pomyślał.

Wrócił do okna. Jego róże wyglądały na żałośnie zaniedbane. Spojrzał z niecierpliwością na zegarek. Gdzie, do cholery, podziewał się ogrodnik, specjalista od róż, którego zatrudnił?

Wokół panowała cisza, dom stał daleko od zgiełku centrum miasta. Zwykle sprawiało mu to przyjemność, lepiej mu się myślało. Ale tego ranka było inaczej. Hendricks obudził się z nękającym go poczuciem, że coś przeoczył. Był już dwukrotnie żonaty i rozwiedziony, gdy poznał, poślubił, a potem pochował ukochaną Amandę. Miał jednego syna, z drugą żoną, teraz komandosa w wywiadzie wojskowym, skierowanego do Afganistanu. Powinien się o niego martwić, lecz w rzeczywistości bardzo rzadko o nim myślał. Praktycznie nie brał udziału w jego wychowaniu – szczerze mówiąc, chłopak mógł równie dobrze być synem kogoś innego. Bez Amandy nie czuł żadnych więzi, nie potrzebował rodziny, jedynie miejsca. Niczym Europejczyk bardziej cenił nieruchomość niż gotówkę. W pewnym sensie ten dom był wszystkim, co posiadał, czego potrzebował. Dlaczego tak się stało? – pytał sam siebie. Czy zdziwaczał? W restauracjach, na oficjalnych spotkaniach albo w teatrze natykał się na kolegów z żonami, czasem z dorosłymi już dziećmi. On zawsze był sam, mimo że od czasu do czasu miewał tę czy inną kobietę w ramionach – jedną z wdów rozpaczliwie pragnących pozostać w towarzyskim kółku ścisłego kręgu władzy. Nic dla niego nie znaczyły te kobiety w pewnym wieku o twarzach napiętych i pozbawionych porów, o piersiach tak napompowanych, że niemal podchodziły im pod starannie wymodelowane brody. Paradowały w długich sukniach uszytych po to, by robiły wrażenie, lecz często nosiły rękawiczki, chcąc ukryć starcze plamy.

Z zamyślenia wyrwał go ostry dźwięk dzwonka. Gdy otworzył frontowe drzwi, zobaczył przed sobą kobietę wyglądającą na trzydzieści kilka lat, z włosami ściągniętymi do tyłu w koński ogon, o twarzy w kształcie serca. Miała na sobie dżinsowe spodnie ogrodniczki włożone na męską koszulę w kratę, jaskrawozielone drewniaki i płócienny kapelusz przeciwsłoneczny z szerokim rondem, a na nosie okulary w okrągłych stalowych oprawkach.

Przedstawiła się jako Maggie Penrod i pokazała mu referencje, choć identyczną procedurę odbyła już z ochroniarzami pilnującymi posiadłości. Hendricks wpatrywał się w papiery. Uczyła się na Sorbonie i w Trinity na Oksfordzie. Jej ojciec (nieżyjący) był pracownikiem opieki społecznej, a matka, Szwedka (także nieżyjąca), nauczycielką języka obcego w szkole w okręgu Bethesda. Nie było w niej nic godnego uwagi poza zapachem, który o wszystkim przesądził, gdy pochyliła się, żeby odebrać dokumenty. Co to takiego? – pytał się w duchu Hendricks. Wdychał go ukradkiem, próbując rozszyfrować. Ach, tak. Cynamon i coś lekko

gorzkiego, może palone migdały.

Prowadząc ją do grządki smętnie wyglądających róż, powiedział:

– Co absolwentka historii sztuki robi...

– W takim miejscu?

Roześmiała się. Był to cichy, stonowany śmiech, który poruszył w nim coś od dawna skrywanego.

– Historia sztuki to zupełnie niezyciowy wybór kariery. Poza tym nie najlepiej sobie radzę w środowisku akademickim. za dużo tam machlojek i intryg.

Mówiła z lekkim akcentem, który bez wątpienia był spadkiem po matce Szwedce, pomyślał Hendricks.

Zatrzymała się na skraju grządki z różami, położyła dłonie na biodrach.

– I nie lubię, jak ktoś nade mną stoi. Sama przed sobą odpowiadam za to, co robię.

Wsluchując się uważniej, uświadomił sobie, że akcent łagodzi jej słowa, nadając im pewną zmysłowość.

Uklękała, delikatne, ale silne palce rozsunęły martwe kwiaty o pomarszczonych zbrązowiałych płatkach. Na jej skórze pojawiły się krople krwi, ponieważ nie zwracała w ogóle uwagi na kolce.

– Te róże są zmarnowane, a liście coś zjada. – Podniosła się i odwróciła do niego. – Z jednej strony za mocno je pan podlewa. Z drugiej, potrzebny im oprysk raz w tygodniu. Proszę się nie niepokoić, używam jedynie ekologicznych preparatów. – Uśmiechnęła się do niego, policzki miała zarumienione w promieniach słońca. – Zajmie to parę tygodni, ale myślę, że uda mi się doprowadzić je do jako takiego stanu.

Hendricks rozłożył ramiona.

– Czegokolwiek pani potrzebuje.

Słońce oświetlało jej przedramiona, ukazując drobne złotobiałe włoski, które jakby poruszały się pod jego spojrzeniem. Hendricks poczuł, że robi mu się gorąco.

I wtedy, w ogóle się nad tym nie zastanawiając, zapytał:

– Wejdzie pani ze mną do środka i czegoś się napije?

Uśmiechnęła się słodko do niego, słońce igrało jej w oczach.

– Nie dzisiaj.

• • •

– Nie wierzę – powiedział Bourne. – To niemożliwe.

– Wszystko jest możliwe – odparł Essai. – Wszystko.

– Nie – obstawał przy swoim Bourne. – Nie wszystko.

Essai uśmiechnął się w swój zagadkowy sposób.

– Panie Bourne, jesteś teraz w świetle Domny. Proszę, uwierz mi.

Bourne wpatrywał się w ogień. Zapadł mrok. Dzika świnia złapana przez ludzi Corellosa została ogolona ze szczeciny i nadziana na rożen. Intensywny zapach jej skwierczącego tłuszczu wypełniał obóz. Bourne siedział z Essaiem blisko ogniska. Rozmawiali.

W pewnej odległości od nich Corellos mówił coś z ożywieniem do swojego pomagiera.

– Nieistotne zwycięstwa – mruknął Essai, patrząc w ich stronę.

Jason spojrział na niego pytająco.

– Widzisz, tak to jest. Corellos wie, że nie mogę jeść wieprzowiny, ale właśnie wieprzowinę chce dać na obiad. Jeśli go o to zapytasz, odpowie, że to ucztą dla jego ludzi.

– Wróćmy do Borisa Karpowa.

Zagadkowy uśmiech znów pojawił się na twarzy muzułmanina.

– Benjamin El-Arian, nasz wróg, to mistrz szachów. Z góry przewiduje wiele ruchów. Nie wykluczał, że uniemożliwisz Domnie odnalezienie złotego skarbu Salomona. – Odwrócił głowę, płomień odbijały mu się w oczach. – Słyszałeś o Wiktorze Czerkiesowie, prawda?

– Jeszcze kilka miesięcy temu był szefem FSB-dwa. Odszedł w tajemniczych okolicznościach, a Boris zajął jego miejsce. Wiem to wszystko od Borisa. Zrobienie porządku w FSB-dwa od dawna było jego marzeniem.

– Dobry człowiek z tego twojego przyjaciela Borisa. Czy przypadkiem powiedział ci, dlaczego Czerkiesow abdykował i zrezygnował z tak dużej władzy?

– Tajemnicze okoliczności – powtórzył Bourne.

– Dla mnie nie takie znowu tajemnicze. Benjamin El-Arian skontaktował się z Czerkiesowem przez odpowiedniego pośrednika i złożył mu propozycję nie do odrzucenia.

Bourne znieruchomiał.

– Czerkiesow należy teraz do Domny?

Essai skinął głową.

– Widzę po twojej twarzy, że reszty się domyślasz. Czerkiesow zaproponował twojemu przyjacielowi układ: odda mu FSB-dwa w zamian za przysługi w przyszłości.

– A pierwsza z nich to dostarczenie mojej głowy w worku. Essai spostrzegł, że Corellos skończył wydawanie poleceń i zaczął iść w ich kierunku. Pochylił się nieco i powiedział z pewnym pośpiechem:

– Sam widzisz, jaki mądrała z tego Benjamin El-Ariana. Severus Domna to nie jest zwykła klika. Teraz już znasz wielkość tego, z czym mamy się zmierzyć.

Gdy Corellos przyciągnął dla siebie składane krzeselko, Bourne przeszedł do rzeczy:

– Nadal pozostaje otwarta sprawa, z powodu której się tu znalazłem.

Corellos wpatrywał się w Jasona stalowym wzrokiem. Powietrze nad nim aż drgało od tańczących komarów. Z tyłu rosło drzewo, z którego kora obłaziła płatami niczym skóra odzieraną z człowieka.

– Potrzebne mi gwarancje – powiedział Bourne. Było jasne, że mówi do obu, Essaia i barona narkotykowego.

Corellos roześmiał się bezgłośnie, odsłaniając zęby, i kłapnął szczękami jak złoczyńca z filmu Tarantina.

– Siostra mojego martwego partnera jest paranoiczką. Nie chcę robić jej żadnej krzywdy, dostała wszelkie gwarancje.

– Interes należał do Gustava i do ciebie – zauważył Bourne. – A teraz jest tylko twój.

– To ona tak ci powiedziała.

– Niepotrzebne jej zakrwawione pieniądze z handlu narkotykami.

Kolumbijczyk szeroko rozłożył dłonie.

– To dlaczego chciał, żeby to przejęła?

– Rodzina. Ale ona nie jest taka jak on.

– Nie znasz jej.

Bourne nie odpowiedział. W baronie narkotykowym było coś, co budziło jego odruchową niechęć, jak widok skorpiona albo czarnej wdowy. Być może nie stanowił zagrożenia w tej chwili, ale czy będzie tak samo w przyszłości? Jason przyglądał mu się badawczo. Corellos był pełnym przeciwieństwem Gustava Morena, którego poznał wiele lat wcześniej. Cokolwiek by o nim powiedzieć, Moreno na pewno był dżentelmenem – jeśli dawał słowo, to coś dla niego znaczyło. Bourne nie wyczuwał tego u Corellosa. Berengaria miała rację, że się go bała.

Przy wtórce usypiającego bzyczenia owadów Corellos rozparł się na krzeselku, aż zatrzeszczało pod nim niczym kości starego człowieka.

– Zatem. Czego ta *puta* chce?

– Berengaria chce jedynie, żeby zostawiono ją w spokoju.

Corellos odrzucił do tyłu głowę i się zaśmiał. Bourne dostrzegł czerwoną pręgę w miejscu, gdzie zaczął go dusić.

– *Bueno*. W porządku, przejdźmy więc do następnego etapu. Ile chce?

– Powiedziałem ci – odparł Jason obojętnym tonem. – Ani centa.

– Wiem, że lecisz ze mną w głąba. No dalej, podaj sumę. Lekki wiatr rozproszył chmurę komarów. W lesie aż huczało od głosów owadów, żab i małych nocnych ssaków. Bourne niczego bardziej nie pragnął, niż przyłożyć Corellosowi pięścią w twarz. Teraz gdy go poznał, podejrzewał, że Moreno zostawił połowę tego interesu siostrze, chcąc wkurzyć partnera. Bo na pewno się nie dogadywali.

– Możesz wierzyć tej suce – oświadczył handlarz narkotyków. – Ale to nie znaczy, że ja jej wierzę.

– Zostaw ją w spokoju i wszystko po prostu się skończy. Kolumbijczyk pokręcił głową.

– Ma wszystkie moje kontakty.

– To jest wydruk bezpośrednio z jej twardego dysku. – Bourne podał mu wydruk komputerowy, który Berengaria przekazała mu przed jego wyjazdem z Phuketu.

Corellos rozłożył kartkę i przesuwając grubym palcem wskazującym wzdłuż listy.

– Są wszystkie. – Podniósł wzrok i wzruszył ramionami. – To tylko wydruk. – Pomachał kartką w powietrzu. – Nic nie znaczy.

Bourne wręczył mu twardy dysk z laptopa Berengarii. Corellos wpatrywał się w niego przez chwilę.

– O kurwa. – Śmiejąc się, kiwał głową. – Załatwione.

– Jeśli będziesz ją ściagał... – Bourne pozwolił, by niewypowiedziana groźba zawisła w wilgotnym powietrzu.

Kolumbijczyk zamarł na pół sekundy. A potem rozłożył szeroko ramiona.

– Jeśli zacznę ściagać tę sukę, to będę miał przejebane.

Rozdział 5

– Niech to jasna cholera! – Peter Marks walnął pięścią w kierownicę, gdy zahamował gwałtownie na czerwonym świetle.

– Uspokój się, mały – powiedziała Soraya. – Co cię gryzie?

– On kłamie. – Peter nacisnął klakson. – Coś się dzieje, a Hendricks nam o tym nie mówi.

Soraya popatrzyła na niego z pewną rezerwą.

– A ty skąd o tym wiesz?

– To oczywiste, sądząc po bzdurach, jakie mi wciskał, żebym tu został. Wskrzesza Treadstone z twoją siecią zagranicznych kontaktów i co? Mamy być niańkami dla innych tajnych służb? To pierdolona ściema, nie ma w tym ziarna prawdy. – Pokręcił głową. – Och, coś się dzieje, a on nie chce, żebyśmy o tym wiedzieli.

Soraya stłumiła zgryźliwą ripostę i zamiast tego zastanowiła się przez chwilę nad domysłami Petera. Przepracowali razem w wywiadzie wiele lat. Z czasem nabrali do siebie takiego zaufania, że mogli sobie nawzajem zawierzyć życie. A to nie była błahostka. Wzajemne zaufanie ma bardzo wiele wspólnego z intuicją. Co takiego Peter wyczuł lub spostrzegł, co uszło jej uwagi? Prawdę mówiąc, była tak podekscytowana perspektywą wyjazdu do Paryża i śledztwem w sprawie trupa, że nie zwracała uwagi na to, co działo się potem. Zachowała się jak idiotka.

– Hej, zwolnij, kowboju! – krzyknęła, gdy brawurowo wymijał ciężarówkę. – Chciałabym dożyć przynajmniej do wieczora.

– Przepraszam – wymamrotał Peter.

Widząc, że jest naprawdę wytrącony z równowagi, zapytała:

– Jak mogłabym ci pomóc?

– Jedź do Paryża, zacznij śledztwo w sprawie zamordowanego informatora, dowiedz się, kto, do cholery, go załatwił.

Soraya popatrzyła na niego sceptycznie.

– Nie podoba mi się, że zostawię cię w takim stanie.

– Nie musi ci się podobać.

Dotknęła jego ramienia.

– Peter, boję się, że możesz zrobić coś głupiego.

Rzucił jej ponure spojrzenie.

– Albo w ostateczności coś bardzo ryzykownego.

Peter odetchnął głęboko.

– Myślisz, że twoja obecność tutaj zmieniałaby cokolwiek?

Zmarszczyła czoło.

– Nie, ale...

– No to wsiadaj w pierwszy samolot do Paryża.

– Ty coś planujesz.

– Nie. Nie planuję.

– Cholera, znam to spojrzenie.

Peter ugryzł się w wewnętrzną stronę policzka.

– Zanim wyjedziesz, może zadzwonisz do Amuna.

Soraya zachnęła się, uznając, że chciał jej dokuczyć. Ale zaraz potem zrozumiała mądrość tej rady.

– Niewykluczone, że masz rację. Od Amuna możemy dowiedzieć się czegoś o tej tajemniczej grupie z zupełnie innej perspektywy.

Wyciągnęła komórkę i napisała SMS-a: „Przyj. Paryż jutro przed poł... dot.: zabójstwa. Możesz?”.

Serce zaczęło jej bić żywiej. Od ponad roku nie widziała Amuna, ale dopiero teraz, gdy wysłała mu wiadomość, uświadomiła sobie, jak bardzo za nim tęskniła – za jego promiennym uśmiechem, wyjątkowym dotykiem, inteligencją.

Zmarszczyła brwi. Która godzina była teraz w Kairze? Wpół do jedenastej wieczorem?

Gdy to obliczała, odezwał się brzęczyk jej komórki. Dostała SMS-a: „Przyj. Paryż 8.34, pojutrze”.

Soraya poczuła ciepło ogarniające jej ciało. Złączyła i wygięła dłonie.

– Co się dzieje? – zapytał Peter.

– Mrowią mnie końce palców.

Peter odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

• • •

Essai i Bourne wyjechali samochodem z obozu Corellosa. Włączone reflektory oświetlały polną drogę prowadzącą przez gęsty las Bosque de Niebla de Chicaque, ale przez gałęzie przeświecała już różowa poświata rzucająca cienie na ziemię. Ptasie trele, ucichłe w środku nocy, rozbrzmiewały teraz z całą mocą nad ich głowami.

– Jedziemy na zachód zamiast na wschód – zauważył Bourne. – Wracamy do Bogoty.

– Jedziemy na miejscowe lotnisko w Perales – odpowiedział Essai. – Ja polecę stamtąd do Bogoty, a ty weźmiesz samochód. Musisz jechać dalej na zachód, do Ibagué. To w górach, niecałe sto kilometrów na południowy zachód od El Colegio.

– Po co miałbym tam jechać?

– W Ibagué poszukasz faceta o nazwisku Estevan Vegas. Jest członkiem Domny, słabym ogniwnem, tak to się mówi, prawda? Miałem zamiar pogadać z nim o odejściu z Domny, ale skoro już tu jesteś, spodziewam się, że tobie pójdzie znacznie lepiej.

– Wyjaśnij mi to.

– Z przyjemnością.

Teraz gdy znajdowali się z dala od obozu Corellosa, Essai wydawał się bardziej odprężony, niemal jowialny, jeśli można użyć takiego słowa do opisu małomównego faceta, myślącego obsesyjnie o zemście.

– To proste, naprawdę. W Domnie jest o mnie głośno: parias, zdrajca. Nawet w przypadku takiego gościa jak Vegas, którego lojalność wobec grupy pozostawia wiele do życzenia, moja obecność stałaby się niejakim problemem. W rzeczywistości mogłaby odnieść skutek przeciwny do zamierzonego, facet zacząłby się bronić, sprawiać kłopoty.

– A skoro o mnie nic nie wie – włączył się Bourne – znacznie chętniej wysłucha moich argumentów.

– To zależy wyłącznie od twojej siły perswazji. Z tego, co o tobie słyszałem, to kolejny powód, żebyś zajął moje miejsce.

Jason zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Załóżmy, że puści farbę, Co wtedy?

– Zyskasz najświeższe informacje o Domnie. Ja, niestety, jestem od nich odcięty od jakiegoś czasu. Stałem się ślepy i głuchy, jeśli o chodzi o szczegóły jej planów i spisków.

– Vegas mieszka na jakimś strasznym zadupiu – skomentował Bourne.

– Po pierwsze, coś takiego jak zadupie dla Domny nie istnieje – zaproponował Essai. – Organizacja ma uszy i oczy dosłownie wszędzie. – Samochód, podskakując, wjechał na wybrukowaną drogę i to zmniejszyło ich szybkość, bo nawierzchnia desperacko potrzebowała naprawy, a dziury, tak głębokie, że groziły złamaniem osi, widać było dosłownie wszędzie. – Po drugie, chociaż Vegas może nie mieć pojęcia o wszystkim, co chcielibyśmy wiedzieć, musi znać kogoś, kto lepiej orientuje się w tych sprawach. Będziesz musiał odnaleźć tych ludzi i tak ich oczarować, żeby podzielili się z tobą informacjami. Potem wsiądziesz do samolotu w Perales. Bilet odbierzesz na lotnisku.

– A co ty będziesz robił, kiedy ja zajmę się wyciąganiem tajemnic Domny?

– Będę mylił przeciwnika, żeby cię osłaniać.

– A dokładnie?

– Wierz mi, lepiej, żebyś nie wiedział. – Essai wyminął zręcznie dwie dziury o zdumiewającej głębokości. – W schowku na rękawiczki jest zapasowy telefon, naładowany i gotowy do użycia. Znajdziesz tam też szczegółową mapę okolicy. Ibagué jest wyraźnie zaznaczona, podobnie jak pole naftowe, na którym pracuje Vegas.

Bourne pochylił się, otworzył schowek i sprawdził jego zawartość.

– Numer mojego telefonu satelitarnego jest już w nim zaprogramowany – mówił dalej Essai.

– Dzięki temu zawsze będziemy w kontakcie, niezależnie od tego, gdzie rzuci nas los.

Przetoczyli się obok wąwozu, od którego odgradzał ich murek ze skał, a dwa, trzy kilometry dalej minęli ogromny wodospad, którego wody przelewały się nad krwistoczerwonym klifem z niesłychaną, niekończącą się energią. Baldachim z liści przerzedził się, słońce przeświecało przez płataninę gałęzi w swoistym alfabecie Morse'a.

Mknęli, mając drzewa po wschodniej stronie. Gęstwina bugenwilli porastająca kolonialny kamienny mur drżała, strząsając z siebie krople porannej rosy w pierwszych słabych promieniach słońca.

Bourne patrzył na krajobraz. Na zachodzie widać było pasmo potężnych gór porośniętych gęstymi lasami. Za kilka godzin będzie zmierzał w ich kierunku.

– Co możesz mi powiedzieć o tym facecie, Vegasie?

– Jest zrzędlivy, agresywny i uparty.

– Wspaniale.

Essai zignorował sarkazm Bourne'a.

– Poza tym od dawna pracuje przy odwiertach naftowych. Nadzoruje wydobycie od blisko dwudziestu lat. Dziś pewnie ma w żyłach ropę zamiast krwi. W każdym razie jest bardzo prostolinijny, wierzy w sens ciężkiej pracy, nawet w jego wieku, a musi mieć około

sześćdziesiątki, możliwe, że więcej. Ostro pije, pochował dwie żony, stracił córkę przez Brazylijczyka, który ją uwiódł, a potem zabrał ze sobą. Od trzydziestu paru lat nie wspominał o niej słowem.

– Synowie?

Muzułmanin pokręcił głową.

– Teraz mieszka z młodą Indianką, ale o ile się orientuję, nigdy nie zaszła w ciążę. Poza tym nic o niej nie wiem.

– Czego Vegas nie lubi?

Essai rzucił mu krótkie spojrzenie.

– Chyba chciałeś spytać, co lubi?

– Znacznie ważniejsze jest, żebym wiedział, czego nie należy przy nim mówić albo robić – wyjaśnił Bourne.

– Rozumiem. – Essai pokiwał głową w zamyśleniu. – W równej mierze nienawidzi komunistów co faszystów.

– A co z baronami narkotykowymi?

Essai zerknął na niego ponownie, jakby dzięki temu mógł się zorientować, do czego Bourne zmierza. Miał jednak dość oleju w głowie, by o to nie pytać.

– W tej sprawie musisz polegać wyłącznie na sobie.

Bourne myślał przez moment.

– Jedno mnie zastanawia. Facet stracił dziecko, a potem, choć jest w idealnej sytuacji, żeby mieć ich więcej, nic z tym nie robi.

Muzułmanin wzruszył ramionami.

– Zbyt boleśnie to przeżył. Tak bym to tłumaczył.

– A ty na jego miejscu...?

– Moja żona jest za stara.

– O to chodzi. Jego kobieta nie jest.

• • •

Peter Marks patrzył, jak ogrodniczka wsiada do SUV-a i odjeżdża spod domu Hendricksa. Obserwował, jak nawoziła róże, a potem spryskiwała je czymś z kanistra z pompką. Pracowała powoli, metodycznie i spokojnie. Mamrotała coś do kwiatów, jakby się z nimi kochała. Opuściła posesję, nawet nie spojrzawszy na ochroniarzy.

Czterech mężczyzn przydzielonych do sekretarza obrony bardzo się przejmowało powierzonym zadaniem. Jeśli Peter miał zamiar śledzić Hendricksa, żeby dowiedzieć się, co ukrywał, musiał trzymać się poza zasięgiem ich radaru. Uznał to jednak raczej za wyzwanie niż problem.

Peter uwielbiał wyzwania – rzucał się na nie z entuzjazmem, który zawstydzał najlepszych, kiedy był nastolatkiem i młodym mężczyzną. Wcześniej odwaga nie była jego mocną stroną, dopóki nie ośmielił go ojciec Benedict, ksiądz z jego parafii. Ale w odróżnieniu od innych chłopców, których ksiądz zabierał do zakrystii, gdzie pili mszalne wino i uprawiali seks, Peter powiedział o tym własnemu ojcu. Nie skończył jeszcze dziesięciu lat, kiedy to się stało, ale ponieważ miał kryształowy charakter, chciał podczas mszy w następną niedzielę publicznie

oskarżyć księdza.

Ojciec mu tego zakazał. „To będzie gorsze dla ciebie niż dla niego – powiedział synowi. – Wszyscy się dowiedzą, a ty zostaniesz naznaczony na całe życie”. W głosie ojca pobrzmiwało ostrzeżenie, które nie dawało się z niczym pomylić. Peter doświadczył już ogromu gniewu ojca i nie chciał wywoływać go ponownie.

Gdy poszli do kościoła tamtej niedzieli, mszę odprawiał jakiś inny ksiądz, którego Peter nie znał. Zastanawiał się, gdzie jest ojciec Benedict. Potem na stopniach kościoła w słońcu późnego poranka usłyszał, co mówili ludzie. Poprzedniej nocy, kiedy ksiądz wracał do domu z kościoła, ktoś na niego napadł. „Ciężko poturbowany” było najczęściej używaną frazą. W stanie krytycznym trafił do szpitala sióstr miłosierdzia, znajdującego się osiem przecznic dalej. Peter nigdy go nie odwiedził, a ojciec Benedict nigdy nie wrócił do swojej parafii, choć wyszedł ze szpitala po sześciu tygodniach. W późniejszych latach Peter nie rozmawiał z ojcem o księdzu, podejrzewał jednak, że Benedict stał się ofiarą jego gniewu. A teraz, rzecz jasna, nie mógł już o to zapytać – ojciec nie żył od jedenastu lat.

Peter wyostrzył wzrok. Hendricks wyłonił się z domu. Podjechał czarny lincoln town car, szofer wysiadł, otworzył drzwi sekretarzowi, który wsiadł z tyłu. Jeden z ochroniarzy zajął miejsce obok kierowcy. Dwaj inni wskoczyli do nieoznakowanego forda i oba samochody wystartowały jednocześnie. Peter, unikając wzroku czwartego ochroniarza zostawionego przy domu, ruszył za nimi, cały czas zatopiony we wspomnieniach.

W szkole średniej i na studiach eksperymentował z chłopakami w swoim wieku, mającymi podobne upodobania, zawsze jednak bardzo ostrożnie, bo taką miał naturę. Niedługo potem zainteresował się tajnymi służbami i zaczął studiować odpowiednie przedmioty. Kiedy to się stało, zmienił się jego opiekun uczelniany. Wcześniej ani go nie widział, ani o nim nie słyszał. W rzeczywistości nie mógł znaleźć jego nazwiska na liście pracowników college’u. Pewnego dnia opiekun wezwał go na rozmowę, której sednem była rada: jeśli Peter naprawdę chce pracować w tajnych służbach, powinien „skupić się tylko na tym”, jak ujął to opiekun.

Nigdy więcej nie poruszyli tego tematu, ale Peter posłuchał rady mądrzejszego i rzeczywiście skupił się tylko na tym. Czytał sprawozdania z jednej sprawy po drugiej, gdzie szpiedzy albo mężczyźni na eksponowanych stanowiskach kompromitowali się z powodu skłonności seksualnych. Za żadne skarby nie chciał stać się jednym z tych ludzi okrytych hańbą. I żywo pamiętał, co się stało ojcu Benedictowi. Dlatego trwał w celibacie tak gorliwie, jak na pewno nigdy nie udało się to księdzu Benedictowi.

Kochał Sorayę jak siostrę, której nigdy nie miał, ale na pewno nie był w niej zakochany. Przypomniawszy sobie, jak był zazdrosny o jej uczucie do Bourne’a. Teraz kpił z tego. Jak mógł być kiedykolwiek zazdrosny o Jasona Bourne’a? Nie potrafił nawet znieść myśli, że mógłby prowadzić życie równie mroczne jak ten facet.

Samochody wyjechały z obsadzonych drzewami ulic Georgetown i skierowały się na wschód w stronę serca Waszyngtonu. Zapadał zmierzch wypełniony mgłą i niepewnością. Peter spojrzawszy na zegar w wozie. Soraya w tej chwili powinna już być w powietrzu i lecieć nad Atlantykiem do Paryża i na randkę z Amunem Chaltumem. Peter zadzwonił wcześniej do kumpla, Jacques’a Robbineta, i przekazał mu szczegóły jej wizyty. Robbinet, którego poznał przez Jasona Bourne’a, był francuskim ministrem kultury. Był także nowym szefem Quai d’Orsay, francuskiej odpowiedniczki Centrali Wywiadu, dlatego miał ogromną władzę

zarówno w kraju, jak i poza nim. Robbinet zapewnił Petera, że wyświadczy Sorai każdą przysługę przy pokonywaniu wszelkich trudności stwarzanych przez francuską policję.

Dwa samochody zwolniły, zbliżając się do East Capitol Street. Minęły Drugą Ulicę i zatrzymały się przed frontem Folger Shakespeare Library, biblioteki, jednej z najwspanialszych instytucji stolicy. Henry Clay Folger był prezesem Standard Oil, teraz ExxonMobil. Był z tego samego kruszcu, co wielcy przedsiębiorcy wyzyskiwacze John D. Rockefeller, J.P. Morgan i Henry E. Huntington. Niemniej Folger pod koniec życia skompletował zdumiewającą kolekcję pierwszych wydań sztuk Szekspira. Dodatkowo w bibliotece znajdowały się oryginalne wydania lub faksymilia każdej ważnej książki związanej w jakikolwiek sposób z angielskim dramatopisarzem, opublikowane od czasów wynalezienia prasy drukarskiej aż po koniec siedemnastego wieku, w tym egzemplarze wszystkich woluminów dotyczących historii i mitologii, a także książek podróźniczych dostępnych w czasach Szekspira. W rzeczy samej w zbiorach bibliotecznych było pięćdziesiąt pięć procent wszystkich znanych książek wydrukowanych w języku angielskim przed rokiem 1640. Koronnym klejnotem tej kolekcji był jednak wydrukowany już po śmierci autora zbiór sztuk, tak zwane Pierwsze Folio, jedyne tekstowe źródło ponad połowy dramatów Szekspira. W posiadaniu Folger Shakespeare Library znajdowały się osiemdziesiąt dwa spośród dwustu dwudziestu ośmiu zachowanych do dziś egzemplarzy tego dzieła.

Gdy Peter patrzył, jak Hendricks wysiada z kuloodpornego samochodu, zastanawiał się, co sekretarz miał zamiar robić w bibliotece. Nic nie wskazywało na to, żeby pisał rozprawę o Szekspirze albo Anglii Tudorów i Stuartów.

Jeszcze bardziej intrygujące było to, że żaden z ochroniarzy nie wszedł za Hendricksem po schodach do budynku. Peter zerknął na zegarek i przekonał się, że szesnasta minęła jakiś czas temu, co oznaczało, że biblioteka tego dnia była już nieczynna.

Znał ten przybytek dość dobrze. Z boku znajdowało się boczne wejście dla personelu i grupki uczonych oraz nauczycieli akademickich, którzy rezydowali tam o każdej porze. Okrążył przecnicę, zaparkował i zbliżył się do bocznych drzwi, dyskretnie ukrytych za drewnianymi skrzyniami.

Grube i solidne drzwi wykonano z litego dębu i ozdobiono okrągłymi ćwiekami z brązu jeszcze ze Starego Świata. Peterowi kojarzyły się z wrotami do wieży średniowiecznego zamczyska. Z wewnętrznej kieszeni wyjął wytrych. Pięć lat temu zdarzyło mu się zostać na zewnątrz zatrzaśniętych drzwi do własnego mieszkania i od tej pory nosił ze sobą kilka własnoręcznie zrobionych wytrychów.

Już po trzydziestu sekundach znalazł się w środku i siedł słabo oświetlonym korytarzem, gdzie unosił się zapach filtrowanego powietrza i starych książek. Woń była jednocześnie przyjemna i znajoma, przypominała mu dni młodości, gdy godzinami przeszukiwał zasoby antykwariatów, omiatał wzrokiem tytuły, czytał poszczególne akapity, a czasem nawet całe rozdziały. Zdarzało się, że już sam ciężar woluminu w rękach wystarczał, by oczami wyobraźni widział starszego siebie wśród tomów, które sam zgromadził.

Czujnie wypatrywał stałych gości biblioteki i ochroniarzy, ale nikogo nie widział. Przechodził przez sale wypełnione książkami w przeszklonych szafach, oplecionych kablami alarmu, pokonywał kolejne korytarze o podłogach z parkietu i ścianach wyciszonych boazerią.

W pewnej chwili usłyszał szmer głosów, więc ruszył w jego kierunku. Gdy znalazł się

bliżej, rozpoznał jeden z nich: należał do Hendricksa. Drugi głos również był męski, jego tonacja wydawała się jednak odrobinę wyższa. Kiedy podszedł jeszcze bliżej, miał nieuchwytnie wrażenie, że zna ten głos. Piskliwy ton, kadencję, długie zdania wypowiedzane bez przerwy na oddech. W chwili gdy przeszedł przez salę, głosy stały się bardziej wyraźne. Miał pewność, że dochodzą z otwartych drzwi sąsiedniego pokoju. Szczególna fraza, którą usłyszał, sprawiła, że zamarł w bezruchu.

Mężczyzną, z którym rozmawiał Hendricks, okazał się M. Errol Danziger, wampiryczny szef Centrali Wywiadu. To on wyrzucił Sorayę – bo nie widział dla niej przyszłości w firmie – co było jednym z powodów odejścia stamtąd Petera. A teraz Danziger rozwałkował wspaniałą organizację, którą Stary zbudował ze szczątków pozostawionych przez ludzi odpowiedzialnych za reorganizację Biura Służb Strategicznych z czasów wojny.

Peter bezgłośnie zbliżył się do otwartych drzwi. Jeśli Hendricks dobija jakiegoś targu z Danzigerem, to nic dziwnego, że nie chce, byśmy o tym wiedzieli, pomyślał.

Teraz słyszał ich bardzo wyraźnie.

– ...więc jak? – zapytał sekretarz obrony.

– Nie umiem powiedzieć – odparł Danziger.

– To znaczy, że nie.

Głośnie westchnienie, prawdopodobnie dyrektora CI.

– Nie rozumiem, po co bawimy się w tę maskaradę na poziomie szkolnego przedstawienia. Dlaczego się tu spotykamy? Moje biuro...

– Nigdy nie spotkamy się w twoim biurze – wszedł mu w słowo Hendricks. – Dokładnie z tego samego powodu nie zaproszono cię na naradę w Gabinetcie Ovalnym.

Potem zapadła cisza, którą Peter mógł opisać jedynie jako martwą.

– Czego chcesz ode mnie, panie sekretarzu? – Głos Danziguera był tak pozbawiony emocji, że to pytanie mógłby wypowiedzieć robot.

– Współpracy – oparł Hendricks. – My wszyscy jej chcemy, a mówiąc „my”, mam na myśli prezydenta. Chodzi o Samarytanina, w tej zaś sprawie jestem jego głosem. Czy to jasne?

– Zupełnie – rzucił Danziger.

Mimo że Peter był w sąsiednim pokoju, słyszał wyraźnie jad zawarty w tym jednym słowie.

– To dobrze – skwitował Hendricks. Czy zwrócił uwagę na gorycz w głosie dyrektora, czy też postanowił ją zignorować, tego Peter nie potrafił ustalić. – Bo nie będę tego powtarzał dwa razy. – Dał się słyszeć cichy szelest. – Informacje o Samarytaninie są objęte najwyższym poziomem tajności. Ludzie, których wyznaczysz, nie będą nic wiedzieli, dopóki nie przyjadą do Indigo Ridge. Samarytanin to główny priorytet prezydenta, co oznacza, że od tej chwili to również nasz priorytet numer jeden. Oto rozkaz dla ciebie. Twoi ludzie mają się spotkać z innymi w Indigo Ridge za czterdzieści osiem godzin.

– Czterdzieści osiem godzin? – powtórzył jak echo Danziger. – Jak możesz oczekiwać... to znaczy, na rany boskie, popatrz na tę listę. To, o co prosisz, jest niemożliwe do uruchomienia w takich ramach czasowych.

– Dyrektorzy są szkoleni do dokonywania rzeczy niemożliwych. – Zawarta w tych słowach groźba ze strony Hendricksa była wyraźna. – To wszystko, panie Danziger.

Peter usłyszał odgłos kroków po wypastowanej podłodze, kilka chwil później rozległy się następne. Po pewnym czasie ucichły w dali.

Oparł się plecami o ścianę. Samarytanin, Indigo Ridge – dwie wskazówki, których śladem powinien podążać. Samarytanin jest głównym priorytetem prezydenta, pomyślał. Dlaczego Hendricks zgodził się na wyjazd Sorai do Paryża? Dlaczego nie zaangażował nas przy Samarytaninie? To były pytania, na które musiał znaleźć odpowiedzi, i to im szybciej, tym lepiej. Miał ogromną ochotę wysłać SMS-a do Sorai z informacją o tym, czego się właśnie dowiedział, i prośbą, żeby wróciła do Waszyngtonu, ale przeważyło zaufanie, jakie do niej miał. Skoro uznała, że śmierć w Paryżu jest na tyle ważna, by osobiście prowadzić śledztwo, to powinno mu wystarczyć. Wiedział bardzo dobrze, że intuicja nigdy jej nie zawodziła.

Zaczął myśleć o przyjemniejszych sprawach. Wyglądało na to, że Danziger znalazł się nad przepaścią. Peter czuł, jak rosną mu skrzydła, zwłaszcza że udało mu się dowiedzieć tego z pierwszej ręki. Zrobi wszystko, żeby sabotować udział Danzigersa w Samarytaninie – cokolwiek by to było – bo będzie to milowym krokiem do zniszczenia jego kariery i usunięcia go z Centrali Wywiadu.

Ściąć mu głowę! – krzyknął Peter w myślach, czując przyływ energii.

• • •

Po podwiezieniu Essaia na lotnisko Bourne zatrzymał się przy taniej restauracji na zachodnim przedmieściu Perales. Był głodny, ale potrzebował też czasu do namysłu. Knajpa okazała się nędzna, ze ścianami w kolorze ni to musztardowym, ni to ceglastym. Jarzeniówka miała czkawkę, a stara jak świat lodówka do napojów przy ścianie warczała nieprzewidywalnie.

Pracowało tam dwóch kelnerów, obaj byli młodzi, szczupli i wymizerowani. Przebiegając wzrokiem po karcie, Bourne przyglądał się jednocześnie innym klientom – starym mężczyznom o skórze jak wygarbowanej, czytającym miejscową gazetę, pijącym kawę, rozmawiającym o polityce albo grającym w szachy, zmęczonej prostytutce, która lata młodości miała dawno za sobą, i farmerowi, który dosłownie pochłaniał zawartość ogromnego talerza. Osoba na służbie nigdy nie zachowuje się tak samo jak cywile. Zawsze widać u niej pewne napięcie pleców, ramion, karku. Lustrował również wszystkich wchodzących i wychodzących.

Ponieważ nie spostrzegł niczego niezwykłego, zamówił coś do picia, a jako główne danie *bandeja paisa* i dodatkowo placuszki *arepa*. Kiedy podano mu *aguapanelę* – wodę słodzoną syropem z trzciny cukrowej z kawałkiem limonki – wypił od razu połowę, a potem rozsiadł się wygodnie.

„W schowku na rękawiczki jest zapasowy telefon, naładowany i gotowy do użycia – powiedział wcześniej Essai. – Znajdziesz tam też szczegółową mapę okolicy. Ibagué jest wyraźnie zaznaczona, podobnie jak pole naftowe, na którym pracuje Vegas”. – Na te słowa pewnie dałby się nabrać, ale Essai popełnił błąd, kiedy dodał: „Numer mojego telefonu satelitarnego jest już w nim zaprogramowany”. To, że Essai miał ze sobą zapasowy telefon, było całkowicie możliwe – świadczyłoby nawet o zapobiegliwości. Obecność mapy też nie była pozbawiona sensu. Natomiast fakt, że wpisał do komórki swój numer telefonu satelitarnego, wskazywał, że to wcale nie był zapasowy aparat. Bourne pytał sam siebie, czy Essai mógł wiedzieć cokolwiek o tym, że został wysłany, by odszukać i zabić Corellosa. Może Corellos mu o tym powiedział, ale jeśli tak się stało, musiałyby to nastąpić znacznie później,

niż Essai był w stanie kupić drugą komórkę. To wszystko świadczyło, że muzułmanin prawdopodobnie kłamał, gdy mówił, że nie ma już możliwości zdobywania bieżących informacji o działalności Domny. Jeżeli tak, to miał swojego człowieka w grupie, kogoś, kto był wobec niego lojalny.

Bourne nigdy do końca nie kupił szczerości Essaia, choć ani przez chwilę nie wątpił w jego pragnienie zniszczenia Domny. W tej jednej sprawie on i Essai byli sprzymierzeńcami – potrzebowali się nawzajem. Musieli również sobie ufać, ale to zaufanie było ograniczone, bo dotyczyło wyłącznie zlikwidowania Domny. Potem wszystkie inne gwarancje traciły wartość.

Na stole zjawiono się zamówione danie, parujące, o wspaniałym zapachu. Bourne, nagle wściekle głodny, zabrał się do jedzenia. Posługiwał się placuszkami *arepa*, które maczał w sosie, niczym kombinacją widelca i łyżki. Jadł, rozmyślając. Była jeszcze sprawa Borisa, który miał od Domny zlecenie na niego. Ta historia wydawała się tak nieprawdopodobna, że w pierwszej chwili chciał puścić ją mimo uszu. Zmienił zdanie, kiedy usłyszał od Essaia o pułapce, w jaką Benjamin El-Arian zwabił jego przyjaciela. Wiedział, że Boris marzył o tym, by zostać szefem FSB-2. W pewnym sensie poświęcił temu celowi całe swoje dorosłe życie. Gdyby przyszło mu wybierać między tym, czego pożąda jego serce, a osłanianiem Bourne'a, jak by postąpił? Jason z dziwnym poruszeniem uświadomił sobie, że nie wie. Uratował Borisowi życie w strefie wojny w północno-wschodnim Iranie. Ale przyjaciel był też w każdym calu Rosjaninem. Kierował się innym etosem, dlatego bardzo trudno było przewidzieć jego zachowanie, jeśli to w ogóle było możliwe.

Sama myśl, że nawet w tej chwili Boris może na niego polować, sprawiła, że przeszedł go zimny dreszcz, mimo upału panującego w Perales. Postawił na stole telefon satelitarny zabrany z samochodu Essaia i wpatrywał się w niego z napięciem. Stłumił w sobie chęć zadzwonienia do Borisa i zapytania go wprost, co się stało i na czym stoją. To byłby niewybaczalny błąd. Jeśli Boris jest niewinny, poczułby się śmiertelnie obrażony. Choć prawdę mówiąc, zgrywałby obrażonego, nawet gdyby był winny. Do tego, jeżeli Essai nie kłamał, Rosjanin zostałby ostrzeżony, a Bourne straciłby istotną przewagę.

Zrzucił telefon ze stołu, jakby to był szachowy pionek. Nie, pomyślał, najlepsze, co mógł zrobić, to posuwać się w ciemności pojedynczymi krokami. Był do tego przyzwyczajony. W końcu wychynął dość gwałtownie z mroku niepamiętanego życia na świat, gdzie wszystko przed nim jawiło się jako nieprzenikniona czarna noc. W głębi serca nękał go ból – tortura niewiedzy – z którym żył już tak długo, że czasami zapominał o jego istnieniu. Mimo to ból co jakiś czas uderzał go z siłą rozpędzonego pociągu. Nic z jego przeszłości nie było rzeczywiste: nic z tego, co zrobił lub co osiągnął, nic z tego, co czuł, nikt, kogo znał lub na kim by mu zależało. Wszystko uległo wymazaniu z pamięci w momencie, gdy spadł w pustkę. Nie przestawał szukać rzeczy, które teraz były nie do odnalezienia. Sporadyczne okruchy wspomnień, które wracały do niego, powiększały jedynie jego poczucie odizolowania i bezradności. Często też bywały bardzo niepokojące.

W tej samej chwili zobaczył ponownie kobietę w kabinie toalety w skandynawskiej dyskotecie, lśnienie potu na jej twarzy, sardoniczny uśmiech, lufę jej niewielkiego pistoletu, z którego do niego celowała. Jaka to była marka i jaki model? Wysilił się, żeby to sobie przypomnieć, ale widział jedynie jej twarz, pozbawioną strachu czy rezygnacji. Czuł na policzku futro kołnierza. Jej usta rozchyliły się, miała czerwone wargi. Na moment przed tym,

zanim ją zastrzelił, coś do niego powiedziała. Co to było? Co takiego powiedziała? Miał wrażenie, że to było ważne, choć zupełnie nie wiedział dlaczego. Zaraz potem pamięć odmówiła mu posłuszeństwa, skazując go ponownie na niewiedzę o przeszłości, jakby należała do kogoś innego.

Utrata wszystkiego – dosłownie całego życia – to niewypowiedziana męka. Błąkał się po nieznanym terenie. Gwiazdy nad jego głową świeciły w obcych konstelacjach, słońce nigdy nie wschodziło. Był sam, a przed nim roztaczała się nieprzenikniona ciemność jako jego jedyna towarzyszka.

Ciemność i rzecz jasna ból.

Rozdział 6

Soraya dotarła do Paryża wczesnym rankiem, szarym od ulewy. Wcale jej to nie przeszkadzało. Paryż był jedynym miastem, które uwielbiała w deszczu. Lśniące od wilgoci budynki i nastrój melancholii potęgowały jeszcze urodę i romantyczność tego miejsca, krople deszczu zmywały z niego maskę współczesności i odsłaniały historyczne fasady. Poza tym tylko godziny dzieliły ją od spotkania z Amunem. W poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy wzięła prysznic i włożyła świeże ubranie, potem przez kwadrans nakładała makijaż, pijąc jednocześnie ohydny kawę i zjadając croissanta, który miał smak plastiku.

Rzadko kiedy używała innych kosmetyków poza szminką w naturalnym kolorze, ale tym razem chciała zrobić wrażenie na Robbinecie, z którym również miała się spotkać tego dnia. Niemniej to nie minister kultury czekał na nią przy stanowisku kontroli paszportowej, ale mężczyzna, który przedstawił się jako Aaron Lipkin-Renais. Z jego legitymacji wynikało, że jest inspektorem w Quai d'Orsay.

Był wysoki, chudy jak szczapa i miał typowo galijski nos, który poprzedzał go niczym dziób pirackiego okrętu. Szyty na miarę garnitur nosił z elegancją, na jaką potrafią się zdobyć tylko Francuzi. Dżentelmen, pomyślała, bo podał jej rękę, a potem nisko się uklonił.

– Minister bardzo panią przeprasza – powiedział trochę niewyraźnie po angielsku. – Ale spotkanie w Pałacu Elizejskim uniemożliwiło mu powitanie pani osobiście.

Wiedziała oczywiście, że Pałac Elizejski jest siedzibą francuskiego prezydenta. Tam też spotykała się Rada Ministrów.

Lipkin posłał jej pokorny uśmiech.

– Obawiam się, że będzie pani musiało wystarczyć moje towarzystwo.

– *Je ne crains pas le moins du monde* – odpowiedziała z doskonałym paryskim akcentem. – W najmniejszym stopniu mi to nie przeszkadza.

Na długiej, końskiej twarzy Aarona pojawił się szeroki uśmiech.

– *Eh bien, maintenant, tout devient clair*. – Ach, cóż, teraz wszystko jest już jasne.

Wziął od niej niewielką walizkę, a gdy szli razem przez halę przylotów, Soraya miała okazję przyjrzeć mu się dokładniej. Oceniała, że ma około trzydziestu pięciu lat i jest wysportowany jak na Francuza. Chociaż nie uznalaby go za przystojnego, miał jednak w sobie coś ujmującego, pewną chłopięcość w szarych oczach i swobodnym zachowaniu, stanowiącą ostry dysonans z cynizmem, który na pewno się w nim wykształcił podczas pracy w wywiadzie. Pomyślała, że bez problemu się z nim dogada.

Tymczasem na zewnątrz deszcz zmienił się w łagodną mgłę. Niebo sprawiało wrażenie, jakby szykowało się do rozsunięcia pokrywy z chmur. Było wyjątkowo przyjemnie. Lekki wiatr rozwiewał jej włosy. Aaron zaprowadził ją do czarnego peugeota czekającego przy krawężniku. Kiedy kierowca ich spostrzegł, wysiadł z samochodu, wziął od szefa walizkę Sorai i włożył ją do bagażnika. Aaron otworzył tylne drzwi, zapraszając gestem, by wsiadła. Gdy zajął miejsce obok, ruszyli i zaczęli oddalać się od lotniska.

– Pan Robbinet zarezerwował dla pani pokój w hotelu Astor Saint-Honore. Jest usytuowany

w samym centrum i blisko stamtąd do Pałacu Elizejskiego. Czy chciałaby pani najpierw tam pojechać, żeby się odświeżyć?

– Dziękuję, ale nie – odpowiedziała Soraya. – Wolałabym zobaczyć ciało Laurenta, a potem przejrzeć wyniki sekcji.

Aaron wyjął papierową teczkę z kieszeni na oparciu fotela kierowcy i podał ją Sorai.

– Jest pani w połowie Egipcjanką, prawda?

– Czy to jakiś problem? – Spojrzała w jego szare oczy, szukając śladów uprzedzeń.

– Nie dla mnie. A dla pani?

– W najmniejszym stopniu.

Przestała się jezyć. Teraz już rozumiała. Aaron był Żydem. W związku z ostatnim napływem muzułmanów życie dla Żydów stało się trudniejsze, zwłaszcza w Paryżu. Żydowskie dzieci były często napastowane w szkołach. Niemal każdego dnia pojawiały się doniesienia o żydowskim dziecku pobitym przez bandę muzułmańskich wyrostków. Czytała niedawno alarmujący artykuł, w którym pisano, że bardzo wiele żydowskich rodzin opuszcza Francję, bo panującą tam napiętą atmosferę uznawali coraz częściej za niebezpieczną dla swoich dzieci.

Uśmiechnął się do niej, a ona wyraźnie widziała w nim siebie – semickie dziedzictwo, które dzielili Arabowie i Żydzi, ale co tragiczne, nie chcieli o nim pamiętać.

Odpowiedziała mu uśmiechem i miała nadzieję, że on dostrzegł to samo. Potem otworzyła teczkę i przejrzała jej zawartość. Było tam kilka zdjęć Laurenta zrobionych na miejscu wypadku przez ekipę z wydziału medycyny sądowej. Widok nie należał do przyjemnych.

Soraya wciągnęła głęboko powietrze.

– Według mnie samochód go uderzył, a potem po nim przejechał.

Aaron pokiwał głową.

– Tak, wszystko na to wskazuje. Nie da się inaczej wytłumaczyć dwóch zespołów obrażeń: pierwszego na klatce piersiowej i mostku, drugiego na głowie.

– Nie mogły powstać przy uderzeniu.

– Nie – potwierdził. – Nasz koroner mówi, że absolutnie nie. – Uderzył palcem w jedną z fotografii. – Ktoś bardzo nienawidził tego faceta.

– Albo nie chciał, żeby mówił.

Aaron spojrzał na nią przenikliwie.

– Ach, więc wszystko jasne. To dlatego interesuje się pani tym morderstwem. Ma międzynarodowe implikacje.

– Niczego takiego nie powiedziałam.

– Nie musiała pani. – Ponownie uśmiechnął się chłopięco.

Soraya się przeraziła. Czyżby z nim flirtowała?

Wjechali na Périphérique, bulwar opasujący miasto, i dotarli do stolicy Francji przez Porte de Bercy. Gdy tylko peugeot znalazł się na ulicach Paryża, Soraya poczuła serdeczne ciepło miasta. Znajome aleje jakby ją wabiły i uśmiechały się do niej.

Oderwała wzrok od starych domów z mansardowymi dachami i wróciła do czytania. Na ciele nie stwierdzono żadnych śladów poza tymi, które były wynikiem przejechania przez samochód. Jego krew nadal była badana, ale wstępne wyniki nie wykazały alkoholu ani innych obcych substancji. Ponownie obejrzała zdjęcia, baczniej przyglądając się tym, które przedstawiały całościowo miejsce wypadku.

Wskazała na niewielki, niewyraźny, obły kształt w dolnym prawym rogu zdjęcia numer trzy.

– Co to jest?

– Telefon komórkowy – odparł Aaron. – Przypuszczamy, że należał do ofiary, ale jest tak uszkodzony, że nie da się manualnie dostać do książki telefonicznej.

– A co z kartą SIM?

– Zgięta i zniszczona. Ale sam zaniósłem ją do naszego najlepszego informatyka. Pracuje już nad wydobyciem z niej informacji.

Soraya zastanawiała się przez chwilę.

– Zmiana planów. Niech mnie pan zawiezie do tego informatyka, a potem będę chciała obejrzeć miejsce, gdzie doszło do morderstwa.

Inspektor wyjął komórkę, wybrał numer, a potem rozmawiał cicho przez kilka sekund.

– Informatyk potrzebuje więcej czasu – mruknął, chowając telefon.

– Znalazł już coś?

– Nie jest do końca pewny, ale znam tego człowieka. Najlepiej będzie dać mu tyle czasu, ile potrzebuje.

– W porządku. – Soraya pokiwała głową z rezygnacją.

– No to jedźmy na miejsce zbrodni.

– Jak pani sobie życzy.

Skrzywiła się w uśmiechu.

– Proszę do mnie mówić po imieniu. Soraya.

– Tylko wtedy, gdy pani też będzie się tak do mnie zwracała. Aaron.

– Umowa stoi.

• • •

– *Documentos de identidad, por favor.*

Bourne podał paszport uzbrojonemu żołnierzowi. Mężczyzna wpatrywał się w niego i jednocześnie kartkował dokument. Była to druga blokada drogowa, na jaką się natknął. Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii stały się wyjątkowo aktywne w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, ku wielkiemu zdenerwowaniu prezydenta tego kraju. A potem nastąpiła inwazja na więzienie La Modelo, której celem było umożliwienie ucieczki Robertowi Corellosowi. Urażony tym *El Presidente* zaczął popisywać się siłą własnego wojska. Bourne był pewny, że *federales* szukali okazji do wykonania egzekucji w trybie przyspieszonym na jakimkolwiek buntowniku z FARC, który wpadłby im w ręce.

Żołnierz oddał mu paszport i bez słowa machnął ręką, żeby odjechał. Bourne wrzucił bieg i ruszył za jadącą przed nim karawaną ciężarówek z naczepami. Był w drodze od kilku godzin i dotarł teraz wysoko w góry.

Ibagué leżało przy trasie 40, która łączy Bogotę z Cali, a potem biegnie dalej do wybrzeża Pacyfiku. Znajdowało się na płaskowyżu tysiąc dwieście pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza na wschodnim zboczu Kordyliery Środkowej, centralnego łańcucha Andów.

Autostrada wiła się niebezpieczną serpentyną. Wąska szosa opadała dziesiątki metrów w dół między lasy szpiczasto zakończonych sosen albo pozostałości gigantycznych rumowisk skalnych. Co jakiś czas widział wysokie zwęglone pnie sosen, najwyraźniej trafione piorunem.

Niebo wyglądało niewiarygodnie, niczym kalejdoskop szybko przemieszczających się formacji chmur i oślepiającego słońca. Wysokość i umiejscowienie na południowej półkuli sprawiały, że promienie słoneczne oświetlały wszystko z zaskakującą wyrazistością. Nad nim szybowały czarne krzyże kondorów unoszących się w prądach gorącego powietrza.

Zgodnie z tym, co mówił Jalal Essai, niedługo powinien dotrzeć do La Línei – najdłuższego tunelu w Ameryce Łacińskiej. Przebito go przez górę znaną jako Alto de La Linea, licząc na zmniejszenie ruchu na zapchanej ciężarówkami autostradzie do portu Buenaventura nad Pacyfikiem. Tunel był na tyle nowy, że nie zaznaczono go jeszcze na mapie, która leżała rozłożona na siedzeniu obok niego. Essai miał rację, ostrzegając, że komórki nie miały tam zasięgu, a jego telefonowi satelitarnemu brakowało funkcji GPS.

Ruch był natężony, karawany ciężarówek sunęły z identyczną prędkością w stronę majestatycznej góry. I wtedy tuż za zakrętem pojawił się wjazd do La Línei, czarnej dziury, w której niknął rząd samochodów, by pojawić się znowu po wschodniej stronie zbrocza.

Bourne wjechał do długiego tunelu przewierconego przez środek góry. Oświetlały go umieszczone po obu stronach argonowe lampy, których zimny niebieskawy blask prześlizgiwał się po karoseriach jadących pojazdów.

Ruch spowolniał, jak zwykle w tunelach, ale samochody posuwały się do przodu ze stałą prędkością. Bourne minął znak pokonania trzech czwartych długości tunelu i zaczynał dostrzegać majaczące w dali światło dzienne, gdy rząd ciężarówek nagle zwolnił jeszcze bardziej. Pojawiło się morze jaśniejących rubinowoczerwonych świateł stopu. Samochody się zatrzymały.

Czyżby doszło do wypadku? A może to kolejna blokada drogowa? Bourne wyciągał szyję, uniósł się na fotelu. Nie błyskały żadne światła, nie widać było drewnianych kozłów, których żołnierze używali do blokowania dróg.

Wyślizgnął się z samochodu. Chwilę później spostrzegł grupę mężczyzn przeciskających się między rzędami pojazdów i zbliżających w jego kierunku. Byli uzbrojeni w pistolety maszynowe, ale nie mieli na sobie mundurów kolumbijskiej armii. To grupa rebeliantów z FARC zatrzymała ruch. Po co?

Teraz widział już ich dowódcę, mężczyznę o szerokich ramionach, z brodą, o oczach koloru kawy, którego nie było w stanie zmienić argonowe światło. Jeden mężczyzna przystawał przy każdym samochodzie i pokazywał kierowcy zdjęcie przesłane faksem, podczas gdy pozostali sprawdzali tylne siedzenia i bagażniki. Przy ciężarówkach dłużej się im schodziło, bo żołnierze musieli często grozić kierowcom bronią, żeby otworzyli naczepy i pozwolili im sprawdzić ich zawartość.

Jason ostrożnie podszedł bliżej, mijając innych kierowców, którzy również zdążyli już wysiąść i zdenerwowani rozmawiali ze sobą. W pewnej chwili zobaczył wyraźnie przefaksowane zdjęcie. Patrzył na samego siebie. To jego poszukiwali buntownicy. Nie miał czasu na zastanawianie się z jakiego powodu. Obrócił się na pięcie, podbiegł do swojego samochodu i przeszukał schowek na rękawiczki, w którym znalazł śrubokręt i klucz francuski, oba narzędzia bardzo przydatne jako broń.

Wysiadł z wozu, przykucnął i wpełznął pod stojącą tuż obok furgonetkę, a potem poczołgał się w kierunku wjazdu do tunelu. Trzy pojazdy dalej wyszedł na tyłach ciężarówki ze skrzynią. Chwycił nylonową linkę, którą była przywiązana brezentowa plandeka i podciągnął się na

skrzynię. Z większej wysokości miał lepszy widok. Zobaczył kolejnych żołnierzy FARC zbliżających się z drugiej strony. Przed siebie czy z powrotem, obie drogi miał zablokowane.

Odwiązał część plandeki i wskoczył do środka. Na konopnych workach widniało logo znanej plantacji. Śrubokrętem rozdarł róg jednego z nich. Ciężarówka wiozła zielone ziarna kawy. Zostawił przedmioty zabrane z samochodu, wychynął spod plandeki i ostrożnie popatrzył przed siebie. Partyzanci przemieszczali się do przodu. Znajdowali się już niedaleko jego wozu. Kiedy zorientują się, że jest pusty, nabiorą przekonania, że ich zwierzyna jest gdzieś blisko. Musi stąd zniknąć, zanim do tego dojdzie.

Położył się na asfalcie i przeczołgał wzdłuż boku ciężarówki. Kierowca stał przed maską i rozmawiał nerwowo z innym mężczyzną, prawdopodobnie szoferem innej ciężarówki albo swoim zmiennikiem. Drzwi kabiny były otwarte. Bourne wślizgnął się do środka i zerknął przez przednią szybę. Kierowca wyciągnął paczkę papierosów, wytrząsnął jednego i włożył go między wargi. Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę, ale jej nie znalazł. Odwrócił się i zaczął iść w kierunku kabiny swojej ciężarówki.

Jason zamarł.

• • •

Aaron stał na jezdni Place de l'Iris.

– To właśnie w tym miejscu został przejechany pan Laurent – powiedział.

– Wiadomo coś o samochodzie, który na niego wpadł?

– Niewiele. Świadkowie nie są zgodni co do marki. Fiat, bmw, citroen.

– Przecież te samochody nawet nie są do siebie podobne.

– Świadkowie – prychnął inspektor. – Ale znaleźliśmy odpryski farby na ofierze.

Soraya przyglądała się asfaltowi.

– Tu też niewiele można zobaczyć.

Aaron przykucnął obok niej.

– Ci sami świadkowie twierdzą, że tuż przed wypadkiem wszedł na jezdnię.

– Wszedł na jezdnię przy takim ruchu i nawet się nie rozglądał? – Soraya miała wyraźne wątpliwości.

Inspektor wzruszył ramionami.

– Może coś odwróciło jego uwagę. Może ktoś do niego zadzwonił, może przypomniał sobie, że powinien odebrać pranie z pralni. – Powtórnie wzruszył ramionami jak typowy Francuz. – Kto wie?

– Ktoś wie – odpowiedziała. – Osoba, która go zabiła. – Coś przyszło jej do głowy, bo raptownie się wyprostowała. – Gdzie znaleziono jego telefon komórkowy?

Aaron pokazał jej, a Soraya cofnęła się na chodnik.

– A teraz, kiedy zejdziesz na jezdnię, najedź na mnie.

– Co?

– Słyszałeś – powiedziała trochę zniecierpliwiona. – Zrób to i tyle.

Wyjęła własną komórkę, przyłożyła ją do ucha, a potem energicznym krokiem zeszła z krawężnika na jezdnię, podczas gdy Aaron, biegnąc, wpadł na nią. Jej prawe ramię zostało wyrzucone ukośnie do góry i gdyby mocno nie trzymała telefonu, wypadłby jej z ręki i znalazł

się mniej więcej w tym samym miejscu co komórka Laurenta.

Na jej twarzy powoli rozkwitał uśmiech.

– Rozmawiał przez telefon, kiedy wpadł na niego samochód.

– I co z tego? Ludzie interesu cały czas gadają przez telefon. – Najwyraźniej na Aaronie nie zrobiło to wrażenia. – To zwykły przypadek.

– Może masz rację – oświadczyła. – A może nie. – Odwróciła się w kierunku samochodu. – Porozmawiajmy z twoim informatykiem i dowiedzmy się, czy dał radę wyciągnąć coś z karty SIM tego telefonu.

Kiedy szli z powrotem do wozu Aarona, zatrzymała się i obejrzała za siebie. Popatrzyła na budynek stojący przy chodniku, gdzie doszło do wypadku. Powędrowała wzrokiem w górę wzdłuż lśniącej zielonej fasady ze szkła i stali.

– Co to za budynek? – zapytała.

Aaron zmrużył oczy w blasku południowego słońca.

– To bank Île de France. Dlaczego pytasz?

– Niewykluczone, że Laurent właśnie stamtąd wyszedł.

– Nie widzę powodu – skomentował, zaglądając do notatek. – Ofiara pracowała dla Monition Club.

Kolejny nowy dla niej szczegół z życiorysu niedoszłego informatora.

– To stowarzyszenie archeologiczne mające oddziały tutaj, w Waszyngtonie, Kairze i Rijadzie – dodał Aaron.

– Mówiąc tutaj, masz na myśli La Défense?

– Nie. To w Ósmej Dzielnicy, pod numerem piątym przy rue Vernet.

– W takim razie, co, do cholery, tutaj robił? Brał pożyczkę?

– Monition Club jest bardzo bogaty – powiedział Aaron, ponownie zerkając do notatek. – W każdym razie sprawdziłem w Île de France. Nie był z nikim umówiony w tym banku, nie był jego klientem i w ogóle nigdy tam o nim nie słyszeli.

– To co tu robił rankiem w normalny dzień pracy?

Aaron rozłożył ręce.

– Moi ludzie nadal próbują to ustalić.

– Może miał tu przyjaciela. Rozmawiałeś z jego współpracownikami z Monition?

– Nikt tam nie znał go za dobrze, najwyraźniej był odludkiem. Podlegał bezpośrednio przełożonemu. Nikt nie potrafił mi powiedzieć, co mógł robić w La Défense. Szef Laurenta wyjechał i wraca dopiero dziś wieczorem. Umówiłem się z nim na spotkanie jutro rano.

Soraya odwróciła się do niego.

– Jesteś bardzo skrupulatny.

– Dzięki. – Inspektor nie był w stanie stłumić uśmiechu.

Soraya podeszła do jego samochodu, ale zanim wsiadła, ostatni raz popatrzyła na budynek Île de France. Było w nim coś, co jednocześnie ją pociągało i odpychało.

• • •

Kierowca ciężarówki krzyknął coś do kolegi, a potem odwrócił się i podszedł do niego, zwabiony pudełkiem zapalek, którym tamten potrząsał. Pochylił się, podczas gdy kumpel,

osłaniając ręką zapalną, podał mu ogień. Wrócił na miejsce przy wozie, wciągając głęboko dym w płuca, a potem spojrzał nerwowo ponad ramieniem, chcąc sprawdzić, jak postępuje kontrola FARC.

Bourne szybko obejrzał siedzenie obok i schówek na rękawiczki. Nic. I wtedy w dziurze między fotelami od strony pasażera zobaczył tanią plastikową zapalniczkę. Musiała wypaść kierowcy z kieszeni, gdy wysiadał. Chwycił ją. Wymknął się z kabiny ciężarówki i poszedł wzdłuż rzędu pojazdów, aż natknął się na grupę kierowców.

– *Hombre, sabe usted lo que esta pasando?* – zapytał go jeden z nich. – Wiesz, co się tu dzieje?

– Rebelianci z FARC – odpowiedział Bourne, co jeszcze bardziej ich poruszyło.

– *Ai de mi!* – krzyknął inny.

– Posłuchajcie, koledzy – rzucił Bourne. – Czy ktoś ma kanister z benzyną? Mam prawie pusty bak. Jeżeli rebelianci każą mi przestawić ciężarówkę, nie będę mógł tego zrobić, a wtedy mnie zastrzelą.

Mężczyźni pokiwali głowami ze zrozumieniem. Jeden z nich odbiegł. Chwilę później wrócił i podał Bourne'owi kanister.

Bourne podziękował mu wylewnie i odszedł. Kiedy zyskał pewność, że nikt go nie widzi, wspiął się na skrzynię ciężarówki z kawą i zniknął pod brezentową plandeką.

W środku zrobił śrubokrętem dziurę w kanistrze blisko dna, tak że benzyna wyciekała powoli na worki. Wtedy ją podpalił. Buchnął płomień, a zaraz potem pojawiły się kłęby gęstego dymu, tak gryzącego, że dusił. Bourne, wstrzymując oddech, zeskoczył ze skrzyni, zanim wyciekło więcej benzyny i ogień się rozprzestrzenił. Oczy mu łzawiły. Dym zaczął się wydobywać przez dziurę w plandece. Chwilę później zajął się sam brezent. Płomienie pełzały ku górze, a dym jeszcze się nasilał, w miarę jak ogień obejmował kolejne worki. Czarne kłęby szybko sięgnęły sklepienia tunelu i rozchodziły się horyzontalnie.

Wystarczyło kilka chwil, żeby widoczność na tym odcinku tunelu stała się bardzo zła. Ludzie kasłali, oczy im łzawiły tak silnie, że praktycznie nic nie widzieli. Z przodu rozległy się krzyki żołnierzy. Za moment przebił się przez nie bas dowódcy, który nakazywał swoim ludziom odwrót. Ale dym był zbyt gęsty, żołnierze stali zgięci wół i ciężko dyszeli.

Bourne rzucił się do ucieczki, rozpychając na boki zarówno partyzantów, jak i kierowców. Klucz francuski trzymał mocno w prawej ręce. Z dymu wyłonił się żołnierz FARC, niespodziewanie blokując mu drogę własnym ciałem i pistoletem maszynowym. Bourne walnął go kluczem w policzek, kopnął w krocze i wyminął leżącego już na ziemi. Niemal w tym samym momencie pojawił się następny. Jason nie miał czasu do stracenia. Przyjął dwa bolesne ciosy, ale w końcu udało mu się wpakować facetowi śrubokręt między żebra. Rebeliant upadł.

Nieco dalej stał brodaty dowódca oddziału. Bourne zaszedł go z innego pasa jezdni. Prześlizgnął się po masce samochodu, złapał mężczyznę, rozbroił i mocno szarpiąc potykającego się, pociągnął za sobą w kierunku światła dalekiego wylotu tunelu.

Kolumbijczyk ciężko dyszał i kasłał od dymu. Z przekrwionych oczu płynęły mu łzy i toczyły się po oszpeconych ospą policzkach. Uderzył na oślep. Był bardzo silny. Dopiero mocny cios Bourne'a wymierzony w krtań bokiem dłoni zmusił go do posłuszeństwa.

Bourne ciągnął go tak szybko, jak mógł. Nie słuchał przekleństw krztuszącego się dowódcy.

Byli już poza zasięgiem posuwających się do przodu rebeliantów. Daleko przed sobą zobaczył byle jak ustawioną blokadę z pojazdów FARC: cztery jeepy i ciężarówkę z budą do przewozu zaopatrzenia, broni i amunicji. Dwóch kierowców, którzy palili papierosy, chwyciło pistolety i wycelowało w Bourne'a. W tej samej chwili spostrzegli dowódcę, z lufą jego makarowa przytkniętą do skroni.

– *Ponga sus armas hacia abajo!* – zawołał Bourne, ciągnąc mężczyznę za ramię.

Kiedy się zawahali, uderzył dowódcę kolbą tuż za prawym uchem. Trysnęła krew, brodacz wrzasnął. Rebelianci odłożyli broń na maskę ciężarówki.

– *Ahora se alejan de los jeeps!*

– *Haz lo que dice!* – krzyknął dowódca i ponownie zaczął się krztusić.

Partyzanci cofnęli się od jeepów. Bourne wepchnął dowódcę do jednego z samochodów i sam wsiadł zaraz za nim. Jeden z kierowców sięgnął gwałtownie po pistolet. Jason strzelił mu w ramię. Gdy facet obracał się wokół własnej osi, zanim upadł na ziemię, zapytał drugiego:

– *Tu turno?*

Kierowca uniósł ramiona nad głowę i ani drgnął, najwyraźniej nie mając ochoty podzielić losu kolegi.

– *Si vienen despues de nosotros, lo mato!* – zawołał Bourne do mężczyzn, gdy zapalił silnik i wrzucił bieg. – Jeśli będziecie nas ścigać, zabiję go.

Wcisnął pedał gazu i odjechał z piskiem opon, byle dalej od dymiącego tunelu.

Rozdział 7

Gdy Peter wrócił do siedziby Treadstone, włączył komputer, zalogował się swoim kryptonimem, używając algorytmu na ten dzień, i sprawdził słowo „Samaritanin” we wszystkich utajnionych bazach danych służb specjalnych. Nie zdziwił się, że wynik był zerowy. Siedział wpatrzony w monitor, a potem wpisał „Indigo Ridge”.

Tym razem miał natychmiastowy wynik. Czytał rządową ocenę z rosnącą fascynacją. Indigo Ridge, obszar w Kalifornii, okazał się kluczową strefą wydobywania metali ziem rzadkich. Metale te, czytał, są niezbędne do produkcji akumulatorów niklowo-wodorkowych, których używał na co dzień, ale nigdy o tym nie myślał. W rzeczywistości jest to nasycony wodorem stop niklu i lantanu – z ziem rzadkich. Metale ziem rzadkich są wykorzystywane w każdym laserze i wojskowej elektronice, w urządzeniach do zagłuszania, działach kinetycznych, urządzeniach akustycznych dalekiego zasięgu i systemach obronnych montowanych w wozach bojowych Stryker. Lista nowatorskich broni wymagających zastosowania metali ziem rzadkich była imponująca.

Następny rozdział dotyczył NeoDyme, firmy, która miała zająć się wydobywaniem metali ziem rzadkich w Indigo Ridge. NeoDyme weszła właśnie na giełdę, ale miała wsparcie finansowe amerykańskiego rządu. Peter natychmiast zrozumiał strategiczne znaczenie NeoDyme i Indigo Ridge. Najwyraźniej Samaritanin był w jakiś sposób powiązany z wydobywaniem metali ziem rzadkich. Ale jaki miał cel?

Peter wstał i się przeciągnął. Wychodząc z gabinetu, dał gestem znać Ann, sekretarce, żeby została na miejscu, i poszedł zrobić sobie kawy i wziąć czerstwego pączka. Mieszając cukier w kawie składającej się w połowie z mleka, wrócił do pokoju z kubkiem i pączkiem, żeby pomyśleć.

Od kiedy pamiętał, cukier był dla niego doskonałym stymulatorem myślenia. Pochłaniając pączka, rozpamiętywał spotkanie Hendricksa i Danzigera. I wtedy na coś wpadł: A jeśli Samaritanin jest przedsięwzięciem międzyagencyjnym? Czyłoby to z niego prawdziwego giganta. Peter ponownie poczuł ostre ukłucie żalu, że został pominięty. Jeśli Hendricks mu nie ufał, to dlaczego chciał, żeby Peter szefował Treadstone? To nie miało sensu. Peter nie lubił zagadek, zwłaszcza gdy pojawiały się na jego terenie. Zaraz jednak pomyślał o czymś innym, co sprawiło, że usiadł wyprostowany. Próbując dowiedzieć się czegoś o Samaritaninie, był w stanie wejść do wszystkich utajnionych baz danych służb specjalnych. Hendricks powiedział mu o tym dostępie niemal mimochodem. Dziwne, bo o ile Peter się orientował, było to dokonaniem bezprecedensowym. Najróżniejsze służby strzegły zazdrośnie swoich danych, nawet tych upubliczniczonych po reorganizacjach będących następstwem jedenastego września. Będąc w centrum wydarzeń, Peter wiedział, że służyło to jedynie kreowaniu dobrego wizerunku tych służb, bo amerykańską opinię publiczną trzeba było uspokoić i utwierdzić w poczuciu bezpieczeństwa. Tak naprawdę w sprawie dzielenia się informacjami wywiadu między agencjami praktycznie nic się nie zmieniło. Społeczność tajnych służb była nadal feudalnym koszmarem odrębnych państweczek, rządzonych przez interesujących się wyłącznie

polityką kacyków, którzy zabiegali o fundusze z Kongresu w obliczu rozpaczliwych cięć budżetowych i zmniejszenia liczby personelu, wymuszanych przez obecny klimat gospodarczy.

Strzepnął lukier z opuszek palców, napił się kawy i rzucił ponownie w gąszcz ściśle tajnych informacji, do których miał łatwy dostęp dzięki szefowi. W którymś momencie zaczął się zastanawiać, czy Hendricks miał jakiś ukryty motyw, gdy organizował ten dostęp dla Treadstone.

Nie potrafił się powstrzymać od roztrząsania, dlaczego sekretarz obrony powiedział mu o tym w tak bezceremonialny sposób. Peter był szkolony w podejrzliwości, w dostrzeganiu przemilczanych powodów decyzji, w zagłębianiu się w ciemne pokłady tego, co ludzie powiedzieli i zrobili. Czy Hendricks dał mu w ten sposób do zrozumienia, żeby pogrzebał w tajnych bazach danych? Ale po co?

A jeśli to miało coś wspólnego z samym Hendricksem? Znalazł się przy komputerze sekretarza obrony i usiadł przed nim na moment, wpatrując się w mrugający pasek z prośbą o podanie hasła. Zastanawiał się nad słowami, których szef mógł użyć. Siedząc wygodnie, zamknął oczy i rozpamiętywał naradę w domu Hendricksa z tego ranka. Brał pod lupę wszystko, co zostało wtedy powiedziane, każdy ruch wykonany przez sekretarza.

Potem przypomniał sobie dziwną wypowiedź Hendricksa na pożegnanie: „A tak przy okazji, udało mi się zyskać dostęp Treadstone do wszystkich baz danych tajnych służb”. Zmarszczył czoło. Nie, to niezupełnie tak brzmiało. Jeszcze bardziej zmarszczył czoło, usiłując przypomnieć sobie dokładnie słowa sekretarza.

– Przepraszam, panie dyrektorze.

Podniósł wzrok i zobaczył Ann stojącą w drzwiach.

– O co chodzi? – warknął.

Wzdrygnęła się. Nie była jeszcze przyzwyczajona do nastrojów szefa.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale mam problem z synem w szkole i chciałabym wyjść parę godzin wcześniej.

– Nie ma sprawy – odpowiedział i machnął ręką. – Proszę iść. – Myślami zdążył już wrócić do miejsca, w którym skończył.

Ann zrobiła kilka kroków, ale przystanęła i odwróciła się do niego.

– Och, niemal zapomniałam. Zanim pani dyrektor Moore wyszła, prosiła, żeby podłączyć dodatkowy serwer do jej...

– O co poprosiła?

Peter obrócił się szybko na fotelu w jej stronę i na wpół się podniósł. Ann zbladła, najwyraźniej śmiertelnie wystraszona. Mimo rosnącej ekscytacji wreszcie to zauważył i zmusił się do mówienia spokojniejszym głosem.

– Ann, czy powiedziałaś, że Soraya prosiła o dodatkowy serwer?

– Tak. Będzie instalowany dziś wieczorem, więc gdyby przypadkiem pracował pan do późna...

– Dziękuję, Ann. – Uśmiechnął się do niej, choć nie przyszło mu to łatwo. – A co do syna, weź tyle wolnego, ile potrzebujesz.

– Dziękuję panu, dyrektorze. – Trochę zdezorientowana odwróciła się, złapała płaszcz, torebkę i wyszła.

Obracając się ponownie do monitora komputera, Peter intensywnie myślał o tym, co

dokładnie powiedział Hendricks.

I wtedy odtworzył jego słowa w pamięci: „A tak przy okazji, udało mi się zyskać dostęp serwerów Treadstone do wszystkich baz danych tajnych służb”.

Serwery. Peter otworzył szeroko oczy. Dlaczego, do licha, to powiedział, skoro serwery nie miały nic wspólnego z dostępem? Wpatrywał się w migający pasek pośrodku ekranu, proszący o zagadkowe słowo. Jezu Chryste, pomyślał, czy to może być takie proste?

Lekko trzęsącymi się palcami wklepał słowo: „Serwery”.

Pasek od razu zmienił się w drzewo plików. Peter patrzył z niedowierzaniem. Był w komputerze Hendricksa. Sekretarz chciał, żeby tam wszedł, tego był absolutnie pewny. Przekazał Peterowi zaszyfrowaną wiadomość. Dlaczego nie mógł powiedzieć tego wprost?

W pierwszym odruchu pomyślał, że Hendricks bał się ewentualnych podsłuchów zamontowanych w domu, ale od razu odrzucił ten pomysł. Dom sekretarza i jego biuro sprawdzano elektronicznie dwa razy w tygodniu. Zatem Hendricks obawiał się czegoś innego. Czy chodziło o kogoś z wewnętrznego kręgu, któregoś z jego ludzi?

Nie spuszczał oczu z monitora. Miał przeczucie, że znajdzie odpowiedź gdzieś w drzewie plików sekretarza. Pochylił się nad klawiaturą i zabrał do pracy z gorączkową intensywnością.

• • •

– To zupełne szaleństwo – powiedział dowódca FARC do Bourne’a, który wjeżdżał właśnie na trasę 40.

– Skąd wiedzieliście, że byłem w tunelu? – zapytał Bourne.

– Będiesz ścigany i na końcu świata. – Nazywał się Suarez. Chętnie zdradził swoje nazwisko i wyjawiał, dlaczego jest pewny, że Bourne umrze.

Jason się uśmiechnął.

– Nawet jeden z twoich ludzi nie dałby rady wydostać się z Kolumbii.

Suarez się roześmiał, choć miejsce za prawym uchem bardziej go przez to rozboleło.

– Myślisz, że FARC to jedyna organizacja, do której należę?

Bourne zerknął na niego i dopiero teraz zauważył złoty sygnet pobłyskujący na grubym palcu wskazującym prawej ręki.

– Należysz do Severus Domna.

– A ty jesteś trupem – odpowiedział dowódca obojętnym tonem.

W tej samej chwili chwycił kierownicę. Bourne walnął go lufą makarowa po wierzchu dłoni. Suarez zaryczał jak ranny byk. Cofnął gwałtownie rękę, zakrywając ją drugą dłonią.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – wrzeszczał. – Złamałeś ją!

– Odpręż się – wymamrotał do siebie Jason, gdy mknęli dalej. Wprawnie wymijał ospałe ciężarówki i załadowane pick-upy.

Suarez, kiwając się z bólu w przód i w tył, rzucił przez zęby:

– Z jakiego powodu jesteś taki zadowolony, *maricón*?

Przez jakiś czas Bourne był skupiony na przemykaniu między pojazdami. A potem odpowiedział:

– Wiem, skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać.

– Nie – zaoponował Suarez. – Nie wiesz.

– Ktoś z ostatniej blokady drogowej przed tunelem rozpoznał mnie i dał ci znać przez radio, ktoś, kto też jest w Domnie.

– To prawda, ale ja nie wykonuję żadnych rozkazów. Twoja śmierć to prezent dla mojego przyjaciela, a twojego wroga.

Twarz Suareza pobladła, ból wywołał krople potu na czole tuż pod linią włosów. Wpatrywał się przed siebie aż do chwili, gdy przesunął wzrok na lusterko boczne. Uśmiech zawitał na jego ustach, lecz zaraz zniknął. Bourne, który zerkał w lusterko wsteczne mniej więcej co minutę, zobaczył dwa motocykle pojawiające się między samochodami w tłoku za nimi.

– Roberto Corellos dał nam bardzo dużo forsy, żebyśmy cię zabili.

Zatem to Corellos mścił się na nim za utratę twarzy przed własnymi ludźmi. Teraz stali się śmiertelnymi wrogami.

– Lepiej zapnij pasy – powiedział.

Zaczekał, aż motocykle wyrwały przed samochody jadące za nimi, a potem przyspieszył. Nabierając prędkości, jednoślady zmniejszyły dzielący ich dystans. W momencie, gdy jechały z maksymalną szybkością, wcisnął hamulec tak mocno, że jeep zostawił gumowy ślad na nawierzchni autostrady. Pojazdem zarzuciło gwałtownie w jedną, później w drugą stronę, podczas gdy Bourne wrzucił luz. Samochód zataczał się na jałowym biegu, opony z trudem trzymały się drogi.

Motocykle przemknęły obok, a potem gwałtownie zahamowały, zakreślając szerokie koło. Bourne ponownie wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu. Jeep wyskoczył do przodu, walnął kratownicą motocyklistę znajdującego się po prawej stronie. Trafił go z boku. Siła uderzenia wyrzuciła maszynę w górę. Niewiele brakowało, by Suarez uderzył czołem o przednią szybę. Motocykl opadł na pobocze i wszedł w ostry poślizg. Motocyklista usiłował rozpaczliwie odzyskać nad nim kontrolę, gdy sunął po makadamowej nawierzchni. W chwilę później zniknął w dole stoku.

Kula z pistoletu zmieniła przednią szybę jeepa w pajęczynę. Jason wrzucił wsteczny bieg i błyskawicznie obrócił samochód, ustawiając go przodem do drugiego motocyklisty, który ponownie celował z pistoletu. Motor stał między jeepem a zboczem góry wznoszącej się na dziesiątki metrów. Dzięki blokadzie FARC nie nadjeżdżały żadne samochody, a kierowcy wozów, które były na drodze, chcieli teraz jak najszybciej uciec przed panującym tu zamieszaniem.

Bourne ruszył prosto na motocyklistę, który celował dokładnie w niego.

– *Dios mio*, co ty, do cholery, wyprawiasz?! – wrzeszczał Suarez. – Zabijesz nas obu!

– Jeśli będzie taka potrzeba – odpowiedział Bourne.

– Opinie o tobie to szczerą prawdą. – Dowódca wpatrywał się w niego. – Jesteś wariatem.

Motocyklista musiał dojść do takiego samego wniosku, bo po chaotycznej serii strzałów ruszył gwałtownie, wyrzucając żwir spod kół. Jason zahamował, wyciągnął lewe ramię i strzelił. Mężczyzna spadł z siodelka motoru, a jego maszyna uderzyła w stojący samochód, który z kolei wpadł na ciężarówkę, znajdującą się przed nim.

Bourne wystartował i mknął po autostradzie, zupełnie opustoszałej dzięki blokadzie partyzantów i pożarowi w tunelu.

Rozdział 8

Dziesięć tysięcy metrów nad ziemią Boris Karpow siedział w samolocie i wpatrywał się w niebieskawoszare chmury za oknem. Jak zawsze, gdy opuszczał Rosję, miał mieszane uczucia. Dumał o tym, że Rosjanin nigdy nie czuje się dobrze poza ojczyzną. Zresztą, cóż w tym dziwnego. Rosjanie to nietuzinkowi ludzie – są naprawdę wyjątkowi, jeśli weźmie się pod uwagę ich straszliwą historię i to, co przeżyli pod władzą carów, Kozaków, Stalina i Berii. Jego piękny kraj bezustannie okrywały ciemności. Altruizm nie był popularną cechą w mentalności Rosjan – nędza od tak dawna czyniła instynkt samozachowawczy głównym motorem wszelkiego działania, że zagnieździł się na dobre w rosyjskiej psychice – ale pod tym względem Boris różnił się od rodaków. Jego miłość do Rosji sprawiała, że chciał lepszego życia, ale nie tylko dla siebie, również dla tych, którzy ciągle wypatrywali na niebie światła będącego poza ich zasięgiem.

Stewardesa obsługująca pierwszą klasę spytała, czy ma wszystko, czego potrzebuje.

– Kończymy piec ciastka czekoladowe – powiedziała, pochylając się nad nim z uśmiechem. Była blondynką o niebieskich oczach – typem nordyckim, jak ocenił – i mówiła z lekkim akcentem. – Mogę je panu podać z mlekiem, mlekiem czekoladowym, kawą, herbatą lub może z jakimś alkoholem.

Ciastka z mlekiem, pomyślał Karpow z cierpkim uśmiechem, jakie to amerykańskie.

– Klasyczny zestaw – powiedział, wywołując u stewardesy cichy śmiech.

– Ach, panie Stonyfield, wy, Amerykanie – rzuciła z tkliwością, używając nazwiska legendy Karpowa. Z szelestem rajstop ocierających się o materiał spódnicy ruszyła dalej między fotelami.

Karpow ponownie oddał się rozmyśleniom. Rzecz jasna Amerykanie rodzili się już uprzywilejowani i dlatego patrzyli z góry na wszystkich innych. Ale czego innego można się spodziewać po ludziach, którym los szczególnie sprzyja? Karpow nie wiedział, co myśleć o tym, że był brany za jednego z nich. Czekał na własną reakcję, a kiedy już do tego doszło, przekonał się, że to upokarzające doświadczenie, jakby był wieśniakiem, którego jakimś cudem przez moment traktowano niczym absolwenta Yale. Błąd stewardesy pomniejszał go w jakiś sposób, choć nie umiałby sprecyzować tego wrażenia. Przypominało lustro, w którym widniało wszystko, czego nigdy nie dostał od chwili urodzenia.

Rodzice mieli dla niego niewiele czasu, zajęci ponurą i cichą walką mającą na celu ustalenie, kto miał więcej romansów w trakcie ich małżeństwa. Żadnemu z nich nawet nie przyszła do głowy myśl o rozwodzie, bo to zanegowałoby reguły gry. W rezultacie prawie nie zauważyli, gdy siostra Karpowa, Aliks, umarła na zapalenie mózgu. Karpow się nią opiekował, niańczył w czasie strasznej, wyniszczającej choroby, najpierw zaraz po szkole, a potem, po rzuceniu nauki, przez cały czas. Kiedy odwieziono ją do szpitala, pojechał razem z nią. Nabral przekonania, że rodzice poczuli ulgę, gdy obojga dzieci nie było w domu.

– Tak mi smutno – mamrotała matka, przygotowując śniadanie. – Tak cholernie smutno.

Jednak przez większość ranków w ogóle jej nie widywał. Domyślał się, że nigdy nie

spędzała nocy w domu.

– Nie mogę tego znieść – tylko na takie słowa stać było jego ojca, jeśli już pojawiał się rankiem. Nie umiał się zdobyć na popatrzenie na Aliks, nie mówiąc o zajrzeniu do jej pokoju. – I po co? – odpowiedział na pytanie Borisa pewnego ranka. – Nie wie nawet, że tu jestem.

A było wręcz przeciwnie. Karpow miał pełną świadomość, że Aliks wiedziała, kiedy ktoś z nią był. Często ścisnęła mu rękę, gdy siedział obok niej na brzegu łóżka. Czytał jej książki, które sam kupował. Przy innych okazjach czytał na głos teksty z podręczników szkolnych, które uznał za ważne na tyle, że powinien się ich nauczyć. Tak odkrył w sobie zamiłowanie do historii. Najbardziej lubił czytać jej o dawnych dziejach Rosji, choć sam przyznawał, że niektóre opowieści były bardzo smutne albo strasznie trudne do pojęcia.

Trwał przy jej łóżku, gdy umarła. Po oświadczeniu lekarza przytłaczająca cisza zaległa na sali. Można było pomyśleć, że cały świat zatrzymał się w miejscu, nawet jego serce. Miał wrażenie, że w każdej chwili może mu się zapaść klatka piersiowa. Zapach środków dezynfekcyjnych przyprawiał go o duszność. Pochylił się nad woskową buzią Aliks i pocałował jej zimne czoło. Na zewnątrz nie było widać żadnych oznak brutalnej i zmasowanej wojny, jaka przetoczyła się przez jej mózg.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytała jedna z pielęgniarek, gdy wychodził z sali.

Pokręcił przecząco głową, zbyt wiele tłumionych emocji nie pozwoliło mu na wydobywanie głosu. Echo pełne bólu, echo nieartykułowanych dźwięków, wydawanych przez ludzi chorych i umierających, podążało za nim korytarzami wyłożonymi linoleum. Na zewnątrz śnieg wypełniał zmiersch nad Moskwą, otoczoną poświatą. Ludzie szli tu i tam, rozmawiali, palili papierosy, a nawet się śmiali. Mężczyzna i kobieta, stykając się głowami i szepcząc coś do siebie, przeszli na drugą stronę ulicy. Matka ciągnęła za sobą małego synka, śpiewając mu cicho. Karpow patrzył na te obrazki codzienności niczym więzień spoglądający przez zakratowane okno na niebo i przepływające chmury. On już nie należał do tego świata. Został odcięty niczym chora gałąź drzewa.

W sercu Borisa, gdzie tak długo mieszkała Aliks, była teraz pustka. W oczach pojawiły mu się łzy, gdy szedł przez zwały śniegu, wsłuchiwał się w dzwony Świętego Wasyla, wytłumione i niewyraźne. Płakał nad siostrą, ale też nad sobą, bo teraz został naprawdę sam.

– Proszę pana?

Stewardesa zjawiła się ponownie z mlekiem i ciastkami. Karpow otrząsnął się niczym pies wychodzący z wody.

– Przepraszam – powiedziała. – Może wrócę później?

Pokręcił głową, a ona rozłożyła jego stolik i postawiła na nim talerz z ciastkami i szklanek mleka.

– Proszę uważać, są gorące – ostrzegła. – Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

Karpow uśmiechnął się do niej, ale było sporo smutku w tym uśmiechu.

– Może usiądzie pani koło mnie?

Jej dźwięczny cichy śmiech owionął go niczym chłodna bryza.

– Flirciarz z pana, panie Stonyfield – odpowiedziała.

Kręcąc głową, zostawiła go samego.

Karpow popatrzył na ciastka, w ogóle ich nie widząc. Myślał o Jasonie, myślał o tym, co był gotów zrobić, myślał o tym, co podjęta decyzja oznaczała nie tylko dla jego obecnego, ale

i dalszego życia.

Nic nie będzie już takie samo. Ta wiedza go nie przerażała – był w końcu przyzwyczajony do niewiadomego. Czuł jednak nieprzyjemne gniesienie w żołądku, jakby zalegał mu tam kamień, trwał w oczekiwaniu na to, co nieuniknione.

Teraz to już nie potrwa długo. I tylko to wiedział z całą pewnością.

• • •

Marcel Probst, informatyk z Quai d'Orsay, któremu inspektor Lipkin-Renais przekazał telefon komórkowy Laurenta razem z kartą SIM, był jednym z Francuzów, dla których wino, ser i arogancki uśmiezek są esencją życia.

Już w chwilę po zjawieniu się Sorai z Aaronem Probst nieprzyjemnym, niemal obraźliwym spojrzeniem dał jasno do zrozumienia, że jej nie lubi. Czy chodziło o to, że była muzułmanką, czy kobietą, czy też o jedno i drugie, tego Soraya nie potrafiła zgadnąć. Ale z drugiej strony nie był też zachwycony widokiem Aarona, więc tym trudniej było go zrozumieć. W każdym razie jego twarz, kwaśna jak cytryna, oznajmiała światu równie wyraźnie jak znaki ostrzegawcze na ulicy, że ma uprzedzenia.

Probst był elegancki, dobrze ubrany, dobiegał pięćdziesiątki. Innymi słowy stanowił dokładne przeciwieństwo amerykańskich informatyków, których znała Soraya. *Liberté, égalité, fraternité*, pomyślała, podchodząc do jego warsztatu pracy. Obok innych urządzeń stały tam laptop i oscyloskop, a przy nich głośniki wysokiej jakości.

– Co masz dla nas? – zapytał Aaron.

Probst wysunął dolną wargę, tworząc z niej coś w rodzaju dzióbka czajniczka do herbaty.

– Z aparatem telefonicznym nawet ja nic nie wskóram, a karta SIM to tragedia.

Najwyraźniej nie istniała taka spółgłoska, której nie starałby się połączyć. Może smakują jak brie, pomyślała Soraya. Informatyk uniósł brwi.

– Czy ktoś majstrował przy tym urządzeniu w czasie, gdy je tutaj przewożono?

– Z całą pewnością nie – odpowiedział Aaron, jakby poirytowany. – Znalazłeś coś czy nie? Przejdź do rzeczy, jeśli łaska.

Probst odchrząknął.

– To dziwne, ale z tego, co udało mi się ustalić, z karty SIM zniknęły wszystkie informacje.

Serce Sorai zamarło.

– Z powodu uszkodzeń?

– Tak, ale nie tylko z powodu wypadku. Widzi pani, ta karta SIM uległa dwóm rodzajom uszkodzeń. Jedno, o którym już wspominałem, jest natury fizycznej. – Popukał palcem w ekranik oscyloskopu i widoczną na nim poszarpaną linię. – Drugie natury elektronicznej.

– Co przez to rozumiesz? – zapytał Aaron.

– Nie mam stuprocentowej pewności – oznajmił Probst. – Ale wszystko wskazuje na to, że karta została poddana elektronicznej obróbce, która ją zupełnie skasowała. – Odkaslnął. – No, może nie do końca. Jedna wiadomość się zachowała – dodał. – Nie ma wątpliwości, że informacja została wprowadzona po elektronicznym czyszczeniu, ale zanim telefon stał się bezużyteczny.

– Chodzi panu o chwilę tuż przed tym, zanim samochód uderzył Laurenta – powiedziała

Soraya i natychmiast pożałowała, że się wtrąciła.

Informatyk popatrzył na nią, jakby była szczurem, który wpłynął do jego najświętszego przybytku.

– Chyba powiedziałem wyraźnie – odezwał się sztywno.

– No dalej – rzucił Aaron, siląc się na rzeczowość. – Przejdźmy do tego, co udało ci się ustalić.

Probst prychnął niczym jeden z bohaterów *Nędzników* Victora Hugo.

– Dobrze, że z tym do mnie przyszedłeś, inspektorze. Bardzo wątpię, by komuś innemu udało się wydostać z tego więcej niż jeden kilobajt informacji.

Po raz pierwszy na pozbawionych krwi ustach Probsta, cienkich jak palto skapca, pojawił się krzywy uśmiech. Stało się jasne, że pokazał intruzom ich właściwe miejsce.

– Oto, co zostało przesłane na kartę SIM w ostatniej chwili życia ofiary.

Na ekranie laptopa pojawiło się zagadkowe słowo: „dinoig”. Aaron pokręcił głową i odwrócił się do Sorai.

– Wiesz, co to znaczy?

Soraya popatrzyła na niego i powiedziała:

– Umieram z głodu. Zabierz mnie do swojej ulubionej restauracji.

• • •

Oddalony o wiele kilometrów od La Línei Bourne zjechał z autostrady w zagajnik, gęsty od drzew i wysokich krzaków. Wsiadł z jeepa, obszedł samochód i wyciągnął Suareza ze środka.

– Co robisz? – zapytał Suarez. – Dokąd idziemy?

Był roztrzęsiony. Miał zakrwawioną prawą stronę głowy, a prawą rękę, opuchniętą i posiniaczoną, podtrzymywał lewą dłoń.

Bourne ciągnął go za sobą i nie pozwalał upaść, gdy czasem Suarez się potykał. Kiedy nie było ich już widać z drogi, pchnął Kolumbijczyka na pień drzewa.

– Powiedz mi o roli, jaką odgrywasz w Domnie.

– To ci nie pomoże.

Gdy Bourne podszedł do niego, mężczyzna zasłonił się zdrową ręką.

– Dobrze, już dobrze! Ale powtarzam ci, że nic nie zyskasz. Domna jest zupełnie rozczłonkowana. Przewożę rzeczy dla grupy, kiedy jestem o to proszony, ale nic więcej nie wiem.

– Jakie rzeczy?

– Skrzynie są zaplombowane – odpowiedział Suarez. – Więc tego nie wiem i nie chcę wiedzieć.

– Z czego są zrobione te skrzynie? – zapytał Bourne.

Suarez wzruszył ramionami.

– Z drewna. Czasem ze stali nierdzewnej.

Jason zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Kto wydaje ci polecenia?

– Mężczyzna. Głos w telefonie. Nigdy go nie widziałem. Nie wiem nawet, jak się nazywa.

Bourne pstryknął palcami.

– Telefon.

Suarez niechętnie sięgnął do kieszeni lewą ręką i wyciągnął komórkę.

– Zadzwoń do swojego kontaktu.

Kolumbijczyk zaczął gwałtownie kręcić głową.

– Nie mogę. On mnie zabije.

Bourne chwycił spuchniętą rękę Suareza i złamał mu mały palec. Partyzant wrzasnął i bezskutecznie próbował wyrwać dłoń z jego ręki. Bourne pokręcił głową i ujął jego następny palec.

– Pięć sekund.

Pot spływał po twarzy Kolumbijczyka, plamił mu kołnierzyk.

– *Dios*, nie.

– Dwie sekundy.

Suarez otworzył usta, ale nic się z nich nie wydobyło. Bourne złamał mu drugi palec. Suarez niemal zemdlał. Kolana się pod nim ugięły i osunął się na ziemię oparty plecami o pień. Bourne wymierzył mu policzek. Oczy Suareza zwilgotniały, odwrócił się i zwymiotował na trawę.

Jason ścisnął jego środkowy palec.

– Pięć sekund.

– *Basta!* – krzyknął Suarez. – *Basta!*

Twarz miał białą jak kreda, drżał na całym ciele. Wpatrywał się w telefon komórkowy trzymany w spoczonej lewej dłoni. A potem, jakby wyrwany z transu, podniósł wzrok na Bourne'a.

– Co... co chcesz, żebym powiedział, *hombre*?

– Chcę znać jego nazwisko – odpowiedział Bourne.

– Nigdy mi go nie poda.

Jason mocniej ścisnął środkowy palec pokiereszowanej ręki Kolumbijczyka.

– Dowiedz się tego jakoś, *hombre*, albo będziemy kontynuować z tym, co zostało.

Suarez obliznął usta i skinął głową. Nacisnął klawisz, numer wyświetlił się na ekranie.

– Czeka! – powiedział Bourne, sięgnął ręką i przerwał połączenie.

– Co? – odezwał się Suarez słabym głosem. – O co chodzi? Zrobiłem, o co prosiłeś. Nie chcesz, żebym do niego dzwonił?

Bourne przykucnął i zaczął się zastanawiać. Wiedział, kim jest kontakt Suareza. Rozpoznał numer. Kolumbijczyk dzwonił na telefon satelitarny Jalala Essaia.

Rozdział 9

Chez Georges, restauracja, do której Aaron zabrał Sorayę, znajdowała się o jedną przecznicę od Bourse – paryskiej giełdy. Z tego powodu na lunch przychodzili tam przede wszystkim mężczyźni w garniturach rozmawiający o akcjach, obligacjach, opcjach, kursach wymiany, a także o zbożu i tuszach wieprzowych. Niemniej panowała tam atmosfera dawnego Paryża, sprzed czasów gdy Francja weszła do Unii Europejskiej i rozpoczął się powolny proces rozkładu jej kultury.

– Najpierw byli Niemcy, potem Holendrzy – powiedział Aaron. – A teraz zalewają nas masy uciekinierów z Afryki Północnej, niemających szans na integrację, pracę, bez żadnych perspektyw. Nic dziwnego, że chcą doszczętnie zniszczyć Paryż.

Siedzieli przy długim stole naprzeciwko siebie, jedli steki i zdumiewająco dobre frytki.

– Jednorodność Francji jest zagrożona.

Aaron przyglądał się jej przez chwilę.

– Tak właśnie mamy – powiedział, używając slangowego wyrażenia amerykańskich policjantów.

Soraya roześmiała się tak serdecznie, że musiała zasłonić usta dłonią, żeby nie obryzgać stołu jedzeniem.

Aaron uśmiechnął się rozbrajająco, w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki. Wbrew temu uśmiech nadawał mu młodszy wygląd, jak u chłopca, którego radość nie jest w żadnym stopniu tłumiona życiowymi zmartwieniami i odpowiedzialnością.

– A zatem. – Odłożył sztucce i zrobił daszek z palców. – Dinoig? – Rozłożył dłonie. – Masz jakieś wyjaśnienie?

– Mam. – Soraya zlizwała sól z opuszek palców. – To słowo to anagram.

Aaron wpatrywał się w nią przez moment.

– Szyfr?

Skinęła głową.

– Przyznaję, że dość prymitywny. Ale takie było założenie, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Gdyby mój kontakt miał kłopoty.

– Śmiertelnie niebezpieczne kłopoty. – Aaron upił łyk wody mineralnej, bo ze względu na Sorayę powstrzymał się od zamówienia wina.

Soraya sięgnęła do torebki, wyjęła długopis i notes. Napisała w nim „dinoig”. Przyglądała się mu przez dłuższą chwilę, zanim powiedziała:

– Ponieważ w tym anagramie pierwsza jest spółgłoska, przyjmijmy, że poszukiwane słowo zaczyna się od samogłoski. Mamy dwa „i” i jedno „o”. To tylko sześć liter, więc szanse na to, że oba „i” są w środku, praktycznie nie istnieją. – Pod „dinoig” napisała „I”. – Teraz to znacznie łatwiejsze, bo nasz wybór dotyczy następnej litery. „N” wydaje się najbardziej sensowne.

Dopisała „n”. Wynikiem było „In”.

– Mamy początek. – Popatrzyła na Aarona, obróciła notes, żeby leżał przed nim. Potem

podała mu długopis.

– Dokończ.

Aaron marszczył przez chwilę czoło, zaraz jednak dopisał pozostałe cztery litery i przekreślił notatnik, żeby mogła to zobaczyć.

– Indigo – przeczytała na głos Soraya.

. . .

Peterowi pękał kręgosłup. Pracował nieprzerwanie przy plikach Hendricksa, otwierając po kolei wszystkie foldery, jako że były oznaczone wyłącznie numerami: 001, 002, 003 i tak dalej. Znajdował w nich notatki służbowe, listy rzeczy do zrobienia, a nawet daty urodzin i rocznic, o których sekretarz chciał pamiętać. Zdziwiająco, ale w plikach nie było nic ciekawego. Wstał od komputera, złączył ręce na plecach i rozciągnął się, odchylając do tyłu. Potem poszedł do łazienki, bo pęcherz nieźle mu dokuczał. Lubił myśleć przy sikaniu. Prawdę mówiąc, najlepsze pomysły przychodziły mu do głowy w czasie opróżniania pęcherza. Musiało się to wiązać z fizycznym odczuwaniem ulgi, które kierowało tory jego myślenia na dobre ścieżki.

Wpatrywał się w ścianę. Śledził wzrokiem liczne, niewielkie pęknięcia tynku, wyłapywał śmieszne kształty, jakby to były chmury przepływające po niebie. Z tą różnicą, że te były niezmiennie. I dlatego niektóre z nich stały się niczym przyjaciele. Byli wśród nich Ryczący Lew, Chłopiec z Balonikiem, Boksujący Kangur, Starzec o Odstających Uszach. Bryłował między nimi Houdini, który dla Petera wyglądał jak mężczyzna z łańcuchem wokół talii spiętym kłódką.

– Rany boskie! – krzyknął nagle.

Szarpnął suwak roztrzęsionymi palcami, szybko opłukał ręce i dosłownie pobiegł do komputera. Teraz, zamiast przeglądać folder po folderze, zjechał niżej w poszukiwaniu pliku, do którego dostęp był zakodowany.

Zgodnie z jego oczekiwaniami na końcu drzewa plików znalazł to, czego szukał. Zapytany o hasło, wpisał: „serwery”. Nic się nie stało, ale nie był tym zaskoczony. Gdyby Hendricks dwukrotnie posłużył się tym samym hasłem, dowodziłoby to jego wyjątkowej głupoty.

Peter obracał końcówkę ołówka między zębami i zastanawiał się nad następnym ruchem. Jakiego słowa użyłby Hendricks do zabezpieczenia tego pliku? Spróbował daty urodzenia Hendricksa, daty mianowania na stanowisko sekretarza obrony, jego adresu. Nic.

Siedział tak długo, nie dotykając myszki, że włączył się wygaszacz ekranu. Patrzył na piękną zielonooką kobietę o wysokich kościach policzkowych i szczerzej, uśmiechniętej twarzy. Piętnaście sekund później obraz zniknął i pojawiło się inne jej zdjęcie. Tym razem była na nim z Hendricksem. Trzymali się za ręce na moście w Wenecji. Kobietą była Amanda, trzecia żona Hendricksa. Umarła pięć lat wcześniej. Zdjęcie zmieniło się ponownie i tym razem Amanda była ubrana w wieczorową suknię i stała na tarasie ogromnego domu zbudowanego z kamienia.

Idiota! – pomyślał Peter, uderzając się w czoło dłonią. Wpisał: „Amanda”.

Sezamie otwórz się. Był w środku!

Plik zawierał dwa długie akapity i krótki załącznik. Długie teksty wyglądały na notatki

Hendricksa, które zrobił zaraz po ostatnim spotkaniu w Gabinetcie Ovalnym z prezydentem, generałem Marshalllem, szefem sztabu z Pentagonu, Mikiem Holmesem, doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego i kimś o nazwisku Roy FitzWilliams. Peter od razu przypomniał sobie rozmowę między Hendricksem i Danzigerem, którą podsłuchał w bibliotece Folgera. „Nigdy nie spotkamy się w twoim biurze – powiedział jego szef. – Dokładnie z tego samego powodu nie zaproszono cię na naradę w Gabinetcie Ovalnym”.

Z tego, co Peter przeczytał, narada dotyczyła wyjątkowego, strategicznego znaczenia metali ziem rzadkich. Prezydent postanowił powołać międzyagencyjny oddział specjalny o kryptonimie Samarytanin, który miał zapewnić bezpieczeństwo kopalni w Indigo Ridge w Kalifornii. Dowodzenie powierzył Hendricksowi i dał temu przedsięwzięciu najwyższy priorytet.

Dotarł do końca drugiego akapitu. Zastanawiając się, dlaczego szef nie wspomniał słowem o Samarytaninie ani jemu, ani Sorai, gdy się z nimi widział, spojrzął na krótki załącznik. Doznał szoku, kiedy przekonał się, że jest adresowany do niego:

Peter, wiem, że to czytasz. Jesteś bardziej ciekawski od szympansa George'a. Jest coś w FitzWilliamsie, co mnie niepokoi. Nie umiem tego określić, dlatego chcę, żebyś go prześwietlił. Po cichu i po godzinach, to absolutny wymóg. Prezydent ostro nas pouczył o poniechaniu wszelkiej wzajemnej niechęci przy Samarytaninie. Robota, o którą cię proszę, jest z całą pewnością złamaniem tego nakazu, dlatego musisz być wyjątkowo ostrożny. Wiem, że się do tego zastosujesz. Jeśli się nad tym zastanawiasz – jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać. NIE KORZYSTAJ z normalnych kanałów kontaktowania się ze mną w sprawie poczynionych postępów. Wszystko, czego się dowiesz, wpisz tutaj, TYLKO TU. Nie umiem powiedzieć, jak ważne może okazać się to, co ustalisz. Powodzenia.

• • •

– Estevan Vegas.

Po sprawdzeniu na mapie Bourne obliczył, że znajdują się w odległości niecałych dziesięciu kilometrów od domu Vegasa. Wcześniej musiał podjąć decyzję, czy szukać go w domu, czy na polu naftowym. Długie, duszne popołudnie dobiegało kresu. W przedwieczornym świetle wszystko wyglądało jak na starych fotografiach w sepia. Dzień się kończył, a Bourne'owi zależało, żeby podejść Vegasa w obecności jego indiańskiej kochanki.

– Kto? – zapytał Suarez, głosem niewyraźnym z bólu, strachu i kaca po adrenalinie. – I ja niby mam znać tego człowieka?

– Należy do Domny.

– Co z tego? – Suarez nie mógł nawet wzruszyć pokiereszowanymi ramionami bez grymasu bólu. – Powiedziałem ci, wszystko wewnątrz Domny jest zupełnie rozczłonkowane. – Obliznął usta. – Napiłbym się piwa. Założę się, że i tobie jedno dobrze by zrobiło.

Bourne, jadący bardzo szybko, zignorował go. Nadal przemieszczali się stromymi zboczami Kordyliery. Opuścił szybę w oknie. Powietrze ochłodziło cuchnące wnętrze jeepa. – Suarez pocił się jak dzika świnia.

– Jeśli jeszcze raz mi powtórzysz, że nie wiesz, kim jest Estevan Vegas – ostrzegł Bourne – zatrzymam wóz i zrzucę cię z góry.

– W porządku, w porządku. – Suarez spocił się jeszcze bardziej. – Więc znam Vegasa. Wszyscy w okolicy go znają. To ważna postać. I co z tego, do kurwy nędzy?

– Opowiedz mi o kobiecie, z którą żyje.

– Nic o niej nie wiem.

Bourne zjechał z autostrady, przestawił biegi na luz i odwracając się, walnął Suareza pięścią w lewe ucho. Głowa Kolumbijczyka odskoczyła do tyłu, z ust wyrwał mu się niski jęk. Intensywny zapach roślin i piaszczystej ziemi wdzierał się do środka samochodu.

– Już i tak wszystko ode mnie wyciągnąłeś – odezwał się Suarez. – Czego, kurwa, więcej chcesz, *hombre*?

– Sam to sobie fundujesz. – Bourne uderzył ponownie. Kolumbijczyk zaczął się krztusić. Pochylił się i ukrył głowę między kolanami. Bourne pociągnął go za kołnierzyk prze poczonej koszuli. – Mam kontynuować?

– Nazywa się Rosalita. Vegas mówi do niej Rosie. – Wierzchem dłoni otarł z ust krew i żółć. – Żyje z nim od pięciu lat, jak myślę.

– Dlaczego?

Oczy Suareza stały się jeszcze większe.

– Jakim cudem, kurwa mać... – Urwał nagle w nietypowy dla siebie sposób. – Słyszałem, że Vegas wyrwał ją z łap margaja... samicy, która właśnie urodziła. Rosie miała pecha, niechcący weszła jej w drogę. Nie mogła uciec. Kocisko rzuciło się na nią, tak przynajmniej gadają ludzie, zanim Vegas, który usłyszał krzyki, przybiegł na pomoc i zastrzelił bestię. Zabrał Rosie do siebie i zaopiekował się nią. Ona z kolei opiekuje się nim od tamtego czasu, tak słyszałem.

– Znasz ją?

– Kogo, Rosie? Nie. Nigdy jej nie spotkałem. Dlaczego pytasz?

– Zastanawiam się, czemu nigdy nie zaszła z nim w ciążę.

Suarez milczał przez dłuższą chwilę. Przed sobą mieli gęste, kłębiące się burzowe chmury, fioletowe i żółte, w kolorach posiniaczonej twarzy Kolumbijczyka. Zrobiło się parno. Zajaśniała białoniebieska błyskawica, potem ciszę przerwał podwójny huk gromu, następujący zaraz po niej jak pies podążający za panem.

– Ta burza będzie kurewska – jęknął Suarez. Usiadł prosto i zamknął oczy.

Moment później pierwsze grube krople deszczu rozbryznęły się o przednią szybę, zadudniły głośno o dach jeepa.

– Istnieje odpowiedź na moje pytanie – odezwał się Bourne. – Chcę ją usłyszeć.

Suarez gwałtownie otworzył oczy i odwrócił głowę w stronę Bourne'a.

– Słyszałem, że za ich domem jest mały grób. Bardzo mały.

Jason położył rękę na kierownicy i mocno ją ścisnął.

– Jak długo to dziecko żyło?

– Mówili, że dziewięć dni.

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Słyszałem, że chłopiec.

Bourne pomyślał o kruchości życia, o tym, jak krótko czasami trwa. Dziewięć dni to żadne życie. Jednak dla Estevana Vegasa i Rosie to musiało być wszystko. I było, bo mieli tylko to.

Wrzucił bieg i wrócił na zalaną deszczem drogę. Znajdowali się już bardzo blisko domu nafcjarza. Docisnął gaz i pomknęli mimo bardzo słabej widoczności.

Kiedy Amanda jeszcze żyła, Hendricks nie mógł się doczekać powrotu do domu po ciężkim i długim dniu pracy. Potem zaczął uprawiać jogging w parku Rock Creek. Pokonywał codziennie pięciokilometrową trasę. Lubił biegać późnym popołudniem, kiedy światło nie było już tak jasne i kładło się na wybranych przez niego ścieżkach niczym roztopione złoto. Miał wrażenie, że dzięki niemu nabiera sił. Lubił też rutynę. Mijanie tych samych drzew, tych samych zakrętów dostarczało mu dziwnego ukojenia. Oczywiście nigdy nie były takie same, decydowały o tym przecież pory roku. Wyjątkową przyjemność sprawiało mu bieganie po śniegu, gdy oddech zmieniał się przed nim w parę, mróz osiadał mu na rzęsach.

Cleo zawsze mu towarzyszyła. Biegła sprężysta, brązowozłota, z czarnym pyskiem, mokrym od śliny, i wywieszonym różowym językiem. Obserwowała go wilgotnymi brązowymi ślepiami i bardzo chciała, żeby był z niej zadowolony. W tym samym czasie Hendricks puszczał wodze wyobraźni, widząc jej pracujące mięśnie. Zdarzało się, że próbował wczuć się w nią i zastanawiał się, jakie to wrażenie, gdy biegnie się w euforii na czterech łapach, czuje niczym niezmaconą przyjemność, nie ma się pojęcia o nieuniknionej i zbliżającej się śmierci.

Oczywiście Hendricks i Cleo mieli asystę – grupa ochroniarzy z Gwardii Narodowej dbała o to, by trasa przed nim i za nim była pusta. Drażniła go ich obecność w tym miejscu, gdzie panowało beztroskie piękno, a on marzył jedynie, żeby zostawiono go w spokoju z własnymi myślami.

Jego ochroniarze zdawali sobie z tego sprawę, ale tak czy inaczej każdego, kto pojawiał się na trasie biegu, ściągali na bok i sprawdzali mu życiorys w najdrobniejszych szczegółach. Trzymali potem takie osoby niemal jak w więzieniu, dopóki sekretarz nie skończył pięciu kilometrów.

Tego dnia tylko kilka osób wpadło w sieć ochrony, gdy biegł z Cleo, podskakującą obok. Niemniej widok jednej osoby sprawił, że przystanął i zawrócił.

Kiedy podszedł do grupy zatrzymanych, jeden z ochroniarzy wystąpił naprzód i poprosił, żeby ze względów bezpieczeństwa zachował odpowiednią odległość.

– Nie, chwileczkę. Znam tę kobietę – powiedział Hendricks, patrząc mu nad ramieniem.

Obszedł ochroniarza i zbliżył się do młodej kobiety w dresie do biegania i nike'ach na nogach.

– Maggie – rzucił. – Co ty tu robisz?

– Dzień dobry – odpowiedziała kobieta, którą znał jako Margaret Penrod. – To samo co ty, jak myślę, biegam.

Hendricks się uśmiechnął.

– Rozum mi mówi, żeby biegać, ale kolana ograniczają mnie do truchtania.

– Czy ci faceci muszą trzymać mnie pod strażą?

– No pewnie, że nie. – Uniósł rękę. – Możesz pobiegać ze mną. Jeśli, rzecz jasna, zgodzisz się na moje stosunkowo wolne tempo.

Maggie popatrzyła na ponure twarze ochroniarzy.

– Ale twoje ogary będą musiały mi na to pozwolić.

– Moje ogary słuchają rozkazów. – Spojrzał na ochroniarzy.

– Już ją przeszukaliśmy – powiedział jeden z nich. Hendricks widział wyraźnie dezaprobatę na jego twarzy.

Bieganie z kimś, kto nie został zatwierdzony wiele tygodni wcześniej, było wbrew procedurom. Do diabła z procedurami, pomyślał Hendricks. To mój wolny czas.

Cleo zdążyła już do nich podejść i obwąchiwała buty Maggie.

– Znalazłaś coś ciekawego? – zapytała kobieta.

Cleo popatrzyła na nią. Maggie przykucnęła i podrapała bokserkę za uchem. Cleo przywarła do niej w ekstazie, boki unosiły się jej przy oddechu.

– Lubi mnie.

Hendricks się roześmiał.

– Cleo zakochuje się w każdym, kto podrapie ją za uchem. Maggie podniosła na niego wzrok. Promienie zachodzącego słońca padały jej na twarz, oczy zdawały się jaśnieć.

– A ty?

Hendricksowi zaschło w gardle.

– Ja...

Maggie wstała.

– To był żart. Tylko żart.

– W takim razie – powiedział – biegnijmy.

Wystartowali. Maggie bardzo się pilnowała, by trzymać jego tempo. Cleo pałętała się obok niego albo między nimi, cały czas w pobliżu, a on z prawdziwą przyjemnością uderzał stopami o ziemię. Ochroniarze podążali za nimi w bliskiej odległości. Niemal czuł ich napięcie i widział oczami wyobraźni, jak wpatrują się w plecy Maggie, gotowi zareagować na najmniejszą oznakę agresji. Przypuszczał, że ich zdaniem mogłaby nagle rzucić się na niego i złamać mu kark jak suchą gałązkę.

Cleo co jakiś czas spoglądała na nią, jakby zastanawiała się, o co w tym chodzi. Hendricks rozmyślał nad tym samym. Kiedy przemieszczali się dobrze mu znaną ścieżką, a gałęzie drzew poruszały się na wietrze niby w salucie, zdał sobie sprawę, że wszystko wygląda inaczej – kształty są ostrzejsze, kolory żywsze. Dostrzegał szczegóły, na które wcześniej nie zwracał uwagi.

Biegł, mając Maggie obok siebie. Działo się tak dlatego, że chciał, by tak się stało. Szczerze mówiąc, był tym zdumiony, bo od bardzo długiego czasu taka sytuacja w ogóle nie wchodziła w grę. Od pięciu lat, od śmierci Amandy. Od tamtej pory nie chciał być z żadną kobietą. Paskudnie traktował Jolene i inne kobiety, które pojawiały się w jego życiu i znikwały. Kiedy mówiły lub robiły coś, co przypominało mu Amandę, wpadał w rozpacz. Co gorsza, kiedy mówiły lub robiły coś zupełnie inaczej niż ona, zaczynał się wściekać.

W końcu uświadomił sobie, że nieustannie podlega tym cyklom rozpaczki i wściekłości. A skoro zdał już sobie z nich sprawę, wyciszyły się, straciły na intensywności. Miał wrażenie, że życie wokół niego wybuchło z nową siłą, zmaterializowało się na jego oczach. Co ja ze sobą wyprawiam? – pomyślał. Wstydził się za własne zachowanie. Amanda na pewno nie chciałaby, żeby tak postępował.

A teraz biegł i czuł ciepło bijące od Maggie, wdychał jej zapach cynamonu i palonych gorzkich migdałów. Robił coś, na co wcześniej nie potrafiłby się zdobyć. Popatrzył za siebie na minione pięć lat. Błądził po pustyni. Być może sam ją sobie stworzył, pomyślał, ale wcale nie była przez to mniej prawdziwa. W tej chwili wreszcie uznał, że może opuścić to jałowe miejsce i wrócić do świata, w którym on i Amanda śmiali się, kochali, rozmawiali i, no cóż,

cieszyli sobą nawzajem w tak samo niczym nieskazony sposób, jak Cleo cieszyła się bieganiem.

Czując się lekko, Hendricks uświadomił sobie, że bieg sprawia mu frajdę. Cieszył się z faktu, że nie jest sam. Maggie powiedziała coś do niego, a on jej coś odpowiedział. Chwilę później nie pamiętał już, o czym rozmawiali, ale co ważniejsze, w ogóle się tym nie przejął. Nie cofał się przed nią, nie czuł się zakłopotany, nie chciał uciekać. W rzeczywistości żałował, że trasa ma tylko pięć kilometrów. Kiedy więc dotarli do końca, odwrócił się do niej i zapytał, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem:

– Zjadłabyś ze mną obiad dziś wieczorem?

Musiła czuć to samo, bo tym razem odpowiedziała:

– Z prawdziwą przyjemnością.

• • •

Estevan patrzył na burzę zbliżającą się nad szczytami Kordyliery, podczas gdy Rosie szykowała obiad. Pracowała wolno i metodycznie, jak zresztą zawsze. Ręce miała silne, ruchy pewne, gdy kroїła mięso, przyprawiała je i kładła na patelnię z rozgrzaną oliwą.

Kiedy deszcz lunął, zacinał w szyby i dudnił po poluzowanych dachówkach, które Estevan obiecał naprawić, ale nigdy tego nie zrobił. Rosie uniosła głowę i uśmiechnęła się, znane odgłosy dawały jej pewność, że wszystko jest tak, jak być powinno. Koniec dnia stał się ciemny niczym noc. Przez chwilę widziała swoje odbicie w lustrze, popatrzyła na wyraźne blizny, jakie margaj zostawił po obu stronach jej szyi. Na zewnątrz biały krzyż, który Estevan zrobił z twardego drewna, sterczał samotnie niczym pobieląa kość pod krzakiem tamarillo. To było jej ulubione miejsce od chwili, gdy przyprowadził ją do swojego domu, rozhisteryzowaną i poważnie ranną.

Odwróciła się od okna i dotknęła dekoltu, gdzie takie same białe blizny szpeciły jej skórę, pochyliła głowę i zapłakała cicho. Estevan w jednej chwili znalazł się przy niej.

– Wszystko w porządku, Rosie – wyszeptał. – Już dobrze.

– On jest tam, na zewnątrz – powiedziała. – Moknie.

– Nie – odparł Estevan. – Nasze dziecko jest w niebie, bezpieczne i zadowolone pod bożą opieką.

Nie będą już mieli więcej dzieci, tak orzekli lekarze. Estevan wiedział jedno – Rosie spodziewała się, że ją wyrzuci, przekonany, że śmierć dziecka nastąpiła z jej winy. Zamiast tego traktował ją z jeszcze większą czułością. Słyszac jej płacz w nocy, mocno ją przytulał, kołysał, mówił, żeby zapomniała o tym, co powiedzieli lekarze, że będą próbowali mieć następne dziecko, że na pewno z pomocą Boga i Jezusa Chrystusa, Jego Syna, stanie się ten cud. Tamto wydarzyło się przed trzema laty, ale od tego czasu nie pojawiło się w niej nowe życie.

Akurat przekładała mięso z patelni do garnka z pokrojonymi ziemniakami, cebulą i chili, kiedy usłyszeli alarm.

– Nie denerwuj się – powiedział, zostawiając ją w kuchni. Przygotowując się, pospiesznie zbierał rzeczy w salonie.

– *Son ellos?* – zapytała. – *Han venido por fin?* – Czy to oni? Przyszli w końcu?

Kiedy Vegas wrócił do kuchni, trzymał w rękach śrutówkę. Przeczesał palcami gęstą brodę.
– A kto inny mógłby to być w taką pogodę? Na ich miejscu też teraz zrobiłbym ruch.

Stanął obok niej, otoczył ją silnym ramieniem, przytulił do siebie. Potem pocałował ją w policzek, skroń, w obie powieki, a ona czuła dobrze znane łaskotanie, gdy dotykał jej wąsami.

– *No te preocupes, hija mia* – powiedział do niej. – Wszystko jest gotowe. Nie mogą dotknąć nawet palcem żadnego z nas. Jesteśmy bezpieczni, słyszysz mnie? Bezpieczni.

Odszedł od niej i zajął się ostatnimi przygotowaniami, które były bardzo skomplikowane. Rosie nakryła garnek pokrywką, wytarła ręce w fartuch i poszła do pokoju. Estevan kuczał przy sprzęcie, który instalował wiele miesięcy i poprawiał to i owo, aż wszystko pracowało zgodnie z jego oczekiwaniami.

– *Los ves, mi amor?* – Widzisz ich, kochany?

– To jeep. – Wskazał na zielono-czarny obrazek w podczerwieni na niewielkim ekranie po swojej lewej stronie. Po prawej miał laptop połączony z resztą urządzeń. Zainstalował w nim oprogramowanie, które identyfikowało obrazy z podczerwieni. Na monitorze widać było krytego jeepa. – To oni – powiedział. – Nie ma wątpliwości.

– Jak daleko?

Zerknął na licznik znajdujący się na górze projektora podczerwieni.

– Trzysta metrów – odparł. – I teraz się zbliżają.

Rosie położyła dłonie na jego potężnych ramionach.

– *Se acerca el final.* – To koniec.

– *Para ellos, si, el final.* – Dla nich tak, to koniec. Palce Vegasa zatańczyły na klawiaturze laptopa, obraz na monitorze zmienił się, zastąpiony przez transmisję z kamer wideo, które zainstalował w granicach całej posiadłości.

Przez chwilę widzieli jedynie szare strugi deszczu, a potem nagle pokazał się kształt jeepa przedzierającego się przez ulewę, podskakującego na drodze prowadzącej do domu Vegasa. Rosie poczuła, że mięśnie Estevana napinają się ze zdenerwowania, pochyliła się nad nim jeszcze niżej. Owionął ją zapach nieprzetworzonej ropy naftowej, który tak bardzo wgryzł się w niego, że niczym nie dawał się usunąć.

– *Cerrar ahora* – powiedział cicho, niemal do siebie. – *Muy cerca.* – Blisko. Bardzo blisko.

– Czy to się uda? – Wstrzymała oddech.

– Tak – zapewnił. – To się uda.

W chwilę później dały o sobie znać owoce jego pracy. Najpierw zobaczyli eksplozję, a dopiero potem ją usłyszeli. Wibracja silnika jeepa detonowała ładunki wybuchowe, które Estevan umieścił pod drogą.

Pojazd wyrzuciło w górę. Na chwilę znalazł się poza zasięgiem kamer wideo. Kiedy pojawił się ponownie, rozbijając o ziemię, był pokiereszowany, powgniatany, palił się, dymił i prawie nie dawało się go rozpoznać jako samochodu.

Prawie.

Estevan Vegas odetchnął z ulgą.

– *Ya esta hecho.* – Załatwione.

Wrak jeepa tlił się w strugach deszczu.

– To ich koniec. Wolę jednak się upewnić. – Vegas należał do ludzi, którzy niczego nie

zostawiają przypadkowi. Zawsze w życiu kierował się tą zasadą, która sprawdzała się z dobrym skutkiem. Dzięki niej dorobił się majątku.

Wstał, wziął śrutówkę i podszedł do frontowych drzwi.

– Zamknij je za mną – powiedział, nie odwracając się, a Rosie zrobiła kilka kroków, żeby spełnić jego prośbę.

Wyszedł na zewnątrz i w ulewnym deszczu maszerował energicznie, rozglądając się w poszukiwaniu trupów.

Księga druga

Rozdział 10

Boris Karpow miał wiele powodów, żeby nie lubić Monachium. Podobnie jak większość Rosjan pogardzał Niemcami. Goryczy, jaka pozostała po drugiej wojnie światowej, nie dawało się uśmierzyć. Typowo rosyjska wściekłość i chęć zemsty zakorzeniły się w nim równie głęboko jak miłość do wódki. Poza tym wbrew nowemu motto miasta *München mag Dich* – Monachium cię lubi – Boris czuł niechęć do tego miejsca. Po pierwsze, zostało założone przez zakon – benedyktynów – i stąd brała się jego nazwa, pochodząca od niemieckiego słowa oznaczającego „mnicha”. Boris jako zagorzały ateista nie ufał żadnej organizacji religijnej. Po drugie, było to serce Bawarii, siedziba prawicowych konserwatystów, sięgających korzeniami do znieawidzonego narodowego socjalizmu Adolfa Hitlera. Bo przecież to właśnie w Monachium Hitler i jego poplecznicy doprowadzili do haniebnego puczu w 1923 roku, gdy próbowali obalić Republikę Weimarską i przejąć władzę. Ich porażka opóźniła jedynie to, co było nieuniknione. Dziesięć lat później Monachium stało się ostatecznie przyczółkiem narodowego socjalizmu, który wśród innych zbrodni miał na sumieniu założenie Dachau, pierwszego nazistowskiego obozu koncentracyjnego, niecałe dwadzieścia kilometrów na północny zachód od miasta.

Całe mnóstwo powodów, żeby nie darzyć tego miejsca sympatią, pomyślał Boris, gdy tłumaczył taksówkarzowi, gdzie chce wysiąść: przy Briennerstrasse, na początku Kunsttreal, monachijskiej dzielnicy sztuki. Energicznym krokiem poszedł stamtąd do Neue Pinakothek, muzeum, którego zbiory obejmowały osiemnasto – i dziewiętnastowieczną sztukę europejską. W środku zatrzymał się przy informacji, żeby wziąć plan muzeum, a potem ruszył do miejsca, gdzie eksponowano *Oskubanego indyka* Francisca de Goi. Chyba nie najlepszy jego obraz, pomyślał Boris, podchodząc do dzieła.

Niewielka grupa stała i kontemplowała malowidło, podczas gdy przewodniczące nie zamykały się usta. Boris, który stanął z boku, na próżno czekał, by rozwiała jego wątpliwości, czy *Oskubany indyk* był jednym ze skarbów sztuki zrabowanych przez nazistów. Szybko jednak przypomniał sobie o obowiązkach. Przed wyjazdem z Moskwy wydał rozkazy Antonowi Fiodorowiczowi i zostawił mu szczegółowy plan zarządzania FSB-2 na każdy dzień. Niemniej z definicji musiało to być prowizoryczne rozwiązanie, jako że Boris nie skończył procesu kształtowania tej instytucji zgodnie ze swoją wizją i nie pozbył się jeszcze wszystkich zgniłych jabłek. Dał sobie maksimum pięć dni na wykonanie zlecenia Czerkiesowa. Nie mógł liczyć na to, że FSB-2 będzie właściwie kierowana bez niego przez dłuższy czas.

W końcu grupa przeszła dalej, zostawiając za sobą mężczyznę, który wciąż podziwiał obraz Goi. Wydawał się przeciętny pod każdym względem: średniego wzrostu, w średnim wieku, o szpakowatych włosach i sporej łysinie na czubku głowy. Ręce trzymał głęboko wciśnięte w kieszenie płaszcza. Ramiona miał lekko zgarbione, jakby ugiwały się pod niewidzialnym ciężarem.

– Dzień dobry – odezwał się Boris w znośnym niemieckim, stając za mężczyzną. – Nasz

kuzyn bardzo żałuje, że nie mógł przyjść osobiście. – Ten kontakt był jednym z tysięcy, podtrzymywanych przez dziesięciolecia przez Iwana Wołkina. A jako taki, był wiarygodny.

– Jak się miewa starszy pan? – zapytał mężczyzna w znośnym rosyjskim.

– Zadziorny jak zawsze.

Ponieważ hasło i odzew zostały przekazane, obaj mężczyźni ruszyli razem przez galerię, zatrzymując się przy każdym obrazie.

– Jak mogę panu pomóc? – rzucił cicho mężczyzna.

Nazywał się Wagner, ale to najprawdopodobniej był jego pseudonim operacyjny. Borisowi to nie przeszkadzało, nie czuł potrzeby poznawania prawdziwego nazwiska Niemca. Iwan za niego ręczył – to wystarczało.

– Szukam informacji – powiedział Boris.

Na twarzy Wagnera pojawił się słaby uśmiech.

– Wszyscy, którzy do mnie przychodzą, szukają informacji.

Poszli dalej i znaleźli się przed *Świątą rodziną pod portykiem* Friedricha Wilhelma von Schadowa, co w oczach Borisa było kompletnie chybionym tematem, podobnie jak wszystkie obrazy przedstawiające sceny religijne, choć doceniał klarowność stylu artysty.

– Dotyczących Wiktora Czerkiesowa?

Przez jakiś czas Wagner nie robił nic poza wpatrywaniem się w obraz.

– Von Schadow był najpierw żołnierzem – powiedział w końcu. – Potem odnalazł Boga i wyjechał do Rzymu. Został jednym z głównych przedstawicieli tak zwanego ruchu nazareńczyków, których celem było wprowadzenie prawdziwego uduchowienia do sztuki chrześcijańskiej.

– Mało mnie to obchodzi – oświadczył Boris.

– Nie wątpię.

Wagner powiedział to w taki sposób, że Boris poczuł się jak filister.

– Wróćmy do Czerkiesowa – ponaglił.

Niemiec ruszył dalej. Westchnął.

– Co konkretnie chciałby pan wiedzieć?

– Był niedawno w Monachium. Po co tu przyjechał?

– Poszedł do Meczetu – odparł Wagner. – To wszystko, co wiem.

Boris ukrył konsternację.

– To dla mnie stanowczo za mało.

– Tajemnice Meczetu są dobrze strzeżone.

– Rozumiem. – Boris nie rozumiał jednak, jaką sprawę mógł mieć nowy szef Czerkiesowa do Meczetu. W dodatku Wiktor wydawał się ostatnią osobą, którą można byłoby wysłać do tego wyjątkowego gniazda zmij. Nienawidził muzułmanów nawet bardziej niż Niemców. Przez większość czasu przepracowanego w FSB-2 polował na muzułmańskich terrorystów z Czeczenii.

– Mieszanie się do interesów Meczetu jest niezwykle niebezpieczne.

– Wiem o tym. – Boris doskonale się orientował, że monachijski Meczet jest ostoją wielu islamskich ekstremistów z całego świata. Indoktrynował zniechęconych młodych mężczyzn i kobiety, wykorzystywał ich poczucie bezradności, kanalizował frustracje w złość. A potem szkolił ich, uzbrajał i finansował akty przemocy.

Wagner zastanawiał się przez moment.

– Jest ktoś, kto może byłby w stanie panu pomóc. – Zagryzł wargę. – Nazywa się Hermann Bolger. To zegarmistrz. Obserwuje też poczynania Meczetu. – Wykrzywił usta w uśmiechu. – Zabawne, prawda?

– Nie – odpowiedział Boris obojętnym tonem. – Gdzie znajdę *Herr* Bolgera?

Wagner podał mu adres, a Boris go zapamiętał. Dla niepoznaki obejrzeni jeszcze dwa obrazy. Zaraz potem Wagner wyszedł. Boris popatrzył na plan muzeum i spędził w galerii jeszcze dwadzieścia minut.

A potem wyruszył na poszukiwanie Hermanna Bolgera.

• • •

Odgłosy dudniącego deszczu przypominały wykrzykiwane słowa, brzmiały jak rozkazy wydawane oddziałom starożytnych armii walczących wręcz. Bourne stał przy rozłożystej sośnie, której czarne gałęzie siekła ulewa, tarmosił wiatr.

Z tego punktu obserwacyjnego patrzył na eksplozję rozrywającą jeepa, na fragmenty karoserii spadające na ziemię, na płomienie zduszone w kilka sekund przez potoki deszczu. Powyginane kawałki blachy fruwały w powietrzu we wszystkich kierunkach. Coś upadło niecały metr od jego kryjówki: okopcona kierownica i cuchnąca spalenizną głowa Suareza, która wyglądała jak piekielna zjawa. Usta, nos i uszy dowódcy spłonęły. Z pozostałości jego oczu unosił się dym.

Bourne, widząc Vegasa na schodach domu, schował się głębiej w mroczny cień strzelistej sosny. Z tej odległości wydawało mu się, że Vegas nosi staroświeckie buty nabijane ćwiekami. Zauważył też śrutówkę, którą tamten trzymał w rękach, ale to było najmniejsze z niebezpieczeństw, jakich można się było obawiać z jego strony. Oczy Kolumbijczyka przypominały rozżarzone węgle. Jego ruchy drapieżnika kojarzyły się Bourne'owi z niedźwiedzicą grizzly, którą obserwował kiedyś w Montanie, gdy broniła młodych przed grasującą tam pumą. Zastanawiał się, przed kim Vegas bronił siebie i Rosie. Przygotowanie zasadzki musiało trwać wiele tygodni i na pewno nie myślał wtedy o nim.

Więc o kim?

• • •

– Chyba zwariowałeś – powiedział Suarez, kiedy Bourne zatrzymał samochód niecały kilometr od domu Vegasa. – Nie zrobię tego.

– Tylko w ten sposób możesz liczyć na jakąś pomoc medyczną – odparł Jason.

– Kiedy już wysiądziesz, kto mnie powstrzyma przed zawróceniem jeepa i zwianiem jak najdalej stąd?

– Jedyne drzewo prowadzi z powrotem w dół – przypomniał Bourne. Deszcz był tak ulewny, że samochód równie dobrze mógłby stać pod wodospadem. – Będziesz prowadził jedną ręką. Jeśli chcesz się zabić, proszę bardzo, mnie wszystko jedno, jak to zrobisz.

Mężczyzna posłał mu mordercze spojrzenie, ale w chwilę potem wyglądał po prostu na przygnębionego.

– Pod jaką złą gwiazdą się urodziłem, żeby spotkać cię na swojej drodze?

Bourne otworzył drzwi. Do środka wdarł się huk godny końca świata.

– Trzymaj się planu, a wszystko będzie dobrze. Podjedziesz otwarcie. Vegas cię zna. Ja zajdę go od tyłu. Czy to jasne?

Partyzant skinął głową z rezygnacją.

– Ręka boli mnie jak diabli. Nie czuję palców, które połamałeś.

– Masz szczęście – skwitował Bourne. – Pomyśl, jak bardzo by bolała, gdybyś miał w nich czucie.

Wyślizgnął się z jeepa i natychmiast przemókł do suchej nitki. Patrzył, jak Suarez przesiada się z wysiłkiem za kierownicę i rusza drogą w kierunku domu.

Gdy tylko Bourne zauważył pierwszą kamerę na podczerwień, natychmiast zahamował jeepa, choć nie zdradził Suarezowi, dlaczego stanęli. Miała kamuflaż słupka drogowego. Rozpoznał ten sprzęt od razu, bo kilka lat wcześniej przerobił podobny scenariusz w pobliżu willi w górach Rumunii. System był bardzo zaawansowany, prawdziwe dzieło sztuki, ale ostatecznie Bourne sobie z nim poradził i dostał się do tamtej posiadłości. Suarez, nawet jeśli zauważył słupek, zapewne nie wiedział, na co patrzy.

Kamera na podczerwień była niespodzianką. Nie chciał ich więcej, dlatego postanowił, że Suarez pokona jeepem resztę drogi, podczas gdy on przejdzie się po posiadłości Vegasa.

• • •

Dowód na roztropność Bourne'a patrzył teraz na niego pustymi oczodołami. Nie miał wyrzutów sumienia z powodu wysłania Suareza na śmierć. Kolumbijczyk był mordercą zabijającym z zimną krwią i gdyby miał najmniejszą szansę, strzeliłby mu prosto w serce.

Jason patrzył na Vegasa, ostrożnie obchodzącego wrak, szturchającego co jakiś czas lufą to czy inne miejsce. Kiedy natrafił na ramię Suareza, przykucnął i uważnie je obejrzał. Od tej chwili skupił się na szukaniu fragmentów ciała. Powoli, metodycznie zataczał kręgi wokół wraku, oddalając się od niego i zbliżając jednocześnie do kryjówki Bourne'a pod sosną.

Deszcz nadal był ulewny, zakryte chmurami niebo przecinały błyskawice, grzmiały pioruny. Wzrok Bourne'a rozmazał się, przysłonięty nowym fragmentem wspomnień, który nim owładnął. Brnął w śnieżycy, chcąc dotrzeć do dyskoteki, do której wysłał go Alex Conklin, żeby zlikwidował cel. Śnieg szybko topniał na futrzanym kołnierzu, gdy Bourne przeciskał się przez zatłoczony klub. W damskiej toalecie nakręcił tłumik na lufę i kopniakiem otworzył drzwi.

Lodowato zimna twarz blondynki wyrażała niemal rezygnację. Chociaż kobieta była uzbrojona, nie miała złudzeń i wiedziała, co się wydarzy. Czy dlatego właśnie otworzyła usta i mówiła do niego w chwili, gdy odbierał jej życie?

Co takiego powiedziała? Przeczesał zakamarki pamięci, próbując usłyszeć jej głos. W Kolumbii, w strugach deszczu, jakby była zdolna przekrzyczeć grom. I wreszcie przypomniał sobie znany mu tembr i ton rozpaczy.

„Nie ma...”.

Nie ma czego? – pytał sam siebie. Co takiego usiłowała mu przekazać? Szukał w okrucach pamięci, ale one już zanikały, topniały jak lód na słońcu, obrazy rozmywały się i stawały niewyraźne.

Przestraszony jakimś dźwiękiem, wrócił do teraźniejszości. Vegas znalazł jedną nogę Suareza i podnosząc się po jej obejrzeniu, zaczął rozglądać się wokół. Spozrzegł głowę i ruszył w jej kierunku, marszcząc brwi. Bourne zastanawiał się, czy rozpozna zmasakrowaną twarz.

Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Nafciarz podszedł do głowy Suareza. Posługując się lufą strzelby, obrócił ją, ustawiając przodem do siebie. Natychmiast się cofnął, ustawił broń w gotowości i zaczął iść do tyłu ze złowieszczym wyrazem oczu.

Bourne nie potrzebował niczego więcej. Vegas rozpoznał Suareza i nie był zaskoczony jego obecnością w jeepie. Jeśli Essai mówił prawdę, niewykluczone, że Vegas przygotował się na ewentualną napaść ze strony Domny. Zakładając, że Bourne prawidłowo interpretował sytuację, Vegas skończył z Domną i czekał na jej gwałtowną reakcję. To wyjaśniałoby, dlaczego on i Rosie nie porzucili tego miejsca i nie uciekli. Nie było bowiem możliwe, by się ukryć przed tą organizacją. Tutaj przynajmniej znajdował się na własnym terenie, znał go lepiej niż ktokolwiek, kto zostałby nasłany. I przygotował się.

Vegas zasługiwał na szacunek. To mężczyzna, który liczył tylko na siebie, podjął trudną i bez wątplenia ryzykowną decyzję, nie uchylał się przed nią.

– Estevan – odezwał się Bourne, wychodząc z cienia wysokiej sosny.

Vegas skierował lufę strzelby w kierunku Bourne'a, który podniósł ręce, wewnętrzną stroną dłoni do przodu.

– Spokojnie – powiedział Bourne, stojąc w całkowitym bezruchu. – Jestem przyjacielem. Przyszedłem ci pomóc.

– Pomóc mi? Chyba pomóc mi zejść do grobu.

Hałas czyniony przez deszcz był tak duży, że obaj mężczyźni musieli krzyczeć do siebie, jakby znajdowali się na stadionie pełnym rozwrzeszczanych kibiców.

– Coś łączy nas obu – oświadczył Bourne. – Severus Domna.

W odpowiedzi Vegas splunął na ziemię dokładnie pośrodku między nimi.

– Tak – dodał Bourne.

Kolumbijczyk przyglądał mu się przez chwilę, ale zaraz potem między drzewami pojawiła się Rosie. W jednej ręce trzymała glocka. Ramię miała wyciągnięte przed siebie, proste jak struna. Celowała w Bourne'a.

Oczy Vegasa stały się wielkie jak spodki.

– Rosie...!

Ale jego ostrzeżenie rozległo się za późno. Podeszła zbyt blisko Jasona, który chwycił ją za wyciągnięte ramię, obrócił nią i po rozbrojeniu trzymał w żelaznym uścisku przy sobie.

– Estevan – powiedział. – Opuść strzelbę.

Widział wyraźnie w oczach starego człowieka, jak bardzo kocha Rosie, i poczuł ukłucie zazdrości. Normalne życie nigdy nie będzie jego udziałem. Marzenie o nim nie miało sensu.

W momencie, gdy Vegas opuścił broń, Bourne uwolnił Rosie, która pobiegła do swojego mężczyzny. Estevan objął ją jednym ramieniem.

– Kazałem ci zostać w domu – głos mu się rwał z troski. – Dlaczego mnie nie posłuchałaś?

– Martwiłam się o ciebie. Kto wie, ilu mogli ich przysłać? Na to pytanie Vegas najwyraźniej nie znał odpowiedzi.

Skierował ponure spojrzenie na Bourne'a i glocka w jego ręku.

– Co teraz?

Bourne podszedł do nich. Widząc napięcie malujące się na twarzy Kolumbijczyka, odwrócił pistolet kolbą na zewnątrz.

– Teraz oddam ci broń. – Wyciągnął rękę z glockiem. – Nie jest mi potrzebna.

– Byliście tylko wy dwaj z Suarezem?

Jason skinął głową.

– Dlaczego z nim byłeś?

– Natknąłem się na blokadę ustawioną przez FARC i wziąłem go jako zakładnika – wyjaśnił Bourne.

Vegas był pod wrażeniem.

– Nikt nas nie śledził – dodał Jason. – Zadbalem o to. Starszy mężczyzna spojrział na glocka, a potem na twarz Bourne'a. Zaskoczenie ustąpiło miejsca zaciekawieniu. Wziął od niego pistolet i powiedział:

– Mam już dość tego deszczu. Myślę, że wszyscy mamy go dość.

• • •

Niewiele brakowało, a Hendricks nie rozpoznałby Maggie w restauracji, którą wybrał. Miała na sobie sukienkę w kolorze indygo i czarne szpilki. Nie nosiła żadnej biżuterii poza niedrogim, ale funkcjonalnym zegarkiem. Rozpuściła włosy, które wyglądały na dłuższe, niż można było sądzić, gdy miała na głowie kapelusz. W workowatych ogrodnickach robiła wrażenie chłopczycy, ale sukienka zadawała temu kłam. Długie nogi kończyły się wąskimi kostkami. Ten, kto wynalazł wysokie obcasy, pomyślał Hendricks, musiał być mężczyzną zakochanym w kobiecych kształtach. Amanda wkładała szpilki bardzo rzadko, narzekając, że są bardzo niewygodne. Kiedy wspomniał, że jej przyjaciółka, Micki, ma je na nogach bez przerwy, Amanda powiedziała mu, że Micki nosi je od tak dawna, iż nie umiałaby już chodzić w płaskich butach – przez wysokie obcasy skróciły się jej ścięgna w podbiciu. „Na bosaka chodzi na palcach”, dodała Amanda.

Hendricks zaczął się zastanawiać, jak Maggie wyglądałaby z bosymi stopami.

Miał właśnie oddać kluczyki do samochodu, żeby został zaparkowany, ale Maggie odprawiła chłopaka z parkingu. Kiedy wślizgnęła się na miejsce dla pasażera, powiedziała:

– Wolałabym zjeść w Vermilion, dlatego zarezerwowałam tam stół. Znasz tę restaurację?

– W Alexandrii?

Skinęła głową.

– King Street dwadzieścia osiem.

Wrzucił bieg.

– Byłeś już tam?

– Tylko raz. – Pomyślał o świętowaniu pierwszej rocznicy ślubu z Amandą. Cóż to była za zdumiewająca noc, zaczęła się w Vermilion, a skończyła o świcie, gdy wtulali się w siebie nawzajem.

– Mam nadzieję, że nie weźmiesz tego za samowolę – powiedziała Maggie.

Uśmiechnął się.

– Na to za mało cię znam.

Oparła się wygodnie o fotel, gdy Hendricks włączył się do ruchu i skierował wóz w stronę Key Bridge i Alexandrii. Ręce trzymała na podołku zupełnie nieruchome.

– Prawdę mówiąc, jestem deseroholiczką... jest takie słowo?

– Teraz już jest.

Śmiała się cicho i perliście. Rozkoszował się jej zapachem, jakby to był bukiet unoszący się znad szklaneczki szkockiej single malt. Nozdrza go piekły, a on sam czuł się poruszony do żywego.

– W każdym razie w Vermilion serwują solone profilterolki, moje ulubione. Nie jadłam ich od dawna.

– Będiesz je miała dziś wieczorem. – Hendricks manewrował między samochodami, wóz z jego ochroną podążał tuż za nim. – Dwie porcje, skoro bardzo ci smakują.

Popatrzyła na niego. Światła samochodów nadjeżdżających z przeciwka sprawiały, że jej oczy lśniły.

– To mi się podoba – powiedziała cicho. – Mężczyzna, który nie boi się, że zmieni mnie w żarłoka.

Znajdowali się już na moście, zabytki miasta były podświetlone, przez co niebo nabrało szarozłotej poświaty.

– Nie potrafię wyobrazić sobie ciebie jako żarłoka.

Maggie westchnęła.

– Czasami – oznajmiła – w nadmiernym dogadaniu sobie jest pewna przyjemność.

Zmarszczył czoło.

– Nie jestem pewny, czy...

– To jak zakazana natura jakiegoś zachowania, wiesz, co mam na myśli?

Hendricks nie miał pojęcia, ale zaczynał mieć ochotę, żeby się tego dowiedzieć.

• • •

– Nigdy nie robiłeś czegoś, co jest zakazane, prawda?

Maggie z martini w ręku patrzyła na niego z drugiej strony stolika w Vermilion. Siedzieli przy oknie, a z pierwszego piętra mogli patrzeć na nocne paradowanie młodych ludzi – turystów i miejscowych.

– Zawsze postępowałeś jak porządny facet.

Hendricks był w równym stopniu poirytowany, co zafascynowany faktem, że tak prędko go zaszufładowała.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

Wypiła łyk koktajlu. Kieliszek wyglądał, jakby w środku mrugały światełka.

– Pachniesz jak wszyscy porządni faceci.

Uśmiechnął się niepewnie.

– Chyba za tobą nie nadążam.

Odstawiła drinka, pochyliła się nad blatem i sięgnęła do jego ręki. Odwróciła ją i z łatwością odgięła mu palce, żeby móc czytać z jego dłoni. W chwili gdy go dotknęła, Hendricks poczuł przechodzący przez skórę prąd elektryczny, który powędrował wzdłuż ramienia, potem przez pierś, aż trafił do krocza. Miał wrażenie, że wszedł do wanny z ciepłą

wodą.

Zamrugła powiekami i spojrzała mu w oczy, a on nabrał niezachwianej pewności, że bardzo dobrze wiedziała, co czuł w tej chwili. Powolny uśmiech pojawił się na jej twarzy, ale nie było w nim cienia ironii albo przebiegłości.

– Masz młodszego brata albo jesteś jedynakiem. W obu przypadkach urodziłeś się jako pierwszy.

– Zgadza się – przyznał po chwili wahania.

– To dlatego masz tak silnie ukształtowane poczucie obowiązku i odpowiedzialności. Pierworodni zawsze tak mają, to tak, jakby im to wdrukowywano w chwili narodzin.

Powoli i zmysłowo jej palce przesuwają się po liniach jego dłoni.

– Byłeś dobrym synem, jesteś dobrym człowiekiem.

– Nie byłem za dobrym mężem... przynajmniej za pierwszym razem. I na pewno nie byłem dobrym ojcem.

– Twoje obowiązki to praca i kraj. – Jej oczy zdawały się go wchłaniać. – Te rzeczy mają pierwszeństwo. I zawsze tak było, mam rację?

– Tak – odpowiedział. Nie wiedzieć dlaczego, nagle ochrypł.

Odchrząknął, wyjął rękę z jej dłoni i wypił połowę zawartości szklanki ze szkocką. Ten porywczy akt sprawił, że oczy zaszyły mu łzami i niemal się zakrztusił.

– Ostrożnie – mruknęła Maggie. – Twoje niańki zaraz nadbiegną.

Hendricks skinął głową. Poczzerwieniał na policzkach. Wytarł oczy serwetką i ponownie odchrząknął.

– Lepiej – dodała Maggie.

Nie był pewny, czy to było pytanie, ale w takim przypadku wymagałoby odpowiedzi. Puścił zatem to słowo mimo uszu i wypił szkocką do końca.

– Iloma językami mówisz?

Wzruszyła ramionami.

– Siedmioma. Czy to ma znaczenie?

– Jestem zwyczajnie ciekawy.

Ale chodziło o coś więcej. Jakaś jego część, już zadurzona, siedziała z zamkniętymi oczami, ta druga jednak, zawsze czujnego, porządnego faceta, jak Maggie to ujęła, chciała ją sprawdzić. Nie chodziło o to, że nie wierzył rządowym procedurom prześwietlania ludzi – choć mógł wymienić całkiem sporo przypadków, gdy przeoczono coś żywotnie ważnego – bardziej jednak ufał własnej intuicji.

Podał jej kartę i otworzył własną.

– Na co masz ochotę? Czy może wolałabyś zacząć od profiterolek?

Spojrzała ponad menu i się uśmiechnęła.

– Jesteś taki smutny. To przeze mnie? Może wolałbyś, żebyśmy zjedli coś razem kiedy indziej albo w ogóle dali sobie z tym spokój? Bo to byłoby...

– Nie, nie. – Uświadomił sobie, że podniósł głos, by skutecznie jej przerwać. – Proszę, Maggie. Po prostu... – Odwrócił wzrok, bo na chwilę stracił ostrość widzenia.

Jakby wyczuwając zmianę jego nastroju, popukała palcem w kartę.

– Wiesz, co tu uwielbiam? Kanapkę z błękitnym krabem, bekonem, sałatą i pomidorem.

Znowu patrzył na nią, uśmiechał się.

– Żadnych profiterolek?

Odwzajemniła jego uśmiech.

– Gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że mam ochotę na inny rodzaj deseru.

Rozdział 11

Kiedy Jalal Essai zostawił Bourne'a, wszedł do samolotu lecącego do Bogoty i półtorej godziny później przesiadł się na lot międzykontynentalny, zgodnie z tym, co powiedział Bourne'owi. Dalszy bieg wydarzeń to już inna historia.

Poleciał do Madrytu, a potem do Sewilli, gdzie wynajął samochód i skąd wyruszył do Kadyksu na południowo-zachodnim wybrzeżu Hiszpanii. Kadyks ma niejednoznaczną historię: w zależności od tego, komu daje się wiarę, został założony przez Fenicjan albo, jak głosi grecka legenda, przez Heraklesa. Fenicjanie nazwali go Gadir, miastem za murami. Grecy znali je jako Gadira. Zgodnie z mitem Herakles zbudował to miasto po zabiciu trzygłowego potwora, Geriona, czym ukończył dziesiątą pracę. W każdym razie Kadyks jest najstarszym zamieszkiwanym bez przerwy osiedlem ludzkim w Europie Zachodniej. Przechodził z rąk do rąk, dostając się pod panowanie wielu legendarnych wojowników – Kartagińczyków, Hannibala, Rzymian, Wizygotów i Maurów, którzy rządili Qadisem od 711 do 1262 roku. To właśnie z języka arabskiego pochodzi współczesna nazwa miasta.

Essai miał powód, żeby rozmyślać o tej historii, gdy pokonywał samochodem ponad sto dwadzieścia kilometrów od lotniska w Sewilli do piaszczystej łąchy, na której zbudowano Kadyks. Maurowie najdłużej rządili miastem i wszystko o tym świadczyło. Z powodu piaszczystego podłoża w Kadyksie nie stawiano wieżowców, więc wygląd miasta niewiele zmienił się od czasów średniowiecza. Choć leżało w Hiszpanii, miało wyraźny północnoafrykański charakter, i to się czuło.

Podążając za mapą, której nauczył się na pamięć, znalazł się za murami Casco Antiguo, starego miasta. Z beżowego domu niedaleko Avenida de Duque de Najera roztaczał się widok na Playita de las Mujeres, jedną z najpiękniejszych plaż w okolicy. Okna na tyłach wychodziły na Casco Antiguo prezentujące się niczym żywy obraz historii południa Hiszpanii.

Essai zadzwonił z lotniska w Sewilli. Dzięki temu don Fernando Herrera już na niego czekał. Otworzył grube średniowieczne drzwi w chwili, gdy Essai zgasił silnik samochodu.

Don Fernando, który mieszkał w Sewilli, ale miał też ten dom, gdzie od czasu do czasu szukał wypoczynku, był ubrany w nieskazitelny letni, lniany garnitur dokładnie w tym samym beżowym kolorze, co fasada domu. Choć liczył sobie ponad siedemdziesiąt lat, ciało miał smukłe i proste, jakby stworzono go w dwóch wymiarach, a nie trzech. Niebieskie oczy wydawały się jeszcze bardziej widoczne na tle skóry, ciemnej, wysmaganej wiatrem i ze zmarszczkami od słońca. Gdyby nie kolor oczu, mógłby śmiało uchodzić za Maura.

Jalal wysiadł z samochodu, rozprostował kości i obaj mężczyźni objęli się na powitanie.

Potem Herrera zmarszczył czoło.

– Gdzie Estevan?

– Wszystko z nim w porządku. Ma ochronę – odpowiedział Essai. – To długa historia.

Hiszpan skinął głową, wprowadził Essaia do chłodnego wnętrza, ale wyraz zaniepokojenia nie zniknął z jego twarzy.

Dom zbudowano w stylu mauretańskim, z centralnym dziedzińcem, na którym szemrały

fontanny, a morska bryza poruszała liśćmi smukłych palm daktylowych.

Gospodarz już wcześniej postawił na składanym drewnianym stole mosiężną tacę z czymś do jedzenia i picia. Kiedy Essai się umył, obaj mężczyźni usiedli wśród przesuwających się cieni i cichego trelu wody i jedli potrawy pustynnych Beduinów wyłącznie prawą ręką, na modłę arabską.

Hererra sięgnął do miski po walenczką pomarańczę.

– *Ahora* – powiedział. – *Digame, por favor.* – Wyjął szczyryk z długim cienkim ostrzem i zaczął obierać owoc. – Estevan jest nie tylko moim pracownikiem, to również stary przyjaciel. Posłałem cię do Kolumbii, żebyś zabrał go stamtąd razem z jego kobietą i przywiózł ich tutaj, zanim Domna ich zabije.

– Więc to był sprawdzian.

Hererra oderwał cząstkę pomarańczy.

– Jeśli tak chcesz o tym myśleć.

– A co innego mogę o tym myśleć? – Essai był wyraźnie zdenerwowany. – Nie ufasz mi.

– Estevana tu nie ma. – Don Fernando włożył cząstkę pomarańczy do ust, a potem w ułamku sekundy przystawił ostrze noża do gardła Essaia. Drugą ręką wskazał ku zachodowi. – Tam są Słupy Heraklesa. Legenda głosi, że jest na nich wyryta fraza: *Non plus ultra.*

– Nic ponad to.

– Poza tym punktem nie ma już nic dla ciebie, Essai, chyba że się wytłumaczysz.

– Nie ma powodu, żebyś się niepokoił albo złościł. – Jalal odchylił do tyłu głowę w daremnej próbie uchylecia się przed ostrzem. Czuł zimny metal naciskający na pulsującą żyłę na szyi i stłumił w sobie chęć przełknięcia śliny, co byłoby nieomylną oznaką strachu. – Wysłałeś mnie, żebym tu przywiózł Estevana. W Kolumbii wpadłem jednak na lepszy pomysł, bo spotkałem tam Jasona Bourne'a.

Hererra otworzył szeroko oczy.

– Wysłałeś Bourne'a, żeby zabrał Estevana?

– Don Fernando, znasz Bourne'a osobiście. Czy jest ktoś lepszy do tego zadania? Z pewnością przewyższa mnie pod każdym względem, zwłaszcza teraz, gdy odkryłem, że Domna szykuje się do ataku na Vegasa.

Oczy Hererry pociemniały. Odłożył nóż, ale daleko było mu do odprężenia się.

– Co powiedziałaś Bourne'owi?

– Nie powiedziałem prawdy, jeśli o to się obawiasz. Powiedziałem mu, że Vegas jest słabym ogniwnem w łańcuchu Domny.

– To akurat jest prawda.

– Kłamstwo wymaga pewnej dozy prawdy, żeby można było dać mu wiarę.

Don Fernando zapatrzył się w niedojedzoną pomarańczę i pokręcił głową.

– Oszukiwanie Bourne'a to niemądre posunięcie.

– Nigdy się o tym nie dowie.

Hererra zamrugnął powiekami.

– Skąd wiesz? Estevan...

– Vegas nie ma powodu, żeby coś zdradzić Amerykaninowi, ale ma ich tysiąc, żeby trzymać język za zębami.

Starszy mężczyzna rozważał jego słowa przez kilka chwil.

– Nadal mi się to nie podoba. Będziesz musiał skontaktować się z Bourne’em i przekazać mu, żeby przywiózł tu Estevana i jego kobietę. To zbyt niebezpieczne.

– Bilety na jego nazwisko czekają na miejscowym lotnisku. Kiedy dotrze do Sewilli, dostanie paczkę z resztą szczegółów. – Jalal wzruszył ramionami. – To najlepsze, co mogłem zrobić w takich okolicznościach.

– Powinieneś lepiej panować nad sytuacją – rzucił Herrera kwaśno. – Miałeś Corellosa w garści. Czego więcej potrzebowałeś?

– Na Corellosie można polegać jak na tonącej łodzi. Ten facet to chodząca bomba zegarowa.

– To wszystko może i prawda – odparł Herrera – ale to nie zmienia faktu, że Roberto nadal jest dla mnie użyteczny.

– Posiadanie Aguardiente Bancorp ci nie wystarcza? To jedna z największych instytucji finansowych poza Stanami Zjednoczonymi.

Hiszpan popatrzył na szeleszczące liście palm, za którymi widać było niebo równie błękitne jak jego oczy.

– Aguardiente to moja praca za dnia. – Oderwał następną część pomarańczy. – Muszę mieć co robić nocami. – Opuścił wzrok i spojrzął na Essaia. – Akurat ty powinieneś rozumieć to lepiej od innych.

Wsunął część do ust i żuł w zamyśleniu przez chwilę, rozkoszując się słodko-cierpkim smakiem, a potem przełknął miąższ.

– Ale tu nie chodzi o mnie, Essai. Chodzi o Bourne’a. Oderwał trzeci kawałek, ale zamiast go zjeść, podał kompanowi. Potem czekał, cierpliwy jak *roshi* w świątyni zen.

Essai siedział i trzymał część pomarańczy w palcach prawej ręki. Wpatrywał się w nią, jakby była figurką, którą właśnie kupił, a nie czymś do jedzenia.

– Wiesz, co on mi zrobił.

– Najścia na własny dom łatwo się nie wybacza.

Essai nadal wpatrywał się w kawałek pomarańczy.

– Jeśli w ogóle.

Herrera chrząknął i odłożył to, co zostało z pomarańczy.

– Zdradzę ci pewien sekret, Essai. Bourne wtargnął też do mojego domu.

Jalal spojrzął gwałtownie na niego, ich oczy się spotkały. Hiszpan pokiwał głową.

– To prawda. Wszedł do mojego domu w Sewilli z kobietą, która nazywała się Tracy Atherton, podając się za... – Machnął ręką, jakby zbywał ten szczegół. – Ważne jest, że było to takie samo najście jak kradzież w twoim domu.

– I co zrobiłeś?

– Ja? – Don Fernando wydawał się zaskoczony tym pytaniem. – Nic. Bourne robił to, co musiał zrobić. Nie miał powodu, żeby mi ufać, i tysiąc powodów, żeby mi nie ufać. – Odczekał chwilę, żeby fraza powtórzona za Essaikiem dotarła do adresata, i dopiero wtedy kontynuował: – Nic nie można było zrobić. To część rzeczywistości, którą ty, ja i on zamieszkujemy.

Jalal zmarszczył czoło.

– Twoim zdaniem podchodzę do tego zbyt osobiście?

– Moim zdaniem potrzebujesz trochę dystansu.

- Pomijasz różnice między światem muzułmańskim a światem Zachodu.
- Zdecydowałeś się żyć w świecie Zachodu, Essai. Nie można mieć wszystkiego jednocześnie.
- On zasługuje...
- Wykorzystujesz go, żeby sprowadził tu Estevana, to wystarczy. Znam tego człowieka lepiej niż ty. Przeginianie byłoby dużym błędem. – Herrera wskazał na cząstkę pomarańczy. – Nie zawieźdź mnie.

Essai wsunął po chwili owoc do ust i zaczął gryźć.

• • •

– Chodź, usiądź przy ogniu – powiedział Estevan Vegas, klepiąc kamienne obramowanie kominka. – Wyschniesz w parę minut.

Bourne przeszedł przez kuchnię i zajął miejsce obok starszego mężczyzny. Rosie krzątała się przy węglowej kuchni i doglądała obiadu. Noc zapadła z szybkością jaguara. Dobroczyne żółte światło lamp gazowych, które Vegas zapalił, nie pozwalało, by ciemność wdarła się przez okna do środka. Burza ucichła, ale niebo nadal pokrywała gruba warstwa paskudnych chmur. Na zewnątrz panował nieprzenikniony mrok, jakby nagle znaleźli się na dnie studni.

– Spodziewałeś się Jalala Essaia?

Vegas uniósł brew.

– Essai jest w Kolumbii? Tego nie wiedziałem.

– A te dość skomplikowane przygotowania...

Vegas odwrócił wzrok.

– Chodzi o... kogoś innego.

Bourne wziął starszego mężczyznę za prawą rękę i rozprostował mu palec wskazujący. Pasek bladej skóry świadczył, że jeszcze niedawno nosił na nim sygnet. Vegas wyrwał dłoń, jakby Bourne wsadził mu ją do ognia.

– Wiem o Domnie – powiedział Bourne.

– Nie mam pojęcia...

– To moi wrogowie w takim samym stopniu, jak twoi.

Kolumbijczyk zerwał się gwałtownie na równe nogi.

– To był błąd. – Odsunął się od Bourne'a. – Jak tylko wyschną ci rzeczy, musisz odejść.

Rosie odwróciła się od kuchni.

– Estevanie, a gdzie twoje maniery? Nie możesz wyrzucić tego człowieka na zimną i ciemną noc.

– Nie wtrącaj się, Rosie. – Vegas nie spuszczał wzroku z Bourne'a. – Nie wiesz...

– Wiem, co to znaczy być przyzwoitym człowiekiem, *mi amor*.

Mogłaby powiedzieć więcej, ale się powstrzymała. Zamiast tego zmusiła spojrzeniem Vegasa, żeby na nią popatrzył. W tej chwili losy kłótni zostały przesądzone.

– Doskonale – warknął nafciarz. – Ale to będzie pierwsza rzecz rano.

Uśmiech pojawił się na twarzy Rosie niczym promień słońca.

– Tak, *mi amor*. Będzie, jak sobie życzysz. – Wyjęła mięso z piekarnika. – A teraz, *por favor*, zaproponuj naszemu gościowi coś do picia, zanim ten biedak umrze z pragnienia.

Bourne trzymał w ręku *cachaęa* – mocny alkohol pędzony z trzciny cukrowej – i stał przy oknie. Rosie czyniła ostatnie przygotowania do obiadu, a Vegas kładł dodatkowe nakrycie na stole.

Bourne widział niewyraźne odbicie swojej twarzy w szybie, co wydało mu się całkiem naturalne. Był przecież tylko cieniem przemieszczającym się przez świat cieni. Wrócił myślami do Jalala Essaia. Czy nadal pracował dla Domny? Na pewno coś szmugłował dzięki pomocy Suareza i jego rebeliantów z FARC. Suarez należał do Domny, ale robił wrażenie, że jest też zwierzęciem politycznym. Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii były całym jego życiem, podobnie jak walka z kolumbijskim rządem. Czyżby muzułmanin używał go do własnych celów? Ale jakie to mogły być cele? Czy również historia córki Essaia była wymysłem? Jeśli tak, to plan krwawej zemsty na Domnie także mógł być kłamstwem.

Bourne upił łyk wódki. Niewykluczone, że Essai miał pretensje do Benjamin El-Ariana, a nie do Domny jako organizacji. Taki scenariusz ustawiałby wszystkie elementy układanki w zupełnie innych miejscach. Gdyby oczywiście miał jakiegokolwiek oparcie w faktach. Prawdą było jednak to, że Jalal Essai stanowił kompletną zagadkę. Ani jego działanie, ani motywy nie były jasne.

Bourne znowu znalazł się w sytuacji, kiedy nikomu nie mógł ufać.

Rosie zawołała go na obiad. Gdy się odwrócił, uśmiechała się do niego słodko i wyciągniętym ramieniem wskazywała czekające krzesło. Pomyślał, że na swój oryginalny sposób jest całkiem ładna, z długimi czarnymi włosami, oczami koloru kawy i lekko śniadą karnacją. Miała zgrabną sylwetkę, niewiele tłuszczu, a to dzięki temu, że mieszkała na pustkowiu. Nie malowała się ani nie nosiła biżuterii poza złotymi kolczykami na sztyftach w uszach. Zęby miała białe i równe, usta wydatne, a jej uśmiech był równie ciepły jak jej obejście. Jason polubił ją, podobał mu się też sposób, w jaki radziła sobie z Vegasem. Kobietom na pewno nie było łatwo w społeczeństwie rządzone przez *macho*.

Vegas siedział już u szczytu stołu, zastawionego gulaszem, ziemniakami, dwoma zielonymi liściastymi warzywami i świeżym chlebem, który Rosie, jak wyjaśniła, upiekła tego ranka. Vegas odmówił krótką modlitwę, a potem przez jakiś czas jedli w milczeniu. Ze ściany obserwował ich wyrzeźbiony, drewniany krucyfiks. Jedzenie okazało się pyszne, a Rosie aż pojaśniała, gdy Bourne to powiedział.

– A więc – odezwał się Vegas, ocierając usta poplamioną ścierką. – Gdzie on jest?

Bourne spojrzał na niego.

– Kto?

– Essai.

– A zatem wiesz, że był w Kolumbii.

– Liczyłem na to, w każdym razie. Dowiedziałem się, że przyjedzie i zabierze nas, zanim. – Zerknął na Rosie i natychmiast urwał w pół zdania.

– Możesz wymienić tę nazwę, *mi amor*. – Jadła powoli, brała bardzo małe kęsy, jakby się bała, że gdyby zjadła swoją porcję, mogłoby nie wystarczyć jedzenia dla jej mężczyzny i jego gościa. – Nie zwinę się w kłębek ze strachu i nie umrę.

Vegas się przeżegnał.

– Niech Bóg broni! – Nachmurzył się. – Nigdy nie mów takich rzeczy, Rosie. Nigdy!

– Jak chcesz. – Opuściła wzrok na talerz i wróciła do jedzenia.

Vegas ponownie spojrzął na Bourne'a.

– Jak sam widziałeś, jesteśmy przygotowani na nieuniknione, ale nie chcę, żebyśmy zostawali dłużej w miejscu, gdzie stajemy się coraz bardziej bezbronni.

– Ale Domna jest wszędzie.

– Essai obiecał nam kryjówkę.

– Ufasz mu?

– Ufam. – Vegas wzruszył ramionami. – Ale mówiąc szczerze, jaki mam wybór?

Bourne zastanowił się nad tym i doszedł do wniosku, że rzeczywiście nie mieli innego wyboru.

– Dlaczego atak Domny na ciebie jest nieunikniony? – Jason odłożył widelec. – Co takiego zrobiłeś?

Milczenie trwało bardzo długą chwilę, aż Bourne pomyślał, że nie usłyszy odpowiedzi, ale wtedy właśnie Kolumbijczyk zaczął mówić:

– Tych *maricón* bardziej niepokoi to, czego nie zrobiłem.

– Włożył jedzenie do ust i zaczął wolno gryźć.

Bourne nadaremnie czekał na ciąg dalszy.

– Co takiego miałeś robić dla Domny? – zapytał, kiedy Vegas napił się lichego wina.

Starszy mężczyzna oblizał usta.

– Szpiegować. Chcieli, żebym szpiegował mojego pracodawcę, który jest jednym z moich najstarszych przyjaciół. To on dał mi pracę, kiedy byłem bez centa przy duszy, kiedy byłem pijakiem wyrzucanym z barów w Bogocie. I spędzałem noce na tej czy innej ulicy. Byłem wtedy młody, głupi i zły. – Pokręcił głową. – *Dios*, strasznie zły. – Wypił następny łyk wina, może żeby dodać sobie odwagi. – Zarabiałem na życie, jeśli tak można to nazwać, przykładaniem po nocach zardzewiałego noża do gardeł przechodniów. Kradłem im pieniądze.

Uniósł wzrok na krucyfiks i rozłożył ręce.

– Byłem zagubionym gnojkiem, który do niczego się nie nadawał, tak przynajmniej wtedy myślałem. Pewnego wieczoru mój los się odmienił. Ten człowiek, moja niedoszła ofiara, rozbroił mnie w mgnieniu oka. Prawdę mówiąc, nie miałem serca do tamtej roboty... jak zresztą do każdej. Ale nic innego nie było w moim zasięgu.

Wzruszył ramionami i wpatrywał się w mętne wino na dnie kieliszka. Sięgnął ręką, żeby sobie dolać, lecz Rosie przesunęła butelkę poza jego zasięg. Nie protestował. Może, pomyślał Bourne, to codzienny rytuał między nimi.

– Nie potrafię powiedzieć, jaką iskrę ten mężczyzna we mnie dostrzegł, ale na pewno ją zobaczył. – Vegas odchrząknął, jakby z trudem panował nad emocjami. – Dopilnował, żebym wytrzeźwiał, zabrał mnie na pole naftowe i nauczył wszystkiego od podstaw. Wtedy się odnalazłem, można to tak nazwać. W każdym razie czułem się bezpieczny, chroniony. Pracowałem ciężko i pokochałem ciężką pracę. Dostarczała mi przyjemności tak przejmującej, że graniczyła z bólem. I oto proszę, jestem tu, wiele lat później, dobrze wyuczony swojej lekcji i zarządzam dla niego polem naftowym. Mam do tego dryg. Wierzę, że on o tym wiedział, kiedy ja jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy. – Oczy mu jaśniały, gdy skupił wzrok na Jasonie. – I przez wszystkie te lata... teraz to już dziesięciolecia... nigdy mi nie

powiedział, dlaczego wziął mnie z ulicy.

– Pewnie nigdy nie zapytałeś.

Vegas odwrócił głowę i spojrzał na swoją kobietę, jakby widok twarzy Rosie go uspokajał.

– To byłoby naruszenie czegoś, co nas ze sobą połączyło.

– Westchnął i odsunął talerz. – Właśnie tego człowieka kazano mi śledzić. – Ponownie odwrócił głowę i teraz w jego oczach widać było złość. – To miał być sprawdzian, rozumiesz. Sprządzian mojej lojalności. I przeszedłem go. Jestem teraz i zawsze lojalny wobec don Fernanda.

Przez chwilę Bourne miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Jak don Fernando ma na nazwisko?

– Herrera. Don Fernando Herrera. – Vegas wrócił do jedzenia.

Bourne się uśmiechnął. Próbował uzmysłwić sobie skutki tej bardzo ważnej i cennej informacji. Suarez przewoził kontrabandę dla Essaia. Essai był w jakiś sposób powiązany z Hererrą, który posiadał pola naftowe zarządzane przez Vegasa. Herrera z jakiegoś powodu również dostał się pod lupę Domny. Nadal należało ustalić dlaczego. Nie wspominając o tym, jak Jalal Essai i Herrera się skumali.

Rosie przekrzywiła głowę.

– Dlaczego się uśmiechasz, *señor*?

– Don Fernando to mój przyjaciel.

Vegas podniósł wzrok.

– To opatrność! Essai dobrze zrobił, przysyłając cię tutaj.

Będziesz naszym opiekunem. Jutro wyruszymy w podróż do don Fernanda.

• • •

Po obiedzie Hendricks zaproponował Maggie, że odwiezie ją do domu.

– Jedźmy do ciebie – odpowiedziała. – Chciałabym rzucić okiem na róże.

– Będę ci musiał zapłacić za nadgodziny?

Uśmiechnęła się.

– Robię to dla siebie.

Wysiadła z samochodu, gdy podjechali pod jego dom. Jadący za nimi wóz zatrzymał się dyskretnie o jedną przecznicę dalej, wciąż jednak wystarczająco blisko, żeby zareagować, gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Hendricks wyobrażał sobie niepokój ochroniarzy, bojących się, że Maggie mogłaby przywalić mu w głowę obcasem szpilki.

W rzeczywistości Maggie stojąca na trawie właśnie zdjęła pantofle. Niosła je w ręce, gdy szła lekkim krokiem po murawie w kierunku grządki róż. Przyklękła, szeptała coś do kwiatów i dotykała każdego z nich, jakby to były dzieci.

Kiedy się wyprostowała, odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

– Nic im nie będzie. Więcej, mają się świetnie. Sam się przekonasz.

– Nie wątpię. – Wprowadził ją po schodach z cegieł i otworzył frontowe drzwi. Z powodów bezpieczeństwa wszystkie światła były zgaszone, więc gdy zamknął drzwi, otoczyła ich ciemność rozpraszana jedynie poświatą dochodzącą od latarni na ulicy. Od czasu do czasu mocny strumień światła z latarki ochroniarza omiatał jedno z okien.

- Jak w więzieniu – powiedziała Maggie.
- Co? – Odwrócił się do niej, przerażony jej uwagą.
- Wieżyczki strażnicze. Reflektory punktowe. No wiesz. Wpatrywał się w nią, włosy na karku mu się zjeżyły.

Oczywiście miała rację, że on – jak wszyscy politycy na jego szczeblu i wyżej – żył w swego rodzaju więzieniu. Nigdy wcześniej nie myślał o tym w ten sposób. A może myślał. Czy Amanda nie powiedziała czegoś w tym stylu w czasie obiadu w Vermilion? Przesunął ręką po czole. Dzisiejszy wieczór i obiad z Amandą mieszały mu się w myślach, zacierały. Kompletny nonsens i tyle.

Nagle w pełni uświadomił sobie, że stoją w półmroku.

- Napijesz się czegoś?
- Sama nie wiem. Jak długo mogę zostać?
- To zależy od ciebie.

Roześmiała się cicho.

- A co powiedzą twoi ochroniarze?
- Są nauczeni dyskrecji.
- To znaczy, że nagranie z naszym seksem nie pojawi się na blogu Pereza Hiltona albo na Defamerze?

Hendricks poczuł mrowienie w dole brzucha.

- Nie wiem... nie wiem, kim są ci ludzie.

Podeszła do niego, a on zaciągnął się głęboko jej wyjątkowym zapachem. Ucisk w gardle sprawił, że ledwie mógł wydobyć głos.

- Chcesz się ze mną przespać? – zapytał niczym uczeń. Ona jednak się nie roześmiała.
- Tak, tyle że nie dzisiaj. Teraz wolalabym porozmawiać. Nie masz nic przeciwko temu?
- Nie, oczywiście, że nie. – Odchrząknął. – Ale ja nie rozmawiałem z kobietą od... – Nie potrafił wymówić imienia Amandy, nie tu, nie w tej chwili. – Od bardzo dawna.
- W porządku, Christopherze. Tak samo jest ze mną.

Zaprowadził ją do jednej z kanap – jego ulubionej. Często na niej zasypiał, późno w nocy, z jakimś sprawozdaniem na piersi. Łóżko ciągle wydawało mu się zimne, od kiedy Amanda nie leżała w nim obok niego. Podobało mu się, że Maggie nazwała go Christopherem, czego teraz nikt już nie robił, nawet prezydent. Nienawidził zwrotu „panie sekretarzu”. Wydawało mu się, że coś się za nim kryje.

Kiedy usadowili się na poduszkach, sięgnął do lampy na stoliku stojącym najbliżej kanapy, ale Maggie go powstrzymała.

- Proszę. Wolę tak, jak jest.

Snop światła z latarki ochroniarza pojawiał się coraz częściej, jako że rozpoczęły się regularne patrole posesji. Blade pasy poświaty rzucanej przez uliczne latarnie kładły się przed nimi, przesuwwały po nogach. Hendricks zauważył, że Maggie nie włożyła z powrotem butów. Miała piękne stopy. Zastanawiał się, jak wygląda reszta jej ciała.

- Opowiedz mi o sobie – poprosił. – Jacy byli twoi rodzice? – Zamilkł na chwilę. – A może to zbyt osobiste pytanie?

– Nie, nie. – Gdy kręciła głową, włosy falowały jej wokół twarzy niczym płynne złoto. – Ale nie mam zbyt wiele do opowiadania. Mama była Szwedką, ojciec Amerykaninem, rozeszli

się, kiedy byłam małą. Potem matka zabrała mnie do Islandii na prawie pięć lat, zanim wróciliśmy do Szwecji. – To była prawda, dzięki której z większą łatwością mogła sprzedać kłamstwo, jakim była tożsamość Maggie Penrod. – Przyjechałam do Stanów, gdy skończyłam dwadzieścia jeden lat, przede wszystkim po to, żeby zobaczyć się z ojcem, którego nie widziałam od ich rozvodu. – Przerwała na chwilę, zapatrzona w przestrzeń. Zdradzała więcej prawdy, niż planowała. Co to o niej mówiło? – Nie wiem, kogo lub co spodziewałam się tu zastać, ale ojciec nie ucieszył się na mój widok. Może z powodu choroby... umierał na rozedmnę płuc. Choć wydawało mi się, że tym bardziej powinien być wdzięczny za moją obecność.

Hendricks odczekał moment, zanim się odezwał:

– Więc się nie ucieszył.

– Oględnie mówiąc.

Uśmiechnęła się smutno. Na jej twarzy pojawił się wyraz, który mu się nie podobał. Miał ochotę ją objąć. Nie poruszył się jednak.

– Zapomniał o moim istnieniu. Posunął się nawet do tego, że się mnie wyparł, nazwał oszustką, która tylko czeka, żeby umarł, bo chce dobrać się do jego pieniędzy. Powtarzał, że nigdy nie miał córki. W końcu pielęgniarka kazała mi wyjść. Była wysoka i przysadzista; pewnie musiała taka być, żeby móc się nim zajmować. Czułam się tym tak upokorzona, że wyszłam bez słowa.

– Próbowalaś wrócić?

– Dotknął mnie do żywego, nie potrafiłam się na to zdobyć. A kiedy uznałam, że powinnam spróbować jeszcze raz, już nie żył. – Nienawidziła ojca i wszystkiego, co go dotyczyło, w tym jego amerykańskiego chamstwa, bo pieprzył jakąś inną kobietę, kiedy jeszcze był z matką, jego arogancji, gdy zostawiał matkę samą w Szwecji z małym dzieckiem, które w ogóle go nie obchodziło, jego narcyzmu, przez który upierał się, że nigdy nie dał jej życia. Odejście od żony to jedno i można to zrozumieć ze względu na wiele różnych okoliczności, ale wyrzeczenie się własnego dziecka jest niewybaczalne.

Ku własnemu niezadowoleniu poczuła, że łzy płyną jej po policzkach. Pochyliła się i kładąc łokcie na udach, ukryła twarz w dłoniach. Miała wrażenie, że głowa jej eksploduje, a serce pęka raz po raz. Dziwne było już to, że poddawała się takim uczuciom, a na dodatek jakaś jej część odseparowała się, patrzyła na to jej rozgoryczenie niby na fragmenty filmu, okrutnego i przepełnionego emocjami.

Dopiero teraz Hendricks jej dotknął, delikatnie położył rękę na ramieniu.

– Współczuję ci – powiedział.

– Nie warto – odpowiedziała ciepło. – Nie potrafię... i nie będę uzalać się nad sobą. – Uniosła głowę i odwróciła się do niego. Jej twarz ze strużkami łez nagle wydawała się bardzo młoda i bezradna. – Rzadko wspominam przeszłość... i nigdy o niej nie opowiadam.

Naturalnie Hendricksowi bardzo to pochlebiło. Widząc to, poczuła się jeszcze bardziej rozdarta. W czasie pracy pod przykrywką istnieje możliwość, że człowiek zapagnie stać się swoją legendą, że pojawi się chęć, by nigdy z niej nie rezygnować. Skara wyczuwała, że czegoś takiego może właśnie doświadczać. Tożsamość Maggie bardzo ją pociągała, a jednocześnie oddalała od Skary. Było jej dobrze w tym domu, było jej dobrze z Christopherem Hendricksem. W ogóle nie przypominał człowieka, jakiego sobie przedtem wyobrażała –

cynicznego, dwulicowego i chciwego amerykańskiego polityka. Ludzka twarz celu była najniebezpieczniejszym aspektem zadania tajnego agenta, dobrze o tym wiedziała.

Siedzący obok niej Hendricks nie miał rzecz jasna pojęcia o toku jej myśli. Ale pobratymstwo między nimi, które poczuł, gdy spotkali się po raz pierwszy, umocniło się i pogłębiło w trakcie tego wieczoru do takiego stopnia, że intuicyjnie dostrzegał nękający ją wewnętrzny konflikt, choć nie potrafił określić jego natury.

– Maggie – powiedział. – Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Odwieź mnie do domu, Christopherze.

I naprawdę tego chciała w głębi cynicznego, dwulicowego i chciwego serca.

• • •

Karpow pojechał U-bahnem do Milbertshofen i przeszedł kilka przecznic do Knorrstrasse. Zakład zegarmistrzowski Hermanna Bolgera znajdował się na piętrze wąskiej staroświeckiej kamienicy wyglądającej dziwacznie między supernowoczesnym oddziałem Commerzbanku i krzykliwą fasadą sieciowego fast foodu z kanapkami.

Na zewnątrz stary jak świat szyld przedstawiający tarczę zegarka skrzypiał szarpany paskudnym, porywistym wiatrem. Schody okazały się strome i bardzo wąskie, szary marmur miał wgłębienia po dziesięcioleciach deptania go butami. W powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny zapach smaru i rozgrzanego metalu. Gdzieś wyżej grało radio, słychać było smętną niemiecką piosenkę. Minął małe okno, przez którego brudne szyby zobaczył wąską uliczkę zastawioną metalowymi kontenerami na śmieci.

Drzwi zakładu Bolgera były otwarte. Karpow wszedł do środka. Z zaplecza dochodziła smętna niemiecka piosenka śpiewana rzewnym i trochę zachrypniętym kobiecym głosem. Trzy ściany wypełniały półki z zegarami. Boris przyjrzał się im – wszystkie wyglądały na prawdziwe antyki. Przed nim znajdował się niski kontuar z przeszklonym blatem. W środku leżały zegarki, w stalowych i złotych kopertach, ręcznie robione, prawdopodobnie przez samego *Herr* Bolgera.

A skoro o nim mowa, właściciela nigdzie nie było widać. Boris zastukał głośno w szklany blat kontuaru. Zaraz potem zawołał i wpatrywał się w otwarte drzwi na zaplecze, gdzie najprawdopodobniej Bolger miał warsztat. Piosenka dobiegła końca i zaczęła się następna, równie pełna łzawej tęsknoty za Republiką Weimarską.

Coraz bardziej zniecierpliwiony, obszedł kontuar i znalazł się na zapleczu. Zapach oleju i rozgrzanego metalu był tam intensywniejszy, jakby *Herr* Bolger gotował dziwną, metalową potrawkę. Światło wpadało przez okno na tyłach, wychodzące, jak pomyślał, na tę samą uliczkę, którą widział ze schodów. Muzyka, jeszcze głośniejsza, stała się wręcz nie do zniesienia. Podeszedł do radia i je wyłączył.

Warsztat wypełniła cisza, a wraz z nią zapach mieszający się z innymi. Była to znana Karpowowi woń galwanizacji.

– *Herr* Bolger! – zawołał. – *Herr* Bolger, gdzie pan jest? Przecisnął się przez zagracone pomieszczenie i otworzył ze skrzypnięciem żałośnie wąskie drzwi do WC.

– Szlag by to trafił! – warknął, zaglądając do środka. *Herr* Bolger klęczał i prezentował Karpowowi tyłek. Ramiona zwisały mu luźno po obu stronach muszli, dłonie opierał na

szyrych kafelkach posadzki. Głowę miał w sedesie, zanurzoną w wodzie.

Boris nie zadał sobie trudu zbadania ciała. Wiedział, jak rozpoznać trupa. Cofnął się i szybko przeszedł przez zakład. Zbiegał głośno po schodach, kiedy usłyszał przejmujące zawrodozenie syreny policyjnej. Przyspieszył, na ile było to możliwe, zatrzymał się dopiero przy drzwiach frontowych i zerknął przez ozdobną szybę. Co najmniej trzy policyjne radiowozy podjechały przed kamienicę, a w chwilę później wysypali się z nich policjanci, którzy wyciągali pistolety i biegli w jego kierunku.

Cholera, pomyślał Boris, to zasadzka.

Odwrócił się i pobiegł na górę. Okno na klatce schodowej było za małe, żeby się przez nie przecisnął. Biegł dalej.

Frontowe drzwi się otworzyły, policjanci wpadli do środka. Miał już kilka razy do czynienia z niemiecką policją i nie palił się do następnego spotkania.

Dotarł z powrotem do zakładu zegarmistrzowskiego, popędził na zaplecze i spróbował otworzyć okno. Ani drgnęło. Szarpał i szarpał, ale zardzewiały zamek był na dobre zakleszczony, a ramę malowano farbą tyle razy, że prawie nie dawało się dostrzec, w którym miejscu zaczyna się parapet.

Słyszał dudnienie butów na schodach i policjantów nawołujących się wzajemnie, gdy zbliżali się do pierwszego piętra. Boris wychwycił słowo *Uhrmacher* i przestał mieć jakiegokolwiek złudzenia. Za chwilę mieli go dopaść.

Odwrócił się, przejrzał szybko narzędzia zmarłego zegarmistrza, znalazł to, czego szukał, a potem zaczął zdłubywać kit z brzegów szyby. Wypchnął ją i złapał, zanim wypadła i rozbiła się na ulicy w dole. Policjanci wlewali się strumieniem do zakładu Bolgera. Boris bez chwili namysłu wyszedł przez okno i wykrzywiając ciało, wstawił szybę z powrotem.

Stał na parapecie z cegieł, wmurowanych skośnie, żeby deszcz nie wlewał się przez okno do środka. Przesunął się maksymalnie ku prawej stronie i niewiele brakowało, żeby się ześlizgnął. Chwycił się pionowej rynny przymocowanej do ściany metalowymi obręczami umieszczonymi w równych odstępach. Policjanci byli już na zapleczu. Znaleźli ciało. Podniósł się zgiełk. Ktoś wyszcze kiwał słowa do walkie-talkie, najprawdopodobniej zgłaszając morderstwo. Boris zamarł, ale wiedział, że nie może zostawać tu zbyt długo. Wcześniej czy później – ale raczej wcześniej – ktoś spróbuje otworzyć okno, a wtedy wypadnie szyba, która trzymała się tylko na słowo honoru.

Spojrzał w lewą stronę i przekonał się, że skośny parapet ciągnie się aż do rogu budynku. Postanowił zaryzykować. Chwycił rynnę obiema rękami i wychylił się, żeby sprawdzić, co jest za nią. Serce zabiło mu żywiej: dostrzegł architektoniczny detal – niszę, która z pewnością by go pomieściła, stanowiąc doskonałą kryjówkę.

Od ziemi nie dzieliła go zbyt duża odległość, ale skok nawet z tak umiarkowanej wysokości nie wchodził w grę. Pod nim stały dwa metalowe pojemniki na śmieci z pokrywami zabezpieczonymi szpikulcami, prawdopodobnie żeby trzymać z dala szczury i bezdomnych. Poza tym w każdej chwili spodziewał się zobaczyć policjantów z obu stron uliczki. Prawdę mówiąc, był zdziwiony, że jeszcze ich tam nie ma.

Zacisnął mocniej ręce na rynnie i odwrócił się przodem do fasady. Opierając górną część ciała o rynnę, przerzucił lewą nogę obok metalowej rury i postawił stopę na parapecie po jej drugiej stronie. Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie. Musiał przenieść ciężar ciała z

prawej strony na lewą. W czasie tej operacji będzie zupełnie bezbronny aż do chwili, gdy znajdzie się po drugiej stronie. Zastanawiał się nad tym, kiedy szyba wypadła i z hukiem roztrzaskała się o najeżoną kolcami pokrywę pojemnika na śmieci. Nie miał chwili do stracenia!

Spróbował przenieść ciężar ciała na lewą stronę. Nadal jednak nie stał pewnie na lewej stopie, dlatego musiał przylgnąć do rynny. Zakołysał się i natychmiast usłyszał trzask, a potem drugi. Spojrzał w dół. Dwie obręcze odpadły od ściany, bo nigdy nie miały wytrzymywać takiego obciążenia. Rynna wygięła się i przez straszną chwilę Boris był pewny, że runie prosto na paskudnie wyglądające szpikulce. Wtedy jednak udało mu się do końca przerzucić ciężar ciała. Stał obiema nogami na parapecie i obracając się bardzo wolno, wsunął się bezpiecznie do niszy. W samą porę. Uliczka aż zaroiała się od policjantów.

Rozdział 12

Bourne obudził się przed świtem. Nocne cienie nadal wypełniały rogi salonu. Rosie posłała dla niego jedyny tapicerowany fotel, jaki mieli, i położyła na nim poduszkę, która mocno pachniała sosną. Przez chwilę siedział bez ruchu. Śniła mu się skandynawska dyskoteka, jaskrawe światła, dudniąca muzyka, kobieta w kabinie toalety. Zamiast jednak celować do niego z pistoletu, celowała z palca. Zamiast włosów blond i niebieskich oczu miała ciemne włosy i piwne oczy. To Rosie. Rosie, która otworzyła usta, żeby coś mu powiedzieć, coś ważnego, był o tym święcie przekonany, a taką pewność ma się tylko w snach. A potem gwałtownie się obudził.

Dlaczego?

Coś się poruszyło? Rozejrzał się wokół, ale w pokoju panowały cisza i spokój.

Co w takim razie?

Wstał i rozciągnął napięte mięśnie. Dopiero gdy przerabiał pierwszą serię ćwiczeń, jakie wykonywał codziennie, zrozumiał.

Odgłos silnika, nadal bardzo odległy, wdarł się do jego snu, ściągnął go z powrotem do Kolumbii. Chwycił solidny zakrzywiony nóż z drewnianego stojaka na kontuarze w kuchni i wyszedł na zewnątrz, trzęsąc się z zimna. Po deszczu nie było śladu, ale srebrzysta mgła zasnuwała wszystko i ospale wznosiła się ku wierzchołkom drzew. Na wschodzie perłowoszary mrok z ociąganiem ustępował miejsca bladoróżowej poświacie, pojawiającej się tuż przed pierwszymi promieniami słońca. Za domem spostrzegł dwa poobijane jeepy. Ich wygląd zdradzał, że pochodziły z czasów drugiej wojny światowej.

Dźwięk nasilał się w ciszy nadchodzącego poranka.

Bourne wyciągnął szyję i nadśluchiwał uważniej. Tak, nadal bardzo niewyraźny warkot silnika, jednak nie do pomylenia z niczym innym.

Odwrócił się i miał zamiar pobiec do domu, gdy pojawił się Vegas, taszczący SAM-a, rosyjską ręczną wyrzutnię rakietową Strieła-2, z czymś, co wyglądało na naprowadzany laserem celownik fotooptyczny SCS-132.

Bourne się roześmiał.

– Nie żartowałeś, mówiąc, że jesteś przygotowany.

– Teraz nie chodzi tylko o mnie – powiedział Vegas. – Muszę bronić Rosie.

Obaj odwrócili się ku północy i z zapartym tchem patrzyli, jak chwilę później wśród mgły pojawił się helikopter. Kiedy Vegas umieścił wyrzutnię na ramieniu i patrzył przez celownik, nad ich głowami zaświstały kule z karabinu maszynowego.

– Świetnie! – krzyknął Kolumbijczyk i nacisnął spust.

Rakietę wystrzeliła z głośnym hukiem, który rozszedł się echem po górach. Helikopter nadal unosił się nad zamglonym grzbietem góry, kiedy pocisk trafił go w sam środek kadłuba. Maszyna zmieniła się w ognistą kulę, rozrzucającą nadtopione kawałki metalu i plastiku niczym wybuchający wulkan.

Do tego czasu Bourne i Vegas schowali się już za jednym ze starych jeepów.

– Dobrze byłoby, gdybyś zawołał Rosie – podsunął Bourne. – Musimy jak najszybciej stąd zniknąć. Jeepy są zatankowane?

Vegas skinął głową.

– Wszystko w ramach przygotowań.

Nagle obaj usłyszeli łopot śmigieł helikoptera.

– Cała nadzieja w tym, że masz więcej rakiet – powiedział Bourne.

Vegas rzucił się biegiem w stronę domu. Drugi helikopter Domny wznosił się nad tym samym grzbietem góry, ale gwałtownie skręcił, obierając mniej bezpośrednią trasę nad budynek. Jego załoga na pewno widziała wybuch pierwszej maszyny, dlatego zachowywała większą ostrożność.

Vegas wrócił.

– Załadowana!

Zarzucił sobie wyrzutnię na ramię i spojrzał w celownik. Helikopter schował się za rzędem wysokich sosen. Ale to przecież nie miało znaczenia. Naprowadzany laserem pocisk znajdzie go, nawet jeśli będzie poza zasięgiem wzroku.

– No to jazda! – krzyknął Vegas, a Bourne odsunął się o krok od niego. Kolumbijczyk nacisnął spust.

Nic się nie stało.

• • •

Kiedy Soraya zobaczyła Amuna Chaltuma na lotnisku de Gaulle’a, od razu się zorientowała, że przyprowadzenie ze sobą Aarona było błędem. Ona i Aaron przyjechali po niego przed spotkaniem z szefem Laurenta w Monition Club, które mieli zaplanowane na ten poranek. Gdy tylko Amun spojrzał na Aarona, poczuł nienawiść od pierwszego wejrzenia.

Ponieważ Soraya to zauważyła, poprosiła, żeby Aaron zaczekał, i sama podeszła do Amuna.

– Kto to jest, do cholery? – zapytał, podnosząc niewielką walizkę.

– Hej, nie widzieliśmy się... od jak dawna, od ponad roku? I tak mnie witasz?

– Tak, od ponad roku, a ty zjawiasz się z obcym facetem, który całkiem nieźle wygląda, biorąc pod uwagę, że jest Francuzem.

– To sprawy zawodowe, Amunie. Aaron Lipkin-Renais jest inspektorem w Quai d’Orsay. – W momencie, gdy wymówiła pełne nazwisko Aarona, zorientowała się, że popełniła kolejny błąd.

– A co Żyd robi w Quai d’Orsay? – Czarne oczy Amuna zamigotały wściekłością. Był wysokim mężczyzną, szczupłym, ale dobrze zbudowanym, o szerokich ramionach i silnych rękach. W swoich opiniach i rozkazach był w równym stopniu charyzmatyczny, co apodyktyczny. Ludzie Chaltuma nigdy nie kwestionowali jego poleceń i wykonywali je od razu.

– Jest Francuzem, który przypadkiem ma żydowskie pochodzenie. – Soraya pocałowała Amuna w usta. A potem wzięła go pod rękę. – Chodź, przedstawię cię. Facet jest bystry i energiczny. Polubisz go.

– Wątpię – warknął Amun, ale pozwolił się przeprowadzić przez halę do miejsca, gdzie czekał cierpliwie Aaron.

Ku niezadowoleniu Sorai reakcja obu mężczyzn na siebie była silna i toksyczna. Wiedziała już, że usiłowała połączyć wodę z oliwą, wierząc, że wbrew prawom fizyki jakoś się ze sobą mieszają. Nic z tego nie wyszło. Ruszyli we trójkę w milczeniu do samochodu Aarona, a ona czuła, jak opuszcza ją entuzjazm.

W trakcie równie milczącej jazdy do Paryża Soraya miała czas na obserwowanie Amuna, który nie krył dogłębnego zdegustowania. To prawda, był wyszkolonym tajnym agentem, rozbijającym siatki szpiegowskie, również, jak zakładała, te kontrolowane przez Mossad z Tel Awiwu. Ponieważ jednak urodził się i wychował w Kairze, od bardzo wczesnego wieku wpajano mu nienawiść nie tylko do Izraelczyków, ale także do wszystkich Żydów. Nigdy nie poruszała z nim kwestii żydowskich, bo nie czuła takiej potrzeby. A może, myślała teraz, wierząc się na fotelu w samochodzie, celowo unikała tego tematu, bo nie chciała stawiać czoła jego uprzedzeniom? Taka możliwość przynosiła wstyd im obojgu, pomniejszała ich. Serce ją zakłuło.

To wtedy ogarnęło ją wrażenie opuszczenia przez wszystkich. Wybrała takie życie, nikt jej do tego nie zmuszał, lecz zdarzały się chwile, jak ta, gdy czuła się samotna niczym stara kobieta pod koniec życia.

Krępiącą ciszę przerwał głos Aarona:

– Myślę, że powinniśmy podrzucić pana Chaltuma do jego hotelu. Musimy zdążyć na spotkanie.

– Nie mam hotelu – odezwał się Amun głosem, który mógłby zatrzymać w miejscu i zamrozić atakującego nosorożca. – Śpię z Sorayą.

– No to podwieziemy pana do jej hotelu.

– Wolałbym jechać z wami na to przesłuchanie.

Aaron pokręcił głową.

– To niestety nie wchodzi w grę. Sprawę oficjalnie prowadzi Quai d’Orsay.

Chroń mnie, Allahu, przed mężczyznami rywalizującymi ze sobą o to, który dalej sika, pomyślała Soraya.

– Zaprosiłam tu Amuna, Aaronie, bo uznałam, że jego widzenie spraw może okazać się bardzo przydatne.

Aaron zmarszczył czoło.

– Nie rozumiem.

– Organizacja, o której Laurent chciał ze mną porozmawiać, jest międzynarodowa. Ma swoje macki wszędzie, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie i w Afryce.

– Mówimy o kolejnej grupie islamskich ekstremistów.

– W tym sęk, że nie. – Soraya patrzyła na Aarona, ale kątem oka obserwowała reakcje i język ciała Amuna. – Laurent zdołał mi przekazać, że ta organizacja scalała ludzi Wschodu i Zachodu.

– Próbowano już tego wiele razy, jednak bez powodzenia, a w panującym teraz klimacie powiedziałbym, że to wręcz niemożliwe.

Soraya pokiwała głową, zadowolona, że ton rozmowy opadł już poniżej poziomu grożącego kłótnią.

– Myślałabym tak samo, ale coś, czego dowiedziałam się od Laurenta, przekonało mnie, że nie kłamał.

– No i cóż to takiego? – Aaron był sceptyczny i nie krył tego.

– Septymiusz Severus, rzymski wódz, urodził się na terenie dzisiejszej Libii. To Severus powiększył liczebność rzymskiej armii, włączając do niej żołnierzy z Afryki Północnej i dalszych terenów.

Lipkin wzruszył ramionami, ale Soraya czuła, jak Amun wychyla się do przodu na tylnym siedzeniu. Przyciągnęła jego uwagę.

– Septymiusz ożenił się z Julią Domną, Syryjką, której rodzina pochodziła ze starożytnego miasta Emesa.

– Mów dalej – poprosił Amun, oczy mu jaśniały.

– Laurent powiedział mi, że nazwa tej organizacji brzmi Severus Domna. Jeśli pójdziemy śladem historii, okaże się, że Severus Domna zdołała w jakiś sposób połączyć ze sobą Wschód z Zachodem.

Aron zagryzł wargę, gdy zastanawiał się nad skutkami czegoś takiego.

– Czy jakakolwiek tajna organizacja mogłaby stać się bardziej niebezpieczna?

Wszyscy w samochodzie znali złowieszczą brzmiącą odpowiedź.

• • •

Drugi helikopter wzniósł się i zaczął do nich strzelać. Zamontowane po bokach karabiny maszynowe pluły kulami, powietrze się rozgrzało, ziemia, błoto i kawałki metalu śmigały wokół nich niczym szrapnele.

– Co się stało, do cholery?! – Bourne przekrzykiwał hałas.

– Nie wiem. Chyba wyrzutnia się zacięła.

Vegas zdjął wyrzutnię z ramienia i uważnie się jej przyglądał. Bourne chwycił go i przewrócił na ziemię za jeepem, podczas gdy kule gwizdały ze wszystkich stron. A potem wzięł od niego wyrzutnię.

– Idź po Rosie i spadajmy stąd do wszystkich diabłów! – krzyknął.

– To się nam nigdy nie uda!

Bourne nie spuszczał oka z kołującego helikoptera.

– Odciągnę ich uwagę.

– Żeby uciec, potrzeba będzie czegoś więcej.

– To ja będę się o to martwił. – Ścisnął ramię Vegasa. – A teraz idź, *hombre*. Nie mamy czasu do stracenia.

Vegas usiłował go powstrzymać, ale Jason zarzucił sobie wyrzutnię na ramię i wypadł biegiem z jeepa, zmierzając do rzędu wysokich sosen rosnących po zachodniej stronie domu. Gdy tylko pilot go zauważył, helikopter skręcił ostro w jego kierunku.

Vegas skorzystał z okazji i ruszył, skulony niczym pająk, od jeepa do domu. Zanim jednak tam dotarł, Rosie wybiegła przez drzwi i spotkała się z nim w pół drogi. Niosła niewielką skórzaną walizkę przypominającą dawną torbę lekarską. Vegas objął ją ramieniem, zmusił gestem, żeby się pochyliła, i razem pobiegli do jeepa. Kiedy wsiedli, Vegas uruchomił silnik, ruszył gwałtownie do tyłu, obrócił kierownicę, zmienił bieg i wystrzelił naprzód wzdłuż ściany domu. Zamiast jednak pojechać podjazdem, skręcił ostro w lewo, podążając ścieżką, którą chodził na polowania. Bardzo szybko zniknęli między drzewami. Byli poza zasięgiem

wzroku nawet pilota helikoptera.

– Gdzie jest Bourne? – zapytała Rosie.

– Mam nadzieję, że nas osłania.

– Ale nie możemy go tak zostawić.

Vegas skupiał uwagę na kierowaniu jeepem podskakującym na wąskiej leśnej drodze. Chłostały ich gałęzie sosen uderzające o drzwi. Co chwila tracił widoczność z powodu liści zasłaniających przednią szybę. Gdyby nie znał tej ścieżki tak dobrze, gdyby nie chodził nią nocami w zupełnej ciemności, na pewno do tej pory już by się rozbili.

– Estevan – nie ustępowała Rosie.

– Co, twoim zdaniem, mam zrobić? Zawrócić i pojechać tam z powrotem?

Nic nie powiedziała. Wpatrywała się po prostu przed siebie.

– Musimy mu zaufać – dodał Vegas. – Tak jak ufamy don Fernandowi.

– Wydaje mi się, że może za bardzo ufasz ludziom, *mi amor*.

– Nie ludziom, przyjaciołom.

– Przywiązujesz bardzo dużą wagę do przyjaźni, *mi amor* – powiedziała.

– A kim jesteśmy bez przyjaciół? – bronił się Vegas. – Dryfujemy przez życie bez zobowiązań i odpowiedzialności. Kiedy nadchodzi burza... a jest nieunikniona... gdzie mamy się podziać?

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– Dlatego cię kocham.

Warknął coś w odpowiedzi, ale nawet ślepy by zauważył, że jest bardzo zadowolony.

• • •

Podwójna seria pocisków smugowych rozerwała ziemię, trawę i grubą warstwę suchych igieł po obu stronach Bourne'a. Udało mu się dobiec do stosunkowo bezpiecznego miejsca między drzewami niemal w ostatniej sekundzie. Młoda sosna tuż za nim złamała się, przecięta na pół kulami z karabinu maszynowego z helikoptera. Gdy tylko Bourne znalazł się pod gałęziami, przyklęknął i sprawdził wyrzutnię. Vegas miał rację, zacięła się, a on nie miał czasu, żeby próbować ją naprawić. Zamiast tego wyjął z niej raketę. To była SA-7 grail, z głowicą o potężnej sile rażenia, starsza wersja, jak się szybko zorientował. Głowica zawierała ładunek trzystu siedemdziesięciu gramów trotylu. Ostrożnie rozmontował ją, wyjął trotyl i pojemnik z paliwem raketowym.

Potem zaczął przeszukiwać poszycie, bo potrzebna była mu gałąź. Pierwsza okazała się za długa, następna zbyt mokra, ale wtedy natrafił na złamaną gałąź odpowiedniej średnicy i długości. Miała tyle sęków, że przypominała średniowieczną maczugę. Uniósł ją i machnął nią kilka razy nad głową. Pomyślał, że będzie dobra. Ściągnął z siebie kurtkę i koszulę, przywiązał rękawy koszuli do rozwidlonej gałęzi, a później umieścił ostrożnie trotyl i paliwo w tkaninie. Proca, którą zrobił z koszuli, trzymała je pewnie.

Mając już to, co chciał, zaczął wchodzić na najgrubszą sosnę. Poruszał się zwinnie, ale ostrożnie, w pełni świadomy ładunku wybuchowego, który niósł. Gdy się wspinał, wyraźniej słyszał warkot helikoptera. Maszyna unosiła się w jednym miejscu, czekając, aż Bourne wyjdzie spomiędzy drzew. Pilot posyłał co jakiś czas serię z karabinu maszynowego w

zagajnik, może w nadziei, że ślepym trafem dosięgnie Bourne'a albo że go wypłoszy z kryjówki.

Jason potrzebował miejsca, w którym stałby się widocznym celem, lecz jednocześnie miałby dość przestrzeni. Trochę czasu zabrało mu znalezienie odpowiedniej przerwy między konarami, ale w końcu mu się to udało. Było to niewielkie przersedzenie gałęzi tuż pod wierzchołkiem sosny. Staął, złapał równowagę i wysunął głowę, czekając, aż zostanie zauważony. Pilot, prawdopodobnie ośmielony faktem, że ścigany nie ma już ze sobą wyrzutni, skierował ku niemu maszynę, żeby go zabić.

Bourne uniósł ramię z procą z koszuli zawierającą trotyl i paliwo rakietowe. Czekał. Kilka sekund, których helikopter potrzebował na manewr, by ustawić się do oddania śmiertelnego strzału, napinało nerwy do granic możliwości. Oceniał odległość. Helikopter powinien znaleźć się bliżej. Tylko o kilkadziesiąt centymetrów. Trzy, dwa, jeden.

Karabin maszynowy zaterkotał w chwili, gdy Bourne zamachnął się i cisnął ładunek z prymitywnej procy w lśniący metal kabiny helikoptera. Zapalnik w trotylu zadziałał, detonacja objęła pojemnik z paliwem rakietowym.

Jason przykucnął, gdy eksplozja rozerwała na kawałki kadłub helikoptera. Zaczął schodzić w dół, ale uszkodzona maszyna spadała z nieba z zastraszającą szybkością. Nadal obracające się śmigła ścinały wierzchołki sosen, konary, a potem pnie.

Bourne, strącony z gałęzi na ziemię, czuł narastającą falę ciepła, zasypywał go grad poszatowanego drewna, słyszał rytmiczny warkot śmigieł, który był niczym zapowiedź śmierci, gdy opadały wprost na niego, niszcząc wszystko dookoła.

Rozdział 13

Indigo Ridge. Peter pracował do świtu, przekopując się przez materiały o kopalni w Kalifornii, o jej początkach i nagłym zamknięciu w latach siedemdziesiątych XX wieku, kiedy Chiny załapały rynek metalami ziem rzadkich, obniżając ceny na tyle, że produkcja Indigo Ridge stała się zbyt droga. Wydobywanie metali ziem rzadkich to żmudny i długi proces, a ich rafinowanie jeszcze bardziej go komplikuje, bo jest odmienne dla każdego pierwiastka. Teraz jednak Chiny niespodziewanie zmieniły kurs i ograniczyły eksport o osiemdziesiąt pięć procent, szokując tym wszystkich i grzebiąc świetlane plany Pentagonu, Departamentu Obrony i DARPA. Teraz Pentagon chciał krwi, bo stało się coś niewyobrażalnego: wytwarzanie broni nowej generacji zostało opóźnione lub zupełnie poniechane z powodu niedostatku metali ziem rzadkich, składników niezbędnych do produkcji. Podczas gdy reszta świata tkwiła w nieświadomości, Chiny od jakiegoś czasu skupowały praktycznie całe wydobycie metali ziem rzadkich z kopalni poza Stanami Zjednoczonymi i Kanadą.

Peter, bardzo zaniepokojony, nie przerywał ściągania z netu wszystkiego, co dotyczyło NeoDyme, nowej spółki zarządzającej Indigo Ridge, i jej szefa, Roya FitzWilliamsa. Zabrał się do czytania. Potem przeanalizował dane dotyczące oferty publicznej. Akcje NeoDyme zadebiutowały poprzedniego dnia na giełdzie w cenie osiemnastu dolarów. W niecałą godzinę kurs spadł do dwunastu dolarów, ale pod koniec dnia ogromna liczba transakcji podźwignęła go do szesnastu i trzech ósmych i przy takiej wartości giełda się zamknęła. Akcje o ogromnej nieprzewidywalności, to pewne, pomyślał Peter. Czytając towarzyszące temu komentarze na stronach CNBC i Bloomberg, zorientował się, dlaczego tak się działo. Inwestycyjni guru nie mieli pojęcia, co myśleć o NeoDyme. Zdaniem niektórych, ponieważ miną całe lata, zanim metale ziem rzadkich zaczną być wydobywane i przetwarzane, do tego czasu akcje będą martwą inwestycją. Inni, którzy najprawdopodobniej dysponowali większą wiedzą o strategicznym znaczeniu metali ziem rzadkich, byli przeciwnego zdania, rekomendując kupno nowych akcji.

Wciągnięty bez reszty Peter przerzucił się na biogram FitzWilliamsa. Facet zrobił licencjat z geologii na uniwersytecie stanowym w Pensylwanii i magisterium na uniwersytecie Nowej Południowej Walii w Australii, pracował potem w kopalniach uranu w Australii i Kanadzie, zaczął się na jakiś czas na Bliskim Wschodzie, między innymi w Arabii Saudyjskiej. Potem zniknął na ponad dwa lata.

Następną godzinę Peter spędził na poszukiwaniu w internecie śladów FitzWilliamsa z lat 1967–1969. Miał już dać sobie z tym spokój, kiedy natrafił na pewną wskazówkę. Nikomu nieznaną organizacją o nazwie Komisja do spraw Kopalni i Metali Rzadkich odbyła regionalne spotkanie w Katarze wiosną 1968 roku. Fitz wziął w nim udział jako gościnnie występujący prelegent. Po następnych frustrujących trzech kwadransach Peter znalazł kolejną interesującą informację:

Fitz figurował na liście konsultantów El-Gabal Mining.

Natychmiast sprawdził El-Gabal, syryjską firmę zajmującą się kopalnictwem, ale

dowiedział się jedynie, że już nie działa. Wiadomo było o niej bardzo niewiele, jak o wszystkich interesach prowadzonych w Syrii. Kraj nie należał do Światowej Organizacji Handlu, a duże przedsięwzięcia, takie jak El-Gabal, były tam kontrolowane przez państwo, więc uzyskanie precyzyjnych danych o zyskach Syrii z eksportu, a tym bardziej o jednej konkretnej firmie, okazało się niemożliwe, brakowało nawet podstaw do snucia domysłów.

Ślepy zaułek, pomyślał Peter, wracając do życiorysu FitzWilliamsa. Facet przyjechał z Bliskiego Wschodu, żeby zarządzać Indigo Ridge, i zachował tam stanowisko kierownicze nawet wtedy, gdy kopalnia była w mniejszym lub większym stopniu nieczynna w latach siedemdziesiątych XX wieku. Od tamtej pory pracował dla rządu, a teraz, gdy zainteresowanie wydobywaniem metali ziem rzadkich nagle się odrodziło, zyskał bajecznie wysoką pozycję jako główny gracz na polu szybko zyskującym strategiczne znaczenie.

Peter odchylił się od monitora i przetarł kciukami zaczerwienione oczy. Był wykończony i najchętniej napiłby się kawy, ale o tej porze automaty jeszcze nie działały, zresztą i tak wolał nie wstawać, bo bał się, że zgubi wątek.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem zadzwonił do jednego z ludzi Sorai w Syrii, przekazał mu wszystko, co wiedział o Fitzu i El-Gabal, i poprosił o informacje wywiadowcze, jakie uda się zdobyć. Dopiero wtedy wszedł na dysk twardy Hendricksa i opisał swoje odkrycia w odpowiednim pliku.

Chciał pracować dalej, ale liczby, fakty i opinie zaczęły mieszać mu się w głowie. Potrzebował snu. Wziął płaszcz i wlokąc się noga za nogą, wyszedł z pokoju. Na korytarzach panowała cisza, którą zakłócał jedynie szmer jadącej windy.

Drzwi windy otworzyły się, Peter wszedł do środka. Wcisnął guzik poziomego garażu i oparł głowę o ścianę, już na wpół śpiąc. Po kilku sekundach rozległ się dzwonek i kabina stanęła, a kiedy drzwi się rozsunęły, zobaczył ogromną, przygarbioną postać w półmroku panującym na korytarzu piątego piętra. Gdy postać ruszyła w jego stronę zdecydowanym krokiem, oderwał głowę od ściany. Światło zalało wchodzącego człowieka. Drzwi się zasunęły, zamykając ich obu w małej przestrzeni. Peter spostrzegł rewolwer na biodrze mężczyzny.

– Dobry wieczór, dyrektorze Marks.

– Cześć, Sal.

Sal wcisnął grubym palcem guzik z napisem „Lobby” i winda wznowiła zjazd na dół.

– Praca po godzinach, co?

– Jak zawsze.

Sal chrząknął.

– Nie chcę się wtrącać, ale wygląda pan na kogoś, kto bardzo potrzebuje snu.

– To mało powiedziane.

– Może pan spać spokojnie. Na górze wszystko jest w porządku.

Drzwi otworzyły się na poziomie lobby i Sal wysiadł.

– Życzę lepszego dnia, dyrektorze.

– Nawzajem, Sal.

Chwilę później Peter wyszedł z windy w garażu, gdzie sufit wisiał nisko i gdzie pachniało betonem, benzyną i nową skórzaną tapicerką. Jego kroki odbijały się echem od ścian. Widać było tylko kilka samochodów. Gdy kierował się do swojego wozu, wyjął kluczyki z kieszeni i ponieważ było zimno, zdalnie uruchomił nagrzewanie.

Silnik ożył z warkotem. Niemal w tym samym momencie wybuch rzucił Petera na ziemię.

• • •

Bourne spadał przez gałęzie sosny. Tuż nad nim obracały się powyginane śmigła helikoptera. Zwalniały jednak, uderzając w coraz grubsze części pni, a potem dała o sobie znać żywica, działająca niczym szybkoschnący klej, jeszcze bardziej spowalniająca rotor.

Bourne leciał w dół, na wpół spadał, na wpół skakał, kaleczył się, obcierał i obijał w zbyt wielu miejscach, żeby je policzyć. Oczy, usta i nos zapychały mu kawałki drewna, wióry i małe fragmenty metalu. Ostatecznie jednak sosna stała się jego sprzymierzeńcem, jej solidne dolne konary utrzymały nad nim wrak na tyle długo, że zdążył opuścić się na ziemię.

Kaszląc i krztusząc się, pobiegł do domu. W środku wetknął głowę pod kran nad dużym kamiennym zlewem w kuchni i pozwolił, by zimna woda obmyła go i przywróciła mu energię. Kluczyki do drugiego jeepa znalazł tam, gdzie Vegas obiecał je zostawić. Ponieważ praca Kolumbijczyka na polu naftowym obfitowała w niebezpieczeństwa, łazienka była równie dobrze zaopatrzona jak szpitalne ambulatorium. Złapał butelkę ze środkiem dezynfekującym i ze spirytusem, rolkę sterylnej bandaża i szybko stamtąd wyszedł. W salonie polał spirytusem stos drewna leżącego przy kominku, odsunął się, zapalił zapałkę z pudełka wziętego z kuchni i rzucił ją na polana. Płomienie, które buchnęły, uznał za zadowalające. Na wszelki wypadek podпалиł jeszcze zasłony w kuchni. Ogień szybko się rozprzestrzenił. Usatysfakcjonowany opuścił płonący dom.

Sosna, która zapewniła mu ochronę, była w opłakanym stanie. Ona również się paliła. Odłamek wirnika helikoptera odbił się od drzewa i uderzył w drugiego jeepa, miażdżąc przedni błotnik od strony kierowcy, ale nie uszkodzając silnika.

Bourne wrzucił bieg, cofnął samochód, zawrócił i ruszył w dół śladem Vegasa i Rosie, skręcając z podjazdu w lewo między gęste drzewa zagajnika.

Podążał ścieżką, którą uznał za szlak myśliwych biegnący przez las. Jechał ostrożnie, w pełni świadomy morderczych zakrętów i nachyleń stoku. Co jakiś czas widział w przerwach między drzewami strome urwiska, których krawędzie niemal graniczyły ze ścieżką. Ich ściany były prawie pionowe i kończyły się u podnóża Kordyliery.

Usłyszał śpiew ptaków, co podniosło go na duchu. Ptaki pierwsze milkną, czując zagrożenie, nawet jeśli nie jest ono rzeczywiste. Gdyby miał się zakładać, postawiłby na to, że dwa helikoptery były jedynymi siłami w tym ataku na Vegasa. Bo też z jakiego powodu Domna miałyby myśleć, że potrzebna będzie większa siła ognia?

Po mniej więcej półgodzinie wyjechał z lasu na niewielką łąkę pokrytą małymi kwiatami. Za nią rosły wysokie drzewa – sosny i jodły, ale w miarę jak zjeżdżał w dół, pojawiało się coraz więcej drzew liściastych, a w zamglonej perspektywie majaczyło całkiem sporo gatunków tropikalnych. Dym płonącego domu unosił się nad tą częścią góry niczym obrzydliwy smog, przesłaniający wschodzące słońce i barwiący niebo na szaro.

Przejeżdżając na ukos przez łąkę, spostrzegł ślady jeepa Vegasa. Nie spuszczał ich z oczu. Po drugiej stronie polanki ślady ginęły na krótko między drzewami i dopiero nieco dalej pojawiały się znowu i skręcały w prawo. Szybko zorientował się dlaczego. Po lewej widać było urwisko, prawdopodobnie powstałe na skutek gigantycznego osunięcia się skał jakiś czas

temu. Dalsza jazda na wprost oznaczałaby pewną śmierć.

Nowa ścieżka okazała się węższa i bardziej wyboista, gałęzie uderzały o karoserię, czasami przesłaniały mu widok.

Po piętnastu minutach trasa skończyła się równie niespodziewanie, jak się zaczęła, i znalazł się na krętej dwupasmowej, brukowanej szosie. Poznał ją, bo tędy jechał z Suarezem do domu Vegasa. Jeep z Vegasem i Rosie w środku czekał na niego na zwirowym poboczu.

– *Fantastico! En verdad, me sorprende.* – Nafciarz uśmiechał się szeroko. – Fantastycznie! Naprawdę, jestem zaskoczony.

Rosie uśmiechnęła się do niego.

– Ale ja nie. Będziesz musiał opowiedzieć nam o swojej ucieczce.

– Nie teraz. – Vegas klepnął dłonią drzwi jeepa. – Został ktoś przy życiu?

– Nie po ich stronie.

– Coraz lepiej. – Mrużąc oczy, Kolumbijczyk popatrzył na kłęby dymu wijące się po zboczu. – Wielki pożar.

– To twój dom – wyjaśnił Bourne. – Dzięki temu nikt przez wiele dni, a może nawet tygodni nie będzie wiedział, czy zginęliście z Rosie, czy żyjecie.

– *Excelente.* – Vegas pokiwał głową. – Dokąd teraz, *hombre?*

– Na lotnisko w Perales – odpowiedział Bourne. – Ale federalni i partyzanci z FARC postawili blokady na głównej drodze. Znasz jakiś skrót?

Na twarzy Vegasa pojawił się szeroki uśmiech.

– Jedź za mną, *amigo.*

• • •

Marlon Etana, który przyleciał do Kadyksu prywatnym wyczarterowanym samolotem mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wjeżdżał tam Jalal Essai, stał rozmarzony i patrzył na piękną, starą fasadę letniskowego domu don Fernanda Hererry. Tu, w Kadyksie, Etana czuł ogromny ciężar historii, której ślady widział przed sobą na każdym kroku. Marlon Etana bardzo poważnie studiował historię jak wszyscy Etanowie zresztą. Świetni biznesmeni w najpełniejszym znaczeniu tego słowa, mieli dar przekuwania wiedzy o przeszłości w pieniądze i władzę. To właśnie Etanowie założyli Monition Club, dzięki któremu mogli współpracować z Domną w najróżniejszych miastach na całym globie bez zwracania na siebie uwagi albo potrzeby używania prawdziwej nazwy bractwa. Dla świata Monition Club był organizacją filantropijną, która interesowała się osiągnięciami antropologii i badała starożytne filozofie. Tak naprawdę jednak stanowił środowisko hermetycznie zamknięte przed obcymi, w którym tajni członkowie grupy mogli przemieszczać się, spotykać, porównywać swoje dokonania i planować nowe przedsięwzięcia.

Etanowie przewidzieli powstanie międzykulturowej tajnej organizacji biznesmenów, łączącej światy Wschodu i Zachodu, której wspólne siły i wpływy przewyższą ostatecznie największe z międzynarodowych korporacji. *Duco ex umbra*, „Rządzą z cienia” – tak od zawsze brzmiało motto rodziny Etanów.

Przodek Marlona – olbrzym wśród ludzi – opracował długoterminowe plany dla Domny, które miały pomóc światu we wspólnym rozwoju i zapobiec podziałom. Było to szlachetne

marzenie i z pewnością gdyby żył wystarczająco długo, miało szanse na urzeczywistnienie. Niestety, ludzie są niedoskonali – co gorsza, łatwo ich skorumpować, a wpływy są idealnym deprawatorem. Coraz trudniej spotkać człowieka, który umie zignorować pełne blasku pokusy, i nawet kilku Etanów im uległo. Nie pierwszym i nie ostatnim z nich był ojciec Marlona, mężczyzna o bardzo słabej woli. Żeby poradzić sobie z zagrożeniem ze strony grupy działającej w Domnie, ojciec Marlona zawarł przymierze z Benjaminem El-Arianem. Sprytny El-Arian zamiast stać się wybawcą, z radością doprowadził do jego upadku. Bo El-Arian dogadał się już wcześniej z rywalizującą grupą z Domny i z jej pomocą robił wszystko, by odsunąć starszego Etana na boczny tor. Niedługo potem ojciec Marlona zadał sobie śmierć, popełniając straszliwy grzech. W islamie najniższy poziom piekła jest przeznaczony dla osób, które targnęły się na własne życie, bo Allah zakazuje samobójstwa w wielu wersach Koranu. Ten, który Marlon przypomniał sobie, gdy patrzył na pozbawioną wyrazu twarz ojca, brzmiał tak: *Nie zabijajcie się. Zaprawdę, Allah jest dla was litościwy*¹.

Marlon nie wiedział, czy ojciec wierzył, że Allah był dla niego litościwy, czy może czuł, że został opuszczony. Wiedział jedynie, że ojciec wykorzystał resztkę sił, jaka mu pozostała, by wzniecić oburzenie wewnątrz Domny, wywołać gniew i dzięki temu zapoczątkować trudną debatę dotyczącą credo tej organizacji.

Benjamin El-Arian, przebiegły diabeł, przejrzał zamysł przyświecający temu samobójstwu i zakazał jakichkolwiek dyskusji. I tak Marlon, jedyny potomek potężnej niegdyś dynastii Etanów, bez której wizji Domna w ogóle by nie powstała, został zdegradowany do pozycji podwładnego Benjamin El-Ariana. Czuł się jak zbity pies, który musi żebrac o resztki.

Tuż po południu Marlon zauważył jakiś ruch przy frontowych drzwiach domu Hererry. Pojawili się w nich Jalal Essai i don Fernando. Rozmawiali ze sobą przez kilka minut, zanim pożegnali się uściskiem dłoni na zachodnią modłę. Herrera wsiadł do samochodu zaparkowanego przy krawężniku i odjechał. Kiedy samochód zniknął z widoku, Essai odwrócił się i zaczął iść w stronę morza. Marlon ruszył za nim dyskretnie, utrzymując pewien dystans.

Essai szedł spacerowym krokiem, sprawiał wrażenie, że nie ma nic do roboty i właściwie nigdzie się nie spieszy. Marlon podążał za nim wzdłuż linii brzegu o kształcie półksiężyca. W pewnej chwili Essai kupił w kiosku kilka gazet. Mniej więcej półtora kilometra dalej zbliżył się do kawiarni z biało-niebieską markizą z naszytą pośrodku czerwoną kotwicą.

Etana patrzył, jak Essai siada przy stoliku przodem do morza i zamawia lunch. Zrobił kilka głębokich wdechów i oddalił się na tyle, żeby nie stracić obserwowanego z oczu, ale zyskać szersze pole widzenia. Wszedł do zacienionej bramy, gdzie sprawdził, czy pistolet jest naładowany i działa. Wyciągnął z kieszeni tłumik i nakręcił go na koniec lufy. Potem wykonał kilka ćwiczeń oddechowych inspirowanych przez zen.

W chwili gdy spostrzegł postać mijającą go po raz drugi, ruszył energicznym krokiem wzdłuż brzegu, jak człowiek, który ma pilną sprawę do załatwienia. Mężczyzna szedł za nim. Benjamin El-Arian posłał go za Etaną, by mieć pewność, że zlikwiduje Jalala Essaia. Gdyby jakimś cudem Etanie to się nie udało, cień przejąłby jego misję.

Etana poprowadził swój ogon na daleki koniec plaży, za przystań i port, a potem dalej pasem piasku, którego stan skutecznie odstraszał plażowiczów i dopiero po północy, jak kiedyś zaobserwował, dzieciaki urządziły tam imprezy, piły i potajemnie uprawiały seks.

Uznał to za widok przyprawiający o nudności, kolejny jaskrawy dowód na upadek Zachodu.

Łódź rybacka stała kilem do góry na drewnianych kłocach. Kadłub gnił, belkę stępki pokrywały skorupiaki oplecione wyschniętymi wodorostami. Od tej prowizorycznej konstrukcji rozchodził się lekki odór rozkładu, który wydawał się Marlonowi jak najbardziej odpowiedni. Przysiadł obok łodzi i wytrząsnął papierosa z paczki. Kiedy włożył go do ust, wyciągnął pistolet z wydłużoną lufą, odwrócił się i strzelił cieniowi między oczy. Rozległ się cichy trzask, ale ciało upadło na piasek bezgłośnie.

Schowawszy pistolet do kieszeni, Etana podszedł do cienia, chwycił go za tył kołnierzyka i przeciągnął około pięćdziesięciu metrów do łodzi leżącej dnem do góry. Z pewną trudnością wcisnął pod nią trupa. Cuchnęło tam już na tyle paskudnie, że smród rozkładającego się ciała przez wiele dni, a może przez tydzień, nie powinien zwrócić niczyjej uwagi. Do tego czasu mewy na pewno robią, co do nich należy, i nikt nie będzie w stanie zidentyfikować zwłok.

Etana otrzepał ręce, zaciągnął się głęboko papierosem i ruszył w drogę powrotną tam, skąd przyszedł. W pobliżu nie było nikogo, nikt go nie widział. A co najważniejsze, nie istniał już nikt, kto doniósłby na niego Benjaminowi El-Arianowi.

Nadszedł czas, pomyślał, żeby nawiązać kontakt z Jalalem Essaiem.

• • •

Boris Karpow miał ochotę kogoś zamordować. Gdyby jeden z niemieckich policjantów nadal patrolował tylną uliczkę – jak to robili przez ostatnie trzy godziny, podczas gdy zespół techników kryminalistyki zajmował się metodycznie swoimi sprawami w zakładzie zegarmistrzowskim – na pewno już by nie żył.

W mroku, który zapanował nad Monachium, Boris poczuł, że nogi ma odrętwiałe i coraz słabsze. Tak bardzo chciało mu się siku, aż czuł pulsowanie w głowie. Miał wrażenie, że pęcherz zaraz mu eksploduje. Na dodatek w gardle mu zaschło, usta się kleiły.

Wreszcie światła w zakładzie Hermanna Bolgera pogasły, latarki policjantów na ulicy zniknęły i wszystko pogrążyło się w ciszy. Słysać było tylko ochryple szczekanie psa. Boris zmusił się do odczekania kolejnych trzydziestu minut. Pod koniec musiał zagryźć wargi, żeby stłumić jęk.

Gdy uznał, że jest bezpiecznie, chwycił się rynny i zaczął zsuwać w dół. Nie było łatwo, bo nogi okazały się zupełnie bezużyteczne. Dwa razy czuł, że ręce, mokre od potu, ześlizgują się z metalu, a wtedy starał się objąć rynnę kolanami. Metoda się sprawdziła, choć była ledwie skuteczna.

Już na ziemi wcisnął się między dwa kontenery na śmieci i kuczając, sikał jak kobieta. Wydał z siebie cichy jęk ulgi. Wstrzymywany mocz ciekł i ciekł, tworząc niewielkie bajoro. Przywrócenie sprawności nogom to zupełnie inna sprawa. Mięśnie miał tak napięte, że gdy się podniósł, omal nie upadł z bólu.

Choć świadomy, że powinien znaleźć się jak najdalej od zakładu Bolgera, przez kilka następnych minut starał się rozruszać nogi, najpierw bardzo delikatnie, potem intensywniej. Nie miał wyboru, naprawdę, jeszcze przed dojściem do końca uliczki nogi odmówiłyby mu posłuszeństwa. Przeklinał czas spędzony na urzędniczych zajęciach, kiedy poniechał codziennych ćwiczeń, często bardzo brutalnych. Gimnastykując nogi w ciszy i bez

wytchnienia, skupił się na głębokim i wolnym oddychaniu.

Kiedy ciało odzyskało mniej więcej normalną sprawność, wyruszył ku dalekiemu końcowi uliczki. Słyszał cichy szum ruchu na ulicy i co jakiś czas pijacki śmiech.

Przy rogu zaułka zatrzymał się, ostrożniejszy niż kiedykolwiek. Ponura, ciągła mżawka zraszała ulice, zupełnie jak na amerykańskich filmach szpiegowskich. Przez miasto przetaczał się gardłowy huk gromu. Zupełnie niespodziewanie deszcz zaczął padać intensywniej, bębnił o betonowe chodniki i asfalt jezdni. Boris postawił kołnierz i zgarbił ramiona.

Wypatrywał i nasłuchiwał wszystkiego, co wydawałoby się nienaturalne. Już raz dał się zaskoczyć i wpadł w zasadzkę tam, gdzie zupełnie się jej nie spodziewał. Jak do tego doszło? Od chwili przyjazdu do Monachium widział się tylko z jedną osobą – z Wagnerem, kontaktem, z którym się spotkał w muzeum Neue Pinakothek. I jeśli nie był śledzony od lotniska do zakładu zegarmistrzowskiego, to właśnie Wagner musiał poinformować kogoś z Meczetu o obecności Borisa. Karpow zawsze uważał, że śledzenie to bardziej sztuka niż nauka, a ponieważ sam był mistrzem w wyczuwaniu ogona, miał niezachwianą pewność, że w Monachium nikt za nim chodził.

Zatem pozostawał jedynie Wagner, jeśli to w ogóle było prawdziwe nazwisko, a Borisowi będzie groziło niebezpieczeństwo, dopóki nie załata tej dziury w systemie ochrony. Telefon do Iwana i poinformowanie go, że zaprzyjaźniony *Herr Wagner* pracuje dla obu stron, wydawał się rozsądną decyzją. Jeśli ktokolwiek znał prawdziwe nazwisko Wagnera i wiedział, gdzie można go znaleźć, to tylko Iwan. Wyciągnął komórkę i miał zamiar wybrać numer, gdy niespodziewana błyskawica oświetliła mężczyznę stojącego w bramie niemal dokładnie naprzeciwko końca ulicy. Chwilę później rozległ się grzmot pioruna.

Boris przyłożył telefon do ucha, jakby naprawdę do kogoś dzwonił. Jednocześnie zmusił się do patrzenia na prawo, na lewo i w głąb ulicy, zupełnie ignorując przy tym czarny otwór bramy.

Potem schował telefon i z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie płaszcz skręcił w lewo na rogu i ruszył w deszczu szybkim krokiem. Trzy przecznice dalej wszedł do *Biergarten*. Było tam ciepło i gwarno, pachniało kielbasą, kwaszoną kapustą i piwem. Przeszklony sufit na całej długości pomieszczenia wywoływał wrażenie, że niezależnie od warunków pogodowych goście są na wolnym powietrzu. Boris strzepnął krople deszczu z płaszcz, precyzyjnie się zygając między gośćmi i obsługą, a potem usiadł przy długim stole blisko zaplecza.

Nagle poczuł, że umiera z głodu, i dlatego zamówił wszystko, czego zapach poczuł, gdy tu wszedł. Piwo w ogromnym ceramiczno-blaszonym kuflu dostał niemal natychmiast. Wypił szybko dwa duże łyki i odstawił kufel. Po obu stronach Borisa zadowoleni z życia Niemcy jedli i pili, w większości jednak wrzeszczeli, śpiewali i śmiali się, hałaśliwi jak hieny. Karpow mógł jedynie siedzieć i powstrzymywać się przed wyjściem. Znalazł się tu jednak z określonego powodu i nigdzie się nie wybierał, póki nie uzyska stuprocentowej pewności, że mężczyzna w bramie go nie śledził.

Od chwili gdy zajął miejsce, co najmniej pół tuzina osób weszło do piwiarni, ale żadna z nich nie obudziła jego czujności. W większości były to rodziny albo pary młodych ludzi trzymających się za ręce. Patrząc na nich, usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz szedł pod rękę z kobietą. Z drugiej strony bardzo wątpił, czy omijało go cokolwiek.

Kelner przyniósł jedzenie. Boris właśnie opychał się parującą i aromatyczną kielbasą,

kiedy w drzwiach pojawiła się jakaś postać. Włosy stanęły mu dęba na karku i przedramionach. Włożył kawałek kiełbasy do ust i żuł w zamyśleniu.

Spodziewał się mężczyzny z ciemnej bramy, a to była kobieta – młoda, mówiąc dokładnie. Boris przyglądał się jej ukradkiem, gdy otrząsnęła parasolkę i złożyła ją, zanim rozejrzała się po restauracji. Uważał, żeby nie napotkać jej wzroku, i skupiał się na nabiciu na widelec śliskiego od tłuszczu kartofla. Wsunął kąsek do ust, popił piwem i podniósł wzrok. Młoda kobieta usiadła u szczytu stołu, przodem do niego. Znalazła się dokładnie między nim i frontowymi drzwiami.

Karpow miał już dość tych nonsensów. Ci ludzie albo fatalnie wykonywali swoje obowiązki, albo byli amatorami. Złożył sztucce, wziął swój talerz, w drugą rękę złapał kufel, a potem wstał.

Ponieważ zrobiło się już dość późno, piwiarnia stała się jeszcze bardziej gwarna, coraz więcej gości zmieniało się w czerwonych na twarzy pijaków. Manewrując między ludźmi, pomyślał, że amatorzy to najgorszy rodzaj przeciwnika. Nie znali zasad, przez co byli nieprzewidywalni.

Pomiędzy młodą kobietą i Niemcem o grubym karku, napychającym się kiełbasą i chlającym piwsko, było trochę wolnego miejsca. Kiedy Boris poprosił go, żeby się nieco przesunął, Niemiec podniósł wzrok. Oczy mu płonęły.

Miał zamiar coś powiedzieć, ale Karpow do tego nie dopuścił.

– *Sie haben Fett über ihr ganzes Gesicht.* – Ma pan całą twarz w tłuszczu.

Grubas zachrząkał jak świnia, wytarł usta wierzchem dłoni i przesunął swoje zwaliste cielsko.

– *Danke, mein Herr* – rzucił Karpow, gramoląc się niezdarnie na ławę, dzięki czemu mógł szturchnąć lekko młodą kobietę, tak jak sobie założył.

– *Je suis désolé, mademoiselle.*

Gwałtownie rozejrzała się dookoła. Boris był zadowolony, że jego francuski ją wystraszył. Zaraz jednak zapanowała nad sobą, odwróciła się i opuściła wzrok na magazyn, który trzymała w rękach. Boris spostrzegł, że był amerykański, nie niemiecki. „Vanity Fair”. Czytała artykuł o Lady Gadze, jednej z tych idiotycznych popowych gwiazdek, które mogą zaistnieć tylko w Ameryce.

Ponownie skupił uwagę na jedzeniu. Jakiś czas potem kobieta uniosła magazyn, żeby kelner mógł postawić przed nią talerz ze sznyclem po wiedeńsku. Popatrzyła na kotlet, zmarszczyła nos z niesmakiem, odsunęła od siebie talerz i wróciła do lektury.

Boris przełknął kawałek kiełbasy i przywołał przechodzącego obok kelnera.

– *Noch ein Bier, bitte.* – Poproszę jeszcze jedno piwo. – Kelner skinął głową i już odchodził, ale w tym momencie Boris dodał: – *Und eine für die junge Dame.*

Młoda kobieta popatrzyła na niego i powiedziała bardziej cierpko niż miło:

– Dziękuję, ale nie.

– Niech je pan i tak przyniesie! – krzyknął Karpow w stronę pleców oddalającego się kelnera.

Miała ciemne włosy, mleczną karnację i ładny wygląd, typowy tylko dla Amerykanek: zdrowy, promienny, z idealnie symetryczną twarzą. Innymi słowy, mdły niczym melasa. Kilka lat wcześniej w New Jersey zdarzyło mu się zjeść kilka naleśników polanych melasą.

Przedobrzoną słodkość tego dania zmieniała się w jego ustach w kleistą breję i musiał ją wypluć.

Odwrócił się do młodej kobiety i zapytał po angielsku:

– Nie będzie pani jadła sznycla?

– Proszę. – Rozciągnęła to słowo do czegoś, co brzmiało jak prooooooszę.

Zerknął na panierowany kotlet cielęcy.

– Tak, na pewno utyłaby pani o kilka kilogramów.

W końcu na niego spojrziała.

– O co chodzi?

– Rany, Midge – powiedział sztucznie wysokim głosem. – Miałem właśnie zamiar zadać pani to samo pytanie.

Roześmiała się.

– Midge! Nie słyszałam tego imienia od czasu, gdy przestałam czytać komiksy „Archie”. – Najwyraźniej podjęła już decyzję, bo wyciągnęła do niego rękę. – Lana Lang.

Wziął jej rękę w swoją. Była zimna, miejscami stwardniała, czego się nie spodziewał. Może jednak to nie amatorka, pomyślał.

– Pani żartuje, prawda?

– Nie, nie. – Jej uśmiech mógł być złośliwy. – Mój tato był zagorzałym fanem Supermana.

– Miło mi, Lana Lang. Bryan Stonyfield.

– Wiem, kim pan jest – powiedziała bardzo cicho.

Boris, który nie puścił jeszcze jej ręki, mocniej ją ścisnął.

– Jak to możliwe? Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

– Jestem córką Wagnera. – Wysunęła rękę z jego dłoni i położyła kilka banknotów euro na stole, więcej, niż było trzeba, płacąc za niego i za siebie. – Teraz musi pan iść ze mną. I żadnych pytań.

– Chwileczkę – zaprotestował Karpow, zjeżony. – Nigdzie z panią nie pójdę.

– Ale musi pan – odparła Lana. – Jest pan w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Beze mnie jeszcze przed świtem będzie pan martwy.

Rozdział 14

Bez żadnych problemów zjechali z góry. Bourne nie popełnił błędu, kiedy uwierzył Vegasowi, że zna ten teren. Jego skrót omijał wszystkie blokady ustawione na drogach przez wojsko federalne i był poza zasięgiem patroli Suareza, szukających dowódcy.

Potem Jason zrobił rekonesans lotniska i jego okolic. Wypatrywał niepokojących sygnałów, ale niczego nie dostrzegł.

– Nie możesz wejść do hali odlotów w takim stanie – oświadczyła Rosie, wysiadając z jeepa.

Bourne obejrzał się w lusterku wstecznym. Zasnęta krew miał na całym ciele, ubranie w strzępach.

Rosie otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej garść pieniędzy.

– Zostań tu – zarządziła.

Miał ochotę zaprotestować, ale wyraz jej oczu go powstrzymał. Patrzył, jak weszła do terminalu, i odliczał minuty. Po kwadransie był gotów zacząć jej szukać.

Vegas stał oparty o jeepa i palił papierosa.

– Nie ma powodu do niepokoju, *hombre* – odezwał się. – Rosie potrafi zadbać o siebie.

Jak się okazało, zaufanie, które Vegas w niej pokładał, było uzasadnione. Rosie wyłoniła się z terminalu, machając białą papierową torbą. Kupiła Bourne'owi koszulę i parę dżinsów, razem z bielizną i skarpetkami. Kiedy ściągnął poplamioną krwią i podartą koszulę, wsiadła za nim do samochodu.

– No i świetnie – powiedziała, patrząc na butelkę ze środkiem dezynfekującym i bandaż, które zabrał z łazienki w domu Vegasa.

Zakrzętnęła się jak zawodowiec przy jego nagim torsie, przetarła wszystkie skaleczenia, zadrapania i siniaki, których się nabawił, spadając z sosny. Vegas tymczasem palił i uśmiechał się szeroko do Bourne'a.

– *Ella es una maravilla, verdad?* – Ona to prawdziwy cud, prawda? – *Tü debe verla en la cama!* – Powinieneś zobaczyć ją w łóżku!

– *Estevan, basta!* – Ale się śmiała, mimo wszystko z jakiegoś powodu bardzo zadowolona.

Wysiadła z jeepa i odwróciła się tyłem do Bourne'a, żeby mógł zdjąć resztę rzeczy i włożyć nowe, które mu przyniosła.

Dwie godziny od ich spotkania na drodze Bourne pokuśtykał do stanowiska odprawy na lotnisku w Perales. Utykanie było udawane, podobnie jak londyński akcent. Ku jego zaskoczeniu okazało się, że Essai załatwił dla niego nie jeden ani dwa, ale trzy otwarte bilety i na szczęście zapłacił za wszystko gotówką, nie zostawił więc za sobą żadnych numerów kart kredytowych albo czeków podróжных. Bourne poprosił, żeby przy bramce czekał na niego wózek inwalidzki. Zarejestrował bilet na nazwisko Lloyda Childressa, Brytyjczyka, zgodnie z danymi zawartymi w jednym z dwóch paszportów, które miał przy sobie. Trzeci zakopał przed wyjazdem z Tajlandii, bo Domna odkryła tę jego tożsamość.

Później, w oddzielnej części skromnego terminalu odlotów, opowiedział nowym

przyjaciołom o swoich odkryciach.

– Essai zostawił dla nas wszystkich bilety na lot do Bogoty, a potem na rejs do Sewilli przez Madryt – mówił cicho. – Mamy też voucher na wynajęty samochód, który będzie na nas czekał w Sewilli. Essai zapowiedział, że ostatnie instrukcje będą dołączone do umowy o najem samochodu. – Popatrzył najpierw na jedno, potem na drugie z nich. – Macie swoje paszporty?

Rosie uniosła torebkę.

– Zapakowane wiele dni temu.

– Dobrze. – Bourne poczuł ulgę. Nie chciał dzwonić do Derona, swojego kontaktu w Waszyngtonie, i prosić o fałszywe paszporty, bo mieliby przez to opóźnienie. Zakładał, że w którymś momencie będą ścigani nie tylko przez Domnę, ale także przez FARC i federalnych. Ogień w tunelu i pożar domu Vegasa nie były wydarzeniami, które nawet sensowne wojsko kolumbijskie mogłoby zignorować. Z drugiej strony nie będą wiedzieli, czy Rosie i Vegas żyją czy zginęli – tak samo jeśli chodzi o niego.

Sprawdził czas. Mieli prawie dwie godziny do odlotu, a potem w Bogocie następne półtorej godziny do lotu międzykontynentalnego o dwudziestą dziesiątą. Był pewny, że zdążą na ten samolot, ale w Bogocie mogła ich czekać niespodzianka. Potrzebował planu.

Zostawił ich na chwilę. Perales to małe, prowincjonalne lotnisko. Wiedział, że więcej szczęścia w znalezieniu tego, czego szukał, miałyby w Bogocie, ale jeśli lotnisko w stolicy było pod obserwacją, nie miałyby na to szans. Więc albo tu, albo nigdzie.

W hali odlotów działały cztery punkty handlowe: apteka, sklep z ubraniami, kiosk z gazetami, w którym sprzedawano również suszone owoce, i sklep z pamiątkami, gdzie żółtoniebiesko-czerwona flaga Kolumbii znajdowała się na wszystkim, począwszy od T-shirtów przez bandany po proporczyki. Nie były idealne, ale w końcu nic nie jest doskonałe.

Przez następne piętnaście minut chodził od sklepu do sklepu i kupował to, co jego zdaniem mogło się przydać. Za wszystko płacił gotówką.

Kiedy wrócił do miejsca, gdzie siedzieli Rosie i Vegas, rozdzielił zakupy. Zaraz potem cała trójka poszła do toalety.

– Czy to konieczne? – zapytał Vegas, gdy rozkładał przybory do golenia na stalowej półce nad umywalką.

– Bierz się do roboty – skwitował Bourne.

Nafciarz wrzucił ramionami, ochlapał twarz gorącą wodą, nałożył krem do golenia i zgolił brodę i wąsy.

– Mniej więcej od trzydziestu lat nie widziałem tej części mojej twarzy – powiedział, płucząc jednorazową maszynkę do golenia. – Nie rozpoznałbym sam siebie.

– I nikt inny też cię nie rozpozna – zapewnił Bourne.

Wziął elektryczną maszynkę do strzyżenia i zaczął ścinać sobie włosy na krótkiego jeża, po wojskowemu, tak jak lubią się nosić komandosi. Potem otworzył różne słoiczki z kosmetykami, które kupił, i nałożył kolor na dolną, świeżo ogoloną część twarzy Vegasa, żeby nie różniła się od reszty skóry. Sobie poczerwienił usta, a policzki zrobił bardziej zapadnięte. Kiedy skończył, Vegas wyszedł akurat z kabiny ubrany w nowe rzeczy, wybrane dla niego przez Bourne'a: szorty, klapki, słomkowy kapelusz z żółto-niebiesko-czerwoną wstążką i T-shirt na napisem na piersi: „Należę do kolumbijskiego kartelu”.

– *Hombre*, kogo ty ze mnie zrobiłeś? – narzekał Vegas. – Wyglądam jak idiota.

Bourne musiał stłumić śmiech.

– Wszyscy będą zwracali uwagę wyłącznie na podkoszulek – powiedział.

Wziął nożyczki i obciął lewą nogawkę swoich nowych dżinsów. Rzucił Vegasowi rolkę bandaża i poprosił:

– Obandażuj mi nogę tuż pod kolanem aż do końca łydki.

Vegas zastosował się do jego życzenia.

Bourne włożył okulary o silnie powiększających szklach, które też dopiero co kupił, i zakomenderował:

– Chodźmy i przekonajmy się, jak wygląda Rosie.

– Nie mogę się doczekać – odpowiedział Vegas z przesadnie krzywym uśmiechem. W ostatniej chwili odciągnął Bourne’a od drzwi i dodał niskim głosem: – *Hombre, escuchame*. Jeśli coś mi się przytrafi...

– Nic ci się nie przytrafi. Wszyscy spotkamy się z don Fernandem.

Vegas mocniej zacisnął rękę na łokciu Bourne’a.

– Zaopiekujesz się Rosie.

– Estevan...

– To, co się ze mną stanie, nie ma znaczenia. Będziesz ją chronił za wszelką cenę. Obiecay mi to, *amigo*.

Napięcie w głosie Kolumbijczyka było tak duże, że Bourne potraktował go tym razem bardzo serio. Skinął głową.

– Masz na to moje słowo.

Vegas cofnął rękę.

– *Bueno. Estoy satisfecho*.

Otworzył drzwi i wyszedł z łazienki, a za nim Bourne, wyraźnie utykając.

Rosie już na nich czekała. Ubranie, które kupił dla niej Jason, pasowało idealnie – może zbyt idealnie, bo Vegasowi mało oczy nie wyszły na wierzch, kiedy zobaczył ją stojącą z rękami na kształtnych biodrach.

Ubranie przylegało do niej niczym druga skóra, bluzka z głęboki dekoltem odsłaniała spory fragment piersi, co dawało piorunujący efekt. Spódnica zaś była na tyle krótka, że nie zakrywała więcej niż połowę kształtnych ud.

– *Madre de Dios!* – zakrzyknął Vegas. – Na taki widok nawet trup miałby erekcję.

Rosie posłała mu całusa godnego Marilyn Monroe, zanim zaczęła chichotać.

– Teraz jestem gotowa, słodziutki – powiedziała do Vegasa. – Czuję się silna jak Xena, wojownicza księżniczka.

– O takie morale chodziło. – Bourne rozglądał się wokół. – A teraz potrzebujemy jeszcze tylko wózka inwalidzkiego.

• • •

Idąc do sali konferencyjnej znajdującej się o piętro niżej od jego gabinetu, Hendricks obsesyjnie myślał o zadzwonieniu do syna, Jackiego. Zamiast tego jednak utknął na spotkaniu z Royem FitzWilliamsem, szefem Indigo Ridge, który najwyraźniej zaczął już mieć problemy

z ludźmi przydzielonymi do ochrony w ramach Samarytanina.

Poprzedniej nocy, po odwiezieniu Maggie, spędził całą godzinę na namierzaniu Jackiego. Dobrze, że był sekretarzem obrony, w przeciwnym razie niczego by się nie dowiedział w Pentagonie o miejscu jego stacjonowania. Okazało się, że Jackie był w Afganistanie. Co gorsza, w ramach tajnych operacji dowodził patrolami przeczesującymi góry między Afganistanem a zachodnim Pakistanem, gdzie roilo się od jaskiń, zamieszkiwanych zarówno przez talibów, jak i elitę kadry Al-Kaidy, chroniącą bin Ladena. Nie zmrużył oka przez resztę nocy i myślał na przemian o Jackiem i Maggie.

Po wejściu do sali konferencyjnej w otoczeniu współpracowników zajął miejsce u szczytu stołu. Jeden z asystentów położył przed nim kilka teczek zawierających materiały dotyczące Samarytanina i otworzył je po kolei.

Hendricks wpatrywał się w wydruki komputerowe i usiłował przewidzieć obiekcje FitzWilliamsa, ale myślami przebywał gdzie indziej.

Jackie. Jackie w górach Afganistanu. To Maggie mu to zrobiła – obudziła w nim serce. Wszelkie emocjonalne pokusy trzymał do tej pory w żelaznych ryzach, lecz teraz chciał mieć z powrotem syna koło siebie. Obiad z Maggie, niby zwykła rzecz, zmienił się w wieczór normalności po latach izolowania się od życia i zagrzebywania w pracy. Od tak dawna ignorował prąd, który chciał nieść go do przodu. A może nie dawał mu się porwać?

FitzWilliams się spóźniał. Hendricks przeniósł całą złość, jaką czuł do siebie, na szefa Indigo Ridge, więc kiedy tamten wpadł do sali, rześki i zadowolony, zaczął boczyć się na niego.

– Siadaj, Roy. Spóźniłeś się.

– Przepraszam – odpowiedział FitzWilliams, zapadając się w fotelu niczym przedziurawiony balon. – Nic nie można było na to poradzić.

– Oczywiście, że można było coś na to poradzić, zawsze można znaleźć jakieś rozwiązanie – skomentował Hendricks. – Mam po dziurki w nosie słuchania ludzi, którzy ciągle znajdują jakieś wymówki, zamiast wziąć odpowiedzialność za swoje działania. – Przerzucał strony z teczki Samarytanina. – To wyłącznie twoja wina, Roy.

– Tak jest. – Policzki FitzWilliamsa stały się czerwone. Głos zdawał się więznąć mu w gardle. – Definitywnie moja wina. To się już nigdy nie powtórzy, zapewniam cię.

Hendricks odchrząknął.

– A zatem – powiedział – na czym polegają twoje problemy?

• • •

Siedziba Monition Club przy rue Vernet pod numerem piątym mieściła się w budynku z bladożółtych kamieni o nieco średniowiecznym wyglądzie. Po jednej stronie był ogród, nieco poniżej poziomu ulicy, z krętymi ścieżkami wysypanymi żwirem, przecinającymi się wzajemnie i obsadzonymi bukszpanem, który starannie przycięto. Pośrodku, również z bukszpanu, zrobiono lilię, symbol francuskiej rodziny królewskiej. Nie było tam żadnych kwiatów, ograniczono się do surowego piękna zielonych roślin.

Soraya puściła Aarona przodem, a potem stanęła tuż za nim i trochę z boku, gdy nacisnął dzwonek przy frontowym wejściu. Amun ustawił się dokładnie za nią, tak blisko, że czuła na

sobie jego ciepło. To on odpowiadał za to, że stali się co najmniej dziwną trójką współpracowników.

Gdy drzwi się otworzyły i zostali zaproszeni do środka, Soraya zastanawiała się, czy jej miłość do Amuna jest prawdziwa, czy tylko wymaginowana. W jaki sposób coś, co wydawało się takie realne jeszcze tydzień wcześniej, mogło zmienić się w miraż? Wzdrygnęła się na myśl, jak łatwo przychodzi człowiekowi wmawianie sobie, że uczucie jest prawdziwe.

Do wnętrza kamienicy wprowadziła ich młoda kobieta, przeciętna pod każdym względem: średniego wzrostu, średniej budowy ciała, o ciemnych włosach upiętych w kok i obojętnym wyrazie twarzy, który pozbawiał ją wszelkiej indywidualności.

Łagodne rozproszone światło wypełniało korytarz wyłożony drogą boazerią, na której w idealnie równej odległości wisiały manuskrypty oprawione w ramki i podświetlone. Ich kroki były bezgłośne na grubym ciemnografitowym dywanie, w którym stopy zapadały się niczym w mchu.

W końcu młoda kobieta zatrzymała się przed drzwiami z polerowanego drewna i cicho zapukała. Usłyszawszy odpowiedź, otworzyła je. Stała z boku i gestem zaprosiła ich do środka.

Pierwszy pokój apartamentu robił wrażenie zarówno prywatnego gabinetu, jak i biura. Dominowały w nim regały z książkami sięgające od podłogi do sufitu, zapełnione opasłymi tomami, z których część wyglądała na bardzo stare. Centralną część pomieszczenia zajmował długi drewniany stół. Kilka krzeseł obitych skórą stało tu i tam w całym pokoju. Po jednej stronie widać było duży globus z zarysem kontynentów i wysp, jakie znano w siedemnastym wieku. Wewnętrzne drzwi prowadziły do wyraźnie odmiennego w stylu pokoju, wyglądającego raczej na salon w rezydencji bogacza, nowocześniejszy i jaśniejszy w kolorach i dekoracjach od skąpo umeblowanego gabinetu.

Kiedy tam weszli, mężczyzna stojący na bibliotecznej drabince na kółkach odwrócił tors i wpatrywał się w nich ponad parą połówkowych, staroświeckich okularów.

– Ach, inspektor Lipkin-Renais, widzę, że przyprowadził pan posiłki. – Śmiejąc się cicho, zszedł z drabiny i zbliżył się do nich. – Dyrektor Donatien Marchand, do usług.

Amun wysunął się do przodu i skutecznie uniemożliwiając Aaronowi dokonanie prezentacji, sam się przedstawił:

– Amun Chaltum, szef Muchabaratu z Kairu. – Jego sztywny, bardzo formalny ukłon miał w sobie coś z groźby, przez co Marchand zawahał się przez chwilę, a w głębi jego czarnych oczu pojawił się strach, zanim na twarz powrócił mu uprzejmy uśmiech.

– Rozumiem, że przyszlście państwo w związku ze śmiercią nieszczęsnego pana Laurenta.

Aaron przekrzywił głowę.

– Czy tak właśnie pan by go scharakteryzował?

– A czy można inaczej? – Marchand starannie usuwał kurz z opuszek palców. – Jak mogę państwu pomóc?

Nie należał do wysokich osób. Soraya oceniła, że był mocno po pięćdziesiątce, choć całkiem dobrze się trzymał. Długie włosy siwiały mu na skroniach, ale ich reszta zachowała czarny kolor. Miały szczególny połysk, jak odbijające światło krucze skrzydła.

Aaron zerknął do notatek.

– Laurent został przejechany na Place de l'Iris w La Défense o godzinie jedenastej

trzydzieści. – Niespodziewanie spojrział dyrektorowi w oczy. – Co tam robił?

Marchand rozłożył ręce.

– Przyznaję, że nie mam pojęcia.

– Nie wysłał go pan do La Défense?

– Byłem w Marsylii, panie inspektorze.

Uśmiech Aarona był ostry jak brzytwa.

– Pan Laurent miał telefon komórkowy, dyrektorze. Jak przypuszczam, pan też ma taki telefon.

– Oczywiście, że mam – odpowiedział Marchand. – Ale nie dzwoniłem do niego. Nie miałem kontaktu z panem Laurentem przez kilka dni przed moim wyjazdem na południe.

Soraya zauważyła, że Amun stracił zainteresowanie tą rozmową. Odszedł od nich i oglądał książki w gabinecie dyrektora.

Aaron odchrząknął.

– Zatem twierdzi pan, że nie wie, jaki interes miał do załatwienia pan Laurent w banku Île de France dwa dni temu.

Bardzo sprytnie, pomyślała Soraya. Aaron odczekał aż do tej chwili, zanim wspomniał o banku.

Marchand zamrugał powiekami, jakby oślepiło go bardzo ostre światło.

– Przepraszam, że jak?

– Zanim pan Laurent został zamordowany...

– Zamordowany?

Teraz Aaron ma go w garści, pomyślała Soraya.

– Zanim został zamordowany, był pańskim asystentem, zgadza się?

– Zgadza.

– W takim razie, panie Marchand. Île de France. – W głosie Aarona pobrzmiwała irytacja. Zaczął szybciej zadawać pytania. – Co pan Laurent tam robił?

– Już panu mówiłem, inspektorze. – Ton Marchanda stał się obcesowy, kąśliwy. Tracił cierpliwość, a o to właśnie chodziło.

– Tak, tak, stwierdził pan, że nie wie.

– Bo nie wiem.

Aaron spojrział w notatki, przewrócił stronę, a Soraya poczuła rodzaj złośliwej satysfakcji. Aaron otworzył usta. Uwaga, zaczynamy, pomyślała.

– Pańska odpowiedź mnie zainteresowała, dyrektorze. Z moich informacji wynika, że większość funduszy tego oddziału Monition Club pochodzi z banku Brive.

Marchand wzruszył ramionami.

– I co z tego? Wielu naszych znaczących członków ma konta w Brive. Otrzymujemy od nich co roku duże donacje.

– Pochwalam ich altruizm – powiedział Aaron niemal wesoło. – Niemniej po wcale niełatwym dochodzeniu odkryłem, że Brive jest filią banku Netherlands Freehold na Antylach, który z kolei jest własnością, no cóż, lista zdaje się nie mieć końca i nie będę nią pana zanudzał. Tyle że na jej końcu jest Nymphenburg Landesbank z Monachium. – W tym miejscu Aaron zrobił głęboki wydech, jakby chciał podkreślić, jak bardzo wyczerpujące było dokopanie się do tego wszystkiego. – Czy Nymphenburg Landesbank nie jest niczyją filią?

Rzeczywiście nie jest. I na jakiś czas ta wiedza mnie przystopowała. Ale postanowiłem potem snuć moje przypuszczenia dalej. I wie pan co? Dziś rano odkryłem, że przez ostatnie pięć lat Nymphenburg Landesbank z Monachium skupował po cichu... – Wzruszył ramionami. – Czy muszę to mówić, dyrektorze?

Marchand zamarł w bezruchu, ręce miał na wpół uniesione. Soraya, patrząc na nich obu, musiała oddać temu mężczyźnie sprawiedliwość: jego dłonie były jak skała: ani drgnęły.

Aaron skrzywił się w uśmiechu.

– Nymphenburg Landesbank posiada w tej chwili pakiet kontrolny banku Île de France. To przejęcie było szatańsko trudne do wykrycia, głównie dlatego, że Landesbank i Île de France są prywatnymi przedsiębiorstwami. Jako takie nie muszą ogłaszać zmian na kluczowych stanowiskach, nie muszą też ujawniać szczegółów swojej polityki ani nazwiska właściciela pakietu kontrolnego.

Zrobił krok w kierunku Marchanda i uniósł palec wskazujący.

– Niemniej przyszło mi do głowy, że istnieje być może inny powód, który by wyjaśniał, dlaczego tak trudno było odkryć to powiązanie.

Zapadła cisza tak krępująca, że Marchand w końcu nie wytrzymał i zapytał przez zaciśnięte zęby:

– Jaki mianowicie, panie inspektorze?

Aaron zamknął i schował notes.

– Do zobaczenia wkrótce, panie Marchand.

Z tymi słowami obrócił się na pięcie i wyszedł. Soraya ruszyła jego śladem, ale po drodze chwyciła Amuna za marynarkę i odciągnęła od studiowania grzbietów książek.

Na zewnątrz świeciło słońce, ptaki śpiewały, przefruwając z drzewa na drzewo.

– Co powiecie na lunch? – zapytał Aaron. – Ja stawiam.

– Nie jestem głodny. Wolałbym wrócić do hotelu – odpowiedział Amun.

– W takim razie jestem głodna za nas dwoje – odezwała się Soraya, unikając ponurego wzroku Amuna.

Aaron klasnął w ręce.

– Wspaniale! Znam jedno idealne miejsce. No to za mną!

Soraya wyczuwała, że Amun nie ma najmniejszej ochoty iść za Aaronem, ale dopóki nie natrafią na postój taksówek, nie miał innego wyjścia.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o swoich odkryciach? – zapytała, zrównując się z Aaronem.

– Nie było czasu.

Podejrzewała, że to tylko częściowa prawda. Ugryzła się jednak w język, bo miała wrażenie, że Aaron nie chciał o tym rozmawiać przy Amunie.

Wrócili do Citroëna, a gdy wszyscy wsiedli, Soraya obok Aarona z przodu, Amun z tyłu razem z walizką, Aaron zapuścił silnik. Zanim jednak wrzucił bieg, Egipcjanin pochylił się i położył mu rękę na ramieniu.

– Chwileczkę – powiedział.

Soraya, idealnie zestrojona mentalnie z oboma mężczyznami, natychmiast się zaniepokoiła. Jeśli Amun miał zamiar wszcząć awanturę, musiała znaleźć sposób, żeby ją zażegnać.

– Amunie, daj spokój – powiedziała tak obojętnie, jak tylko potrafiła. Nie raz i nie dwa

widziała wybuchy złości Amuna i nigdy nie chciałyby stać się ich obiektem.

– Powiedziałem, zaczekaj – odezwał się głosem, który słabszego człowieka zmieniłby w słup soli.

Aaron zdjął rękę z drążka biegów i na wpół obrócił się w fotelu. Soraya musiała przyznać w duchu, że cierpliwość jest jego mocną stroną.

– Dobra robota. – Amun popatrzył Aaronowi prosto w oczy. – Technika godna podziwu.

– Dziękuję. – Aaron skinął głową.

Było jasne, że nie miał pojęcia, dokąd to zmierza. Podobnie jak Soraya.

– Wytrąciłeś Marchanda z równowagi i zostawiłeś go, żeby się zastanawiał i bał – mówił dalej szef Muchabratu. – Ogromna szkoda, że nie zainstalowałeś pluskwy w jego gabinecie. Wiedzielibyśmy, do kogo dzwoni w tej chwili.

Tępota Amuna trochę zdziwiła Aarona.

– To nie Egipt. Bez odpowiedniego upoważnienia nie mogę zakładać ludziom podsłuchów w biurach albo domach.

– Tak, nie możesz. – Amun rozpiął torbę i wyciągnął z niej czarne pudełko wielkości mniej więcej iPoda pierwszej generacji. Na wierzchu była plastikowa kratowniczką. – Ale ja mogę.

Wcisnął ukryty guzik i natychmiast usłyszeli głos Donatiena Marchanda złapany w połowie zdania. Mogli wysłuchać reszty jego rozmowy przez telefon.

– *Jeden Pan Bóg wie.*

– ...

– *Nie do końca, nie, to nie pierwszy raz, kiedy Quai d’Orsay mnie przesłuchiwała.*

– ...

– *Na pewno, ale powtarzam ci, że ten robi wrażenie innego.*

– ...

– *Nie, nie wiem dlaczego.*

Niezwykle długa cisza.

– *Chodzi o Egipcjanina. Mając tu szefa Muchabratu...*

– ...

– *Gówny prawda, tobie też by się to nie podobało. Ten facet wywołuje u mnie gęsią skórę.*

– ...

– *A teraz nie wiem, co...*

– ...

– *W takim razie spróbuj. To nie ty musiałeś stanąć z tymi ludźmi oko w oko.*

– ...

– *Naprawdę? Nawet nie wspomniałem o tej kobiecie, Sorai Moore.*

– ...

– *Cóż, może i ją znasz, ale ja nie. Ona niepokoi mnie najbardziej.*

– ...

– *Bo nic nie mówi i wszystko widzi. Ma oczy jak aparat rentgenowski. Miałem to nieszczęście, że zetknąłem się już z kilkoma osobami takimi jak ona. Nieodmiennie kończyło się to zamieszaniem, dużym zamieszaniem. A w sprawie Laurenta zamieszanie jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy.*

– ...

– *Och, znasz, naprawdę? A kto miałby to być?*

Nastąpiła chwila milczenia, wywołana najprawdopodobniej szokiem, zanim głos Donatiena Marchanda rozległ się ponownie.

– *Chyba nie mówisz poważnie. Nie on. Chcę przez to powiedzieć, że musi być jakaś alternatywa.*

– ...

– *Rozumiem.*

Marchand westchnął, co zabrzmiało jak rezygnacja.

– *Kiedy?*

– ...

– *I to muszę być ja?*

– ...

– *No to w porządku.* – Marchand zdołał nadać głosowi twardość stali. – *Natychmiast wydam mu polecenie. Cena jak zwykle?*

Chwilę później połączenie zostało zerwane. Trójka podsłuchiwczy siedziała w milczeniu, żadne nawet nie drgnęło. Atmosfera nagle stała się duszna, zapach potu mężczyzn i kobiety mieszał się i wypełniał wnętrze samochodu. Soraya czuła wolne i mocne uderzenia własnego serca. Podsłuchiwanie rozmowy to jedno, a świadomość, że jest się jej kluczowym tematem, to drugie.

– Jakie stąd wnioski? – zapytał Aaron trochę bez tchu.

– Brzmiało to tak, jakby Marchand dostał polecenie wynajęcia płatnego mordercy.

Aaron skinął głową.

– Pomyślałem to samo. – Odwrócił głowę. – Amun?

Egipcjanin wpatrywał się w okno samochodu i nie zawracał sobie głowy odpowiedzią.

– Nadchodzi – powiedział, wskazując na Marchanda, którego widzieli teraz, jak wyłaniał się z siedziby Monition Club. Wsiadł do czarnego bmw i odjechał.

Kiedy Aaron wrzucił bieg i ruszył za nim, Amun dodał:

– Przypuszczam, że oboje straciliście apetyt.

• • •

Federales rzeczywiście szukali Bourne'a. A przynajmniej osoby, pod której nazwiskiem Bourne wjechał do Kolumbii. Rzecz jasna ta tożsamość przestała już istnieć. Podobnie jak mężczyzna z niewyraźnej, przesłanej faksem fotografii, którą policjanci pokazywali w terminalu odlotów w Bogocie.

– Spokojnie – powiedział Bourne siedzący na wózku inwalidzkim. – To mną interesują się *federales*, nie tobą ani Rosie.

– Ale Domna ma powiązania...

– W tym przypadku – wszedł mu w słowo Jason – bardzo wątpię, żeby chcieli angażować w to federalnych. Zadawano by zbyt wiele pytań.

Niemniej, kiedy Vegas pchał wózek Bourne'a przez halę, emanował nerwowością, podobnie jak słońce emanuje ciepłem. To było problemem – którego wielkości Bourne nie

potrafił jeszcze ocenić – bo gliniarze wyczuwają strach na kilometr.

Skierowali się do poczekalni klasy biznes, gdzie Jason pokazał bilety recepcjonistce, bardzo opalonej młodej kobiecie, która osobiście wskazała im najlepsze miejsce dla wózka inwalidzkiego, a potem poszła zawołać kelnera. Odgrywanie inwalidy ma swoje dobre strony, pomyślał, ale teraz najważniejsze było zniknięcie z oczu federalnym.

Kiedy zjawiał się kelner, zamówił mocnego drinka dla Vegasa, żeby facet trochę się uspokoił. Rosie sama wybrała coś dla siebie. Bourne niczego nie chciał.

– Dobrze się poczuję, jak tylko znowu zobaczę don Fernanda – oświadczył Kolumbijczyk.

– Przestań się rozglądać – mruknął Bourne. – Skup się na mnie. – Zwrócił się do Rosie: – Weź go za rękę i nie puszczaj, choćby nie wiem co się działo.

Rosie niewiele się odzywała od chwili, gdy wysiedli z samolotu z Perales, ale Bourne wyczuwał, że prawie wcale się nie bała. Miała wewnętrzną pewność, że Vegas obroni ją przed czymkolwiek, co mogło stanąć im na drodze, i wybawi ją z każdego niebezpieczeństwa.

Kiedy wzięła go za rękę, Vegas wyraźnie się odprężył, co można było uznać za uśmiech losu, jako że dwóch *federales* weszło właśnie do poczekalni i zaczęło wypytywać recepcjonistki. Obie kręciły przecząco głowami, gdy patrzyły na zdjęcie Bourne'a. Niemniej faceci i tak postanowili obejść poczekalnię.

Vegas jeszcze nie spostrzegł żołnierzy, ale Rosie ich zobaczyła. Spojrzała na Bourne'a. Uśmiechnął się do niej, a potem zaczął śmiać, jakby właśnie opowiedziała mu dowcip. Pojęła go w lot i również się roześmiała.

– O co chodzi? – zapytał Vegas. – Co, do cholery, jest takie śmieszne?

– Za minutę, dwie, będzie tędy przechodziła para *federales*. – Bourne widział, jak wyraz strachu powraca na twarz Vegasa. Był człowiekiem ze wsi, nienawykłym do ograniczeń wielkiego miasta. Tu, w poczekalni, nie było dokąd uciec.

Zdążył już wypić ponad połowę drinka. Policzki miał blade. Bourne przyglądał się kościom jego czaszki, nagle wyraźnie widocznym pod woskową skórą: trup wyglądałby lepiej. Szukając sposobu odwrócenia jego uwagi, zapytał go o pola naftowe – o jego początki, gdy dopiero uczył się fachu, kiedy niebezpieczeństwo tej pracy było nieporównywalnie większe niż teraz. Vegas się ożywił, a Bourne właśnie na to liczył. Nie było wątpliwości, że Kolumbijczyk kochał swój zawód i znał się na wszystkich jego niuansach. Tymczasem Rosie słuchała go z uwagą, jakiej nie powstydziliby się inżynier geolog.

Federales zbliżali się coraz bardziej. Szli dostojnym krokiem, z piersią wypiętą do przodu, ręce trzymali na kolbach pistoletów wiszących im na biodrach. Napięcie rosło. Nawet Rosie miała problem z zachowaniem zimnej krwi i Bourne to zauważył.

– Widziałem krzak tamarillo na tyłach domu – powiedział. – I krzyż oznaczający grób.

– Nie rozmawiamy o tym – odezwał się Vegas, roztrzęsiony.

– *Mi amor, calmate*. – Rosie pocałowała go w policzek. – Skąd mógłby wiedzieć?

– Nie miałem zamiaru...

Rosie uniosła dłoń, żeby go uciszyć.

– Nie mogłeś wiedzieć – powtórzyła z determinacją. Posłała niewyraźny uśmiech Vegasowi, równie bladej, jak on jeszcze nie tak dawno. Odwróciła się do Bourne'a. – Nasz syn miał dziewięć dni i cały świat w swoich oczach. – Po policzku spłynęła jej łza, którą natychmiast wytarła wierzchem dłoni. – Tak właśnie jest u dzieci, zanim świat dorosłych je

zepsuje.

– Jego śmierć była strasznym nieszczęściem – wydukał Vegas, jakby każde wypowiedane słowo zadawało mu ból. – Ale co ja mogę wiedzieć? Tylko to, gdzie byłem. Nie wiem jednak, dokąd zmierzam.

– Dzieci powinny być chronione – powiedziała Rosie. Coś w słowach Vegasa bardzo ją poruszyło.

Federales znajdowali się dosłownie o kilka kroków od nich.

– Zawsze istnieje szansa, że będziecie mogli chronić inne maleństwo – odezwał się Bourne.

Oboje wpatrywali się w niego, ale to Rosie się odezwała:

– Doktor powiedział...

– Lekarz, który praktykuje gdzieś na zadupiu w Kolumbii. W Sewilli, w Madrycie są specjaliści. Na waszym miejscu nie porzucałbym nadziei.

Para *federales* przeszła obok kołyszącym się krokiem. Omiotli spojrzeniem turystów: mężczyznę na wózku inwalidzkim, którego wzięli za amerykańskiego weterana wojennego, i starszego faceta w T-shircie z głupim napisem, który wywołał ich śmiech. Najdłużej jednak przyglądali się wydatnemu biustowi i długim nogom kobiety, dosłownie zapierającym dech w piersiach.

Potem wyszli i oddalili się niczym chmura gradowa, a wszyscy w poczekalni odetchnęli z ulgą.

• • •

Maggie – Skara myślała teraz o sobie jako o Maggie, co przychodziło jej bez najmniejszego wysiłku – miała jak co dzień złożyć raport Benjaminowi El-Arianowi. Rozkoszowała się leżeniem w łóżku. Tylko prześcieradło okrywało jej nagie ciało. Przyglądała się szyfrowanemu telefonowi komórkowemu, którego używała wyłącznie do połączeń z El-Arianem. Zaraz jednak odwróciła się i zapatrzyła w delikatne złotoniebieskie światło poranka, sączące się przez firankę sypialni. O tej godzinie było tak cicho, że niemal słyszała nikły szmer światła, jakby tylko ono teraz się poruszało, gdy słońce powoli rozpraszało ciemność.

Głowę przepełniały jej myśli, niektóre całkiem sprzeczne. Przede wszystkim jednak była pewna, że nie chce rozmawiać z Benjaminem. Był niczym łańcuch ciągnący ją z powrotem do innego życia, które kiedyś sama wybrała, to prawda, choć nie zrobiła tego dobrowolnie.

To śmieszne, pomyślała, jak naglące potrzeby życia zmuszają człowieka do podejmowania decyzji. Jakakolwiek forma kontroli nad tym była czystą iluzją. Życie to chaos: próby kontrolowania go lub choćby tylko ogarnięcia mogły kończyć się jedynie łzami.

A ona wylała już tyle łez, że wystarczyłoby ich na kilka żywotów. Ostatnim razem, kiedy zobaczyła matkę na stole operacyjnym lekarza sądowego w kostnicy, gdy się załamała i szlochała razem z dwiema siostrami, obiecała sobie, że nigdy już nie uroni nawet jednej łzy. I dotrzymała tej przysięgi aż do poprzedniej nocy. Co takiego było w Christopherze Hendricksie, że nie wytrwała w swoim postanowieniu? Przez całe godziny, w czasie których nadal czuła jego obecność niczym stan wysokiej gorączki, leżała z otwartymi oczami i myślała o tym pytaniu. Przeżywała raz po raz wspólnie spędzony wieczór, grzebała w niuansach jego głosu i gestach, jak umierający z głodu bezdomny przeszukujący zawartość koszy na śmieci.

Około czwartej nad ranem ostatecznie się poddała, położyła na boku, zwinęła w kłębek i zamknęła oczy. Chciała odpłynąć w sen, myśląc o dwóch siostrach. Często jej to pomagało. Mikaela już nie żyła, zginęła, gdy dokonywały zemsty, ale Kaja cieszyła się jak najlepszym zdrowiem, choć za obopólną zgodą nie kontaktowały się ze sobą od wielu lat. Oczami wyobraźni Maggie zobaczyła je obie i siebie razem z nimi, jak dotykają się czołami. Trojaczki robiły to, gdy były małe, by poczuć przepływające przez nie szczególne ciepło w zamkniętym obiegu, który czynił je wyjątkowymi i trzymał z dala zewnętrzny świat – znieawidzony świat ich dzieciństwa, Islandii, zdrady ich ojca. Odszedł od nich i ich matki, żeby zabijać, i w końcu sam został zabity, ale w imię czego? Tajnej organizacji, do której należał. Pomyślała teraz o ojcu, wychodzącym z domu w oślepiającą śnieżycę, zimą w Sztokholmie. Patrzyła za nim, a on nigdy nie wrócił. A potem nic, aż do chwili, gdy odkryła, że został zabity przez człowieka, na którego miał zlecenie, przez Alexandra Conklina. Po plecach przeszedł ją dreszcz, którego nie byłaby w stanie dzielić z siostrami. Zamknęła oczy i nadal widziała jasność śnieżycy w Sztokholmie, obraz ojca odchodzącego od niej – od nich wszystkich. Chciała, by jej się przyśnił, i dlatego myślała o nim intensywnie, gdy zapadała w sen.

Im mocniej pogrążała się we śnie, tym bardziej obraz się wyostrzał, powstawał jak duch z grobu, ale jej ojca w nim nie było. Ona i Christopher znajdowali się w jakimś kompleksie sportowym. Poza nimi nikogo tam nie było. Światło księżyca odbijało się w ogromnym basenie. Spojrzała w dół i zobaczyła, że Christopher uśmiecha się do niej. Pomachał ręką w jej stronę, a ona uświadomiła sobie, że stoi na trampolinie.

„No dalej – powiedział. – Nie musisz na mnie czekać”.

Nie miała pojęcia, o co mu chodziło, ale wiedziała, że skoczy do wody. Podeszła do końca deski i zawinęła palce na jej krawędzi. Ugięła kolana, poczuła sprężystość trampoliny, drżącą w niej siłę, a to tchnęło w nią ogromną odwagę.

Wyskoczyła do góry i zrobiła przepiękny łuk. Ramiona trzymała wyciągnięte przed sobą, dłonie złączone niczym przy modlitwie. Widziała wodę zbliżającą się coraz bardziej, gdy leciała w powietrzu nocy. Księżyc osrebrzył basen, zmienił go w szkło, w lustro. Widziała samą siebie opadającą w dół, ale tuż przed dotknięciem tafli wody to już nie była ona. To był Christopher.

W tej samej chwili gwałtownie podniosła powieki. Po drugiej stronie pokoju zobaczyła firanki poplamione szarym światłem poranka, które jej na wpół śpiącym oczom wydało się gęste, wodniste. Przez chwilę miała wrażenie, że jest pod wodą, głęboko w otchłani basenu, i płynie na powierzchnię. A potem wszystko zrozumiała, miała pewność, której nic nie byłoby w stanie zachwiać. Ona i Christopher byli do siebie tak podobni, że aż ją to przerażało.

Usiadła na łóżku, serce waliło jej jak młotem.

– Dobry Boże – powiedziała głośno. – Co się ze mną stanie?

• • •

Peter obudził się w karetce pogotowia pędzącej z zawodzącą syreną przez ulice miasta. Leżał przypięty do noszy na kółkach i czuł się słaby jak wcześniak.

– Gdzie ja jestem? Co się stało?

Głos miał cichy, łamiący się i obcy. W dodatku uporczywie dzwoniło mu w uszach.

Pochyliła się nad nim twarz młodego mężczyzny o blond włosach i szerokim uśmiechu.

– Nie ma powodów do niepokoju – powiedział blondyn. – Jest pan w dobrych rękach.

Peter spróbował usiąść, ale pasy blokowały mu ruchy. Potem w jednej chwili, niczym pędząca lokomotywa wyłaniająca się z mgły, wróciło do niego wspomnienie, jak szedł przez podziemny garaż, nacisnął guzik na kluczyku, żeby uruchomić silnik samochodu, i rozległ się huk godny końca świata. W ustach miał sucho, język był lepki. W nozdrzach czuł metaliczny zapach, od którego robiło mu się niedobrze.

Pomyślał o Hendricksie. Musiał jak najszybciej przekazać szefowi informację o tym, co się stało. Musiał też dowiedzieć się, kto kazał go zabić i dlaczego. Ruszył prawą ręką, zapominając, że jest przywiązana.

– Hej – mruknął niewyraźnie. – Odepnijcie mnie. Muszę zadzwonić z komórki.

– Przykro mi, kolego, ale nie da rady. – Blondyn uśmiechał się do niego. – Nie mogę pana odwiązać, dopóki karetka jest w ruchu. Takie są przepisy. Jeśli coś by się panu stało, puściłby mnie pan w sądzie z torbami.

– To niech kierowca zjedzie na bok.

– Tego też nie da się zrobić – poinformował blondyn. – Czas jest najważniejszy.

Z każdą mijającą sekundą Peter odzyskiwał pełnię władz umysłowych, ale fizycznie czuł się wykończony, jakby właśnie przebiegł maraton.

– Zapewniam pana, że czuję się już znacznie lepiej.

Blondyn zrobił smutną minę.

– Obawiam się, że w pańskim stanie nie bardzo może pan to oceniać. Nadal jest pan w szoku i trudno panu jasno myśleć.

Peter uniósł głowę.

– Powiedziałem, żeby kierowca zjechał na bok i stanął. Jestem agentem federalnym podległym bezpośrednio sekretarzowi obrony.

Uśmiech zniknął z twarzy blondyna.

– Wiemy o tym, panie Marks.

Serce zaczęło bić Peterowi w szalonym tempie, gdy szamotał się, próbując uwolnić od pasów.

– Odwiąż mnie, do kurwy nędzy!

Wtedy blondyn pokazał mu glocka. Przytknął lufę delikatnie do policzka Petera.

– Komunikat brzmi, że masz leżeć spokojnie i cieszyć się urokami jazdy. Mamy przed sobą całkiem sporo drogi.

Oznaczało to, że nie wieźli go do szpitala. Peter wpatrywał się w twarz blondyna, która wydała mu się równie pozbawiona wyrazu, jak drzwi do bankowego sejfu. Czy ci ludzie byli też odpowiedzialni za podłożenie bomby w jego samochodzie?

– Przepraszam, że was rozczarowałem.

Młody mężczyzna popatrzył na niego i odsunął pistolet od jego policzka.

– Pewnie spodziewaliście się, że załatwicie mnie tym wybuchem.

Blondyn z uczuciem gładził lufę glocka.

– Naprawdę jestem pod wrażeniem, że udało się wam minąć ochronę i podłożyć ładunek w moim wozie.

Tamten uśmiechnął się krzywo do kogoś, kto był poza zasięgiem wzroku Petera.

– A kto powiedział, że ładunek został podłożony w garażu?

A zatem to oni nafaszerowali jego samochód materiałem wybuchowym, i wiedzieli, gdzie mieszkał. Nadal jednak nie miał pojęcia, dla kogo pracowali – i co było ważniejsze w tej chwili – ilu z nich jechało teraz karetką pogotowia. Założył, że trzech – blondyn, kierowca i człowiek, do którego blondyn się uśmiechał przed chwilą – niewykluczone jednak, że czwarty siedział obok kierowcy i miał baczenie na wszystko. Jedno było jasne: ci ludzie byli doskonale wyszkoleni i dobrze opłacani.

Ambulans skręcił za róg ulicy. Peter poczuł działanie siły odśrodkowej, ale nosze, solidnie zablokowane, nawet nie drgnęły. Szczęściem manewr zakręcania poluzował trochę pasy, dzięki czemu mógł uwolnić lewą rękę. Przesunął ją ku górze noszy, szukając dźwigienki, którą zwolniłby blokadę kół. Po chwili ukradkowego macania na oślep natrafił palcami na właściwie ustrojstwo i mocno je chwycił.

Mijali kolejne przecznice. Peter powoli zaczynał panikować, czy kiedykolwiek uda mu się uwolnić, ale wtedy poczuł, że karetka wchodzi w kolejny zakręt. Pociągnął dźwigienkę w kulminacyjnym punkcie zakrętu. Nosze uderzyły blondyna w kolana, a potem odbiły się w drugą stronę. Peter uwolnił szybko prawą rękę i kiedy tamten rzucił się na niego, wyrwał mu glocka. Blondyn starał się odzyskać równowagę, a wtedy Peter walnął go pistoletem w głowę.

Drugi mężczyzna, szykujący się do skoku, nareszcie pojawił się w polu widzenia. Peter strzelił, mężczyznę odrzuciło w tył. Jego zwaliste ciało padło niedaleko tylnych drzwi. Peter odpiął pasy i zsunął się z noszy.

W tym samym czasie karetka zaczęła zwalniać. Strzał najprawdopodobniej zaniepokoił kierowcę. Peter nie marnował czasu. Wyminął oba ciała, otworzył drzwi i wyskoczył. Upadł na ziemię i przetoczył się na biodro, ale zużył na to resztkę energii i miał teraz problem nawet z podniesieniem się na kolana.

Ambulans zatrzymał się kilka metrów dalej. Kierowca wyskoczył z kabiny. Peter wiedział, że tylko glock mógłby go uratować, ale zgubił go, gdy wypadł z karetki. Desperacko rozglądał się wokół i spostrzegł pistolet leżący w rynsztoku. Tyle że kierowca dopadł go, zanim zdołał przeczołgać się kilkadziesiąt centymetrów w kierunku broni.

Pięści mężczyzny młóciły jak cepy. Nie miał siły, żeby się osłaniać, nie wspominając o ataku. Jasne plamy światła eksplodowały mu pod powiekami, zaczynał się pogrążyć w ciemności. Bronił się rozpaczliwie przed utratą przytomności, lecz była to daremna walka.

Tonący człowiek zanurzający się coraz niżej nie czułby się bardziej zdesperowany od Petera. Nigdy nawet nie wyobrażał sobie momentu takiego jak ten, porażki tak niespodziewanej i zupełnej. I wtedy, po fali katowania, nasilenia się bólu, gdy ostatnie ciosy miały załatwić go na dobre, poczuł na twarzy lekki wiaterek. Zobaczył słoneczne światło. Doszedł go słodki zapach spalin motocyklowych.

I jakaś twarz, rozmazana i trudna do rozpoznania, bardziej podobna do ciemnej chmury, pojawiła się w jego ograniczonym polu widzenia.

– Nie ma powodu do obaw, szefie, nadal pan żyje.

Rozdział 15

W lepkiem od wilgoci świetle poranka Jalal Essai poszedł na spacer krętymi uliczkami Kadyksu, biegnącymi wzdłuż wybrzeża. Dzień był już jasny i tylko kilka białych, puchatych chmur płynęło po niebie daleko na południu. Powietrze, gorzkawe od soli i fosforu, orzeźwiało czystością. Kilka żaglówek wypłynęło już na wodę, żeby wykorzystać dobry wiatr. Wiele sklepów dla turystów nadal było zamkniętych, ich metalowe osłony witryn przypominały mury zamków. Essai wyczuwał melancholię, jaka zimą zasnuwa nadmorskie miasta.

Starannie wybrał kawiarnię nad brzegiem morza, pomijając sporo lokali tego typu w okolicy znacznie bliższej domu don Fernanda, i zdecydował się na tę z markizami w biało-niebieskie pasy i z czerwoną kotwicą. Siedząc samotnie przy niewielkim okrągłym stoliku w drugim rzędzie od chodnika, zamówił śniadanie.

Rowerzyści mijali go niczym gigantyczne owady, czasami przetoczyła się ciężarówka dostawcza lub przejechał samochód, poza tym o tak wczesnej porze chodniki i jezdnie świeciły pustkami. Przyniesiono mu kawę i ciastko. Ostrożnie sączył gorącą kawę, którą uznał za bardzo dobrą i dodał do niej jedynie kroplę mleka. Potem wbił zęby w słodką gumowatą drożdżówkę, oparł się wygodnie o krzesło i wdychał głęboko wilgotne powietrze.

Przystąpił do rytuału modyfikowania planu. Każdy dzień przynosił wydarzenia, które stały w sprzeczności z planem lub wymuszały jego zmianę w zasadniczych punktach. Przypominało to układanie skomplikowanych puzzli, które subtelnie się zmieniały za każdym razem, gdy się na nie patrzyło. Rzeczą ludzką jest popełnianie błędów – i to zarówno celowo, jak i nieświadomie. Ludzie są stanowczo za bardzo nieprzewidywalni w reakcjach, dlatego należało ich bacznie obserwować. Było to wyczerpujące zajęcie, warte wysiłku jedynie wtedy, gdy płaca okazywała się wystarczająco satysfakcjonująca lub pożądana. W tym przypadku, pomyślał Essai, wynagrodzenie spełniało oba warunki.

Jednak dość fatalnie się składało, że monitorowanie każdego człowieka z osobna nie zawsze było możliwe. Estevan Vegas, na przykład, był starym przyjacielem don Fernanda, ale dla Essaia nic nie znaczył. Natomiast Bourne – cóż, Bourne był ciągle obecny w planie Jalala. Honorowość Bourne'a sprawiała, że stawał się w pełni przewidywalny, gdy chodziło o życie albo śmierć. Obecna sytuacja była tego najlepszym dowodem. Benjamin El-Arian popełnił w końcu poważny błąd, zlecając Borisowi Karpowowi zabicie Bourne'a, nie rozumiał, że skutków starcia się Bourne'a z Karpowem nie da się przewidzieć i najprawdopodobniej będą zupełnie nieoczekiwane. El-Arian nie znał Bourne'a tak jak Essai – w rzeczywistości nic o nim nie wiedział. Jalal bardzo na to liczył, podobnie jak na to, że Bourne przywiezie z Kolumbii Vegasa i jego kobietę.

Gratulował sobie zdolności przewidywania, gdy kątem oka zauważył jakiś ruch. Nie obejrzał się, nawet nie drgnął.

Wpatrywał się po prostu przed siebie i widział, jak Marlon Etana wyłania się z rozedrganego blasku słońca i wchodzi pod biało-niebieskie markizy ozdobione czerwoną

kotwicą.

• • •

– Tędy – powiedziała Lana Lang. – Szybko!

Karpow poszedł za nią zaśmieconymi ulicami Monachium, aż dotarli do niewielkiego ciemnozielonego opla. Z nieba nabrzmiałego chmurami w kolorze podobnym do jego karoserii lało jak z cebra.

– Wsiadaj – zarządziła i zajęła miejsce za kierownicą. Potem podniosła na niego wzrok, bo Karpow nadal stał na ulicy. – Wsiadaj, na co czekasz?

A Boris czekał na inspirację. Podążanie ulicą za kimś, kogo nie znał, to jedno, ale wsiadanie z nim do małej, zamkniętej przestrzeni samochodu było czymś zupełnie innym. Intuicja ostrzegała go pełnym głosem przed tą paranoidalną sytuacją.

– Hej – odezwała się, nie ukrywając irytacji. – Nie mamy na to czasu.

Zawsze na wszystko brakuje czasu, pomyślał Karpow, ulegając jej. A najbardziej na to, co jest ważne. Jego życie wypełniał ciąg potrzeb, zobowiązań, kompromisów i odwzajemnianych gestów – dużych, małych i wszelkiej wielkości, jaka mieściła się na skali między nimi. Był to, innymi słowy, polityczny taniec, którego nigdy nie mógł ignorować albo choćby na chwilę się z niego wyłamać, bo się bał, że gdy muzyka ucichnie, jego krzesło będzie już zajęte przez kogoś innego. A wtedy, mimo wszystkich lat najwyższego poświęcenia, ciężkiej pracy i nagromadzenia małych potworności popełnionych dla kraju, pstrzących mu mundur niczym medale za tajne wojny, będzie patrzył na życie z zewnątrz, co w Rosji oznaczało brak życia w ogóle.

Lana Lang jechała zdecydowanie i bardzo szybko przez labirynt ulic miasta. Prowadziła jak mężczyzna, zauważył Boris, z ogromną kompetencją, nerwem i bez cienia strachu, choć deszcz się nasilał i ulice stały śliskie. W tym była naprawdę dobra, podczas gdy w piwiarni robiła wrażenie głupiej kobietki, z obsesją na punkcie mody, kobiety, z którą nie miał ochoty się zadawać, nie wspominając o powierzeniu jej życia.

Co kilka sekund Lana zerknęła we wsteczne i boczne lusterka. Światła przejeżdżała w ostatniej chwili i często, jak wydawało się Borisowi, wracała na tę samą trasę.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

Uśmiechnęła się tajemniczo i w tym również nie przypominała kobiety z knajpy.

– Tam, gdzie nikt nas nie znajdzie, czy tak?

– Niezupełnie. – Tajemniczy uśmiech się poszerzył. – Zabieram cię do miejsca, gdzie nikt by się ciebie nie spodziewał.

Docisnęła pedał gazu. Boris poczuł, że wciska go w fotel.

– To znaczy gdzie?

Rzuciła mu figlarne spojrzenie, ale szybko przeniosła wzrok na drogę przed sobą.

– A gdzieżby? – odpowiedziała. – Do meczetu.

• • •

Paryż wygląda jak muszla na wodach Sekwany. Każda dzielnica – albo *arrondissement* – oddala się koncentrycznie od śródmieścia i im większy ma numer, tym bardziej jest odległa od

serca miasta. Dzielnice z najwyższymi numerami zamieszkują imigranci – Wietnamczycy, Chińczycy i Kambodżanie. A trochę dalej są obrzeża, *banlieues*, które bardzo niechętnie udostępniono Arabom z północnej Afryki.

Odizolowani, stłoczeni na peryferiach miasta, byli ludźmi pozbawionymi praw obywatelskich, odmawiano im pracy i jakiegokolwiek znaczącego kontaktu z codziennym paryskim życiem, kulturą, szkolnictwem i sztuką.

Aaron wjechał za bmw Marchanda do najbardziej wysuniętej na północ *banlieue* – najbrudniejszej, najbardziej przeludnionej i najnędzniejszej części miasta, jakiej żadne z nich wcześniej nie widziało.

– Na Allaha, to cuchnące miejsce wygląda jak Kair – wymamrotał pod nosem Amun.

Bo rzeczywiście, ulice były tu wąskie, chodniki popękane, ohydne białawe budynki przypominały najgorsze angielskie blokowiska, stłoczone w jednym miejscu praktycznie bez przestrzeni między nimi.

Soraya wyczuła ponowny wzrost napięcia między dwoma mężczyznami i zastanawiała się nad jego przyczyną. Było dla niej jasne, że Aaron staje się coraz bardziej skrępowany. Gdy jechali brudną ulicą, w ich stronę odwracały się ciemne twarze z zaciśniętymi ustami, o wyrazie zdradzającym jadowitą mieszaninę nienawiści i strachu. Stare kobiety taszczące siaty wypchane zakupami usuwały się im pospiesznie z drogi. Młodzi mężczyźni w niewielkich grupach odrywali się od ścian, gdzie przestawali lub przesiadywali, ćmiąc papierosy, przyciągani niezwykłym widokiem samochodu, jak bezpańskie psy czujące zapach mięsa. Ich wrogość była dla niej zupełnie wyraźna, biła z czarnych oczu i ust koloru kawy. Zdarzyło się nawet, że butelka rzucona szerokim łukiem rozbiła się o błotnik citroena.

Jadące przed nimi bmw skręciło w lewą stronę w wąską uliczkę. Aaron podjechał do krawężnika i zaparkował. Chciał jako pierwszy wysiąść z samochodu, ale Amun powiedział:

– Biorąc pod uwagę panującą tu atmosferę, lepiej będzie, jeśli zostaniesz w wozie.

– Paryż to moje miasto – odburknął Aaron.

– To nie jest Paryż – zaoponował Amun. – To jest północna Afryka. Oboje z Sorayą jesteście muzułmanami. Pozwól, że to my zajmiemy się tą częścią operacji.

Soraya zauważyła, że twarz Lipkina pociemniała.

– On ma rację, Aaronie – powiedziała łagodnie. – Zastanów się przez chwilę nad całą sytuacją.

– To moje śledztwo. – Głos Francuza drżał od źle skrywanych emocji. – Oboje jesteście moimi gośćmi.

Soraya spojrzała mu prosto w oczy.

– Pomyśl o nim jak o prawdziwym darze.

– On darem! – Aaron wydawał się miażdżyć to słowo między zębami.

– Nie widzisz tego? Amun jest przyzwyczajony do arabskich slumsów, potrafi nawiązać kontakt z ich mieszkańcami. Biorąc pod uwagę obrót spraw w tym dochodzeniu, naprawdę dopisało nam szczęście, że mamy go do pomocy.

Aaron usiłował przepchnąć się obok niej.

– Ja nie...

Zablokowała mu drogę ciałem.

– Bez niego nawet nie mielibyśmy tego tropu.

– Ale on już zniknął – powiedział Aaron.

Soraya odwróciła się i przekonała, że miał rację. Amun nie marnował ani chwili i co świetnie rozumiała, skoro dotarli aż tak daleko, szkoda było mu stracić Marchanda z oczu.

– Zostań tutaj, Aaronie. – Ruszyła ulicą śladem Amuna. – Proszę.

Ulica była wąska, kręta jak wąż i pogrążona w półmroku. Soraya ledwie widziała plecy Amuna, który wślizgiwał się za metalowe, poobijane drzwi. Biegnąc, dopadła ich, zanim się zamknęły. W chwili gdy miała wejść do środka, spostrzegła na dalekim końcu uliczki chudego jak tyka młodego mężczyznę. Zmrużyła oczy. Zauważyła jego czerwoną koszulkę polo, ale światła było tak niewiele, że nie potrafiła się zorientować, czy patrzył na nią czy zupełnie gdzie indziej.

Za drzwiami znajdowały się brudne stalowe schody prowadzące gdzieś w dół. Oświetlała je jedna żarówka wisząca na kablu. Pochylając się pod nią, Soraya zaczęła ostrożnie iść po schodach. Natężyła uwagę, żeby usłyszeć odgłos kroków Amuna lub czyichkolwiek kroków, lecz docierały do niej jedynie skrzypnięcia i trzaski typowe dla starego zaniedbanego budynku.

Znalazła się na małym podeście, ale nie przerwała schodzenia w dół. Czowała odór wilgoci, pleśni i ostry smród rozkładu i gnicia. Miała wrażenie, że zagłębia się w ciało trupa.

Ze schodów zeszła na betonową posadzkę. Pajęczyny ocierały się o jej twarz, co jakiś czas dochodziło ją popiskiwanie szczurów. Wkrótce dołączyły do tego inne dźwięki – w ciemności rozległy się ściszone głosy. Uparcie szła naprzód, kierując się tymi głosami. Po piętnastu metrach dostrzegła migotliwe światło, rozpraszające mrok w czymś, co przypominało labirynt pomieszczeń wyglądających na jaskinie. Przystanęła na chwilę, uderzona podobieństwem tego miejsca do kryjówek, jakie wykorzystywali ludzie z Hezbollahu, kiedy szykowali się do przekroczenia granicy i napaści na Izrael. Tam również panowała atmosfera wyczekiwania i cuchnęło kwaśnym potem, brudem, przyprawami i metalicznym gorzkim zapachem ładunków przygotowywanych do detonacji.

Znalazła się na tyle blisko, że rozróżniała głosy – należały do trzech osób. To osadziło ją w miejscu. Czyżby Amun nawiązał już z nimi kontakt? Ale nie, teraz gdy podkraśla się wystarczająco blisko, uszy podpowiadały jej, że zna tylko jeden z tych głosów – obrzydliwego kłamcy Donatiena Marchanda.

Podeszła do rogu ściany i wyjrzała zza niej. Trzech mężczyzn stało w chybotliwym świetle staroświeckiej lampy naftowej. Jeden był bardzo młody, chudy jak szkielet, o ciemnych oczach i zapadniętych policzkach. Drugi, niewiele starszy, miał ręce przywodzące na myśl ostrza toporów. Marchand stał przodem do nich. Z tonu ich głosu i języka ciała można było wnosić, że są w trakcie trudnych negocjacji. Zaryzykowała rozejrzenie się wokół. Gdzie podziewał się Amun? Założyła, że był gdzieś niedaleko. Jaki miał plan? I jak mogłaby podejść bliżej, żeby dokładnie słyszeć, o co kłócili się ci mężczyźni? Patrząc dookoła, nie dostrzegła niczego, co mogłoby jej pomóc. Ale potem, kierując wzrok do góry w ciemność, zobaczyła masywne belki skrzyżowane nad pomieszczeniem, zapobiegające zawaleniu się budynku do piwnicy, gdzie Arabowie mieli kryjówkę.

Posługując się kilkoma pudłami, które znalazła na podłodze, wspięła się na tyle wysoko, że zdołała opleść ramionami jedną z belek. Podciągając się, skrzyżowała nogi na belce i przerzuciła na nią ciało. Musiała bardzo uważać, żeby nie wzruszyć nagromadzonego tam kurzu i brudu – lepkich, czarniawych pajęczyn, opalizujących powłok robaków i szczurzych

bobków – które spadając, zdradziłyby jej obecność. Posuwając się centymetr po centymetrze, Soraya dotarła po belce do miejsca nad trzema mężczyznami.

– Nie, człowieku, mówię, że za to należy się trzy razy więcej.

– Trzy razy to za dużo – powiedział Marchand.

– Cholera, za tę sukę trzy razy to i tak za mało. Masz dziesięć sekund, potem cena idzie w górę.

– Dobrze już, dobrze – odezwał się dyrektor Monition Club po chwili milczenia.

Soraya usłyszała szelest odliczanych banknotów.

– Prześle ci na komórkę jej zdjęcie – powiedział Marchand.

– Nie potrzebuję foty. Twarz tej dziwki, Moore, mam wyrytą w pamięci.

Sorayę przeszedł dreszcz. Było coś ponuro surrealistycznego w tym podsłuchiwaniu planu własnej likwidacji. Czuła, jak serce podchodzi jej do gardła, gdy spotkanie mężczyzn dobiegło końca.

Nienawidziła tych Arabów, ale tkwiła w bezruchu. Celem misji było odkrycie, do kogo Marchand dzwonił, po tym jak śmiertelnie go wystraszyli. Od tych arabskich zbirów na pewno by się tego nie dowiedziała, jedynie Marchand znał odpowiedź na to pytanie. Przypuszczała, że na własnym terytorium nie puściłby pary z ust, lecz teraz przyłapała go w kompromitującej sytuacji z mordercami na zlecenie, więc może byłby bardziej skłonny...

Ruszyła, a w tej samej chwili Amun wypadł z cienia. Starszy z Arabów odwrócił się, w dłoni trzymał w gotowości nóż sprężynowy. Pchnął nim przed siebie, zmuszając Amuna do zmiany kierunku. Młodszy Arab uderzył szefa Muchabaratu pięścią w skroń, powalając go na ziemię.

Soraya zeskoczyła z belki nogami w dół, zahaczyła przy tym kolaniem o krzyż młodszego Araba. Upadł, uderzając głową o beton i wybijając sobie kilka przednich zębów. Krew trysnęła mu z ust. Leżał nieruchomo i jęczał. Amun robił uniki przed nożem starszego Araba i obaj zniknęli w ciemności.

Soraya została sama z Donatienem Marchandem, który wbijał w nią wzrok niczym wilk załapany w pułapkę. Jego oczy wydawały się żółte z nienawiści.

– Skąd wiedziałaś, dokąd poszedłem? – Ponieważ nie odpowiedziała, rozejrzał się wokoło.

– Gdzie Żyd? Okazał się zbyt nieśmiały, żeby tu zejść?

– Teraz masz do czynienia tylko ze mną – odparła Soraya.

Zanim zdążyła dodać cokolwiek, Marchand rzucił się do ucieczki. Popędziła za nim z powrotem w kierunku schodów. Myślami była również przy Amunie i jego walce z Arabem. Czy było ich tutaj więcej? Teraz jednak nie mogła poświęcać temu zbyt wiele uwagi. Nie wolno było dopuścić, żeby Marchand uciekł.

Dyrektor Monition Club dopadł podstawy schodów i wbiegł na nie zwinnie i szybciej, niżby się po nim spodziewała. Ruszyła za nim w nikłym świetle i potem wyżej przez odcinki pogrążone w ciemności, minęła niewielki podest i wspinała się po drugim ciągu schodów. Do góry, gdzie żarówka emitowała bladawe światło.

Marchand pędził w takim zapamiętaniu, że mocno uderzył ramieniem w żarówkę, która zaczęła się kołysać na kablu, rzucając na schody dezorientujące cienie. Soraya przyspieszyła, zmniejszając odległość od nieprzyjaciela.

Mężczyzna zatrzymał się niespodziewanie i obracając na pięcie, wyciągnął niewielką

dwudziestkędwójkę ze srebrną kolbą. Strzelił raz, na oślep, a potem ponownie, gdy się zbliżyła. Druga kula rozerwała rękaw na ramieniu kurtki, lecz nie zrobiła Sorai żadnej krzywdy.

Rzuciła się na niego i uderzając kantem ręki w jego nadgarstek, wytrąciła mu broń. Pistolet spadł z hukiem po schodach i utknął gdzieś w ciemności.

Soraya chwyciła Marchanda za klapy płaszcza i przyciągnęła do siebie, ale zanim się zorientowała, zdołał sięgnąć do kabla żarówki i owinął go wokół jej szyi. Zacisnął mocno. Zaczęła się dusić. Uniosła ręce, żeby poluzować zacisk, ale Marchand, który znalazł się teraz za nią, jeszcze mocniej go zacisnął.

Daremnie usiłowała wsunąć palce pod kabel wrzynający się w szyję. Spróbowała zaczerpnąć powietrza, lecz nie miała na to szans. Chwilę później zaczęła tracić przytomność.

Rozdział 16

Bourne razem z dwójką swoich towarzyszy dotarł do Sewilli już bez żadnych incydentów. Interpol nie czekał na samolot w Madrycie, a w Sewilli trójka pasażerów przeszła niezauważona przez terminal przylotów.

Zgodnie z obietnicą wynajęty samochód już na nich czekał razem z adresem internetowym. Bourne wprowadził adres do przeglądarki telefonu komórkowego i ściągnął mapę terenów od Sewilli do Kadyksu. Czerwona linia wskazywała trasę, jaką Essai im sugerował. Na końcu był adres w Kadyksie, gdzie don Fernando Herrera czekał na ich przyjazd.

Wsiedli do samochodu, Bourne uruchomił silnik i wyjechali z lotniska. Podczas lotu Bourne usiłował przejrzeć grę Essaia, nie miał bowiem najmniejszych wątpliwości, że muzułmanin przekazał mu mieszankę prawdy i kłamstwa. Ustalenie zatem, czy był wrogiem, czy sojusznikiem, nadal wymagało rozstrzygnięcia. Bardzo dużo z tego czasu spędził również na rozmyślaniu o przyjacielu, Borisie Karpowie. Jeśli to prawda, że dostał zlecenie na niego, nadal się nie pokazał. Ale czy w ogóle się zjawi? Essai z kolei chciał czegoś, o czym wiedział, że Bourne tego nie zrobi, gdyby poprosił wprost.

Czy miało to coś wspólnego z Borisem? Jason miał wrażenie, że wokół niego zaciska się ogromna sieć, lecz jak do tej pory nie miał pojęcia ani o jej rozmiarach, ani pochodzeniu.

Ktoś chciał go zabić – ale po co i z jakiego powodu?

– Nie jesteś zbyt rozmowny, prawda? – odezwała się Rosie z fotela obok niego.

Bourne uśmiechnął się, zapatrzony przed siebie na drogę. Martwił się o to, że ktoś będzie ich śledził, tyle że ruch za nimi jak dotychczas wydawał się zupełnie normalny.

– Nie przypominasz nikogo z ludzi, których znam.

– *Dios mio, Rosie* – powiedział Vegas z tylnego siedzenia. – Przestań zasypywać go pytaniami.

– Próbuję tylko prowadzić rozmowę, *mi amor*. – Odwróciła się do Bourne'a, ale nie spojrzała mu w oczy. – Wiem, co to znaczy, kiedy człowiek jest samotny... naprawdę sam, chowający się w cieniu i tylko patrzący na słońce.

– Rosie!

– Ciii, *mi amor*. – Ponownie zwróciła się do Bourne'a: – Jednego w tym wszystkim nie rozumiem: dlaczego ktoś zdecydowałaby się na to dobrowolnie?

– Ciekawe – odpowiedział Bourne. – Nie mówisz jak ktoś z głębokiej prowincji w Kolumbii.

– Można by pomyśleć, że jestem wykształcona, tak?

– Podziwiam twoje słownictwo.

Jej śmiech był głęboki i szczery.

– Tak, ktoś taki jak ty na pewno je podziwia.

– Nic o mnie nie wiesz.

– Nie? Jesteś sam, zawsze sam. Myślę, że to najistotniejsza rzecz, która cię charakteryzuje, określa twój sposób myślenia i wszystko, co robisz. – Przekrzywiła głowę. – Nie masz na to

żadnej odpowiedzi?

– Nie wiem o tobie zupełnie nic.

Dotknęła blizn na szyi i piersi.

– Myślę, że coś jednak wiesz.

– Margaj.

– Była taka piękna. – Rosie westchnęła. – Ale weszłam jej w drogę.

– Nie – powiedział Bourne. – Przestraszyłaś ją.

Rosie odwróciła wzrok, patrzyła w okno od strony pasażera na mijany krajobraz, który nie był szczególnie pod żadnym względem, stanowiły go bowiem pofałdowane wzgórza, niektóre pokryte gajami poskręcanych drzewek oliwnych, wyglądających na zakurzone.

Bourne ponownie zerknął w lusterko wsteczne. Jechał za nimi czerwony fiat, na którego miał oko, choć wątpił, by profesjonalny ogon zdecydował się na jazdę czerwonym samochodem.

– Przypadkiem trafiłaś do legowiska margaja – odezwał się. – To nie przypomina zachowania, jakiego można się spodziewać po kimś, kto się urodził i wychował w Kordylierze.

– Biegłam. Przechodziłam przez strumień, poślizgnęłam się na skale obrosłej mchem i zraniłam w kolano. Nie patrzyłam, dokąd biegnę. Bałam się.

– Uciekałaś.

– Tak.

– Przed czym?

Rosie odrzuciła do tyłu głowę.

– Sam ciągle uciekasz. Powinieneś wiedzieć.

– Słyszałem, że uciekałaś od rodziny.

Skinęła głową.

– To prawda.

– Ja nigdy czegoś takiego nie zrobiłem.

– Mimo to jesteś sam, zawsze sam – powiedziała. – To musi być męczące.

Vegas pochylił się do przodu.

– Rosie, na miłość boską! – Odwrócił się do Bourne'a. – Przepraszam za nią.

Jason wzruszył ramionami.

– Każdy ma prawo mieć swoje zdanie.

– Wiem, dlaczego uciekasz – oświadczyła Rosie. – Żeby nic nie mogło cię dotknąć.

Bourne spojrział w lusterko wsteczne, potem na Rosie, ale i tym razem miała odwrócony wzrok.

– Przypuszczam, że nie ma zbyt dużo pracy dla psychologa w Ibagué – powiedział. – Czy tam właśnie się urodziłaś?

– Jestem Achagua – odparła Rosie. – Z linii węża.

Bourne, ekspert w komparatystyce językoznawczej, wiedział, że Achagua nadawali gałęziom rodzinnym nazwy zwierząt: węża, jaguara, lisa, nietoperza, tapira.

– Mówisz językiem irantxe?

Powolny uśmiech uniósł kąciki jej ust.

– Celny strzał. Jestem pod wrażeniem. Naprawdę. Ale nie, irantxe to język sam w sobie.

Achagua posługują się wieloma dialektami w zależności od tego, czy zamieszkują góry czy dolinę Amazonki. – Jej uśmiech jeszcze się poszerzył. – Tylko mi nie mów, że znasz któryś z tych języków.

– Nie znam – odpowiedział.

– Ja też nie. Mówiono nimi bardzo dawno temu. Nawet mój ojciec ich nie znał.

Bourne ponownie spojrzął w lusterko wsteczne. Nie widział już czerwonego fiata, więc skupiał teraz uwagę na czarnej furgonetce vanie, jadącej przed nimi. Przez ostatnie piętnaście minut miała okazję do zmiany pasa lub szybkości, lecz tego nie zrobiła. Zachowywała stałą pozycję cztery pojazdy przed nimi.

Zerknął w lusterko boczne, wyczekiwał na przerwę w sznurze samochodów, a potem, bez używania migacza, odbił szybko na lewy pas. Już po kilku sekundach wyminął czarną furgonetkę. Wpatrywał się w lusterko wsteczne i widział, jak samochód powoli zostaje w tyle. Zaraz potem jednak kierowca furgonetki dodał gazu i zmienił pas.

Teraz Bourne zaczął się rozglądać w poszukiwaniu oznak bloku, taktyki śledzenia, przy której cel jest między samochodami jadącymi z przodu i z tyłu, co uniemożliwia wyrwanie się spod kontroli.

– Co się dzieje? – zapytał Vegas.

Bourne wyczuwał zaniepokojenie emanujące z niego niczym fale ciepła.

– Na tej drodze są ludzie, których tu być nie powinno – wyjaśnił. – Siedź spokojnie.

Rosie chwyciła uchwyt ponad drzwiami, ale nie odezwała się słowem. Przybrała obojętny wyraz twarzy. Wie, kiedy nie należy się odzywać, pomyślał Jason.

Czarna furgonetka usytuowała się na pozycji za nimi w odległości jednego samochodu. Kierowca najwyraźniej wiedział już, że jego obecność została odkryta.

Bourne sprawdził drogę przed sobą, nie spostrzegł jednak innego czarnego samochodu. Widział dwuosobowe sportowe wozy, autokar pełen Japończyków trzymających aparaty fotograficzne przy twarzach i sedany wiozące rodziny. Było też dużo najróżniejszych ciężarówek, ale żaden z tych pojazdów nie sprawiał wrażenia, że należy do bloku.

Próbował różnych szybkości i obserwował, jak zachowują się kierowcy przed nim, lecz nie dowiedział się niczego konkretnego. Za interesujące – i trochę niepokojące – uznał to, że choć furgonetka zdradziła swoją obecność, drugi samochód nadal się nie ujawnił. Zastanawiał się, co to mogło oznaczać, bo nie było zgodne z procedurą bloku, która przewidywała, że albo wszyscy się włączają, albo wszyscy znikają. Kiedy jeden z samochodów z bloku zostawał rozpoznany, zwykle oba wozy albo porzuciły śledzenie, albo zmniejszyły odległość.

Niespodziewanie czarna furgonetka wykonała ruch i znalazła się po ich lewej stronie. Bourne zjechał na środkowy pas, a w chwilę później furgonetka zrobiła to samo. Bourne pędził dalej, był już na prawym pasie, choć znalazł się teraz za ciężarówką. Jeśli czarna furgonetka nadal jechałaby za nim, zawsze mógł wyminąć ciężarówkę od lewej strony.

Mocno przyspieszając, furgonetka minęła telepiącego się sedana i podążała za nimi po prawym pasie. Bourne wypatrywał dziury w ruchu, żeby przeskoczyć na środkowy pas, ale kiedy obliczał swoje szanse, czarna furgonetka podjechała do niego z tyłu niebezpiecznie blisko. Jason zwiększył prędkość i dokładnie w tej samej chwili tylna kłapa ciężarówki opadła z hukiem, a jej krawędź zaczęła krzesać snopy iskier, gdy ciągnęła się po nawierzchni.

W chwili gdy to zobaczył, wszystko zrozumiał. Tylna kłapa była wyposażona w rampę.

Czarna furgonetka napierała delikatnie z tyłu, zmuszając go, by zbliżał się coraz bardziej do rampy i ziejącej pustką budy ciężarówki, drugiego samochodu bloku. Ci ludzie nie chcieli go śledzić, nie chcieli go zabić: zamierzali go schwytać, zamknąć i wyeliminować na stałe z pola walki.

• • •

Soraya, z trudem zachowując przytomność, mocno zaparła się obcasami o schody. Jednocześnie wygięła biodra w lewą stronę, żeby mieć lepsze możliwości manewru prawym łokciem, który wbiła w krtań Marchanda.

Mężczyzna cofnął się, tak zaszokowany, że puścił kabel i osłonił dłońmi bolące gardło. Soraya zerwała kabel z szyi prawą ręką. Kolanem walnęła Marchanda w krocze, aż zachłysnął się powietrzem i zgiął w pół. Szybko owinęła mu kabel wokół szyi i zacisnęła tak mocno, że upadł na kolana.

Charczał cicho, poruszał ustami jak ryba wyrzucona na brzeg. Podniósł na nią załzawione wytrzeszczone, nabiegłe krwią oczy. Spróbował odepchnąć ją prawą ręką, potem lewą, ale trzymała go w żelaznym uścisku.

Pochyliła się i przysunęła do niego twarz wykrzywioną w złowieszczym grymasie.

– A teraz, panie Marchand, powie mi pan wszystko, co chcę wiedzieć. Powie mi pan albo, na Allaha, odbiorę panu życie i duszę i zmienię je w proch.

Wpatrywał się w nią. Twarz mu obrzmiała, pociemniała od nabiegłej krwi. Łzy wywołane bólem ciekły po policzkach. Białka oczu miał niemal na wierzchu.

– Ak, ak, ak – wykrztusił, bo nie mógł się zdobyć na więcej.

Gdy odrobinę poluzowała kabel, rzucił się na nią, ale rąbnęła go czołem w grzbiet nosa. Krew obryzgała mu górną wargę, policzki i brodę.

– A teraz mów – zażądała. – Do kogo dzwoniłeś po naszym wyjściu?

Jego oczy stały się jeszcze większe.

– Skąd... skąd wiesz?

– Mów.

– Po co? I tak mnie zabijesz. – Głos miał bulgoczący, jakby mówił do niej spod wody.

– A dlaczego nie? Planowałeś moją śmierć – powiedziała. – Ale w odróżnieniu od ciebie mam w sobie coś w rodzaju litości. I z tej szansy powinieneś skorzystać.

Nagle zgarbił się i wzruszył ramionami.

– No to ci powiem. Jakie to ma znaczenie? I tak nie wyjdiesz stąd żywa.

Soraya miała go już dość. Najchętniej rozwaliliby go na kawałki. Ujęła palcami jego złamany nos i obróciła nim niczym przy odkręcaniu kranu. Nowe łzy popłynęły mu z oczu, zaczął dyszeć jak juczne zwierzę, które ma paść pod zbyt wielkim ciężarem. Dopiero wtedy poluzowała nieco kabel.

Spojrzała mu gniewnie w oczy.

– Pięć sekund, cztery, trzy...

Jego pięść trafiła ją w prawą pierś. Soraya zobaczyła gwiazdy i potykając się, cofnęła o krok. Niewiele brakowało, by spadła ze schodów. Wykorzystując swoją przewagę, Marchand skoczył na nią. Twarz miał purpurową, policzki pokryte plamami, sapał ciężko. Złapał ją,

popchnął do tyłu i próbował zrzucić ze schodów w ciemność panującą na dole.

Soraya z trudem łapała oddech i przeklinała samą siebie za brak wystarczającej czujności, a jednocześnie starała się odepchnąć jego ramiona i osłabić napór. Ale Marchand stał się żądny krwi.

Soraya zadawała ciosy, ale nie miała się o co oprzeć, dlatego siła jej uderzeń była minimalna. Pod powiekami widziała błyski światła, zaczynała mieć problem z myśleniem. Broniła się zawzięcie, lecz to zdawało się jedynie zagrzewać go do walki. Powoli i nieubłaganie pchał ją na poręcz, aż plecy wygięły się jej boleśnie.

Światła i cienie tańczyły spazmatycznie, upiornie, gdy żarówka bujała się w rytm jej coraz bardziej rozpaczliwych ruchów. Soraya wpatrywała się w szklaną bańkę przypominającą miniaturowe słońce zawieszona na końcu kabla. I wtedy zamrugła powiekami. Stała na palcach i czuła, że Marchand zbiera całą energię, by ostatecznie ją zepchnąć. Jej ramię wystrzeliło w górę. Chwyciła żarówkę za oprawkę i wbiła ją w lewe oko przeciwnika.

Francuz wrzasnął, gdy szkło pękło, wbijając mu się w gałkę oczną. Soraya, czując, że już na nią nie napiera, wcisnęła oprawkę głębiej.

Porażenie prądem odrzuciło ją w tył niczym gigantyczna ręka. Głęboko, nierówno wciągała powietrze, desperacko usiłując dostarczyć tlen do organizmu. Czuła się pusta w środku, poobijana.

Nagle dotarł do niej smród palącego się ciała. Zebrało się jej na wymioty. Stała prosto, jęcząc przy tym, bo bolał ją każdy mięsień torsu. Marchand klęczał. Ręce miał jak przyklejone do żarówki, która tkwiła w jego lewym oczodole. Kiedy wreszcie upadł, jego ciało nadal drgało spazmatycznie. Zwarcie elektryczne zatrzymało mu serce.

Rozdział 17

Zbliżająca się czarna furgonetka pilnowała tyłu samochodu Bourne'a, ciężarówka była gotowa na zgarnięcie ich od przodu. Półmetrowe pobocze po prawej stronie kończyło się metalową balustradą, za którą teren opadał niemal pionowo do gaju oliwnego, rosnącego na stoku. Po lewej stronie jechał mercedes kabriolet, którego kierowca, nieświadomy niczego, kiwał głową w takt muzyki płynącej z głośników. Nie było czasu do namysłu, Jason musiał polegać na doświadczeniu i odruchach wyrobionych przez lata treningu.

Przyspieszył, zmniejszając odległość pomiędzy sobą a rampą. Potem znalazł się na rampie, maska wynajętego samochodu uniosła się do góry.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?! – wrzasnął Vegas.

W połowie rampy Bourne skręcił mocno w lewo i jednocześnie docisnął pedał gazu do podłogi. Wóz zeskoczył z rampy. Przeleciał w powietrzu nad mercedesem, mijając głowę kierowcy o centymetry, zanim mężczyzna instynktownie się skulił. Roztrąbiły się klaksony, zapiszczały hamulce. Samochód wylądował tyłem na lewym pasie, ale Bourne szybko odzyskał nad nim kontrolę i popędził dalej. Z tyłu samochody wpadały na siebie w reakcji łańcuchowej, jego wóz jednak był już wolny i oddalał się od czarnej furgonetki i ciężarówki, które utknęły w powiększającym się chaosie karambolu.

– *Madre de Dios!* – krzyknął Vegas. – Czy ja jeszcze żyję?

Rosie puściła uchwyt przy drzwiach.

– Estevan tak naprawdę chciał ci podziękować.

– Tak naprawdę to muszę się napić czegoś mocniejszego – wymamrotał Vegas z tylnego siedzenia.

Dzień dobiegał końca, słońce, jeszcze żółte, ale już z pomarańczowym brzegiem, dotykało wzgórz na zachodzie, przypominając jajko sadzone. Zmierzch brał powoli w posiadanie gaje oliwne, nadając ich powykrzywianym gałęziom upiorny wygląd. Jechali na wschód, w kierunku ciemności nocy, ku niebu usianemu gwiazdami.

Atmosfera w samochodzie się zmieniła. Bourne był tego pewny, bo podpowiadał mu to szósty zmysł, wyczuwał to jak zbliżanie się zimy, spadek ciśnienia. Po ucieczce z bloku nastąpiła subtelna metamorfoza w zachowaniu jego współtowarzyszy. Miał wrażenie, że Vegas, kompetentny nafciarz, z dala od gór i swoich pól naftowych czuje się jak ryba wyjęta z wody. Tymczasem Rosie, w miarę jak oddalali się od Ibagué, rozkwitała niczym pąk na słońcu.

Bourne myślał o skomplikowanym bloku, który miał jednoznaczne piętno Domny. Domna go namierzyła. Czy to Jalal Essai im powiedział? Bourne tego nie wykluczał. Essai pozostawał dla niego zagadką.

Choć to, co powiedziała Rosie, było bolesne, nie mijało się z prawdą: uciekał od wszystkich i od wszystkiego. I rzecz jasna, wiadomo było dlaczego. Kiedyś bardzo zależało mu na garstce ludzi. A teraz oni wszyscy już nie żyli, poza Moirą i Sorayą. Niewykluczone, że niektórzy umarli przez niego. Nigdy więcej, krzyczał uporczywy głos w jego głowie. Nigdy

więcej. Jego nowa filozofia, która nim owładnęła, choć nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, była prosta: nie przestawać uciekać. Wiedział, że jeśli będzie uciekał, nikt go nie skrzywdzi. Ale druga strona medalu, efekt uboczny, który Rosie z taką wyrazistością mu przedstawiła, to brak jakichkolwiek uczuć. Czy to można nazwać życiem? Czy on w ogóle żył? A jeśli nie, jak można byłoby określić jego obecny stan?

Żeby oderwać się od tych myśli, spojrzał na Rosie.

– Dlaczego uciekałeś?

– Z typowych powodów.

Miała nawyk odpowiadania na pytania bardzo podobnie do niego, bo nie ujawniała istotnych informacji.

– Nie ma czegoś takiego jak typowe powody – odparował.

To ją rozśmieszyło, co z kolei go zaintrygowało. Śmiech był głęboki i szczery, dobywał się aż z jej brzucha. W takim śmiechu brakowało miejsca na fałsz.

– Rzeczywiście, masz rację.

Milczała przez chwilę. Bourne zerknął na Vegasa drzemiącego na tylnym siedzeniu. Wyglądał na wymizerowanego i zmęczonego, jakby całą odległość od Kordyliery do przedmieść Kadyksu pokonał na własnych nogach.

– Nie byłam grzeczną córeczką – powiedziała Rosie po jakimś czasie. Patrzyła w okno po swojej stronie. – Byłam, jak to nazywacie, czarną owcą. Cokolwiek zrobiłam, ludzie wokoło strasznie się złościli.

– Twoja rodzina.

– Nie tylko rodzina. Przyjaciół też to dotykało. To jedna z rzeczy, których rodzina nie mogła mi wybaczyć.

Jechali w milczeniu, wiatr zawodził i jęczał w samochodzie.

Rosie odgarnęła włosy, odsłaniając niewielki tatuaż w uchu.

– Widzę, że masz przy sobie węża przez cały czas – odezwał się Bourne. Wąż był w pomarańczowo-czarne pasy.

Dotknęła różowego płątka ucha.

– To wąż koralowy.

– Wygląda mitycznie. Czy zije ogniem?

– Ha! Nie słyszałam jeszcze o stworzeniach ziejących ogniem.

– Bo nie poznałaś Rosjan, których ja znam.

Ponownie zaniósła się śmiechem, aż wypełnił samochód niczym perfumy.

Bourne wahał się tylko przez moment.

– Ale spotkałaś jakichś złych ludzi.

Wiatr wyszarpnął jej włosy zza ucha, przesłaniając węża.

– Bardzo złych, o tak. – Zanim zdążył wejść jej w słowo, spytała: – Dlaczego uciekasz?

– Wkurzyłem kilku bardzo wpływowych gości. Mieli swoje plany, a ja im je pokrzyżowałem.

Rosie spojrzała szybko ponad ramieniem na Vegasa.

– Jeśli to Domna, to dobrze robisz.

Jej słowa wywołały krzywy uśmiech na twarzy Jasona.

– Co wiesz o powiązaniach Estevana z nimi?

Rosie zawahała się, rozważając prawdopodobnie, czy odpowiadając, nadużyje zaufania Estevana. Potem powiedziała:

– Jego zaangażowanie nie było dobrowolne, tyle mogę ci zdradzić.

– Jaką pułapkę na niego zastawili?

– Córkę.

– Myślałem, że uciekła z jakimś przystojnym Brazylijczykiem?

– A od kogo to wiesz? Od Suareza? – Ponieważ milczał, Rosie wzruszyła ramionami i mówiła dalej ponuro: – To bajka, na którą Estevan się zdecydował. Ma sens, brzmi prawdopodobnie. Ale tak naprawdę Domna ją porwała. Nie mam pojęcia, gdzie ona jest. Estevan dostaje co tydzień zdjęcie, na którym córka trzyma gazetę z datą, by wiedział, że żyje.

– Ale Estevan się zbuntował – stwierdził.

Przeczesała palcami włosy.

– Essai powiedział mu, że Domna nie ma jego córki. Porwali ją, ale zaraz potem im uciekła. Nikt nie wie, jak zdołała się uwolnić ani gdzie teraz może być. Estevan dowiedział się od Essaia tylko tyle, że dwóch mężczyzn, którzy ją porwali, znaleziono martwych, mieli podcięte gardła. Reszta pozostaje zupełną tajemnicą.

– A zdjęcie, które przysyłają mu co tydzień?

– Obrobione w photoshopie. Na pewno wykorzystują dziewczynę o jej budowie, a potem doklejają głowę. – Wzruszyła ramionami. – Makabra.

– Przypuszczam, że nigdy nie odezwała się do ojca.

– Ani słowem.

Zjechał z autostrady na drogę prowadzącą do Kadyksu.

– Już niedaleko.

– Dzięki Bogu – mruknęła Rosie.

– Ktoś musiał jej pomagać – odezwał się w zamyśleniu.

– Bardzo dużo o tym rozmawialiśmy z Estevanem. – Ponownie wzruszyła ramionami. – Bo dobrze mu to robiło. Bourne widział już przed sobą miasto, niczym błyszczącą kulę z polerowanego brązu. Opuścił szybę do końca i wciągnął w płuca mocny zapach morza.

– Jak dużo Estevan wie o Domnie? – zapytał. Pamiętał Essaia mówiącego mu, że nawet jeśli Estevan nie zna nowego planu Domny, to na pewno wie, kto ten plan zna.

Rosie poruszyła się na fotelu.

– Sam fakt, że został zmuszony do pracy dla nich, powinien ci wszystko powiedzieć.

– Był tylko trybikiem w maszynie.

– Wszyscy poza zarządem są jak trybiki. Tak jest bezpieczniej. Estevan świadczył im bezcenne usługi.

– To znaczy?

– Wieże wiertnicze pracują na okrągło, części się zużywają, zapychają się, pękają. Nowe elementy są zamawiane praktycznie cały czas, stare odsyła się do producentów, sam rozumiesz.

Rozumiał.

– Co takiego Estevan przemyślał dla nich z i do Kolumbii?

Rosie wzruszyła ramionami.

– Narkotyki, broń... z tego, co wiem, ludzi. Prawdę mówiąc, to mogło być wszystko.

- Estevan nigdy ci tego nie mówił?
- Nigdy nie wiedział. Zapieczętowane skrzynie pojawiały się i znikaly. Oznakowane w określony sposób. Nie wolno było mu ich otwierać. Był jedynie kolejnym kanałem.
- Ciekawość to część ludzkiej natury. Nigdy nawet nie zajrzał?
- Były zapieczętowane specyficzną metodą. W każdym razie, nawet jeżeli jakoś to odkrył, nigdy o tym nie wspomniał.
- Trzymałby coś takiego w tajemnicy przed tobą?
- Jak sam widziałeś, Estevan jest wobec mnie wyjątkowo opiekuńczy. Wolałby umrzeć, niż narazić mnie na niebezpieczeństwo.

Kiedy odpowiedź nic nie wyjaśnia? – westchnął w duchu Bourne. Gdy odpowiada Rosie.

Znaleźli się już na ulicach starego Kadyksu, oblanych światłem, z ostrymi cieniami w zaułkach. Zewsząd otaczała ich filigranowa architektura północnej Afryki. Było tak, jakby znaleźli się w innym świecie, zawieszonym nad oceanem, balansującym między Wschodem a Zachodem, należącym do obu i nienależącym do żadnego.

Światło dnia ustępowało ciemności. W powietrzu unosił się intensywny zapach burzy. Noc powoli brała miasto w posiadanie.

Jechali krętymi uliczkami, dochodziły ich nawoływania ulicznych handlarzy, po hiszpańsku i arabsku, oddychali historią.

• • •

- Kiedy nauczyłeś się pływać tym czymś? – zapytał Etana, siadając na ławce żaglówki.
- Jestem pełen niespodzianek – odpowiedział Essai. – Nawet dla człowieka takiego jak ty.
- Człowieka, który został przysłany, żeby cię zabić.

Essai się roześmiał.

- Nie ukrywasz swoich planów.

Kiedy spotkali się w kawiarni wczesnym rankiem, wypili razem kawę. Rozmawiali o domu, o niczym szczególnym. Poszli potem na długi spacer, ale nawet wtedy nie padło między nimi żadne słowo, które mogłoby mieć jakieś skutki. Tak to chcieli przeprowadzić i tak musiało być. Ich związek był tak głęboko zakonspirowany, zawoalowany i pod tak szczelną przykrywką, że często mieli problem ze zwykłym komunikowaniem się jak ludzie.

Jalal już wcześniej zarezerwował żaglówkę w wypożyczalni. Wypłynęli tuż po lunchu, kiedy świat Kadyksu nadal paraliżowała sjesta. Wszystkie pozostałe łodzie wyszły w morze o świcie, mieli więc pewność, że nie wrócą aż do późnego popołudnia. Nikt ich nie widział poza agentem wypożyczającym łódź, ale on interesował się jedynie euro trafiającymi do jego chciwych łap.

Dzień był pogodny, tylko kilka chmur przesunęło się wysoko po niebie, słońce świeciło mocno, woda była płaska jak szkło. Mimo to powiewał wiatr, a Essai manewrował niewielką żaglówką ze znanostwem, bez wysiłku, jakby się urodził na wodzie. Kadyks zostawał w dali, saraceńska masywna szabla z rękojeścią inkrustowaną klejnotami pobłyskującymi w słońcu.

Dopiero gdy słońce się obniżyło, a niebo na zachodzie zmieniło w paletę jarmarcznych kolorów, zaczęli prawdziwą rozmowę.

- El-Arian nadal myśli, że mnie nienawidzisz? – zapytał Essai.

– Bardziej niż kiedykolwiek. – Promienie słońca złociły głowę Etany, ale gęsta broda pochłaniała światło. – Chciałem załatwić Bourne’a, jednak Benjamin przydzielił mi ciebie.

– Ten przebiegły bydlak zwerbował Wiktora Czerkiesowa. Czerkiesow ma w garści Borisa Karpowa, a tylko jemu może się to udać.

Z miejsca w kokpicie Etana patrzył w dół na wodę, kobaltową z pasmami oranżu, przecinanymi atramentową czernią.

– Wątpię, żeby to był jedyny powód zwerbowania Czerkiesowa.

Essai przestał sprawdzać kierunek wiatru, z jedną ręką na kole sterowym.

– Naprawdę?

Etana zebrał się w sobie, łokcie oparł o żylaste i umięśnione uda.

– Pierwszym zadaniem Czerkiesowa wcale nie było spotkanie z Karpowem. El-Arian wysłał go do Meczetu.

Jalal poczuł zimny dreszcz na plecach. Światło migotało mu przed oczami, zmieniając kolor ze złocistego w granatowy.

– Do Meczetu w Monachium?

– Tego samego.

– Ale po co?

Etana westchnął.

– Żeby to wiedzieć, musiałbym być czarownikiem.

– Posłał byłego dyrektora rosyjskiej FSB do Meczetu? – Essai kręcił głową. – El-Arian musi być szaleńcem.

Etana podniósł wzrok na towarzysza.

– Musimy znaleźć lepsze wyjaśnienie, i to szybko.

– A co z planem? – Jalal nie chciał myśleć o Meczecie. Meczet i ludzie, którzy teraz nim kierowali, byli powodem nienawiści płonącej w nim żywym ogniem.

– El-Arian zapoznał z nim dyrektorów na krótko przed moim wyjazdem z Paryża, ale rzecz jasna, nie brałem udziału w tym spotkaniu. Nikt nie puścił pary z ust.

– Bo też i nie spodziewałbym się tego po nich.

Wiatr się zmienił, żagle zaczęły trzepotać niczym flaga. Essai szybko wstał, poprawił ich napięcie i wrócił do kokpitu. Płynęli prawym halsem.

– Uważaj – powiedział.

Bom z trzaskiem przesunął się obok nich.

Essai trzymał kurs z wiatrem, który wydymał żagle przypominające teraz policzki grubasa. Mknęli po wodzie mniej więcej równoległe do linii brzegu.

Etana złożył w daszek brązowe palce, smukłe jak u pianisty.

– Muszę przyznać, że miałeś rację, Jalalu. Nie ma wątpliwości, że wpływ Meczetu na Domnę staje się z każdym dniem coraz większy.

– To robota Abdul-Qahhara – skomentował Essai z goryczą. – Sługus Szatana, w rzeczy samej!

– Ale jakim cudem El-Arian znalazł się pod ich kontrolą?

Essai utrzymywał stały kurs łodzi.

– Trzeba by się cofnąć o wiele dziesięcioleci, do człowieka o imieniu Norén, tajnego agenta, który przeniknął do Domny. Bractwo ciągle potrzebuje kogoś do mokrej roboty, więc

wykorzystywali Noréna. Był jak duch... duch, na którym można polegać, co jest najważniejsze. Niemniej przez cały czas, gdy wypełniał polecenia Domny, kompletował listy nazwisk, dat, faktów i liczb.

– Żeby ich użyć przeciwko Domnie.

– I zostały użyte. Straciliśmy dwudziestu jeden tajnych agentów w trzy tygodnie.

– Ale dla kogo pracował?

– Tego nikt nie wie, choć wiele osób z samej Domny i przez nią kontrolowanych usiłowało to ustalić. – Essai skręcił na zachód, gdzie zbierały się burzowe chmury. Podmuchy wiatru stawały się silniejsze, woda się marszczyła. Dlatego obrócił kołem i skierował łódź ku brzegowi. – Norén został zabity.

– Jak?

– Jedno ze zleceń go przerosło.

Etana odchrząknął.

– Kim był cel?

Essai manewrował żaglówką tak, żeby płynęła przed wiatrem, dziób rozcinał wodę, przy każdej fali opryskiwała ich piana.

– Zastrzelił go mężczyzna o nazwisku Alexander Conklin. – Jalal popatrzył na kompana. – Słyszałeś o nim?

Etana pokręcił głową.

Essai zerkał jednym okiem na nadciągającą burzę.

– Conklin był szefem Treadstone. Właściwie to on je stworzył. Jedną z pierwszych misji Treadstone była likwidacja wierchuszki Domny. Dlatego Conklin stał się celem.

– A po Norénie?

– Sam pomysł wyeliminowania Conklina stał się zbyt ryzykowny – odpowiedział Essai. Znajdowali się już blisko brzegu, silny wiatr pchał ich szybko do przodu, dlatego musiał halsować, żeby zwolnić. – Przejmij ster i trzymaj go w stałej pozycji – poprosił po chwili.

Zostawiając Etanę przy kole sterowym, Essai wyszedł z kokpitu, poszedł zrefować kliwer, żeby jeszcze bardziej zmniejszyć prędkość. Czuł na twarzy wilgotny powiew burzy, choć jeszcze się nie rozpętała.

Kiedy wrócił do kokpitu, ponownie stanął za kołem.

– Domna wystraszyła się Conklina i Treadstone – oświadczył. – Wtedy właśnie El-Arian skumał się z Abdul-Qahharem.

– Bez uprzedniej zgody innych dyrektorów?

– Jak to El-Arian. Podejrzewam, że jego i Abdul-Qahhara coś łączyło, gdy byli młodzi, choć do tej pory nie udało mi się ustalić żadnych konkretów.

– To by miało sens.

– Jedno jest jasne: atak ze strony Treadstone był dla El-Ariana wymówką, której potrzebował, żeby sprzymierzyć Domnę z Meczetem. – Jalal pokręcił głową. – Ten rodzaj wpływów arabskich stoi w sprzeczności z modelem współpracy Wschodu z Zachodem, jaki wypracowała Domna. Dla Domny to był przełomowy moment, wtedy wszystko się zmieniło.

Etana siedział nieruchomo, trzymał się kurczowo ławki, stał się chorobliwie zielony na twarzy. Essai tego nie skomentował z szacunku, jaki do niego żywił, i wkrótce zrefował żagiel główny i wpłynęli do portu. Rzucił cumę agentowi wypożyczającemu łódzie.

– Zaczynałem się niepokoić – mruknął mężczyzna, gdy wolno przyciągał łódź. – Szykuje się paskudny sztorm.

– Nie trzeba było się o nas martwić – odpowiedział Essai.

– Naprawdę nie trzeba było.

• • •

– Tylko mi teraz nie zemdlej! – krzyknął Tyrone Elkins.

Peter Marks mocno obejmował Elkinsa ramionami w pasie, jechał na motorze, słaby i kołowaty. Ciało mu płonęło, tracił i odzyskiwał przytomność niczym wyczerpany pływak na fali. Znowu miał wrażenie, że tonie. Mętnie usiłował dociec, skąd to się brało.

– To ty śmiejesz się tam z tyłu?! – Tyrone przekrzykiwał wiatr.

– Może! – odkrzyknął Peter. – Nie wiem! – Oparł policzek o plecy skórzanej kurtki Elkinsa. Zastanawiał się, od kiedy agentom CI wolno nosić skórzane kurtki. Zaraz potem ta myśl się urwała, a on pogrążył się w czarnej otchłani, która otwarła się w jego umyśle.

– Żadnego szpitala – powiedział jeszcze.

– Załapałem za pierwszym razem, szefie.

Peter poczuł ogarniające go zaniepokojenie. Nie miał pojęcia, kto chciał go dorwać i jakie miejsca ten ktoś obserwował. I czekał.

– Proszę.

– Nie ma strachu, szefie – zapewnił Tyrone. – Wiem, dokąd jechać.

– Do bezpiecznego miejsca – wymamrotał Peter.

– Błagam – powiedział Tyrone. – Nie nudź, do kurwy nędzy.

• • •

Siedem minut później dotarli do domu Derona w północno-wschodniej części Waszyngtonu. Tyrone złamał po drodze wszelkie istniejące przepisy drogowe. Wychowany w afroamerykańskim getcie nigdy nie przejmował się prawem drogowym, a teraz, gdy pracował w Centrali Wywiadu, tym bardziej nie przywiązywał do niego wagi. Jakikolwiek gliniarz na tyle głupi, żeby go zatrzymać, patrzył na jego wypasioną legitymację agenta i wycofywał się szybciej niż szczur przed kotem.

Wcześniej tego dnia Tyrone pracował dla Derona, wysokiego przystojnego czarnego mężczyzny, wykształconego w Wielkiej Brytanii i mówiącego ze świetnym akcentem, zapewniającym mu dogodną pozycję w oczach międzynarodowej klienteli, na którą składali się podejrzani marszandzi sztuki, handlujący doskonałymi fałszywkami Derona. To Deron był autorem wszystkich podrobionych dokumentów Jasona Bourne'a, jak również części jego uzbrojenia. To z powodu przyjaciółki Bourne'a, Sorai Moore, Tyrone zdecydował się wysłuchać rady Derona, zerwał z bandytyzmem, złożył podanie i skończył szkolenie, żeby pracować w CI. W życiu nie tyrał tak ciężko, ale nagroda okazała się tego warta pod każdym względem.

– Co się, do cholery, stało? – zapytał Deron, gdy pomagał Tyrone'owi wnieść Petera do domu.

– Wpadł do pierdolonej maszynki do mielenia mięsa, to się stało.

Peter majaczył, wykrzykiwał coś o tym, że musi zadzwonić, groził i dorzucał niejasne słowa.

– Rozumiesz w ogóle, o co mu chodzi? – dążył Deron.

Tyrone pokręcił głową.

– Cholera, nie. Przez całą drogę powtarzał tylko, żebym nie zawoził go do szpitala.

– Hm, Jason też nie chciałby tam trafić.

Tyrone pomógł byłemu mentorowi położyć Petera na sofie.

– Szczegóły – zażądał fałszerz.

Agent opowiedział mu o scenie przy karetce pogotowia, zastrzelonych mężczyznach, kierowcy okładającym Petera.

– I od razu go tu przywiozłem – podsumował i podał Deronowi glocka, którego podniósł z rynsztoka, zanim posadził Petera na motor.

– Mam nadzieję, że nie byłeś nadgorliwy.

– Zrobiłem tylko to, co było konieczne – odpowiedział Tyrone.

Fałszerz skinął głową, wyraźnie zadowolony. Włożył ostrożnie glocka do plastikowej torebki, a potem obejrzał uważnie pokiereszowane ciało Petera.

– Znasz go?

– Aha. To kumpel Sorai, Peter Marks. Pracował z nią kiedyś w Typhonie, zanim ją wywalili.

Deron poszedł po bardzo dobrze zaopatrzoną apteczkę pierwszej pomocy.

– Zadzwonić do niego, zadzwonić do niego... – jęczał cicho Peter.

Tyrone pochylił się nad nim.

– Do kogo, Peter? Do kogo chcesz dzwonić?

Peter majaczył, bełkotliwe słowa wydobywały się z jego zakrwawionych ust.

– Przytrzymaj go, żeby sam nie zrobił sobie krzywdy – powiedział Deron.

– Ten tutaj, Peter, odszedł z Centrali Wywiadu – mówił dalej Tyrone. – Nie mam pojęcia, co kombinował od tamtej pory, ale kiedy widzę go w takim stanie, mam pewność, że to kurewsko niezdrowe zajęcie.

Deron wrócił, uklęknął obok Marksa i otworzył walizeczkę.

– Synu, musisz poważnie popracować nad swoim angielskim.

– Bo co?

Deron zaśmiał się krótko.

– Nieważne. Później zajmiemy się twoją wymową. – Zrobił Peterowi zastrzyk.

– Nie, nie! – krzyknął Peter, oczy miał rozbiegane. – Muszę zadzwonić, muszę mu powiedzieć... – Ale wtedy środek znieczulający zaczął działać i pogrążył go w nieświadomości.

Deron rozpiął mu koszulę, lepką od krwi. W piersi Petera tkwiło mnóstwo kawałków szkła i metalowych odłamków.

– W tej chwili, Tyrone, musimy zaopiekować się tym człowiekiem, bo jest w naprawdę oplakanym stanie.

• • •

Soraya usłyszała odgłos kroków. Odwróciła się, przykucnięta, gotowa się bronić. Ale to był Amun wbiegający po schodach w półmroku.

– Nic ci nie jest?! – zawołał.

Skinęła głową, niezdolna w tej chwili do sensownej odpowiedzi. Nadal dochodziła do siebie po drugim ataku Marchanda, piersi bolały ją jak diabli. Facet robił wrażenie klasycznego mola książkowego, nigdy by nie pomyślała, że stać go na taką brutalność. Dzięki temu nauczyła się ważnej lekcji.

– To ten skurwiel Marchand? – zapytał Amun, przeskakując po dwa stopnie.

Ponownie skinęła głową.

– Trup. – Tylko to jedno słowo była w stanie z siebie wydusić.

– Więc nic tu po nas. Tam na dole też wszyscy nie żyją. Co za paskudne gniazdo zmij. Powinniśmy...

Jego głowa eksplodowała, runął w jej ramiona. Soraya krzyknęła i zatoczyła się do tyłu. Był strasznie ciężki i bezwładny. Spozrzegła poruszający się cień, kątem oka zarejestrowała czerwoną koszulkę polo. Mężczyzna z dalekiego końca ulicy! A potem błysk metalu. Następna kula odbiła się od poręczy schodów, a Soraya pod ciężarem ciała Amuna przewróciła się do tyłu i spadła w ciemność.

Padły dwa kolejne strzały. I jeszcze jeden, głośny jak salwa armatnia.

A potem nic, nawet echa.

Rozdział 18

– Czekaaj! – powiedział Boris. – Zatrzymaj się!

Mimo ulewnego deszczu Lana Lang jechała bardzo szybko ulicą równoległą do zachodniej ściany meczetu. W chwili, gdy z piskiem opon skręcili w ciemną ponurą przecznicę, włosy na karku Borisa zaczęły się podnosić, a on sam poczuł nieprzyjemne gniesienie w żołądku.

– Stań! – krzyknął. – Cofnij się!

– Po co? Jesteśmy prawie na miejscu.

Pochylił się, chwycił drążek biegów i zaczął nim chaotycznie szarpać.

– Co ty wyrabiasz, do cholery?! – wrzasnęła Lana.

– Odjeżdżamy stąd na wstecznym!

– Przestań. – Zaczęła się z nim siłować. – Rozwalisz tę cholerną skrzynię biegów.

– To sama się tym zajmij – nie ustępował. – Wciśnij pierdolone...

Grad kul przebił przednią szybę, trafił Lanę Lang w twarz, sprawił, że podskakiwała jak marionetka. Boris zsunął się z siedzenia, docisnął sprzęgło jedną ręką, drugą zaś przycisnął stopę Lany do pedału gazu i ruszył na wstecznym.

Deszcz bębnił o dach, samochód wył i hurgotał jak potępiona dusza, szorując bokiem o ceglana ścianę. Rozległ się trzask, a zaraz potem głośny wizg zdzieranej karoserii, posypały się iskry. Drzwi od strony pasażera zaczęły zapadać się do środka, uderzyły Borisa w prawy bok. Wylądował na kolanach Lany. Pas utrzymywał jej martwe ciało w pozycji siedzącej. Krew obryzgała wszystko. Całe jej fontanny, kałuże, strugi płynęły przez pochylony samochód.

Jeszcze więcej kul, które roztrzaskały przednie reflektory i błotniki. Karpowowi udało się złapać kierownicę i zapanować nad samochodem. Wóz wyskoczył na ulicę niczym strumień światła.

Pisk hamulców, apokaliptyczny ryk klaksonów, wrzaski strachu i złości. Kanonada ustała, a Boris odważył się spojrzeć ponad pokierszowaną deską rozdzielczą. Opel stał w poprzek jezdni, zupełnie ją blokując. Trup Lany uniemożliwił zajęcie miejsca za kierownicą.

W tej samej chwili rozległ się buczonek, niski i donośny. Spojrzał w drugą stronę i zobaczył ogromną ciężarówkę chłodnię nacierającą na niego. Jechała zbyt szybko – Boris wiedział, że przy tak złej pogodzie zaszokowany kierowca nie zdoła zahamować w porę.

Odwrócił się i spróbował otworzyć drzwi, ale okazały się zupełnie zaklinowane. Żadne szarpanie ani walenie nie było w stanie ich ruszyć. Zresztą i tak było za późno. Z rykiem i piskiem rannego zwierzęcia ciężarówka wpadła na niego.

• • •

– Mamy wobec ciebie ogromny dług – powiedział don Fernando Herrera. – Oddałeś nam wielką przysługę.

– Więc teraz chciałbym dostać zapłatę – odparł Bourne. – Nie jestem altruistą.

– Och, mylisz się, Jasonie. – Don Fernando skrzyżował nogi w eleganckich spodniach,

otworzył piękne, zdobione pudełko z cygarami, zaproponował Bourne'owi robusto, ale on odmówił. Don Fernando wyjął jedno cygaro i przystąpił do rozbudowanego rytuału przycinania go i zapalania. – Jesteś jednym z ostatnich prawdziwych altruistów na świecie. – Wypuścił z ust kłęb dymu, rozpalając cygaro. – Moim zdaniem to najlepiej cię definiuje.

Obaj mężczyźni siedzieli w przestronnym i funkcjonalnym salonie don Fernanda. Vegas leżał w łóżku w jednej z sypialni. Hiszpan doradził mu, żeby wziął lekki środek uspokajający. Rosie z kolei zniknęła w łazience dla gości, mówiąc, że rozpaczliwie potrzebuje długiego i gorącego prysznica.

Właśnie dlatego byli sami, Bourne i jego gospodarz. Poznali się w czasie pierwszego pobytu Jasona w Sewilli. Przekomarzali się wtedy zawzięcie, dorównując sobie poczuciem humoru. Później spotkali w smutniejszych okolicznościach w Londynie po tragicznej śmierci syna starszego pana.

– Chciałbym mieć pół godziny sam na sam z Jalalem Essaiem – powiedział Bourne.

Uśmiech rozciągnął usta don Fernanda, który pochylił się do przodu.

– Jeszcze sherry? – Dopełnił kieliszek Bourne'a stojący obok talerza z szynką z Serrano, różową i apetyczną, i hojnie ukrojonymi kawałkami sera manchego.

Bourne wyprostował plecy.

– A tak w ogóle, gdzie jest Essai?

Don Fernando wzruszył ramionami.

– Wiem tyle samo co ty.

– No to może zaczniemy od ciebie. Dlaczego się z nim przyjaźnisz?

– Nie przyjaźnię. Jesteśmy partnerami w interesach. Jest środkiem do celu i niczym więcej.

– A te cele to...?

– Załatwia dla mnie pieniądze. Nie narkotyki.

– Niewolników?

Don Fernando się przeżegnał.

– Niech Bóg broni.

– Jest kłamcą – oświadczył Bourne.

– To prawda. – Don Fernando poważnie pokiwał głową. – Nie potrafi inaczej działać. To patologiczne.

Bourne wychylił się do przodu.

– Tak naprawdę chciałbym wiedzieć, don Fernando, jaka jest natura twoich związków z Domną.

– To również środek prowadzący do celu. Ci ludzie potrafią być czasami bardzo użyteczni.

– Osaczą cię, jeśli jeszcze tego nie zrobili.

Uśmiech gospodarza był pełen pobłażliwości.

– Teraz mnie nie doceniasz, młody przyjacielu. Gdyby ktoś inny to powiedział, czułbym się obrażony... – Machnął ręką, odtrącając tę myśl. – W rzeczywistości od chwili, gdy skumali się z Meczetem Abdul-Qahhara z Monachium, czułem, że muszę mieć na nich oko.

Wyraz twarzy Bourne'a sprawił, że się roześmiał.

– Widzę, że cię zaskoczyłem. To dobrze. Musisz się nauczyć, przyjacielu, że nie zjadłeś wszystkich rozumów.

•••

Weszła pod prysznic i do razu otoczyły ją kłęby pary. Obracała się powoli. Woda spadała jej kaskadami na ramiona, plecy, piersi i płaski brzuch. Rosie zamknęła oczy i pozwalała, by gorąco rozluźniło jej mięśnie. Uniosła ramiona i przeczesła palcami włosy, zgarniając je do tyłu. Podniosła twarz ku sitku prysznica, woda obmywała jej powieki, nos, policzki. Powoli przechylała głowę z jednej strony na drugą, strumienie masowały jej skórę. Woda wpadała do uszu, wywołując huczący dźwięk, który kojarzył się jej z falami, ogromem morza i na chwilę poddała się wrażeniu opadania w bezkresną otchłań.

Gorąca woda dotarła do niewielkiego tatuażu na uchu, krople odbijały się od niego, kolory zaczęły stopniowo blednąć i spływać, wąz wyglądał, jakby się rozwijał, gdy rozpuszczał się i spływał po jej szyi jak łzy, by zniknąć w wirze odpływu.

•••

Don Fernando patrzył w zamyśleniu na żar cygara.

– To wszystko zaczęło się od Benjamin El-Ariana, prawda? – zapytał Bourne.

Deszcz rozpadał się w końcu, ulewny i tropikalny w swej zawziętości. Dudnił o szyby okien, chłostał liście palm w atrium. Podmuchy wiatru wprawiały w klekot obłuzowane dachówki.

Starzec wstał, rozprostowując ciało niczym origami, i podszedł do przeszkłonych drzwi prowadzących do atrium. Spoglądał przez nie, trzymając jedną rękę przy skroni.

– Chciałbym, żeby było to takie proste – odpowiedział ostatecznie. – Zwyczajny złoczyńca, jasny cel, tak, Jasonie? Wszyscy tego pragniemy, bo to pozwala uniknąć komplikacji. Ale obaj wiemy, że życie rzadko daje nam dość czasu, byśmy wszystko załatwili gładko i do końca. Kiedy chodzi o organizację taką jak Severus Domna, nic nie jest proste.

Bourne również wstał, podszedł do don Fernanda i stanął obok niego. Deszcz zalewał szyby, bębnił o kocie łby na dziedzińcu. Strugi wody wypływały z miedzianych rynien, zalewały trawę i kwiatowe rabaty. Ziemia stała się czarna jak smoła.

Hiszpan westchnął ciężko. Między dwoma palcami trzymał cygaro, o którym zupełnie zapomniał.

– Nie, boję się, że jest w tym jakaś pokrętna logika. Posłuchaj, Jasonie, to wszystko zaczęło się od jednego człowieka, Christiena Noréna.

Don Fernando odwrócił się i wpatrywał w twarz Bourne'a, jakby spodziewał się, że to nazwisko wywoła jakąś jego reakcję.

– Nie pamiętasz, prawda?

– Nie pamiętam nawet, żebym kiedykolwiek słyszał to nazwisko. Opowiedz mi o nim.

– Nie ja powinienem to zrobić. – Herrera położył dłoń na ramieniu Bourne'a. – O to musisz zapytać kobietę Estevana.

– Nie nazywa się Rosie, mam rację? – zapytał Bourne.

Don Fernando włożył cygaro w usta, ale żar dawno już zgasł.

– Idź i znajdź ją, Jasonie.

•••

Rosie wyszła spod prysznicza czysta i zaróżowiona, owinęła się puszystym ręcznikiem kąpielowym, a potem z mniejszego zrobiła turban na włosy. Starła dłonią parę z lustra, pochyliła się nad umywalką, ściągnęła prowizoryczny turban i zapatrzyła się w swoje odbicie.

Jej włosy znowu miały naturalny płowy kolor, ostatnie krople farby spłynęły do ścieku. Trzymając nieruchomo głowę, wyjęła soczewkę kontaktową z prawego oka. I oto miała jedno oko ciemnobrązowe jak kawa, a drugie błękitnoniebieskie, z jakim się urodziła. Jedna jej połowa należała do jednego świata, druga do drugiego. Otworzyła drzwiczki z lustrem i znalazła w szafce to, o co prosiła: obcinacz do paznokci, pilniczek, spory wybór kosmetyków do peelingu i nawilżania twarzy. Wyjęła wszystko, czego potrzebowała.

Bourne zastał ją przy tym, gdy otworzył drzwi do łazienki. Rosie patrzyła w swoje odbicie w lustrze.

– Nie pukasz?

– Chyba zasłużyłem na prawo wchodzenia bez zapowiedzi – rzucił.

Powoli odwróciła się przodem do niego.

– Kiedy się domyśliłeś?

– W samochodzie – odparł Bourne. – Nigdy nie patrzyłaś mi prosto w oczy. A potem, kiedy odwróciłaś głowę, żeby zerknąć na Estevana, zauważyłem brzeg soczewki kontaktowej.

– I nic nie powiedziałaś?

– Chciałem zobaczyć, jak się to skończy.

Pochyliła głowę, wyjęła soczewkę z lewego oka i wyrzuciła do kosza na śmieci pod umywalką.

– To twój prawdziwy kolor czy kolejna farba do włosów? – zapytał Bourne.

– To znowu ja.

Podszedł bliżej. Najwyraźniej w ogóle się go nie bała.

– Niezupełnie. Chociaż wytatuowany wąż zniknął, nadal masz nos prawdziwej Kolumbijki.

– Przyjrzał się jej uważniej. – Operacja była prawdziwym majstersztykiem.

– Potrzebne były trzy oddzielne zabiegi, żeby dobrze wyglądał.

– To strasznie dużo zachodu, żeby uchodzić za naturalną Kolumbijkę.

– Ukrywając się za pozorami, jak mawiał mój ojciec, ukrywasz się zupełnie.

– Co do tego, miał rację. Twój ojciec. Christien Norén, nie mylę się?

Oczy Rosie stały się duże jak spodki.

– Czyli don Fernando ci powiedział.

– Chyba uznał, że już nadszedł czas.

Pokiwała głową.

– Bo chyba tak jest.

– W takim razie to ty jesteś ważna dla don Fernanda i Essaia, nie Estevan.

– Tak. To mnie chcieli dorwać tamci ludzie na autostradzie.

– Kim są?

– Powiedziałaś ci, że uciekłam.

– Mówiłaś, że od rodziny.

– Pod pewnym względem to prawda. To dla tych ludzi pracował mój ojciec.

Bourne stał blisko niej. Pachniała lawendowym mydłem i cytrusowym szamponem.

– Jak mam cię nazywać?

Posłała mu enigmatyczny uśmiech. Zbliżyła do niego na tyle, że dzieliła ich zaledwie szerokość ręki.

– Urodziłam się jako Kaja Norén. Ojciec miał na imię Christien, a matka Viveka. Oboje nie żyją.

– Współczuję.

– Miło z twojej strony.

Kaja położyła mu jedną rękę na policzku i pogłaskała delikatnie, a trzymanym w drugiej dłoni pilniczkiem do paznokci przebiła mu warstwę skóry i mięśni.

Księga trzecia

Rozdział 19

Ściskając but na wysokim obcasie, zerwany ze stopy Lany Lang, Boris zaatakował podziurawioną kulami przednią szybę w tej samej chwili, gdy ciężarówka wbiła się w samochód. Poduszki powietrzne z przodu i z boków wypełniły się, chroniąc go przed wywichnięciem ramienia. Mimo to niewiele brakowało, by stracił przytomność. Pozbierał się jakoś i zaczął walić w szybę obcasem niczym młotkiem.

Kierowca ciężarówka wcisnął hamulec, ale droga hamowania dwutonowego pojazdu była za długa. Ciężarówka pchała przed sobą opla. Klocki hamulcowe zaczęły dymić, coś odpadło od podwozia i szorowało o moką nawierzchnię, aż iskry tryskały na boki.

Zasłaniając twarz ramionami, Boris wyskoczył przez dokumentnie rozbitą przednią szybę. W uszach miał kawałki hartowanego szkła. Samochód trząśł się pod nim jak ranny jeleń. Boris przetoczył się po masce, a potem spadł niezdarnie na jezdnię. Krótka fala bólu przeszła mu stopę i powędrowała w górę. Zalewały go strugi deszczu, przemaczając od razu do suchej nitki. Samochód i ciężarówka, tworzące teraz groteskową całość, sunęły dalej, obracając się z mozołem. Przegrzana, powyginana blacha zawodziła przeciągle. Hamulce ciężarówka unieruchomiły koła, ale jej masa parła naprzód niczym planeta wyrzucona z orbity. A potem opel i ciężarówka wpadły na krawężnik. Podbite do góry przebiły okno wystawy sklepowej. Z niesamowitym odgłosem, przypominającym zwierzęcy ryk bólu, rozbiły wszystko w środku na drobny mak i zaryły w tylnej ścianie.

Do tego czasu Boris podniósł się już z asfaltu pośród chaotycznego natłoku przechodniów, wyjących syren i wstrzymanego ruchu. Ludzie biegali z miejsca na miejsce, zderzali się parasolami. Oczy wpatrywały się w niego, ręce wyciągały ku niemu, domagano się odpowiedzi: co się stało, czy dobrze się czuje? Tłum gęstniał z każdą chwilą i zapełniał już przyległe ulice. Ludzie nadbiegali ze wszystkich kierunków, rozchlapywali wodę w rynsztokach.

Boris był tymczasem zajęty uwalnianiem się z narastającego zamętu. I wtedy spostrzegł maszynę w ludzkiej postaci przedzierającą się przez tłum. Maszyna w ludzkiej postaci uśmiechnęła się krzywo do niego i coś powiedziała, lecz Boris nie usłyszał. To był Zaczik, podwładny Konstantina Berii z SWR. Zaczik, który zatrzymał go na lotnisku w Ramienskoje. Co on tu robił?

„Proszę mi wierzyć, generale, że możemy urządzić wam piekło na ziemi. Ostrzegam was. Nie zapominajcie o tym”, powiedział mu wtedy Zaczik.

W tym momencie zobaczył wszystko zupełnie tak, jakby podniosła się kurtyna, odsłaniając zatrute jedzenie postawione na stole. Kiedy odszedł, zataczając się niczym pijany i przeciskając przez grupy gapiów, wiedział, że to była SWR. SWR odpowiadała za śmierć Lany Lang i zadzierała z nim tutaj, w Monachium.

– Czy kiedykolwiek o nich myślałeś? – zapytała Kaja.

Bourne leżał na podłodze w łazience i wpatrywał się w jej świdrujące niebieskie oczy. Kaja siedziała mu okrakiem na brzuchu i w jednym ręku ścisnęła końcówkę pilniczka do paznokci, którym posłużyła się jako prowizorycznym nożem. Prawie nie czuł bólu. Podejrzewał, że pilniczek nie wszedł zbyt głęboko, że w rzeczywistości jedno z żeber stało mu na drodze. Mógłby łatwo ją zrzucić, ale po co? Nie chciała go zabić ani nawet poważnie zranić. Miała mu coś do powiedzenia, a on chciał to usłyszeć – może nawet potrzebował to usłyszeć. Dlatego leżał nieruchomo, głęboko oddychał i myślał intensywnie, dochodząc do własnych wniosków.

– O ludziach, których zabiłeś? – kontynuowała.

I wtedy, gdy patrzył jej w oczy, wspomnienia pojawiły się i zlały z terażniejszością. Jej niebieskie oczy stały się oczami kobiety w damskiej toalecie w skandynawskiej dyskotecie. Siedziała na sedesie i celowała w niego z małej srebrnej dwudziestkidwójki – niemal zabawki.

Bourne zrobił to, po co wysłał go Alex Conklin. Nie wiedział nic o tej kobiecie, poza tym że Treadstone postanowiło ją zlikwidować. To był czas, kiedy bez słowa wykonywał polecenia, zgodnie z wyszkoleniem. Przed incydentem, w czasie którego stracił pamięć, bo potem kwestionował wszystko, zaczynając od motywów Treadstone.

Tuż przed śmiercią powiedziała do niego: „Nie ma...”.

Nie ma... czego?

Oczy Kai i oczy tamtej kobiety były identyczne.

– Widziałam ją – odezwała się Kaja. – Policja przyjechała i zabrała mnie do Frequencies przy placu Stureplan, żebym ją zidentyfikowała. Siedziała tam, nie ruszali jej, jeden Bóg wie dlaczego... – Głowa jej drżała. – Nie miałeś powodu, żeby robić to, co zrobiłeś.

„Nie ma powodu”. To właśnie powiedziała do niego tuż przed tym, zanim ją zabił. „Nie ma powodu”.

• • •

Soraya upadła w ciemność. Wylądowała na ciele Amuna, tak jakby jeszcze po śmierci ją chronił.

Mężczyzna w czerwonym polo natychmiast znalazł się przy niej. Odciągnął ją od ciała i rzucił na bok jak worek śmieci. Przez chwilę wpatrywał się w twarz Amuna. A potem go w nią kopnął. Szczeka pękła, zęby posypały się we wszystkich kierunkach. Kopnął ponownie, łamiąc Amunowi nos. Przeszedł potem do jego żeber, wbijał mu je w klatkę piersiową kopniakami, które stały się jeszcze bardziej bestialskie. Dyszał jak zwierzę w rui. Twarz nabiegła mu krwią, wargi uniosły się nad pożółkłymi zębami.

Soraya, odzyskując przytomność, usłyszała przekleństwa mężczyzny. Ponieważ pomstował po arabsku, poczuła się zupełnie dezorientowana, wydało się jej, że jest z powrotem w Kairze. A potem jej spojrzenie padło na zmasakrowaną twarz Amuna. Wydała z siebie wrzask upiора. Arab odwracał się ku niej, gdy na niego skoczyła, przewracając do tyłu.

Upadli ciężko na betonową posadzkę. Soraya jęknęła, czując nagły ból przenikający jej lewy bok. Arab usiłował zrzucić ją z siebie, ale ona zacisnęła mu ręce na szyi. Mimo

obezwładniającego zawrotu głowy trzymała go mocno. Zaczął walić ją po rękę. Jego twarz była jednak wystarczająco nieosłonięta. Podstawą dłoni Soraya trzasnęła mężczyznę w nos, przetoczyła się na lewą stronę i usiłowała załatwić go kolanem. Ale odsunął się szarpnięciem i trafiła go jedynie w udo.

Tylko na tyle miał zamiar jej pozwolić. Uderzył ją bokiem dłoni w gardło. Soraya cofnęła się, zaczęła krztusić, walczyła o oddech. Napastnik zimno i metodycznie wyjął sprężynowy nóż, otworzył go i szykował się do poderżnięcia jej gardła.

• • •

Pukanie do drzwi łazienki sprawiło, że Kaja zamknęła je na klucz.

Zza drzwi rozległ się głos don Fernanda:

– Wszystko w porządku?

– W najlepszym – odpowiedziała. – Miło się nam gawędzi z Jasonem.

– Nie rób niczego zbyt pochopnie – dodał don Fernando. – Mógłby cię zabić na dziewięćset sposobów.

– Za bardzo się przejmujesz, don Fernando – rzuciła.

Szarpnęła za gałkę przy drzwiach.

– Wychodź stamtąd natychmiast, Kaju. To było nieporozumienie.

– Nie – zaprzeczyła. – Nieprawda.

– On tego nie pamięta, Kaju.

– Tak mi mówiłeś. – Pochyliła się, zbliżając twarz do Bourne'a, i powiedziała cicho: – Nie tkniesz mnie palcem, dobrze? Nie, dopóki się nie dowiesz, co się stało, a potem będzie za późno.

Zastanawiał się, co miała na myśli.

– Czy ty w ogóle ją pamiętasz, Jasonie? Pamiętasz Frequencies, dyskotekę w Sztokholmie?

Bourne nadal pojedynkował się z nią na spojrzenia.

– Była zima, padał śnieg.

Kaja wydawała się lekko zaskoczona.

– Tak, tego dnia, kiedy umarła, mocno sypało śniegiem. Tego dnia, kiedy ją zabiłeś.

Dopiero teraz wszystko pojał.

– Była twoją matką.

Przez moment coś paskudnego i mrocznego pojawiło się w jej oczach.

– Viveka. Moja matka miała na imię Viveka. – Pochyliła się jeszcze niżej. Ich usta praktycznie się dotykały. Niespodziewanie jej twarz wykrzywił demoniczny spazm. Głos łamał się jej od emocji, gdy powiedziała: – Dlaczego ją zabiłeś?

• • •

Ostrze noża zatoczyło łuk. Soraya próbowała się osłonić, ale nadal walcząc o oddech, nie miała na to siły. Arab odepchnął jej ramię, jakby należało do lalki.

Chwycił ją za włosy jedną ręką, szarpnął jej głowę do tyłu i odsłonił długą miękką szyję. Skrzywił się w uśmiechu.

– Suka – warknął.

Następne słowa sprawiły, że zadrżała. Jego ciało wygięło się, scalając w jedno z opadającym ostrzem, które miało odebrać jej życie, jakby urodził się do tego makabrycznego zadania.

Naprężył się. Soraya modliła się o życie i o śmierć. I wtedy czyjeś ramiona otoczyły głowę Araba. Dłoń chwyciła go za brodę, w ostatniej chwili widać było w jego oczach, że właśnie zdał sobie z tego sprawę, ale wtedy straszliwie silne szarpnięcie przekreśliło mu głowę w prawo. Kark trzasnął, złamał się, a kiedy ręce go puściły, osunął się bezwładnie na posadzkę, pogrążył w ciemności, do której chciał ją posłać.

Soraya podniosła wzrok. Aaron wszedł w krąg bladego, rozedrganego światła przy podstawie schodów. Sięgnął w dół, bez słowa wziął ją na ręce i wyniósł z piwnicy inną drogą, którą się tutaj dostał.

• • •

„Nie ma powodu”.

Mógł powiedzieć jej prawdę albo skłamać. To nie miało znaczenia, i tak go nie słuchała. Chciała jedynie dowieść swego, a teraz już wiedział, o co jej chodziło.

– Była cywilem. To właśnie powiedział nam ojciec, zanim od nas odszedł. „Cokolwiek się ze mną stanie, nie przejmujcie się tym – mówił. – Jesteście bezpieczne. Jesteście cywilami”. Nie miałam pojęcia, co przez to rozumiał, aż do dnia, kiedy była śnieżycą, dnia, kiedy moja matka... – Zadrżała na całym ciele. Twarz jej pobladła. – Dlaczego ją zabiłeś? Powiedz! Muszę wiedzieć!

Przez chwilę czuł się przytłoczony jej bólem, jakby napierał na niego silny podmuch wiatru. Co mógłby powiedzieć, żeby ją udobruchać? Zastanowił się nad stanem, w jakim była, nad czasem, jaki musiała poświęcić, żeby jakoś się pozbierać.

Nie miał wątpliwości, że była skomplikowaną kobietą. Ukrywała się przez ileś lat na prowincji i wkradła w życie Estevana Vegasa. Osiągnęła nawet coś więcej, bo podporządkowała jego życie swoim potrzebom. Żyła i oddychała, stała się tym, kim się wydawała. Przestała być Szwedką. Była Achagua z linii węża, pokiereszowana przez margaja.

– Powinnaś zrobić sobie tatuaż na stałe – powiedział. – Ten wąż był piękny.

Te słowa wywołały w niej zmianę, jakby miały magiczną moc. Zdjęła ręce z jego ramion i usiadła obok, niespodziewanie bardzo wyczerpana. Mroczny, paskudny wyraz zniknął z jej oczu. Można by pomyśleć, że wcześniej przeniosła się do innego miejsca, a teraz wróciła i była tu z nim, w domu don Fernanda w Kadyksie.

– Któregoś popołudnia zobaczyłam węża koralowego w lesie niedaleko domu Estevana – powiedziała. – To piękne stworzenie, na swój sposób równie piękne jak margaj. Sama go namalowałam naturalnymi barwnikami, których używają Achagua.

– To była długa podróż – zauważył. – Już nie jesteś tym, kim byłaś.

Popatrzyła na niego, jakby zobaczyła go pierwszy raz.

– To prawda, która dotyczy nas obojga, mam rację?

Podniosła się i odsunęła od niego. Przyglądała mu się nieufnie, gdy wstał i wyciągnął pilniczek z boku. Krew natychmiast zaplamiła mu koszulę, dlatego ją zdjął. Odkręcił gorącą wodę i przemył ranę mydłem. Okazała się bardzo niegroźna.

– Mocno krwawi – skomentowała z bezpiecznej odległości.

Czy ona myśli, że teraz ją zaatakuję? – zastanawiał się Bourne. Zemszczę się w jakiś sposób?

– Otwórz drzwi – powiedział, opatrując ranę. – Don Fernando niepokoi się o nas oboje.

– Nie otworzę, dopóki nie powiesz mi prawdy. – Z wahaniem zrobiła krok w jego stronę. – Czy moja matka też była szpiegiem?

– Nic o tym nie wiem – mruknął Bourne. Teraz sobie przypomniał. Siła emocji Kai poruszyła w nim okrusz pamięci, wydobywając go z głębin przeszłości. – Twój ojciec został wysłany, żeby zabić człowieka, który był wtedy moim szefem. Nie udało mu się. Ja zostałem wysłany w odwecie.

Kaja zachłysnęła się powietrzem. Robiła wrażenie, jakby miała problemy z oddychaniem.

– Dlaczego to nie mój ojciec był...

– ...moim celem? – dokończył za nią. – Twój ojciec już wtedy nie żył.

– Czy to nie wystarczyło?

Nie istniała odpowiedź, którą mógłby jej dać i która satysfakcjonowałaby ją i, jak pomyślał, jego.

„Nie ma powodu”.

Viveka Norén miała rację. Jej śmierć nastąpiła bez powodu. Chodziło wyłącznie o zemstę Conklina. Ale kogo Conklin tym krzywdził? Córki Norénów były niewinne, nie zasługiwały na to, żeby odbierać im matkę. Myśl o Conklinie i jego żądzy zemsty wywołała u Jasona zimny dreszcz. Był narzędziem w jego rękach, wyszkolonym i wysyłanym raz po raz, żeby odbierać życie.

Przetarł oczy dłońmi. Czy nie było końca grzechom, które popełnił w niepamiętanej przeszłości? Po raz pierwszy zastanawiał się, czy jego amnezja nie jest aby błogosławieństwem.

– To nie jest odpowiedź, jaką chciałam usłyszeć – odezwała się.

– Witamy w prawdziwym świecie – odparł zmęczonym głosem.

Pomyślał, że kobieta pewnie się rozplacze, ale jej oczy pozostawały suche. Odwróciła się i przekreśliła klucz w zamku.

Don Fernando stał na progu i pchnięciem otworzył drzwi na oścież. Wszedł do środka i ze zgrozą popatrzył na ranę Bourne'a.

– Mój dom zmienił się w arenę korridy? Coś ty zrobiła, Kaju?

Milczała.

– Wszystko w porządku, don Fernando – odpowiedział mu Bourne.

– Moim zdaniem nie bardzo. – Zmarszczył brwi, patrząc na Kaję, która unikała jego wzroku. – Nadużyłaś mojej gościnności. Obiecałaś mi...

– Zrobiła to, co musiała zrobić. – Bourne znalazł sterylny gazik w szafce z lekami i nakrył nim ranę. – Nie ma o czym mówić, don Fernando.

– Wręcz przeciwnie. – Don Fernando z wściekłością zwrócił się do Kai: – Pomogłem ci przez wzgląd na przyjaźń, jaka łączyła mnie z twoją matką. Ale najwyraźniej za dużo czasu spędziłaś w kolumbijskiej dżungli. Nabrałaś bardzo nieprzyjemnych przyzwyczajień.

Kaja usiadła ciężko na brzegu wanny, ręce trzymała złączone jak przy modlitwie.

– Nie chciałam cię rozczarować, don Fernando.

– Moja droga, nie jestem rozczarowany, jestem zły na ciebie. – Starszy pan oparł się plecami o framugę drzwi. – Tylko pomyśl, co powiedziałaaby twoja matka na takie zachowanie. Nie tak cię wychowywała.

– Moja siostra...

– Nie mów mi o swojej siostrze! Gdybym podejrzewał, że przypominasz ją w najmniejszym stopniu, nie pozwoliłbym ci się nawet zbliżyć do Jasona.

– Przepraszam, don Fernando. – Kaja wpatrywała się we własne dłonie.

Bourne jeszcze nigdy nie słyszał podniesionego głosu Hererry. Było jasne, że Kaja wytrąciła go z równowagi.

Don Fernando westchnął.

– Gdybyś tylko była w tym szczerą. Wszyscy tu kłamiemy, wszyscy udajemy kogoś, kim nie jesteśmy. – Patrzył to na nią, to na niego. – Czy to nie jest interesujące, że wszyscy mamy problemy z tożsamością?

Kaja w końcu podniosła głowę.

– Rządzą nami tajemnice.

– Cóż, to prawda – przytaknął Hiszpan. – Ale to tajemnice, przez które mamy problemy z tożsamością. Zachowanie tajemnicy to konieczność kłamania, kłamanie to zmiana tożsamości. A czas płynie, kłamstwo staje się normą, a potem prawdą, przynajmniej naszą prawdą, a wtedy... kim jesteśmy? – Przeniósł spojrzenie z Bourne'a na Kają. – Wiesz, Kaju?

– Oczywiście, że wiem. – Niemniej odpowiedziała za szybko, dlatego zamilkła i się zamyśliła. Zmarszczyła czoło.

– Jesteś Szwedką – zapytał cicho Jason – czy Achagua?

– Płynie we mnie krew.

– Krew ma z tym niewiele wspólnego, Kaju! – Don Fernando prawie krzyczał. – Tożsamość nie bazuje na rzeczywistości. To czyste postrzeganie. Nie tylko to, jak inni nas widzą i na nas reagują, ale też co myślimy o sobie, jak sami reagujemy. – Prychnął, co zabrzmiało jak udawane obrzydzenie. – Wydaje mi się, że Jason ma rację. Powinnaś wytatuować sobie tego węża na stałe.

Kaja zerwała się na równe nogi.

– Podśluchiwałaś pod drzwiami!

Don Fernando uniósł w dłoni klucz.

– A jak inaczej mógłbym się dowiedzieć, czy będę musiał je otworzyć?

– Jason nie potrzebuje twojej pomocy – powiedziała.

– Nie o nim myślałem – odparł don Fernando.

Podniosła na niego wzrok.

– Dziękuję.

To zdumiewające, pomyślał Bourne, jak daleko odeszła od roli Rosie, kolumbijskiej kochanki Estevana Vegasa.

Hererra machnął ręką.

– Myślę, że wszystkim nam przyda się coś mocniejszego.

Kaja skinęła głową i podeszła do drzwi. Kiedy całą trójką wrócili do salonu, zapytała o Estevana.

– Odsypia strach i regeneruje siły, bo będą mu potrzebne. – Don Fernando wzruszył

ramionami. – Fatalnie się składa. On zna tylko jedno życie, znacznie mniej skomplikowane od tego, jakie przyjdzie mu teraz prowadzić.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – Kaja fuknęła. – Myślisz, że go zostawię?

– Jeśli to zrobisz – powiedział don Fernando, nalewając im swojej wyjątkowej sherry – na pewno złamiesz mu serce.

Wzięła od niego kieliszek, który jej podał.

– Serce Estevana było złamane na długo, zanim mnie poznał.

– To nie oznacza, że nie złamie się kolejny raz.

Bourne wziął sherry i pił je powoli. Usiadł na sofie.

Adrenalina się wypalała. Bok piekł go, jakby Kaja przystawiła mu tam rozżarzony pogrzebacz.

– Kaju – odezwał się, widząc, że potrząsnęła głową. Podeszła i usiadła obok niego.

– Znam Estevana i wiem, że nigdy bym tu nie dotarła bez ciebie. Za to ci dziękuję. I... – Zapatrzyła się w złocistą otchłań kieliszka z sherry. Wciągnęła głęboko powietrze i wypuściła je powoli. – A więc... Co było, minęło. Pochowałam przeszłość. – Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. – Też powinieneś tak zrobić.

Skinął głową i dopił sherry. Gestem odmówił don Fernandowi, który chciał mu dolać.

– Bardzo by mi pomogło – oznajmił – gdybyś opowiedziała mi o swoim ojcu.

Kaja zaśmiała się z goryczą, a potem upiła spory łyk sherry. Zamknęła na chwilę oczy.

– Ja też bardzo bym chciała, żeby ktoś opowiedział mi o nim. Oszedł pewnego dnia. Zostawił nas, jakbyśmy były zabawkami, z których wyrósł. Miałam dziewięć lat. Dwa lata później moja matka... – Mogła dokończyć tę myśl, ale zamiast tego napiła się. Światło igrało na brzegu kieliszka, gdy przystawiała go do ust. Głośno przełknęła. – Trzyście lat temu. Wydaje się, że minęły całe wieki. – Zgrabiła ramiona. – Czasami mam wrażenie, jakby to było nie wiedzieć jak dawno.

– Był szpiegiem, zabójcą – nie ustępował Bourne. – Dla kogo pracował?

– Nie wiem – odpowiedziała Kaja. – I możesz mi wierzyć, że chciałam to ustalić. – Na chwilę oderwała od niego wzrok. – Jestem pewna, że Mikaela, moja siostra, odkryła, kto to był.

– Nie powiedziała ci?

– Została zabita, nim zdążyła zamienić słowo ze mną albo Skarą.

– To trojaczki – wtrącił don Fernando.

Teraz kawałki układanki zaczęły trafiać na właściwe miejsca.

– Więc ty i Skara zniknęłyście, zmieniłyście nazwiska – powiedział Bourne. – Ukryłyście się, jak mówiłaś, za pozorami.

– Ja przynajmniej tak zrobiłam. – Kaja opuściła głowę i przytknęła lepkie szkło kieliszka do czoła. – Wyjechałam najdalej od Sztokholmu, jak się dało.

– Ale organizacja twojego ojca i tak cię znalazła.

Skinęła głową.

– Zjawilo się dwóch mężczyzn. Jednego zabiłam, drugiego raniłam. Uciekałam przed nim, gdy zaskoczyłam margaja.

Bourne zamyślił się na chwilę.

– Możesz mi coś powiedzieć o tych dwóch facetach? Kaja zadrzała i głęboko wciągnęła

powietrze. Po raz pierwszy wyglądała na strasznie młodą i bezbronną, na dziewczynę ze Sztokholmu, która uciekła z domu. W tej samej chwili Bourne spostrzegł w jej oczach iskrę energii, dzięki której udawało się jej grać rolę Rosie.

– Rozmawiali ze sobą po angielsku – odezwała się po krótkim milczeniu. – Ale na koniec ten, którego zabiłam, powiedział coś, zanim umarł. To nie było po angielsku. Mówił po rosyjsku.

Rozdział 20

Hendricks kończył właśnie ósme spotkanie w sprawach strategii Samarytanina, jakie odbył w czasie ostatnich trzydziestu sześciu godzin – to dotyczyło rozmieszczenia personelu w granicach wytyczonych wokół kopalni Indigo Ridge – kiedy Davies, jeden z jego sześciu asystentów, wszedł do pokoju.

– To prezydent na bezpiecznej linii, proszę pana – wyszeptał mu do ucha.

– W porządku, wszyscy wyjść – powiedział sekretarz do uczestników spotkania. – Ale czekajcie w gotowości na ostatnie rozkazy. Rozmieścimy ludzi w ciągu czterech godzin.

Kiedy wszyscy wyszli i drzwi zostały zamknięte, Hendricks obrócił się w fotelu i przez chwilę patrzył przez okno na nieskazitelny, świeżo skoszony trawnik, otoczony masywnymi antyterrorystycznymi blokami z betonu, postawionymi w 2001 roku. Ktoś, może w przypływie ironii, ustawił na nich rząd kwiatów w doniczkach. To jak sadzenie roślin na polu bitwy, pomyślał. Bloki tkwiły nieubłagane, ich celu nie dawało się zbagatelizować. Turyści kręcili się po ich drugiej stronie, ale trawnik był w idealnym stanie, nie śmiał się na nim pojawić ani jeden chwast. Coś w tej opustoszałej przestrzeni działało na Hendricksa przygnębiająco.

Wzdychając cicho, podniósł słuchawkę telefonu połączonego bezpieczną linią z Białym Domem.

– Chris, jesteś tam?

Rozległ się głuchy dźwięk, typowy dla programu szyfrującego, który przetwarzał ich słowa co dziesięć sekund.

– Jestem, panie prezydencie.

– Co słychać u mojego chłopaka?

Hendricks poczuł, jak żołądek mu się kurczy. Fałszywa serdeczność w głosie prezydenta zawsze była zapowiedzią, że ma jakieś złe wiadomości do przekazania.

– Wszystko w porządku, panie prezydencie.

– O taką postawę chodzi. Jak posuwa się praca przy Samarytaninie?

– Prawie skończona, panie prezydencie.

– Hm... aha – powiedział prezydent, co oznaczało, że nie słucha.

Hendricks sięgnął do szuflady po pudełko omeprazolu, które zawsze trzymał pod ręką na wszelki wypadek.

– Właśnie o Samarytaninie chciałbym z tobą porozmawiać. Tak się złożyło, że dziś rano jadłem śniadanie z Kenem Marshalllem i Billym Stokesem.

Prezydent przerwał, żeby nadać odpowiednią wagę wypowiedzianym nazwiskom: Marshalla, który był na spotkaniu w Gabinetcie Ovalnym, gdy Samarytanin został powołany do życia, i Stokesa, którego tam nie było, dwóch wojskowych mających ogromną władzę, pierwszego z Pentagonu i drugiego z Departamentu Obrony.

– W każdym razie – kontynuował prezydent – od słowa do słowa, rozmowa zeszła na Samarytanina. A teraz posłuchaj, Chris, zdaniem Kena i Billy'ego, jeśli chodzi o Samarytanina, Centrala Wywiadu jest od tego za bardzo odsunięta.

– Chodzi panu o Danzigersera.

Hendricks wyczuwał, że prezydent wstrzymał oddech i policzył do dziesięciu.

– Chodzi mi o to, że zgadzam się z nimi. Chcę, żebyś wyznaczył Danzigerowi poważniejszą rolę przy tej operacji.

Hendricks zamknął oczy. Połknął omeprazol, jakby ból głowy już rozsadzał mu czaszkę.

– Z całym szacunkiem, panie prezydencie, Samarytanin jest już dopięty na ostatni guzik.

– Prawie. Sam tak powiedziałaś, Chris.

Czy można opieprzyć samego siebie? – zastanawiał się w duchu Hendricks.

– To moja operacja – odpowiedział, nie chcąc ustąpić. – Sam mi ją pan dał.

– Bóg dał, Bóg wziął, Chris.

Hendricks zagryzł zęby. Mówienie o tym, jakim beznadziejnym dupkiem jest M. Errol Danziger, nie miało sensu. Prezydent mianował go i tyle. Nawet zakładając, że podzielał opinię Hendricksa, nigdy nie przyznałby się do popełnionego błędu, nie w tak niesprzyjającym politycznym klimacie jak obecny. Jeden fałszywy ruch ożywiłby światową blogosferę, która z kolei wywołałaby burzę z piorunami wśród gadających głów na CNN i Fox News, a to skończyłoby się artykułami na pierwszych stronach gazet i nie miałoby końca. Liczba popierających go wyborców, którą prezydent i jego doradcy sprawdzali co miesiąc, gwałtownie by spadła. Nie, w tych dniach nawet prezydent Stanów Zjednoczonych musiał być nadzwyczaj ostrożny zarówno w podejmowanych decyzjach, jak i w wygłaszanych publicznie oświadczeniach.

– Zrobię, co się da, żeby go ułagodzić – oświadczył Hendricks.

– To muzyka dla moich uszu, Chris. Informuj mnie na bieżąco o postępach.

Przeforsowawszy swoją decyzję, prezydent się rozłączył. Hendricks nie bardzo wiedział, co bardziej go boli, brzuch czy głowa. Wiedział, że Danziger dąży do przejęcia całkowitej kontroli nad Samarytaninem, co na pewno skończyłoby się katastrofą. Danziger to typowy karierowicz oportunistą. Jego jedynym celem było umacnianie i rozszerzanie własnej władzy. Przeszedł do Centrali Wywiadu z NSA, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, i przez ostatni rok zmieniał CI w klon NSA. Ponieważ NSA była przybudówką Pentagonu, środowisko amerykańskiego wywiadu nie uznało tego za dobry omen. Wojskowi za bardzo polegali na zbieraniu informacji na odległość: obserwacji satelitarnej, samolotach szpiegowskich i tak dalej. CI zawsze polegała na oczach i uszach agentów działających w terenie.

Interkom zabrzączał, przerywając jego uzalanie się nad sobą.

– Wszyscy czekamy – rozległ się przerywany głos Daviesa. – Chce pan wznowić naradę?

Hendricks przetarł czoło. Narastała w nim chęć buntu.

– Mają swoje rozkazy. Powiedz im, żeby natychmiast rozmieścili ludzi.

• • •

– Rosyjski – rzucił Bourne. – Jaki dialekt?

Kaja wpatrywała się w niego.

– Słucham?

– Dialekt. Był południowy czy...

– Moskiewski. Facet był z Moskwy.

Bourne odstawił kieliszek na stolik wyłożony marokańskimi kafelkami.

– Jesteś pewna?

Kaja zwróciła się do niego po rosyjsku, tak jak mówią moskwianie.

– Twój ojciec pracował dla Rosjan – powiedział Bourne.

– To pierwsze, co przyszło mi do głowy, kiedy go usłyszałam. Ale nie wydaje mi się to zbyt wiarygodne.

– Dlaczego?

– Oboje moi rodzice nienawidzili Rosjan.

– Może tylko twoja matka – zaoponował Bourne ostrożnie. – W przypadku ojca, jeśli pracował dla Rosjan, jego nienawiść do nich mogła być częścią przykrywką.

– Mylące pozory.

Skinął głową.

Kaja wstała. Don Fernando podchwycił spojrzenie Bourne'a. Jason widział, że Hiszpan nie chce, by podtrzymywał ten temat. Młoda kobieta stała przy oknie i patrzyła w swoje odbicie, podobnie jak Bourne robił w domu Vegasa w noc przed atakiem helikopterów.

Straszliwa cisza wypełniła pokój. Jej źródłem było milczenie Kai. Don Fernando i Bourne jednocześnie poczuli, że przerywanie jej nie byłoby mądre.

– Myślicie, że to prawda? – Głos Kai zdawał się dochodzić z innego miejsca.

W końcu odwróciła się do nich twarzą i spoglądała raz na jednego, raz na drugiego. Powtórzyła pytanie.

– Z tego, co nam powiedziałaś – odezwał się Bourne – to najbardziej prawdopodobna możliwość.

– Kurwa – powiedziała Kaja. – Kurwa, kurwa, kurwa. Don Fernando zmienił pozycję, bo najwyraźniej poczuł się nieswojo.

– Nie możemy wykluczyć, że Jason się myli.

Kaja roześmiała się, choć słyhać było w tym gorzkość.

– Jasne. Dziękuję, don Fernando, ale już dawno przestałam wierzyć w bajki. – Odwróciła się do Bourne'a. Dłonie trzymała na biodrach.

– Zatem? Jakież pomysły?

Jason wiedział, że pyta o to, dla kogo dokładnie jej ojciec mógł rzeczywiście pracować. Pokręcił głową.

– Ponieważ był obcokrajowcem działającym poza granicami Rosji, w grę wchodzi SWR, rosyjski odpowiednik amerykańskiej Centrali Wywiadu. Ale szczerze mówiąc, równie dobrze mógł być zwerbowany przez jedną z rodzin *gruppirowki*.

– To rosyjska mafia – zauważyła Kaja.

– Tak.

Zmarszczyła czoło.

– To przynajmniej byłby dla niego bardziej logiczny wybór.

– Kaju – wtrącił się don Fernando – w tym przypadku radziłbym nie odwoływać się do logiki.

– Don Fernando ma rację – powiedział Bourne. – Nie mamy zielonego pojęcia o sytuacji twojego ojca. Z tego, co wiemy, mógł być zmuszony do pracy dla Rosjan.

Jeszcze nie skończył, gdy Kaja zaczęła kręcić głową.

– Nie. Tyle wiem o własnym ojcu: nie można było go do niczego zmusić.

– Nawet jeśli stawką było życie twoje i twoich sióstr?

– Zostawił nas bez słowa. – Zaciętość pojawiła się na jej twarzy. – Nie przejmował się nami, bo miał inne rzeczy na głowie.

– Zarabiał na życie zabijaniem – przypomniał Bourne. – Trzeba być specyficznym człowiekiem, żeby to robić, nie mówiąc już nawet o tym, by odnosić w tej branży sukcesy.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Właśnie o to mi chodzi. Żadnej litości, żadnych wyrzutów sumienia, brak miejsca na miłość. Pełne odseparowanie od rodzaju ludzkiego. – Wyzywająco wyprostowała plecy.

– Taka postawa umożliwia zabijanie, i to nie raz, tylko bez przerwy. Odseparowanie. W końcu nie jest znowu tak trudno wpakować kulę w głowę jakiejś rzeczy.

Bourne miał świadomość, że mówiła w równym stopniu o nim, jak i o zmarłym ojcu.

– Zdarza się, że zabijanie jest koniecznością.

– Złem koniecznym?

Skinął głową.

– Jak zwał, tak zwał, ale konieczność pozostaje.

Kaja odwróciła się raptownie z powrotem do okna i patrzyła na noc, rozedrganą światłami tuż za szybą.

– Zostawcie sprawę Christiena Noréna nierozwiązaną – odezwał się don Fernando. – Wierzcie mi, kiedy mówię, że jego życie, jego los dokonały się i tyle. Kaju, ty i twoja siostra powinniście iść naprzód.

Kaja roześmiała się ponuro, co bardziej przypominało warknięcie.

– Spróbuj to powiedzieć Skarze, don Fernando. Nigdy mnie nie słuchała, a ja mogę cię zapewnić, że to się nagle nie zmieni.

– Wiesz, gdzie jest? – zapytał Hiszpan.

Kaja pokręciła głową.

– Rozdzieliliśmy się, złożyliśmy przysięgę, że nie będziemy się szukać. Od ponad dziesięciu lat nie miałyśmy ze sobą kontaktu. Byłyśmy wtedy dziećmi, a teraz... – Odwróciła się do nich. – Wszystko się zmieniło. I nic się nie zmieniło.

– Tragiczne, jeżeli to prawda. Przynajmniej dla ciebie. – Don Fernando wstał z trudem, przeszedł przez pokój i stanął obok niej. Położył dłoń na jej ramieniu. – Ale jest dla ciebie nadzieja, Kaju. Zawsze jest, święcie w to wierzę. Jeśli zaś chodzi o Skarę... – Złowieszco zawiesił głos.

– Jej los jest przesądzony, prawda?

Don Fernando popatrzył na nią, a przez twarz przebiegł mu bolesny skurcz.

Bourne zrobił krok w ich stronę.

– Dlaczego tak mówisz?

Kaja odwróciła wzrok.

– Ponieważ – odparł don Fernando – Skara cierpi na dysocjacyjne zaburzenie tożsamości.

Kaja wbiła wzrok w Bourne'a.

– Moja siostra ma sześć alter ego, a każde z nich jest równie prawdziwe, jak ktokolwiek z nas w tym pokoju.

Wszystkie spotkania z M. Errolem Danzigerem były naznaczone napięciem i ryzykiem – ten człowiek łatwo się irytował i był bardzo przewrażliwiony na swoim punkcie, obrażał się o byle co. Z powodów, których nie potrafił określić, Hendricks czuł się nieprzygotowany, dlatego odłożył spotkanie z nim na późne popołudnie, choć powinien zabrać Danzigera na lunch.

Na lunch poszedł jednak z Maggie. To oznaczało – upierała się przy tym – że musiał zabrać ją sprzed restauracji Breadline na Pennsylvania Avenue, gdzie kupiła wystarczająco dużo jedzenia na wspólny piknik w parku National Mall.

Zamglone słońce przeświecało przez warstwę chmur, gdy szli po trawie. Grupa ochroniarzy Hendricksa, definitywnie niezadowolonych z dokonanego przez szefa wyboru miejsca, niemniej posłusznych rozkazom, trzymała się wokół nich w pewnej ustalonej odległości.

Hendricks i Maggie usiedli przodem do siebie, po turecku, jak dzieci. Maggie rozłożyła jedzenie, które kupiła. Hendricksowi niemal kręciło się w głowie z radości i czuł się, jakby poszedł na węgry. Bo oto był z Maggie, jedli kanapki, pili mrożoną herbatę, napawał się jej uśmiechem i zapachem.

– Zaskoczyłeś mnie telefonem. – Odgryzła niewielki, idealnie równy kawałek kanapki z szynką, brie i musztardą z jalapeno. Złociste włosy ściągnęła z tyłu głowy w koński ogon. Miała na sobie białą sukienkę w czarne grochy, z dużym dekoltem, przepasaną czarnym skórzanym paskiem. Zdjęła buty na płaskich obcasach, bosa stopy zanurzyła w trawie.

– Cieszę się, że akurat nie zajmowałaś się moimi różami – rzucił.

– A kto powiedział, że nie. – Posłała mu krzywy uśmiech. Odgryzła kolejny kawałek, tak samo mały i równy. – Ale i tak bym przyszła.

To oświadczenie tak go ucieszyło, że kęs kanapki utknął mu w gardle. Musiał napić się herbaty, żeby go spłukać. Patrząc na nią teraz, w tej idyllicznej scenerii, zdał sobie sprawę, że się zakochał. W pierwszym odruchu chciał zachować sceptycyzm, przyznać się przed sobą, że zachowuje się głupio jak nastolatek i co gorsza, prawdopodobnie wystawia się na ryzyko. Ale szybko porzucił takie myśli. Przyglądając się jej w tej chwili, doświadczał wrażenia spadania, rozkosznej nieważkości, która kojarzyła mu się wyłącznie ze snami, choć żadnego z takich snów nie potrafił sobie przypomnieć. Był szczęśliwy, a w jego życiu szczęście było najrzadziej występującym stanem.

Maggie przekrzywiła głowę.

– Christopherze? O czym myślisz?

Odłożył kanapkę.

– Przepraszam.

– Nie ma za co.

– Myślałem o spotkaniu, które mam zaplanowane na koniec dnia. – Hendricks się zawahał. Uświadomił sobie, że zyskanie nowej perspektywy mogłoby pomóc mu w radzeniu sobie z Danzigerem i prezydentem. – Człowiek, z którym mam się zobaczyć, jest wyjątkowo trudny.

– To może mieć tysiąc znaczeń.

Hendricks widział, że skupia całą uwagę Maggie, a to sprawiło mu przyjemność.

– Ma fioła na punkcie własnego ja – wyjaśnił. – Od początków kariery winduje się na

czyichś plecach... głównie moich poprzedników. – Powiedział jej dokładnie tyle, ile zaplanował. Może i chciał poznać jej opinię, ale nawet na chwilę nie zapomniał o zasadach bezpieczeństwa. – Teraz domaga się udziału w kierowaniu przedsięwzięciem, za które dotąd sam odpowiadałem.

Maggie wyglądała na zamyśloną.

– Nie widzę w tym żadnego problemu. Człowiek, który zarabia na życie, windując się na czyichś plecach, nie może być kompetentny.

– Ale to właśnie jest problemem. Jeśli dostanie to, czego chce, na pewno wszystko spieprzy.

– Więc pozwól mu na to.

– Co? Chyba żartujesz.

Maggie starannie zapakowała niedojedzoną połowę kanapki.

– Zastanów się, Christopherze. Ten człowiek wszystko spieprzy, jak kwieciście to określiłeś, a ty wkroczysz i wszystko naprawisz. – Wzięła czekoladową babeczkę, odłamała kawałek i trzymała go w palcach. – Ludzie, którzy popierają tego człowieka, poczują się tak upokorzeni, że na pewno przestaną windować go do góry. – Włożyła kawałek ciastka do ust i żuła wolno, rozkoszując się nim. – W szachach to cofnięcie się o jedno pole, żeby zgarnąć wszystko.

Hendricks wyprostował plecy. Patrzył, jak odłamała następny kawałek babeczki i podała mu go. Gryzł w zamyśleniu, czekolada topiła mu się w ustach. To, co sugerowała, łamało wszystkie zasady, jakie ustalił dla samego siebie. Poddać się? Dać się ruchać Danzigerowi? Co za szatański pomysł.

Przełknął, a Maggie podała mu kolejny kawałek. Ale z drugiej strony, dlaczego nie? – pytał się w duchu. Mimo wszystko tego właśnie chciał prezydent. I nie tylko on, Marshall i Stokes również. Hendricks pomyślał, że może byłoby fajnie przytrzeć im nosa, zwłaszcza że obaj wojskowi przyprawiali go ciągle o ból głowy. No i Danziger zostałby solidnie zdyskredytowany. Myśli o Danzigerze i Indigo Rigde przypomniały mu o czymś:

Dlaczego, do jasnej cholery, nie miał żadnych wiadomości od Petera Marksa?

• • •

Daleko od cisnącego się tłumu Karpow przerwał ucieczkę i przystanął, żeby ustalić stan faktyczny. Noga bolała go jak wszyscy diabli, poza tym jednak w żaden sposób nie ucierpiał. Gdyby był bogobojnym człowiekiem, odmówiłby modlitwę w intencji Lany Lang, która miała na tyle zdrowego rozsądku, że kupiła samochód z poduszkami powietrznymi.

Deszcz osłabł. Woda nadal płynęła rynsztokami, lecz chmury się rozwiewały i z burzy została jedynie mżawka. Rozejrzał się wokół i zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Z pewnością nadal w dzielnicy Meczetu, ale ta wiedza była mu niewielką pociechą.

Znajdował się w Monachium, zaatakowała go SRW i ciągle nie rozumiał, po co Domna wysłała Czerkiesowa do Meczetu. Może, pomyślał w chwili słabości, nadeszła pora, żeby się uwolnić i uciec z tego miasta przeklętego przez Boga. Miał jedynie parę dni na wypełnienie misji zlecanej przez byłego szefa. Powinien zadzwonić do Bourne'a, umówić się z nim, a później zwiewać, gdzie pieprz rośnie. W chwili gdy oparł się o ścianę z cegieł, jego myśli

przeskoczyły na inny tor.

Ucieczka nie przyniosłaby niczego dobrego i mogła mu nawet zaszkodzić. SRW nadal uprzykrzałaby mu życie, a on nie zbliżyłby się ani na jotę do odkrycia, co kombinuje Czerkiesow. Potrzebował dźwigni, dzięki której przestałby chodzić na pasku u Czerkiesowa. Miał nadzieję, że znajdzie taką dźwignię tu, w Monachium.

I wtedy przypomniał sobie o Zacziku, głupim bydlaku. Oczywiście, że ciągle mnie śledzi, pomyślał. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że Zaczik, który wpakował go w to szambo, mógłby go z tego szamba wydostać.

Szedł wąskimi uliczkami, które jeśli nawet nie miały arabskiego charakteru, na pewno wyglądały na muzułmańskie. Pełno tu było ubojni zwierząt, gdzie przestrzegano islamskiego prawa. Czuł zapach przypraw z Bliskiego Wschodu. Kobiety ubierały się skromnie, głowy miały zakryte.

Kręta trasa doprowadziła go do miejsca, którego szukał. Ustawił się na rogu, jakby czekał na przyjaciela – co nie było dalekie od prawdy. Spodziewał się Zaczika i się nie rozczarował. Kiedy go spostrzegł, ruszył, kulejąc znacznie bardziej, niż było potrzeba.

Dziwne, pomyślał, gdy ustalił tempo marszu, im dłużej szedł, tym noga mniej go bolała. Wszedł niespodziewanie do sklepu z odzieżą, przeszedł przez całą jego długość i wyłonił się po drugiej stronie, co było prostym manewrem mylącym, ale spodziewał się, że Zaczik to przewidzi. Kuśtykał zaułkiem, przy którym stały takie same pojemniki na śmieci z kłapami najeżonymi stalowymi kolcami, jak pod warsztatem zegarmistrza. Zaczik pojawił się na tyłach sklepu. Boris zbliżał się do końca ulicy. Usłyszał za sobą krzyk i w chwilę potem jeden ze zbirów Zaczika wyskoczył przed kulejącym Borisem. Wyciągnął tokariewa i wycelował w jego pierś.

Nie tracąc ani sekundy, Karpow poderwał do góry pokrywę jednego z pojemników na śmieci i wbił jej kolce w twarz napastnika. Broń wypaliła, kula przebiła pokrywę, ale nie trafiła Borisa. Kiedy zbir, zataczając się, zaczął się wycofywać, Boris podniósł tokariewa, którego tamten upuścił, zanim jednak zdążył położyć palec na cynglu, poczuł zimną, śmiertcioną lufę przystawioną do skroni.

Drugi bandzior, który pojawił się znikąd, powiedział gardłowo po rosyjsku:

– No dalej. Daj mi szansę na rozwalenie ci łba.

• • •

Dobijanie się do frontowych drzwi sprawiło, że don Fernando wybiegł z salonu.

Kaja stała bardzo blisko Bourne'a i patrzyła na ich wspólne odbicie w przeszklonych drzwiach na dziedziniec. Odsunęła potem zasuwkę, otworzyła je i wyszła na zewnątrz. Było zimno, dlatego lekko drżała.

– Wracajmy do środka – powiedział Bourne, ale ona się nie poruszyła.

Wiatr rozwiewał jej włosy. Trudno było mu przyzwyczaić się do tego, że jest naturalną blondynką. Ale wtedy uświadomił sobie, że i jego od bardzo dawna nikt nie widział takiego, jakim był naprawdę, nawet Moira. Bardzo mocno się okopał, także przed samym sobą. Czy tego właśnie chciał? – zastanawiał się. Albo czyjego okopy były konieczne, żeby mógł utrzymać się przy życiu? Choć tego nie pamiętał, miał absolutną pewność, że był czas, gdy nie

musiał tak postępować.

– Wcześniej zauważyłam dziwactwa Skary – wychrypiła Kaja. Oplotła się ramionami. – Nie można było jej pomóc w żaden sposób. Doprowadzała matkę do szaleństwa.

– Mówiłaś, że to ty byłaś czarną owcą w rodzinie.

– Kłamałam. – Posłała mu słaby uśmiech. – Skara mnie tego nauczyła. Powiedziała, że nie ma wyboru. Chcąc przetrwać w miarę normalnie w szkole, wszystkie jej osobowości nauczyły się przekonująco kłamać.

– Musiało ci być ciężko – zauważył Bourne.

– Na początku. Miałam koszmarne sny, w których zmieniała się w jakąś bestię... wampira albo upióra. – Odwróciła się do niego. – Zawsze też gnębiło mnie jedno: gdzie się podziewały te wszystkie osobowości, kiedy trwały w uspieniu? I jak się wymieniały? Jaki mechanizm decydował, że taka, a nie inna osobowość pojawiała się jako następna?

– Czy kiedykolwiek poznałaś odpowiedzi?

– Skara nie miała pojęcia. Powiedziała, że to jak jazda na roller-coasterze, która nie ma końca.

– Bałaś się, że to samo może przydarzyć się i tobie?

– Cały czas. – Kaja wzruszyła ramionami. – Widziałeś kiedyś *W samo południe*? To zupełnie tak samo. Czekam na pociąg, którym przyjedzie zabójca.

• • •

Prezydent Stanów Zjednoczonych podniósł słuchawkę telefonu i wezwał swojego brokera.

– Bob, podaj mi kurs akcji NeoDyme.

– Sześćdziesiąt siedem dolarów i dwadzieścia pięć centów – odpowiedział broker.

– Co? – Prezydent wyprostował się gwałtownie. – Jeśli dobrze pamiętam, stały po dwadzieścia trzy, a to było kiedy? Trzy dni temu?

– Akcje cieszą się dużym zainteresowaniem, panie prezydencie – powiedział Bob. – Kurs poszedł w górę prawie pionowo.

Prezydent zamknął oczy i masował skroń.

– Jezu, nie wiedziałem.

– Jeśli nie kupi ich pan teraz, będzie pan sobie pluł w brodę, kiedy dojdą do setki.

– W porządku, kup pięćset przez zwykle podstawianą spółkę, następne pięćset, kiedy cena wróci do poziomu... jaki kurs będzie sensowny?

– W przypadku wszelkich innych akcji powiedziałbym, że spadnie o jedną trzecią. Ale jeśli chodzi o NeoDyme, zachowuje się jak pierwsza oferta publiczna z czasów spekulacji po wprowadzeniu internetu. Zdumiewające po prostu. Proszę poczekać.

Prezydent słyszał, jak Bob stuka w klawiaturę.

– Od kiedy weszła na giełdę, codziennie mocno zyskuje. Kurs może spaść o dziesięć procent, ale szczerze mówiąc, nie wierzę, żeby zszedł niżej.

– W takim razie złóż zamówienie na drugie pięćset przy cenie sześćdziesięciu.

– Załatwione – powiedział Bob. – Czy coś jeszcze, panie prezydencie?

– Nic innego nie ma znaczenia – odpowiedział prezydent kwaśno i się rozłączył.

Telefon rozdzwonił się niemal w tej samej chwili. Prezydent spojrział na zegarek i

przekonał się, że ma siedem minut na tę rozmowę przez telefon i zrobienie siku, zanim zacznie się następna narada. Westchnął i podniósł słuchawkę.

– Roy FitzWilliams do pana, panie prezydencie.

– Połącz go – rzucił prezydent. Coś kliknęło na linii parę razy i dopiero wtedy mógł zapytać: – Fitz, masz dla mnie odpowiedź?

– Tak myślę, panie prezydencie – oświadczył FitzWilliams ze swojego gabinetu w Indigo Ridge.

– Powiedz mi, że znalazłeś metodę szybszego wydobywania metali ziem rzadkich.

– Bardzo bym chciał, panie prezydencie, ale chyba znalazłem rozwiązanie dotyczące sprawy tylko trochę mniej ważnej. Jak pan wie, do wszystkich płyt głównych komputerów wykorzystuje się metale ziem rzadkich. Myślę, że jeśli natychmiast zapoczątkujemy rządowy programu recyklingu na szeroką skalę, będziemy w stanie uzyskać wystarczająco dużo pierwiastków, żeby powiedzmy za półtora roku zrealizować pierwsze zamówienie Departamentu Obrony.

– Półtora roku! – Prezydent dosłownie zerwał się z fotela. – Szefowie Sztabów Połączonych powtarzają, że Departament Obrony potrzebuje tych dostaw na wczoraj, ale zgadzają się na osiem miesięcy.

– Osiemnaście miesięcy to wszystko, co mogę zrobić – powiedział FitzWilliams – chyba że rząd zdecyduje się na natychmiastową wymianę wszystkich własnych komputerów na nowe.

Dobry Boże, pomyślał prezydent, próbując obliczyć koszty. Kongresowa komisja nadzoru będzie mnie miała na widelcu. Wiedział, że znalazł się między młotem a kowadłem.

– Zobaczę, co da się zrobić, Fitz – powiedział. – Ale musisz uruchomić Indigo Ridge tak szybko, jak się da.

– Spotkam się z zarządem NeoDyme i spróbuję ich przekonać do masowego zatrudniania ludzi.

Prezydent chrząknął.

– Akcje idą w górę jak burza, więc pieniądze nie powinny stanowić problemu.

FitzWilliams się roześmiał.

– Tak, panie prezydencie. Ja już zbiłem fortunę.

• • •

Don Fernando pojawił się ponownie.

– Jasonie, Essai wrócił i pyta o ciebie. Jest w bibliotece.

To po wschodniej stronie domu. Tymczasem Kaja i ja zajmiemy się obiadem.

Bourne przeszedł przez salon i skręcił w boczny korytarz prowadzący do biblioteki. Był to kwadratowy pokój, przestronny i widny, niepodobny do większości bibliotek. Półki z książkami stały tam przy ścianach po obu stronach podwójnych okien. Umeblowanie stanowiło kilka rozstawionych bezładnie foteli, wyglądających na wygodne, z poduszkami obszytymi materiałem w marokański wzór.

Jalal Essai stał na środku pokoju, palce złożone w daszek trzymał przed sobą na wysokości piersi. Odwrócił się, gdy tylko Jason wszedł do środka.

Jak zwykle trudno było odgadnąć, w jakim jest nastroju.

– Przypuszczam, że masz całkiem sporo pytań, które chciałbyś mi zadać. – Wskazał gestem parę foteli z wysokimi oparciami. – Dlaczego nie mielibyśmy siedzieć wygodnie w czasie tej rozmowy?

Usiedli naprzeciwko siebie.

– Nie ma sensu rozmawiać, Jalalu, jeśli nadal będziesz mnie okłamywał – oświadczył Bourne.

Essai złożył dłonie na udach. Wydawał się całkowicie odprężony.

– Zgoda.

– Nadal pracujesz dla Domny?

– Nie pracuję, i to od jakiegoś czasu. Nie kłamałem w tej sprawie.

– A ta smutna historia o twojej córce?

– Niestety, to również prawda. – Essai uniósł palec wskazujący. – Ale nie powiedziałem ci wszystkiego. Została zabita, owszem, ale nie zrobili tego agenci Domny. Nigdy nie dopuściliby się czegoś takiego. – Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. – Moją córkę zamordowali agenci Semida Abdul-Qahhara. – Przekrzywił głowę. – Słyszałeś o tym człowieku?

Bourne skinął głową.

– Jest przywódcą Meczetu z Monachium.

– Rzeczywiście. – Essai pochylił się nieco do przodu, mięśnie torsu lekko mu się napięły. – To właśnie Abdul-Qahhar wykorzystał powstałe okoliczności, żeby dogadać się z Benjaminem El-Arianem.

– Jakie okoliczności?

– Ach, teraz dochodzimy do sedna rzeczy. – Essai odrzucił do tyłu głowę. – Ta kobieta tutaj. Opowiedziała ci swoją historię?

Bourne przytaknął.

– Jej ojciec jest kluczem do zagadki, dlatego Domna pozwoliła Abdul-Qahharowi wejść na swój teren.

– To nie była umowa?

– Och, tak, ale pytaniem pozostaje, jakiego rodzaju była to umowa – odparł Essai. – Pewna bezbronność, jaką Domna poczuła, kiedy twoja dawna organizacja, Treadstone, wzięła ją na cel, zmusiła El-Ariana do układania się z Meczetem.

Bourne nic nie powiedział. Już drugi raz usłyszał o poczuciu bezbronności Domny. Problem polegał na tym, że po prostu w to nie wierzył. Albo Essai ponownie go okłamywał, albo nie znał prawdziwych powodów, dla których Semid Abdul-Qahhar został zaproszony i wpuszczony do Domny. Najbardziej niepokoiło Bourne'a to, że sądząc po wszystkim, czego udało mu się dowiedzieć, Domna miała zbudować most między Wschodem a Zachodem – podjąć szlachetną próbę nauczania obu kultur życia ze sobą w pokoju. Dlaczego w takim razie pozwolono Semidowi Abdul-Qahharowi, arabskiemu ekstremiście strojącemu się w piórka pokornego muzułmanina, zaburzyć starannie wyważoną równowagę w Domnie? Nic tu nie trzymało się kupy. Jason wpatrywał się w Essaia. Po raz kolejny nie umiał odgadnąć, czy ten człowiek jest jego przyjacielem, czy wrogiem.

– Chcesz wiedzieć, dla kogo pracował Christien Norén, prawda?

– Wszyscy w tym domu chcą się tego dowiedzieć. – Essai odchylił się do tyłu. –

Myśleliśmy, że Kaja zna tę tajemnicę albo chociaż da nam jakieś wskazówki. To dlatego don Fernando chciał, żebym przywiózł ją tutaj z Vegasem.

– Czemu nie powiedziałeś mi tego w Kolumbii?

– Jej ojciec miał zlecenie na twojego dawnego szefa. Chodziły słuchy, że byłeś z nim blisko. Nie miałbym pewności, że zrobisz to, co trzeba, gdybyś wiedział, kim Rosie jest naprawdę.

To wyjaśnienie brzmiało logicznie i możliwe nawet, że było prawdziwe, ale z Essaiem nigdy nie wiadomo. Don Fernando twierdził, że to patologiczny kłamca, zresztą Jason sam się wcześniej tego domyślił. Z drugiej strony, potwierdzenie własnych domysłów bywa pomocne.

– A gdybym się nie zgodził?

Essai wzruszył ramionami.

– Negocjowałem tę sprawę z Robertem Corellosem, kiedy spadłeś mi z nieba, jak dar od Allaha. – Uśmiechnął się. – Zdaje się, że zaczyna ci to wchodzić w krew. – Uniósł rękę, lecz zaraz ją opuścił. – Tak czy inaczej, to wszystko, co wiem.

Prowadzenie rozmowy z Essaiem było wyczerpującym zajęciem: słuchanie go i próba domyślenia się, co naprawdę mówił albo, znacznie częściej, czego nie mówił.

– Niestety, nic z tego nie przybliżyło nas do odkrycia, co kombinuje Donna.

– Jest jeszcze coś. – Essai ponownie wychylił się do przodu, a jednocześnie zniżył głos. – Benjamin El-Arian jeździł potajemnie do Damaszku. Dowiedziałem się o tym zupełnie przypadkowo dzięki Estevanowi Vegasowi. Przeglądając rachunki Estevana, odkryłem rozbieżność w sumach. Przyjrzałem się temu i natrafiłem na bilet pierwszej klasy z Paryża do Damaszku. Gdy pokopałem głębiej, pojawiło się nazwisko El-Ariana. I nie była to jego pierwsza podróż do stolicy Syrii. El-Arian płacił za bilety, uszczuplając zyski z eksportu przechodzące przez pola naftowe w Kolumbii, którymi Vegas zarządza dla don Fernanda.

– Masz jakieś domysły, co mógł robić w Damaszku?

Essai pokręcił głową.

– Jeśli o to chodzi, utknąłem w ślepych zaułku. Ale wydaje mi się, że to ma coś wspólnego z grupą, dla której pracował Christien Norén.

– To bez sensu – skomentował Bourne. – Faceci, którzy ścigali Kaję i jej siostry, byli Rosjanami.

Essai wstał.

– Niemniej na podstawie tego, co wiem od moich kontaktów w Damaszku, choć nie udało im się odkryć zbyt wiele, powiązanie jest możliwe.

Bourne zastanawiał się, dlaczego Essai tak gorliwie zajmował się odkryciem prawdy o pracodawcy Christiena Noreéna. I wtedy, niczym grom z jasnego nieba, przyszła mu do głowy odpowiedź. Essai nie wierzył w pobudki El-Ariana, którymi ponoć kierował się przy zawieraniu umowy z Meczetem. Był równie sceptyczny jak Bourne. Wychodził z założenia, że prawdziwa przyczyna stanie się jasna w chwili, gdy zostanie wyjaśniona tajemnica Christiena Noreéna.

– Wspominałeś o tym wszystkim don Fernandowi?

Essai posłał mu enigmatyczny uśmiech.

– Tylko ty i ja o tym wiemy.

Boris stał nieruchomo. Ulica śmierdziała rybami i starym olejem do smażenia. Odgłosy ruchu ulicznego przypominały brzęczenie rozżłoszczonego roju os. Zaczik szedł wolnym krokiem, jakby w ogóle niczym się nie przejmował. Wzrok miał przez cały czas utkwiony w Karpowie. Wyglądał bardzo elegancko w długim, czarnym, kaszmirowym płaszczu, czarnych rękawiczkach z koziej skóry i czarnych półbutach na tak grubych podszewkach, że ukrycie tam stalowego ostrza było dla Borisa oczywiste. To stara sztuczka jeszcze z czasów KGB: stal okazywała się bardzo przydatna, gdy w bójce używano nóg. Niektóre rzeczy, pomyślał Boris, nigdy nie wychodzą z mody, nawet wśród pokolenia internetu.

Kiedy Zaczik doszedł do miejsca, gdzie u wylotu ulicy stało dwóch mężczyzn, powiedział:

– Kurwa, Karpow, może mimo wszystko wcale nie jesteście dobrym kandydatem na mojego mentora.

Boris wskazał ruchem brody na zbirów.

– Może zapytasz o opinię jednego ze swoich towarzyszy, tego z twarzą podziurawioną metalem?

Zaczik otworzył usta, odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

– Oj, wy, ludzie starej daty – powiedział.

Dokładnie w tej samej chwili Boris wbił prawy łokieć w jabłko Adama uzbrojonego bandyty. Jednocześnie wyrwał mu broń lewą ręką. Pistolet wypalił, ogłuszając całą trójkę. Boris strzelił w zbira z bliska z tokariewa. Mężczyzna wygiął się do tyłu i uderzył o ceglana ścianę, na której zostawił po sobie plamę krwi godną testu Rorschacha.

Zaczik zaczął wychodzić z szoku, kiedy Boris chwycił go za tył miękkiego kołnierza i rozkwasił mu twarz o mur na krwawą plamę.

– I co tam widzisz, Zaczik, co? Powiedz, fiucie. – Boris odciągnął Zaczika od ściany. Przerzucił się na akcent wykształconego Brytyjczyka: – Powiedziałbym, Zaczik, staruszkule, że kaszmirowy płaszcz za pięć tysięcy dolarów cały ubrudziłeś sobie krwią. Nie wspominając o błyszczących butach. Kto je szył? John Lobb?

Zaczik, najwyraźniej zupełnie zbity z tropu, spróbował kopnąć Borisa butem nafaszerowanym stalą, ale Karpow bez trudu zrobił unik.

– Ho, ho – powiedział i mocno grzmotnął agenta SWR w tył głowy. – Coś mi się zdaje, że potrzebna ci lekcja dobrego wychowania.

Zaczik dał sobie spokój z próbą wyrwania się Karpowowi i wycierał teraz krew z twarzy. Pękła mu górna warga, a prawe oko zaczynało puchnąć, szybko zmieniając kolor na niebieskofioletowy.

Boris szarpał go tak mocno, że Zaczik dzwonił zębami.

– Masz tu jeszcze w pobliżu jakichś kumpli z SRW?

Agent pokręcił głową.

– Odpowiadaj, kiedy mówię do ciebie! – wrzasnął Boris.

– Było... było nas tylko trzech.

– Pewnie uznałeś, że to i tak więcej, niż potrzeba na załatwienie takiego starucha jak ja, co, fiucie? Nie kręć głową, bo i tak wiem dokładnie, co masz w tym ptasim mózdzku.

– Wszystko... wszystko źle zrozumieliście. O kurwa. – Zaczik wysmarkał zakrzepłą krew,

która przylepiła się do coraz większej plamy na ścianie.

– W porządku, fiucie, powiedz mi, co źle zrozumiałem. – Docisnął lufę tokariewa do miękkiego ciała Zaczika między dolną szczęką a szyją. – Ale jeśli nie spodoba mi się twoja odpowiedź... bum!

– Mu... muszę usiąść. – Zaczik bardzo szybko oddychał.

Skóra na jego twarzy między zakrwawionymi fragmentami stała się blada. Boris pociągnął go na drugi koniec ulicy, gdzie leżały drewniane skrzynki pachnące świeżymi pomarańczami. Zaczik, wyraźnie wdzięczny, opadł na jedną z nich i dłońmi zakrył głowę, jakby się spodziewał, że Boris zacznie go bić bez powodu.

Przy tym końcu ulicy ruch samochodowy był znacznie mniejszy, ale przechodniów kłębił się tłum. Szczęściem zaczęła się już godzina szczytu. Wszyscy się spieszyli do domów, zatopieni we własnych myślach, i nikt nie zwracał uwagi na boczną uliczkę, co najwyżej ten czy ów przelotnie w nią zerknął. Niemniej Boris nie chciał zostawać tam dłużej, niż było to konieczne.

– Weź się jakoś w garść, Zaczik, i powiedz, co masz do powiedzenia.

Agent zadrżał lekko, owinął się ciaśniej kaszmirowym płaszczem.

– Uważacie, że przygotowaliśmy zasadzkę na was i tamtą kobietę.

– Nie udawaj, że nie wiesz, kim była.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. – Błada jak ściana twarz Zaczika przypominała pobojuwisko. Był kompletnie wykończony. – Nie przyjechałem tutaj, żeby was śledzić. Nie ustawiłem zasadzki i to właśnie chciałem wam powiedzieć tam, na miejscu, w tłumie.

Boris przypomniał sobie, że Zaczik coś krzyczał, ale w panującym harmidrze i przy wyjących syrenach policyjnych nie dosłyszał nawet słowa.

– Gadasz bez sensu – mruknął. – Masz dokładnie dziesięć sekund, żeby wszystko wyjaśnić.

Zaczik zamrugał oczami.

– Beria wysłał mnie tutaj, żeby miał oko na Czerkiesowa.

Cała krew odpłynęła z twarzy Borisa.

– Wiktor jest tutaj?

Zaczik skinął głową.

– Nie miałem pojęcia, że jesteście w Monachium, aż do chwili, gdy zobaczyłem was na ulicy. Uwierzcie mi, byłem równie zaszokowany waszym widokiem, jak wy moim.

– Nie wierzę ci – odpowiedział Boris.

Zaczik wzruszył ramionami.

– Więc co dalej?

– Przekonaj mnie.

Krew ponownie zaczęła lecieć Zaczikowi z nosa, dlatego odchylił głowę do tyłu.

– Mogę wam załatwić spotkanie i rozmowę w Meczecie.

– Mów.

Zaczik zamknął oczy.

– Tak od razu? Nie wydaje mi się. Chcę waszego słowa, że wyjdę z tego żywy.

Boris obserwował język ciała Zaczika, bo od dawna uważał to za sprawdzoną metodę ustalania, czy ktoś kłamie.

– Jeśli staniesz się moimi oczami i uszami w SWR, wtedy wyjdiesz żywy z tej ulicy. To jedyny sposób.

– Chcecie, żebym szpiegował Berię? Jeżeli on to odkryje, zabije mnie.

Boris wzruszył ramionami.

– To zadbaj o to, żeby tego nie odkrył. Dla takiego cwane go fiuta jak ty to nie powinno być trudne.

– Nie znacie Berii – rzucił Zaczik kwaśno.

Boris uśmiechnął się krzywo.

– Dlatego mam ciebie.

Zaczik podniósł na niego wzrok i jednocześnie oblizał posiniaczone, opuchnięte usta. Prawe oko miał niemal zupełnie zamknięte. Boris skrzyżował ramiona na piersi.

– Wygląda na to, fiucie, że potrzebujemy się wzajemnie.

Agent oparł głowę o ścianę budynku.

– Będę wdzięczny, jeśli przestaniecie mnie tak nazywać.

– A ja będę wdzięczny za kilka odpowiedzi. Wchodzisz w to czy nie?

Zaczik głośno zaczerpnął powietrza.

– Wygląda na to, że jednak będziecie moim mentorem.

Boris odchrząknął.

– Jeśli nie ty urządziłeś zasadzkę, to kto?

– Kto wiedział, że przyjdziecie do Monachium?

– Nikt.

– No to „nikt” urządził zasadzkę. – Usta Zaczika wykrzywiły się w parodii uśmiechu. – Ale to rzecz jasna niemożliwe.

Oczywiście, że niemożliwe, pomyślał Boris. Nagle zaczął mieć problem z oddychaniem.

Zaczik musiał zauważyć zmianę na jego twarzy, bo powiedział:

– Życie jest bardziej skomplikowane, niż się wam wydawało, co, generale?

Czy tym razem ten fiut może mieć rację? – zastanawiał się Boris. Ale to nie wchodzi w grę. To nie do pomyślenia. Bo istniała jeszcze tylko jedna osoba, która wiedziała, że wybierał się do Monachium: jego stary przyjaciel Iwan Wołkin.

Rozdział 21

Każde spotkanie z M. Errolem Danzigerem było dla Christophera Hendricksa wyjątkowo nieprzyjemnym doświadczeniem, tym razem miał jednak pewność, że będzie inaczej.

Porucznik R. Simmons Reade, ryba pilot i wazeliniarz, który nie odstępował Danzigera, zjawiał się jako pierwszy. Był chudym indywiduum o oczach łasicy, pogardliwym stosunku do świata i manierach demonicznego sierżanta od musztry w koszarach komandosów. Tych dwóch spędzało ze sobą tyle czasu, że za ich plecami nazywano ich Edgar i Clyde, co wprost odnosiło się do J. Edgara Hoovera i Clyde'a Tolsona, dwóch najbardziej nikczemnych, skrytych gejów w agencji.

Danziger pasował do tego jak ulał. Był niski i w odróżnieniu od czasów, gdy działał w terenie, nabierał sadła w talii, co było nieomylną oznaką zbytniego gustowania w stekach, frytkach i bourbonie. Jego głowa przypominała piłkę futbolową, a osobowość szła z tym w parze: był twardy, z ambicją wypunktowywania rywali i nieustanną skłonnością do szukania skrótów przy pierwszej nadarzającej się okazji. Problem polegał na jego ciągłym awansowaniu. Wcześniej śmiertelnie niebezpieczny przy mokrej robocie, niemal bystry jako zastępca dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego odpowiedzialny za przekazy wywiadowcze, ich analizę i zastosowanie, okazał się totalnym debilem jako dyrektor Centrali Wywiadu. Nie czuł jej historii, nie miał pojęcia, jak CI pracuje, i co najgorsze ze wszystkiego, wcale się tym nie przejmował. Skutki przypominały próby wepchnięcia kołka do kwadratowego otworu. Nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć. Niemniej rzeczywistość nie zrobiła nic, żeby powstrzymać Danzigera przed dokonywaniem spustoszeń w uświęconej tradycją siedzibie Agencji.

– Witam w gabinecie dyrektora – powiedział porucznik Reade ceremonialnie niczym pałacowy kanclerz. – Proszę usiąść.

Hendricks rozejrzał się po przestronnym gabinecie Danzigera i zastanawiał się, co ten facet robi w takim pokoju? Gra w kręgle? Przeprowadza turnieje łucznicze? Strzela z wiatrówki Czerwony Kapturek?

– Gdzie pański rekin, Reade? – rzucił z zimnym uśmiechem.

Porucznik zamrugął powiekami.

– Przepraszam, nie rozumiem.

Sekretarz skwitował to machnięciem ręki.

– Nieważne – mruknął.

Zdecydował się na fotel, na którym Danziger siedział w czasie ich ostatniego spotkania w tym miejscu.

Reade zrobił krok w jego stronę, bardzo sztywny.

– Przepraszam, ale to fotel dyrektora.

Hendricks usiadł i mościł tyłek na poduszkach.

– Nie dzisiaj.

Reade, z pociemniałą twarzą, miał zamiar coś powiedzieć, kiedy jego pan wszedł do

pokoju. Danziger był ubrany w modny prążkowany garnitur, niebieską koszulę z niemodnymi białymi mankietami i kołnierzykiem i obowiązkowy krawat w paski. Niewielki emaliowy znaczek z flagą amerykańską miał wpięty w klapę. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że zatrzymał się jedynie na ułamek sekundy, gdy zobaczył, gdzie usiadł jego gość. Tyle że Hendricks i tak to zauważył.

Zmuszony zająć miejsce na fotelu stojącym naprzeciwko, ostentacyjnie podciągnął nogawki spodni nad kolanami, a potem obciągnął w dół mankiety koszuli, zanim się odezwał.

– Miło cię tu wiedzieć, panie sekretarzu – powiedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.
– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

To jasne, że wie, pomyślał Hendricks. Pobiegł z płaczem do koleżków generałów w Pentagonie, a ci odwołali się do prezydenta. Gdzie twoja łopatka i wiaderko, Danziger? – pomyślał i się uśmiechnął.

– Czy twoja wizyta łączy się z czymś zabawnym? – zapytał dyrektor CI.

– Ach, nie. Przelotna myśl, to wszystko.

Danziger rozłożył ręce.

– Może się nią podzieliś?

– Dotyczyła spraw osobistych, Max.

M. Errol Danziger nie znosił, gdy zwracano się do niego, używając pierwszego imienia, i dlatego skrócił je w pełnym brzmieniu nazwiska do inicjału.

Reade nadal przebywał w gabinecie i z tego, co Hendricks wiedział, najchętniej piłowałby teraz paznokcie.

– Czy ten chłopak musi tu być? – Hendricks pomyślał, że widok Danziguera i Reade'a wzdrygających się dokładnie w tej samej chwili to interesujące doświadczenie.

– Porucznik Reade wie wszystko, o czym ja wiem – odpowiedział dyrektor Centrali Wywiadu po chwili lodowatego milczenia.

Mimo to Hendricks nie powiedział już nic więcej. Po dłuższej chwili Danziger załapał, o co chodzi. Uniósł rękę powolnym ruchem niczym król ze Starego Świata i rzucając Hendricksowi mordercze spojrzenie, odprawił Reade'a.

– Naprawdę nie powinieneś stawiać go w tak niezręcznej sytuacji – wymamrotał.

– Co to ma być, Max? Groźba?

– Proszę? Nie. – Danziger poruszył się nerwowo w fotelu. – Nic bardziej odległego od prawdy.

– Aha. – Hendricks wychylił się do przodu. – Posłuchaj, Max, najpierw coś sobie wyjaśnijmy. Reade nic mnie nie odchodzi, a jego odczucia mam głęboko w dupie. A skoro już o nim mowa, nie chcę go widzieć ani z nim rozmawiać, kiedy spotkamy się następnym razem. Czy to jasne?

– Jak słońce – odpowiedział Danziger zduszonym głosem.

Hendricks wstał bez żadnego ostrzeżenia i ruszył w kierunku drzwi.

– Zaczekaj chwilę – powiedział Danziger. – Nawet nie zaczęliśmy...

– Masz tę robotę, Max.

Dyrektor CI zerwał się na równe nogi.

– Co? – Poszedł za Hendricksem.

Już przy drzwiach sekretarz odwrócił się do niego.

- Chciałeś Samarytanina, więc jest twój.
- A co z tobą?
- Wychodzę z tego, Max. Zabieram swoich ludzi.
- Ale co ze wstępną pracą, którą już wykonali?
- Wszystko przeszło przez niszczarkę dzisiaj rano. Wiem, że masz własne sposoby działania.

Hendricks otworzył drzwi szarpnięciem, na wpeł oczekując, że zaskoczy Reade'a z uchem przytkniętym do drewna.

- Od tej chwili odpowiadasz za bezpieczeństwo Indigo Ridge.

• • •

Maggie słyszała szyfrowaną komórkę nawet przez sen. Dzwonkiem był fragment z trzeciego aktu *Walkirii*. Nie lubowała się w muzyce Richarda Wagnera, kochanej przez nazistów, niemniej naprawdę podobał się jej *Pierścień Nibelunga*. Obróciła się. Powieki miała ciężkie, nadal sklezione snem. Po powrocie do mieszkania po lunchu z Christopherem wczołgała się do łóżka i bardzo szybko zasnęła. Była w samym środku snu, w którym ona i Kaja kłóciły się zawzięcie o to, o co kłóciły się przez prawie całe dzieciństwo. Prawdę mówiąc, gardło ją bolało, jakby krzyczała na jawie tak samo jak we śnie. Wrzeszczenie na Kaję nigdy nie skutkowało. Po co zatem to robiła? Ich relacje, sekrety, jakie znały o sobie, sprawiały, że konflikty były nieuniknione. Gdyby były braćmi, kończyłoby się walką wręcz, a tak, radziły sobie jak umiały, niemniej pole działania miały bardzo ograniczone, więc w końcu nie mogły na siebie patrzeć. Było niemal pewne, że gdyby okoliczności ich nie rozdzieliły, i tak każda poszłaby własną drogą. Ale we śnie Maggie tęskniła za siostrą. Mikaela nigdy się jej nie śniła, lecz Kaja tak. Na jej widok Maggie roniła śnione łzy, pękało jej śnione serce. Kiedy jednak zaczęła się ich śniona rozmowa, nieodmiennie już w pierwszych słowach pojawiał się jad: kochające się siostry wylewały na siebie żółć, nie mogąc znaleźć porozumienia. W ostatnich dniach kłótnie dotyczyły zmarłego ojca. Ich wspomnienia o nim tak bardzo się różniły, jakby był dwiema osobami. Awantury zasmucały ją i złościły jednocześnie.

Kiedy horda walkirii najeżdżała jej świadomość, Maggie przewróciła się na bok i wpatrywała złowrogo w komórkę leżącą na szafce nocnej. Wiedziała, kto do niej dzwoni: Benjamin El-Arian był jedyną osobą, która znała ten numer.

Mocno naciskając kciukami na powieki, próbowała zupełnie się rozbudzić, choć ignorowała telefon. Zamiast odebrać, zaczęła patrzeć na wieczorne cienie kładące się na suficie. Walkirie umilkły w połowie nuty. W upiornej ciszy pomyślała o Benjaminie. Pozostawało tajemnicą, co takiego w nim ją pociągało. Wydawał się bowiem częścią innego życia, innej osoby.

Ameryka ją zmieniała. Maggie podróżowała do bardzo wielu miejsc na świecie, ale wcześniej nie była w Stanach Zjednoczonych. Benjamin zaszczepił jej pogląd, że to kraj skorumpowany i zły, który stał się bardzo słaby po serii dyplomatycznych i militarnych porażek. Brakowało jej jednak własnego doświadczenia, którym mogłaby podeprzeć tę opinię. Teraz, gdy już się tu znalazła, gdy spędziła trochę czasu z Christopherem w samym środku prężnego serca kapitalizmu, jeśli można tak powiedzieć, Ameryka jawiła się jej jako

dynamiczne, żywotne państwo, w którym kipiało od różnic. Krótko mówiąc – była do zaakceptowania.

Podczas podróży do Damaszku zrozumiała specyficzną, zawziętą i pełną goryczy niechęć Benjamina do Ameryki. Udawała, że się z nim zgadza, bo chciała być blisko niego, ale dopiero teraz, kiedy na własne oczy zobaczyła zaprzysięgłego wroga Benjamina, zdała sobie sprawę z głębi jego złudzeń.

Mimo że spędziła z nim tyle czasu, ciągle nie miała pojęcia, czy ukrywał przed zarządem Domny poglądy ekstremisty aż do chwili, gdy przejął władzę, czy też zaszczepił mu je później Semid Abdul-Qahhar.

Gardziła przywódcą Meczetu, człowiekiem, który żył jedynie nienawiścią tak czystą i niesłabnącą, że w jego świecie nie było miejsca na kompromis. Jeśli istniało Zło, Zło pisane dużą literą, jak w Kościele katolickim, Maggie była pewna, że podtrzymywała je i karmiła podobna nienawiść.

W pierwszej chwili nie wiedziała, co myśleć o sojuszu między tymi dwoma mężczyznami, ale stopniowo, sądząc po wydarzeniach, których była świadkiem, stało się jasne, że Benjamin wykorzystuje Abdul-Qahhara jako źródło nacisku pozwalające mu konsolidować i zachować władzę, a także trzymać w ryzach pozostałych dyrektorów. Na własne oczy widziała skutki działań Abdul-Qahhara, gdy jeden z dyrektorów okazał się na tyle głupi, żeby publicznie krytykować El-Ariana. Zwłoki owego dyrektora wyglądały tak diabolicznie obrzydliwie, że instynkt samozachowawczy kazał jej natychmiast wyprzeć ich obraz do domeny sennych koszmarów. Z całego zarządu tylko Jalalowi Essaiovi udało się przeżyć mimo odszczepieństwa i jedynie on szukał teraz możliwości pozbawienia El-Ariana roli przywódcy. Rzezie dokonywane przez Abdul-Qahhara nie zdołały uciszyć jego głosu i dlatego El-Arian wysłał Marlona Etanę, żeby się zajął Essaiem.

Doskonale wiedziała, jak bardzo ryzykowną grę prowadzi z Benjaminem, lecz nieugięcie podążała ścieżką, którą wybrała. Miała świadomość, że trzymanie na smyczy jej – córki Christiena Noréna – El-Arian uważał za zabawne. Ona zaś postępowała zgodnie z bardzo szczegółowym planem, dbała o to, żeby dostawał, czego chciał: kogoś, kto ulegałby zupełnie jego woli. Jej ojciec – pracujący potajemnie dla innej organizacji – zdradził Domnę. A takiego grzechu Benjamin nie wybaczał. Miała świadomość, że pewnego dnia grzech Christiena Noréna zostanie przerzucony na nią. Sztuka polegała na tym, żeby zniknąć, zanim ten dzień nadejdzie.

A teraz była w Ameryce, w miejscu, w którym, jak na ironię, czuła się bezpieczna. Nie chodziło o reakcję na bogactwo kultury, bo w większej jej obfitości pławiła się już w Paryżu, a raczej o wolność słowa, możliwość wypowiedzenia na głos własnych myśli, bycia tym, kim chciała być, bez obaw o narażenie się na śmieszność lub reprymendę. To nowe życie bardzo różniło się od jej dzieciństwa, które wydawało się odległe o całe lata świetlne. Istniał powód, dla którego wymyślono kiedyś określenie Nowy Świat, i w pewnych kołach ten powód nie stracił na aktualności. Czy to dziwne, że nie chciała wracać do życia w Domnie u boku Benjamina El-Ariana? Coraz wyraźniej widziała, że już niedługo uwolni się od El-Ariana i Domny. Albo to, albo będzie martwa.

Muzyka z *Walkirii* rozległa się ponownie, sprawiając, że Maggie zacisnęła zęby. Tym razem jednak musiała odebrać telefon.

Biorąc komórkę do ręki, zawahała się przez moment, a potem ją odblokowała.

– To nie jest odpowiednia chwila – powiedziała.

– Dla ciebie najwyraźniej żadna chwila nie jest odpowiednia. – Niezadowolenie Benjamin nie było niczym maskowane. – Spóźniasz się już o dwa dni z raportem.

Maggie zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że wbija mu nóż w serce.

– Praca w terenie to praca w terenie – skwitowała. – Byłam zajęta.

– A co dokładnie robiłaś?

– To, co przewidywał nasz plan: zdyskredytowałam Christophera Hendricksa, żeby nie doszło do prześwietlenia FitzWilliamsa przed fazą przejęcia.

– I? Nie widziałem żadnych negatywnych doniesień dotyczących Hendricksa.

– Oczywiście, że nie widziałeś – odpowiedziała krótko. – Czy myślisz, że coś takiego da się załatwić w siedemdziesiąt dwie godziny? On jest sekretarzem obrony Stanów Zjednoczonych.

El-Arian milczał przez chwilę.

– Jakie zrobiłaś postępy?

Maggie usiadła. Wsunęła sobie poduszkę za plecy.

– Twój głos nie robi na mnie wrażenia, Benjaminie – powiedziała, a potem siedziała w milczeniu, zdecydowana nie odezwać się słowem, dopóki on nie spuści z tonu.

– Praca w terenie to praca w terenie, jak sama wspomniałaś – mruknął w końcu El-Arian. Jego milczenie trwało znacznie dłużej niż normalnie.

Dochodząc do wniosku, że na bardziej wylewne przeprosiny nie ma co liczyć, przestała się dąsać.

– Myślisz, że ktoś poza mną dałby radę odsunąć Hendricksa w tak krótkim czasie?

– Nie, absolutnie nie.

Kolejne ustępstwo. Jak dużo szczęścia może dopisać dziewczynie? – zastanawiała się w myślach.

– Legenda, którą przygotowałeś, okazała się idealna pod każdym względem – powiedziała.

Prawdę mówiąc, to ludzie znajdujący się znacznie niżej w łańcuchu pokarmowym Domny opracowali tożsamość Margaret Penrod, ale odrobina pochlebstwa jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Zwłaszcza teraz, pomyślała, gdy stąkam po bardzo kruchym lodzie.

– A co powiesz o samym Hendricksie? – zapytał El-Arian.

– Owinięty wokół palca – odparła. – Całkowicie. – To dziwne, jak bardzo ją zaniepokoiło powiedzenie tego na głos Benjaminowi.

– W porządku, nadszedł czas, żeby go wciągnąć.

– Powoli – powiedziała. – Nie możemy sobie pozwolić, żeby na tym etapie nabrał podejrzeń.

El-Arian odchrząknął.

– Skaro, za dwadzieścia cztery godziny przejmowanie wejdzie w fazę końcową. Musimy się zgrać z tym terminem.

Dwadzieścia cztery godziny, pomyślała. Tylko tyle czasu mi zostało?

– Doskonale to rozumiem – rzuciła. – Możesz na mnie liczyć.

– Zawsze na ciebie liczę – odpowiedział. – Do usłyszenia wkrótce.

Skara rzuciła telefonem przez pokój.

Hendricks stał w garażu budynku będącego kiedyś siedzibą Treadstone, który rozkazał opuścić natychmiast po detonacji bomby w samochodzie. Była to jego druga wizyta na miejscu zamachu. Pierwszy raz pojawił się tam w godzinę po eksplozji. Wtedy też rozkazał falandze agentów federalnych dokładne przeszukanie najbliższej okolicy i domu Petera, a nie wiedząc, czy eksplozja nie przeniosła Petera Marksa do Królestwa Niebieskiego, utworzył grupę zadaniową do przeprowadzenia śledztwa w tej sprawie.

Zespół medycyny sądowej ustalił, że Petera nie było w samochodzie. To jedyna dobra wiadomość. Ale gdzie się podział? Grupie zadaniowej nie dopisało szczęście i nie odnalazła go. Hendricks dzwonił na komórkę Marksa, lecz podobnie jak wcześniej łączył się do razu z pocztą głosową. Połączył się potem z Ann w tymczasowym biurze zorganizowanym dla personelu Treadstone, ale nie miała żadnych wieści od Marksa. Poddał się wtedy i opuścił miejsce zamachu.

Wrócił do domu wcześniej, niezapowiedziany. W czasie gdy ochrona sprawdzała pokoje, szukając elektronicznych urządzeń podsłuchowych, jak to się odbywało dwa razy w tygodniu, poszedł do kuchni i nalał sobie piwa. Stał i patrzył na ludzi wykonujących swoją pracę, dokładnych i spokojnych jak mrówki. Ponownie wziął telefon do ręki i spróbował połączyć się z synem, ale bez powodzenia. Widocznie Jack nadal przebywał na wysuniętej pozycji w górach Afganistanu.

Wypił połowę piwa, gdy ochroniarze mijali go, pozdrawiając skinieniem głowy – wracali na pozycje przed domem. Odstawił szklankę i wszedł do gabinetu. Zamknął za sobą drzwi. Okna zasłaniały żaluzje o szerokich listwach. Nigdy ich nie otwierał. Siadając przy biurku, wyciągnął niewielki kluczyk z portfela i włożył go do zamka niższej szuflady po lewej stronie. Wyjął z niej małe dysk, wielkości mniej więcej połowy jego kciuka. Wiedział, co to jest, ale wcześniej nie widział tego wynalazku. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego ochroniarze, przeszukując cały dom, nie znaleźli tej elektronicznej pluskwy.

Czystym przypadkiem natrafił na nią dziesięć dni wcześniej. Kiedy w pośpiechu szukał na biurku teczek z dokumentami, dostarczonej przez kuriera, podniósł szklaną wieżę Eiffla, która zawirowała kolorami. Amanda kupiła ją dla niego, gdy pierwszy raz pojechali do Paryża. I dlatego po jej śmierci była to ukochana pamiątka. Cztery nogi wieży pokrywał filc, ale kiedy ją unióś, zauważył, że jeden z filcowych krążków został zastąpiony dziwną, budzącą przerażenie elektroniczną pluskwą.

Natychmiast przysły mu do głowy dwa wytłumaczenia. Pierwsze – że umieścił ją tam ktoś z grupy ochroniarzy, a potem celowo ignorował przy przeczesywaniu domu. A drugie – pluskwa była tak zaawansowana technologicznie, że stała się niewidzialna dla elektronicznych wykrywaczy. Żadna z tych hipotez nie była pocieszająca, niemniej druga bardziej go niepokoiła, bo oznaczała, że nieznana jednostka dysponuje sprzętem szpiegowskim znacznie wyprzedzającym wyposażenie amerykańskiego rządu. Popytał o to dyskretnie tu i tam, pociągnął za język ludzi siedzących głęboko w środowisku wywiadowczym, o których sądził, że będą mogli powiedzieć mu, czy w rządzie istnieje jakaś koteria kopiąca pod nim dołki. Jak do tej pory najdrobniejsza wskazówka nie potwierdzała działania takiej grupy.

Wpatrywał się teraz w pluskwę, nieciekawie srebrnozieloną, prawie nieróżniącą się od

filcowych podkładek z pozostałych nówek wieży. Celowo się jej nie pozbywał, kładł na biurku i wykonywał nieszkodliwe telefony, bo nie chciał, by właściciel urządzenia wiedział, że je znalazł. To właśnie przez tę pluskwę podniósł na daleko bardziej skomplikowany poziom komunikowanie się z Peterem. Odłożył ją na miejsce, zamknął szufladę i przekręcił kluczyk w zamku.

Otworzył laptop, zalogował się do rządowego serwera, na którym przechowywał dane, przeszedł do szyfrowanego pliku i otworzył go. Liczyło się Peterowi na plus, że zdołał objąć wyobraźnią system i wejść do zaszyfrowanego pliku w jego komputerze. Wiadomość zawierała szczegóły odkryć dokonanych przez Marksa. Na regionalnym spotkaniu w Katarze wiosną 1968 roku Fitz widniał na liście uczestników jako konsultant El-Gabal, nieistniejącej już państwowej firmy wydobywczej. Marksa zainteresowało to – podobnie jak teraz Hendricksa – że Fitz nie umieszczał pracy dla El-Gabal w swoim CV.

W świetle przeprowadzonego przez Marksa śledztwa mogłoby się okazać, że pomijanie tego faktu było jak najbardziej uzasadnione, pomyślał Hendricks. Jeśli Marks znalazł coś więcej o Fitzu, to na skutek próby zamachu na własne życie mógł potajemnie wyjechać, żeby samemu to sprawdzić. Może skontaktował się z Sorayą. Hendricks dzwonił do niej na komórkę, ale nie odbierała. Wyjął telefon komórkowy, wyszedł z gabinetu, szedł do holu, a potem w łazience poodkręcał krany.

W Paryżu było po dwudziestej pierwszej, dlatego zadzwonił do Jacques'a Robbineta do domu. Odebrała żona, Robbinet nadal był w pracy. Musiał zająć się jakimś międzynarodowym incydentem. Zaniepokojony tym Hendricks wybrał numer jego biura. Kiedy go łączono, wpatrywał się w opustoszały dom i nie po raz pierwszy całym sercem pragnął usłyszeć krzątającą się Amandę, porządkującą szafy, bo uwielbiała to robić. Posmutniał, uświadomiwszy sobie, że szaf nikt nie tykał od jej śmierci. Zastanawiał się, jak wyglądałby dom, gdyby Maggie zamieszkała w nim na stałe.

Robbinet w końcu odebrał:

– Chris, właśnie miałem do ciebie dzwonić. Obawiam się, że doszło do pewnego niemiłego wydarzenia.

– Jakiego wydarzenia? – Ze spoconymi dłońmi Hendricks słuchał Robbineta, który opowiedział mu o spotkaniu u Marchanda, o tym, jak Soraya, Aaron Lipkin-Renais i Egipcjanin Chaltum śledzili dyrektora Monition Club i o późniejszym rozwoju wypadków.

– Więc Chaltum nie żyje. – Jezu, ale bajzel, pomyślał Hendricks. Szef Muchabaratu zamordowany na francuskiej ziemi. Nic dziwnego, że Robbinet nadal tkwi w biurze i spędzi tam prawdopodobnie całą noc. – Sorai nic się nie stało?

– Z tego, co mówi Aaron, to nie.

– Jak mam to, do cholery, rozumieć?

– Nadal jest nieprzytomna.

Hendricksowi zrobiło się niedobrze. Otworzył apteczkę na całą szerokość, poszukał omeprazolu i połknął go bez popijania. Wiedział, że przesadza z ilością tego leku, ale co tam!

– Będzie żyła?

– Lekarze wciąż ją badają...

– Cholera, Jacques, musisz zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Aaron mówi, że lekarze...

– Zapomnij o Aaronie – powiedział Hendricks. – Chcę, żebyś ty był przy niej, Jacques.
Milczenie przez kilka sekund.

– Chris, jestem po kolana w gównie przez morderstwo Chaltuma.
– Zabił go arabski ekstremista z północnej Afryki.
– Tak, ale we Francji. Ambasada Egiptu szaleje. Hendricks zastanawiał się przez chwilę.
– Coś ci powiem, ja zajmę się Egipcjanami, jeśli ty zajmiesz się Sorayą.
– Mówisz poważnie?
– Absolutnie poważnie, Jacques, uznam to za osobistą przysługę.
– Cóż, to będzie osobista przysługa również z twojej strony, jeśli zdejmiesz mi z karku Egipcjan. Mamy tu dość problemów z Arabami i bez smrodu, jaki się rozejdzie, kiedy dziennikarze dowiedzą się o tej sprawie.
– Nie dowiedzą się – zapewnił Hendricks ponuro. – Jacques, zrób, co masz zrobić, ale postaw moją dziewczynkę na nogi.
– Odezwę się, jak tylko będę wiedział coś nowego, Chris. – Podał Hendricksowi nowy numer szyfrowanej komórki. – Postaraj się nie denerwować.
Ale Hendricks nie potrafił zapanować nad emocjami. Cholera, pomyślał, gdy się rozłączył i zaczął przewijać listę kontaktów w telefonie w poszukiwaniu numeru egipskiego prezydenta, co się dzieje z moimi ludźmi?

• • •

Don Fernando czekał w korytarzu, gdy Bourne i Essai wyszli z biblioteki.

– Chciałbym zamienić z tobą słowo, Jasonie.
Essai skinął mu uprzejmie głową i poszedł dalej korytarzem.
– Jak poszło? – zapytał don Fernando.
– Zobaczymy – odpowiedział Bourne.
Don Fernando wyjął z kieszeni cygaro, odgryzł końcówkę i zapalił.
– Przypuszczam, że zastanawiasz się, dlaczego trzymałem to wszystko w tajemnicy przed Estevanem – powiedział otoczony kłębamii aromatycznego, niebieskawego dymu.
– To twoja sprawa, jak postępujesz z przyjaciółmi – skwitował Bourne.
Don Fernando przez chwilę mierzył go wzrokiem.
– Lubię cię, Jasonie. Bardzo cię lubię. Dlatego nie obrażam się, kiedy w twoim głosie słyszę naganę. – Milczał przez moment, wyjął cygaro z ust i wpatrywał się w rozżarzony koniec. – Przyjaźń może przybierać wiele form. Jako człowiek, który jadł chleb z niejednego pieca, na pewno o tym wiesz. – Popatrzył Bourne’owi w oczy. – Ale mam świadomość, że nie jesteś taki jak inni. Jesteś wymierającym gatunkiem, przyjacielu, prawdziwą pozostałością z czasów, kiedy sumienie, honor, obowiązek i przyjaźń były święte.
Mimo tych słów Bourne milczał. Nie lubił, gdy mówiono mu, jakim jest człowiekiem, nawet jeśli była to prawda.
– A teraz przejdziemy do trudniejszej części. – Don Fernando ponownie włożył cygaro w kącik ust. – Wpadłeś Kai w oko.
– To trochę staroświeckie określenie.
Hererra skinął głową.

– Dobrze zatem. Zakochała się w tobie.
– To szaleństwo. Wbrew temu, co twierdzi, ona mnie nienawidzi za to, że zabiłem jej matkę.

– Jakaś jej część na pewno. Ale to część, która nigdy cię nie poznała i która pamięta jedynie widok martwej matki na marmurowym postumencie. Zbudowała wokół tego całą historię. A potem zjawiłeś się ty, mężczyzna z krwi i kości. I poznała szczegóły dotyczące śmierci matki. Wydaje mi się, że na żadną z tych rzeczy nie była przygotowana.

Zaciągnął się cygarem.

– Spójrz na to z jej punktu widzenia. Pojawiasz się i ratujesz ją i Estevana, i to nie raz, a trzy razy, przed ludźmi Domny i ludźmi, dla których pracował jej ojciec. Nie wiedziała o tobie nic, a na pewno nie to, że zabiłeś jej matkę. Teraz walczą w niej dwie osoby.

– To nie moje zmartwienie – odpowiedział Bourne.

Don Fernando palił cygaro, wypuszczając kłęby dymu, które otaczały ich niebieskawą mgłą.

– Nie wierzę, żebyś naprawdę tak myślał.

– Nie kocha Vegasa?

– O to sam będziesz musiał ją zapytać.

– Mam taki zamiar – oświadczył Bourne. – I bez wybuchów zazdrości Vegasa sytuacja jest wystarczająco skomplikowana.

– Kaja jest w loggii.

– Stąd nie widać loggii – powiedział Bourne.

– Wiem, gdzie są wszyscy moi goście.

Bourne zastanawiał się nad tym – nigdzie nie widział kamer.

Don Fernando się uśmiechnął.

– Idź do niej, Jasonie. Wyprostuj wszystko, zanim dojdzie do awantury i poleje się krew.

• • •

– Więc to będzie tak – instruował Zaczik. – Kontakt czeka przy bocznym wejściu do Meczetu. Powiecie do niego: „Nie ma Boga poza jedynym Bogiem”, a on odpowie: „Bóg jest dobry. Bóg jest wspaniały”.

Boris i Zaczik ukryci w najgłębszym cieniu przyczaili się o jedną przecnicę od Meczetu wznoszącego się złowieszczą na tle nieba nad gwarным Monachium.

– Znasz tego człowieka – powiedział Boris.

Zaczik skinął głową.

– Na pozór pracuje w Meczecie, ale...

– Rozumiem.

Zaczik spojrział na zegarek.

– Już czas – mruknął. – Powodzenia.

– Nawzajem. – Boris spojrział na niego ostatni raz. – A tak przy okazji, wyglądasz fatalnie.

Agent SWR uśmiechnął się żałośnie.

– Nic nie trwa wiecznie.

Boris ruszył ulicą, wtapiając się w tłum przechodniów. Starannie dobierał szybkość kroków. Był ekspertem w niknięciu na zatłoczonej ulicy. Zaczik nigdy nie osiągnie takiego mistrzostwa.

Jednocześnie zastanawiał się, na ile może zaufać agentowi SWR. W tym interesie nic nie było pewne, pozostawało jedynie wnikięcie do psychiki drugiej osoby i pociąganie za odpowiednie sznurki. Spędzili razem niewiele czasu, ale za to równie intensywnie jak dwóch żołnierzy w okopie na froncie. Czuł, że z psychologicznego punktu widzenia dobrze przejrzał Zaczika.

Zbliżał się do bocznego wejścia do Meczetu, nie miał już drogi odwrotu. Musiał zaufać Zaczikowi.

Przy drzwiach stało dwóch mężczyzn rozmawiających ze sobą po cichu, ale na widok Borisa jeden z nich od razu odszedł. Karpow zbliżył się do tego, który został, niskiego faceta o szerokich ramionach. Kręcona gęsta broda sięgała mu do piersi. Cuchnął tytoniem i zatęchłym potem.

– Nie ma Boga poza jedynym Bogiem – powiedział Boris.

– Bóg jest dobry. Bóg jest wspaniały – odpowiedział mężczyzna i odwracając się, wprowadził go do Meczetu.

Zdjął buty i obmył dłonie w kamiennej fontannie. Karpow zrobił to samo. Mężczyzna poprowadził go wąskim, słabo oświetlonym korytarzem. Mijali kwadratowe pomieszczenia bez drzwi, gdzie poruszały się jakieś cienie i słychać było szepczące głosy przypominające chrobot robaków. Z dalszej odległości doszła Borisa skandowana modlitwa, niskie i wysokie zawodzenia muezina przemawiającego do wiernych. Wszystko było tam przytłaczające, ciasne. Wyciągał szyję, żeby zobaczyć coś więcej przed sobą.

Skręcili w lewo, potem w prawo i jeszcze raz w prawo. To miejsce jest jak labirynt, pomyślał Boris. Niełatwo byłoby się stąd szybko wydostać. W końcu kontakt zatrzymał się przed drzwiami. Odwrócił się do Borisa i powiedział:

– Do środka.

– Ty pierwszy – polecił Boris.

W chwili gdy mężczyzna ponownie stanął do niego plecami, Boris położył rękę na kolbie makarowa. Mężczyzna znowu odwrócił się przodem do niego, pokręcił głową i wyciągnął rękę.

– To jedyny sposób – oznajmił.

Boris wyciągnął makarowa, rozładował go i włożył kule do kieszeni. Potem oddał pistolet.

Mężczyzna wziął od niego broń, przeszedł przez próg, a Boris ruszył jego śladem. Znaleźli się w małym kwadratowym pokoju z jednym oknem znajdującym się na wysokości piersi. Miało półprzezroczyste szyby i przypominało okno rozetowe, podświetlane słońcem lub latarniami z ulicy.

Potęźnie zbudowany człowiek z brodą, wyglądającą na przetłuszczoną, siedział po turecku na dywanie do modlitwy. Rozmawiał z dwoma mężczyznami, którzy natychmiast wstali i odeszli na bok. Boris zauważył, że zajęli pozycje po obu stronach pomieszczenia, stając plecami do ściany.

Potężny mężczyzna przecesał grubymi palcami skołtunioną brodę, czarną jak jego oczy.

– Jesteś z SWR? – zapytał flegmatycznym głosem. – Od Zaczika?

Boris skinął głową.

– Chcesz wypytać o Wiktora Czerkiesowa – powiedział mężczyzna. – Po co tu przyszedł, z kim się widział i czego się dowiedział.

– Zgadza się.

– To informacja, którą trudno uzyskać. Co więcej, wystawia mnie na pewne niebezpieczeństwo. – Potężny mężczyzna odchrząknął. – Jesteś gotów zapłacić.

Ponieważ nie zabrzmiało to jak pytanie, Boris zachował milczenie.

Mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając parę złotych siekaczy. Reszta jego zębów wyglądała na omszałe. Rozszedł się od niego nieprzyjemny smród, jakby jedzenie gniło mu w ustach albo żołądku.

– No to idźmy dalej.

– Ile...?

Mężczyzna uniósł mięsistą rękę.

– Ach, nie, nie potrzebuję więcej pieniędzy. Ty chcesz ode mnie informacji, ja chcę od ciebie tego samego.

Boris kątem oka obserwował dwóch mężczyzn przy ścianach. Wydawali się zainteresowani jedynie światłem wpadającym do środka przez okno.

– Jakich informacji?

– Znasz człowieka o nazwisku Iwan Wołkin?

Pytanie niemal zaparło Borisowi dech w piersi.

– Tak, słyszałem o nim.

Potężny mężczyzna ściągnął usta, pełne i czerwone. Na tle brody wyglądały obscenicznie.

– Nie o to pytałem.

– Poznałem go – odpowiedział Boris asekuracyjnie.

Coś się zmieniło w czarnych oczach mężczyzny.

– W takim razie nie wykluczam, że informacje, które wymienimy, będą dotyczyły tego samego tematu.

Boris rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób. Chcę wiedzieć, po co Czerkiesow został tu przysłany. Wołkin w ogóle mnie nie interesuje.

Potężny mężczyzna chrząknął i splunął do niewielkiego naczynia z brązu, stojącego z boku.

– Widzisz, Czerkiesow przyjechał tu zobaczyć się z Wołkinem.

• • •

Bourne znalazł Kaję w loggii, gdzie stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Obserwowała słowika śmigającego między gałęziami drzewa, jakby szukał drogi do domu. Bourne zastanawiał się, czy robiła to samo.

Poruszyła się, słysząc jego kroki, ale nie odezwała się, dopóki słowik nie usiadł na gałęzi i nie zaczął trelu. Do tego czasu Bourne stanął już obok niej.

– Nie wydajesz się zaskoczona moim widokiem – powiedział.

– Miałam nadzieję, że przyjdiesz. Bo wtedy byłoby jak na filmach.

– Nie zrobiłaś na mnie wrażenia romantyczki.

– Nie? – Stała za nim, przeniosła ciężar ciała z jednego biodra na drugie. – A jakie wrażenie na tobie zrobiłam?

– Myślę, że jesteś osobą, która zrobi wszystko, żeby dostać to, czego chce.

Westchnęła.

– Myślisz, że złamię serce Estevanowi.

– To prosty człowiek o prostych potrzebach – odpowiedział Bourne. – A ty wręcz przeciwnie.

Popatrzyła na własne stopy.

– Chyba masz rację.

– Estevan był jedynie środkiem do celu.

– Przez pięć lat było mu ze mną dobrze.

– Bo uwierzył w to, co mu powiedziałaś. – Bourne odwrócił się do niej. – Myślisz, że zakochałby się w tobie, gdyby wiedział, kim naprawdę jesteś i do czego jest ci potrzebny?

– Nie wykluczałabym tego. Tak.

Stała twarzą do niego. Światło księżyca rozjaśniło jej policzki, ale oczy pozostały w cieniu. W obwieszonych girlandami zieleni loggii don Fernanda jej dojrzałe, obfite kształty jeszcze bardziej się uwypukliły. Bourne nie miał wątpliwości, że celowo tak się ustawiła, by osiągnąć maksymalnie zmysłowy efekt. Dobrze wiedziała, jaką mocą dysponuje, i nie bała się z niej korzystać.

– Nie chcę więcej rozmawiać o Estevanie.

– Możliwe, ale muszę wiedzieć...

Ujęła w dłonie jego twarz, zbliżyła usta do jego warg.

– Chcę rozmawiać o nas.

I wtedy Bourne zrozumiał. Widział pożądanie płonące w jej oczach, lecz nie było to pragnienie w tradycyjnym rozumieniu. On, podobnie jak wcześniej Vegas, był jedynie środkiem do celu. Zależało jej wyłącznie na poznaniu prawdy o ojcu. Mężczyzna mógł tego dokonać, kobieta nie, dlatego zmieniła się w seryjną kochankę. Wiązała się z każdym facetem, który jej zdaniem, mógł ją przybliżyć do tego celu.

– Don Fernando błędnie uważa, że się we mnie zakochałaś.

Zmarszczyła czoło.

– Błędnie?

Zaraz potem przysunęła się jeszcze bardziej i mocno pocałowała go w usta. Przyłgnęła do niego. Bourne czuł na sobie każdą krągłość jej kobiecego ciała.

– Przestań – zażądał, odpychając ją.

Pokręciła głową, lekko rozchyliła usta.

– Nie rozumiem.

Zastanawiał się, czy aby nie wmówiła sobie, że jest w nim zakochana. Czy w taki sam sposób, oszukując samą siebie, udało się jej nabrać Vegasa?

– Rozumiesz bardzo dobrze – powiedział.

– Mylisz się. – Znowu pokręciła głową. – Strasznie się mylisz.

• • •

– Amun! – krzyknęła Soraya, odzyskując przytomność.

– On nie żyje, Sorayo.

Aaron pochylił się nad nią. Widać było, że się martwi.

– Pamiętasz?

Wtedy sobie przypomniała: schodzenie w ciemność, walkę z Donatienem Marchandem, Amuna wbiegającego po schodach, strzały, krew i upadek. Oczy piekły ją od łez ściekających z kącików i moczących poduszkę.

– Gdzie...?

– Jesteś w szpitalu.

Odwróciła głowę, nagle świadoma rurek podłączonych do jej ramienia.

– Muszę go zobaczyć – powiedziała.

Kiedy jednak spróbowała się unieść, Aaron delikatnie pchnął ją z powrotem na łóżko.

– I zobaczysz, Sorayo, obiecuję. Ale nie teraz, nie dzisiaj.

– Muszę. – Zdała sobie sprawę, że jej wysiłki są daremne, nie miała w ogóle siły. Nie potrafiła powstrzymać łez. Popatrzyła na twarz Aarona.

– Aaronie, proszę, obudź mnie.

– Nie śpisz, Sorayo. Dzięki Bogu.

– To nie może dziać się naprawdę. – Dlaczego płakała? Miała wrażenie, że w jej sercu powstała ziejąca dziura. Pytanie, czy jej miłość do Amuna była prawdziwa, czy nie, wydawało się nieistotne. Byli kolegami, przyjaciółmi, kochankami – a teraz odszedł na zawsze. Wcześniej doznawała strat i miała do czynienia ze śmiercią, lecz tym razem chodziło o zupełnie inną skalę. Niejasno zdawała sobie sprawę, że płacze i że Aaron ją trzyma, czuła jego woń zmieszaną ze słodkawymi zapachami szpitala. Przywarła do niego. Przedziwne, bo choć Aaron ją obejmował, czuła się bardzo samotna. Tak, naprawdę i w pewnym sensie jeszcze nigdy w życiu nie była tak samotna. Praca wypełniała jej całe życie. Podobnie jak Jason, nie zostawiła w nim wiele miejsca dla kogoś innego – poza Amunem. A teraz...

Oczami wyobraźni zobaczyła Jasona. Pomyślała o stratach, których doświadczył, zarówno osobistych, jak i zawodowych. Przeniosła się myślami do Martina Lindrosa, twórcy Typhona, najbliższego przyjaciela Bourne'a w dawnej Centrali Wywiadu. Śmierć Lindrosa nią wstrząsnęła, ale o ile silniej musiał ją przeżyć Jason. Poruszył niebo i ziemię, żeby ocalić przyjaciela, ostatecznie jednak mu się to nie udało. Wspominanie Jasona sprawiło, że poczuła się mniej samotna, a zarazem jeszcze dotkliwiej zdawała sobie sprawę, że tkwi w potrzasku. Zrozumiała, że musi uciec, przemyśleć wszystko, uporządkować swoje sprawy.

– Aaronie, musisz mnie stąd wydostać – powiedziała z rozpaczą, która przeraziła nawet ją samą.

– Nie masz złamanej żadnej kości, jedynie potłuczone żebra. Lekarze boją się jednak, że mogłaś mieć wstrząśnienie mózgu...

– Mam to w nosie – niemal krzyknęła. – Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej.

– Sorayo, błagam, uspokój się. Jesteś zdezorientowana, to rozumiame, ale...

Odepchnęła go na tyle silnie, na ile mogła.

– Przestań traktować mnie jak dziecko i posłuchaj, co mam ci do powiedzenia, Aaronie. Wyciągnij mnie stąd, do kurwy nędzy! I to już.

Przez chwilę wpatrywał się w jej twarz, a potem pokiwał głową.

– W porządku. Daj mi chwilę na załatwienie wypisu.

Gdy wyszedł z pokoju, Soraya z trudem usiadła. Od razu rozboleła ją głowa, ale nie zwracała na to uwagi. Odkleiła taśmę i wyciągnęła igłę z żyły. Ostrożnie spuściła nogi z łóżka.

Podłoga była zimna. Soraya czuła mrowienie w stopach, gdy spróbowała wstać. Odczekała chwilę, głęboko i równo oddychając, żeby wprowadzić więcej tlenu do organizmu. Trzymając się łóżka, zrobiła kilka niepewnych kroków – jeden, dwa, trzy – niczym dziecko uczące się chodzić. Boleśnie wolno przeszła przez pokój do szafy i wyjęła ubranie. Działała powodowana wyłącznie odruchami. Na sztywnych nogach, jak zombie, dotarła do drzwi i zatrzymała się przy nich, oddychała i odzyskiwała energię.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz, rozglądając się w obie strony. Poza starcem powłóczącym nogami daleko przed nią, który trzymał wieszak na kółkach z woreczkiem, gdzie zbierał się jego mocz, nie było widać nikogo. Po drugiej stronie korytarza wypatrzyła magazynek. Zebrała się w sobie i wyszła z pokoju. Nagle usłyszała zbliżające się głosy. Jeden z nich należał do Aarona. Nie był sam. Zmuszając nogi do ruchu, gwałtownie chwyciła kłamkę drzwi magazynku, otworzyła je i weszła do środka. W chwili gdy drzwi zamykały się automatycznie z cichym westchnieniem, zobaczyła w szparze Aarona w towarzystwie dwóch lekarzy, zmierzających do jej pokoju.

• • •

Bourne i Essai znaleźli Kaję i Vegasa przy wejściu. Frontowe drzwi stały otworem, a dalej widać było don Fernanda dyrygującego ruchem dwóch samochodów na podjeździe.

– Jest dziesiąta – powiedziała Kaja. Wyczuwając, że Bourne i Essai chcieliby z nią porozmawiać, bo pojawili się razem, dodała: – Obiad to rzecz święta dla don Fernanda.

Bourne podszedł do nich.

– Jak się czujesz, Estevanie? Przespałeś wiele godzin.

Vegas położył dłoń na czole.

– Trochę jeszcze ogłupiały, ale lepiej.

Don Fernando zjawił się przy drzwiach.

– Nasze środki transportu przyjechały.

• • •

Ich celem była restauracja z owocami morza po drugiej stronie Kadyksu. Jej przestronny taras wyłożony terakotą przylegał do kamiennego nadmorskiego wału, skąd roztaczał się widok na południową część portu. Łodzie stały na kotwicach i kołysały się lekko na falach. Motorówka rozcinała morze, zostawiając za sobą szybko niknący pas piany. Światło księżyca okrywało wodę niczym srebrzysta mantyla, na niebie świeciło trochę gwiazd.

Kierownik sali, nadskakujący don Fernandowi, zaprowadził ich na zewnątrz do okrągłego stołu blisko kamiennego wału. Restaurację zapełniało wytworne towarzystwo. Złoto i platyna połyskiwały na nadgarstkach smukłych kobiet w pantofelkach od Louboutina, lśniących w świetle świec. Klejnoty zdobiły ich szyje i głębokie dekolty.

– Czuję się jak brzydkie kaczątko – rzuciła Kaja, zajmując miejsce.

– Nonsens, *mi amor*. – Vegas ścisnął jej dłoń. – Nikt tutaj nie przebije cię urodą.

Kaja roześmiała się i pocałowała go, jak się wydawało, z ogromnym uczuciem.

– Co za dżentelmen!

Bourne siedział po jej drugiej stronie. Córka Noréna była odwrócona do Estevana, nadal

trzymali się za ręce, ale jej ciepłe udo ocierało się o nogę Jasona, a ten ruch tworzył między nimi skryty mariaż.

– Co mają dobrego do jedzenia? – zapytał don Fernanda, który siedział po jego prawej stronie. Odpowiedź Hiszpana została zagłuszona warkotem skuterów pędzących nadmorską szosą.

Kelner odkorkował pierwszą butelkę wina z zapasu, który don Fernando przywiózł ze sobą. Wszyscy wypili toast za gospodarza, który powiedział im, że potrawy zamówił z wyprzedzeniem.

Bourne odsunął nogę od Kai, a kiedy odwróciła się i spojrzała na niego pytająco, pokręcił głową, krótko, ale stanowczo.

Zwęziła oczy do szparek, a potem oznajmiła, że musi wstać od stołu, gwałtownie odsunęła krzesło i przemaszerowała przez taras. Don Fernando posłał Bourne'owi ostrzegawcze spojrzenie.

Vegas odłożył serwetkę i miał zamiar się podnieść, kiedy Hiszpan powiedział:

– Estevanie, *calmate, amigo*. To sprawa bezpieczeństwa. Wolałbym, żeby to Jason miał na nią oko.

Bourne wstał, przeszedł przez taras i dotarł do zadaszonej części restauracji, gdzie otoczył go zapach owoców morza gotowanych w marokańskich i fenickich ziołach i przyprawach. Zauważył Kaję wychodzącą frontowymi drzwiami. Przemknął obok stolików zajętych tłumnie przez hałaśliwych gości. Dogonił ją na wąskim chodniku.

– Co ty wyprawiasz?

Odsunęła się od niego.

– A na co to wygląda?

– Kaju, Estevan będzie coś podejrzewał.

Spojrzała na niego nieprzyjemnym wzrokiem.

– I co z tego? Mam już dość was, mężczyzn.

– Zachowujesz się jak rozpuszczone dziecko.

Odwróciła się i wymierzyła mu policzek. Mógł ją powstrzymać, ale pomyślał, że skutki byłyby znacznie gorsze.

– Lepiej ci?

– Nie myśl, że nie wiem, co się tutaj dzieje – oświadczyła. – Don Fernando boi się śmiertelnie, że zdradzę Estevanowi, kim naprawdę jestem.

– Teraz to nie byłby najlepszy moment.

– Lepiej powiedz prawdę. Nigdy nie będzie dobrego momentu.

– Po prostu nie teraz.

– A dlaczego nie teraz? – zapytała Kaja. – On traktuje Rosie jak dziecko. A ja już nie jestem dzieckiem. I nie jestem Rosie.

Bourne obserwował drogę i chmarę młodych mężczyzn na skuterach, śmiejących się pijacko, ścigających się ze sobą, mknących z szatańską prędkością.

– Przywiezienie was obojga do Kadyksu było ryzykowne, ale w przeciwnym razie już byście nie żyli.

– Don Fernando nie powinien nigdy wplątywać Estevana w przemyt dla Domny – zauważyła. – To jasne, że nie odciął się od takiego życia.

– Don Fernando chciał znaleźć wejście – powiedział Bourne.
– Don Fernando wykorzystał Estevana – odparła z pogardą.
– Tak samo jak ty. – Bourne wzruszył ramionami. – W każdym razie mógł przecież odmówić.

Prychnęła.

– Myślisz, że Estevan odmówiłby temu człowiekowi? Wszystko zawdzięcza don Fernandowi.

– *Querida!*

Oboje odwrócili się i zobaczyli Vegasa wyłaniającego się z restauracji. Na jego twarzy widać było troskę.

– Wszystko w porządku? – Podeszedł do niej. – Czy zrobiłem coś, co cię zdenerwowało?

Kaja odruchowo włączyła megawatowy uśmiech Rosie.

– Oczywiście, że nie, *mi amor* – musiała natężyć głos, żeby przekrzyczeć skutery. – Jak mógłbyś zrobić coś, co by mnie zdenerwowało?

Estevan objął ją ramionami i odwrócił tyłem do ulicy. Trzy pociski przemknęły ze świstem obok ramienia i głowy Kai i cisnęły Vegasa do tyłu, wyrywając go z jej objęć. Bourne skoczył na nią i zakrył sobą, gdy biały skuter z uzbrojonym bandytą odjechał błyskawicznie od krawężnika.

– Estevan! – krzyczała Kaja. – Estevan! Och, Boże!

Vegas wylądował pod ścianą restauracji cały we krwi, która obryzgała też biały tynk. Bourne odciągnął Kaję i wepchnął ją w ramiona don Fernanda, który wybiegł z lokalu.

– Znowu spróbowali! – zawołał Bourne. – Zabierz ją do środka.

Zszedł z krawężnika, zbliżył się do młodego człowieka, który podjechał na vespie i przystanął, żeby popatrzeć na zakrwawione ciało. Bourne zrzucił go ze skutera.

Chłopak upadł na jezdnię na plecy.

– Co jest?! – wrzasnął, ale Bourne z warkotem silnika pędził już zakorkowaną ulicą.

Rozdział 22

Peter Marks pogrązał się w nieświadomości i wynurzał z niej jak pływak schwytyany przez prąd odpływowy. Chwilami miał wrażenie, że stoi nogami na solidnym gruncie, by za moment poczuć, że podcina je fala, która potem wciąga go w czerwona ciemność, gdzie nie ma niczego poza zawrotami głowy i bólem.

Słyszał własne jęki i głosy nieznanym mu ludzi, które były odległe albo wytłumione przez warstwy bandaża. Światło zadawało katusze jego oczom. Mógł przyjmować jedynie jedzenie dla małych dzieci, a i to tylko co pewien czas. Wydawało mu się, że umiera, że jest zawieszony między życiem a śmiercią, niechciany obywatel szarawej otchłani. W końcu zrozumiał pełne znaczenie frazy „łożę boleści”.

Niemniej nadszedł czas, gdy ból złagodniał, Peter jadł więcej i dzięki Bogu szarawa otchłań rozwiewała się, zmieniała w krainę snów, tylko na pół pamiętanych, jakby znalazł się w pociągu szybko odjeżdżającym z okropnego miejsca, gdzie utknął w martwym punkcie.

Otworzył oczy. Zobaczył światło i kolory. Zaczerpnął głęboko powietrza, raz, potem drugi. Czuł, jak płuca wypełniają się i opróżniają bez przejmującego bólu, który jak się wydawało, trzymał go w szponach przez wieczność.

– Odzyskał przytomność – powiedział głos nad jego głową, jakby anioł unosił się nad nim, delikatnie poruszając skrzydłami.

– Kto... – Peter obliznął usta. – Kto tu jest?

– Ja, to jest Tyrone, szefie.

Powieki kleiły się Peterowi, wszystko, na co patrzył, otaczała aureola, jakby miał halucynacje.

– Ja... Kto?

– Tyrone Elkins. Z CI.

– CI?

– Zgarnąłem cię z ulicy. Ktoś ci spuścił niezły wpierdol, szefie.

– Nie pamiętam.

Czarna głowa się odwróciła.

– I gówno z tego, Deron. – Potem Tyrone ponownie odwrócił się przodem do Petera i powiedział: – Karetka pogotowia. Pamiętasz karetkę pogotowia, szefie?

Coś zaczynało mu świtać...

– Ja...

– Fałszywa załoga karetki. Wyrwałeś się jakoś z tej karetki, cholera, ale ciągle nie wiem jak.

Pamięć zaczęła nabierać kształtów niczym chmura tworząca się nad horyzontem. Peter przypomniał sobie garaż w siedzibie Treadstone i wybuch. I jak potem został szybko załadowany do ambulansu, i zdał sobie sprawę, że nie wiozą go do szpitala, a sanitariusze są wrogami.

– Pamiętam.

– To dobrze, to bardzo dobrze.

Obok Tyrone'a pojawiła się inna twarz. Tyrone nazywał tego człowieka Deronem. Przystojny czarny mężczyzna mówiący z akcentem brytyjskich wyższych sfer.

– Kim jesteś?

– Przypominasz sobie Tyrone'a? Jest z Centrali Wywiadu. Przyjaźni się z Sorayą. – Przystojny mężczyzna uśmiechnął się do Petera. – Nazywam się Deron. I jestem przyjacielem Jasona.

Mózg Petera potrzebował chwili, żeby zaskoczyć.

– Bourne'a?

– No właśnie.

Zamknął oczy i w myślach dziękował Bogu, że dopisało mu szczęście i trafił do najbezpieczniejszego miejsca w Waszyngtonie.

– Peter, wiesz, kim byli ci ludzie z karetki pogotowia?

Peter gwałtownie otworzył oczy.

– Nigdy wcześniej ich nie widziałem. – Poczł, że serce mu przyspiesza. Zdał sobie sprawę, że ciężko się napracowało, by utrzymać go przy życiu. – Nie mam pojęcia...

– W porządku – mruknął Deron. – Oszczędzaj siły. – Odwrócił się do Tyrone'a. – Możesz się tym zająć? Musi istnieć jakiś policyjny raport ze strzelaniny. Użyj swoich wpływów i spróbuj zdobyć nazwisko zabitego faceta.

Tyrone skinął głową i wyszedł.

Deron wziął plastikowy kubeczek z wodą z zakrzywioną słomką.

– A teraz – powiedział – zobaczmy, czy uda się nam trochę bardziej cię nawodnić.

Ujął ręką tył głowy Petera, uniósł ją delikatnie i podsunął mu słomkę. Peter pił wolno, choć czuł się wyschnięty na wiór. Miał wrażenie, że język mu spuchł i powiększył się dwukrotnie.

– Tyrone opowiedział mi całą historię – odezwał się Deron. – Przynajmniej tyle, ile sam wie. – Wyjął słomkę z ust Petera. – Wygląda na to, że zostałeś porwany.

Peter skinął głową.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – W tej samej chwili Peter sobie przypomniał. Szukał bardzo intensywnie informacji o Royu FitzWilliamsie i firmie El-Gabal z Damaszku, z którą Fitz był powiązany. Jęknął.

– O co chodzi? Coś cię boli?

– Nie, to byłoby zbyt proste – odpowiedział Peter ze smutnym uśmiechem. – Dałem dupy, Deron. Szef mnie ostrzegał, mówił, że muszę być bardzo ostrożny. Pogrzebałem trochę po cichu w firmowym komputerze, który jest połączony z rządowym serwerem.

– Więc ktokolwiek go monitorował, przestraszył się i wysłał ekipę likwidatorów.

– Cóż, najpierw próbowali mnie zabić. – Peter opisał wybuch w garażu. – Ekipa likwidatorów była tam pewnie jako rezerwa.

– Co świadczy zarówno o drobiazgowym planowaniu, jak i organizacji o dużych wpływach i sporej sakiewce. – Deron podrapał się po szczęce. – Powiedziałbym, że masz poważne problemy, gdyby nie fakt, że jesteś szefem Treadstone, o czym wiem od Tyrone'a. Sam dysponujesz niezłą siłą ognia.

– Niestety nie – powiedział Peter. – Soraya i ja dopiero stawiamy Treadstone z powrotem

na nogi. Większość naszego zespołu jest w tej chwili po drugiej stronie oceanu. Struktura w kraju jest dziurawa jak ser szwajcarski.

Deron usiadł i położył łokcie na kolanach. Tracąc zupełnie brytyjski akcent, rzucił:

– Cholera, brachu, kończąc karierę, wylądowałeś w odpowiednim miejscu.

• • •

Bourne skręcił na skuterze za róg i popędził za zamachowcem. Widział go przed sobą na białej vespie, zygzakiem wymijającego pojazdy na drodze wzdłuż wybrzeża. Kierował się na południe. Nie było łatwo go dogonić, ale powoli, na pełnym gazie, Bourne się przybliżał. Uzbrojony bandzior nie oglądał się za siebie, nie wiedział, że ktoś siedzi mu na ogonie.

Przejechał na światłach w chwili, gdy zmieniały się na czerwone. Bourne, pochylony nad kierownicą, ocenił błyskawicznie ruch na prostopadłych ulicach, odbił w lewo, potem w prawo i przemknął przez skrzyżowanie.

Przecnicę dalej zamachowiec zatrzymał się przy krawężniku za czarną furgonetką. Otworzył tylne drzwi i z pomocą kierowcy furgonetki załadował do środka vespę. Potem zatrasnął drzwi i obaj wsiedli do szoferki. Bourne pędził cały czas z pełną prędkością i kiedy furgonetka włączyła się do ruchu, znajdował się nie dalej niż dwa samochody za nią.

Furgonetka zjechała wkrótce z nadbrzeżnej drogi i skierowała się do Kadyksu. Podążała upiornie wąskimi, krętymi uliczkami miasta. W końcu zjechała na bok i zaparkowała przy ulicy zabudowanej magazynami. Kierowca wysiadł i otworzył wjazd – drzwi automatycznie zrolowały się do góry – a potem wrócił do wozu. Bourne zeskoczył ze skutera i puścił się biegiem, kiedy furgonetka wjeżdżała do środka. Drzwi z klekotem zaczęły się opuszczać. W ostatniej chwili zanurkował i przeczołgał się pod nimi.

Leżał na betonowej posadzce, śmierdzącej kreozotem i olejem silnikowym. Jedyne źródłem światła były reflektory furgonetki. Drzwiczki trzasnęły i obaj mężczyźni zeskoczyli na beton. Nie zawracali sobie głowy wylądowaniem skutera. Bourne przyklęknął na jednym kolanie, chowając się za olbrzymią metalową beczką. Uzbrojony bandyta musiał podejść do włącznika, bo pomieszczenie zalało światło z dwóch wiszących u sufitu lamp z zielonymi kloszami. W magazynie najwyraźniej niczego nie było poza kilkoma beczkami i dwoma stosami drewnianych skrzyń. Kierowca zgasił reflektory w samochodzie i obaj mężczyźni podeszli do skrzynek.

– Czy ona nie żyje? – zapytał kierowca po rosyjsku z moskiewskim akcentem.

– Nie wiem, wszystko stało się za szybko. – Zamachowiec położył pistolet na skrzyni.

– Niedobrze, że nie trzymałeś się planu – powiedział kierowca płaczącym tonem, jaki potrafią przybrać tylko Rosjanie.

– Wyszła na zewnątrz – zaprotestował zamachowiec. – Pokusa była zbyt wielka. Ustrzelić ją i zwiewać. Na moim miejscu zrobiłbyś to samo.

Kierowca wzruszył ramionami.

– Cieszę się, że nie jestem na twoim miejscu i tyle.

– Pierdol się – warknął tamten. – Jesteś drugą połową tego zespołu. Jeśli jej nie trafiłem, obaj za to bekniemy.

– Jeśli szef się dowie – powiedział kierowca – nie będziemy mieli czym bekać.

Zamachowiec wziął do ręki pistolet i naładował go.

– Więc?

– Więc dowiemy się, czy ona nie żyje. – Kierowca zmierzył towarzysza wzrokiem. – A jeśli żyje, razem naprawimy twój błąd.

Mężczyźni obeszlili stół skrzyń i otworzyli niewielkie drzwi. Nim jednak zamachowiec wszedł do pomieszczenia, które Bourne uznał za biuro, zgasił światło. Bourne podkraść się do furgonetki, ostrożnie otworzył drzwi od strony kierowcy i przez chwilę myszkował w kabinie, aż znalazł latarkę. Na tyłach natrafił na skrzynkę z narzędziami i wyjął z niej łom. Wrócił potem do stosu skrzyń i przykucnął za nimi tak, że oddziaływały go od drzwi. Zapalił latarkę i omiótł skrzynie snopem światła. Drewno miało dziwny zielonkawy kolor, było gładkie i praktycznie bez żadnej skazy. Oświetlił bok jednej z nich i serce żywiej mu zabiło. Na skrzyni napisano nazwę miejsca jej pochodzenia, przedsiębiorstwo naftowe don Fernanda w Kolumbii.

• • •

Krew zastygła Borisowi w żyłach.

– Czerkiesow przyszedł tu zobaczyć się z Iwanem? – Pokręcił głową. – W to nie uwierzę.

Potężny mężczyzna dał znak jednemu z facetów przy ścianie, który wystąpił naprzód i sięgnął do diszdaszy. Boris naprężył się, ale facet wyciągnął z niej jedynie plik czarno-białych zdjęć o dużej ziarnistości. Podał je Borisowi.

– No dalej, obejrzyj – powiedział potężny mężczyzna. – Z powodu światła będziesz miał pewność, że nie zostały w żaden sposób zmontowane.

Boris wziął fotografie i wpatrywał się w nie, a jednocześnie mózg grzał mu się od myślenia. Czerkiesow i Iwan rozmawiali. Za nimi widać było kawałek wnętrza meczetu. W lewym dolnym rogu zauważył datę umieszczoną przez aparat fotograficzny.

Spojrzał na potężnego mężczyznę siedzącego na dywanie do modlitwy. Nie poruszył się od chwili, gdy Boris został tu przyprowadzony.

– O czym rozmawiali?

Uśmiech pojawił się na wargach potężnego mężczyzny.

– Wiem, kim jesteś, generale Karpow.

Boris stał nieruchomo, ale nie patrzył na siedzącego, tylko na jego pomagierów. Wydawało się, że w dalszym ciągu w ogóle się nim nie interesowali.

– No to masz nade mną przewagę.

– Przepraszam, co?

– Nie wiem, kim jesteś.

Uśmiech się poszerzył.

– Ach, ciekawość! Ale to dla ciebie znacznie lepiej, że nie wiesz. – Odwinął koraliki z palców. – Musimy skupić się na sednie sprawy: na Czerkiesowie i Wołkinie. – Przestał się uśmiechać. – Można powiedzieć, że wiem doskonale o tym, iż FSB-dwa, której teraz szefujesz, i SWR walczą ze sobą na śmierć i życie o władzę.

Boris czekał w milczeniu. Zaczynał poznawać tego anonimowego mężczyznę, jego skłonność do teatralnych pauz i deklaracji, do skrupulatnego odmierzania fragmentów

ujawnianych informacji.

– Ale ta walka o władzę – kontynuował mężczyzna – jest o wiele bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje. Istnieją siły powiązane z obiema stronami, które znacznie przewyższają możliwości FSB-dwa i SWR.

– Zakładam, że odnosisz się do Domny.

Potężny mężczyzna uniósł brwi.

– Między innymi.

Serce Borisa przyspieszyło.

– Są jeszcze inni?

– Zawsze są inni, generale. – Skinął ręką. – Wybacz mój brak manier. Chodź i siadaj.

Boris wszedł na dywan i powoli usiadł po turecku, tak samo jak jego gospodarz, choć zabolalo go przy tym biodro i mięśnie zginacze.

– Pytałeś mnie, o czym Czerkiesow i Wołkin rozmawiali – odezwał się mężczyzna. – O Domnie.

– Wiesz, że Czerkiesow odszedł z FSB-dwa, żeby dołączyć do Domny?

– Tak słyszałem.

Boris mu nie uwierzył. Wyczuwał, że jego gospodarz zatrzymuje pewne informacje dla siebie.

– Czerkiesow ma ambicje, które przynajmniej w tym momencie przekraczają jego władzę.

– Myślisz, że miał już jakiś plan, kiedy dał się wywabić z FSB-dwa?

– Tak – odpowiedział Boris.

– Wiesz, na czym polega?

– Możliwe, że jeden z nas to wie.

Brzuch potężnego mężczyzny zaczął się trząść, a Boris zdał sobie sprawę, że grubas śmieje się bezgłośnie.

– Tak, generale Karpow, to całkiem możliwe. – Gospodarz Borisa zastanawiał się przez chwilę. – Powiedz, byłeś kiedyś w Damaszku?

– Raz czy dwa, tak – odpowiedział Boris, czujny z powodu nagłej zmiany tematu.

– I jak ci się podobał?

– Paryż Bliskiego Wschodu?

– Ha! Tak, przypuszczam, że kiedyś można było tak powiedzieć.

– Damaszek jest piękny – powiedział Boris.

Potężny mężczyzna myślał o tym przez moment.

– Tak, Damaszek jest bardzo piękny, ale to jednocześnie bardzo niebezpieczne miejsce.

– Jak to możliwe?

– Czerkiesow został tu przysłany, żeby rozmawiać z twoim przyjacielem Wołkinem właśnie o Damaszku.

– Czerkiesow nie jest już mile widziany w Rosji – skomentował Boris. – Ale Iwan?

– Twój przyjaciel Wołkin interesuje się, jak byśmy powiedzieli, prowadzeniem interesów w Damaszku.

Boris był zaskoczony. Iwan rozgłaszał wszędzie, że przechodzi na emeryturę i będzie jedynie konsultantem.

– Jaki to rodzaj interesów?

– To coś, co mogłoby popsuć jego dobre stosunki z szefami *gruppiowki*, z którymi od dziesięcioleci robi interesy.

– Nie rozumiem. – W chwili gdy te słowa wyszły z jego ust, Boris zorientował się, że popełnił fatalny błąd. Wyraz twarzy jego gospodarza zmienił się diametralnie, życzliwość i zażyłość rozwiały się jak dym.

– To straszna szkoda – oświadczył potężny mężczyzna. – Miałem nadzieję, że rzucisz jakieś światło na to, dlaczego obaj, Czerkiesow i Wołkin, zainteresowali się Damaszkim. – Pstryknął palcami. Mężczyźni po obu jego stronach wyciągnęli taurusy PT145 millennium, niezbyt duże pistolety, ładowane wielkimi czterdziestkami.

Boris zerwał się na równe nogi, ale dwóch kolejnych mężczyzn z belgijskimi FN P90, niewielkimi pistoletami maszynowymi, pojawiło się w drzwiach.

Zza nich wyłonił się Zaczik z uśmiechem godnym trupiej czaszki.

– Obawiam się, generale Karpow – powiedział – że przestaliście już być potrzebni.

• • •

Bourne wsunął właśnie łom w szczelinę między pokrywą a bokiem skrzynki, kiedy drzwi na zapleczu się otworzyły. Błyskawicznie zgasił latarkę na moment przed tym, gdy dwaj Rosjanie stamtąd wyszli. Zanim jeden z nich zdążył sięgnąć do włącznika światła, Bourne rzucił latarkę daleko od siebie. Kiedy spadła na betonową posadzkę, mężczyźni przestraszyli się, sięgnęli po broń i pobiegli w kierunku źródła dźwięku.

Jason był bliżej zamachowca, bo kierowca wysunął się do przodu. Ścisnął mocniej łom i walnął bandytę w rękę. Pistolet upadł na ziemię. Mężczyzna zawył, kierowca natychmiast się zatrzymał i obracał na pięcie w chwili, gdy Bourne cisnął w niego łomem. Trafił go prosto w twarz. Kierowcę rzuciło do tyłu tak silnie, że upadając, walnął głową o beton, rozłupując sobie czaszkę. Umarł na miejscu.

Bandzior z połamaną prawą ręką zwisającą bezwładnie wyciągnął lewą dłonią pałkę z wbudowanym paralizatorem. Miała czterdzieści centymetrów i mogła paskudnie porazić kopem trzystu tysięcy woltów. Bandyta wymachiwał nią, trzymając Bourne'a na odległość, a jednocześnie napierał na niego i zmuszał do cofania się wzdłuż boku furgonetki. Chciał go zagnać w ślepy róg, gdzie Jason nie miałby szans na manewrowanie i uniknięcie kontaktu z pałką. A wystarczyłoby jedno dotknięcie, by padł bezbronny, wijąc się na posadzce.

Wycofywał się wzdłuż samochodu. Bandzior nie odrywał wzroku od miejsca, w które chciał zagonić Bourne'a, dlatego trochę wolno zareagował, gdy Jason otworzył zamazyście jedno z tylnych drzwi furgonetki i wykorzystał je jako tarczę między sobą a pałką. Jednocześnie grzebał w skrzynce z narzędziami.

Zamachowiec obchodził kraniec drzwi, kiedy Bourne zdjął nakrywkę puszek z emaliową farbą w aerozolu i psiknął mu nią w oczy. Bandzior zrobił krok do tyłu, chwycił się rękami za twarz i zachłystywał powietrzem. Jason walnął go dołem puszek w połamaną rękę. Bandyta jęknął, ból rzucił go na kolana. Bourne zabrał mu pałkę, ale wtedy bandzior rzucił się w jego stronę i chwycił za nogi, chcąc przewrócić. Otworzył usta, żeby zatopić zęby w jego udzie, kiedy Jason wymierzył mu cios w skroń. Mężczyźni zapało dech. Leżał na plecach i palcami zdrowej dłoni usiłował wytrzeć farbę z oczu.

Bourne chwycił go za rękę i odciągnął ją.

– Dla kogo pracujesz?

– Pierdol się – odpowiedział zamachowiec gardłowym głosem.

Bourne ustawił napięcie prądu w pałce i poraził bandytę w bok. Jego ciało wygięło się łukowato, piętami uderzał o beton.

– Dla kogo pracujesz?

Cisza. Bourne zwiększył lekko napięcie i ponownie go poraził.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – Bandzior kaszlał i zaczynał się dławić. W ustach miał pełno krwi, z bólu niemal odgryzł sobie język.

– Nie zapytam ponownie.

– Nie będziesz musiał.

Szczęki bandyty zwarły się i w chwilę później jego pierś zaczęła drgać w konwulsjach. Usta pokryła mu niebieskawa piana pomieszana z krwią. Pochylając się nad nim, Bourne, spróbował rozewrzeć mu szczęki, ale było za późno. Charakterystyczny zapach gorzkich migdałów uderzył go w nozdrza, dlatego szybko się cofnął. Bandzior rozgryzł kapsułkę z cyjankiem.

Rozdział 23

Paryż nocą nie był złym miejscem dla samotnej kobiety. Soraya usiadła w kawiarni, piła podłą kawę i zastanawiała się nad powrotem do palenia. Otaczali ją młodzi artyści, których nigdy w Paryżu nie brakowało, niezależnie od epoki. To, że mieszkańcy stolicy Francji bezustannie kreowali się od nowa, kochała w nich najbardziej. Podczas gdy samo miasto – jego wspaniałe bulwary, równe rzędy kasztanowców, wspaniałe parki, piękne fontanny, wokół których skupiały się niezliczone ponadczasowe kafejki, gdzie można było przesiadywać godzinami i patrzeć na świat przemijający obok – pozostawało niezmienione, młodzi ludzie bez przerwy zmieniali wygląd.

Woda w kanale St. Martin była czarna i połyskliwa jak winyl. Sorayę otaczali zakochani, rowerzyści, roześmiani uczniowie, wytatuowani pisarze i poeci o migdałowych oczach, którzy z nachmurzonymi minami zapisywali od czasu do czasu jakąś myśl.

Każda kafejka miała swoich stałych klientów mieszkających w sąsiedztwie, ale zawsze było tam miejsce dla przypadkowego gościa. Kelnerzy o długich włosach i wąskich biodrach przychodzili i odchodzili, podawali talerze ze stekami i frytkami, stawiali karafki pastisu. Od sąsiednich stolików dochodziły ją rozmowy nie tylko po francusku, ale również po niemiecku i angielsku. Niekończące się dyskusje egzystencjalne nadal były podstawą towarzyskiego życia kawiarnianego.

Oparła na dłoniach obolałą głowę. Zamknęła oczy, ale to wywołało jedynie zawroty. Przestraszyła się i klnąc pod nosem, uniosła powieki. Nie wolno jej zasnąć, dopóki nie miną objawy wstrząśnienia mózgu. Przywołała przechodzącego kelnera i zamówiła podwójne espresso. Wypiła kawę kilkoma łykami, kiedy kelner stał jeszcze obok niej, i poprosiła go o następną. Kiedy ją dostała, wsypała do filiżanki trzy łyżeczki cukru i wypiła powoli. Połączona dawka kofeiny i cukru pokonała jej zmęczenie. Ból głowy złagodniał na chwilę, myśli stały się jaśniejsze.

Zastanawiała się, czy popełniła błąd, uciekając Aaronowi. Jednak coś jej mówiło, że powinna natychmiast wydostać się ze szpitala – to miejsce przypominało jej o śmierci zbyt wielu kolegów. Nie chciał jej w tym pomóc, a nie miała siły i chęci, żeby mu cokolwiek wyjaśniać. Poza tym wolała być sama. Musiała poświęcić chwilę Amunowi.

Była rozdarta wewnątrz. Wydawało jej się, że czarne myśli, jakie o nim miała, brały udział w spisku, żeby go zabić. Zdroworozsądkowo wiedziała, że to szaleństwo, lecz w tym momencie czuła się trochę szalona, trochę poza kontrolą rozumu. Sądziła, że kocha Amuna, ale potem wyrwał się z antysemitką uwagą, i zwątpiła w swoje uczucie. Miłość do niego nie była chyba prawdziwa, skoro jeden paskudny incydent mógł ją zniszczyć. Jednak brakowało jej zupełnej pewności, a teraz już nigdy się tego nie dowie. Spojrzała na kanał, zobaczyła twarz Amuna, chciała, żeby do niej przemówił. Ale martwi nie mówią, nie mogą się tłumaczyć ani przeproszać. Nie mogą wyznawać miłości.

Łzy wezbrały jej w oczach i potoczyły się po policzkach. Świat wydawał się pusty i bezkresny. Amun nie żył i to była jej wina. Poprosiła, żeby dołączył do niej w Paryżu i pomógł

przy śledztwie, a on, powodowany uczuciem, przyjechał. To, co się wydarzyło, było ostateczne i nieuniknione. Nigdy nie powinna wdawać się z nim w romans. Powinna uczyć się od Bourne'a i zachowywać odpowiedni dystans. Ale nie dlatego płakała.

To ja powinnam zostać ukarana, myślała. Nie Amun.

Niezdolna wytrzymać w kafejce ani chwili dłużej, wstała, rzuciła kilka euro na stolik i poszła po błyszczących kocich łbach ku sekretnemu sercu Paryża. Trzy przecznice dalej, trzymając się latarni tak mocno, jakby od tego zależało jej życie, zgięta wpół zwracała zawartość żołądka.

• • •

Zanim Bourne się podniósł, przeszukał obu Rosjan w nadziei, że znajdzie jakąś wskazówkę dotyczącą organizacji, do której należeli. Poza kluczykami do furgonetki, dwoma tysiącami euro, trzema paczkami papierosów i tanią zapalniczką nie znalazł niczego, żadnych sygnetów ani biżuterii. Otworzył usta kierowcy, wydobyl z nich kapsułkę z cyjankiem i schował ją do kieszeni. Potem rozebrał obu, bo pomyślał, że może rozpozna ich przynależność po tatuażach, ale nie mieli na skórze nic takiego. Usiadł ponownie w kucki. Teraz wiedział już, że ci mężczyźni nie należeli do żadnej rodziny *gruppiowki*, ale nie wyglądali też na agentów SWR. Zagadka jeszcze się skomplikowała.

Wstał, podniósł łom i podszedł do drzwi na zapleczu. Za nimi znajdował się krótki cuchnący korytarz prowadzący do ubikacji, której smród sprawił, że oczy zaszczyły mu łzami. Na końcu korytarza odkrył maleńkie biuro z poobijanym metalowym biurkiem i stalową szafką na kartoteki. Przy jedynym oknie był zamontowany klimatyzator.

Szuflady biurka i szafki okazały się puste, w jednej leżał samotny spinacz do papieru. Niemniej trafił na coś interesującego: pod blatem, na wysokości miejsca na nogi była przyczepiona papierowa teczka. Bourne otworzył ją i znalazł dwanaście nalepek spedycyjnych, których liczba idealnie zgadzała się z liczbą skrzyń w magazynie. Wszystkie miały tego samego odbiorcę: El-Gabal, Avenue Choukry Kouatly, Damaszek, Syria.

Teraz naprawdę zapragnął wiedzieć, co zawierały te skrzynie. Zamykał teczkę, gdy usłyszał hałas otwieranych frontowych drzwi i warkot silnika samochodowego. Szybko odłożył teczkę w to samo miejsce. Rozległy się jakieś głosy, a potem krzyki wszczynanego alarmu. Podszedł do okna, otworzył je i wyszedł na zewnątrz.

Nie było stamtąd żadnej możliwości opuszczenia się na dół, musiał piąć się w górę. Odwrócił się, zamknął okno, co powinno dać mu najmniej kilka minut. Budynek, otynkowany na biało, nie miał żadnych uchwytów dla rąk ani oparcia dla nóg. Bourne chwycił się rynny i zaczął wspinać.

• • •

Kamienica pod numerem piątym przy rue Vernet była oświetlona jak w sylwestrową noc. Co najmniej pół tuzina samochodów Quai d'Orsay stało zaparkowanych przed frontem, cały teren był otoczony kordonem policyjnym i patrolowany przez funkcjonariuszy uzbrojonych w pistolety maszynowe.

Jacques Robbinet zastał Aarona w siedzibie Monition Club, dyrygującego kadrą agentów

przeczysujących labirynt pomieszczeń biurowych. Nieliczny personel pracujący na nocną zmianę przyglądał się temu, zamarły w szoku.

- Czego szukacie? – zapytał Robbinet.
- Wszystkiego. Czegokolwiek – odpowiedział Aaron.
- A Soraya Moore?
- Zniknęła.
- Co?
- Wyszedłem na chwilę z jej pokoju, a kiedy wróciłem... – Wzruszył ramionami.
- I teraz jesteś tutaj, zamiast jej szukać?
- Przeszukałem cały szpital. Potem wysłałem dwa zespoły, żeby szukały jej w mieście. Robbinet nie odrywał od niego wzroku.
- Nie uznałeś jednak za wskazane, żeby samemu się tym zająć.
- Niech pan posłucha, Marchand był skumany z grupą arabskich terrorystów. To stało się już sprawą bezpieczeństwa narodowego.
- Ty mi mówisz, co jest sprawą bezpieczeństwa narodowego? – Robbinet wziął Aarona za łokieć i odprowadził na bok, z dala od pozostałych agentów. Głosem tak cichym, że nikt inny nie mógł go usłyszeć, powiedział: – Poprosiłem cię, żebyś zajął się tą kobietą, Aaronie, i oczekiwałem, że mnie posłuchasz. Ona jest wyjątkowo ważną osobą.
- Rozumiem – odparł Aaron. – Ale wydarzenia w piwnicy uniemożliwiły...
- ...wykonanie polecenia, które ci wydałem? – dokończył za niego Robbinet. – Ta Moore jest jednym z dyrektorów amerykańskiej agencji wywiadowczej. Amerykański sekretarz obrony, mój przyjaciel i jednocześnie odpowiednik, poprosił mnie o przysługę. Teraz ona jest ranna i zaginiona, a ty co robisz? Stoisz tu i patrzysz, jak twoi ludzie pakują papiery do pudeł. Pracę trzeba delegować, Aaronie. Jest bardzo wielu kolegów, którym mógłbyś to zlecić.
- Chciałem osobiście dopilnować skonfiskowania wszystkich komputerów. To właśnie w nich najprawdopodobniej znajdziemy...
- To nie ty podejmujesz takie decyzje, inspektorze. Ponieważ jednak je podjąłeś, kontynuuj.
- Lodowaty ton głosu Robbineta nie ukrywał jego wściekłości. – Wiem, że przynajmniej w tym jesteś kompetentny. – Zaczął odchodzić, ale odwrócił się na chwilę. – Ograniczeni agenci robią ograniczoną karierę.

• • •

Bourne wspinał się po rynnie. W połowie drogi tynk przechodził w horyzontalnie ułożone belki. Okazały się na tyle słabo oheblowane, że znalazł na nich oparcie dla palców nóg, co ułatwiło mu wspinaczkę. Był już blisko dachu, kiedy usłyszał jakichś hałas i zamarł. Trzask zapalanej zapałki dał mu pewność, że ktoś jest na górze, dlatego ruszył dalej powoli i bezgłośnie. Tuż pod dachem poczuł zapach papierosowego dymu i rozróżnił dwa głosy prowadzące cichą rozmowę.

Podciągnął się trochę wyżej i szybko zerknął ponad krawędzią. Dwaj mężczyźni uzbrojeni w karabiny maszynowe rozmawiali leniwie po rosyjsku o dziewczynach i seksie, paląc papierosy. Żaden z nich nie stał zwrócony w jego stronę.

Rynna posłusznie zabręczczała, gdy ją kopnął. Chwilę później jeden z Rosjan wychylił się

ponad dachem. Bourne sięgnął, chwycił go i przyciągnął do siebie. Mężczyzna usiłował walnąć go w nadgarstek, ale musiał się przytrzymać, żeby nie spaść. Zaraz potem wyciągnął nóż i uderzył, celując w nasadę szyi. Bourne szarpnął go mocniej. Rosjanin spadł głową w dół.

Kiedy wdrapał się po ostatnim odcinku rynny, pojawił się drugi wartownik. Jason podciągnął się i wyrzucając przed siebie nogi, ścisnął kostkami nóg jak kleszczami karabin maszynowy i zerwał go z ramienia Rosjanina.

Przez chwilę leżał na gzymsie, łapiąc oddech. Rosjanin zaatakował z furją. Kopał go i próbował zrzucić z dachu, tak że głowa i ramiona Jasona znalazły się poza krawędzią gzymsu. Wartownik sięgnął rękami do gardła Bourne'a i zacisnął na nim palce.

Bourne wsunął przedramiona między ramiona Rosjanina i silnym uderzeniem rozrzucił je na boki, uwalniając szyję. Potem kopnął przeciwnika w twarz. Mężczyzna potknął się i przewrócił. Jason wskoczył z gzymsu na pokryty papą dach i rzucił się na niego. Chwycił go za koszulę i kilka razy uderzył jego głową o twarde podłoże. Wykorzystując oszołomienie przeciwnika, sięgnął do jego ust i wyciągnął stamtąd kapsułkę z cyjankiem o kształcie zęba.

– Kim jesteś? – zapytał. – Dla kogo pracujesz?

Rosjanin oprzytomniał i zaczął zaciskać szczęki.

Bourne pokazał mu ząb z trucizną.

– Tego szukasz?

Rosjanin wpadł w szal, ale Bourne był na to przygotowany i ponownie walnął jego głową o dach.

– Nie masz stąd jak uciec – ostrzegł. – Śmierć będzie bolesna.

Rosjanin popatrzył na niego oczami koloru ziemi.

– Znam cię. Dojebałeś Domnie. Powinniśmy działać razem, a nie próbować się nawzajem zabić.

– Dla kogo pracujesz?

– Zabiorę cię do szefa. On ci to powie.

Bourne zabrał mu całą broń, a potem pozwolił wstać.

– Dla nas jesteś bohaterem – powiedział Rosjanin.

Bourne wskazał kierunek ruchem głowy.

– Chodźmy.

I wtedy Rosjanin zaczął uciekać. Bourne pobiegł za nim przez dach. Złapał go na końcu gzymsu, ale mężczyzna zamiast walczyć, żeby się uwolnić, chwycił go i zaciągnął na krawędź. Gdy szamotali się na rancie, Jason już wiedział, jaki Rosjanin miał cel. Uderzył mężczyznę w podstawę nosa. Chwył ramion zelżał. Bourne wyrwał mu się na chwilę przed tym, zanim Rosjanin poszedł w ślady kolegi i spadł w ciemność.

• • •

Gdy tylko Benjamin El-Arian dowiedział się o śmierci Marchanda, pospieszył do siedziby banku w La Défense. Upewnił się tam, że wszystkie komputery Monition Club zostały odcięte od serwerów, które zainstalował na Gibraltarze. Stworzył ten mechanizm zabezpieczenia na wypadek takiego właśnie obrotu spraw, choć nie wierzył, że kiedykolwiek go wykorzysta.

Teraz kiedy musiał to zrobić, był podwójnie zadowolony z własnej przezorności.

Wpatrując się w noc, przypominał sobie wszystkie swoje decyzje podjęte przez ostatnie pół roku. Czy popełnił jakieś błędy, a jeśli tak, jak poważne mogą okazać się ich skutki?

Prychnął z niezadowolenia, odwrócił się od okna, usiadł u szczytu stołu konferencyjnego i włączył iPada. Co zmusiło Marchanda do spotkania z jego kontaktami spośród terrorystów?

Wykorzystując dwudziestocyfrowe hasło, zalogował się do serwerów Domny i ściągnął wykaz połączeń telefonicznych paryskiego biura z ostatnich trzech dni. Za pomocą programu filtrującego znalazł numery, pod które dzwonił Marchand, a potem poszukał ich w ogólnej bazie numerów telefonicznych. Wszystkie należały do osób, które znał, z jednym wyjątkiem. Mniej więcej na godzinę przed incydem w dzielnicy arabskiej – tu jeszcze raz sprawdził czas – i w kilka minut po wizycie inspektora z Quai d'Orsay i jego gości Marchand dzwonił pod numer, który nie widniał w bazie danych Domny.

Siedział przez moment w bezruchu i wpatrywał się w ten numer. Dlaczego Marchand dzwonił, a nie do niego dzwonił, jak powinno się to odbywać? Chwycił telefon i połączył się z kontaktem w paryskiej prefekturze policji. Obudził go, ale nie było w tym nic szczególnego, faceta hojnie wynagradzano za to, żeby był dyspozycyjny. Podyktował mu numer, a kontakt odpowiedział, że oddzwoni, jak tylko będzie znał odpowiedź.

Wstał i nalał sobie herbaty. O tak późnej porze potrzebował dawki teiny, żeby zachować klarowność myśli. Marchand popełnił fatalny błąd, a to było do niego niepodobne. Podczas wizyty inspektora z Quai d'Orsay musiało wydarzyć się coś, co nim porządnie wstrząsnęło. Niemniej mieszanie w to Arabów było posunięciem najgorszym z możliwych. El-Arian sączył herbatę. Można było pomyśleć, że Marchand zdecydował się na samozagładę i pociągnięcie za sobą całego paryskiego oddziału Monition Club.

El-Arian westchnął. Domna świetnie działała w Paryżu, choć nikt nie używał tu jej nazwy. Monition Club przestał już być potrzebny, zwłaszcza teraz, gdy złoto Salomona zostało zaprzepaszczone. Pocieszał się faktem, że operacja amerykańska postępuje zgodnie z planem. Zerknął na zegarek. Skara miała dwadzieścia godzin na zakończenie swojej misji, a wtedy wszystko będzie zapięte na ostatni guzik. Gospodarczy upadek Stanów Zjednoczonych stanie się nieunikniony.

Telefon zadzwonił. El-Arian chwycił aparat.

– Masz tę informację?

– Tak – odpowiedział kontakt. – Ale nie było łatwo. Musiałem się przebić przez trzy firewalle, żeby znaleźć właściciela tego numeru.

Kiedy powiedział nazwisko, Benjamin upuścił filiżankę razem ze spodkiem. Nawet nie zwrócił uwagi na to, że herbata poplamiała mu spodnie.

Nie, nie, nie, pomyślał. To niemożliwe.

Rozdział 24

Noc. Cisza i bezruch panowały w całym domu don Fernanda. Przez otwarte okna dochodził szum bezkresnego morza, a jego zapach wpływał niczym fale do wszystkich pokoi. Obiad wydawał się dalekim wspomnieniem. Zanim Bourne wrócił do restauracji, don Fernando załatwił już wszystko z policją i zadzwonił do kostnicy.

Zaraz po powrocie do domu Kaja poszła prosto do swojego pokoju. Essai pożegnał się, życząc wszystkim dobrej nocy. Bourne i don Fernando siedzieli przez jakiś czas w gabinecie gospodarza i rozmawiali o śmierci Vegasa. Jason był nieufny. Hiszpan tkwił w tej zagadce po uszy. To on zapoczątkował kontakty Domny z Estevanem Vegasem, rzekomo po to, żeby organizacja mogła używać pól naftowych w Kolumbii do ukrywania przesyłek, jak teraz wszystko wskazywało, kierowanych do Damaszku. Don Fernando utrzymywał, że prowadzi podwójną grę, bo dzięki przesyłkom zbiera informacje wywiadowcze o Domnie – zwłaszcza o El-Ariane, który podróżował do Damaszku bez wiedzy Domny. Jak do tej pory nie budziło to zastrzeżeń. Niemniej odkrycie z tego wieczoru, że magazyn i przesyłki należą do rosyjskiej organizacji, zdecydowanej zabić Kaję, podważyły każde słowo don Fernanda. Czy był w zмовie z tą rosyjską grupą? Jeśli tak, to trzymał w tajemnicy nazwę pracodawcy ojca Kai przed nimi wszystkimi. I znowu Bourne stanął przed dylematem, czy don Fernando jest przyjacielem, czy wrogiem. Z tego powodu nie wspomniał o dwunastu skrzyniach ani o tym, że odkrył, dokąd miały być wysłane. Nie powiedział też Hiszpanowi o swojej potyczce z Rosjanami na dachu magazynu. W ocenzurowanej wersji zabił uzbrojonego bandziora i kierowcę furgonetki przed magazynem.

Don Fernando stanowczo za szybko wypił kilka kieliszków brandy.

– Dziś wieczorem straciłem dobrego przyjaciela – powiedział. Odwrócił się i wpatrywał w drzwi gabinetu. – Chyba nie wytrzymam z nią dłużej pod jednym dachem.

– To nie jej wina.

– Oczywiście, że to jej wina. – Don Fernando dolał sobie alkoholu do kieliszka. – Zrobiłem błąd, dając jej za dużą swobodę ruchu. Poszukiwanie prawdy o ojcu zmieniło się w niebezpieczną obsesję. Ta suka wpakowała nas w to wszystko.

• • •

Dochodziła już trzecia nad ranem, gdy don Fernando odprowadził Bourne'a do jego sypialni, znajdującej się, podobnie jak wszystkie pokoje gościnne, w skrzydle domu przeciwległym do części, którą zajmował gospodarz. Hiszpan zapalił cygaro i delektował się nim w zamyśleniu. Najwyraźniej uspokoił się już po krótkim wybuchu, ale czy naprawdę?

– Dobrze się dzisiaj spisałeś – odezwał się do Jasona, ale myślami przebywał chyba zupełnie gdzie indziej.

– Zjrzę jeszcze do Kai – odpowiedział mu Bourne.

Don Fernando skinął głową, ale po chwili złapał Bourna za ramię. Jego wzrok wskazywał,

że był tu i teraz.

– Posłuchaj, Jasonie, jeśli komukolwiek ma się udać obalenie Domny, to tylko tobie. Pamiętaj jednak, że to współczesna hydra. W tej chwili Benjamin El-Arian jest jej głową, ale są i inne czekające między skrzydłami.

– Myślałem o tym – przyznał Bourne. – Może to nie El-Arianem powinienem się przejmować, tylko Semidem Abdul-Qahharem.

• • •

Bourne zapukał cicho do drzwi sypialni, którą Kaja miała dzielić z Vegasem. Usłyszał stłumiony odgłos, otworzył drzwi i wszedł do środka. Światło było zgaszone. Niebieskawa poświata księżyca padała na łóżko. Kaja leżała na wznak wpatrzona w sufit. Twarz miała ukrytą w cieniu.

– Dorwałeś go?

– Bandzior nie żyje – odparł Bourne. – Razem z kilkoma innymi.

Westchnęła.

– Dziękuję ci.

Łagodny powiew wiatru wpadł przez uchylone okno i poruszył zasłonami.

– To ja zabiłam Estevana. – Głos, zachrypnięty od emocji, zdradził mu, że płakała.

– Nie mów tak.

– Dlaczego? To prawda.

– Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim wykorzystłaś go jako przykrywkę.

Zasłoniła oczy ramieniem.

– Myślałam – powiedziała. – Ale skupiałam się na własnym przetrwaniu.

– Jesteś tylko człowiekiem. – Bourne podszedł i stanął przy łóżku. – Musisz trochę odpocząć.

Gdy odsunęła ramię, żeby na niego popatrzeć, z jej gardła wydobył się śmiech, który w połowie był płaczem.

– Chyba żartujesz.

Usiadł na łóżku obok niej. W nikłym świetle jej blizny odcinały się bielą. Przekręciła głowę na bok i łamiącym się głosem wyznała:

– Dokądkolwiek idę, niosę ze sobą śmierć.

– To brzmi jak kwestia z kiepskiego melodramatu.

– Naprawdę? Estevan przeze mnie nie żyje. Don Fernando w ogóle mnie nie chce. Jestem pewna, że tyle ci powiedział.

Kiedy Bourne położył rękę na jej nadgarstku, wyczuł puls, silny i miarowy.

– Nie mogę tu zostać.

Wiatr poruszył zasłonami. Światło księżyca sprawiło, że pościel lśniła srebrzyście.

Kaja odwróciła głowę do Bourne'a.

– Czy mężczyźni, których zabiłeś, byli Rosjanami?

– Tak. Ale nie z *gruppirowki*.

– SWR?

– Nie przypominali rządowych agentów, których miałem okazję spotkać albo o których

słyszałem.

Uniosła się na łokciach.

– To kim byli w takim razie? Powiedz mi.

Bourne'owi przez głowę przemknęło wspomnienie krótkiej rozmowy z Rosjaninem na dachu. „Dla nas jesteś bohaterem”.

– Kimkolwiek są – powiedział – działają przeciwko Domnie.

Oczy jej błyszczały.

– Nie rozumiem.

– Twój ojciec dla nich pracował, nawet kiedy Domna zleciła mu zabicie Alexa Conklina.

Kaja głośno zachłysnęła się powietrzem.

– Był kretem?

– Tak myślę.

Bourne odetchnął głęboko.

– Myślę też, że don Fernando dla nich pracuje.

• • •

Don Fernando, otoczony chmurą dymu, spoglądał za Bourne'em niknącym w korytarzu. Odwrócił się i zapukał bardzo cicho do jednej z sypialni. Chwilę później Essai wychynął przez szparę w drzwiach.

Don Fernando skinął mu głową. Essai wyslizgnął się z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Przeszedł przez korytarz i otworzył drzwi pokoju Bourne'a.

– Powodzenia – wyszeptał don Fernando.

Essai kiwnął mu głową.

– Jest wyjątkowo niebezpieczny.

– Daj spokój – dopowiedział Essai, wchodząc do pokoju Bourne'a.

Cicho zamknął za sobą drzwi, a don Fernando powlókł się dalej korytarzem.

• • •

Essai usiadł na fotelu w rogu pogrążonej w mroku sypialni Bourne'a. Okno wychodzące na południową stronę domu, gdzie rosły palmy, nie było zasłonięte. Przechodzący przez szybę blask księżyca kładł się niebieskawymi smugami na przeciwległej ścianie. Poza tym mroczne cienie wisiały w pokoju niczym nietoperze. Essai był kompletnie niewidoczny.

Czekając, rozmyślał o własnym życiu, o ścieżce, którą wybrał, i o tych, którymi mógł podążyć. Nie był zadowolony. Cóż, czas na zadowolenie będzie miał po śmierci. Życie polegało na ciągłych zmianach, co oznaczało niepokój, napięcie i konflikty. Największym ciężarem kładło mu się jednak na duszy to, jak łatwo przyjaciele zdradzali, stając się wrogami. Wierzył w Domnę, swego czasu wierzył nawet w Benjaminą El-Ariana. Niewykluczone, że w przypadku El-Ariana karmił się iluzjami. Gdy teraz na to patrzył, potrafił powiązać drobne incydenty, które już wtedy powinny go zaniepokoić i rzucić światło na prawdziwe cele przywódcy Domny. Istotne znaczenie miały jego podróże do Monachium, a potem – wyjazdy do Damaszku. Z perspektywy czasu stało się jasne, że w Monachium spotykał się potajemnie z Semidem Abdul-Qahharem, wykuwając sojusz, który ostatecznie

doprowadził do wynaturzenia szczytnych idei, które przyświecały założycielom Domny.

Nikły dźwięk, nie głośniejszy od chrobotu polnej myszy, przywrócił mu pełną czujność. Zasłony po obu stronach okna poruszyły się, a razem z nimi wzór tworzony przez światło księżyca na ścianie. Niczym chmura przepływająca przed księżycem, pojawił się cień. Przez długą chwilę trwał w bezruchu. A potem, bardzo wolno, przesunął się tak niezauważenie, że gdyby Essai nie wiedział, co się święci, mógłby go wziąć za przelatującą ćmę.

Patrzył przenikliwym wzrokiem, jak okno powoli rozchyła się na tyle, żeby cień mógł bezgłośnie wślizgnąć się do środka.

Dopiero kiedy cień odwrócił się w stronę łóżka, Essai powiedział:

– Jego tu nie ma.

– A gdzie jest? – zapytał Marlon Etana.

– Ostrzegałem cię – rzucił Essai.

Etana powoli odwrócił się do niego.

– Nigdy nie przejmowałem się twoimi ostrzeżeniami.

– Potrzebuję Bourne'a. Powiedziałem ci to jasno dziś po południu na łodzi.

– A dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

Essai odchrząknął.

– Chyba będziesz musiał mi to wyjaśnić.

– Dlaczego?

Jalal przesunął pistolet trzymany w rękę, tak żeby oblało go światło księżyca. Do lufy był dokręcony tłumik.

Etana omiół go wzrokiem, jednocześnie rozbawiony i zrezygnowany.

– Widzisz, Essai, na tym właśnie polega różnica między nami. Sam powinieneś wiedzieć, dlaczego Bourne musi umrzeć, a nie czekać na moje wyjaśnienia.

Essai machnął makarowem.

– Zabaw mnie dykteryjką.

Etana westchnął.

– Bourne zabił naszych ludzi w zeszłym roku w Tineghirze. A przede wszystkim zamordował Idira.

– Idira Syphaxa, tak. – Essai pokiwał głową. – Zatem to prawda.

– O czym ty mówisz? Wiesz, że Idir i ja przyjaźniliśmy się od dzieciństwa.

Essai przechylił lekko głowę.

– Teraz wygląda to na coś więcej niż przyjaźń.

– Nie wiem, co sugerujesz.

– Daruj sobie. – Essai machnął ręką. – Nie jestem takim hipokrytą jak reszta Arabów. Orientacja seksualna obchodzi mnie jedynie wtedy, gdy mnie dotyczy. Bourne zabił twojego kochanka...

– Idir miał żonę i dzieci.

– Fakt, że Bourne zabił ci kochanka, nie oznacza jeszcze, że musisz go pomścić.

Etana roześmiał się z okrucieństwem wypisanym na twarzy.

– Gadanie świetnie ci wychodzi. Całe życie podporządkowałeś mszczeniu się za śmierć córki.

– Bourne to żywy trup. Jak sam bardzo dobrze wiesz, jest teraz celem generała z FSB-dwa,

który mówiąc szczerze, ma większe szanse niż...

– Rosjanie – wszedł mu w słowo Etana z pogardą w głosie. – Ale kogo to obchodzi? Próbujesz chronić Bourne'a i tyle.

– Na razie tak. Bez niego nie doprowadzę Domny do upadku. Musisz o nim zapomnieć. Jego śmierć została przepowiedziana, jednak nie umrze z twojej ręki.

Etana prychnął.

– To musi się stać z mojej ręki.

Essai westchnął.

– Odpuść sobie, Marlonie.

– Nie mogę – warknął Etana. – I nie odpuszczę.

– Nie masz wyboru. – Essai zaczął się podnosić.

Zanim zdążył dźwignąć się z fotela, Etana już był przy nim.

Obaj przewrócili się na siedzisko i mimo że Essai miał makarowa, znalazł się w znacznie gorszej pozycji. Kiedy uderzył nogami o brzeg fotela, stracił równowagę i nie miał szans na oddanie strzału. Zamiast tego przejechał przedłużoną lufą po policzku Etany, robiąc mu tuż pod okiem ranę w kształcie półksiężyca. Etana zrewanżował się silnym ciosem w mostek, gwiazdy rozbłysły przed oczami Essaia. W gardle poczuł gorąco, płuca z trudem wciągały powietrze.

Mężczyźni walczyli ze sobą cicho i skutecznie. Byli godnymi siebie przeciwnikami; nawet jeśli nie dysponowali taką samą siłą, to w czasie długich lat przyjaźni zdążyli dowiedzieć się o sobie nawzajem prawie wszystkiego. Nic z tego nie miało jednak teraz znaczenia, łącząca ich przeszłość, wspólne planowanie, wzajemne osłanianie sobie tyłów. Teraz liczyła się jedynie rozpaczliwa walka o przetrwanie. Jeden z nich nie miał wyjść żywy z tego pokoju i obaj doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

Essai usłyszał metaliczne brzęknięcie, zorientował się, że Etana otworzył nóż sprężynowy, dlatego mocno uderzył go łokciem w brzuch. Wtedy zobaczył ostrze, cienkie i wrednie wyglądające. Odbijało światło księżyca, gdy zmierzało po łuku w jego stronę. Lecz zamiar Etany kompletnie się nie udał. Koniec noża rozciął Essaiovi koszulę. Skóra zapiekła go, jakby pokąsały ją mrówki.

Popchnął przeciwnika i szarpał się z nim, żeby odsunąć jak najdalej, bo chciał użyć makarowa i zakończyć tę walkę. Ale Etana trzymał go mocno jedną ręką i nie pozwalał na zyskanie tej przewagi. Na tak bliską odległość nóż był idealną bronią. Jeśli ktoś potrafił się nim sprawnie posługiwać, jedno gładkie cięcie mogło poczynić więcej szkód niż okładanie pięściami przez pięć minut.

Essai walnął Etanę w usta. Wargi pękły, krew wypełniła usta, poplamiała zęby. Etana splunął nią Jalalowi w oczy, a kiedy ten szarpnął się do tyłu, chlasnął go nożem. Essai poczuł cięcie i zachłysnął się powietrzem. Ponownie spróbował uderzyć przeciwnika w usta, lecz nie trafił i pięść wylądowała na policzku.

Etana cofnął się, pociągając za sobą Essaia. Jalal zahaczył biodrem o szafkę nocną, lampka przechyliła się i oparła o niego. Chwycił ją i trzasnął Etanę w rękę. Nóż potoczył się po podłodze i zatrzymał na brzegu dywanu przy łóżku. Etana obrócił Essaia i walnął jego ramieniem o ścianę. Usiłował wyrwać mu pistolet. W odpowiedzi Jalal uderzył go z łokcia w klatkę piersiową.

Obaj zachwiali się, upadli na podłogę i potoczyli. W chwili gdy pistolet uderzył o deski,

wypalił. Kula utkwiała w suficie.

Etana uderzył tyłem czaszki o ramę łóżka. Essai zaczął go okładać po głowie z taką szybkością, że kiwała się na boki niczym wahadło. Etana osunął się na plecy, a Essai kątem oka spostrzegł nóż. Odepchnął do siebie przeciwnika i wyciągnął rękę, żeby po niego sięgnąć. W tym momencie Etana z całej siły zdzielił go w kark kantem dłoni. Sam chwycił nóż, odchylił Essaiowi głowę i podciął mu gardło na całej szerokości.

•••

Cienie i światło pełzały przez pokój po standardowej wykładzinie pokoju hotelowego, odzwierciedlając ruch pojazdów na ulicy. Maggie stała w pokoju, do którego miała przyprowadzić Christophera. Jedną ręką dotykała skroni, drugą trzymała na biodrze. W milczeniu policzyła obiektywy zminiaturyzowanych kamer wideo: w barze, w skrzynce telewizora, w rogu, gdzie sufit stykał się ze ścianą. Nawet w łazience była jedna, ukryta w strategicznym miejscu. Wszystkie mikrofony czekały w gotowości na pierwsze wypowiedziane słowo. Domna wynajęła ten pokój na miesiąc przez jedną ze swoich filii. Od razu trzech techników spędziło w nim kilka godzin na pieczołowitym instalowaniu sprzętu elektronicznego, a potem za pomocą gipsu i farb zatarło ślady swojej działalności.

Czuła się tam samotnie, ten brak kogoś bliskiego był aż bolesny, jakby straciła rękę albo nogę. Pokój został przygotowany z pełną starannością, a mimo to nienawidziła go całą sobą. Nie była już tą samą kobietą, która przyjechała do Waszyngtonu, żeby wrobić Christophera. Zmiana nastąpiła niemal magicznie w ciągu jednej nocy i zupełnie ją oszołomiła. Maggie siedziała teraz na łóżku, z głową w dłoniach, a cienie i światło tańczyły wokół niej w powolnym rytmie.

Zostało jej niecałe dwadzieścia godzin, żeby zwabić tu Christophera, uwieść go, doprowadzić do kompromitującej sytuacji i zmusić do powiedzenia słów, które doprowadzą do jego upadku. Wiele tygodni temu ten idealny plan zapowiadał nawet zabawę. W odróżnieniu od innych krajów, do których Domna przeniknęła politycznymi i finansowymi drogami, Stany Zjednoczone okazały się daleko trudniejsze do penetracji z powodu różnorodności ich obywateli, ogromnych przestrzeni i spektakularnej prężności. Podobnie jak wszystkie kraje wysoko rozwinięte, miały całą siatkę kontroli i bilansów, które blokowały machinacje nawet najwyżej stojących w hierarchii członków Domny.

Sama sprzeciwiała się atakowaniu amerykańskiej waluty za pomocą manipulacji na światowym rynku złota, co było w planach Domny, dopóki Jason Bourne nie zniwelował ich zupełnie w poprzednim roku. Musiała jednak przyznać, że zmiana celu na kopalnię w Indigo Ridge i jej bogate złoża ziem rzadkich była kapitalnym posunięciem. Członkowie Domny z chińskiej odnogi skutecznie zablokowali eksport tych kopalin, więc teraz realizacja zamówień amerykańskiej armii na najnowocześniejszą broń utknęła w miejscu. Faza pierwsza została zakończona. Od amerykańskich agentów Domna dowiedziała się z wyprzedzeniem o planowanym przez rząd amerykański ponownym uruchomieniu kopalni dzięki wprowadzeniu jej akcji na giełdę. Bezpieczeństwo Indigo Ridge musiało zatem stać się oczkiem w głowie prezydenta. Benjamin El-Arian stworzył listę ludzi, którym prawdopodobnie powierzona zostanie ochrona kopalni. Maggie widziała tę szokująco krótką listę, na której widniały tylko

trzy nazwiska: Brada Findlaya, szefa bezpieczeństwa wewnętrznego, M. Errola Danzigers, dyrektora Centrali Wywiadu, i Christophera. Danziger odpadał, bo jak powiedział jej El-Arian, zakres działań CI wykroczył poza granice Stanów Zjednoczonych. Logicznie nasuwającym się kandydatem był Findlay, ale Benjamin wiedział, że prezydent najbardziej ze wszystkich ufał Hendricksowi. Zdaniem El-Ariana, ze względu na wyjątkowo wysoki priorytet bezpieczeństwa tego przedsięwzięcia, powierzenie tego zadania sekretarzowi obrony było niemal pewne. Dlatego Christopher został wytypowany jako cel. Pomysł polegał na wywołaniu skandalu, który pokrzyżuje plany dotyczące ochrony, odwróci uwagę ludzi na kluczowych stanowiskach od Indigo Ridge, gdy w tym czasie Domna spokojnie zakończy fazę drugą.

Ale teraz... Teraz Maggie zaczęła wątpić. Wszystko wokół niej zmieniało się niemal z każdym oddechem, a może po prostu zaczęła patrzeć na świat innymi oczami. I właśnie dlatego tak chętnie skorzystała z niespodziewanej okazji, jaką Christopher jej stworzył w czasie pikniku. Doradziła mu, żeby zrezygnował z obowiązków w Indigo Ridge – doskonale wiedziała, do czego robił aluzje – i przerzucił je w niekompetentne ręce Danzigersa. Tylko taki sposób ratowania Christophera, a co za tym idzie, samej siebie, przyszedł jej do głowy. Odsunięty od Indigo Ridge, nie będzie potrzebny Domnie. Mogłaby przerwać operację i o niej zapomnieć.

Zastanawiała się, dlaczego Benjamin jeszcze do niej nie zadzwonił. Na pewno dowiedział się już o zmianie na stanowisku szefa ochrony. Ta niepewność była dla niej jak nóż wbity w brzuch. Z cichym jękiem sięgnęła do telefonu, wybrała numer obsługi pokoju i zamówiła befszytk z polędwicy, frytki i puree ze szpinaku. W końcu równie dobrze mogła jeść i jednocześnie się martwić.

Leżała na łóżku z ramionami rozłożonymi na boki. Wdychała klimatyzowane powietrze i wpatrywała się w sufit. Odgłosy ruchu ulicznego, stłumione szybami, wydawały się zimne, obce, złowieszcze. Przeszedł ją dreszcz, choć wydawało jej się, że ciało ma rozpalone gorączką. Cienie przesuwane się po bladoniebieskim suficie tworzyły obraz przypominający chmury na niebie. Przestraszona zobaczyła ojca. Kiedy się jej śnił, zawsze odchodził, zarys jego sylwetki w wełnianym palcie wypełniał framugę drzwi ich domu w Sztokholmie. Dalej był już tylko śnieg, błyszczący w słońcu niczym stosy cukru. Ojciec zawsze wtapiał się w to morze bieli, jakby nigdy nie istniał. Budziła się czasami z tych snów-wspomnień, myśląc, że już wie, jakie było jego życie. Innym razem nie była tego pewna. A czasami bała się, że jej wspomnienia o nim były częścią fantazjowania, jakiemu oddawała się w dzieciństwie, bała się, że to wszystko rozpadnie się na kawałki w świetle dnia. Ale nie, musiała wierzyć, musiała trwać w przekonaniu, że ścieżka, którą wybrała, jest właściwa i jedyna, na jaką mogła się zdecydować. Niemniej tyle krwi zostało przelane, tyle było smutku i żalu. Jej matka nie żyła, Mikaela nie żyła. Musiała wierzyć, że ich odejście czemuś służyło, bo inaczej by oszalała.

W chwili gdy obracała się na bok, szyfrowany telefon rozbrzmiał melodią z *Walkirii*, a ona pomyślała: Nawet tu, w Nowym Świecie, jestem uwiązana do dawnego życia. Szybko złapała komórkę i odebrała telefon.

– Gdzie jesteś? – Cichy, powielany echem głos Benjaminą płynący zza Atlantyku był dla niej jak policzek.

– W pokoju hotelowym, sprawdzam, czy wszystko jest gotowe dla Hendricksa.

– Nastąpiła zmiana planu.

Gwałtownie usiadła. W jej sercu zaświtała nadzieja.

– To znaczy?

– Hendricksowi odebrano ochronę Indigo Ridge.

– Co? – Zabarwiła głos niedowierzaniem. – Jak to się mogło stać?

– Kto to może wiedzieć? W tym domu wariatów, jakim jest amerykańska polityka, wszystko wydaje się możliwe.

Wstała, spuszczać długie nogi z łóżka, i podeszła do okna. Zapatrzyła się na jadące samochody. Kamień spadł jej z serca, mogła swobodniej oddychać. Po raz pierwszy od wielu dni zaczerpnęła głęboko powietrza.

– No to co będziemy robić? – zapytała, choć bardzo dobrze to wiedziała. – Skoro moja misja jest nieaktualna...

– Misja trwa nadal.

Serce podeszło jej do gardła.

– Nie... nie rozumiem. – Z wrażenia zaparło jej dech w piersi.

– Hendricks dobiera się do Fitza. Zlecił jednemu ze swoich ludzi, Peterowi Marksowi, żeby wziął go pod lupę.

Maggie wpatrywała się w ulicę, na której pary młodych ludzi, trzymając się za ręce, oglądały wystawy sklepowe. Jakaś matka uprawiała jogging, popychając przystosowany do tego wózek z dzieckiem. Klaksony wyły, świadcząc o braku cierpliwości kierowców. Rozpaczliwie zapragnęła znaleźć się w jednym z tych samochodów, jechać jak najdalej stąd, być gdziekolwiek, byle nie w tym pokoju, rozmawiać z kimkolwiek, tylko nie z Benjaminem El-Arianem.

Odchrząknęła.

– Daj mi dwie godziny. Mogę przekonać Hendricksa, żeby zakończył to śledztwo.

El-Arian nie zawracał sobie głowy pytaniem, jak chciała tego dokonać.

– Za późno – powiedział. – Marks coś znalazł. Zajęliśmy się nim, ale to nie kończy sprawy.

Maggie przycisnęła czoło do szyby, chcąc ochłodzić rozpalone ciało.

– Chyba nie chcesz, żebym go zabiła?

– Chcę, żebyś wykonywała polecenia. – Głos Benjamin brzmiał w jej uchu jak syczenie węża.

– Jest sekretarzem obrony, Benjaminie.

– Rusz głową, ale to załatw – rzucił El-Arian.

Zapadło długie milczenie, w czasie którego Maggie słyszała krew pulsującą jej w uszach.

– Jesteś tam?

– Tak – odpowiedziała prawie niesłyszalnie.

– Wiesz, jak to powinno być zrobione.

– Tak. – Przestała oddychać.

– Skaro, jeszcze przed wyjazdem miałaś pełną świadomość, jaki obrót może przybrać ta sprawa.

Zamknęła oczy i za wszelką cenę starała się zachować spokój. Mimo to głos lekko jej drżał, gdy potwierdziła:

– To prawda.

– Cóż, teraz wiesz to na pewno. – Głos El-Ariana, jak wąż, zatopił w jej uchu zęby jadowe.
– Jesteś na samobójczej misji.

• • •

Bourne usłyszał wyłumiony dźwięk i natychmiast rozpoznał go jako strzał z pistoletu z tłumikiem. Zerknął przez okno sypialni Kai akurat w chwili, gdy Marlon Etana wychodził przez okno jego sypialni. Mężczyzna przemknął między palmami, a potem przeskoczył przez niewysoki murek. Bourne otworzył okno i wyskoczył. Ruszył ścieżką, która szybko doprowadziła go do murku. Od Etany dzieliło go niecałe sto metrów.

Razem upadli na ziemię i potoczyli się po niej. Bourne uderzył pierwszy, ale Etanie udało się go odepchnąć, wstał i znowu zaczął uciekać. Jason rzucił się za nim. Wybiegli z palmowego zagajnika na skraj nadmorskiej drogi. Etana przebiegł na drugą stronę, Bourne zaraz za nim, robiąc uniki przed nadjeżdżającymi skuterami. Zmierzali w kierunku portu.

Etana skręcił do warsztatu cieśli, chwycił przebijak i rzucił go za siebie. Bourne uchylił się w ostatniej chwili, a potem przeskoczył nad kadłubem łodzi przygotowanej do smołowania. Złapał metrową deskę i rzucił nią niczym oszczepem. Przeciwnik, trafiony w lewe ramię, zakręcił się w miejscu i potknął. Wymachiwał ramionami, żeby zachować równowagę, aż wreszcie uderzył w ścianę, co uchroniło go przed upadkiem. Odwrócił się i wybiegł drugim wyjściem z szopy w noc roziskrzoną gwiazdami.

Woda, nakrapiana światłem księżyca, znajdowała się po ich prawej stronie, wał nadmorski po lewej. Etana odbił w lewo z zamiarem wspięcia się na wał, ale zobaczywszy, że Bourne odciął mu drogę, zmienił kierunek i ruszył ku pochylniom. Kilka sekund później wbiegł na jedną z nich. Po obu stronach miał łodzie. Bourne go doganiał. Kiedy Etana to spostrzegł, skoczył na pokład pierwszej z brzegu łódki, a potem zniknął za kokpitem. Zamiast biec prosto za nim, Bourne popędził do łodzi zacumowanej obok. Chwilę później Etana pojawił się na dziobie od strony pomostu, ściskając w dłoni taurusa PT145 millennium. Nieco zbity z tropu, rozglądał się dookoła, usiłując odgadnąć, gdzie przepadł Bourne.

Światła reflektorów omiały doki, dzięki czemu Jason znalazł przejście, którego potrzebował. Nisko przykucnięty, przekradł się do prawej burty i przeskoczył do sąsiedniej łodzi. Etana natychmiast zareagował, bo z pewnością wyczuł lekkie zakołysanie się pokładu pod ciężarem Bourne'a.

Obaj zaczęli się podchodzić, wykorzystując do ukrycia się zabudówki na łodzi. Etana strzelił do Bourne'a, kiedy ten na chwilę pojawił się w polu widzenia. Teraz gdy Jason wiedział dokładnie, gdzie znajduje się przeciwnik, zawrócił, wskoczył na kokpit, przeturlał się po dachu i spadł na Etanę. Taurus ponownie wypalił, ale po drugim ciosie Bourne'a potoczył się z hałasem po pokładzie.

Mimo to Etana zdołał trafić Jasona pięścią w policzek, aż krew trysnęła mu z ust. Potem nastąpił mocny cios w nerki, który rzucił Bourne'a wijącego się z bólu na pokład. Etana odwrócił się i podniósł taurusa. Kiedy odwracał się ponownie, potężny kopniak rozpląszczył mu nos. Zachwiał się i zatoczył do tyłu, krew zalewała mu twarz, mimo to uniósł pistolet do strzału. Zanim jednak zdołał nacisnąć cyngiel, Bourne wpakował mu końce palców w splot słoneczny.

Powietrze uszło z Etany, zgiął się wpół, a Jason wyrwał mu taurusa z ręki. Przystawił lufę pistoletu do skroni Etany.

– Przestań! – doszedł go głos od strony doków. – Wystarczy!

Bourne odwrócił się i zobaczył don Fernanda stojącego na szeroko rozstawionych nogach i z wyciągniętymi przed siebie ramionami, gotowego do strzału.

– Odłóż taurusa, Jasonie, i się odsuń. – Kiedy Bourne się zawahał, don Fernando odciągnął kurek magnum .357 colta pythona. – Teraz albo nigdy. Wystarczy jeden strzał.

Księga czwarta

Rozdział 25

– Zabiłbym was od razu tutaj, generale Karpow, ale nie wolno zabijać na świętym terenie meczetu. – Zaczik szturchnął Borisa w krzyż. – Choć mnie by to nie przeszkadzało.

Dwaj mężczyźni, którzy byli z nim, wykrzywili się w uśmiechu i machali bronią, jakby to były flagi.

Noc objęła już władzę nad miastem. Gęsta szara mgła opasywała wszystko szeroką wstęgą, która wydawała się rozciągnięta do granic możliwości, gotowa pęknąć w każdej chwili. Przedzierała się przez nią niczym przez płycizny oceanu.

Zaczik wepchnął Borisa do czekającego samochodu. Po lewej stronie Karpow miał jednego ze zbirów, po prawej usiadł Zaczik.

– Jakie to uczucie – rzucił agent SWR – być zdanym na siebie, bez żadnych wskazówek z ojczyzny?

Drugi bandzior wślizgnął się na miejsce obok kierowcy. Ruszyli. Przejechali przez rzekę i zagłębili się w Sendling, jedną z dwóch przemysłowych dzielnic Monachium. O tej porze nocy ruch na ulicach panował niewielki, przechodniów w ogóle nie było. Kierowca podjechał do krawężnika na Kyrienstrasse. Wysiedli. Jeden z bandziorów otworzył frontowe drzwi i weszli do budynku, który sprawiał wrażenie opuszczonego. W nozdrza Borisa uderzył smród przeszłości. Farba odłaziła ze ścian, krzesło z odłamaną nogą leżało na boku, na podłodze widać było porozwalane pudła. Wszędzie gdzie spojrzął, panował rozkład, jakby znaleźli się we wnętrzu wolno zdychającego zwierzęcia.

Podczas gdy dwóch bandziorów zajęło się swoją bronią, Zaczik poprowadził Borisa do ściany i obrócił go tyłem do niej.

– Tutaj się to stanie – oświadczył agent SWR.

– Byle szybko – mruknął Boris.

– Wszyscy tu jesteśmy zawodowcami. – Złączył mu ramiona za plecami, ale zamiast związać je w nadgarstkach, włożył mu do ręki tokariewa. Potem odsunął się zwinnie i stanął obok niego, tak że obaj bandyci i kierowca, oparci o sypiącą się kolumnę, znaleźli się w ich polu widzenia. Od razu wsunął rękę za plecy i wyciągnął zza paska spodni taurusa.

– Jakieś ostatnie życzenie, generale? – powiedział podniesionym głosem. – Zresztą, nieważne, i tak nie miałby go kto spełnić.

Bandziory zachichotały, unosząc broń. Boris wysunął zza pleców prawą rękę i strzelił dwa razy. Kiedy dwaj bandyci osuwali się na ziemię, Zaczik posłał kulę prosto w serce kierowcy.

W otoczeniu dymu, pośród ogłuszającej ciszy, jaka zapanowała po strzałach, obaj mężczyźni stali i patrzyli na siebie. Jedno oko Zaczika nadal było zamknięte, spuchnięta skóra wokół niego przybrała najróżniejsze kolory. On jako pierwszy opuścił broń. Boris zrobił to samo i podszedł do niego.

– Co sprawia, że na fiutach naprawdę można polegać? – zapytał Boris.

Zaczik wykrzywił się w uśmiechu.

Kiedy Robbinet przyjechał do szpitala, do którego Aaron zawiózł Sorayę, przekonał się, że wszyscy lekarze, którzy się nią zajmowali, pokończyli już dyżury i wyszli. Spojrzał na zegarek: do świtu została godzina. Chciał się zobaczyć z najlepszym neurologiem, powiedziano mu, że jest zajęty, więc pokazał legitymację. Po pięciu minutach zjawił się elegancki młody mężczyzna o przydługich włosach nadających mu nietypowy wygląd i przedstawił się jako doktor Longeur. Ładnie się zachował, bo gdy siedł, przeglądał kartę Sorai.

– Moim zdaniem nie powinna się wypisywać – oświadczył, marszcząc czoło. – Wyniki kilku badań...

– Proszę ze mną, doktorze – wszedł mu w słowo Robbinet i wyprowadził ze szpitala. Powiedział Longeurowi, że Soraya zaginęła. – Moje zadanie polega na odnalezieniu tej kobiety, panie doktorze. Pańskie zadanie to zapewnienie jej powrotu do zdrowia.

– Najlepiej byłoby, gdyby wróciła do szpitala.

– W tych okolicznościach to może się okazać niemożliwe. – Robbinet omiół wzrokiem ciemną ulicę. – Muszę przyjąć, że nie będzie chciała wrócić.

– Ma fobię?

– Sam pan o to zapyta, gdy ją znajdziemy.

Razem wypyтали bezdomnych z najbliższej okolicy. Robbinet był pewny, że musieli tu być, gdy Soraya uciekła. Pokazywał im jej zdjęcie.

– Ci ludzie potrzebują pomocy. Niektórzy wręcz rozpaczliwie – zauważył minister.

Doktor Longeur wzruszył ramionami.

– Szpital jest przepełniony pacjentami w gorszym stanie, co mielibyśmy zrobić pańskim zdaniem?

Kontynuowali przepytывanie. Natrafili w końcu na niechlujną kobiecinę, która twierdziła, że widziała Sorayę, i pokazała im, w którą stronę poszła. Wyciągnęła przed siebie drżącą rękę, a Robbinet dał jej kilka euro i odwrócił się zniesmaczony. Nie sposób było stwierdzić, czy kobieta mówiła prawdę.

Siedzieli w samochodzie, podczas gdy kierowca czekał na instrukcje. Robbinet ponownie zadzwonił na komórkę Sorai, ale nikt nie odebrał, tym razem jednak wcale go to nie zdziwiło. Zespoły, które wysłał Aaron, jeszcze jej nie znalazły. Jego zdaniem nie miały szans. Była w końcu bardzo utalentowaną agentką. Jeśli nie chciała, żeby ją odnaleziono, nikomu się to nie uda. Przeczuwał, że poszła własną drogą, bo po śmierci przyjaciela nie chciała, żeby ktoś się wokół niej kręcił, nawet z Quai d'Orsay. Nie zgadzał się z jej decyzją, ale ją rozumiał. I nadal bał się o jej życie. Otarła się o śmierć i straciła kogoś bliskiego. Wydawało się też prawdopodobne, że jej stan fizyczny nie pozwala klarownie myśleć.

Podał kierowcy adres Monition Club, ale kiedy tam dojechali, budynek był oświetlony niczym bożonarodzeniowa choinka, a wokół kręciło się tylu agentów Quai d'Orsay i policjantów, że od razu wiedział, iż na pewno tu nie wróciła. Więc dokąd poszła?

Ponownie spojrział na zegarek. Niebo rozjaśniało się po wschodniej stronie. Jeszcze raz zastanowił się nad całą sytuacją. Dysponował taką samą wiedzą jak Aaron, ale nie wykluczał, że Soraya wiedziała coś jeszcze. Była pewna, że ślad morderstwa prowadzi do banku Île de

France, przed którym jej kontakt został przejechany przez samochód. Usiłował wczuć się w jej tok myślenia. Jeśli powzięła jakiś plan, dlaczego zapadła się pod ziemię? Może dlatego, że nocą nie miała możliwości działania. Intuicja podpowiadała mu, dokąd Soraya zmierzała. Zdecydował się podjąć ryzyko, bo nie wiedział, co innego mógłby zrobić.

– Place de l’Iris – powiedział do kierowcy. – La Défense.

Tam właśnie by poszedł, gdyby był na jej miejscu.

• • •

– Jasonie, proszę, odsuń się – rzucił don Fernando. – Nie będę tego powtarzał.

– Popelniasz błąd – odpowiedział Bourne.

Don Fernando pokręcił głową, ale lufa magnum ani drgnęła. Bourne zrobił krok, Hiszpan strzelił. Kula trafiła Etanę między oczy. Odrzuciło go do tyłu tak silnie, że wyleciał przez burzę i wpadł do morza. Woda pociemniała od jego krwi.

Bourne wyrzwał przez burzę.

– Tak jak mówiłem, to błąd. – Popatrzył na don Fernanda, który szedł w jego stronę przez dok. – Mógł nam bardzo dużo powiedzieć.

Don Fernando wszedł na pokład, magnum trzymał opuszczone z boku.

– Niczego by nam nie powiedział, Jasonie. Znasz tych ludzi tak samo dobrze jak ja. Nie znają pojęcia bólu. Cierpieli przez całe życie, męczeństwo to jedyne, o czym potrafią myśleć. W tym życiu są jedynie cieniami, są żywymi trupami.

– Essai?

– Etana poderżnął mu gardło, zanim wyskoczył przez okno. – Don Fernando usiadł na drewnianej osłonie silnika. – Etana zjawił się, żeby cię zabić za to, co zrobiłeś w Tinegherze w zeszłym roku. Jalal usiłował go od tego odwieść, ale Etana okazał się upartym człowiekiem. Dlatego razem z Essaiem uknuliśmy plan. Ja miałem trzymać cię z dala od twojego pokoju, a on się tam wślizgnął i czekał.

– Czekał na Etanę.

– Właśnie.

– Szkoda, że Essai nie żyje.

Don Fernando przetarł dłonią oczy.

– Ostatnio otacza mnie zbyt wiele śmierci.

Bourne pomyślał o towarze w magazynie po drugiej stronie miasta, czekającym na wysłanie do El-Gabal w Damaszku. Co było w tych dwunastu skrzyniach i kto naprawdę był nadawcą – Domna czy organizacja, dla której pracował Christien Norén – i czy don Fernando należał do tej samej grupy? Najwyraźniej odpowiedzi należało poszukać przy Avenue Choukry Kouatly.

Bourne stęzał, kiedy pojawiła się policyjna łódź patrolowa, kierująca się do doku powoli i nieubłaganie jak rekin podpływający do martwej ryby.

Don Fernando wyjął cygaro, odgryzł końcówkę i zapalił je.

– Spokojnie – powiedział, gdy łódź się zatrzymała. – Ja ich wezwałem.

Dwóch policjantów w mundurach i detektyw po cywilnemu. Don Fernando skierował ich do ciała Etany. Podczas gdy mundurowi oglądali ciało unoszące się na wodzie przy burcie, detektyw podszedł prosto do Hererry, który poczęstował go cygarem.

Detektyw skinął głową, odgryzł końcówkę i zapalił. Nie miał zamiaru badać miejsca, gdzie doszło do zabójstwa, ani przyglądać się Bourne'owi.

– Mówi pan, że denat jest obcokrajowcem? – Głos detektywa był głęboki i zachrypnięty, jak przy przeziębieniu.

– Przebywał w Hiszpanii nielegalnie – odpowiedział don Fernando. – Handlarz narkotyków.

– Bardzo surowo karzemy u nas handlarzy narkotyków – skwitował detektyw, wypuszczając z ust kłęby dymu. – Jak pan wie.

Don Fernando przyglądał się końcówce swojego cygara.

– Zaoszczędziłem państwu mnóstwo pieniędzy, a tobie, Diaz, mnóstwo czasu.

Diaz pokiwał energicznie głową.

– To prawda, don Fernando, i za tę przysługę państwo jest panu bardzo wdzięczne. – Wypuścił z ust kolejną chmurę dymu i zapatrzył się w rozgwieżdżone niebo. – Pozwoli pan, że powiem, o czym myślałem, kiedy tu płynęliśmy. Nasz komisariat jest biedny, don Fernando, wszyscy gadają o kryzysie i budżet jest bez przerwy przycinany.

– Smutny stan rzeczy. Niech mi będzie wolno... – Don Fernando sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął złożony plik banknotów euro i wcisnął detektywowi w rękę. – Sam zajmę się ciałem.

Diaz skinął głową.

– Jak zawsze, don Fernando. – A potem obrócił się na pięcie i krzyknął do swoich ludzi: – *Vamanos, muchachos!*

– Odszedł energicznym krokiem, a razem z nim dwójka mundurowych.

Kiedy łódź policyjna wycofała się i odpłynęła, Herrera wskazał ją ręką.

– Zasady działania świata nigdy się nie zmieniają, co, Jasonie? – Przywołał go gestem. – Chodź, zajmiemy się Marlonem Etaną.

– Nie ty – odpowiedział Bourne, podchodząc do burty. – Ja to zrobię.

Sięgnął w dół, zdjął bosak wiszący na kokpicie, zaczepił nim o kołnierzyk marynarki Etany i ciągnął go w górę, aż jego głowa, ramiona i tors zawisły na górnej części nadburcia. Don Fernando złapał Etaną za pasek i wciągnął na pokład. Przez chwilę wpatrywał się w trupa, któremu z ust wylewała się woda morską. Potem przykucnął obok. Kolana mu przy tym zatrzeszczały.

Bourne patrzył, jak don Fernando rozsuwa poły marynarki Etany i przeszukuje mu wszystkie kieszenie ze zręcznością ulicznego złodziejaszka. Hiszpan podał Bourne'owi telefon, portfel i klucze. Po chwili podniósł się i wyciągnął kotwicę spod pokładu na dziobie. Odpiął łańcuch od pierścienia i owinął go wokół trupa Etany.

– Wyrzucimy go przez burzę – powiedział don Fernando.

– Za sekundę. – Przykucnąwszy, Bourne otworzył usta Etanie i obejrzał jego zęby. Chwilę później trzymał w palcach fałszywy ząb zawierający kapsułkę z cyjankiem. Kiedy się wyprostował, wyjął fałszywy ząb, który zabrał Rosjaninowi w magazynie. Trzymając na otwartych dłoniach po jednym z nich, pokazał je don Fernandowi.

– Skąd to masz? – zapytał Hiszpan.

– Wszedłem do magazynu i dopiero tam zabiłem bandytę i kierowcę – odpowiedział Bourne. – Bandzior zdążył swój rozgryźć, kiedy go wypytywałem. Ten należał do kierowcy. –

Ponieważ don Fernando nie zareagował, Jason mówił dalej: – Taki ząb to stara sztuczka NKWD, żeby jej agenci niczego nie zdradzili, gdyby ich złapano.

Don Fernando wskazał ręką Etanę.

– Sam nie dam rady go wyrzucić.

– Pomogę ci, jeśli usłyszę odpowiedź.

Hiszpan skinął głową.

Bourne schował do kieszeni samobójcze kapsułki, przenieśli Etanę na dziób i wrzucili do wody. Ciało natychmiast zniknęło pod powierzchnią.

Don Fernando usiadł na dziobie twarzą do Bourne'a. Robił wrażenie bardzo zmęczonego, nagle starego i jakby skurczonego w sobie.

– Marlon Etana został wtyczką, żeby informować o poczynaniach Domny.

– Innymi słowy zastąpił Christiena Noréna.

– Zgadza się. – Don Fernando wytarł dłonie o spodnie. – Problem polegał na tym, że Etana stał się nieuczciwy.

– El-Arian go przekabacił?

Hiszpan pokręcił głową.

– Zawarł potajemną umowę z Essaiem, kiedy Essai został odszczepieńcem.

– Etana należał do tej samej organizacji, do której należał Christien i do której ty należysz.

– Bourne posłał starcowi surowe spojrzenie. – Ale kiedy mi o tym mówiłeś, używałeś czasu przeszłego.

– Oczywiście masz rację. – Don Fernando przetarł dłonią oczy. – Może gdyby tak było naprawdę, Essai nadal by żył. – Odczekał chwilę, jakby zastanawiał się nad najlepszym sposobem wyjaśnienia reszty. W końcu wstał z dziobu. – Czas, żeby się czegoś napić i poważnie porozmawiać.

• • •

Don Fernando wybrał kafejkę na uboczu, która wyglądała na zamkniętą, ale nie była. Wiele krzeseł stało do góry nogami na stolikach, a młody chłopak z włosami do ramion zamiatał podłogę tak wolno, jakby robił to przez sen.

Właściciel wytoczył się z baru, żeby uścisnąć rękę don Fernandowi, i zaprowadził ich do stolika. Herrera zamówił brandy, ale Bourne gestem dał znać, że nie chce żadnego alkoholu. Wolał mieć trzeźwą głowę.

– Kiedy mój ojciec umarł, wszystko się zmieniło – zaczął don Fernando. – Musisz to zrozumieć: ojciec był dla mnie najważniejszy. Kochałem matkę, tak, ale ona chorowała, przez większą część mojego życia była przykuta do łóżka.

Gdy kieliszek z trunkiem zjawił się na stole, don Fernando zapałzył się w bursztynowy płyn. Zamoczył w nim usta, zanim zaczął mówić dalej:

– Mój ojciec był wielkim człowiekiem pod każdym możliwym względem. Wysoki i bardzo silny, zarówno duchem, jak i ciałem. Dominował w każdym pomieszczeniu, w którym się znalazł. Ludzie się go bali i widziałem to bardzo wyraźnie w ich oczach. Gdy podawali mu rękę, zawsze drżała.

Właściciel podszedł z kieliszkiem sherry i postawił go przed Bourne'em, mimo że ten

niczego nie zamawiał. Wzruszył przy tym ramionami, jakby chciał powiedzieć: Mężczyzna nie siada do poważnej rozmowy bez odpowiedniego obwarowania.

– Począwszy od chwili, gdy skończyłem siedem lat, zabierał mnie na polowania – kontynuował don Fernando, kiedy właściciel wrócił na swoje miejsce za barem. – To było w Kolumbii. Pierwszego lisa zastrzeliłem, jak miałem osiem lat. Próbowalem przez rok, ale nie mogłem pociągnąć za cyngiel. Popłakałem się, gdy pierwszy raz zobaczyłem, jak ojciec jednego trafił. Ojciec zaprowadził mnie do niego, umoczył palec we krwi i wysmarował mi nią usta. Wzdrygnąłem się, było mi niedobrze. A potem na widok jego surowego spojrzenia ogarnął mnie wstyd. Dlatego zebrałem się na odwagę, podszedłem do lisa, zanurzyłem we krwi własne palce i włożyłem je do ust. Ojciec uśmiechnął się, a ja nigdy wcześniej ani już nigdy potem nie czułem tak pełnej satysfakcji.

Bourne miał świadomość, że te wspomnienia bardzo poruszały don Fernanda i że słuchanie ich było swego rodzaju wyróżnieniem.

– Jak mówiłem, kiedy ojciec umarł, wszystko się zmieniło. Przejąłem jego interes, do czego przygotowywał mnie całymi latami. Ciężko było patrzeć na niego na łożu śmierci. Człowiek, który powalał drzewa i wrogów z taką samą łatwością i zaciętością, stał się kruchy i walczył o każdy oddech.

Wszyscy dochodzimy do takiego punktu w życiu, wiem, ale w przypadku ojca to, czego mnie nauczył, to, co mnie czekało w chwili, gdy odejdzie, sprawiało, że było inaczej.

Don Fernando opróżnił kieliszek. Dał znak w stronę baru, że chce następny. Właściciel podszedł, napełnił kieliszek i zostawił butelkę na stole.

Hererra podziękował mu skinieniem głowy i podjął wątek:

– W ostatnich latach życia ojciec poznał mnie ze sporą liczbą mężczyzn. Wszyscy byli Rosjanami i wszyscy przerażali mnie pod pewnym względem. – Machnął ręką. – Nie wiem, może jakimś prymitywizmem. W ich oczach dostrzegałem świat wypełniony cieniami, pełen śmierci. – Wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia, jak inaczej opisać wrażenie, jakie na mnie robili. Jednak stopniowo przyzwyczaiałem się do nich. Ich mroczność, która mnie wystraszyła, nie zniknęła, ale zaczynałem ją rozumieć. Przedstawiono mi pani śmierci i wtedy przypomniałem sobie ten pierwszy raz, kiedy przelałem krew, i nigdy nie byłem tak wdzięczny ojcu za to, jak bardzo mi tym pomógł. Bo ci ludzie zadawali się ze śmiercią... jak się okazało, podobnie jak mój ojciec.

Don Fernando wyciągnął rękę, a kiedy Bourne podał mu swoją, chwycił ją mocno i zamknął na niej drugą dłoń.

– Jak powiedziałem, Jasonie, wszyscy ludzie, z którymi ojciec mnie poznał, byli Rosjanami... wszyscy poza jednym człowiekiem, Christienem Norémem.

Rozdział 26

– Potrzebna mi komórka – powiedział Peter Marks. Siedział na łóżku, choć mógł już chodzić i nie dyszał przy tym jak przekarmiona gęś.

Deron wyciągnął telefon na kartę w plastikowym opakowaniu.

– Może zaskoczy cię wiadomość, że ktokolwiek zasadził się na ciebie, okazał się znacznie potężniejszy, niż myśleliśmy.

Peter przekreślił głowę na bok.

– Teraz nic mnie już nie zdziwi. A dokładniej?

Deron rozerwał opakowanie i wyjął telefon.

– Wysłałem Tyrone'a na policję, żeby dowiedział się czegoś o twoich porywaczach. Policja twierdzi, że nic nie wie. Ktoś zadzwonił na dziewięć dziewięć siedem, ale kiedy patrol się tam zjawiał, niczego nie zastał, żadnych ciał, karetki i rzecz jasna ciebie.

Peter westchnął.

– Wracamy do punktu wyjścia.

– Nie do końca. – Deron podał mu coś, co wyglądało na ludzki ząb. – Tyrone znalazł to na miejscu wydarzeń i zgarnął do kieszeni, zanim wsadził cię na motocykl. Musiałeś wybić go jednemu z porywaczy.

Peter obracał ząb w palcach.

– Jak to ma mi pomóc?

Kiedy chciał dokładniej mu się przyjrzeć, Deron krzyknął:

– Uważaj! – I wyrwał mu go z ręki. – To tylko wygląda na ząb. Tak naprawdę jest wydrążony w środku i wypełniony płynnym cyjankiem wodoru.

– Kapsułka samobójcy?! – odezwał się Peter. – Myślałem, że to przeszło do historii razem z NKWD. Deron obracał ząb między palcami jak marmurową kulkę.

– Najwyraźniej nie.

– Zatem musi być z Rosji.

Deron skinął głową.

– Więc teraz wiemy przynajmniej, z jakiego kraju pochodzili twoi porywacze. Czy to jest w jakiś sposób pomocne?

Peter zmarszczył czoło.

– Tego jeszcze nie wiem.

Deron aktywował telefon, doładował konto i podał go Peterowi.

– Masz dwadzieścia minut, w tym połączenia zagraniczne – powiedział. – Potem komórka jest do wyrzucenia.

Peter pokiwał głową z wdzięcznością. Deron znał na wylot zasady bezpieczeństwa. Kiedy wyszedł z pokoju, Peter wcisnął numer kontaktu Sorai w Damaszku, do którego dzwonił wiele dni wcześniej, gdy pierwszy raz zetknął się z nazwą El-Gabal, niefunkcjonującą już firmą wydobywczą, dla której FitzWilliams pracował jako konsultant, zanim został zatrudniony w Indigo Ridge.

– Ashur – powiedział, gdy odezwał się głos. – Mówi Peter.
– Peter Marks? Myśleliśmy, że zostałeś zlikwidowany. Peter poczuł na plecach zimny dreszcz.

– Kto mówi? Gdzie jest Ashur?

– Ashur nie żyje. Albo prawie.

Włosy uniosły mu się na karku. Wykorzystując ząb samobójcy jako wskazówkę, zapytał:

– *Otkuda wy znajecie mienia?* – Skąd mnie znacie?

– Ashur nam powiedział – poinformował głos, a potem zachichotał diabolicznie. – Nie chciał, ale w końcu nie miał innego wyjścia.

Co, do cholery, Rosjanie robią w Damaszku? – zastanawiał się Peter.

– Dlaczego chcieliście mnie zabić?

– A dlaczego interesujesz się El-Gabal? Nie działa już od lat.

Peter zaczynał być wściekły, ale bardzo się starał trzymać nerwy na wodzy.

– Jeśli zabijecie Ashura...

– Jego śmierć jest już przesądzona – odpowiedział głos z wkurzającym spokojem.

Zdobywając się na ogromny wysiłek, Peter zostawił na razie sprawę Ashura i zebrał myśli.

– El-Gabal nadal działa. Jest dla was zbyt ważna – rzucił trochę na oślep.

Milczenie.

Mam rację, pomyślał, El-Gabal ciągle istnieje.

– Mam ząb samobójcy jednego z waszych ludzi. Kiedy wyrwałem mu go z ust, zaczął mówić. Wiem, że wszystko kręci się wokół El-Gabal.

Ciągłe milczenie, puste i do pewnego stopnia upiorne.

– Halo? Halo?

Słyszał tylko martwą ciszę. Wcisnął powtórnie wybieranie numeru, ale nic nie zyskał, nie zgłosiła się nawet poczta głosowa Ashura. Kanał komunikacyjny, i tak niezbyt sprawny, został zerwany.

• • •

– Przyjaźniłeś się z ojcem dziewczynek, nie z ich matką – stwierdził Bourne.

Don Fernando skinął głową.

– I nigdy im o tym nie powiedziałaś.

Hiszpan upił kolejny łyk. Może to było złudzenie wywołane światłem, niemniej jego oczy miały barwę identyczną z kolorem brandy.

– Znam tylko Kaję. Prawda jest dla niej zbyt skomplikowana...

– Przez całe dorosłe życie Kaja usiłuje się dowiedzieć, kim był jej ojciec – odezwał się Bourne z tą samą stanowczością. – Powinieneś być jej powiedzieć.

– Nie mogłem – wyznał Don Fernando. – Prawda jest zbyt niebezpieczna dla tych dziewczyn.

Jason wyjął dłoń spomiędzy rąk starca.

– Co daje ci prawo decydowania o tym?

– Śmierć Mikaeli daje mi to prawo. Ona się dowiedziała, a prawda ją zabiła.

Bourne odchylił się na krześle. Don Fernando był jak chimera. Za każdym razem, gdy już

wydawało się człowiekowi, że go przejrzał, zmieniał kształt równie łatwo, jak Bourne zmieniał tożsamości.

Hiszpan spojrział mu głęboko w oczy i pokręcił głową.

– Daj mi przynajmniej szansę obrony, zanim uznasz mnie za winnego.

• • •

– Twoje oko wygląda paskudnie – powiedział Boris. – Zdobądź stek i przyłóż do niego.

– Nie ma na to czasu – odparł Zaczik, kończąc połączenie z telefonu komórkowego. – Czerkiesowa widziano, jak przechodził przez kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku w Moskwie.

Boris stanął przy krawężniku i zatrzymał taksówkę.

– Dokąd się wybierał?

– Do Damaszku – odpowiedział Zaczik, wsiadając do środka.

Karpow podał kierowcy adres. Ruszyli do najbliższego wjazdu na A92 – autostradę Monachium–Deggendorf.

– Syria. – Boris rozsiadł się wygodnie. – Co takiego Czerkiesow może robić w Damaszku?

– Tego nie wiemy – rzucił Zaczik. – Ale przechwyciliśmy telefon na jego komórkę. Polecono mi, żeby zgłosił się do El-Gabal, firmy wydobywczej przy Avenue Choukry Kouatly.

– Ciekawe.

– A będzie jeszcze ciekawsze – oznajmił Zaczik. – Do tej pory byliśmy przekonani, że El-Gabal nie działa od lat siedemdziesiątych.

– Z czego jasno wynika, że wasz wywiad się myli – skomentował Boris uszczypliwie.

– Powstrzymam się od złośliwości, jeśli i wy przestaniecie robić takie uwagi – powiedział Zaczik.

– Zawarliśmy umowę satysfakcjonującą dla nas obu – odparł Boris. – To jednak nie oznacza, że muszę cię lubić.

– Ale musicie mi zaufać.

– Nie tobą się martwię – mruknął Boris. – Niepokoi mnie SWR.

– To znaczy Beria.

Boris zapatrzył się w okno. Czuł ulgę na samą myśl, że opuszcza Niemcy.

– Zajmę się Czerkiesowem, a ty zajmiesz się Berią. To sprawiedliwy podział. – Wiedział jednak dokładnie, że w ich pracy nigdy nie istniał sprawiedliwy podział, bo kłamstwo było nie tylko endemicznie z nią związane, lecz często konieczne do przetrwania.

– To kwestia zaufania – powtórzył swoje Zaczik, wybierając zaszyfrowany numer na komórce. – I zawsze tak jest. – Rozmawiał jakiś czas przez telefon, a potem się rozłączył. – Bilet czeka już na was na lotnisku. Czerkiesow wyleciał o godzinie szesnastej. Wasz samolot startuje o osiemnastej czterdzieści. Dolecie do Damaszku na drugą w nocy. Dobra wiadomość brzmi, że wasz lot jest krótszy. Będziecie mieli godzinę w Damaszku, zanim dotrze tam wasz były szef. – Pisał SMS-a. – Będzie tam na was czekał człowiek...

– Nie chcę żadnego z twoich ludzi, żeby patrzył mi na rękę.

Zaczik podniósł wzrok.

- Zapewniam was.
 - Znam Damaszek równie dobrze jak Moskwę – oświadczył Boris z taką stanowczością, że agent SWR wzruszył jedynie ramionami.
 - Jak sobie życzyacie, generale. – Odłożył telefon i chrząknął. – Powierzamy sobie nawzajem własne życie.
 - To niezbyt mądre – powiedział Boris. – Przecież prawie się nie znamy.
 - A co zrobimy z Iwanem Wołkinem?
- Boris rozumiał, o co chodziło Zaczikowi. Znajomość Borisa i Iwana datowała się na kilka dziesięcioleci wstecz. Ich przyjaźń nie ochroniła go jednak przed zdradą Wołkina.
- Nie będziecie bezpieczni, dopóki on jest w grze.
- Jego bezceremonialność rozbawiła Borisa.
- Wszystko po kolei, Zaczik.
- Zaczik się uśmiechnął.
- Zwróciliście się do mnie po nazwisku.

• • •

- Bourne zmuszał się do zachowania spokoju.
- Mów dalej.
 - Ałmaz narodził się w mrocznych dniach władzy Stalina i jego prawej ręki, Ławrientija Berii. – Don Fernando objął dłońmi kieliszek i wciągnął zapach brandy do nosa, zanim się napił. Robił to wolno, jakby ten rytuał go uspokajał, pozwalał wrócić do siebie. – Jak bez wątpienia wiesz, Beria został szefem NKWD w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. Od tamtego momentu tajna policja stała się sankcjonowanym przez państwo katem, jakiego Stalin potrzebował. W Jałcie Stalin przedstawił Berię prezydentowi Rooseveltowi jako „naszego Himmlera”. Krwawe poczynania Berii są dobrze udokumentowane, ale możesz mi wierzyć, że prawda jest jeszcze straszniejsza. Porwania, tortury, gwałty, okaleczenia i śmierć były na porządku dziennym, jeśli chodziło o jego wrogów i ich rodziny, także kobiety i dzieci, bo wszystkich traktował jednakowo. Ale kiedy miesiące przeszły w lata, w NKWD pojawili się ludzie, których brzydziły niesłabnące okrucieństwa i przemoc. Nie mogli oczywiście powiedzieć o tym głośno, dlatego zeszli do podziemia, tworząc grupę, którą nazwali Ałmaz, diament, bo diamenty są ukryte, powstają przy niewyobrażalnym ciśnieniu głęboko w ziemi.
- Oczy don Fernanda znowu stały się niebieskie, pobłyskiwały niczym morze o poranku. Dokończył brandy i nalał sobie kolejną porcję.
- To byli mądrzy ludzie. Wiedzieli, że ich przeżycie zależy nie tylko od zachowania Ałmazu w absolutnej tajemnicy, ale też od wyprowadzenia go poza granice Związku Radzieckiego. Jediną nadzieję pokładali w długoterminowych sojuszach, zarówno jeśli chodzi o wpływy i siłę, jak i możliwość ucieczki z ojczyzny, gdyby zaszła taka konieczność.
 - Wtedy wkroczył twój ojciec – powiedział Bourne.
- Don Fernando skinął głową.
- Ojciec zaczął wydobywać ropę naftową w Kolumbii, ale szybko się tym znudził. „Fernando, mówił do mnie, ciąży na mnie klątwa niespokojnego umysłu. Nie wolno ci pójść moim śladem”. Żartował oczywiście, ale tylko trochę. Wysłał mnie do Londynu, gdzie

zrobiłem dyplom z pierwszą lokatą z ekonomii na Oksfordzie. Tak naprawdę jednak przyjemność sprawiała mi praca fizyczna, dlatego kiedy wróciłem do Kolumbii, ku przerażeniu ojca, zacząłem pracować na polach naftowych, by samemu piąć się do góry. Miałem ogromną satysfakcję, kiedy w końcu odkupiłem udziały od moich dawnych szefów. Tymczasem ojciec zajął swój niespokojny umysł międzynarodową bankowością i stworzył Aguardiente Bancorp. – Wypił trzecie brandy i ponownie zaatakował butelkę. – Z moich trzech braci, niestety, nie było żadnego pożytku. Jeden zmarł po przedawkowaniu narkotyków, drugi zginął w strzelaninie między kartelami. Trzeci umarł, jak myślę, z powodu złamanego serca.

Ponownie machnął ręką.

– W każdym razie to właśnie przez coraz bardziej lukratywne międzynarodowe transakcje finansowe Aguardiente ojciec nawiązał pierwszy kontakt z dysydentami z Ałmazu. Nie ma gorliwszego kapitalisty od socjalisty konwertyty. Podobnie było z moim ojcem. Sympatyzował z Ałmazem i przysiągł im pomagać, na ile mógł. Ale nie za darmo. Ałmaz systematycznie okradał państwową szkatułę Stalina. Ojciec prał im pieniądze, a potem mądrze inwestował, pobierając za to bardzo hojną działkę. Wszyscy stali się bogaczami i mieli coraz większą władzę. Kiedy w końcu Chruszczow i jego poplecznicy usunęli Berię, Ałmaz był siłą, z którą należało się liczyć, lecz jego członkowie nauczyli się, że nie można ufać nikomu z radzieckiego rządu. Poza tym dobrze im było w cieniu i tam właśnie zdecydowali się pozostać, wpływając na zdarzenia zza kulis.

– Ale ich ambicje były już za duże na Związek Radziecki – wszedł mu w słowo Jason.

– Tak. Przewidzieli upadek Związku Radzieckiego. Po naleganiach ojca poszerzyli zakres działania.

– Do tego czasu, jak sobie wyobrażam, twój ojciec był już pełnoprawnym członkiem tej organizacji – powiedział Bourne. – I ciebie też przygotowywał do wstąpienia do Ałmazu.

Don Fernando skinął głową.

– Dołączyłem do Christiena Noréna i byliśmy pierwszymi nie-Rosjanami w Ałmazie.

– Ty byłeś mózgiem, a on mięśniami, katem.

Hiszpan skończył brandy, ale nie napełnił ponownie kieliszka.

Jego oczy stały się lekko szkliste, wyglądał na zamroczonego alkoholem.

– To prawda, Christien był bardzo dobry w zabijaniu ludzi. Myślę nawet, że chyba czerpał z tego przyjemność.

Rzucił kilka banknotów na stół. Wstali i wyszli z kafejki, a potem ruszyli nadmorską drogą w stronę domu don Fernanda. Noc była wyjątkowo pogodna, księżyc przybrał baldożółtą barwę i przesuwiał się po bezchmurnym niebie. Takielunek obijał się arytmicznie o maszty, poruszany podmuchami słonego wiatru znad morza. Daleki warkot skuterowych silników przydawał nocy melancholii.

– Jeśli Christien był kretem w Domnie – odezwał się Bourne – to zakładam, że te dwie grupy były antagonistyczne.

– Powiedziałbym raczej, że strefy ich wpływów zachodziły na siebie. A potem Benjamin El-Arian zawarł pakt z diabłem.

– Z Semidem Abdul-Qahharem.

Herrera pokiwał głową.

– To wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że popełniliśmy straszny błąd. Zaczęliśmy rozpuszczać pogłoskę, że Treadstone wzięło na cel Domnę. Wiedzieliśmy, że Domna wysła Christiena, żeby usunął twojego dawnego szefa.

– Chcieliście śmierci Alexa Conklina.

– Wręcz przeciwnie, chcieliśmy, żeby Christien zwerbował Conklina do Ałmazu.

Bourne wiedział, że Conklin był z pochodzenia Rosjaninem. I nienawidził komunistów całym sercem. Ałmaz miał spore szanse na pozyskanie go dla swojej sprawy.

– To byłby ostateczny przewrót – mówił dalej Hiszpan – dokonany tuż pod nosem Domny.

W dali widać już było ulicę don Fernanda, światła w jego domu zapraszały ciepłem.

– Ale plan nie wypalił – powiedział Bourne. – Conklin zabił Christiena, a El-Arian dogadał się z Semidem Abdul-Qahharem, by wykonywał dla niego brudną robotę.

– Gorzej, Domna przekonała się, że Ałmaz jest jej nieprzejednanym wrogiem i od tamtej pory jesteśmy w stanie ciągłej wojny na wszystkich frontach.

• • •

Istniało sporo sposobów wejścia do banku i Soraya знаła je wszystkie. O godzinie dziesiątej weszła do butik Chanel przy avenue Montaigne i kupiła ubranie na ten dzień, pasujące na nią idealnie. Widać było, że to drogie rzeczy. W pobliskim sklepie wykorzystwała kartę kredytową Treadstone, niemającą limitu, i stała się właścicielką pary pantofli Louboutina, dopełniających stroju. Kiedy podpisywała rachunek, ponownie źle się poczuła. Przejęta sprzedawczyni pokazała jej, gdzie jest toaleta. Soraya poszła tam pospiesznie, zatrzasnęła za sobą drzwi i dosłownie w ostatniej chwili znalazła się przy muszli klozetowej. Rzygała tak gwałtownie, że miała wrażenie, jakby żołądek przewracał jej się na drugą stronę. Teraz zaczęła się martwić – wymioty były typowym objawem poważnego wstrząśnienia mózgu. Serce waliło jej jak młotem. Nagle zrobiło się jej słabo. Chwyciła się drzwi kabiny. Zaciśnęła jednak zęby, głęboko odetchnęła i wzięła się w karby.

Dziesięć minut zajęło jej obmycie twarzy, wypłukanie ust i uzyskanie takiego wyglądu, żeby mogła pokazać się ludziom. Kiedy kończyła, ból głowy przeszedł w intensywne pulsowanie. Była tak blada, że sprzedawczyni zaofiarowała się wezwać lekarza. Soraya podziękowała jej uprzejmie i spytała, gdzie jest najbliższy salon kosmetyczny.

Na ulicy słońce raziło ją w oczy, przez co głowa rozboleła ją jeszcze bardziej. Pół godziny później, po wydaniu prawie trzystu euro i zabiegach profesjonalnej makijażystki, wyglądała mniej więcej normalnie. Potem, w ogromnych okularach przeciwsłonecznych kupionych w przygodnym sklepie, ruszyła ulicą, weszła do oddziału banku Elysee, o przecznicy od Sekwany, i podjęła pieniądze z konta Treadstone.

Poprosiła urzędnika w banku, żeby zamówił jej taksówkę, a konkretnie jeden z najnowszych modeli mercedesa. Czekaając, zadzwoniła do miejsca, gdzie się wybierała, i perfekcyjnym francuskim z paryskim akcentem przedstawiła się jako *mademoiselle* Gobelins i umówiła na spotkanie z wiceprezesem. Kiedy mercedes przyjechał, podała kierowcy adres.

Ignorując sporadyczne łomotanie w głowie, pchnęła szklane drzwi siedziby banku dokładnie o godzinie jedenastej trzydzieści. Imponujące stanowisko recepcji znajdowało się pośrodku pomieszczenia i miało po obu stronach ogromne palmy w donicach. Tuż za recepcją

widać było szklane drzwi prowadzące do banku. Soraya stała przez chwilę przed nimi, zbita z tropu, chora i trochę wystraszona, ale wtedy ogarnęło ją uczucie euforii, jakby śledztwo zbliżało się do końca. Z pewnym wysiłkiem odsunęła myśli o poprzednim dniu, żal i rozpacz, i zastąpiła je narastającą złością, co pomogło jej skupić się na wykonywanej misji.

W środku na ogromnej przestrzeni ustawiono dla klientów długie pulpity do pisania. Po prawej stronie ciągnął się rząd przeszklonych kas, po lewej drewniana barierka z furtką, przez którą przechodziło się do szeregu boksów, gdzie bankowi urzędnicy skrupulatnie wysłuchiwali żądań klientów albo nadrabiali zaległości w papierkowej robocie. Ściana na końcu pomieszczenia była wyłożona boazerią i wisiały na niej cyfrowe zegary pokazujące czas w Paryżu, Nowym Jorku, Londynie i Moskwie. Po obu stronach widać było schody prowadzące do biur na piętrze, gdzie pracowali urzędnicy wyższego szczebla. Tam właśnie Soraya musiała pójść.

Przy biurku informacji podała nazwisko urzędnicze, która natychmiast podniosła słuchawkę telefonu i zadzwoniła na górę. Chwilę później zjawił się strażnik i poprowadził ją przez salę. Rozległ się brzęczyk, przeszła przez furtkę, a strażnik doprowadził ją do tylnej ściany. Po naciśnięciu guzika boazeria się rozsunęła, a Soraya weszła do urządzonej z ogromnym przepychem windy. Strażnik wjechał z nią na piętro, a potem skierował w prawą stronę, wzdłuż łagodnie oświetlonego korytarza. Słyszała ciche klikanie klawiatur komputerowych, gdy mijala otwarte drzwi po lewej i prawej stronie.

Była umówiona z panem Sigismoldem, wysokim, szczupłym mężczyzną o władczym wyglądzie i jasnobrązowych włosach uczesanych z przedziałkiem. Sigismond zerwał się z biurka, żeby ją powitać.

– Bardzo miło mi panią poznać, *mademoiselle* Gobelins. – Jego francuski pobrzmiwał niemieckim akcentem. Trzymając w dłoni końce jej palców, pocałował ją w rękę i wskazał obitą pluszem sofę po jej prawej stronie. – Proszę usiąść. – Kiedy już zajął miejsce obok niej, dodał: – Rozumiem, że chciałaby pani wyznaczyć Nymphenburg Landesbank z Monachium jako instytucję zarządzającą pani finansami.

– Tak, właśnie – odpowiedziała Soraya. Pomyślała, że piwny kolor oczu pana Sigismonda jest zasługą szkieł kontaktowych. – Teraz gdy przejęłam spadek, doradzono mi skorzystanie z państwa oddziału jako najlepszego w Europie Zachodniej.

Uśmiech pana Sigismonda nie mógł być cieplejszy.

– Dobry Boże, jakież to miłe, dowiedzieć się, że ciężka praca człowieka przynosi zamierzone rezultaty.

– Bo tak jest z pewnością.

– Pani życzenia?

– Chcę otworzyć konto. Mam znaczną sumę, którą chciałabym zdeponować, a będzie tego więcej. I potrzebna mi będzie pomoc przy inwestowaniu.

– Ależ oczywiście. Wspaniale! – Pan Sigismond uderzył się energicznie po udach. – Zanim jednak przejdziemy dalej, chciałbym przedstawić pani dżentelmena, który jest autorem ogromnego sukcesu naszego zarządzania finansami. – Wstał i otworzył drzwi, których Soraya wcześniej nie zauważyła. Do środka wszedł mężczyzna, którego wygląd zdradzał, że pochodzi z Bliskiego Wschodu. Był niemal hipnotyzująco przystojny.

– Ach, *mademoiselle* Gobelins, jak miło mi panią poznać – powiedział, niemal szybując ku

niej. – Nazywam się Benjamin El-Arian.

• • •

Gdy zbliżali się do domu don Fernanda, Bourne się zatrzymał.

– O co chodzi? – zapytał starszy pan.

– Nie wiem. – Bourne poprowadził w cień palm rosnących przy drodze od strony morza. – Coś jest nie tak. Zostań tutaj.

– Ani myślę – odpowiedział don Fernando, wyciągając magnum. – Nie martw się, nie będę cię spowalniał.

Bourne wiedział, że spieranie się z nim nie ma sensu. Obaj przemieszczali się od cienia do cienia, aż znaleźli się naprzeciwko domu. Przystanęli tam, nieruchomo i w milczeniu. W pewnej chwili Bourne spostrzegł cień przemykający za jednym z oświetlonych okien. Za duży, żeby to była Kaja. Wskazał kierunek głową, don Fernando skinął mu w odpowiedzi. Też zobaczył cień i rozumiał, co z tego wynika.

Jason odwrócił się do starca.

– Wejść do sypialni przez to samo okno, co Etana, ale potrzebuję dywersji.

– Zostaw to mnie – odpowiedział Hiszpan.

– Daj mi trzy minuty na dotarcie na miejsce – rzucił Bourne, zanim pobiegł przez niemal pustą ulicę.

Poruszał się bezgłośnie, zbliżając się do domu. Przed nim, między ulicą a palmowym zagajnikiem, przez który nie tak dawno ścigał Etanę, znajdowała się otwarta przestrzeń oświetlana latarniami z ulicy. Przechodząc na drugą stronę posesji, zorientował się, że sąsiedni dom stoi całkiem blisko. Połączone kable telefoniczne i elektryczne zwieszały się z wysokich stalowych słupów przy nadmorskiej drodze, coraz niżej od domu do domu. Nie miał czasu do namysłu. Odpiął pasek, a potem wspiął się na sąsiedni budynek. Przerzucił koniec paska nad kablami, zjechał po nich do cienia przy domu don Fernanda i zeskoczył.

Gdy biegł na tyły domu, usłyszał huk wystrzału z pistoletu. Błyskawicznie znalazł się przy oknie swojej sypialni i wszedł w ciemność.

Stał absolutnie nieruchomo i nasłuchiwał każdą częścią swego ciała. Poczł zapach przemysłowego środka do czyszczenia, po krwi Essaia nie było śladu. Nigdzie też nie widział trupa – ludzie don Fernanda byli szybcy i skuteczni. Bourne stał tuż przy drzwiach i kontrolował własny oddech. Słyszał cichy szmer systemu ogrzewania, skrzypnięcia okiennic poruszanych wiatrem. I wtedy doszło go trzeszczenie podłogi. Kaja nie ważyła tyle, żeby wywołać podobny dźwięk, zatem był tu co najmniej jeden mężczyzna. Kolejny trzask w innym pokoju powiedział mu, że jest przynajmniej dwóch. Ale gdzie Kaja? Związana? Ranna? Zabita?

Przeszedł przez częściowo uchylone drzwi i ruszył długim korytarzem, prowadzącym do salonu i dalej, do frontowych drzwi. Nozdrza mu się rozszerzyły, gdy poczuł obecność kogoś obcego. Pchnął drzwi do sypialni Kai, otworzył je, ale nikogo tam nie było. Nie wyczuwał jej. Cokolwiek zrobiła po wyjściu don Fernanda, na pewno nie została w pokoju. Minął kuchnię, która też świeciła pustkami.

Korytarz kończył się salonem. Przez balkonowe drzwi widać było ogrodzony ogród, targany

wiatrem i opustoszały. Tam też jej nie było. Bourne dostrzegł dwóch uzbrojonych mężczyzn. Jeden stał przy frontowych drzwiach, drugi wracał do środka.

– Nic – powiedział do partnera po rosyjsku. – Pewnie gaźnik w jakiejś ciężarówce.

Bourne rzucił się na nich. Tego, który znajdował się po prawej stronie, przewrócił kopniakiem na ziemię. Pięścią walnął go solidnie w policzek, a potem odwrócił tors, żeby zachować równowagę i zająć się Rosjaninem po lewej stronie.

Zdążył chwycić rękojeść glocka, kiedy don Fernando wpadł frontowymi drzwiami. Telefon komórkowy trzymał przy uchu, lufa magnum była skierowana w podłogę.

– Przestańcie! Wszyscy! – krzyknął. – Jasonie, ci ludzie są z Ałmazu!

Bourne rozluźnił mięśnie, obaj Rosjanie się poruszyli. Leżący na podłodze jęknął i przewrócił się na bok.

– Co oni tu robią? – zapytał Bourne, prostując się. – Gdzie jest Kaja?

Don Fernando odsunął telefon od ucha.

– Zniknęła, Jasonie.

– Porwana?

Drugi Rosjanin pokręcił głową.

– Widziano ją, jak wychodziła z własnej woli. Dlatego zostaliśmy wysłani.

Hererra wpatrywał się w niego.

– I? – zapytał.

Agent Ałmazu westchnął.

– Zniknęła. Nie ma po niej śladu w okolicy, a w domu brak jakiegokolwiek wskazówki, dokąd mogła pójść. – Spojrzał na don Fernanda. – Ulotniła się jak duch.

• • •

Skara patrzyła na własne odbicie w lustrze w hotelowej łazience i widziała twarz, którą ledwie rozpoznawała. Jedno wiedziała na pewno, nie była już Margaret Penrod. Kim jestem? – zastanawiała się, drżąc, jakby ktoś polewał ją lodowatą wodą. To pytanie ją przerażało, jego realność przepełniała ją niewysłowionym żalem. Zaciśnęła dłonie. Paznokcie jak ostrza noży zagłębiły się w ciało. Czują ogień bólu, choć przebiły tylko skórę.

Miała ogromną chęć wrócić do mieszkania, ale została w nafaszerowanym sprzętem pokoju hotelowym, bo chciała się w ten sposób ukarać albo wręcz przeciwnie, a może i jedno, i drugie.

Zamknęła oczy. Wspomnienia popłynęły jak krew z otwartej rany. Zanim ojciec wyszedł po raz ostatni, powiedział, żeby dbała o bezpieczeństwo Mikaeli. Tylko Skara wiedziała, że on już nigdy więcej nie wróci. Zdradził jej to wtedy, lecz dopiero znacznie później zrozumiała, dlaczego: o swoim życiu nie powiedział słowa Vivece. Niewykluczone, że w Skarze dostrzegł coś z samego siebie. Przekazał jej wiele rzeczy, nauczył, jak dbać o siebie i siostry. Ale Rosjanie zjawili się w środku dnia, a ona, niewłaściwie oceniwszy sytuację, uznała, że może bezpiecznie pójść po jedzenie. Zostawiła Mikaelę z bronią i wróciła po kwadransie, lecz jak się okazało, to było ostatnie piętnaście minut życia jej siostry. To wtedy postanowiły z Kają opuścić Sztokholm, w ogóle Szwecję, rozdzielić się i nigdy więcej nie kontaktować.

Wpatrywała się w odbicie w lustrze. Ślady na dłoniach po paznokciach pulsowały we

fluorescencyjnym światłem, jakby żyły. Kiedy zgasła lampę, miała wrażenie, że zniknęła.

Przeszła przez pokój do minibaru po wódkę. Do szerokiej niskiej szklanki z grubym dnem, którą zdjęła z metalowej półki nad niewielką lodówką, wlała całą zawartość małej butelki a potem jeszcze jednej. Wypiła kilka solidnych łyków, po czym odstawiła szklankę na szafkę nocną.

Powoli i prowokacyjnie się rozebrała. Występowała przed kamerami wideo, jakby były włączone. Uklęka z rozstawionymi nogami i chwyciła swoje nagie piersi. Ścisnęła je, aż łzy popłynęły jej po policzkach. Po chwili położyła się na brzuchu, dłonie trzymała pod sobą i uniósłszy lekko biodra, pracowała palcami, aż ogarnęła ją mieszanina rozkoszy i bólu, gdy jednocześnie płakała w poduszkę.

Przeciągała tę rozkosz zmieszaną z bólem, jak długo mogła, szczytowała, przewróciła się na plecy. Kiedy skończyła, ciało miała jak wydrążone, czuła pustkę w głowie. Wytchnienie, którego doznała, było jednak bardzo krótkie, bo w chwilę potem skrzywiła się, gdy przypomniawszy sobie o obowiązkach teraźniejszego życia.

Tkwiała w pułapce świata o perwersyjnej moralności, w pułapce miejsca i czasu, do których jeszcze niedawno dążyła, ale teraz wydawały jej się odpychające. Po raz pierwszy od wielu lat chciała, żeby Kaja tu z nią była. Albo przynajmniej móc się z nią skontaktować i wyrzucić z siebie przeżywane katusze przed jedyną istotą na świecie, która mogła ją zrozumieć. Tyle że nie miała pojęcia, gdzie Kaja może przebywać, nie знаła nawet jej obecnej tożsamości. W tej sprawie nie było dla niej nadziei.

I co z Christopherem? W pokoju włączyła się klimatyzacja, zimny powiew omiół jej plecy, wywołując gęsią skórę. Skończyły się jej możliwości – był bowiem Christopher i był Benjamin, dwie antagonistyczne siły w jej obecnym życiu. Wszystko zmieniło się w czasie ostatniej rozmowy telefonicznej z Benjaminem, musiała zignorować głos serca i trzymać się jak najdalej od Christophera.

Podjęcie tej decyzji przyniosło jej otuchę. Wstała z łóżka. Zapatrzyła się na stół, na którym czekało jedzenie przyniesione przez kelnera całe godziny wcześniej. Nie tknęła niczego i nie miała na to najmniejszej ochoty. Podniosła tacę i ruszyła do drzwi. Trzymając ją na jednej ręce, otworzyła je. W tej chwili trzech mężczyzn czekających w korytarzu rzuciło się na nią.

• • •

Jeśli Aaron byłby uczciwy wobec siebie, musiałby przyznać, że kiedy szef do niego zadzwonił, nie zajmował się niczym poza robieniem wrażenia.

– Nie ma jej w banku. – Suchy głos Robbineta rozległ się w jego uchu. – Módl się, żeby nie leżała nieprzytomna w jakimś rynsztoku albo z kulą w głowie.

Aaron próbował zebrać myśli. Podobnie jak Robbinet zakładał, że Soraya pójdzie do banku Île de France w La Défense. Na jej miejscu właśnie tam by się skierował.

– Niech pan zaczeka – powiedział, nagle przypominając sobie pewien szczegół z przesłuchania Marchanda. – Finanse Monition Club przechodzą przez Île de France, ale jednostką zarządzającą jest Nymphenburg Landesbank z Monachium.

– Nigdy o nim nie słyszałem – warknął Robbinet. – Ma oddział w Paryżu?

– Chwileczkę. – Aaron poszukał na Google w telefonie komórkowym. – Tak, jeden oddział.

Przy boulevard de Courcelles siedemdziesiąt. Naprzeciwko parku Monceau.

– Spotkamy się tam za piętnaście minut – zarządził Robbinet. – I niech Bóg ma cię w opiece, jeśli jest ranna albo coś gorszego.

• • •

Talerze, sztuce i jedzenie poleciały w powietrze, gdy Skara uderzyła krawędzią tacy w gardło pierwszego mężczyzny, ale dwóch pozostałych wepchnęło ją z powrotem do pokoju z taką siłą, że uderzyła w stół, a potem upadła na jedno kolano.

Mężczyzna, którego uderzyła, zatrzasnął za sobą drzwi, zamykając całą czwórkę razem w pokoju. Wyciągnął glocka, nakręcił na lufę tłumik i wycelował w Skarę, a tymczasem dwóch pozostałych chwyciło ją pod ramiona i rzuciło na łóżko. Jeden z nich trzymał ją za nogi w kostkach, a drugi rozpiął pasek i usiadł na niej. Śmierdział czosnkiem i kapustą. Rozsunął nogami jej uda i zbliżył twarz do jej twarzy. Skara uniosła gwałtownie głowę i wgrzyła się zębami w jego dolną wargę. Szarpnął się i próbował cofnąć, ale ona trzęsła głową jak pies i gryzła coraz mocniej, aż odgryzła mu kawałek ciała. Krew tryskała, gdy usiłował się z niej stoczyć.

– Co się dzieje? – zapytał Rosjanin z glockiem.

Mężczyzna, który na niej leżał, próbował się podnieść, ale walnęła go w dolną szczękę, aż zazgrzytał zębami.

– Wiem, kim jesteście – wyszeptała mu do ucha, gdy krwawa piana zaczęła wypływać mu ze zmasakrowanych ust. Poczowała zapach gorzkich migdałów.

Rosjanin przewrócił oczami i dostał konwulsji. Zrzuciła go na drugiego, który ją przytrzymał. Mężczyzna puścił jej kostki, żeby złapać trupa. Chwyciła go i odwróciła w momencie, gdy bandyta z pistoletem pociągnął za cyngiel. Kula trafiła drugiego Rosjanina, który upadł do tyłu, całkowicie ją zasłaniając.

Skara zsunęła się z łóżka, a kiedy bandzior odwrócił się, szukając jej wzrokiem, kopnęła go z całych sił w piersi. Wzięty z zaskoczenia, upadł na plecy na dywan. Jego glock poleciał przez pokój. Skara rzuciła się w stronę szklanki z wódką, roztrzaskała ją o krawędź szafki nocnej i wbiła wyszczerbione dno w oko napastnika.

Wrzasnął i nie przestawał krzyczeć, machał rozpaczliwie ramionami, podczas gdy ona wciskała szkło głębiej. Zaczął okładać ją pięściami, pozbawiając oddechu. Spróbował się podnieść, wykorzystując własną niespotykaną siłę i ciężar. Ale docisnęła mu krtań kolaniem i balansując, zmiażdżyła chrząstkę. Zadławił się i łapczywie starał się wciągnąć powietrze, lecz daremnie.

Skara wstała i przeszła ostrożnie między kawałkami potłuczonego szkła do miejsca, gdzie leżał glock. Podniosła go, odwróciła się i strzeliła Rosjaninowi między oczy.

Przez jakiś czas stała bez ruchu, jakby wrosła w ziemię. Zanim ponownie włączyła się klimatyzacja, Skara miała wrażenie, że słyszy ciekącą krew. Podeszła wolno do łóżka i usiadła na brzegu z łokciami na kolanach. Wydłużona lufa glocka zwisała jej między nogami.

Pochyliła głowę, łzy zaczęły płynąć i długo, bardzo długo nie chciała przestać płakać.

• • •

– Twój czas tutaj się skończył, Jasonie – powiedział don Fernando. – Nie możesz już dłużej ochraniać Kai.

– Zostawiłeś ją samą.

– Sytuacja była wyjątkowa. Poza tym była pod obserwacją.

– Na niewiele się to zdało.

Don Fernando westchnął.

– Jasonie, ta kobieta opanowała po mistrzowsku sztukę ukrywania się i uciekania. Cały czas wiedziałem, że jeśli będzie chciała odejść, to ani ja, ani moi ludzie nie zdołamy jej powstrzymać, chyba że ją zwiążemy.

Bourne wiedział, że Herrera ma rację, ale ucieczka Kai go zabolala. Była brakującym ogniwnem. Stała się niewiadomą w skomplikowanym równaniu.

Don Fernando wyjął z kieszeni na piersi cienką książeczkę i podał ją Bourne'owi.

– Bilet na pierwszą klasę do Damaszku. Masz po drodze kilka przystanków, ale na to nic się nie da poradzić. Będziesz tam jutro rano. Załatwię też, żeby czekało na ciebie kilku agentów Ałmazu.

– Nie kłopotz się – odparł Bourne. – Wiem, dokąd pójść. – Kiedy don Fernando spojrzał na niego pytająco, dodał: – Widziałem nalepki spedycyjne dwunastu skrzyń, które były w magazynie, choć nie mam pojęcia, co zawierają.

– Rozumiem. – Hiszpan pokiwał głową. Po wyjściu dwóch agentów Ałmazu wyjął cygaro z aluminiowej tubki, odgryzł końcówkę, przypalił i wciągnął dym w płuca. Kiedy kubańskie cygaro ładnie się rozpałiło, powiedział: – Skrzynie są pełne karabinów FN SCAR-M Mark-dwadzieścia.

– Mark-dwadzieścia nie istnieje.

– Istnieje, Jasonie. To prototypy. Mają bardzo dużą siłę rażenia.

– I dostanie je Domna w Damaszku. Po co?

– Tego właśnie musisz się dowiedzieć. – Don Fernando wydmuchnął kłęb aromatycznego dymu. – Domna od miesiący gromadzi te karabiny i inną broń, ale w ostatnim tygodniu wysyłki przyspieszono.

– Mamy możliwość wstrzymania tej jednej.

– Przeciwnie, mam zamiar zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby dotarła pod wskazany adres, który poznałeś. El-Galan przy Avenue Choukry Kouatly była kiedyś siedzibą firmy zajmującej się kopalnictwem i minerałami. Teraz to skomplikowana sieć biur i pomieszczeń wielkości magazynów, gdzie Domna ma główną bazę.

Bourne zeszywniał.

– Dlaczego pozwalasz, żeby ta broń opuściła Kadyks?

– Dlatego, że te SCAR-M-y są nafaszerowane materiałem wybuchowym C-cztery. – Włożył Bourne'owi do ręki niewielkie plastikowe pudełeczko i telefon komórkowy. – Do każdej skrzyni trzeba zamocować jedną z tych identycznych kart SIM. – Otworzył paczuszkę i pokazał je Bourne'owi.

– Nie można było tego zrobić wcześniej?

Don Fernando pokręcił głową.

– Każda dostawa do El-Gabal przechodzi przez trzy różne kontrole. Jedna z nich to prześwietlenie rentgenem. Te chipy od razu zostałyby zauważone. Nie, trzeba je zamocować

ręcznie na miejscu.

– A potem?

Hiszpan uśmiechnął się przebiegle.

– Musisz wcisnąć jedynie sześć-sześć-sześć na klawiaturze telefonu, ale powinieneś być blisko, na granicy pola widzenia kart, żeby zadziałał sygnał bluetootha. Będiesz miał wtedy trzy minuty na opuszczenie budynku. Wybuch zniszczy wszystko, co Domna zgromadziła w magazynach i wszystkich biurach El-Gabal.

Rozdział 27

Zdaniem Borisa poza zwiększoną kontrolą bezpieczeństwa w Damaszku nic się nie zmieniło od jego ostatniego pobytu. Było to nowoczesne miasto z trudem rozrastające się wokół oazy, lubujące się w minaretach, meczetach i miejscach pamiętających czasy, gdy powstawała Księga Rodzaju, około XIII wieku przed Chrystusem. Abraham wkroczył do Damaszku na czele swojej armii, kiedy szedł z ziem Chaldejczyków, na północ od Babilonu. Przez kilka lat rządził miastem, odpoczywał, i on, i jego ludzie, zauroczony tym słynącym z klejnotów grodem w wonnej dolinie między Tygrysem a Eufratem, zanim ruszył na Kanaan. Potem Damaszek został podbity przez Aleksandra Wielkiego, a jeszcze później zajęty przez rzymskiego wodza Pompejusza. Septymiusz Sewerus uznał go w specjalnym dekreście za kolonię rzymską, ale chrześcijaństwo także tu dotarło. Święty Paweł został trafiony piorunem na drodze do Damaszku. W konsekwencji on i święty Tomasz mieszkali w jednej z najstarszych dzielnic miasta. Damaszek, jeden z najważniejszych punktów na szlaku łączącym Wschód z Zachodem, stał się duchowym domem organizacji Severus Domna.

W dzisiejszych czasach Damaszek składał się z trzech różnych części. Starożytnej medyny, jak nazywano stare miasto, i obszaru z zabytkami z czasów francuskiego protektoratu, z jego subtelną architekturą i zdobnymi fontannami z lat dwudziestych XX wieku, sąsiadującymi niczym dwie piękne perły, które otoczyła ohyda nowoczesnego miasta, z prymitywnymi budynkami z betonu w radzieckim stylu, centrami handlowymi i wiecznie zakorkowanymi ulicami.

Boris przeszedł kontrolę paszportową i od razu rozpoznał agentów SWR kręcących się po terminalu przylotów i bezskutecznie usiłujących wtopić się w tłum. Współczuł im.

O drugiej nad ranem nie było tu ludzi, między których można by się wmieszać. Poszedł do toalety, umył się i popatrzył na siebie w lustrze. Prawie się nie rozpoznawał. Dziesięciolecia manewrowania na polach minowych rosyjskich tajnych służb zmieniły go. Kiedyś był młodym idealistą, kochającym ojczyznę, gotowym złożyć się na ołtarzu, żeby uczynić z niej lepsze miejsce. A teraz, po latach, zdał sobie sprawę, że mimo jego ciężkiej pracy w Rosji wcale nie jest lepiej. Możliwe, że zrobiło się nawet gorzej. Roztrwonił życie na mrzonki, ale czy młodość nie karmi się złudzeniami: marzeniem o zmianie świata? Zamiast tego sam się zmienił i uświadomienie sobie tego napełniło go goryczą.

Po powrocie do hali przylotów znalazł jedyne otwarte stoisko z jedzeniem, kupił talerz *maze* i usiadł przy okrągłym stoliku nie większym od frisbee. Jadł prawą ręką i spoglądał na tablicę przylotów, szukając samolotu z Czerkiesowem na pokładzie. Nie było opóźnienia. Zostało czterdzieści minut do lądowania.

Wstał i podszedł do punktu wypożyczania samochodów. Piętnaście minut później siedział za kierownicą rżęcha, którego silnik dławił się i jęczał. Wykorzystał ten czas na ponowne przemyślenie układu z Zacziem. Oko za oko, dziwne echo *Nieznajomych z pociągu*, filmu, który bardzo lubił. Dwóch obcych sobie ludzi dogadało się w nim, że popełnią morderstwa jeden za drugiego, żeby uniknąć podejrzeń. W tajnych służbach podobny pakt nie miał szans

powodzenia. Obcy nie zdołaliby nawet zbliżyć się do Czerkiesowa albo Berii. Ale ci, którzy ich znali, mogli tego dokonać. Mimo przejścia do Domny Czerkiesow pozostawał cierniem w boku SWR. Zgodnie z tym, co mówił Zaczik, nawet jeszcze bardziej drażniącym teraz, gdy jego wpływy przekroczyły granice Rosji. Boris zaproponował, że zlikwiduje Czerkiesowa dla Zaczika. W zamian Zaczik miał umieścić Berię dwa metry pod ziemią. Wtedy Zaczik przejąłby szefowanie SWR, a Karpow zyskałby tam sprzymierzeńca, a nie kolejnego wroga. Boris rzecz jasna miał własne powody, dla których chciał śmierci Czerkiesowa. Swoje stanowisko zawdzięczał byłemu szefowi, ale dopóki Czerkiesow żył, Boris chodził na jego pasku.

Spojrzał na zegarek. Samolot z Moskwy powinien już wylądować. Zdążył znaleźć miejsce do zaparkowania, zanim pierwsi pasażerowie zaczęli wychodzić z terminalu. Po pewnym czasie spostrzegł idącego energicznym krokiem Czerkiesowa. Uśmiechnął się pod nosem, bo był pewien, że dawny szef zauważył agentów SWR, tak samo jak on, i wiedział też, że jest święcie przekonany, iż czekali właśnie na niego.

Gdy Czerkiesow ruszył do krótkiego rzędu taksówek, Boris objechał je i stanął przy krawężniku przed pierwszym wozem, po czym wychylił się i otworzył drzwi po stronie pasażera.

– Wsiadaj, Wiktorze.

Czerkiesow wytrzeszczył oczy.

– Ty? A co ty tu robisz?

– SWR siedzi ci na ogonie – powiedział Boris nagłym tonem.

Czerkiesow wsiadł. Gdy tylko zatrzasnął drzwi, Boris wrzucił bieg i odjechał z piskiem opon.

Nawoływania do modłów słychać było od minaretu do minaretu, wypełniały miasto zawodzeniem w obcym języku. W każdym razie brzmiącym obco dla Borisa, zbliżającego się tam rozklekotanym samochodem. Zielone światła jaśniały na szczytach minaretów, a było ich znacznie więcej, niż zapamiętał. Czerkiesow siedział obok niego i kopał tureckiego papierosa, bo takie lubił najbardziej. Boris czuł bijącą od niego energię, przywodzącą na myśl iskry z przerwanej kabla wysokiego napięcia.

– Zatem – odezwał się Czerkiesow, na wpół odwracając się do Borisa. – Wyłumacz się, Borisie Iljiczu. Zająłeś się Jasonem Bourne’em?

Boris zjechał z autostrady na ulicę prowadzącą do miasta.

– Byłem zbyt zajęty zajmowaniem się tobą.

Czerkiesow gapił się na niego z otwartymi ustami.

– Po naszej rozmowie o SWR wróciłem do Zaczika, człowieka Berii.

– Wiem, kim jest Zaczik – powiedział Czerkiesow z irytacją.

– Zawarłem z nim układ.

– Co takiego zrobiłeś?

– Zawarłem z nim układ, żeby się dowiedzieć, dlaczego za tobą łążą.

– Od kiedy jestem...

– Zauważyłem jednego z ich agentów na lotnisku w Uralsku. Zastanawiałem się, co tam robi. Zaczik mi powiedział. – Skręcił i pomknęli ciemną ulicą, przy której stały anonimowe białe betonowe budynki. Gdzieś w dali rozlegał się z radia nagrany głos muezina. – Beria bardzo się interesuje twoją nową pozycją w strukturze Domny.

– Beria nie może wiedzieć...

– Ale wie, Wiktorze Deljagowiczu. Ten facet to istny szatan. Czerkiesow zagryzł dolną wargę, zaniepokojony.

– Dlatego ruszyłem za agentami Berii z Moskwy do Monachium, a teraz tutaj, bo zastanawia mnie, jakie mają rozkazy.

– Zaczekaj ci nie powiedział?

Boris wzruszył ramionami.

– Nie to, że nie pytałem, ale nie chciałem naciskać. Istniało ryzyko, że stanie się podejrzliwy.

Czerkiesow skinął głową.

– Rozumiem. Dobrze zrobiłeś, Borisie Iljiczu.

– Moja lojalność nie skończyła się z chwilą, gdy odszedłeś z FSB-dwa.

– W pełni to doceniam. – Czerkiesow zmrużył oczy w kłębach gorzkiego dymu. – Dokąd jedziemy?

– Do całonocnej kafejki, którą tu znam. – Boris pochylił się nad kierownicą i wpatrywał w popękaną przednią szybę. – Ale chyba zabłądziłem.

– Wolałbym pojechać od razu do hotelu. – Czerkiesow podał mu adres. – Wróć do głównego skrzyżowania. Stamtąd znam już drogę.

Boris coś mruknął i skręcił w prawo. Jechali trochę lepiej oświetloną ulicą.

– Dlaczego, do cholery, Beria jest tak kurewsko zainteresowany tym, dokąd jeździsz i z kim się spotykasz?

– A czemu Beria miałby się interesować czymkolwiek? – mruknął Czerkiesow w odpowiedzi, co w sumie nic nie znaczyło.

Boris dojechał do skrzyżowania. Światła nie działały, co nie było czymś niezwykłym w tej okolicy. Głos nagrzanego muezina jakby podążał ich śladem. Na zewnątrz panowała zupełnie spokojna noc. Drzewa, które mijali, wyglądały jak szkielety, całkiem gołe, niczym więźniowie czekający na krwawą egzekucję.

Podjechał do wypalonego bloku mieszkalnego, właściwie już ruiny, ogrodzonego łańcuchem. Zatrzymał samochód przy krawężniku.

– Co robisz? – zapytał Czerkiesow.

Boris wetknął delikatnie koniec ceramicznego noża między żebra Czerkiesowa.

– Dlaczego Beria tak się tobą interesuje?

– Zawsze się interesował...

Czerkiesow podskoczył, kiedy ostrze przebiło ubranie i skaleczyło go. Sięgając za siebie, Boris otworzył drzwi po stronie kierowcy. Chwycił Czerkiesowa za przód koszuli i wysunawszy się z samochodu, pociągnął go za sobą.

– Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają – oświadczył, prowadząc dawnego szefa w stronę ogrodzenia z łańcucha. Wskazał ręką. – To miejsce wprost idealnie nadaje się do popełnienia morderstwa. Psy rozerwą trupa na strzępy, zanim ktokolwiek zechce sobie zawrócić głowę zawiadaniem policji.

Przepchnął Czerkiesowa pod łańcuchem, potem sam się pochylił i przeszedł za nim.

– Cholernie się przeliczyłeś – warknął Czerkiesow.

Boris ponownie pchnął go nożem.

– Chcę wierzyć, że to jakiś żart, Wiktorze Deljagowiczu.

Popychał swoją ofiarę przez rumowisko, aż znaleźli się w samym środku ruiny. Wokół nich wznosiły się ściany bloku, ciemne i obojętne, ale kręciło się tam dużo psów, o których Boris wspominał. Wyczuwając ludzi, przemykały chyłkiem i krążyły wokół, czarne nosy miały uniesione, gotowe wyniuchać pierwszą kroplę przelanej krwi.

– Śmierć cię zwietrzyła, Wiktorze Deljagowiczu. Zbliży się do ciebie ze wszystkich stron.

– Co... czego chcesz? – spytał Czerkiesow zachrypniętym głosem. Z trudem łapał oddech.

– Wspomnień – odpowiedział Boris. – Pamiętasz noc mniej więcej sprzed roku, kiedy zabrałeś mnie na plac budowy na... gdzie to było?

Czerkiesow głośno przełknął ślinę.

– Na ulicy Warwarki.

Boris pstryknął palcami.

– Racja. Myślałem, że mnie zabijesz, Wiktorze. Zamiast tego zmusiłeś mnie, żebym zabił Melora Bukina.

– Bukinowi się należało. Był zdrajcą.

– Zupełnie nie o to mi chodzi. – Ponownie dźgnął Czerkiesowa. – Zmusiłeś mnie do pociągnięcia za cyngiel. Wiedziałem, co by się stało, gdybym tego nie zrobił.

Czerkiesow głośno zaczerpnął powietrza.

– I oto proszę. Szef FSB-dwa. Ty zamiast tego idioty Bukina.

– A wszystko dzięki tobie.

Ironiczny ton głosu Karpowa sprawił, że Czerkiesowa przeszedł dreszcz.

– O co chodzi? – zapytał. – To zemsta za zabójstwo, które doprowadziło cię do miejsca, gdzie chciałeś być? Ty też nie lubiłeś Bukina.

– Znowu to samo. Nie chodzi o Bukina, ale o ciebie. Posłużyłeś się mną albo może powinienem powiedzieć: wykorzystałeś mnie. Zhańbiłeś mnie tamtej nocy, Wiktorze.

– Nigdy nie miałem takiego zamiaru, Borisie...

– Och, ale i tak to zrobiłeś. Napawałeś się nowo otrzymaną władzą... władzą, którą dała ci Domna. I potem jeszcze raz upajałeś się nią, kiedy zmusiłeś mnie do zawarcia układu, który na zawsze dawał ci władzę nade mną.

Na twarzy Czerkiesowa znowu pojawił się cień wazeliniarskiego uśmiechu.

– Wszyscy zawarliśmy pakt z diabłem, Borisie. Wszyscy jesteśmy dorośli, dobrze wiedzieliśmy, co się dzieje. Dlaczego ty...?

– Ponieważ – odpowiedział Boris – postawiłeś mnie w sytuacji bez wyjścia. Moja kariera albo następne morderstwo.

– Nie rozumiem problemu.

Boris mocno uderzył Czerkiesowa otwartą dłonią w głowę.

– Ależ doskonale rozumiesz i dlatego wybrałeś właśnie mnie. Powtórzę: nadużyłeś władzy, żeby zmusić mnie do zabicia przyjaciela.

Czerkiesow kiwał głową w przód i w tył.

– Amerykańskiego agenta odpowiedzialnego za śmierć niezliczonych osób, z których wielu było Rosjanami.

Boris walnął go ponownie. Tym razem strużka krwi pojawiła się w kąciку ust Czerkiesowa. Psy zaczajone najbliżej zaczęły wyc, kontrapunktując muezina. Ciała miały chude jak szkielety.

– Chciałeś mnie złamać, prawda? – rzucił Boris, przyciągając do siebie ponownie jego głowę. – Chciałeś, żebym zabił przyjaciela, po to, żeby zachować wszystko, o czym marzyłem, i na co ciężko pracowałem.

– To był interesujący eksperyment – odpowiedział Czerkiesow. – Sam musisz przyznać.

Boris kopnął byłego szefa w łydki, zmuszając go do padnięcia na kolana. Spodnie się rozdarły. Krew spływała z pokaleczonych kolan. Przykucając obok niego, powiedział:

– A teraz chcę usłyszeć, co robisz dla Domny.

Znowu ten sam uśmiech, nieprzenikniony.

– Nie zabijesz mnie, bo wtedy zostaniesz celem jako wróg Domny. Nie ustana, dopóki nie będziesz martwy.

– Wszystko mylisz, Wiktorze. To ja nie ustana, dopóki oni nie będą martwi.

Czerkiesow sprawiał wrażenie, jakby nadal niczego nie rozumiał.

– Mają bardzo wielu sprzymierzeńców, niektórych z twojego bliskiego otoczenia.

– Jak Iwan Wołkin?

Dopiero teraz przerażenie zmieniło rysy Czerkiesowa.

– Ty wiesz? Ale skąd mógłbyś wiedzieć? – Jego zachowanie zupełnie się zmieniło. Skóra na twarzy przybrała ziemisty odcień, z trudem oddychał.

– W swoim czasie policzę się z Iwanem Iwanowiczem – oświadczył Boris. – W tej chwili zajmę się tobą.

• • •

– Szampan czy sok pomarańczowy, proszę pana?

– Poproszę szampana – powiedział Bourne do młodej stewardesy, która pochylała się nad nim z niewielką tacą trzymaną na rozłożonych palcach jednej ręki.

Uśmiechnęła się słodko i podała mu smukły kieliszek.

– Obiad podamy za czterdzieści minut. Czy zdecydował się pan już na coś?

– Tak. – Bourne wskazał palcem miejsca w menu.

– Jak pan sobie życzy. – Uśmiech stewardesy stał się jeszcze szerszy. – Gdyby potrzebował pan czegoś w czasie lotu, chętnie służyć, mam na imię Rebeka.

Zostawiony sam sobie w fotelu Bourne wpatrywał się w okno i sączył szampana. Myślał o Borisie i zastanawiał się, dlaczego nie pojawił się do tej pory. W tym pojedynku ostatnie słowo należało do Rosjanina. Byli przyjaciółmi, bo Karpow powiedział, że są przyjaciółmi. Bourne nie pamiętał, jak się poznali ani co się wtedy stało. W pamięci miał spotkanie z Borisem w Reykjavíku przed sześcioma laty, a to, co działo się przedtem, było dla niego jedną wielką niewiadomą. Miał tylko słowo Borisa, że są przyjaciółmi. A jeżeli Karpow okłamywał go przez cały czas? Ta niewiedza była najbardziej frustrującym – i niebezpiecznym – skutkiem amnezji. Kiedy ludzie z jego przeszłości wyskakiwali jak diabeł z pudełka i twierdzili, że są przyjaciółmi lub kolegami, musiał od razu dokonywać błyskawicznej oceny, czy mówią prawdę, czy nie. Przez sześć lat Bourne zdążył poznać Borisa, który zawsze zachowywał się jak przyjaciel. Dwa lata wcześniej Boris został ranny w północno-wschodnim Iranie. Bourne go znalazł i przeniósł w bezpieczne miejsce. Współdziałali ramię w ramię w wielu śmiertelnie groźnych sytuacjach. Jason nigdy nie miał podstaw, by wątpić w intencje Borisa.

Aż do teraz.

„Czy zdecydował się pan już na coś?”. Niewinne pytanie stewardesy miało wiele znaczeń, z których istnienia nawet nie zdawała sobie sprawy. Kiedyś dokonywano wyborów za niego. A potem wpadł do Morza Śródziemnego i wypłynął, nie pamiętając zupełnie, kim lub czym jest. Od tamtej pory jego życie było ciągłym zmaganiem się z wyborami, na które kiedyś się zdecydował, ale już ich nie pamiętał, szarpaniną z wyborami, których dokonał za niego Alex Conklin. Najświeższa sprawa wyłaniająca się z mroków jego przeszłości to zabójstwo matki Kai, Viveki Norén. Aż niedobrze mu się robiło na myśl o tym, że został wysłany z misją będącą prywatną zemstą... i po co? Żeby dać nauczkę trupowi za to, że ośmielił się podjąć próbę zamachu? Okrucieństwo i bezduszność decyzji Conklina przyprawiły Bourne'a o mdłości. Był posłańcem przynoszącym śmierć. Nie mógł wymówić się słowami: „Nie ma powodu”.

Nie, pomyślał teraz, nie było powodu.

• • •

– Zatem, *mademoiselle* Gobelins – zagał El-Arian. – W jaki sposób możemy najlepiej pani służyć?

Gdy usiadł obok niej, Soraya odniosła wrażenie, że skóra ją parzy. Niewidzialne mrówki wędrowały po jej ciele, ona zaś potrafiła zdobyć się jedynie na to, by nie odsunąć się gwałtownie od niego. Nawet jego uśmiech był mroczny, jakby emocje, które się za nim skrywały, pochodziły z otchłannego miejsca w jego wnętrzu. Czują otaczającą go niesamowitą energię psychiczną i po raz pierwszy w dorosłym życiu bała się drugiego człowieka. Kiedy miała pięć lat, ojciec zabrał ją do jasnowidza na gwarnej uliczce na przedmieściach Kairu. Nie miała pojęcia, dlaczego to zrobił. Jej matka na wieść o tym wpadła w furję, czego nigdy wcześniej Soraya u niej nie widziała.

Jasnowidz, zaskakująco młody mężczyzna o czarnych oczach i włosach, o ciemnej skórze, która wyglądała jak skóra krokodyla, wziął ją za rękę, a ona miała wrażenie, że ziemia się pod nią rozwarła, że spada w przepaść i że nigdy nie przestanie spadać.

– Trzymam cię – powiedział jasnowidz, jakby chciał ją pocieszyć, ale ona czuła się jak mucha złapana w pajęczą sieć. Rozplakała się.

W drodze do domu ojciec nie odzywał się do niej, ona zaś wyczuwała, że oblała ważny sprawdzian, że on jej tego nigdy nie wybaczy i że jego miłość do niej wymyka się jej z rąk niczym piasek przesypujący się przez palce. Później, w następstwie przerażającego wybuchu złości matki, wyczuwała, że między rodzicami wszystko się zmieniło. Ojciec złamał warunki jakiejś niepisanej umowy i tak jak on nie mógł wybaczyć Sorai, tak matka nie potrafiła zdobyć się na wybaczenie wobec niego. Sześć miesięcy później wyprawiła ją do Ameryki. Już nigdy jako dziecko albo nastolatka nie widziała Kairu.

A teraz, siedząc obok Benjamin El-Ariana w oddziale Nymphenburg Landesbank na piętrze, ponownie doświadczała przerażającego wrażenia, że spada w niewyobraźną otchłań.

El-Arian się poruszył.

– Dobrze się pani czuje, *mademoiselle* Gobelins?

– Całkiem dobrze, dziękuję – odpowiedziała trochę łamiącym się głosem.

– Trochę blado pani wygląda.

Wstał, a ona głębiej odetchnęła, jakby uwolniła się od jakiegoś ciężaru.

Przechodząc do barku, rzucił:

– Może odrobina brandy dobrze pani zrobi.

– Nie, dziękuję.

Niemniej i tak nalał brandy i przyniósł w kryształowym, ciętym kieliszku. Usiadł i podał jej kieliszek.

– Nalegam.

Widziała, że przygląda się bardzo uważnie wyrazowi jej twarzy. On wie, pomyślała. Ale co dokładnie?

Zmusiła się do uśmiechu.

– Nie piję alkoholu.

– Ja również. – Odstawił kieliszek. – Jest pani muzułmanką?

Skinęła głową.

– Tak.

– Arabką.

Wpatrywała się w niego bardzo uważnie. Pukał się rytmicznie długim palcem po ustach. Powoli. Raz, dwa, trzy, niczym metronom hipnotyzera.

– To wyklucza Iran i nie jest też pani Syryjką, to pewne. – Uniósł brwi. – Egipcjanka?

Soraya poczuła, że musi przejąć większą kontrolę nad tą rozmową.

– Skąd pochodzi pańska rodzina?

– Z pustyni.

– To może oznaczać, że skądkolwiek – odpowiedziała – nawet z Gobi.

El-Arian uśmiechnął się jak pobłażliwy wujek.

– Niezupełnie. – Rozległ się cichy dzwonek. – Przepraszam. – Wstał, wyciągnął telefon komórkowy i wyszedł z pokoju.

Soraya również się podniosła. Zawrót głowy sprawił, że musiała chwycić się podłokietnika sofy, by nie stracić równowagi. Ignorując ciągłe pulsowanie w głowie, podeszła szybko do biurka pana Sigismonda, omiotła wzrokiem papiery rozłożone na blacie. Listy i dokumenty. Używając kostki palca wskazującego lekko przesunęła jedną kartkę, żeby przeczytać to, co było napisane na stronach pod spodem. Uniosła głowę, kiedy usłyszała przez chwilę głos El-Ariana, ale gdy ucichł, czemu towarzyszył odgłos oddalających się kroków, kontynuowała myślowanie. Nie było tam żadnych zdjęć, notatek, niczego, co miałyby znamiona rzeczy osobistych. Biuro było idealnie anonimowe, jakby korzystano z niego tylko sporadycznie. Zabrała się do szuflad. Chusteczką higieniczną, wyjętą z pudełka na biurku, owinęła rączkę noża do rozcinania kopert i ostrzem wysuwała poszczególne szuflady, by obejrzeć ich zawartość. Szukała dowodu, który łączyłby knowania pana Marchanda z tym właśnie bankiem.

Moment później usłyszała zbliżający się głos El-Ariana. Zamknęła ostatnią szufladę, odłożyła nóż do papieru i usiadła z powrotem na sofie. Gdy El-Arian wszedł z panem Sigismondem podążającym tuż za nim, wycierała nos chusteczką.

– Droga *mademoiselle* Gobelins, bardzo przepraszam za tę przerwę w naszym spotkaniu.

– Nie ma o czym mówić – mruknęła, wsuwając chusteczkę do kieszeni.

– Ach, niemniej pierwsze wrażenie jest bardzo ważne, chyba się pani ze mną zgodzi?

– Oczywiście.

Wyciągnął do niej rękę, ona ją przyjęła i podniosła się z sofy.

– Pan Sigismond ma umówione spotkanie. Zresztą i tak myślę, że uzna pani mój gabinet za odpowiedniejszy do prowadzenia interesów.

Poprowadził ją korytarzem do wielkiego gabinetu, umeblowanego bardzo nowocześnie. Zatrzymał się przy biurku, na którym stały jedynie staroświecka suszka, zestaw wiecznych piór, przycisk do papieru z ciętego kryształu z nazwą banku wypisaną złotymi literami, popielniczka pełna petów i aparat telefoniczny obsługujący wiele linii. Gestem poprosił ją, żeby stanęła obok niego.

– Zapraszam. Papiery dotyczące depozytu są już wypełniane. – Wyjął z szuflady drukowany formularz. – Ale najpierw będą mi potrzebne niektóre podstawowe informacje.

Kiedy już przy nim stanęła, nacisnął przycisk. Na płaskim ekranie zamontowanym na przeciwległej ścianie pojawił się obraz wideo. Soraya zobaczyła samą siebie w gabinecie pana Sigismonda, jak wstaje z sofy i niemal się zatacza. Patrzyła, jak podchodzi do biurka i zaczyna przeglądać papiery.

– Zastanawiam się – powiedział El-Arian – czego pani szukała?

Chwycił ją za nadgarstek żelaznym uściskiem.

• • •

– Iwan Wołkin był twoim przyjacielem przez... ile? Trzydzieści lat?

– Dłużej – odpowiedział Boris.

Czerkiesow pokiwał głową.

– Ale kiedy nadarzyła się okazja, to cię sprzedał. – Trochę koloru wróciło mu na twarz i choć nadal klęczał, zaczął prawie normalnie oddychać. – Tak to się dzieje w naszym świecie. Jest miejsce na kolegowanie się i sojusze, ale nie na lojalność. W naszym świecie lojalność jest zbyt kosztowna. Nie jest warta swojej ceny. – Spróbował się przesunąć, by ulżyć trochę pokaleczonym kolanom. – Myślisz, że inaczej jest z Jasonem Bourne'em? Ten facet to urodzony morderca. Co on może wiedzieć o przyjaźni.

– Więcej od ciebie.

– To znaczy nic. – Czerkiesow pokiwał głową. – Nigdy w życiu nie miałem przyjaciela, w każdym razie nie na takich zasadach, jak ty byś to sobie wyobrażał. Bo i jak bym mógł? To stawiałoby mnie na niepewnej pozycji.

Boris obrócił lekko czubek noża.

– Po jakiego chuja o tym mówisz?

Czerkiesow obliznął usta. Kiedy zaczął mówić, wypowiadał słowa coraz szybciej:

– Nie rozumiesz, jaką przysługę ci wyświadczyłem? Dałem ci możliwość zabicia Bourne'a, zanim miał okazję cię zdradzić, tak jak to zrobił twój przyjaciel, którego znasz ponad trzydzieści lat, Iwan Wołkin. – Niektóre słowa więzły mu w gardle, pokasływał, oczy zaszczyły mu z wysiłku łzami. – Wołkin doradza Domnie, od czasu jak przeszedł na tak zwaną emeryturę ze świata *gruppiowki*. Przy okazji zdradzę ci pewien sekret: to Domna zaszczepiła mu myśl o tej emeryturze. Kto wie, ile Domna mu zapłaciła za pracę dla nich?

Boris przysiadł na piętach i zastanawiał się nad implikacjami tego, co właśnie usłyszał od byłego szefa.

Przewąchując wyłom, Czerkiesow naciskał dalej.

– Posłuchaj mnie, Borisie. Bardziej ci się przydam żywy niż martwy. Ty i ja zawrzemy sojusz. Powiem ci, co Domna planuje, a ty wykorzystasz siłę FSB-dwa, żeby obalić Berię i jego ludzi. Będziemy mogli wtedy połączyć FSB-dwa z SWR, z tobą jako szefem, a ja będę ci doradzał. Pomyśl o możliwościach, jakie daje jednoczesna władza nad tajnymi służbami w kraju i za granicą, Borisie. Cały świat się przed nami otworzy!

– Zaskakujesz mnie, Wiktorze – powiedział Boris. – Pod grubą warstwą cynizmu masz skłonność do pozytywnego myślenia.

Czerkiesow rzucił się nagle na niego. Uderzył go najpierw w szczękę, a potem chwycił ostrze, nie zważając na to, że rozcina mu palce do kości. Wykorzystując lejącą się krew do oślepienia Borisa, wyrwał mu nóż i wbił po rękojeść w jego brzuch.

Rozdział 28

Bourne wstał i przeszedł przez kabinę o zaciemnionych światłach do części kuchennej pierwszej klasy. Zastał Rebeke kartkującą ostatni numer tygodnika „Der Spiegel”. Stała przy kontuarze z nierdzewnej stali. Odwróciła się, gdy wyczuła jego obecność, i uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– Dobry wieczór, panie Childress. Co mogę dla pana zrobić?

– Poproszę macchiato.

– Nie może pan spać?

– Złe sny.

– Smutne, ale znam ten scenariusz. – Odłożyła magazyn. – Przyniosę ją panu, jak tylko się zaparzy.

– Wolałbym poczekać tutaj – powiedział. – Chciałbym rozprostować nogi.

Niewielki rumieniec pojawił się na jej policzkach, zanim się odwróciła.

– Oczywiście. – Unosił się od niej zapach olejku różanego. – Jak pan sobie życzy. – Oczywiście miała koloru i kształtu dojrzałych oliwek, co nadawało jej nieoczekiwane egzotyczne wygląd przy śródziemnomorskiej skórze i czarnych włosach.

Jak Egipcjanka ze starożytnej Aleksandrii miała rzymski nos i delikatne kości policzkowe i wydawała się bardzo wysoka mimo płaskich obcasów. Może jako dziecko uczyła się baletu.

Bourne przyglądał się, jak zręcznie przygotowywała macchiato.

– Mieszka pani na stałe w Madrycie?

– Och, nie, w Damaszku. – Wyjęła z szafki małą filiżankę i postawiła ją na miniaturowym spodku. – Mieszkam w Damaszku od sześciu lat.

– Podoba się pani to miasto?

– Trudno zdobyć przyjaciół. – Wzruszyła ramionami. – Ale opłaca mi się, bo dostaję roczną premię.

– Nie byłem w Damaszku od jakiegoś czasu – wyznał szczerze. – Przypuszczam, że bardzo dużo się tam zmieniło.

Nalała kawy i przesunęła do niego filiżankę. Pianka była idealnej grubości.

– I tak, i nie. Nowoczesne dzielnice są strasznie zatłoczone, ruch na ulicy to koszmar, powietrze jest gęste od spalin, ale na starym mieście nadal jest mnóstwo arkad, placyków z zielenią i oczywiście spore przestrzenie wokół wspaniałych meczetów. – Zmarszczyła czoło. – Choć są też aspekty życia, które niepokoją.

– Jak finansowanie przez państwo Hezbollahu.

Skinęła głową i popatrzyła na niego bardzo poważnie.

– Przez mniej więcej ostatni rok bardzo powiększyła się liczba konserwatystów, którzy patrzą łaskawym okiem na Iran.

Bourne wykorzystał okazję:

– Więc pewnie w całym mieście stosuje się teraz więcej środków bezpieczeństwa, począwszy od lotniska.

Rebeka posłała mu smutny uśmiech.

– Cóż, raczej tak. Zwłaszcza na lotnisku. Al-Assad zaprowadził znacznie ściślejszą kontrolę na punktach granicznych, częściowo z powodu nacisków Zachodu.

– Ale nie będzie żadnych problemów, prawda?

Zaśmiała się cicho.

– Nie dla pana. Zresztą i tak zawsze jest pod ręką starszy rangą oficer, kiedy pasażerowie wychodzą z samolotu, mówi, co i jak, odpowiada na pytania.

Dostawszy to, po co przyszedł, Bourne wypił kawę. Rebeka oderwała kawałek strony z magazynu i coś na nim napisała. Kiedy zbierał się do odejścia, podała mu go.

– Mam wolne przez następne trzy dni. – Ciepły uśmiech powrócił na jej usta. – To mój numer, na wypadek gdyby się pan zgubił.

• • •

Ostrze zamiast zagłębić się w ciało Borisa, schowało się do rękojeści. Boris, śmiejąc się, uderzył Czerkiesowa w nos podstawą dłoni. Krew trysnęła, chrząstka pękła, a były szef upadł na tyłek. Boris odebrał mu nóż. Nacisnął ukryty guzik na rękojeści. Ostrze wyskoczyło. Nacisnął przycisk ponownie, blokując ostrze, żeby się nie cofało.

Uklęknął obok Czerkiesowa.

– A teraz do rzeczy, Wiktorze. – Wsunął koniec noża w prawe nozdrze Czerkiesowa. – Jest wiele rzeczy cennych dla ciebie i jestem pewny, że z wielu z nich zrezygnujesz, zanim w końcu i tak powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć.

Były szef wpatrywał się w niego przekrwionymi oczami.

– Prędzej umrę.

– Jesteś kłamcą, kocurku – powiedział Boris.

– Co? – Czerkiesow podniósł na niego wzrok.

– Wiesz, co się przydarza kłamcom? Nie? Będziesz zgadywał? Nie? W porządku, tracą nosy.

Jednym ruchem nadgarstka Boris rozciął nozdrze i tak już zakrwawionego nosa Czerkiesowa. Mężczyzna wygiął się w łuk. Karpow uderzył go otwartą dłonią, posyłając na ziemię.

– Puść mnie, do kurwy nędzy! – wycharczał były szef.

– Zapomnij o tym, Wiktorze. To Chinatown.

– Pierdol się, pojebie. Nic ci nie powiem.

– To nie jest kwestia bólu, Wiktorze, ale ty akurat dobrze o tym wiesz. – Boris wytarł ostrze o spodnie Czerkiesowa. – To dotyczy tego, bez czego będziesz mógł dalej żyć. – Uśmiechnął się niemal przyjaźnie. – Nie martw się, nie pozwolę ci umrzeć. Nie masz drogi ucieczki. – Zatoczył ostrzem krąg na twarzy Czerkiesowa. – I wiem, co mówię, jestem ekspertem, a mamy przed sobą całą noc.

• • •

Hendricks śleczął w swoim gabinecie nad aktami trzech mężczyzn, których znaleziono martwych w pokoju 916 hotelu Lincoln Square. Żaden z nich nie był tam zameldowany, żaden

nie miał przy sobie jakiegokolwiek dowodu tożsamości. Sprawdzenie odcisków palców też nic nie dało. Teraz szukali ich kart dentystycznych, choć to pewnie również okaże się ślepym tropem. Zgodnie z opinią FBI, które przejęło tę sprawę od wydziału zabójstw policji, ich plomby z pewnością nie były robione w Ameryce. W tej chwili można się jedynie domyślać, że pochodzili z Europy Wschodniej, ale to oznaczało ogromne terytorium.

Sekretarz obrony przerwał, żeby napić się wody z lodem.

W przypadku wszystkich trzech ofiar jedno było dziwne, kapsułka samobójcy – pusty w środku ząb wypełniony ciekłym cyjankiem wodoru, dawny znak firmowy NKWD. Czy ci mężczyźni byli Rosjanami, a jeśli tak, co, do cholery, robili w pokoju 916 hotelu Lincoln Square?

Przewrócił stronę. Pokój 916 został wynajęty na długi okres przez ServiceSolution, firmę o fikcyjnej siedzibie na Kajmanach. Nie miał wątpliwości, że ServiceSolution była firmą przykrywką. Potarł czoło. Ktokolwiek był jej właścicielem, miał bardzo nieprzyjemnych wrogów. Zadzwoił do kolegi z Ministerstwa Finansów, podał mu wszystkie dane, jakie miał na temat ServiceSolution, i poprosił, żeby dowiedział się, do kogo tak naprawdę należy. Potem zadzwonił do szefa zespołu wyznaczonego do szukania Petera Marksa. Po wybuchu bomby w samochodzie Petera w garażu Treadstone cały budynek został zamknięty. Wszyscy, którzy tam pracowali albo niedawno zwolnili się z pracy, byli przepytывani, ale na razie nic to nie dało. Odczuł ogromną ulgę, kiedy się dowiedział, że w samochodzie nie znaleziono żadnych ludzkich szczątków. Z drugiej strony to go martwiło, bo musiał przecież wziąć pod uwagę zeznanie Sala, że Peter jechał z nim windą kilka minut przed eksplozją. Nocny ochroniarz wysiadł na poziomie lobby, ale był przekonany, że Peter pojechał dalej do garażu. Dlatego istniało spore prawdopodobieństwo, że Peter był w garażu, kiedy bomba w samochodzie wybuchła, choć nie było go w wozie. Co się wydarzyło? Gdzie się podział? Ukrył się gdzieś? To całkiem rozsądne przypuszczenie.

Hendricks wstał i przeszedł przez pokój, żeby przynieść więcej lodu do wody. Stał jak wmurowany, gdy coś zaświtało mu w głowie. A jeżeli Peter został ranny? Już z powrotem przy biurku kazał asystentowi zadzwonić do wszystkich szpitali w całym Waszyngtonie i okolicach, począwszy od tych, które znajdowały się najbliżej siedziby Treadstone. Zaraz potem inna myśl przyszła mu do głowy. Poleciał asystentowi włączyć do poszukiwań pogotowie ratunkowe i prywatne usługi przewozu ambulansem.

– Niech ci pomagają wszyscy, którzy są wolni w tej chwili – zakończył.

Usiadł ponownie, okręcił fotel i zaczął wpatrywać się w okno. Dzień był ponury i wietrzny. Krople deszczu spływały po szybach, a dalej, na ulicach ludzie w błyszczących płaszczach przeciwdeszczowych, zgarbieni, z parasolami, które trzęsły się jak liście, szli, zmagając się z wichurą, do pracy albo z niej wracali.

Na dźwięk interkomu obrócił się do biurka.

– Co? – Mózg mu się gotował od tysięcy myśli.

– Właśnie przynieśli dla pana paczkę. Została sprawdzona przez ochronę.

– Co w niej jest?

– DVD.

Hendricks zmarszczył czoło.

– Przynies mi ją.

Chwilę później jeden z asystentów położył mu DVD na biurku. Hendricks podniósł na niego wzrok.

– To wszystko? Żadnego listu?

– Nic, proszę pana. Ale była zaadresowana do pana i miała napis: „Poufne. Korespondencja osobista”.

Hendricks dał ręką znać asystentowi, że może odejść, odłożył na bok DVD i wrócił do sprawy trzech mężczyzn zabitych w pokoju 916. Oglądał zdjęcia z miejsca zbrodni, przedstawiające ich twarze i ciała, spostrzegł, że nie mieli żadnych tatuaży, które wyróżniały rosyjskich gangsterów. Kim zatem byli ci trzej dranie? Mieli broń, lecz to świadczyło o wszystkim i o niczym. Na pewno nie stanowiło wskazówki, z jakiego kraju pochodzili, nie wspominając o ich powiązaniach. Niemniej w FBI doszli do wniosku, że tworzyli grupę zamachowców. Czy oznaczało to, że planowali zgładzenie nie jednej, ale kilku osób? I gdzie teraz on/ona/oni mogli być? Przerzucił kolejną stronę. FBI przesłuchało wszystkich pracowników hotelu, jak również gości z dziewiątego piętra.

Nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Możliwe, że ktoś z nich kłamał, ale w raporcie FBI znalazło się stwierdzenie, że zdaniem agentów raczej mówili prawdę. To zostawiało drugą możliwość: ktokolwiek przebywał w tym pokoju, wiedział, jak wejść i wyjść z budynku publicznego użytku tak, żeby nikt nie zauważył. Wszystko to były interesujące spekulacje, lecz Hendricks nie wiedział, w jaki sposób miałyby to pomóc ustalić, kim byli ci trzej faceci i kto był ich celem. Poznanie odpowiedzi na te pytania w jak najkrótszym czasie uznał za swój priorytet. Zagrożenie terroryzmem zdominowało myśli wszystkich.

Potrzebował czegoś, żeby rozjaśnić ten dzień. Zadzwoił do swojego kontaktu w Centrali Wywiadu.

– Jak postępuje planowanie ochrony w Indigo Ridge?

– To miejsce to jeden wielki kurewski chaos. – Obrzydzenie w głosie po drugiej stronie linii było ewidentne. – Nie znamy się na czymś takim i nikt nie wie, jak się do tego zabrać. – Odetchnął głęboko. – Na pewno przydałaby się nam jakaś pomoc, panie sekretarzu.

– Jeśli chcecie pomocy, pogadajcie z dyrektorem Danzigerem – odparł Hendricks z jadowitą satysfakcją. – Po to siedzi na tak wysokim stołku.

Kontakt zachichotał.

– Pan nas dobija, panie sekretarzu.

– Nie ja.

– A tak przy okazji, niektórzy gadają to i owo o pańskim nowym dyrektorem Treadstone, Peterze Marksie.

Hendricks wstrzymał oddech.

– Co mówią?

– Chodzą słuchy, że zaginął.

Hendricks nic nie odpowiedział.

– Peter nadal ma tu wielu przyjaciół, panie sekretarzu.

Jeśli moglibyśmy coś zrobić...

– Dziękuję, będę o tym pamiętał – powiedział Hendricks i się rozłączył.

Pomyślał o tym, że Maggie miała rację, namawiając go do takiego postępowania z Danzigerem. Zadzwoił potem do grupy ochrony Indigo Ridge i powiedział, żeby byli w

pogotowiu. Mógł pozwolić Danzigerowi spieprzyć całą sprawę, ale tylko do określonego momentu. Kopalnia musiała być chroniona.

Tymczasem jednak zadowolenie, jakie odczuwał na myśl o wkroczeniu do akcji z pomocą dla CI nie trwało długo, bo przypomniał sobie o próbie zamachu na Petera, jego zaginięciu i materiale z FBI na temat potrójnego morderstwa w hotelu Lincoln Square. Zadzwoił telefon.

– Nie poszczyściło się nam w żadnym szpitalu – poinformował jeden z asystentów. – A sprawdziliśmy wszystkie aż po granice z Wirginią i Marylandem. To samo z pogotowiem ratunkowym.

Hendricks zacisnął powieki. Za lewym okiem czuł powracający ból głowy.

– Masz jakieś dobre wiadomości?

– To zależy. Jedna z prywatnych firm przewozu ambulansami zgłosiła jakiś czas temu kradzież pojazdu.

– Znaleziono go?

– Nie, proszę pana.

– To, do cholery, znajdźcie tę pierdoloną karetkę!

Walnął słuchawką tak mocno, że DVD podskoczyło na biurku. Spojrzał na płytę, wziął ją do ręki i wpatrywał się w tęczę powstającą na błyszczącej powierzchni. Otworzył napęd w komputerze, włożył płytę i zamknął kieszeń. Usłyszał, jak zaczęła się kręcić, potem na monitorze pojawił się program do oglądania filmów i rozpoczęło się odtwarzanie jej zawartości.

Z czarnego tła wyłoniła się twarz Maggie niczym wizja z nocnej mgły.

• • •

– *Christopherze, kiedy będziesz to oglądał, od dawna mnie już nie będzie. Nie próbuj się ze mną kontaktować, proszę.*

Przerwała, jakby wiedziała, że Hendricks sięgnie po telefon komórkowy, co rzeczywiście zrobił. Czuł, jak palce drżą mu na płaskiej obudowie, jakby dotykał jej karku.

– *Nie nazywam się Margaret Penrod i nie jestem z zawodu architektem zieleni. Prawie nic z tego, co ci powiedziałam, nie jest prawdą, choć prawda zaczęła ze mnie wychodzić wbrew mnie samej.*

Oczy jej błyszczały, a chociaż Hendricks czuł, że żołądek mu się przewraca, nie potrafił oderwać wzroku od jej obrazu, który migotał na płaskim monitorze jego komputera niczym promienie słońca na wodzie.

– *Pewnie mnie teraz nienawidzisz, co jak myślę, jest nieuniknione. Ale zanim mnie osądzisz, musisz coś zrozumieć.*

Wyraz jej twarzy uległ zmianie, a Hendricks wyczuł, że po coś sięgnęła – po pilota, jak się okazało. Obraz oddalił się i pokazywał teraz jej nagie ciało. Było pokryte krwią.

Hendricks zgarbił się na krawędzi fotela.

– Maggie, co jest, kurwa? – I wtedy zdał sobie sprawę, że kobieta, na którą patrzył, kobieta, z którą się kochał i której prawdopodobnie oddał serce, nie była Maggie. – Kim jesteś? – wyszeptał.

Obraz cofnął się jeszcze bardziej, aż Hendricks zobaczył, że stała w pokoju hotelowym.

Nagle zrobiło mu się gorąco. Poczuł, że zbiera mu się na wymioty. To wrażenie nasiliło się, kiedy obiektyw kamery wideo obniżył się i pokazał widok na podłodze za nagą kobietą.

I oto miał ich przed sobą. Jęknął głośno. Trzech członków grupy zamachowców, martwych. Z ręki jego kochanki? Mózg o mało mu nie implodował. Jak to możliwe? Jakby odpowiadając na jego pytanie, Maggie mówiła dalej:

– *Ci mężczyźni zostali nastłani, żeby mnie zabić, bo chroniałam ciebie. A teraz muszę opuścić pokój dziewięćset szesnaście, opuścić Waszyngton, opuścić Amerykę. Wyruszam w moją ostatnią podróż.* – Kamera znów pokazywała jej twarz. – *Miałam cię tu sprowadzić, Christopherze. Pokój dziewięćset szesnaście był przewidziany jako nasze miłosne gniazdko, gdzie każdy nasz ruch, każde słowo, które byśmy zamienili, zostałyby nagrane, a potem rozpowszechnione w mediach. Żeby cię zniszczyć. Nie mogłam na to pozwolić. Teraz z gniazdka miłości pokój dziewięćset szesnaście zmienił się w kostnicę. Może to odpowiednie zakończenie dla nas dwojga, sama już nie wiem.* – Jej twarz stała się rozmazana przez kilka sekund, gdy odsuwała kosmyki włosów znad oczu. – *Wiem jedynie, że jesteś dla mnie zbyt drogi, bym mogła cię skrzywdzić. Jeśli nie odejdę w tej chwili, znajdziesz się w większym niebezpieczeństwie.*

Jej uśmiech był poważny, prawie smutny.

– *Nie powiem, że cię kocham, bo zabrzmi to pusto i fałszywie w twoich uszach. Może nawet głupio i bezmyślnie. Jak mogłabym cię kochać, skoro znamy się od kilku dni? Jak mogłabym się zakochać, skoro cały czas cię okłamywałam? Jak to się stało, że Ziemia jest trzecią planetą od Słońca? Nikt tego nie wie i nikt nie może wiedzieć. Niektóre rzeczy po prostu są, pogrążone w swojej niedoli.*

Hendricks bardzo uważnie wpatrywał się w jej twarz, choć serce mu się ścisnęło. Widział, że nie mrugała powiekami, nie uciekała wzrokiem, a takie zachowanie od razu zdradzało kłamcę. Nie kłamała albo była bardzo, bardzo dobra, lepsza od jakiegokolwiek łgarza, który stanął na jego drodze. Spojrzał w jej oczy i zatracił się.

– *Poza ojcem przed tobą nigdy nikogo nie kochałam, ale moja miłość do niego była zupełnie inna od tej, jaką czuję do ciebie. Coś się stało, kiedy się poznaliśmy, przeszedł mnie tajemniczy prąd i zmienił na zawsze. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć. To wszystko, co wiem.*

Niespodziewanie pochyliła się do przodu, twarz rozmazała się, gdy przytknęła usta do obiektywu.

– *Nazywam się Skara. Żegnaj, Christopherze. Jeśli nie możesz mi wybaczyć, to przynajmniej pamiętaj o mnie. Pamiętaj o mnie, kiedy będziesz ochraniał Indigo Ridge.*

Kolorowe smugi, przyprawiający o zawrót głowy ruch, gdy odsunęła obiektyw na bok. A potem Hendricks zobaczył przed sobą czerń, usłyszał syk i trzaski elektronicznej pustki. Serce biło mu jak młotem.

• • •

Noc się kończyła i kończył się opór Czerkiesowa. Boris uszkodził go na tyle, na ile potrzebował. Były szef, jak się okazało, śmiertelnie bał się ślepoty. Wystarczyło płytkie nacięcie ostrzem noża tuż pod prawym okiem, żeby przestał się stawiać. Oddał Karpowowi to,

co przywiózł z Meczetu w Monachium do Damaszku.

– To klucz – powiedział Borisowi. Usta miał obrzmiałe i pokryte krwią.

– Co otwiera?

– Tylko Semid Abdul-Qahhar to wie.

Boris zmarszczył czoło.

– Więc to nie Semid Abdul-Qahhar dał ci ten klucz, żebyś go tu przywiózł?

– Semid Abdul-Qahhar jest tutaj, a nie w Monachium.

Miałem przekazać mu ten klucz osobiście.

– Jak? – zapytał Boris. – Gdzie?

– Utrzymuje tu rezydencję. – Wargi Czerkiesowa zadrżały w parodii uśmiechu. – Spodoba ci się, Borisie Iljiczu. Ma dom na starym mieście, w dawnej dzielnicy żydowskiej, w ostatniej synagodze. Stała opuszczona przez wiele lat, od czasu gdy syryjscy Żydzi uciekli do Ameryki.

– Zatem Semid Abdul-Qahhar ją zajął, bo uznał, że jego wrogowie nigdy nie wpadną na to, by go tam szukać.

Czerkiesow skinął głową i jęknął.

– Spać. Muszę się przespać.

– Jeszcze nie teraz. – Boris chwycił go za pokrwawiony przód koszuli i nie pozwolił mu się położyć. – Podaj godzinę i procedurę tej randki.

Cienka strużka śliny zmieszanej z krwią pociekła z kącika ust Czerkiesowa.

– On spodziewa się mnie. Nie masz najmniejszych szans.

– O to niech cię głowa nie boli – rzucił Boris.

Czerkiesow zaczął się śmiać, zaraz jednak rozkaszłał się i pluł krwią. Podniósł oczy na Borisa.

– Popatrz na mnie. Zobacz, co zrobiłeś.

– To smutny dzień dla ciebie, Wiktorze, ale wcale ci nie współczuję. – Boris potrząsał byłym szefem, aż zadzwoniły mu zęby. – A teraz, pojebie, podaj mi szczegóły. Potem będziesz mógł się przespać.

• • •

Soraya stała zupełnie nieruchomo. Dotyk El-Ariana był toksyczny, jakby wystawił ją na działanie polonu-210 i teraz gniła od środka, słaba i bezbronna.

– Kim jesteś, *mademoiselle*?

Wbiła wzrok przed siebie. Pulsowanie w głowie utrudniało jej zebranie myśli.

– Wszystko wskazuje na to, że oboje jesteśmy dla siebie zagadkami, panie El-Arian.

Wykręcił jej nadgarstek, aż zachłysnęła się powietrzem.

– Jesteśmy wrogami, niezależnie od tego, jakich użyjemy słów.

– To Marchand kazał zabić Laurenta czy pan?

– Marchand to biurokrata. – Głos El-Ariana przypominał papier ścierny. – Jego umysł skupiał się na drobiazgach. Miał za małą wyobraźnię, żeby zmieściła się w niej śmierć zdrajcy.

Spojrzała na niego, co było ogromnym błędem. Poczowała się sparaliżowana, obezwładniona. Nigdy wcześniej nie wierzyła w idee dobra i zła, ale w jego hipnotyzujących oczach

zobaczyła okna do niepojętego zła.

Chwyciła przycisk do papieru i uderzyła go w skroń. Puścił jej nadgarstek, zatoczył się do tyłu na fotel, który odjechał spod niego na kółkach. Upadł na podłogę. Soraya odwróciła się, wypadła z gabinetu i pobiegła korytarzem. Usłyszała cichy alarm – El-Arian musiał go włączyć. Pojawił się ochroniarz, wyciągający broń z czarnej skórzanej kabury na biodrze. Rzuciła się na niego, rozwalila mu krtań łokciem, obaliła na podłogę. Pochyliła się, żeby zabrać mu broń, ale w tej samej chwili złapał ją, więc musiała kopnąć go w twarz, żeby się uwolnić. Minęła windę, bo mogła to być śmiertelna pułapka. Biegła korytarzem, mijając otwarte drzwi i wystraszone twarze. Dotarła do szczytu schodów prowadzących na dół. Usłyszała za sobą klnącego na nią El-Ariana.

Pokonywała po dwa stopnie naraz, potykając się z powodu pulsowania w głowie, ale zdołała zachować równowagę, bo trzymała się jedną ręką drewnianej politurowanej poręczy. Nie dotarła jeszcze do połowy schodów, gdy na dole zjawiło się dwóch ochroniarzy, którzy zaczęli wbiegać na górę. Obaj mieli wyciągnięte pistolety.

Soraya zawróciła, ale El-Arian niemal dosłownie szybował w dół. W jednej ręce trzymał pistolet, a drugą wyciągnął przed siebie i w momencie, gdy próbowała zrobić unik, złapał ją w żelazny uścisk.

Rozdział 29

Wychodząc z samolotu, Bourne odwzajemnił uśmiech Rebeki. Przez całą drogę czuł delikatny różany zapach jej perfum. Dokładnie tak, jak powiedziała, oficer ochrony stał przy wyjściu.

– Przepraszam – odezwał się Bourne po arabsku. – To moja pierwsza wizyta w Damaszku. Czy może mi pan polecić jakiś dobry hotel?

Oficer popatrzył na Bourne'a jak na robaka, a potem burknął coś pod nosem. Jason wpadł na niego, bo musiał zejść z drogi kobiecie wiezionej z samolotu na wózku inwalidzkim. Przeprosił go, oficer wzruszył ramionami i zapisał na kartce adres rekomendowanego hotelu. Bourne podziękował i odszedł z jego przepustką.

Został daleko za resztą wysiadających pasażerów i teraz oddalał się od nich jeszcze bardziej. Wtedy zobaczył to, czego szukał: drzwi oznaczone napisem: „Zakaz wstępu. Przejście służbowe”. Obok widać było elektroniczny czytnik. Przesunął po nim ukradzioną przepustką i pchnięciem otworzył drzwi. Nie miał pojęcia, kto mógł monitorować pasażerów przechodzących przez kontrolę paszportową, wiedział jedynie, że nie chce, by ktokolwiek wiedział o jego przylocie do Damaszku, a zwłaszcza Severus Domna.

Przeszedł tylnymi halami lotniska, niepewny, dokąd zmierza, aż natrafił na plan ewakuacyjny w razie pożaru, przykręcony do ściany. W piętnaście sekund nauczył się go na pamięć i ruszył trasą, którą powinien pójść.

• • •

El-Arian ciągnął Sorayę do tyłu, zimną lufę pistoletu przystawił jej do głowy. Widok wahających się ochroniarzy zbił ją z tropu. Czy ci ludzie nie pracowali dla El-Ariana? W tej samej chwili rozstąpili się, a ona zobaczyła Aarona, Jacques'a Robbineta i młodego mężczyznę, którego nie rozpoznała, przyglądającego się jej chłodnym okiem lekarza. Cały parter został ewakuowany.

– Odłóż broń – powiedział Aaron. Był uzbrojony w SIG-a. Wyszedł przed dwóch ochroniarzy. – Odłóż ją, puść kobietę i wszyscy wyjdziemy stąd w pokoju.

– Nie ma szans na pokój – odpowiedział El-Arian. – Ani tu, ani nigdzie.

– Nie masz dokąd uciec – oświadczył Aaron i zrobił kolejny krok do przodu. – To może się skończyć dobrze albo źle.

– Dla niej na pewno źle – warknął El-Arian, dociskając lufę pistoletu tak mocno do jej głowy, że Soraya jęknęła. – Chyba że się cofniecie i pozwolicie nam bezpiecznie wyjść.

– Puść kobietę, to o tym pogadamy – odezwał się Robbinet.

El-Arian wykrzywił usta i wysunął je do przodu.

– Tej sugestii nie zaszczycę nawet odpowiedzią – wycedził. – Nie boję się umrzeć. – Otarł policzek o włosy Sorai. – A nie można tego powiedzieć o waszej agentce.

– Nie jest naszą agentką – powiedział Aaron.

– Mam dość słuchania waszych kłamstw. – El-Arian pociągnął za sobą Sorayę po schodach w dół. – Przejdę teraz z nią przez parter i wyjdziemy stąd. Znikniemy i to będzie koniec tej sprawy.

Kiedy pokonywali kilka ostatnich marmurowych stopni, Robbinet nakazał gestem ochroniarzom, żeby się cofnęli. El-Arian się uśmiechnął. Aaron spojrzał Sorai w oczy. Co takiego usiłuje mi przekazać? – zastanawiała się Soraya.

El-Arian najwyraźniej zauważył jego spojrzenie, bo powiedział do Aarona:

– Jeśli mnie zabijesz, to ona również umrze. Będziesz odpowiedzialny za jej śmierć. Masz skłonności do hazardu? Podejmiesz takie ryzyko?

Mówiąc, El-Arian szedł przez parter. Ich kroki rozlegały się echem w pustej przestrzeni, która, jak Soraya przypuszczała, mogła stać się miejscem, gdzie zakończy życie. Wiedziała, że Aaron dał jej znak. Gdyby mogła klarownie myśleć, gdyby pulsowanie w głowie nie sprawiało, że krzywiła się z bólu przy każdym kroku, wiedziałyby, jaką rolę przydzielił jej w ostatecznej rozgrywce, bo ani przez chwilę nie wątpiła, że ma już obmyślony plan. W każdym razie ona na jego miejscu przygotowałaby się na każdą okoliczność.

Doszli już prawie do frontowych drzwi. Aaron i Robbinet posuwali się za nimi krok w krok. Soraya czuła się bezradna, jak typowa kobieta w opałach w każdym filmie akcji, a to rozżłościło ją tak bardzo, że wyparła ból do najdalszego zakątka mózgu i trzymała na uwięzi, starając się domyślić...

Pozycja! O to chodziło! Aaron przemieszczał się na pozycję, z której mógłby zabić El-Ariana. Zrobiłby to w momencie, gdy El-Arian stanie przy drzwiach – przynajmniej ona by tak postąpiła. Widziała, jak Aaron kieruje się do odpowiedniego miejsca, mniej więcej czterdzieści pięć stopni z tyłu za prawym ramieniem El-Ariana. To był idealny punkt do strzału w głowę.

Ale wcześniej spojrzała w oczy swemu oprawcy i poznała tajemnice jego serca, wiedziała, że nie da się podejść tak łatwo i że w pierwszym odruchu zastrzeli Aarona, a nie ją. To będzie instynktowne działanie żołnierza – strzelać do atakującego – nad czym El-Arian nie miał kontroli. Mógł zastrzelić Aarona, a potem ją, zanim sam padnie. Tylko to było pewne – Aaron znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jeden mężczyzna, na którym Sorai zależało, już nie żył z jej powodu. Nie chciała pozwolić, by drugi podzielił jego los.

Ta decyzja wyparła ból z jej głowy jeszcze głębiej, adrenalina pulsowała w żyłach, całą sobą chciała zrobić tę ostatnią rzecz, która przywróci jej poczucie słuszności, będzie dobrym zakończeniem, nada sens jej życiu – i śmierci. Podobnie jak El-Arian nie bała się umrzeć. Prawdę mówiąc, w chwili gdy zdecydowała się pracować w terenie, wiedziała, że to nieuniknione. Ale nie miała w sobie nic z męczennicy, kochała życie i czuła pewien smutek, gdy zbliżała się z El-Arianem do drzwi i widziała Aarona unoszącego SIG-a, gdy uderzyła El-Ariana tyłem głowy, wbiła mu łokieć w nerkę, gdy to ona go zaatakowała, nie Aaron.

Usłyszała, jak Aaron krzyknął, poczuła, jak powietrze uchodzi z El-Ariana. I wtedy znalazła się w samym centrum potężnej burzy z piorunami, która rozpętała się wokół niej. Czuła smak własnej krwi, upadała, ból w jej głowie zniknął.

A potem wszystko okryła absolutna cisza.

Bourne wziął taksówkę z lotniska. Przed nim rozpościerał się Damaszek. Słoneczny poranek odbijał się od szyb samochodu i zabarwiał karoserię na kolor ognia, kiedy tłukli się ulicami. Dojechał taksówką kilka przecznic przed odcinkiem Avenue Choukry Kouatly, który był jego celem. Resztę drogi pokonał na piechotę, wtopiony w tłum przechodniów. Obszedł szybko wokół geometryczny, modernistyczny budynek w syryjskim stylu, gdzie mieściła się siedziba El-Gabal, zauważył trzy wejścia i ochroniarzy przy każdym z nich. Przy głównym wejściu, całym ze szkła i kutej stali, ochrona nie rzucała się w oczy, lecz ponieważ nigdzie się nie spieszył, poczekał i przekonał się, że dokładnie co trzy minuty para ochroniarzy w mundurach przechodzi przed frontowymi drzwiami. Na zachodniej ścianie budynku znajdowały się jednoskrzydłowe drzwi wyjścia awaryjnego. Zrobione z metalu, solidne, wyglądały na drzwi nie do pokonania, ale Bourne wiedział, że każde drzwi dają się otworzyć. Na tyłach była rampa załadunkowa, teraz akurat pusta. Za nią dostrzegł cztery szerokie bramy, w tej chwili zamknięte. Ochroniarz w mundurze siedział, palił papierosa i rozmawiał przez komórkę. Od czasu do czasu popatrywał zmrużonymi oczami na ulicę, rozglądał się na boki i sprawdzał, czy nie pojawiło się coś podejrzanego albo niezwykłego. W odróżnieniu od ochroniarzy w lobby, uzbrojonych jedynie w broń krótką, ten miał AK-47 przewieszony przez ramię. Bourne patrzył do góry i pod każdym możliwym kątem oglądał linię dachu i ściany, na wypadek gdyby musiał wspiąć się na magazyn. Nie rosły tu żadne drzewa, nie było słupów telefonicznych, ale sam budynek wyglądał na dogodny do wspinaczki.

Miał zamiar stamtąd odejść, gdy usłyszał ciężarówkę nadjeżdżającą ulicą. Warkot jej silnika dotarł również do ochroniarza, który przerwał rozmowę telefoniczną i wcisnął guzik obok ostatnich drzwi po lewej stronie. Niemal od razu cztery bramy zaczęły się unosić do góry. Ze środka wyjrzał pomarszczony mężczyzna, strażnik powiedział coś do niego, a tamten skinął głową i zniknął w mroku wnętrza.

Kiedy ciężarówka wtoczyła się, zawróciła i stanęła tyłem do rampy, zjawili się dwóch mężczyzn z pistoletami na biodrach. Kierowca wysiadł, wskoczył na rampę i otworzył tylne drzwi wozu kluczem. Podciągnął je do góry i stanął z boku, podczas gdy dwaj mężczyźni weszli na budę ciężarówki. Ochroniarz zdjął z ramienia karabin i trzymał go teraz w gotowości. Był młody i wyglądał na trochę zdenerwowanego, kiedy wpatrywał się w ulicę.

Bourne zmienił pozycję i zobaczył, że dwaj mężczyźni wyładowują pierwszą z dwunastu długich drewnianych skrzyń, zawierających trefną broń, które widział w magazynie w Kadyksie. Rozpoznał je zarówno po kształcie, jak i charakterystycznym zielonkawym kolorze drewna.

Powinien dostać się do środka, żeby zamontować karty SIM, ale to musiało poczekać do zapadnięcia nocy. Wycofał się i poszedł na poszukiwanie rzeczy, których mógł potrzebować. Kupił dla siebie syryjskie ubranie, dzięki któremu łatwiej niknął w tłumie, nóż do szkła, jeszcze jeden nóż, solidny o szerokim ostrzu, spory kawałek przewodu elektrycznego, dwa zwoje liny różnej długości i oskard. W końcu dokupił też worek marynarski, do którego zapakował to wszystko, a potem wziął taksówkę i pojechał na dworzec kolejowy, gdzie zostawił worek w schowku na bagaż.

Wyruszył później na poszukiwanie hotelu, co okazało się niełatwym zadaniem. Pierwsze trzy, do których zaszedł, miały ochroniarzy rozstawionych w całym lobby. Mogli wchodzić w skład personelu hotelowego, choć bardzo w to wątpił. Poszedł dalej od centrum i na

południowym przedmieściu znalazł hotel, który czasy świetności miał tak dawno za sobą, że nikt już ich nie pamiętał. Poza dwoma zakurzonymi fotelami, parą jeszcze bardziej zakurzonych palm i recepcjonistą o zgarbionych plecach, lobby świeciło pustkami. Bourne wynajął pokój na ostatnim piętrze i zapłacił gotówką. Recepcjonista obejrzał jego paszport z bardzo niewielkim zainteresowaniem, zapisał nazwisko, narodowość i numer, i oddał mu dokument razem z kluczem do pokoju.

Bourne wszedł do windy, która odgłosami głośno protestowała, że zakłóca jej odpoczynek, wjechał na szóste piętro, ruszył brzydko pachnącym betonowym korytarzem i wszedł do swojego pokoju – spartańskiej celi z łóżkiem, toaletką o zmatowiałym lustrze, niewielką szafą zamieszkaną przez parę karaluchów i poprzecieranym dywanem. Jedyne okno wychodziło na zachód. Za szczeblami drabiny pożarowej ciągnęła się rojna ulica, niesłabnący tumult miasta przeciskał się przez szybę. Łazienka, jeśli ktoś upierał się przy tej nazwie, znajdowała się w korytarzu.

Panowały tu brud i dziadostwo, ale Jason bywał w znacznie gorszych miejscach. Położył się i zamknął oczy. Miał wrażenie, że nie spał od wielu dni.

Gdzie jesteś, Borisie? – zastanawiał się. Kiedy po mnie przyjdiesz?

Musiał zasnąć, bo kiedy otworzył oczy, słońce stało nisko na niebie, a wpadające do środka światło było bardziej nasycone barwą, jakby gęste. Późne popołudnie przechodzące w zmierzch. Leżał nieruchomo na łóżku, niemal w oszołomieniu. Czuł się półprzytomny, co oznaczało, że za wcześnie się przebudził z fazy REM. Nasłuchiwał i prawie natychmiast rozpoznał skrobanie do drzwi. Mógł to być jakiś gryzoń, ale bardzo w to wątpił.

Wstał bezgłośnie, podszedł do ściany i stanął tuż przy zawiasach, na których wisały drzwi. Przyglądał się zamkowi, ktoś otwierał go z zewnątrz. Gałka zaczęła się przekręcać. Zebrał się w sobie, gotów stawić czoło temu komuś, ktokolwiek to był.

W tej samej chwili na granicy jego pola widzenia przemknął cień, tuż przed tym, jak dwóch mężczyzn roztrzaskało okno i wskoczyło do środka.

• • •

Christopher Hendricks siedział przez całą godzinę przy biurku, nie ruszał się ani z nikim nie rozmawiał. W pewnym momencie weszła sekretarka, zaniepokojona brakiem reakcji na interkom, ale jedno spojrzenie na jego poszarzałą twarz wystarczyło, żeby szybko się wycofała.

W samotności przy biurku miał przed sobą zatrzymany na ekranie obraz Skary i czuł, jak ogarnia go egzystencjalny chłód. Maggie: jej twarz była teraz jedynie zbiorem kolorowych pikseli, ułożonych w zero-jedynkowych sekwencjach. To była Maggie, iluzja, sen, elektroniczne wyobrażenie. Kim zatem była Skara? Jakim cudem tak łatwo przeszła przez rządową procedurę sprawdzania, jak przebiła się przez jego zbroję, jak zawładnęła jego sercem? Nawet teraz, choć nadal był zaszokowany ujawnionymi przez nią faktami, serce biło mu w rytmie, który ona ustaliła.

„Przed tobą nigdy nikogo nie kochałam”.

Nie wiedział, czy wierzyć słowom, które wypowiadała do kamery.

„Coś się stało, kiedy się poznaliśmy, przeszedł mnie tajemniczy prąd i zmienił na zawsze”.

Ostatecznie na koniec powiedziała mu prawdę, a może było to jedynie myślenie życzeniowe? Czy jej ostatnia wiadomość była kolejnym kłamstwem, wypowiedzianym po to, żeby nie wysłał za nią swoich ludzi?

„Wyruszam w moją ostatnią podróż”. Co, do cholery, miała na myśli, kiedy to mówiła? Jej słowa rozbrzmiewały mu w głowie niby żałobne dzwony, wywołując dreszcz na plecach.

Głowa go bolała, miał gonitwę gorączkowych myśli, które donikąd nie prowadziły. Nie potrafił już odróżnić prawdy od fikcji, bo chciał, żeby to, co powiedziała, było szczerą prawdą, chciał tego tak bardzo, że czuł w ustach metaliczny posmak, przypominający krew.

Była agentką, to było wystarczająco jasne, demonicznie sprytną. Dla kogo jednak pracowała i skąd wiedziała o Indigo Ridge? Cofnął się myślami, przypominał sobie od końca krótki czas, jaki spędzili razem. Myślał o wspólnym pikniku, o tym, co jej wyjawiał – jak się okazało zdecydowanie znacznie mniej, niż wiedziała. To ona podsunęła mu pomysł zrezygnowania z ochrony Indigo Ridge na rzecz Danzigersa, choć nie zdradził jej ani nazwy miejsca, ani żadnych nazwisk.

Dlaczego mu to zasugerowała? Przetarł oczy dłońmi i od razu przestał o tym myśleć. Jej wzrok go hipnotyzował, przykuwał do obrazu na monitorze. Tak bardzo chciałby móc wyciągnąć rękę i jej dotknąć – nie, nie tylko dotknąć, pragnął ją objąć.

Powiedziała, że go osłaniała. Co to mogło oznaczać? „Pamiętaj o mnie, kiedy będziesz ochraniał Indigo Ridge”.

I wtedy zrozumiał. Próbowwała go chronić, odsuwając go od Indigo Ridge. Ale skąd mogła wiedzieć, że tym się zajmował? Głębokość i dokładność jej informacji zdumiewała go. Nic dziwnego, że wyprowadziła w pole ludzi z procedur prześwietlania. Zapamiętał, żeby przyrzec się dokładnie całości tego procesu.

Ktoś chciał go zrobić. Miał wypaść z gry przez nagranie zrobione w pokoju 916, które ona miała rozpowszechnić. Skompromitowany, zostałyby odsunięty od Indigo Ridge i natychmiast powstałaby wrzawa wokół bezpieczeństwa tego miejsca.

Właśnie wtedy ludzie, dla których pracowała, zamierzali uderzyć!

Rzucił się do telefonu i wcisnął czerwony guzik.

„Pamiętaj o mnie, kiedy będziesz ochraniał Indigo Ridge”.

Będę pamiętał, pomyślał, czekając, aż prezydent odbierze. Przysięgam, że będę pamiętał.

• • •

Dwóch mężczyzn dopadło Bourne’a, zanim zdążył stanąć do nich przodem. Trzeci wszedł przez drzwi przez nikogo niezatrzymywany. Byli olbrzymi i nabuzowani, śmierdzieli piwskim i prażoną kukurydzą.

Może i byli ogromni, ale brakowało im zdyscyplinowania – ot, potrafili naparzać się na ulicy, walili na oślep, napierali masą. Mieli skłonność do używania mosiężnych kastetów i wymachiwania nożami. Bourne zerwał ze ściany lustro i uderzył jego krawędzią w mosiężny kastet. Lustro rozbiło się na dziesiątki kawałków. Chwycił jeden z większych i nie zważając na to, że kaleczy mu rękę, wbił zaostroszony koniec w ramię jednego z mężczyzn. Facet zatoczył się do tyłu i wpadł na kumpla.

Trzeci napastnik zbliżył się do Bourne’a. Trzymał przed sobą nóż i oczekiwał, że Bourne

zrejteruje. On jednak zaatakował. Chwycił przeciwnika za rękę, w której trzymał nóż, przyciągnął go do siebie i zagłębił mu w gardle odłamek lustra. Krew chlusnęła, facet gwałtownie się cofnął. Bourne chwycił go za przód koszuli i pchnął na dwóch zbliżających się bandziorów. Jeden z nich posłużył się kastetem, żeby odrzucić na bok zabitego kolegę, gdy tymczasem drugi wyciągnął szpikulca do lodu i skoczył z nim na Bourne'a. Jason uchylił się, unikając ataku. Trzy proste uderzenia powaliły Szpikulca na kolana. Bourne kopnął go w twarz. Facet upadł na bok.

Trzeci, najpotężniejszy z całej trójki, rzucił się na Bourne'a i pchnął go na ścianę. Jason uderzył w nią głową. Osunął się. Mężczyzna skoczył na niego i zamachnął się kastetem. Bourne zrobił unik, ale zaliczył bolesny cios w lewe ramię. Zrewanżował się kopniakiem i wykręcając jednocześnie tors, wbił łokieć w splot słoneczny przeciwnika. Odepchnął go od siebie, kuczając, po czym od razy chwycił i szurnął na ścianę. Oplótł mu głowę jednym ramieniem i łącząc ręce, szarpnął potężnie, łamiąc mężczyźnie kark.

Kiedy Kastet znieruchomiał, Bourne przeszukał napastników. W ich kieszeniach znalazł kolumbijskie paszporty. To był szwadron śmierci przysłany przez Roberta Corellosa, który nie zapomniał, że przysiągł zemścić się na Jasonie. Jakim cudem wytropili go w Damaszku, pozostawało tajemnicą. Nie miał zresztą czasu zajmować się tą zagadką – na to przyjdzie pora później.

Był już przy rozbitym oknie, żeby wyjść z pokoju, ale odwrócił się, poszukał wzrokiem szpikulca do lodu, podniósł go z podłogi i przechodząc nad ciałami i po rozbitym szkłe, wydostał się na zewnątrz, zszedł po drabinie przeciwpożarowej i zniknął w zapadającym mroku.

• • •

Dzielnica żydowska w Damaszku, labirynt wąskich starych uliczek, pokręconych i okaleczonych przez czas i ludzkie okrucieństwo, była pełna opuszczonych domów, opasanych grubymi łańcuchami z kłódkami z mosiądzu. Dominowała tam charakterystyczna atmosfera smutku i cierpienia, dwóch stanów dobrze znanych Borisowi.

Spotkanie z Semidem Abdul-Qahharem zostało zaplanowane na godzinę dwudziestą drugą, ale Boris pomyślał, że lepiej będzie obejrzeć teren, zanim spróbuje dokonać tego, co nieopłakiwany przez nikogo Wiktor Czerkiesow uznał za niemożliwe do zrobienia. Gdy błądził uliczkami otaczającymi starą synagogę, myślał o opuszczonym miejscu, gdzie spędził ostatnią noc. Mógłby zostawić Czerkiesowa przy życiu, kiedy dawny szef wyśpiewał mu już wszystkie tajemnice, ale to byłoby głupie – więcej, to byłby szczyt sentymentalizmu. Kiedy człowiek w jego zawodzie staje się sentymentalny, to znak, że powinien odejść. Mimo to niezbyt wielu rzuca tę robotę albo przechodzi na emeryturę. Iwan jest najświeższym przykładem. Naprawdę, myślał Boris, skracając za róg, to zaskakujące, jak łatwo udało mu się wywieść wszystkich w pole. Sam Boris znalazł się wśród tych, którzy uwierzyli, że został emerytem. Niemniej szczerłość Iwana była zawsze jedną z jego najbardziej podziwianych cech. Dzięki niej właśnie zaufały mu wszystkie *gruppirowki*. I nigdy nie zawiódł niczyjego zaufania. Teraz jednak stało się brutalnie jasne, że zdradził mafijne rodziny dla Domny.

Boris pokręcił głową. Nawet gdyby dożył wieku Matuzalema, nigdy nie zrozumiałby, z

jakiego powodu Iwan i Czerkiesow odwrócili się od ojczyzny i stali jej wrogami.

Zrobił trzy pełne okrążenia ulicami wokół starej synagogi zajmowanej przez Semida Abdul-Qahhara i nauczył się na pamięć planu dzielnicy żydowskiej. Choć w brzuchu głośno mu burczało, czuł się tak bardzo oblepiony brudem, że zamiast do restauracji, poszedł do hammamu Nureddin na suku el-Bzouriyeh, w innej części medyny.

Zapłacił za wstęp, powiesił ubranie w drewnianej szafce i przez chwilę wpatrywał się w klucz, który Czerkiesow zabrał z Meczetu i miał za trzy godziny włożyć w małą tłustą dłoń Semida Abdul-Qahhara. Był ze złota, niewielki, dziwnego kształtu. Wyglądał na bardzo stary, ale kiedy poskrobał go paznokciem kciuka, z powierzchni zesza cienka warstwa patyny. Obejrzał dobrze paznokciec. Zeskrobał nie tylko patynę, ale także złoty kolor.

Spojrzał na kluczyk z nowym zainteresowaniem. Złoto jest miękkie, nic zatem dziwnego, że klucz wykonano z innego metalu. Boris domyślał się, że został wykuty z żelaza i pokryty złotem. Obracał go w palcach. W jego kształcie dostrzegał coś niejasno znajomego. Wydawało się to mało prawdopodobne, żeby widział go wcześniej, niemniej przysiągłby, że widział.

Stojąc przed szafką, nagi, tyle że owinięty w pasie ręcznikiem, zaczął się zastanawiać, gdzie mógł zetknąć się z tym kluczykiem – może w książce, artykule w gazecie, a może nawet w raporcie wywiadowczym w FSB-2. Nic nie przychodziło mu do głowy.

Zamknął szafkę staroświeckim kluczem z czerwoną bawełnianą tasiemką do zawieszenia na nadgarstku. Kolor oznaczał, że zapłacił pełny zestaw. Powlókł się do pierwszego z wielu pryszniców, parówki i sali masażu z przeszklonym dachem. Co otwierał tajemniczy kluczyk i dlaczego był taki cenny, że Czerkiesow musiał go przewieźć osobiście? I dlaczego Czerkiesow? Severus Domna i Semid Abdul-Qahhar na pewno mieli mnóstwo zaufanych agentów, którym można było powierzyć to zadanie.

Pytania kłębiły mu się w głowie, gdy brał prysznic, gdy skrobał go łaźiebny i gdy przeszedł do jednej z parówek wyłożonych kafelkami. Usiadł z ręcznikiem położonym na kolanach, pochylił się do przodu, łokcie oparł na udach i usiłował uwolnić umysł od tych pytań i wątpliwości, zapomnieć na chwilę o miriadach obowiązków, którym musiał stawić czoło. Zwiesił głowę, przestawał widzieć wyraźnie, gdy kolejne mięśnie się rozluźniały. Czuł, jak zmęczenie wychodzi z niego razem z potem. Jego nadpobudliwy umysł wreszcie się wyciszył.

Nagle uniósł głowę. Otworzył lewą dłoń i zapatrzył się w kluczyk leżący na jej środku. Zaczął w nim dojrzywać śmiech. I roześmiał się tak serdecznie, że pociekły mu łzy. Teraz już rozumiał, dlaczego Czerkiesowowi zlecono wyjazd do Meczetu w Monachium, choć gardził muzułmanami.

Dwadzieścia minut później leżał twarzą w dół na stole do masażu i pozwalał, by mięśnie zmieniano mu w trzęsącą się galaretę. Zamknął oczy, wsłuchiwał się w klepięcia rąk masażysty o jego plecy i nucił pod nosem, a prawą ręką bawił się pod stołem grubym drewnianym kołkiem, spinającym całość stołu.

Cień padł mu na twarz. Boris otworzył oczy, podniósł wzrok i zobaczył Zaczika, którego twarz była czerwona, pokierszowana i spuchnięta z jednej strony. Poniżej szyi ciało miało białe jak mąka. Na torsie nie zauważył żadnych blizn. Boris pamiętał czasy, kiedy i on wyglądał podobnie.

– Śmiesznie tak cię tu spotkać, Borisie – powiedział, uśmiechając się ciepło i przymilnie. –

Widziałem, co zrobiłeś z Czerkiesowem. – Młasnął językiem o podniebienie. – Smutny koniec jak dla człowieka, który miał taką władzę. Ale w końcu władza przemija, a życie jest krótkie, prawda?

– Wyglądasz jak pieprzony biurokrata, Zaczik. Wracaj do domu.

Uśmiech Zaczika stał się krzywy, jakby ktoś ukłuł go szpilką.

– Czego dowiedziałeś się od Czerkiesowa?

– Niczego – warknął Karpow. – Miał większe jaja, niż mogłem się spodziewać.

Uśmiech zamarł na twarzy Zaczika.

– Nie wierzę ci, Borisie.

– Wcale mnie to nie dziwi. W terenie jesteś poza swoją ligą.

Oczy agenta SWR się zwęziły.

– Już nie jesteśmy partnerami?

Boris oparł policzek na przedramieniu. Trzymanie głowy zadartej do góry sprawiało, że cierpł mu kark.

– Miałeś być w Moskwie i zająć się swoją częścią układu.

– Mówiąc szczerze, nie wierzyłem, że dotrzymasz obietnicy.

– Ale dotrzymałem.

– Zdumiewające, naprawdę. – Zaczik zerknął na klucz wiszący na prawym nadgarstku Borisa. – Co Czerkiesow robił w Monachium? Po co przyjechał tutaj?

– Powiedziałem ci...

Zaczik pochylił się nad Borisem.

– Był kurierem, prawda? Coś tutaj przywiózł. Co to mogło być?

– Nie mam pojęcia.

Zaczik rzucił się na klucz do szafki. Kiedy Karpow spróbował ześlizgnąć się ze stołu, masażysta przytrzymał go w miejscu.

– A co to ma, do cholery, znaczyć?

– Wiesz, co to było. – Pochylony nad nim Zaczik ściągnął mu z ręki tasiemkę z kluczem. – Zobaczmy, co takiego masz w szafce.

Kiedy Zaczik odchodził, Boris ponownie spróbował się podnieść, ale masażysta i tym razem docisnął go do stołu całą siłą mięśni i trzymał nawet mocniej niż poprzednio.

Nie był długo sam na sam z masażystą. Zobaczył drugiego mężczyznę wchodzącego do pomieszczenia. Twarz miał trójkątną, lisią, czarne oczka rozbiegane. Nie był wysoki, lecz i tak robił wrażenie. Krępy i szeroki w barach, miał piersi i ramiona zarośnięte gęstymi włosami niczym zwierzę. Boris rozpoznał go natychmiast.

Zmusił się do uśmiechu, gdy mężczyzna podszedł do niego.

– Konstantin Ławrientij Beria. W końcu się spotykamy.

Rozdział 30

Przy zapadającym zmroku Bourne szedł główną arterią najstarszej części medyny za bramą Świętego Tomasza, Bab Toumą. Nie mając pojęcia, gdzie będzie bezpieczny, poszukał skrawka papieru od Rebeki i zadzwonił do niej. Kiedy się przedstawił, usłyszał radość w jej głosie.

– Mieszkam przy uliczce odchodzącej od Haret Al-Azzarieh – powiedziała. – To bardzo blisko starej synagogi, która prawdę mówiąc, jest tuż za rogiem. Wyjdę ci naprzeciw, bo znalezienie mojego lokum za pierwszym razem jest prawie niemożliwe.

Bourne'owi to się spodobało i powiedział jej o tym. Spozrzegł ją u szczytu Haret Al-Azzarieh, opartą o rozpadającą się ścianę z cegieł, która mogła mieć tysiąc lat. Miała na sobie skórzane sandały, długą, zwiewną bawełnianą sukienkę i jaskrawą koszulę z długimi rękawami w syryjskim stylu. Robiła wrażenie zupełnie wyluzowanej.

– Jesteś głodny? – zapytała, jakby byli starymi przyjaciółmi. – Znam niewielką knajpkę niedaleko stąd, gdzie dają pyszne jedzenie.

Bourne skinął głową i ruszyli przed siebie krętymi zaułkami. Każde miasto na Bliskim Wschodzie ma mocny, dominujący zapach. W Tunisie to jaśmin, w Fezie kumin. Tu, w Damaszku, to była kawa zmieszana z kardamonem.

– Co się stało z twoją rezerwacją hotelową?

– Pokój okazał się nie do zaakceptowania.

– W Damaszku nie brakuje hoteli.

– Ale wszystkie są tak trudne do zlokalizowania jak twoje mieszkanie.

Uśmiechnęła się, jakby wiedziała, że nie mówi prawdy. Być może uwierzyła, że po prostu mu się podoba, a jeżeli tak, to nie miał zamiaru wyprowadzać jej z błędu. Z drugiej strony, ciekawiła go. Nie wyglądała na typową stewardesę: trochę znudzona, z rezerwą, interesująca się pasażerami jedynie wtedy, gdy byli w samolocie.

Spacer ulicami medyny przypominał zwiedzanie wystaw sklepowych przed Bożym Narodzeniem. W każdym oknie, w każdej bramie widać było najróżniejsze przedmioty rękodzieła artystycznego ze szkła, jedwabiu, gliny i tapicerki. Były tam piekarnie i rytualne ubojnie zwierząt, kwaciarnie i zakłady krawieckie, warsztaty wyplatania koszyków i farbowania tkanin. Po ulicach kręcili się przekupnie handlujący dosłownie wszystkim, od parujących szklaneczek gęstej kawy po turecku po lody kardamonowe posypane migdałami. Chodzili tam też krzykliwi sprzedawcy wody, ubrani w stylu kalifatu Umajjadów. Kalifowie umajjadzcy uczynili z Syrii swój dom, nawet gdy ich bitne armie powiększyły imperium na wschód po Bagdad i na północ przez Morze Śródziemne po hiszpańską Andaluzję.

Kiedy Bourne wspominał o często słyszonym tu irackim akcencie, Rebeka powiedziała:

– Przez lata malała liczba mieszkańców medyny. Irakijczycy, i to zarówno sunnici, jak i chrześcijanie, uciekający przed wojną zmienili ten stan rzeczy. Teraz Stare Miasto jest przeludnione.

Restauracja, do której go zabrała, była upchnięta na patio, tłoczna i wypełniona zapachami.

Po ścianach pięła się winorośl, a ażurowe lampy z kutego żelaza i miedzi rzucały światło na stoliki i posadzkę wyłożoną terakotą we wzór szachownicy. W niszach czarnych i ochrowych ścian umieszczono bajecznie kolorowe mozaiki przedstawiające otomańskich sułtanów i umajjadzkich wojowników.

Gruby szef kuchni wybiegł z zaplecza.

– *Marhaba* – powiedział.

– *Marhabtayn* – odparła Rebeka.

Uścisnął Bourne'owi rękę i powiedział coś, czego Jason nie dosłyszał z powodu gwaru.

Kiedy usiedli, Rebeka oznajmiła:

– Żadnego menu. Baltasar przygotowuje dla nas specjalne dania, prawdopodobnie *farudż*, bo wie, że najbardziej je lubię. Wiesz, co to jest?

– Kurczak z chili i cebulą.

Na ich stoliku zjawił się talerz z faszerowanymi liśćmi winogron. Rebeka zamówiła *mate*, argentyński napar, bardzo popularny wśród Syryjczyków.

– Zatem – powiedział Bourne – dlaczego mieszkasz za Bab Toumą?

Rebeka zlizwała oliwę z palców prawej ręki.

– To jak obcowanie z historią Żydów. Oczywiście cała medyna jest historyczna, ale historia Żydów najbardziej przemawia do wyobraźni... byli niezłomni, smutni i odważni.

– Musisz żałować, że już prawie ich tu nie ma.

– Tak, żałuję.

Kelner przyniósł *mate* i nalał im obojgu. Bourne nie sięgnął od razu po napar, czekając, aż ostygnie, Rebeka natomiast piła gorący przez srebrną słomkę.

– Widok tych wszystkich ruin jest bardzo smutny – zauważył Bourne. – Opuszczone domy, kłódki i ciemność. A już najgorzej wygląda synagoga.

– Och, synagoga nie jest już pusta. Ostatnio ją odremontowano.

– Znowu odbywają się tam nabożeństwa?

– Teraz mieszka tam jakiś Arab, nie cały czas, co prawda, ale mimo wszystko... – Pokręciła głową. – Niewiarygodne, prawda?

– Czasami taka jest kolej rzeczy – skwitował. – Smutna i ironiczna.

Dolała sobie *mate* do czarki i ponownie pokręciła głową.

– Tak nie powinno być. Nie powinno.

Pusty talerz zniknął z ich stołu. Na jego miejsce pojawił się inny, pełny falafeli.

– Opowiedz mi coś o tej synagodze. Kto tam mieszka?

Rebeka zmarszczyła czoło.

– Tak naprawdę nikt tego nie wie. Przynajmniej nikt nic nie mówi. Ale w końcu to miasto karmi się tajemnicami.

– Mieszkasz bardzo blisko. Musiałas widywać tego Araba, kiedy przyjeżdżał.

Uśmiechnęła się, odrzuciła do tyłu głowę, jej oczy odbiły blask lampy.

– Dlaczego tak bardzo interesujesz się tą synagogą?

– Mam interes do Araba, który w niej mieszka.

Odstawiła czarkę.

– Wiesz, jak się nazywa?

– Wiem.

– Jak?

Wsunął sobie falafel do ust.

– Dlaczego tak bardzo się nim interesujesz?

Jej śmiech przypominał atłas.

– Ty i ja mamy wspólne zainteresowania.

– Na to wygląda. – Bourne napił się *mate*. – Nazywa się Semid Abdul-Qahhar.

– Naprawdę? No to jest całkiem sławny, prawda?

– W określonych kręgach na pewno.

Popatrzyli na siebie. Bourne dostrzegł w jej oczach wiedzę, której głośno nie wyjawiała. Przynieśli im *farudż*, parujące i wyglądające bardzo apetycznie. Gwar głosów dookoła nich tak się nasilił, że musieli pochylić się nad stołem, by słyszeć się nawzajem.

– Semid Abdul-Qahhar to terrorysta – powiedziała Rebeka – choć udaje, że jest wręcz przeciwnie.

– Skąd to wiesz?

– Jestem Żydówką.

Teraz jej zainteresowanie Arabem, który profanował synagogę, stało się w pełni zrozumiałe.

• • •

– Nie znajdzie niczego ciekawego w mojej szafce – oświadczył Boris.

– To już oceni Zaczik.

– Jestem do pewnego stopnia zaskoczony waszym widokiem poza moskiewskim bunkrem – rzucił, przyglądając się szefowi SWR.

– Niektóre sprawy wymagają, żeby osobiście się nimi zajmować – odpowiedział Beria. – Inaczej, skąd czerpalibyśmy satysfakcję?

– Podejrzewam raczej, że nie ufacie Zaczikowi.

– Sami przekonaliście się o tym dość boleśnie, że zbytnia ufność nie popłaca. – Beria skrzyżował ramiona na piersi. – To wasz problem, generale, że za bardzo ufacie ludziom.

Naprawdę nie umiem sobie nawet wyobrazić, jak udało się wam przetrwać tyle czasu.

– Macie na myśli: świetnie prosperować – poprawił go Boris. – Używajcie właściwego określenia.

Beria zmarszczył czoło.

– Nie okazujecie żadnego strachu, to pewne. Trzeba będzie to zmienić. – Uśmiechnął się, zadowolony. – Jakoś trudno mi uwierzyć, generale, że pozwoliliście Czerkiesowowi umrzeć, zanim wszystko wam wyśpiewał.

Karpow popatrzył do góry na Berię. Potem zgiął palec wskazujący, dając znać szefowi SWR, by podszedł bliżej. Beria rozejrzał się dookoła, jakby oczekiwał zasadzki, ale pochylił się i zbliżył głowę do Borisa. Pachniał drogą wodą kolońską.

– Stalin też lubił wodę kolońską, Beria. Wiedzieliście o tym? – Boris mlasnął językiem. – Mężczyźni ze słabością do wody kolońskiej... – Uniósł się na tyle, na ile pozwolił mu masażysta. – Cóż mogę powiedzieć?

Beria uśmiechnął się krzywo.

– Zaczik wróci za moment i wtedy wszystko dla was się zmieni. Jeśli niczego nie znajdzie...

– Wierzcie mi, nie znajdzie.

– Jeśli niczego nie znajdzie – powtórzył Beria, akcentując każde słowo – przewieziemy was do naszej siedziby. Mam tam ludzi, prawdziwych ekspertów.

– Prawdopodobnie znam ich z nazwiska albo reputacji – odpowiedział Boris.

Beria popatrzył na niego zbity z tropu.

– Nie bardzo was rozumiem, generale.

– Bo niewielu się to udaje. – Boris rozłożył lewą dłoń i obserwował, jak Beria wpatruje się w kluczyk.

Szef Zaczika wziął kluczyk do ręki.

– Czy to jest to?

– To właśnie Czerkiesow miał dostarczyć Semidowi Abdul-Qahharowi.

Beria uniósł głowę, świdrował Borisa czarnymi, niemal zwierzęcymi oczami.

– Ten terrorysta jest tutaj?

– Tak mówił Czerkiesow – odpowiedział Boris. – Mieszka w starej synagodze za bramą Świętego Tomasza. Przyjmując, że jestem w tej łaźni od około godziny, spotkanie jest umówione za dwie godziny od tej chwili.

Podejrzliwość starła w jednej chwili wyraz triumfu z twarzy Berii.

– Dlaczego mi to mówicie, generale?

– Wiem, kiedy ktoś mnie przechytzy. I nie palę się do jazdy do waszej kryjówki, pełnej ostrych pazurów i zębów.

Beria westchnął w chwili, gdy Zaczik wrócił, cisnął klucz od szafki na podłogę i pokręcił głową.

– Drogi generale, bardzo wam dziękuję za waszą otwartość – oświadczył Beria. – Ale obawiam się, że nie mogę was tu zostawić. Za dużo wiecie i chodzicie samopas, a na to nie mogę pozwolić.

Podniósł wzrok, popatrzył na masażystę i skinął głową. Mężczyzna od razu zamknął Borisa w żelaznym uścisku. Szef SWR odwrócił się, jakby Karpow przestał dla niego istnieć. Uniósł do góry kluczyk, a Zaczik kiwnął głową. Kiedy obaj wychodzili, Zaczik posłał Karpowowi spojrzenie, które mogło znaczyć wszystko. Boris w ogóle się tym nie przejął, całą uwagę miał skupioną na tym, co musiał teraz zrobić.

Masażysta pochylał się nad stołem, lewym przedramieniem dociskał mu kark do blatu, a kolano miał na jego krzyżu. Boris prawą ręką namacał pod stołem drewniany kołek i wyszarpnął go z tą samą zacieklą determinacją, z jaką kiedyś wyciągał zawleczone granatowy.

Bez kołka środek stołu się załamał. Masażysta stracił równowagę, przewrócił się na Borisa i jednocześnie go puścił. Karpow przesunął się po stole, podciągnął pod siebie nogi i wydostał się spod ciała masażysty. Kiedy tamten próbował się podnieść, zadał mu cios pięścią w policzek. Ponieważ nie przyniosło to praktycznie żadnego skutku, powtórzył cios kolanem. Masażysta opadł bezwładnie, ogłuszony.

Boris chwycił klucz do szafki i poszedł po ubranie, bardzo przy tym uważając, żeby nie natknąć się na Berię i jego wrednego przydupasa. Gdyby nigdy w życiu nie zobaczył już agenta SWR, umarłby jako szczęśliwy Rosjanin. Wiedział jednak, że wymaga od losu zbyt wiele.

– Głowa mnie boli. – W prawym uchu Soraya słyszała dzwonięcie, które nie miało nic wspólnego z bandażem zakrywającym połowę czaszki.

Twarz Aarona pojawiła się w jej polu widzenia.

– Wiem – powiedział.

– Ale naprawdę mnie boli.

– Ciesz się, że żyjesz. Po tym, jak ten bydlak...

– El-Arian?

Aaron zareagował na niepokój w jej głosie:

– Nie żyje.

– Jesteś pewny?

– Trzy kule w piersi i jedna w głowie. – Uśmiechnął się słabo. – Tak, jestem pewny.

Soraya odprężyła się w widoczny sposób. Oblizwała usta.

– Pić mi się chce.

Aaron wziął z tacy plastikowy kubek, nalał do niego wody i włożył słomkę. Pociągnął za dźwignię przy łóżku, dzięki czemu głowa, ramiona i tors Sorai uniosły się bez konieczności odrywania przez nią głowy od poduszki.

Zacząła pić.

– I znowu w szpitalu. – Uśmiech Aarona stał się czuły. – Nie za dużo, nie chcemy, żebyś to od razu zwróciła. – Odstawił kubek na tacę, a potem popatrzył jej prosto w oczy. – Niewiele brakowało, żebyś zginęła.

– Ale nie zginęłam, więc nie dopiszą mi tego do zasług. – Ponieważ się nie roześmiała, powiedziała: – Proszę bardzo.

– Mam u ciebie dług, Sorayo.

Uciekła wzrokiem.

– Nie masz żadnego długu.

Westchnął, nacisnął stopą na blokadę kółka wózka inwalidzkiego i przytoczył go do łóżka, żeby usiąść obok niej.

– Dlaczego uciekaś?

– Nienawidzę szpitali.

Te słowa najwyraźniej przyniosły mu ulgę.

– Myślałem, że to mnie nienawidzisz.

– Mężczyźni – prychnęła.

Aaron popatrzył w dół na własne dłonie.

– Współczuję ci z powodu Chaltuma.

Po twarzy Sorai zaczęły płynąć łzy. Aaron zerwał się z miejsca i wytarł je chusteczką higieniczną. Soraya wzdrygnęła się, jakby ją oparzył.

– Nie dotykaj mnie!

Aaron się odsunął, twarz miał bladą i zapadniętą. Odwrócił się, poszedł w kierunku drzwi. Zaczekała do chwili, gdy naciskał klamkę, i dopiero wtedy powiedziała:

– Wróć.

Zawahał się, a potem odwrócił. Widziała w jego oczach, że nie ma pojęcia, co robić. Coś

mrocznego zapłonęło w jej wnętrzu, pławiło się w poczuciu władzy nad nim. Zgasło równie nagle, jak się pojawiło, zostawiając po sobie pustkę. Była roztrzęsiona.

– O co chodzi, Sorayo?

– Aaronie, proszę.

Podszedł do niej, wolno stawiając kroki, i usiadł ostrożnie na brzegu fotela, jakby był gotów do ucieczki w każdej chwili. Soraya popatrzyła na niego. Uleciała z niej cała wola walki. Czowała się tak, jakby przeszła straszliwą próbę ognia, widziała miłość, pragnienia i potrzeby zmienione w popiół, po czym została naga, lecz już nie bezbronna. Miała wrażenie, że wraca jej siła, ale ta siła miała teraz inną formę. Trzeba będzie czasu, żeby ją poznać.

Zamrugnęła powiekami.

– Sorayo?

Usłyszała zaniepokojenie w jego głosie. Popatrzyła na niego.

– W jakim jestem stanie?

– W lepszym, niż miałabyś prawo być. – Uspokoił się wyraźnie, gdy rozmowa zaczęła dotyczyć konkretnych spraw. – Kiedy cię tu przywieźliśmy, lekarze bardzo poważnie się niepokoiли. Szczerze mówiąc, chyba nie dawali ci żadnych szans. Ale rana okazała się mniej poważna, niż na to wyglądała. Kula z pistoletu El-Ariana zraniła czaszkę na tyle wysoko, że nie uszkodziła ci wzroku. I zapewniono nas, że po jakimś czasie słuch ci wróci do normalności.

– Niczego nie mam sparaliżowanego?

– Nie, ale po tym wstrząśnieniu mózgu, z którym chodziłaś, potrzebujesz czasu, żeby dojść do zdrowia albo coś bardzo złego stanie się z twoim systemem nerwowym. Żadnego biegania.

– Ani spadania ze schodów.

Uśmiechnął się.

– Najlepiej będzie, jak zrezygnujesz z tego nawyku.

– Obiecuję. – Palcami dotykała pościeli, jakby miała ochotę jak najszybciej się spod niej wydostać. – W takim razie chyba będziesz musiał mnie przenieść do bezpieczniejszego miejsca.

Jego twarz przybrała poważny wyraz.

– Przrzekam, że zabiorę cię stąd w chwili, gdy tylko będzie to możliwe. Mniej więcej za jeden dzień, jak porobią już wszystkie badania. Użyję wtedy wpływów Robbineta, zakładając, że w ogóle będzie chciał ze mną rozmawiać.

– Do czego doszło między wami dwoma?

– Zgubiłem cię. Był gotów zakończyć moją karierę, gdybyśmy cię nie odnaleźli całej i żywej.

– Porozmawiam z nim.

– Nareszcie! Mam orędowniczkę!

Roześmiał się, a ona dołączyła do niego, choć trochę ją to bolało. Nie przejmowała się tym jednak. Ból przypominał jej, że żyje, a to było bardzo przyjemne.

– Ale musisz być grzeczna – powiedział Aaron. – Nadal musisz dużo odpoczywać w łóżku.

– Nie martw się, teraz mam już zdrowy szacunek dla wstrząśnienia mózgu. – Wykrzywiła się w uśmiechu. – Szczęście, że mam ten pokój w hotelu, co?

Skinął głową.

– Teraz musisz odpoczywać.

– To za chwilę. Podaj mi moją komórkę, proszę.

Posłał jej surowe spojrzenie, ale zrobił, o co prosiła. Pogrzebał w płytkiej szafie. Kiedy przyniósł jej telefon, włączyła go i przekonała się, że ma cztery wiadomości od Hendricksa, lecz żadnej od Petera. Podniosła wzrok na Aarona.

– W porządku, a teraz się zmywaj.

Aaron zmarszczył brwi.

– Co to znaczy?

– Zostaw mnie samą.

Skinął głową.

– Będę na zewnątrz.

– Nie powinieneś aby być gdzieś indziej?

– Powiniennem. – Podeszedł do drzwi i otworzył je. Uśmiechnął się krzywo. – Ale uczę się delegować pracę.

• • •

Niewiele brakowało, żeby przez gwar panujący w restauracji Bourne nie usłyszał komórki. Był w połowie wyciągania od Rebeki informacji o planie budynku synagogi i przez moment brał nawet pod uwagę zignorowanie dzwonka. Zobaczywszy, że dzwoni Soraya, odebrał. Nie usłyszał jednak nawet jednego słowa, więc przeprosił Rebeke i wyszedł na ulicę, przeszedł kilka metrów wąskim zaułkiem i oparł się o rozpadający dom, zamknięty na łańcuch z kłódką.

– Gdzie jesteś? – Jej głos zdradzał napięcie i zmęczenie.

– W Damaszku. – Bourne nie spuszczał wzroku z mijających go ludzi. Poza Borisem i Corellosem musiał wystrzegać się szwadronów śmierci i zabójców działających w pojedynkę. – Wszystko z tobą w porządku?

– Tak, świetnie. Jestem w Paryżu. Próbowałam dodzwonić się do Petera, ale nie odbiera komórki, co jest trochę dziwne. Nikt go nie widział ani nie miał od niego wiadomości od jakiegoś czasu.

– Skontaktuj się z Tyrone’em. Nawet jeśli niczego nie słyszał, to się dowie.

– Dobry pomysł. – Opowiedziała mu wszystko, czego dowiedziała się o Monition Club, powiązaniach z arabskimi terrorystami i powiernictwie, którego ślad prowadził do banku Nymphenburg Landesbank z Monachium. Nie wspomniała o Amunie: nie chciała wymawiać jego imienia, nie chciała słuchać kondolencji, nawet jeśli byłyby szczerze. Zakończyła informacją o śmierci Benjamina El-Ariana, pominęła jednak własny stan fizyczny.

Bourne analizował wszystko od razu.

– Interesuje mnie fakt, że finanse Domny są prowadzone przez monachijski bank i to, że Semid Abdul-Qahhar, szef Meczetu w Monachium, jest również w tym samym mieście, gdzie Severus Domna ma kwaterę główną i bazę.

– Jaką bazę?

– Nie jestem pewny, ale myślę, że chodzi o rychły atak na amerykańskiej ziemi.

– Cel?

– Nie wiem... – Bourne przerwał rozmowę. Spostrzegł kogoś, przez sekundę widział twarz

między poruszającymi się głowami. Zamknął telefon i ruszył za tym człowiekiem. Kiedy zmniejszył dystans, rozpoznał go po chodzie. Nawet bez patrzenia na twarz wiedział, że to Boris.

Ruszył za nim, przeciskając się przez tłum ludzi wypełniających wąskie uliczki. Po kilku minutach zorientował się, że Karpow zmierza w stronę synagogi. Co on kombinował? Jeśli podążał tropem Bourne'a, to stracił go z oczu. Ale Boris nie robił wrażenia człowieka zagubionego. Przeciwnie, uwagę miał bardzo skupioną i zachowywał się jak ktoś, kto dobrze wie, dokąd zmierza.

Wejście do synagogi znajdowało się w głębi mało pociągającego zaułka, który kończył się dziedzińcem wyłożonym kocimi łbami z drzewkiem oliwnym rosnącym pośrodku. Boris dotarł do miejsca, skąd widać było całą uliczkę, i przystanął w cieniu. Skrzyżował ramiona na piersi i niczym mumia egipska zastygł w absolutnym bezruchu.

Bourne czekał. Nic się nie działo. Nikt nie wszedł w uliczkę prowadzącą do synagogi ani z niej nie wychodził. Kawałek nieba widoczny w górze przypominał dekoracje karnawałowe, noc przybrała bladoniebieski kolor z powodu świateł na minaretach.

Jason wyjął komórkę i wybrał numer. Boris wzdrygnął się i sięgnął po telefon. Wtedy Bourne podszedł i stanął w cieniu obok niego.

– Cześć, Boris – powiedział. – O ile wiem, zostałeś wysłany, żeby mnie zabić.

Rozdział 31

– Jason! A co ty tutaj robisz, do cholery?

– Borisie, mógłbym zapytać cię o to samo. – Bourne wpatrywał się w twarz przyjaciela. – Nie wiadomo tylko, czy któryś z nas powie prawdę.

– Czy kiedykolwiek okłamaliśmy się nawzajem?

– Kto wie, Borisie? O naszych relacjach wiesz znacznie więcej ode mnie. W tej chwili, z tego, co widzę, wszystko zalatuje pozorami.

– Trudno mi się z tobą nie zgodzić. Przez ostatnich kilka dni byłem kiwany przez tylu ludzi, że w głowie mam mętlik.

– Przyjaźń to kwestia zaufania.

– I znowu powiem, że trudno mi się z tobą nie zgodzić, ale jak się nad tym zastanowisz, to dojdiesz do wniosku, że zaufanie nie istnieje.

Gorycz w głosie Karpowa zaniepokoiła Bourne'a.

– O co w tym tak naprawdę chodzi, Borisie?

– Właśnie przyleciałem z Monachium. Jeden z moich wieloletnich przyjaciół zorganizował tam zamach na mnie. Prawdę mówiąc, znasz go. Iwan Wołkin nigdy nie przeszedł na emeryturę. Od lat pracuje dla Domny.

– Współczuję.

– Nie wydajesz się zaskoczony.

– Zaskoczyło mnie jedynie to, że się przyjaźniliście.

– Cóż, chyba nie. – Boris odwrócił głowę i patrzył na uliczkę. – Wygląda na to, że nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

Bourne nic nie powiedział, szanując rozżalenie Borisa.

– Jesteś tu, żeby potraktować w wyjątkowy sposób mnie czy Semida Abdul-Qahhara? – odezwał się w końcu.

– Przed tobą nie można mieć tajemnic, prawda? I wcale mnie to nie dziwi. – Boris się roześmiał, lecz nie było w tym żadnej wesołości. – Pozwól, że coś ci powiem, przyjacielu, kilkanaście godzin temu potraktowałem w wyjątkowy sposób człowieka, który kazał mi wybierać: albo zabiję ciebie, albo zakończę karierę.

– Więc nie musisz mnie już zabijać?

– Nigdy nie było takiej konieczności, Jasonie. Gdybym zrobił to, co Wiktor Czerkiesow mi kazał, nie zostałoby ze mnie wiele do kontynuowania kariery. – Odchrząknął. – A tak przy okazji, skąd wiesz, że ten główny chuj, Semid Abdul-Qahhar, tu mieszka?

– A ty skąd?

Obaj się roześmiali. Boris poklepał Jasona po ramieniu.

– Cholera, Jasonie, dobrze cię widzieć! Musimy opić to spotkanie, ale spodziewam się, że zaraz zjawi się tu Konstantin Beria, szef SWR, i jego przydupas, Zaczik.

– Jakim cudem?

Boris opowiedział mu o kluczyku, który Czerkiesow przewiózł na polecenie Domny z

Monachium do Damaszku dla Semida Abdul-Qahhara.

– Pozwoliłeś Berii go zabrać? – zapytał Bourne.

Boris się roześmiał.

– Na pewno sprawiłem mu tym przyjemność. To nie jest prawdziwy klucz, niczego nie otwiera. To kopia wzorowana na kluczach z gry wideo. – Widząc wyraz twarzy Bourne’a, dodał: – Brzmi to niewiarygodnie, ale ktoś z Domny ma poczucie humoru.

– Niewiarygodne jest to, że wiesz cokolwiek o grach wideo.

– Muszę iść z duchem czasu, Jasonie, w przeciwnym razie rozjechaliby mnie młodzi technokraci dochodzący do władzy. Korzystają z gier wideo, żeby zachować umiejętności i czuć zapach krwi.

– Ty i ja wolimy robić to w terenie.

– Młodzi są bezyteczni w terenie. Zawsze szukają skrótów.

– Szukają kluczy do następnego poziomu.

– Właśnie. Nie myślą samodzielnie.

Zimny powiew wiatru omiół uliczkę, przynosząc ze sobą zapach korzennych przypraw. Muezini zaczęli swoje nawoływania do modlitwy, które wzmocnione elektroniką zagłuszały wszystkie inne odgłosy miasta. Ulice opustoszały.

– Klucz był sprawdzianem – powiedział Bourne.

Boris skinął głową.

– Chcieli się przekonać, czy Czerkiesow jest godny zaufania i posłuszny.

– Oblał.

– I to fatalnie. Ale Semid Abdul-Qahhar jeszcze o tym nie wie. A Beria nie wie, że czekam na niego. – Boris położył Jasonowi rękę na piersi. – Trzymaj się. Nadchodzą.

Bourne dostrzegł dwóch zbliżających się mężczyzn. Mieli na sobie długie okrycia, sięgające im do butów, co jasno wskazywało na to, że niosą broń z długimi lufami. Starszy z nich był niski, o lisim wyglądzie, drugi młodszy i wyższy, z twarzą, która wyglądała tak, jakby wkładał ją do maszynki do mielenia mięsa. Bourne uśmiechnął się na myśl o pięściach Borisa wchodzących w kontakt z tym technokratą.

– Chcę tych pedziów – syknął Boris. – Próbowali mnie zabić.

– Wygląda na to, że mają ze sobą ciężką broń – zauważył Bourne.

– To widzę.

Bourne zbierał się w sobie, kiedy kątem oka spostrzegł postać w czarnej, długiej sukience i hidżabie, skradającą się od drugiego końca ulicy. To była Rebeka.

• • •

Kiedy ponownie zapewnił ochronę Indigo Ridge, Hendricks zrobił dokładnie to, czego Skara sobie nie życzyła: zaczął jej szukać. Najpierw próbował dodzwonić się na jej komórkę, ale połączył się z jakimś Chińczykiem, który w mandaryńskim odesłał go do diabła. Potem odbył prywatną rozmowę z Jonathanem Breyem, szefem FBI. Z Breyem łączyła go długoletnia znajomość, często wyświadczali sobie nawzajem przysługi.

– Wszystko, czego chcesz, Chris – powiedział Brey. – Masz to jak w banku.

– Szukam kogoś, kto zniknął mi z oczu – wyznał Hendricks, trawiony wstydem,

upokorzeniem i zwykłym cierpieniem porzuconego kochanka. – Mogła już wyjechać z kraju. – Przerwał na chwilę. – Wjechała jako Margaret Penrod, co było pseudonimem, ale teraz na pewno posługuje się zupełnie innym nazwiskiem.

– Masz jakieś pomysły, gdzie może być?

Ponownie straszne emocje wstrząsnęły Hendricksem.

– Nie mam.

– Zdjęcie?

– Poproszę, żeby ci je przysłali. – Komórka rządowej procedury sprawdzania musi jakimś dysponować, pomyślał Hendricks, bo inaczej wyjdę na jeszcze większego idiotę. – W tej chwili jednak potrzebuję twoich dwóch najlepszych ludzi z dochodzeniówki.

– Załatwione – odpowiedział Brey.

• • •

Hendricks spotkał się z agentami przed mieszkaniem Skary. Kiedy nikt nie zareagował na dzwonek do drzwi, agenci włamali się i wyciągnęli broń, choć Hendricks zapewnił ich, że to nie będzie potrzebne. Procedura, odpowiedzieli jednocześnie, niemal jak roboty. Gdy sprawdzili pomieszczenia, wrócili pod drzwi, zgodnie z poleceniem Hendricksa, przypominając parę spuszczonej ze smyczy psów obronnych.

Hendricks obszedł niewielkie dwupokojowe mieszkanie. Salon był przygnębiająco pusty, wypełniony zastałym powietrzem, typowym dla niezamieszkanego miejsca. Nic mu tu nie przypominało ojej obecności. Podobnie było w maleńkiej łazience, gdzie jedynie jakieś kłaczki leżały na wąskich półkach apteczki. W rezerwuarze była wyłącznie woda, wanna została dokładnie umyta i oczyszczona z włosów i osadu.

Wszedł do sypialni i natychmiast poczuł zapach Skary. Przeszukał szuflady toaletki, które okazały się puste. Wyciągnął je i obrócił do góry dnem, licząc, że może znajdzie coś przyklejonego od spodu. Szafa była pełna wszelkiego rodzaju wieszaków. Szafka nocna miała tylko jedną szufladę, w której natrafił na dwa spinacze do papieru, wizytówkę nieistniejącej firmy Skary i ogryzek ołówka.

Westchnął ciężko i usiadł na łóżku, czując, jak ugięło się zupełnie tak, jak jej ciało pod jego ciężarem. Z dłońmi opartymi na kolanach wpatrywał się w podłogę. Tęsknił za nią i nie było sensu się tego wypierać. Powstała w nim dziura ziejąca pustką. Jeszcze niedawno był przekonany, że wystarczająco się zabezpieczył i nigdy już nie będzie przeżywał podobnych uczuć. Wzrok zaczynał mu zachodzić mgłą, myśli blakły jak kolory na słońcu. W tej samej chwili zadzwoniła jego komórka.

– Hendricks.

– Panie sekretarzu, mówi agent CI Tyrone Elkins.

Słowa powoli docierały do rozkojarzonego umysłu Hendricksa.

– Skąd masz mój numer, synu?

– Mam wiadomość od Petera Marksa.

Hendricks zmarszczył brwi, poczuł, jak napinają mu się ramiona.

– Gdzie jest Peter?

– Jest bezpieczny, proszę pana. Został zaatakowany. Musi z panem pogadać.

– No to daj go do telefonu. – Nastąpiła chwila ciszy. – Peter?

– Melduję się.

– Nic ci nie jest?

– Nic.

– Co ci się przydarzyło, do cholery?

Peter opowiedział mu o chybionym zamachu bombowym w garażu i swojej ucieczce z karetki pogotowia z fałszywą załogą.

– Tyrone ocalił mnie czystym przypadkiem – zakończył.

– Gdzie ty, do diabła, jesteś? Wyślę ludzi po...

– Z całym należnym szacunkiem, biorąc pod uwagę nieszczelności w systemie ochrony, przed czym mnie ostrzegłeś, i dziury w ochronie budynku Treadstone, wolę, żeby w tej chwili nikt nie wiedział, gdzie jestem. Soraya znalazła mnie przez Bourne'a.

– Bourne'a?

– Oboje, Soraya i Bourne, znają Tyrone'a. W tym momencie nie mogę powiedzieć nic więcej.

– A Soraya?

– Jest nadal w Paryżu. Ustaliła, kto zlecił zabójstwo jej kontaktu. To Benjamin El-Arian. On już nie żyje. – Mówił dalej, opowiadał szefowi, co odkrył i dlaczego znalazł się na celowniku.

– Musisz wysłać ekipę, żeby jak najszybciej przywiozła Roya FitzWilliamsa z powrotem do Waszyngtonu na przesłuchanie. FitzWilliams był konsultantem syryjskiej firmy wydobywczej, El-Gabal, i nie zgłosił tego, kiedy był prześwietlany.

Kolejna wpadka systemu sprawdzania, pomyślał Hendricks. To cud, że ten rząd jeszcze w ogóle istnieje.

– Stoimy wobec bliskiego zagrożenia czymś paskudnym na terenie Stanów Zjednoczonych – dodał Peter.

„Pamiętaj o mnie, kiedy będziesz ochraniał Indigo Ridge”, powiedziała Skara.

– Indigo Ridge – wyszeptał Hendricks.

– Myślę dokładnie to samo.

– Dobra robota, Peter.

– Przepraszam, że przeżyłeś przeze mnie ciężkie chwile. Miałeś rację, przydzielając mi Indigo Ridge w ten trochę okrężny sposób.

– Cieszę się po prostu, że nie zginąłeś przez moją decyzję.

– Twoja praca też nie jest usłana różami – odpowiedział Peter. – Ale dobrze ją wykonujesz.

– Dzięki. – Hendricks zamyślił się przez chwilę. – Zachowuj zasady bezpieczeństwa, dopóki ta sytuacja nie będzie w pełni pod kontrolą, i poproś Tyrone'a, żeby dzwonił do mnie codziennie w południe. Dam ci znać, jak tylko FitzWilliams znajdzie się pod kuratelą. Zasłużyłeś, żeby tu być w czasie przesłuchania.

Rozłączył się i zadzwonił do szefa działań operacyjnych Indigo Ridge, który przejmował obowiązki od Danzigerera.

– Zapomnij o Danzigerze – powiedział Hendricks. – Chcę, żebyś wziął ludzi i zatrzymał szefa Indigo Ridge.

– Co takiego?

– Słyszałeś. Wyznacz najlepszego człowieka, który jak najszybciej dostarczy Roya

FitzWilliamsa samolotem do Waszyngtonu. Chcę, żeby przywieziono go bezpośrednio do mnie. Czy to jasne?

– Jak słońce. Proszę uznać sprawę za załatwioną.

Hendricks zadzwonił do znajomego generała sił powietrznych i poprosił go o użyczenie odrzutowca, mającego stać w gotowości do lotu. Kiedy odkładał telefon, jego spojrzenie padło na wizytówkę Skary leżącą w szufladzie szafki nocnej.

„Twoja praca też nie jest usłana różami”, powiedział Peter.

Oczami wyobraźni zobaczył Skarę taką, jak wyglądała w dniu, kiedy się poznali, klęczącą w jego miniaturowym ogrodzie, zajmującą się różami.

Wziął wizytówkę do ręki. Na samym środku wydrukowano różę. Serce zaczęło mu walić jak młotem, zerwał się na równe nogi i wypadł jak burza z mieszkania Skary, zostawiając kompletnie zdezorientowanych tym agentów.

• • •

Rebeka nie wyglądała już jak stewardesa, w jej ruchach był rodzaj skupienia, czujność i świadomość celu. W oczach miała błysk zapалу, policzki zarumienione, jakby chciała rzucić się głową w dół na spotkanie swego przeznaczenia. Przemieniła się w anioła zemsty. Przebrała się po wyjściu z restauracji, potwierdzając tym samym jego podejrzenia: miała własne plany wobec lokatorów synagogi. Potrzebowała tylko zapalnika, a ten osobiście jej dostarczył, zdradzając tożsamość Araba bezczeszczącego żydowski dom modlitwy. Zakładał teraz, że mogła być z Mossadu, choć w ostatecznym rozrachunku nie miało to znaczenia. Przyszła tu, żeby przeniknąć do synagogi i zabić Semida Abdul-Qahhara. Problem polegał na tym, że na ślepo pakowała się w śmiertelnie niebezpieczny ogień krzyżowy pomiędzy ludźmi przywódcy Meczetu a SWR. Musiał ją powstrzymać.

Przygotował się, żeby zablokować jej drogę, gdy nagle skręciła. W ogóle nie kierowała się ku zaułkowi prowadzącemu do synagogi. Jednak dzięki rozmowie przy obiedzie o planie budynku, zorientował się, dokąd zmierza.

Chwycił Borisa i pobiegli uliczką za nią.

Rosjanin zaraz się zatrzymał i szarpnął do tyłu.

– Zwariowałeś? Wszystko spieprzysz.

Bourne odwrócił się do niego:

– To kwestia zaufania, Borisie.

Po bardzo krótkim wahaniu Karpow skinął głową, a potem ruszył za Bourne’em kierującym się w lewo, w uliczkę biegnącą mniej więcej równolegle do zaułka prowadzącego do synagogi.

Jason zobaczył przed sobą Rebeke niknącą po lewej stronie. Przyspieszył. Boris był tuż za nim. Kiedy dotarł do miejsca, gdzie stracił Rebeke z oczu, zobaczył przejście tak wąskie, że ledwie mieściły mu się w nim ramiona. Rzucił się do środka i jednocześnie przypominał sobie plan starej synagogi opisany przez Rebeke.

Nagle dotarł do końca przejścia. Stał przed ścianą.

– Jasonie, co to jest, do cholery? – wyszeptał Boris.

– Idziemy za agentką Mossadu, która zna inną drogę do synagogi.

– Jaką drogę? Przeniknęła przez ścianę z kamieni?

Otoczała ich ciemność. Bourne jeszcze raz przypomniał sobie wszystko, czego dowiedział się od Rebeki o świątyni. Orientował się, gdzie są w odniesieniu do planu całości, dlatego obrócił się w lewo i zaczął obmacywać ścianę, szukając jakiejś dźwigni lub gałki. Nic. Wtedy zrobił krok do tyłu, niemal wpadając na Borisa. Prawą stopą wyczuł metalową kratę.

Cofnęli się na tyle, by Jason zdołał uklęknąć i sprawdzić ją palcami. Krata okazała się kwadratowa, wystarczająco duża, żeby w otworze pod nią zmieścił się człowiek. Zagiął palce w dziurach i pociągnął ją do góry, a kiedy wyszła bez oporu, postawił przy ścianie. A potem wsunął w otwór nogi. Buty uderzyły o jakąś przeszkodę.

– Tam jest drabina – powiedział do Borisa, który przykucnął obok niego.

Obaj zeszli po niej. Drabinę zrobiono z żelaza, kruszącego się pod naciskiem ich rąk, co dowodziło, że rzeczywiście była wyjątkowo stara. Dotarli na niższy poziom, wykuty w żywej skale. Bourne spostrzegł łagodną żółtą poświatę po lewej stronie i razem z Borisem szli w jej kierunku, aż nabrał przekonania, że są pod synagogą. Kilka kamiennych schodów prowadziło na górę. Boris i Jason wspięli się po nich, przemieszczając się z największą ostrożnością.

Na górze zobaczyli wąskie drzwi wykonane z drewnianych desek połączonych szerokimi pasami z mosiądzu. Bourne bezgłośnie nacisnął żelazną klamkę i pchnął drzwi do środka. Przeszli przez próg i znaleźli się w nadal remontowanej części synagogi. Płyty ze żłobkowanego marmuru i granitu stały oparte o ścianę albo leżały na byle jak zbitych kozłach, gdzie przycinano je do potrzebnego rozmiaru. Wokół rozciągnięto zasłony z białego muślinu, żeby pył nie przenikał do wnętrza.

Skradali się do przodu, aż dotarli do zasłon. Bourne nasłuchiwał, spodziewając się odgłosów szamotaniny, ale doszły go jedynie dźwięki kroków wyciszone przez dywan i sporadyczne słowa wypowiedane po arabsku, cicho, lecz nagłaco.

Rozsunęli zasłony i wślizgnęli się do centralnej części, odremontowanej w arabskim stylu.

– Ta agentka Mossadu chyba chce, żeby ją tu zabili – wyszeptał Boris.

– Imię, które mi podała, to Rebeka – powiedział Bourne.

– Może, jeśli dopisze nam szczęście, SWR i Semid Abdul-Qahhar pozabijają się wzajemnie – wymamrotał Boris, patrząc przed siebie.

Bourne jednak zorientował się po jego tonie, że wcale w to nie wierzy. Niczego w ich świecie nie podawano nikomu na tacy, bo w grę wchodziło zbyt wiele złości i silnych emocji. Za dużo prawdziwej krwi już przelano, a jeszcze więcej czekało na przelanie.

Przesunęli się do przodu. Ogromne przestrzenie zaprojektowane dla synagogi przez starożytnych architektów zostały zabudowane i podzielone na małe pomieszczenia, wszystkie bogato zdobione malowidłami i meblami, niczym sułtański seraj. Nie zobaczyli tu niczego, co kojarzyłoby się z surowością życia Araba z pustyni. Dywany do modlitwy były bardzo drogie, utkane z najlepszego jedwabiu w intrygujące wzory naśladujące drogą kamienie.

– Gdzie, do cholery, podziewa się Beria i jego pacholek? – wyszeptał Boris.

Bourne z kolei zastanawiał się, gdzie jest reszta. Nie miał pojęcia, ilu ludzi Semid Abdul-Qahhar miał ze sobą ani jak byli uzbrojeni. Spojrzał do góry i odkrył bezpieczny sposób, jak się tego dowiedzieć. Pokoje zbudowano z grubych, ręcznie heblowanych belek z wonnego cedru, które wznosiły się natrzy metry, znacznie poniżej oryginalnej wysokości stropu. Nie miały sufitów, jedynie skrzyżowane belki, na które narzucono płachty materiału.

Dał znak Borisowi, żeby szedł dalej, a sam wspiął się na jedną z belek, bez trudu znajdując na kostropatym drewnie oparcie dla stóp. Belki były masywne, piętnaście na piętnaście centymetrów, dzięki czemu mógł się na nich położyć i czołgać od pokoju do pokoju. Tkanina okazała się na tyle prześwitująca, że widział postaci, ich pozycje w pokojach i ruchy. Naliczył trzech ludzi Semida Abdul-Qahhara znajdujących się w oddzielnych pomieszczenia i przygotowujących do modlitwy, ale nigdzie nie było Rebeki ani samego przywódcy Meczetu. Wiedział, że tak jak on, całą uwagę skupiła na Semidzie, a jego ludzie byli po prostu przeszkodą na drodze do realizacji celu.

I wtedy, w piątym pokoju ją zobaczył. Była z Semidem, ale scena, którą zobaczył, zupełnie mu się nie spodobała.

• • •

Boris skradał się kocim krokiem, jak napisał poeta w wierszu, którego nauczył się na pamięć jako mały chłopak i który powtarzał co wieczór przed pójściem do łóżka, jakby to był pacierz. Tej nocy jednak przepełniała go żądza krwi. Potrafił myśleć jedynie o Zacziku i Berii. Uświadomił sobie, że droga jego kariery zawodowej była tak naprawdę łańcuchem afrontów i sankcji. Trzeba się było modlić, by jakoś przetrzymać je wszystkie i... iść dalej kocim krokiem.

Wszedł do pokoju, w którym na modlitewnym dywaniku klęczał mężczyzna zwrócony czołem w stronę Mekki. Karabin o krótkiej lufie leżał obok niego. Boris słyszał szeptałą modlitwę, słowa wydobywały się z ust Araba niczym krople padającego deszczu. Zaczekał, aż mężczyzna dotknie czołem podłogi. Wtedy podszedł do niego cicho i walnął go obutą stopą w kark. Usłyszał kilka trzaśnieć, jak wtedy, gdy ktoś przebija folię bąbelkową. Mężczyzna osunął się na dywanik.

Boris wziął karabin, przeszedł nad trupem i ruszył dalej.

• • •

Za Rebeką stało dwóch mężczyzn. Bourne nie potrafił się zorientować, czy wiedziała o ich obecności, dlatego zeskoczył z belki i przebił się przez tkaninę. Wylądował w przysiadzie. Mężczyźni się odwrócili. Jason zrobił wymach nogą i trafił jednego z nich za kolanem, posyłając go na ziemię. Błyskawicznie znalazł się na nim i okładał pięściami.

Rebeka uderzyła drugiego w głowę. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, ale zdołał unieść karabin i oddać kilka strzałów. Gdy rzuciła mu się pod nogi, uniósł broń kolbą w dół, jakby zamierzał walnąć ją w czubek głowy. Nie zdążył, bo silny cios jej ręki trafił go w krocze. Mężczyzna zgiął się wpół, Rebeka wyciągnęła cienki nóż zza czarnej sukienki i rozcięła mu brzuch na całej szerokości.

Jego oczy, szeroko rozwarte w szoku, jeszcze się nie zamknęły, kiedy przeskoczyła nad nim i wyciągnęła ramię, żeby złapać Semida Abdul-Qahhara za skraj galabii. Potknął się, lecz szybko posłużył sztyletem o szerokim ostrzu, by odciąć materiał, uwalniając się od niej. Wybiegł z pokoju.

Bourne podniósł się i pognał za Rebeką, która goniła Semida. Opuścili pokoje seraju i znaleźli się we właściwej synagodze.

•••

W chwili gdy Boris usłyszał serię z karabinu, rzucił się do biegu. Beria i Zaczik, obaj dzierżący karabiny AK-74, stali na rozstawionych nogach ramię w ramię i bezlitośnie kosili sześciu ludzi Semida Abdul-Qahhara.

Zaczik spostrzegł Borisa przy wejściu, wycelował w niego i strzelał bez opamiętania. Boris wycofał się za drzwi. Ogień był tak intensywny, że zanim mógł ponownie wychynąć, musiał poczekać. Przykucnął, serce waliło mu jak młotem. Kiedy wyjrzał ponownie, zobaczył jedynie sześć powykręcanych ciał krwawiących z niezliczonych ran. Nie było jednak śladu po Berii i Zacziku.

Panując nad wściekłością i frustracją, sprawdzał pokój po pokoju, nasłuchiwał i patrzył. Potem usłyszał kolejną serię strzałów. Pobiegł w lewo. Kula rozszarpała mu lewą łydkę, gdy przekraczał próg. Noga ugięła się pod nim, upadł, lądując na prawym ramieniu, które cofnął, dzięki czemu mógł się przetoczyć. Uklęknął na jedno kolano i odpowiedział ogniem. Niewiele brakowało, a odstrzeliłby Zaczikowi głowę, ale kutafon cofnął się w samą porę.

Boris przemieścił się, choć było to bardzo bolesne, a kostka w lewej nodze niemal odmawiała mu posłuszeństwa. Dobrze zrobił, bo Zaczik wychylił się zza muru i zaczął strzelać tam, gdzie Boris znajdował się przed momentem. Karpow obrócił się z karabinem i ostrzelał róg ściany, za którym chował się agent SWR. Odłamki drewna i tynku sypały się na dół i wzbijały do góry. Ponownie zmienił pozycję, lecz tym razem rzucił się w przeciwną stronę, i kiedy Zaczik wyjrzał i posłał kolejną serię z karabinu, Boris przestrzelił mu lewe ramię. Gdy upadł do tyłu, Boris pobiegł prosto na niego, ale wstrzymał ogień, bo nie miał go w polu widzenia. Zaczik pociągnął za cyngiel AK-74 i w jednej chwili tumany pyłu i kawałki drewna oślepiły Borisa. Mimo to biegł nadal, bo wiedział, że stanie w miejscu miałyby fatalne skutki.

Kiedy widoczność stała się jako taka, zobaczył Zaczika na podłodze. Leżał oparty plecami o ścianę. Krew leciała mu z roztrzaskanego lewego ramienia. Usiłował rozpaczliwie doładować broń.

Wyczuwając Borisa, uniósł głowę i obnażył zęby niczym wściekły pies. A potem wykrzywił usta, odrzucił karabin i rozłożył ręce.

– Poddaję się, generale. Nie strzelaj. Jestem bezbronny.

Boris zauważył małego derringera na pół ukrytego w prawej dłoni agenta. Ale nawet gdyby ten kutafon był nieuzbrojony, wiedział, że i tak niczego by to nie zmieniło. Pociągnął za cyngiel karabinu, a Zaczik zatańczył jak marionetka, której odcięto sznurki. W strugach krwi osunął się na bok, oczy zaszyły mu śmiertelnym bielmem.

•••

Coś ważnego musiało się wydarzyć, pomyślał Boris, bo zobaczył, że Beria zaczął się wycofywać z synagogi. To go zaintrygowało. Przypuszczał, że Bourne w jakiś sposób nieodwracalnie zmienił sytuację, a szef SWR był na tyle pragmatyczny, że wolał zniknąć, gdy miał jeszcze całą skórę.

Ale takie rozwiązanie nie wchodziło w grę.

Boris dogonił go przy wejściu zasłanym już sześcioma trupami. Szef SWR wybrał najkrótszą drogę do frontowych drzwi. Musiał przejść pomiędzy dwoma ciałami. W momencie

gdy pośliznął się w kałuży krwi, Boris rzucił się na niego od tyłu z pełną szybkością. Coś zgrzytnęło mu w lewej kostce, straszny ból przeszył całą nogę. Kula z karabinu Zaczika przeszła na wylot przez łydkę, co było dobre, niemniej rana bardzo obficie krwawiła. Noga powinna być trzymana w górze, a rana opatrzona. Nic dziwnego, że nie wytrzymała. Boris opadł ciężko na jedno kolano. Fala bólu przeszła przez całe jego ciało. Beria, który częściowo oprzytomniał, uderzył go kolbą AK-74 w brodę i przewrócił na plecy, a potem wycelował i już miał strzelić, kiedy nagle usłyszał budzące grozę głosy, odbijające się echem. Nie chcąc zdradzać swojej pozycji strzałem, zakręcił się na pięcie i wybiegł z synagogi tak szybko, jak nogi mu na to pozwalały.

• • •

Bourne zobaczył Semida Abdul-Qahhara atakującego Rebekę połyskliwym sztyletem. Odparowała cios wąskim nożem i wślizgując się przed jego ramię z bronią, rozcięła mu lewy policzek od oka aż do kącika ust. Rana się rozwarła, lecz Semid nawet nie jęknął, tylko uderzył Rebekę pięścią w bok, a potem kopnął tak mocno w zębra, że poleciała na ścianę.

Szybko dopadł do niej i atakował sztyletem, drugą ręką grzebiąc pod galabiją. Rebeka broniła się nożem. Radziła sobie całkiem nieźle, ale tylko dlatego, że jego ciosy były pozorowane.

Bourne spostrzegł przed nią, że Semid trzyma w drugiej ręku mauzera. Skoczył na Araba i próbował wyrwać mu broń. Kiedy Abdul-Qahhar obrócił się w stronę atakującego Bourne'a, Rebeka odtrąciła jego sztylet z pogardą i zadała mu cios nożem. Ostrze zagłębiło się w piersi Semida tuż poniżej splotu słonecznego. Z precyzją godną ręki chirurga obróciła je i przesunęła na lewo, dziurawiąc płuco, a potem serce.

Spieniona krew pociekła z ust Araba, który westchnął, uwalniając spomiędzy warg cuchnące powietrze. Rebeka wpatrywała mu się w oczy, gdy dociskała nóż i podtrzymywała drugim ramieniem.

– Rebeko – odezwał się Bourne.

Nie odrywała wzroku od Semida, jakby był ciekawym okazem zwierzęcia przymocowanym do stołu laboratoryjnego.

– Rebeko – powtórzył Bourne, tym razem łagodniej.

Odetchnęła i wyciągnęła nóż z rany. Ciało osunęło się na posadzkę. Bourne spodziewał się wyrazu triumfu na jej twarzy, ale kiedy się do niego odwróciła, zobaczył jedynie pogardę.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a Jason miał wrażenie, że widzi przed sobą osobliwe stworzenie, precyzyjnie kontrolowane i urobione, które wydostało się z klatki, posiadające jednak dzikie serce i niezłomnego ducha.

– Uciekłeś ode mnie – powiedziała, wycierając krew z ostrza i rękojeści – a teraz znalazłam cię tutaj.

– Szczęściara. – Uśmiechnął się do niej. – Tylko mi nie mów, że jesteś zaskoczona.

W jej oczach płonęła zimna furia.

– To moje terytorium.

– Teraz to bez znaczenia – powiedział ugodowo, starając się rozładować jej złość. – Semid Abdul-Qahhar nie żyje.

Kopnęła trupa, który przekręcił się na plecy.

– Kimkolwiek jest ten ktoś – oświadczyła – na pewno nie jest Semidem Abdul-Qahharem.

Rozdział 32

Zdarzało się – tak jak teraz – że Hendricks był niezadowolony z obecności grupy ochroniarzy, którzy nawet na moment nie spuszczały go z oka. Był niezadowolony z faktu, że na pewno spekulowali, z jakiego powodu pędził na łeb na szyję z powrotem do domu w środku dnia pracy. Co gorsza, obserwowali go zza przyćmionych szyb, gdy poszedł do różanego ogródka, uklęknął tam i zaczął wrywać rośliny z korzeniami.

Jeden z ochroniarzy, Richards, jak przypuszczał, wysiadł z samochodu i energicznie podszedł do miejsca, gdzie Hendricks klęczał.

- Dobrze się pan czuje? – zapytał.
- Doskonale – mruknął z roztargnieniem.
- Czy mogę panu jakoś pomóc?
- Możesz wrócić do wozu.
- Tak jest – odpowiedział Richards po krótkim milczeniu.

Zerkając za siebie, Hendricks zobaczył, jak Richards wzrusza ramionami i relacjonuje kumplom, że nie ma pojęcia, co ich szef wyprawia. Hendricks wrócił do swojego zajęcia i próbował się uspokoić, ale ku własnemu przerażeniu spostrzegł, że ręce trzęsą mu się w sposób zupełnie niekontrolowany. Kiedy podniósł wizytówkę Skary i zobaczył wydrukowaną na niej różę, nabrał pewności, że celowo ją zostawiła, by wpadła w jego ręce. Tylko on potrafił zrozumieć znaczenie róży.

„Wyruszę w moją ostatnią podróż”.

Strasznie się bał, że Skara zrobi coś, czego nie da się cofnąć. Nie wyobrażał sobie, by mogła popełnić samobójstwo, ale w końcu tak niewiele o niej wiedział. Mimo to miał dziwne wrażenie, że znał ją od zawsze. Nie potrafił zrozumieć, jak ktoś mógł tak szybko stać się częścią jego życia. Wślizgnęła mu się do serca, rozgościła tam i nie chciała wyjść. Jej nagłe zniknięcie sprawiło jedynie, że jeszcze wyraźniej uzmysłowił sobie, jak na niego działała.

„Wyruszę w moją ostatnią podróż”.

Czy miała zamiar zrobić coś strasznego, zdobyć się na jakiś ostateczny akt, który w ten czy inny sposób zdmuchnie płomień jej życia? Taki scenariusz go przerażał.

„Wyruszę w moją ostatnią podróż”.

Wcześniej wmawiał sobie, że zostawiła mu wskazówkę, co ma zrobić, że chciała, by ją powstrzymał, że był jedynym człowiekiem, który jest w stanie tego dokonać. Rozpaczliwie pragnął wierzyć, że czuła do niego to samo, co on czuł do niej. Czy nie to właśnie powiedziała na DVD? Ale tkwił też w nim cień podejrzenia, że była to jedynie gra i że nigdy do końca nie ujawniła, co kryje jej serce, a on nigdy już się tego nie dowie, bo w ciągu kilku dni, może nawet godzin, jej życie zgaśnie.

Roztrzęsione ręce pokryły się ziemią, paznokcie miał czarne od piachu. Zaczął od lewej strony i przesuwiał się metodycznie wzdłuż grządkki ku prawemu skrajowi. Rozkopywał ziemię przy podstawie każdej rośliny w nadziei, że zakopała tam coś, co miał znaleźć po jej zniknięciu. Ale dotarł do ostatniej róży, wykopał ją i na nic nie natrafił.

Usiadł po turecku, położył dłonie na kolanach i wpatrywał się w kwiaty. Kochał swoje róże, ich kolory i zapachy, lecz teraz widział jedynie ciernie. Może tym razem patrzył po prostu na róże jako róże. Nie chciał uwierzyć, że tak jest, ale teraz musiał, bo nie zostało mu nic innego.

Gorzkie łzy napłynęły mu do oczu. Zawstydzony i zrozpaczony zakrył twarz brudnymi rękami.

• • •

Borisa nigdzie nie było. Bourne szybko obejrzał zabitych i umierających, lecz nie natrafił na żaden ślad przyjaciela, z czego ogromnie się ucieszył. Nie znalazł też szefa SWR, Konstantina Berii. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie mogli się podziąć, ale miał własne sprawy na głowie.

– Ścigam Semida Abdul-Qahhara od trzech lat – powiedziała Rebeka, gdy wyszli z synagogi tą samą drogą, którą do niej weszli. – Zatrudnia pół tuzina dublerów, wyglądających jak on i mówiących jak on. Częściej niż rzadziej to właśnie oni pokazują się publicznie. Abdul-Qahhar osobiście występuje na nagraniach wideo wysyłanych regularnie przez jego ludzi do telewizji Al-Dżazira. Przystudiowałam wszystkie szczegóły tych nagrań. Wiem, jak wygląda prawdziwy Semid Abdul-Qahhar. Poza najbliższym kręgiem jego pomagierów praktycznie nikt tego nie wie.

Istnienie dublerów radykalnie zmieniło plany Bourne'a. Boris powiedział mu, że Semid Abdul-Qahhar przebywa w Damaszku. Teraz wyczuwał, że synagoga była podstępem. Jeśli rzeczywiście tak sprawa się przedstawiała, to przywódca Meczetu musiał być w El-Gabal. To niosło szereg implikacji, z których jedna, i to całkiem ważna, wskazywała, że faza planowania ataku terrorystycznego dobiegła końca i zaczęła się faza operacyjna, Bourne zaś miał mało czasu na przeniknięcie do El-Gabal, zamontowanie sklonowanych kart SIM i odpalenie ładunków włożonych przez don Fernanda do dwunastu skrzyń zawierających karabiny FN SCAR-M Mark 20.

Chciał iść sam do El-Gabal, ale teraz zdał sobie sprawę, że obecność Rebeki nabrała żywotnego znaczenia. Tylko ona potrafiła rozpoznać Semida Abdul-Qahhara. Jeśli rzeczywiście był w budynku, Bourne nie chciał przepuścić okazji do zabicia go. Semid przedstawiał sobą prawdziwe zagrożenie. Po śmierci El-Ariana został sercem i duszą Domny, za to bez jego wsparcia organizacja stałaby się tak słaba, że Soraya, Peter i ich ludzie poradziliby sobie z nią bez trudu. Jeżeli jednak Semid jakoś przeżyje, jego wpływy w Domnie zaczną być teraz nieograniczone, a biorąc pod uwagę, że jej członkowie zajmują eksponowane stanowiska w gospodarce i polityce, możliwości przypuszczania terrorystycznych ataków przez jego ludzi wzrosną niepomiaralnie. Bourne nie mógł do tego dopuścić.

Kiedy doszli do ulicy, powiedział Rebecce o El-Gabal i o tym, co musi tam zrobić.

– Myślę, że Semid Abdul-Qahhar jest właśnie w El-Gabal. Potrafię się tam dostać tak jak ty do synagogi, niepostrzeżenie. Albo idziesz ze mną, albo tu nasze drogi się rozchodzą – zakończył.

Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że nie wahała się ani sekundy. Pojechali taksówką na dworzec kolejowy, gdzie otworzył schowek i wyjął worek marynarski wypakowany sprzętem.

Rebeka patrzyła na niego z uśmiechem błakającym się na ustach.

– Co w tym takiego zabawnego? – zapytał Bourne.

– Zupełnie nic. – Wzruszyła ramionami. – Moi przełożeni się mylili i to ja miałam rację. – Uśmiechnęła się szeroko. – To, że obsługiwałam lot z Madrytu, nie było przypadkiem.

– Mossad mnie śledził.

– Myślisz, że jestem z Mossadu?

Nie odpowiedział, gdy prowadził ją szerokimi ulicami w kierunku Avenue Choukry Kouatly. Oboje mieli na sobie syryjskie ubrania, więc nikt nie zwracał na nich uwagi. Hidżab zakrywał zupełnie głowę Rebeki.

– To ja cię śledziłam – powiedziała. – Od chwili gdy odkryłam powiązania Semida Abdul-Qahhara z Domną, wiedziałam, że nasze ścieżki się skrzyżują. Nie dałam się nabrać na twoje fałszywe nazwisko. Widziałam twoje zdjęcie i porównałam je z tym, które mamy w naszej kartotece.

– Więc nie przejęłaś się, kiedy uciekłem z restauracji.

– Szczerze? Spodziewałam się tego.

– Jestem ci winny za rachunek.

Wykrzywiła usta w uśmiechu.

– Niech będzie, że ja stawiałam.

– Teraz to ja cię zapraszam.

Zaśmiała się cicho.

– Wszystko, co o tobie wiedzą moi przełożeni, nie jest warte funta kłaków.

– I niech tak zostanie – skwitował.

Po dwudziestu minutach dotarli w okolice kompleksu El-Gabal. W środku paliły się jasne światła, choć minęła druga w nocy. Bourne przykucnął w cieniu i zaobserwował wzrost aktywności i liczby ochroniarzy. Na rampie i w jej sąsiedztwie dostrzegł mnóstwo uzbrojonych mężczyzn. Ciężarówki jeszcze nie przyjechały, ale pierwszą było już słyszeć na ulicy. Nie będzie miał zbyt wiele czasu, godzinę, możliwe, że mniej.

Rebeka przykucnęła w cieniu obok niego i zapytała:

– Jesteś pewny, że dasz radę wprowadzić nas do środka?

Budynek jest otoczony uzbrojonymi facetami.

Bourne rozpiął suwak worka.

– Patrz i ucz się – powiedział.

• • •

Boris siedział w całodobowej kawiarni z lewą nogą położoną na krześle. Lekarz, który oczyścił i obandażował mu ranę, zażądał absurdalnie wysokiej sumy pieniędzy, choć znał go z poprzednich wizyt. Boris zapłacił, bo nie przejmował się już takimi sprawami.

Kiedy opuścił synagogę, przemógł zawroty głowy i przez pół godziny błakał się po labiryncie uliczek starego miasta, nadaremnie szukając Berii. W jego psychice powstała czarna dziura, w której chciał na zawsze pogrzebać szefa SWR. A potem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, coś się zmieniło. Najprawdopodobniej sprawcą tego był ból, który stał się tak przejmujący, że Boris z trudem stał na lewej nodze, poza tym adrenalina przestała

mu pulsować w żyłach i poddawał się zmęczeniu. Beria mógł poczekać. Najpierw musiał zadbać o siebie.

Siedział teraz nad czarką kawy po turecku doprawionej kardamonem i niewielkim talerzykiem z lepкими słodyczami. Włożył do ust tabletki – przeciwbólową i antybiotyk – i krzywiąc się, połknął je bez popijania. Sączył potem kawę, rozgrzewając go od środka, i przyglądał się nieustającej krzątaninie na ulicy.

Po namyśle doszedł do wniosku, że ból miał niewiele wspólnego z zaniechaniem pościgu, zdarzyło mu się bardziej cierpieć i dalej robić swoje. Przypuszczał, że jego zmiana nastawienia wynikała z ponownego spotkania z Jasonem Bourne'em. To krótkie zetknięcie z nim uświadomiło mu, że jego życie – jego i Jasona – nie musiało ograniczać się wyłącznie do nieuniknionego łańcucha afrontów i sankcji. W rzeczywistości mógł się w nim pojawiać ludzki wymiar i mimo wszystko to właśnie przyjaciele tacy jak Jason, nawet gdyby miał to być jedyny przyjaciel, sprawiali, że życie stawało się znośne. Myślał przez moment o Jasonie i zastanawiał się, gdzie on się teraz podziewa. Zresztą i tak nie miało to znaczenia. Boris nie był w stanie mu pomóc, no i Bourne działał najskuteczniej, gdy pracował sam.

Westchnął i ugryzł kawałek ciastka. Trzymał je w ustach, aż cienkie jak papier warstwy ciasta i miód rozpuściły się na języku. Nie chciałby zmienić się we współczesnego Achaba. Obiecał sobie to i owo już wcześniej, i to całkiem szczerze, ale spełnienie tej obietnicy mogło poczekać.

Bo czy zemsta nie smakuje najlepiej na zimno?

• • •

Po wyjęciu z marynarskiego worka kabla elektrycznego i niewielkiego oskarda, Bourne przywiązał trzonek do dłuższego zwoju liny. Wstał i odsunął się o kilka kroków od Rebeki. Byli dobrze ukryci w półcieniu rzucanym przez kępę palm. Przed sobą mieli zachodnią ścianę siedziby El-Gabal, za sobą palmy, a jeszcze dalej ciemny i ponury budynek banku. Światła ochrony rozprasały mrok na obu końcach El-Gabal, ale istniał wąski, ciemny pas pośrodku ściany.

Kiedy Bourne zaczął kręcić oskardem przywiązanym do liny, Rebeka domyśliła się, co zamierza.

– Na dachu mogą być ochroniarze – zauważyła.

– Właśnie na to liczę – odparł.

Posłała mu pytające spojrzenie.

Bourne zaczekał, aż gardłowy warkot ciężarówek wypełni noc, a potem rzucił oskard nad głową do góry i patrzył, jak leci przez nocne powietrze i ląduje na dachu. Niezależnie od tego, jakiego hałasu narobił przy upadku, silniki ciężarówek skutecznie go zagłuszyły. Pociągając za linę, przesuwając oskard po dachu, aż zakrzywiony, spłaszczony koniec zaklinował się w szparze między dachem a ścianą. Zarzucił sobie worek na plecy i nie mówiąc słowa do Rebeki, zaczął się wspinać.

Gdy znalazł się w połowie drogi, Rebeka chwyciła koniec liny i ruszyła za nim. Ponieważ hurgot robiony przez ciężarówki ucichł, stali się bardzo czujni i starali poruszać bezgłośnie. Bourne dotarł do końca ściany, chwycił jedną ręką za krawędź i podciągnął się na gzyms.

Zobaczył dwóch ochroniarzy. Jeden stał pośrodku czegoś, co wyglądało na ogromną tarczę strzelniczą namalowaną na płaskim dachu. Ostatni krąg otaczały niewielkie niebieskie światła LED, palące się bardzo jasno. Drugi ochroniarz znajdował się przy drugim końcu dachu, ręce trzymał na krawędzi i wychylał się, zainteresowany coraz większą aktywnością na rampie.

Bourne zeskoczył na dach i przykucnął. W chwilę później dołączyła do niego Rebeka.

– Mają tu lądowisko dla helikoptera – wyszeptała mu do ucha. – Światła są włączone, więc pewnie spodziewają się jakiejś maszyny.

Bourne skinął głową.

– Wygląda na to, że właśnie tą drogą prawdziwy Semid Abdul-Qahhar ma zamiar stąd zniknąć.

Z jednej strony lądowiska znajdował się przeszklony luk ładunkowy, wystarczająco duży, by dało się zabrać ludzi i sprzęt z budynku do helikoptera albo odwrotnie. Było to bardzo dobre rozwiązanie, by szybko dostać się do środka lub stamtąd wydostać. Bourne dał znak Rebecce, żeby zajęła się ochroniarzem na końcu dachu, podczas gdy on wziął na siebie faceta z lądowiska.

Na dachu posypanym przyklejonym żwirem umieszczono podnośniki, zbiorniki na wodę i wentylatory. Były tam także szopa z maszynownią windy i stacja systemu ogrzewania i klimatyzacji. Bourne przemieszczał się w kucki od jednego urządzenia do drugiego. To nie było trudne, bo krył się w ich cieniu. Okrąg oświetlany diodami LED to zupełnie inna sprawa. Kiedy zatrzymał się za maszynownią windy, żeby złapać oddech, podniósł obluzowany kawałek żwiru i rzucił go tak, by trafił w zbiornik na wodę znajdujący się o sześć metrów od niego po prawej stronie.

Ochroniarz odwrócił się i zdejmując z ramienia AK-74 ruszył ostrożnie w kierunku miejsca, gdzie uderzył kamyk, a potem obszedł zbiornik dookoła. Gdy stanął tyłem do Bourne'a, Jason sprintem pokonał dzielącą ich odległość, skoczył ochroniarzowi na plecy i oplatając szyję ramieniem, skrzyknął mu kark. Położył bezwładne ciało na dachu i zabrał karabin.

Obiegł zbiornik na wodę i ruszył w stronę drugiego końca dachu. Spozstrzegł drugiego ochroniarza rozciągniętego na żwirze. Nad nim stała Rebeka, ale nie była sama. Trzeci strażnik, ukryty do tej pory przed nimi, skradał się za nią. Żeby nie strzelać, Jason rzucił się ku niej, jednak w chwili, gdy ochroniarz znalazł się w zasięgu jej ramion, obróciła się na pięcie, odtrąciła lufę jego AK-74, wymierzyła mu pięścią cios w brzuch i chwyciła za gardło. Ochroniarz wygiął się w łuk, usiłując strzelić z karabinu i zaalarmować ludzi na rampie. Rebeka musiała puścić jego krtań, żeby odciągnąć mu ręce od broni. Kiedy karabin upadł z brzękiem na dach, coś błysnęło w dłoni mężczyzny. Zadał cios. Rebeka oplótła mu ramię, wykręciła gwałtownie i złamała napastnikowi łokieć. Mężczyzna jęknął, kolana się pod nim ugięły, a ona walnęła go podstawą dłoni w nos, wbijając mu chrząstkę w mózg. Upadł, martwy, zanim jego ciało dotknęło żwiru.

Bourne stał już przy Rebecce. Wykrzywiła się do niego w uśmiechu, ale zaraz potem jej wzrok stracił ostrość i osunęła mu się w ramiona, głowa opadła jej do tyłu, twarz była skierowana w rozgwieżdżone niebo. Bourne spostrzegł śliską czerń, poczuł ciepło krwi płynącej z rany w boku zadanej nożem. Rebeka dyszała, rozchyliła usta.

Położył ją i zaczął rozpinać jej ubranie, chcąc obejrzeć cięcie.

– Szkoda zachodu – powiedziała. – Masz mało czasu. Nie chcę, żebyś przeze mnie nie

zdążył.

– Zamknij się. – Palce Bourne’a poruszały się wokół rany szybko i wprawnie. Była głęboka, ale nie widział niczego, co wskazywałoby na uszkodzenie organów wewnętrznych. To dobrze, oczywiście, lecz nadal w szybkim tempie traciła krew. Musiał natychmiast coś zrobić, bo wykrwawiałaby się na śmierć. Porwał jej sukienkę na pasy i użył jako bandaża, starając się jak najmocniej zacisnąć tkaninę na ranie. Krew przestała płynąć na chwilę, ale potem zaczęła przesączać się przez materiał.

– Posłuchaj – odezwała się Rebeka ze stanowczością w głosie. – Prawdziwy Semid Abdul-Qahhar ma tik w zewnętrznym kąciku prawego oka. Zobaczysz pulsowanie niewielkiego mięśnia. To coś, czego żaden dubler nie jest w stanie naśladować.

Bourne skinął głową i owijał ją następną warstwą tkaniny. Tylko tyle mógł zrobić.

– Zostaw mnie teraz – ponagliła Rebeka.

Nadal się wahał.

– No idź. – Zmusiła się do nikłego uśmiechu. – Potrafię o siebie zadbać. Jestem z Mossadu.

– Wróć po ciebie.

Jej uśmiech zmienił się w sardoniczny grymas.

– Nie, nie wrócisz. Ale dzięki w każdym razie.

Bourne podniósł się i spojrzał na dół ponad krawędzią dachu. Wszystkie bramy na rampie stały otworem. Musiał się dostać do broni z ładunkami wybuchowymi, zanim zostanie załadowana na ciężarówkę. Nie miał czasu na spieranie się z Rebeką.

Nie oglądając się za siebie, podbiegł do zbiornika z wodą. Rozebrał się i włożył mundur ochroniarza, którego zabił. Potem obejrzał dokładnie pokrywę wjazdu prowadzącego do wnętrza budynku. Zobaczył przez nią jakiś magazyn, w tej chwili ciemny i pusty. Drabina prowadziła od podłogi do wjazdu. Widok przewodu alarmowego zamocowanego wokół krawędzi klapy nie zaskoczył go. Od razu zorientował się, że bez przyssawek, którymi dałoby się utrzymać szybę na miejscu po jej wycięciu, krajak nie przyda mu się do niczego. Postawił worek marynarski na ziemi i wyjął nóż o szerokim ostrzu. Wsunął koniec noża w podstawę wjazdu, gdzie łączyła się ze żwirem. Czubek złamał się, a nóż bardziej przypominał teraz śrubokręt.

Zawiasy pokrywy wjazdu znajdowały się po przeciwnej stronie drabiny. Posługując się końcem złamanego noża, Bourne poluzował śruby na tyle, że pokrywę dało się unieść. Znalazł przewód alarmu, rozciął izolację w dwóch miejscach i podłączył odizolowane końcówki wyciągniętego z worka kabla elektrycznego, żeby przedłużyć obwód. Następnie uniósł pokrywę i wślizgnął się pod nią. Zeskoczył na podłogę magazynu, znalazł drzwi i wyszedł na długi korytarz, ciągnący się w lewo i w prawo. Dokładnie przed nim znajdowała się przegroda wysokości połowy ściany. Wyglądając ponad nią, zobaczył w dole przestrzeń całego magazynu. Poszukał wzrokiem dwunastu długich skrzyń i niemal natychmiast je zauważył. Znajdowały się dość daleko po prawej stronie. Po lewej były otworzone bramy prowadzące na rampę. Pierwsze skrzynie zabierano już na ciężarówkę. Przez następne dziesięć sekund zapamiętywał plan magazynu, a potem znalazł najbliższe schody i puścił się po nich biegiem.

Wyższe piętra nie przedstawiały problemu – wszyscy byli na parterze i doglądali załadunku sprzętu wojskowego. Jak do tej pory nie widział nigdzie Semida Abdul-Qahhara, ale nie miał

wątpliwości, że jest gdzieś w pobliżu. Ten transport był zbyt cenny, żeby powierzać go wyłącznie podwładnym.

Na pierwszego ochroniarza natknął się na schodach prowadzących z parteru na piętro. Strażnik kiwnął mu głową, gdy jednak Bourne przechodził obok, chwycił go za lewe ramię.

– Gdzie masz broń? – zapytał.

– Tutaj – odpowiedział Jason, waląc tyłem jego głowy o ścianę. Gałki oczne ochroniarza powędrowały w głąb czaszki, kiedy osunął się na schody. Bourne wziął jego AK-74 i ruszył dalej. Sądząc po tempie załadunku, obliczył, że zostało mu około dziesięciu minut na podłączenie kart SIM i ucieczkę z budynku, zanim wysłę elektroniczny sygnał, który wysadzi to miejsce w powietrze.

Drugi ochroniarz stał przy ścianie na dole schodów. Obojętnie skinął głową, gdy Bourne schodził z ostatniego stopnia. Jason minął go o krok, obrócił się gwałtownie i wymierzył mu cios kolbą karabinu w brzuch. Mężczyzna zgął się wpół, a Bourne walnął go kolbą w kark. Po przeciągnięciu ciała w zacienione miejsce ruszył najkrótszą drogą do dwóch stosów skrzyń zawierających nafaszerowane materiałem wybuchowym FN SCAR-M Mark 20.

Stracił cenną minutę na wtopienie się między rozbieganych mężczyzn. Odesłał ich grupę od skrzyń don Fernanda do stosu drewnianych pak stojących po drugiej stronie. Miał dwanaście identycznych kart SIM, po jednej do każdej ze skrzyń. Don Fernando bardzo szczegółowo opisał mu, gdzie należy je umieścić, z boku każdej skrzyni. Małe karty były z tyłu pokryte klejem. Wystarczyło, żeby Bourne oderwał folię zabezpieczającą i przymocował je we właściwym miejscu. Przykleił sześć, kiedy usłyszał głos, który wołał rozkazująco:

– Tu jesteś! A co ty tu robisz?

Bourne odwrócił się i zobaczył mężczyznę wyglądającego jak Semid Abdul-Qahhar. Wyszedł zza stosu skrzyń, które najwyraźniej nie miały być transportowane tej nocy.

Oczy Semida zwężyły się, gdy patrzył uważnie na Bourne'a.

– Nie znam cię.

– Dostałem przydział do magazynu dziś rano.

Semid skinął głową na dwóch mężczyzn, którzy pojawili się za Bourne'em. Przystawili mu do pleców lufy AK-74 i wyprowadzili przed stos skrzyń.

– Nikt nowy nie był dziś przyjmowany do El-Gabal – oświadczył Semid. – Ani w ogóle w tym tygodniu. – Podeszedł bliżej, podczas gdy jeden z jego ludzi odebrał Bourne'owi karabin. – Kim jesteś? A co ważniejsze, jak przekradłeś się do budynku? – Ponieważ Bourne nie odpowiedział, Semid uśmiechnął się. – Cóż, zajmijmy się tobą, jak tylko skończy się załadunek.

Jason chwycił za ramię ochroniarza stojącego po jego prawej stronie i obrócił nim gwałtownie, zwalając z nóg. Uderzył krawędzią dłoni w nadgarstek drugiego mężczyzny, pozbawiając go tym czucia w rękę, wyrwał mu AK-74 i walnął go w głowę. Pierwszy ochroniarz zaszedł Bourne'a od tyłu i zaatakował go z opuszczoną głową. Trafił twarzą w prawe kolano Jasona, coś trzasnęło i upadł na beton.

Bourne obrócił się w prawo i natrafił wprost na lufę makarowa, którą Semid docisnął mu do zębów. Stał na tyle blisko, by dało się zauważyć nikły tik w kąciku jego prawego oka.

– Nie ruszaj się – powiedział przywódca Meczetu cicho, ale z zawziętością. – Albo odstrzelę ci tył głowy. – Obmacał Bourne'a z precyzją i znajomością rzeczy. – Ręce po

bokach. – Niczego nie znalazł. Pochylił się na tyle, że niemal dotykał nosem twarzy Jasona. Obezwładniający zapach goździków wypełnił Bourne'owi nozdrza. – Nie masz tu już nic do roboty. Za pięć minut to miejsce opustoszeje, zostaną tylko trupy i ty wśród nich.

Czas uciekał nieubłaganie. Teraz albo nigdy. Jason roześmiał się i ukradkiem wsunął rękę do kieszeni.

– Co robisz? Wyciągaj stamtąd rękę. – Semid Abdul-Qahhar pomachał makarowem przed twarzą Bourne'a.

Bourne zrobił, o co go poproszono.

– Rozłóż dłoń.

Bourne posłuchał. Semid Abdul-Qahhar chwycił go za rękę i nachylił się, żeby lepiej widzieć, makarow odsunął się trochę. W tym momencie Bourne wcisnął jeden z fałszywych zębów, które nosił przy sobie, pomiędzy zęby Semida, po czym błyskawicznie walnął go podstawą dłoni w szczękę, zmuszając do gwałtownego zwarcia zębów. Fałszywy ząb pękł, cyjanek wodoru rozlał się w ustach Semida. Abdul-Qahhar przełknął ślinę konwulsyjnie, żeby się nie zadławić. Otworzył szeroko oczy i ustawił makarowa do strzału. Bourne był na to przygotowany, kopniakiem wytrącił mu broń z ręki. Semid usiłował chwycić go za przód munduru, żeby utrzymać równowagę, ale osunął się na kolana. Jason odciągnął jego palce od kurtki. W kącikach ust Araba pojawiła się niebieska piana. Wydawał jakieś dźwięki niepodobne do słów, jak w koszmarnym śnie. Oczy zaszyły mu mgłą. Bourne kopnął go i zaciągnął do niszy w ścianie.

Kiedy wyszedł zza skrzyni, przylepił ostatnie sześć kart SIM do odpowiednich miejsc. W jego kierunku zbliżała się grupa czterech mężczyzn. Bourne wycisnął sześć-sześć-sześć na klawiaturze telefonu. Zostały trzy minuty do chwili, gdy budynek i wszyscy, którzy się w nim znajdują, zmienią się w pył.

– Te skrzynie trzeba zabrać na samochód – powiedział do nich Bourne.

Mężczyzna stojący z przodu zmarszczył czoło.

– Myślałem, że one zostają.

– Zmiana planu – rzucił Bourne szorstko, władcym tonem, któremu wszyscy żołnierze odruchowo się podporządkowują. – To polecenie samego Semida Abdul-Qahhara.

Mężczyzna wzruszył ramionami i kiwnął na swoich ludzi. Minęli skrzynie don Fernanda i zabrali się do stojących dalej. Bourne musiał teraz podjąć kluczową decyzję. Gdyby wyszedł przez rampę, wyminął ochroniarzy i dotarł do ulicy, zostawiłby Reбекę na pastwę losu, a tego nie mógł zrobić.

W chwili gdy mężczyźni unieśli pierwszą skrzynię, obrócił się na pięcie. Wbiegł po schodach, dotarł do korytarza prowadzącego do magazynu z drabiną, po której łatwo było wejść na dach.

Otworzył drzwi, wszedł do środka i natknął się na srebrzystą berettę dwudziestkędwójkę wycelowaną prosto w niego. Wyglądała tak samo jak broń, z której Viveka Norén chciała strzelić do niego w klubie Frequencies w Sztokholmie wiele lat wcześniej. Trzymała ją piękna kobieta o blond włosach i jasnych oczach Viveki. Była uderzająco podobna do Kai, ale zaciętość na jej twarzy i sposób, w jaki stała, wykluczały, żeby mogła to być ona. A zatem jej siostra bliźniaczka, niebezpieczna Skara o zaburzonej jaźni.

Rozdział 33

Snopy rozszczępionego światła wpadały przez pokrywę wjazdu i niczym sztylety wbijały się w mroczne miejsca, oświetlając fragmenty jej twarzy – policzek, nos, kawałek czoła.

– Skara.

Zmarszczyła brwi.

– Kim jesteś?

– Znam twoją siostrę – odpowiedział Bourne. – Kają.

– Kaja. – Oblizwała usta końcem języka, jakby smakowała to imię. – Czy ona żyje?

Minęły dwie minuty.

– Musimy stąd wyjść, Skaro.

– Ja stąd wychodzę. Abdul-Qahhar i ja, razem wyjeżdżamy z tego piekielnego kraju.

Przekrzywiła głowę na bok.

– Słyszałeś to? – W górze rozległ się warkot rotorów. Światło leniwie przesunęło się po jej twarzy. Oczy błyszczały. – To odgłos lądującego helikoptera. – Uśmiechnęła się złośliwie, odsłaniając zęby. – To również zapowiedź twojej śmierci.

Coś mocno zadudniło nad ich głowami, odwracając na moment jej uwagę. Bourne rzucił się na Skarę. Strzeliła z beretty, a on poczuł niewielkie pieczenie w lewym ramieniu. Ale już ją miał. Usiłował wyrwać jej pistolet, tyle że okazała się szybsza i zwinniejsza, niż się spodziewał. Jeszcze mocniej zacisnęła palce na broni i starała się wycelować mu w pierś. Znowu znalazł się tuż przy niej i popchnął ją do tyłu. Był od niej cięższy i silniejszy. Broń znalazła się w pułapce między ich ciałami. Skara uderzyła łydkami o jakieś pudło, potknęła się. Bourne po raz drugi spróbował wyrwać jej broń, wykręcając rękę.

Gdy szarpali się o przejęcie kontroli nad berettą, jej oczy zapłonęły wściekle w ciemnościach. Stały się jakieś inne, było w nich coś znajomego.

– Zabij mnie! – krzyknęła. – Zabij mnie i skończ to.

Usiłował wydrzeć jej pistolet, lecz się opierała. Lufa obróciła się pod dziwnym kątem, a ona pociągnęła za spust raz po razie. Krew trysnęła z ran, kule przebiły główne arterie, w tym aortę.

– Skaro! – zawołał Bourne i przyciągał ją do siebie, ale ona nie mogła już nikogo ani niczego usłyszeć.

• • •

Smukły czarny helikopter Sikorsky S-76C++ czekał pośrodku lądowiska. Śmigła się obracały, wzbudzając porywisty wiatr. Bourne dostrzegł w środku pilota, ale poza tym nikogo innego. Podbiegł, przykucnął obok siedzącej Rebeki, opartej o murek. Oczy miała zamknięte, dlatego przez chwilę pomyślał, że nie żyje, kiedy jednak wziął ją na ręce, szybko uniosła powieki.

– Wróciłeś. – Drżała. Jej słowa zagłuszał warkot helikoptera. Dzwoniła zębami.

Bourne, pochylony, zasłaniając ją sobą, zaczął biec. Wszystko wskazywało na to, że straciła jeszcze więcej krwi. Pilot pochylił się i otworzył drzwi, ale w chwili gdy zobaczył, że nie są pasażerami, których oczekiwał, wyciągnął pistolet. Zanim jednak zdążył wycelować, Bourne strzelił mu między oczy ze srebrnej beretty Viveki Norén.

Posadził Rebekę na fotelu pasażera, opatulił kaszmirowym kocem i przypiął pasem. Obiegł maszynę, otworzył kabinę po stronie pilota, wyciągnął go i szybko zajął jego miejsce, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. W tej samej chwili kilku ochroniarzy wyskoczyło z wjazdu na dach. Musieli znaleźć Semida albo jednego z zabitych strażników. Zaczęli strzelać w ich stronę.

Bourne chwycił drążek sterowniczy. Wzniesli się i skierowali na zachód. Ilość adrenaliny w jego żyłach nadal była tak duża, że nie czuł bólu w lewym ramieniu.

Wysoko na niebie obrócił się i zobaczył wybuchającą ognistą kulę, która zmiotła budynki stojące za nią. Cały kompleks El-Gabal zniknął z powierzchni ziemi. Fala uderzeniowa zatrzęsła sikorskym, który rozkołysał się i zaczął obracać wokół osi, ale Bourne szybko odzyskał nad nim kontrolę. Leciał na tyle nisko, na ile był w stanie zaryzykować. Wiedział, że za kilka minut syryjskie myśliwce pomkną z wyciem silników w kierunku miejsca eksplozji, razem ze strażą pożarną, policją, wojskiem i karetkami pogotowia.

Rebeka poruszyła się i powiedziała coś, ale nie usłyszał jej z powodu warkotu śmigieł. Trzymając drążek sterowniczy sztywno między kolanami, pochylił się, wsunął jej na głowę parę słuchawek, takich samych jak te, które sam miał na uszach, i poprawił zamocowany do nich mikrofon. Teraz mogli rozmawiać przez system łączności wewnętrznej.

– Czy Semid nie żyje? – Mimo bólu i poważnego osłabienia utratą krwi nadal myślała tylko o jednym.

– Tak.

– Jesteś pewny, że to on?

– Widziałem tik.

Westchnęła z wyraźnym zadowoleniem.

Bourne zauważył plan lotu przyczepiony tuż nad jego głową. Trzymał się go do ostatniej chwili, a potem odbił na zachód.

Rebeka poruszyła się w fotelu.

– Dokąd lecimy?

– Do Libanu.

– Trzydzieści trzy, trzydzieści dwa, pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt cztery północnej i trzydzieści sześć, to samo dwa, to samo cztery, pięćdziesiąt wschodniej.

Podawała mu szczegółowe koordynaty na mapie. Bourne wprowadził je do systemu, helikopter skręcił w lewo, a potem poleciał prosto.

– Radar – rzuciła słabym, rwącym się głosem.

– Będę leciał tak nisko, jak się da – zapewnił Bourne. W perłowym świetle świtu widział zaskaki z drutu kolczastego i od czasu do czasu tablice ostrzegające przed minami lądowymi. – Już niedaleko.

Pobłyskujące srebrne światło przyciągnęło jego uwagę. Samolot leciał za wysoko, Jason nie mógł się zorientować, czy to maszyna pasażerska, czy myśliwiec lotnictwa syryjskiego. Lecieli dalej. Zostało im kilka kilometrów. Srebrne światło zjawiało się w jego polu widzenia, gdy samolot zanurkował pod ostrym kątem. To był myśliwiec syryjskiej armii.

Jeszcze zanim usłyszał pierwszą serię z karabinu maszynowego, wprowadził helikopter w serię śmiałych uników. Syryjski pilot zbliżał się bardzo szybko, ale teraz mieli już pod sobą zasieki granicy. Myśliwiec posłał ostatnią serię w nadziei, że trafi w jedną z min, a potem znaleźli się już poza jego zasięgiem. Odrzutowiec ostro skręcił, wzniósł się stromo w górę, aż zniknął we wschodzącym słońcu.

– Jesteśmy w Libanie. – Bourne zerknął na bok. Głowa Rebeki kiwała się na prawo i lewo.
– Rebeko?

Otworzyła oczy i głęboko odetchnęła.

– Jestem zmęczona.

– Rebeko, minęliśmy granicę.

Uśmiech godny Sfinksa pojawił się na jej ustach.

– Morze Czerwone się rozstało. – Przez chwilę ożywiona, popatrzyła przez szybę na pustynny krajobraz, połyskujący niczym miedź. – Leć na południowy zachód. Kieruj się do Dahr El Ahmar. – Podała mu nowe koordynaty.

Bourne zauważył kropelki krwi przesączające się przez koc. Kiedy manewrował, musiało szarpać jej ciałem.

– Trzymaj się – powiedział, korygując kurs. – Dowiozę cię w mgnieniu oka.

Zaczęła się śmiać, a kiedy Bourne popatrzył na nią, powiedziała:

– Zbliżasz się do kresu życia i z kim jesteś, z praktycznie obcym człowiekiem, który wykonał twoją misję. – Zakaszlała, odgłos był charczący. – Nie uważasz, że to śmieszne?

– Nie umrzesz, Rebeko.

– Niech cię Bóg wysłucha.

– Mam wystarczające doświadczenie, żeby to wiedzieć. Potrzebujesz krwi i dobrego chirurga.

– I chirurga, i krew znajdziemy w Dahrze. Mamy tam oddział polowy. Ramię będziesz miał jak nowe.

Zaskoczyła go przytomnością umysłu, bo nie przypuszczał, że zauważyła jego ranę.

– W ramię nic mi nie jest.

– Niemniej...

– Niemniej co?

– Jestem zobowiązana dopilnować, by przywrócono ci zdrowie.

– To działa w obie strony.

Uśmiech Sfinksa znowu się pojawił, niepewny jak rozedrgany płomień świecy.

Lecieli. Bourne widział już pierwsze zabudowania Dahr El Ahmaru, przypominające kostki cukru w mocnym, padającym pod kątem świetle poranka. Przelecieli nad kępami palm, których liście zadrzały w podmuchach wzbijanych przez helikopter. Niedługo mieli lądować. Jego ramię płonęło żywym ogniem.

– El-Gabal. – Rebeka zadrzała. – To wyglądało jak koniec świata.

Bourne położył rękę na jej dłoniach.

– My przeżyliśmy.

Oczy miała na wpół przymknięte, była bardzo blada. Ciemne włosy lepiły się do policzka.

– W długiej historii mojego ludu to ważna rzecz.

– Jedyna ważna rzecz – powiedział Bourne.

Epilog

W Sztokholmie szalała śnieżycza, tak samo jak ostatnim razem, kiedy tam był. Bourne, ze zgarbionymi ramionami, bo wiatr zasypywał go śniegiem, przeszedł przez Stureplan, zatłoczony plac będący centrum nocnego życia stolicy Szwecji.

Do Sztokholmu ściągnęła go krótka wiadomość tekstowa, która pojawiła się w jego telefonie komórkowym trzy dni wcześniej:

Znowu w domu po 13 l. Będę we Frequencies co wieczór od g. 21, aż przyjdiesz.

Kaja. Niewielka paczuszka, którą wysłał wcześniej, czekała na niego, gdy zameldował się w małym hotelu na Gamla Stan, wyspie pomiędzy właściwym Sztokholmem i Södermalm. Włożył zawartość paczki do wewnętrznej kieszeni palta z futrzanym kołnierzem, przeszedł na drugą stronę ruchliwej ulicy, a potem zniknął w wejściu do Frequencies. Elektroniczna muzyka uderzyła go z siłą młota pneumatycznego. Światła rozbłyskiwały na suficie, parkiet był zapchany ciałami podrygującymi jak w transie, powietrze było gęste od zapachu potu i perfum.

Długi podświetlany od dołu bar oblegały trzy, a miejscami nawet cztery rzędy ludzi. Faceci usiłowali podrywać, dziewczyny taksowały ich wzrokiem. Jakim cudem Bourne wypatrzył ją w tym pulsującym żywiołowym tłumie, pozostanie tajemnicą, ale mu się udało. Błyszczące oczy odziedziczyła po matce. Włosy miały naturalny kolor blond, opalenizna zniknęła zupełnie. Stała blisko końca baru ze szklanką w jednej ręce, trochę odseparowana od kłębiącej się ludzkiej ciżby. Kiedy Bourne do niej podchodził, jakiś facet poprosił ją do tańca, ale odmówiła. Zauważyła go już i ruszyła ku niemu, wcisnąwszy swoją szklankę w rękę zdezorientowanemu mężczyźnie. Była ubrana w brunatnoczerwony wełniany golf z wzorem warkoczy, kozaczki i skórzaną spódnicę do pół łydki w tym samym kolorze.

Spotkali się na niewielkiej, chwilowo spokojnej przestrzeni wśród zamętu. W hałasie rozrywającym bębenki uszu rozmowa nie miała sensu. Kaja wzięła go za rękę i zaciągnęła na tyły klubu, do toalety. Za drzwiami z tabliczką „Damer” nikt nawet nie mrugnął okiem, gdy prowadziła go po posadzce wyłożonej terakotą. Młode kobiety, które tam były, zbyt zajmowało wciąganie koki i relacjonowanie podbojów na parkiecie.

Otworzyła jedną z kabin, weszli do środka, drzwi się za nimi zamknęły.

– Kaju – powiedział Bourne. – Mam coś dla ciebie. – Wyciągnął srebrzystą berette dwudziestkędwójkę, która należała do jej matki.

Przez krótką chwilę wpatrywała się w broń, a potem podniosła wzrok na niego. Wyglądała jakby inaczej, różnica była subtelna, jednak zauważalna. Może sprawiały to jasne włosy, a może fakt, że była tak bardzo podobna do Viveki Norén. Niewykluczone, że miało to coś wspólnego z tym miejscem i berettą między nimi.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Dlaczego mi to dajesz?

– Należała do twojej matki, Kaju. Próbowала mnie z niej zastrzelić.

– Nie jestem Kają – odparła. – Jestem Skara.

Na chwilę czas stanął w miejscu, pulsujące dudnienie z zewnątrz ucichło, myśli Bourne'a

kręciły się w kółko.

– Musisz być Kają – zaprotestował. – Skara była w Damaszku z Semidem Abdul-Qahharem.

– Kaja zginęła w El-Gabal – powiedziała kobieta. – To moją siostrę Kaję tam spotkałeś.

Kaja. Skara. Jedna z nich kłamała, tylko która?

– Skara cierpiała na dysocjacyjne zaburzenie tożsamości – powiedział. – Co pasuje do twojej siostry, którą widziałem w Damaszku.

– Cóż, to zamyka sprawę, mam rację? To Kaja cierpiała na dysocjacyjne zaburzenie tożsamości.

Bourne miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

Jakby domyślając się jego zdezorientowania, dodała:

– Chodźmy poszukać jakiegoś spokojniejszego miejsca.

• • •

Zabrała go do niewielkiej kafejki na Gamla Stan. Pełno tam było małolotów i ludzi po dwudziestce, do których i ona należała, jeśli obliczenia Bourne'a były prawidłowe. Dwie pozostałe siostry wyjechały ze Sztokholmu, gdy miały po piętnaście lat. W takim razie kobieta, która siedziała naprzeciwko niego, powinna mieć lat dwadzieścia osiem.

– Moja siostra uwielbiała mówić wszystkim, że to ja mam problem z zaburzeniami tożsamości. To była część jej choroby.

Na stoliku zjawily się zamówione kawy i strucla z bakaliami. Kobieta przez jakiś czas zajmowała się słodzeniem i dolewaniem mleka do swojej filiżanki.

– Kaja kłamała nałogowo – powiedziała, gdy upiła pierwszy łyk. – Musiała tak robić, żeby mózg nie rozpadł się jej na tysiące kawałków. Każda osobowość, którą przybierała, była raz prawdą, raz kłamstwem. – Odstawiła filiżankę i uśmiechnęła się do niego. – Widzę, że mi nie wierzysz. W porządku, nie ty jeden. Kaja wszystkich wyprowadziła w pole.

– Nawet don Fernanda Hererre?

– Była w tym prawdziwą mistrzynią. Jestem przekonana, że oszukałaby nawet wykrywacz kłamstw.

– Bo sama wierzyła we własne kłamstwa.

– Tak, z całą pewnością.

Bourne potrzebował chwili, żeby zebrać myśli. Teraz, gdy rozmawiał z tą kobietą, od jakiegoś czasu zaczynał dostrzegać różnice między nią a Kają, którą znał albo, mówiąc ściślej, której nie znał. Nabierał coraz silniejszego przekonania, że osoba siedząca naprzeciwko była naprawdę Skarą. Przypomnił sobie ostatnie starcie w magazynie El-Gabal. W oczach tamtej kobiety dostrzegł coś innego, coś boleśnie znajomego. „Zabij mnie – krzyknęła. – Zabij mnie i skończ to”.

Czy tamta kobieta na powrót stała się Kają tuż przed śmiercią?

Był tylko jeden sposób na uzyskanie niepodważalnej pewności.

Bourne pochylił się ku niej.

– Pokaż mi szyję.

– Co powiedziałaś? – Popatrzyła na niego pytająco.

– Kaja była pokiereszowana przez margaja. Miała blizny na szyi.

– W porządku. – Odciągnęła golf, odsłaniając długą piękną szyję o olśniewającej różowawej skórze, idealnie gładką. – Zdałam?

Bourne się odprężył, choć ogarnął go smutek. „Zabij mnie i skończ to”. Biedna Kaja torturowana przez koszmar osobowości, nad którymi nie miała kontroli.

– Co Kaja robiła z Semidem Abdul-Qahharem? – zapytał w końcu.

Skara westchnęła i poprawiła sobie golf.

– Jedna z jej osobowości nienawidziła naszego ojca. Chciała się na nim zemścić za to, że nas zostawił.

– Więc w tej sprawie nie kłamała.

Skara wpatrywała się w niego przez moment.

– Po pierwsze, najlepsze kłamstwa zawsze zawierają ziarno prawdy. Po drugie, prawda, którą ci wyznała, nie jest kompletna.

Bourne poczuł dreszcz. Wziął filiżankę i napił się trochę kawy, czarnej, gorzkiej, pobudzającej.

– To powiedz całą prawdę.

Przez chwilę Skara wpatrywała się w resztki kawy.

– Wolałabym nie.

– Nie? – Bourne poczuł, jak narasta w nim złość. Wrażenie, że ktoś znowu próbuje nim manipulować, było mu znane aż za dobrze.

– Nie ja powinnam ci wszystko powiedzieć. – Uśmiechnęła się. – Proszę. Musisz uzbroić się w cierpliwość do jutrzejszego ranka. – Wyjęła z torebki niewielki notes oprawiony w skórę, napisała adres, wydarła kartkę i podała mu ją. – Jutro o dziesiątej rano. – Uniosła rękę, żeby przywołać kelnerkę i poprosić o dolanie kawy.

Spojrzała na jego lewe ramię.

– Zostałeś ranny w Damaszku.

– Nic mi nie jest – odpowiedział Bourne. Miał zamiar zapytać, skąd wiedziała o tym, co wydarzyło się w Damaszku, ale ostatecznie z tego zrezygnował. Przeczynał, że wkrótce i tak się tego dowie.

– A teraz opowiedz mi o beretcie. – Zmarszczyła czoło. – Nie wiedziałam, że matka ma broń, nie wspominając o tym, że była uzbrojona w chwili śmierci. Zabrałeś jej ten pistolet?

– Twoja siostra go miała – odparł. – Nie mam pojęcia skąd.

Skara pokiwała głową, jakby przyjmowała do wiadomości fakt, który nie budził żadnych wątpliwości.

– Ona musiała dać go matce. To byłoby bardzo podobne do Kai.

– Piętnastolatka?

– Po odejściu ojca byliśmy przerażone. Potrafię sobie wyobrazić, że matka wzięła go bez słowa.

– To nie jest cała historia, prawda?

Skara zmusiła się do słabego uśmiechu.

– Niestety dla każdego z nas zawsze jest coś jeszcze.

O którejś godzinie w nocy śnieg w końcu przestał padać.

O którejś godzinie w nocy Bourne zadzwonił do Rebeki, której głos zdradzał zmęczenie, ale ucieszyła się z jego telefonu. W ciemności hotelowego pokoju ich szeptała rozmowa przypominała marzenie senne. Potem basowe, dudniące pulsowanie miasta kładącego się spać ukołysało go do snu. Przyśniła mu się ciężarówka, która tłukła się po opustoszałej autostradzie, wyglądała na zapomnianą i samotną.

Kiedy nastał ranek, a Bourne wyszedł z hotelu i wsiadł do czekającej taksówki, niebo było jasnoniebieskie, świeciło mocne słońce, jakby powiększone przez czyste, rześkie powietrze. Wsiadł przed nowoczesnym budynkiem na Birger Jarlsgatan. Pod drugiej stronie znajdował się oddział Goldman Sachs International.

Skara czekała na niego przed budynkiem. Wzięła go pod ramię i razem weszli do środka. Cały parter zajmował Nymphenburg Landesbank z Monachium. Strażnicy skinęli jej głowami, gdy szła z nim po marmurowej posadzce do windy, która błyskawicznie uniosła ich pod niebo. Kiedy wysiedli, zaprowadziła go do ogromnego biura, minęli dwa sekretariaty i gabinety trzech zastępców dyrektora, i przez drzwi z grawerowaną tabliczką z napisem „Martin Sigismund. Prezes” weszli do ogromnego gabinetu z zapierającym dech w piersi widokiem na śródmieście Sztokholmu. Rzeka połyskiwała w słońcu.

Sigismund, wysoki, przystojny mężczyzna, szczupły i bardzo wysportowany, o prostych jasnych włosach i niebieskich oczach czekał już na nich. Miał na sobie granatowy garnitur. Krawat kojarzył się z jęzorem płomienia. Obok niego stał don Fernando Herrera, ubrany w wełniane spodnie i smoking.

– Ach, pan Bourne, poznanie pana to prawdziwa przyjemność – powiedział Sigismund, wyciągając rękę. – Don Fernando wyraża się o panu w samych superlatywach.

– Och, daj spokój. – Skara stłumiła śmiech. – Panie Bourne, chciałabym przedstawić panu mojego ojca, Christiena Noréna.

Po chwili najkrótszej z możliwych Bourne podał mu rękę.

– Ma pan silny uścisk dłoni jak na człowieka, który nie żyje.

Christien się uśmiechnął.

– Ożyłem, ale to nie jest w tym najgorsze.

• • •

Usiedli we czwórkę na dwóch sofach stojących naprzeciwko siebie.

– Z określonych powodów i dla pewnych celów jestem Martinem Sigismundem – powiedział Christien Norén. – I to od wielu lat.

– Jak łatwo sobie wyobrazić – dodał Herrera – Ałmaz przygotował papiery i dokumenty tożsamości, których Christien potrzebował.

– Ałmaz za tym stoi – odezwał się Bourne.

– Przepraszam, że nie mogłem wprowadzić cię we wszystkie szczegóły – usprawiedliwiał się don Fernando. – Chcieliśmy, żebyś skupił się na powiązaniach Domny z Semidem Abdul-Qahharem. Mówiąc dokładniej, zależało nam, żebyś w Damaszku odciął im ręce i nogi.

– Semid Abdul-Qahhar przygotował plan zbrojnego ataku na Indigo Ridge, kopalnię metali ziem rzadkich w Kalifornii – wtrącił Christien. – Miał swojego człowieka w Indigo Ridge,

Roya FitzWilliamsa, którego zwerbował dla swojej sprawy wiele lat wcześniej.

Don Fernando pokiwał głową.

– Razem z kadrą starannie wyselekcjonowanych terrorystów. Smutne, ale byli to urodzeni w Ameryce muzułmanie.

Nastąpiła cisza, po której Skara powiedziała:

– Tato?

Christien zrobił gest, dając jej znać, że wie, o co chodzi.

– Panie Bourne, don Fernando i ja powinniśmy panu bardzo podziękować.

– Powinniście raczej wszystko mi wyjaśnić – oznajmił Bourne.

– I tak się stanie. – Christien nagle się zasmucił. – Popełniłem w życiu wiele błędów, panie Bourne, ale najgorszym z nich było zostawienie rodziny. Moja żona nie żyje, podobnie jak dwójka z moich trojga dzieci. Prawdę mówiąc, fatalnie się przeliczyłem.

– Nie, tato – weszła mu w słowo Skara. – Zostałeś okłamany.

Christien nie wyglądał na człowieka, który łatwo zrzuci z siebie odpowiedzialność.

– Byłem już związany z Domną. Benjamin El-Arian zaczynał być wobec mnie coraz bardziej podejrzliwy, dlatego zlecił mi zabicie Alexa Conklina. To był sprawdzian.

– Obaj popełniliśmy błędy – odezwał się don Fernando. – Chciałem zwerbować Conklina do Almazu i uznałem, że misja Christiena będzie do tego idealną okazją.

– El-Arian w jakiś sposób się o tym dowiedział – mówił dalej Christien. – Sfingowałem własną śmierć, żeby nie miał powodu ścigać mojej rodziny. To był straszny błąd.

Bourne pokręcił głową.

– Dlaczego w takim razie Conklin wysłał mnie, żebym zabił Vivekę?

– Kolejny błąd, najzwyczajniejszy na świecie. Myślał, że była szpiegiem.

– Nie – oświadczyła Skara. – To była robota Kai. Bourne i don Fernando spojrzeli na nią zdumieni. Christien – ze smutkiem.

– Nie rozumiałam wszystkiego do końca, dopóki pan Bourne nie dał mi tego. – Wyjęła srebrną beretę dwudziestkędwójkę. – Mama miała to przy sobie w chwili, gdy została zabita. Strzelała do pana Bourne’a, prawda?

– To prawda – potwierdził Jason.

– Kaja dała mamie tę broń – powiedziała Skara. – Bo tak jak w jednym wcieleniu nienawidziła ciebie, tato, tak w innym gardziła mamą.

Christien połączył dłonie jak do pacierza.

– Kaja stała się biczem bożym. – Wyraz jego twarzy ujawniał, jak silnym ciosem emocjonalnym było to dla niego. – Wyglądała na cztery, pięć lat starszą, niż była w rzeczywistości. To dawało jej przewagę. Była nad wiek rozwinięta i na swój sposób bardzo bystra. Nie opowiadałem o niej nikomu, nawet tobie, don Fernando. Z jednej strony wstydziłem się za nią i byłem przerażony jej poczynaniami, bo chciała pójść w moje ślady. Z drugiej strony myślałem, że uda mi się ją kontrolować. I to był mój największy błąd. – Zapatrzył się na własne buty. – Nikt nie był w stanie zapanować nad Kają.

– Wykorzystywała swoje ciało i pokręcony umysł – powiedziała Skara.

Christien zadrżał.

– Bez wątplenia masz rację. – Wzruszył ramionami. – W każdym razie Conklin odkrył, że zostałem przysłany, by go zabić. Musiałem przerwać misję. Mimo że dowiedział się o mojej

śmierci, wysłał pana, panie Bourne.

Skara wyprostowała plecy.

– Z powodu wrednych kłamstw Kai. – Obracała w rękach beretkę.

– Przynajmniej pistolet okupił swoje winy – zauważył Bourne. – Uratował mi życie w Damaszku.

– Bogu dzięki i za to – powiedział don Fernando z przekonaniem.

Po raz kolejny zapadło milczenie. Wszyscy wydawali się wyczerpani. Kiedy Christien się podniósł, reszta zrobiła to samo. Bourne uściśnął mu rękę, bo nie pozostało mu nic innego.

– Skaro – odezwał się Christien. – Może weźmiesz wolny dzień i pokażesz panu Bourne’owi co ciekawsze miejsca w mieście, których nie zdążył zobaczyć przy poprzedniej wizycie.

Don Fernando objął Bourne’a i ucałował w oba policzki.

– Do widzenia, Jasonie – powiedział. – Bo jeszcze się zobaczymy.

• • •

Po wyjściu Skary i Bourne’a Christien odwrócił się do don Fernanda.

– Myślisz, że on coś podejrzewa?

– Nie w tej chwili – odparł don Fernando. – Ale nie mam wątpliwości, że kiedy wróci do Waszyngtonu, poskłada to wszystko w całość i pogada z Peterem Marksem.

Christien zmarszczył czoło.

– Jesteś pewny, że nie będzie z tym problemu?

– Tego właśnie chcemy. – Don Fernando się uśmiechnął. – Kupiłeś wystarczająco dużo akcji NeoDyme, więc mamy pakiet kontrolny Indigo Ridge. Będziemy mieli więcej pieniędzy, niż jesteśmy w stanie to sobie wyobrazić. – Popatrzył spokojnie na przyjaciela. – Wybaczam ci, że nie powiedziałaś mi niczego o Kai. Twój plan wykorzystania ataku Domny na Indigo Ridge jako dywersji sprawdził się idealnie. Notable z amerykańskiego rządu byli zbyt zajęci odkrywaniem zamierzeń Domny, żeby wystarczyło im czasu na sprawdzenie firm, które wykorzystaliśmy do wykupienia wszystkich akcji NeoDyme.

Christien podszedł do okna. Spojrzał w dół. Zobaczył córkę i Bourne’a wychodzących z budynku i przechodzących na drugą stronę ulicy, pokrytej śnieżną breją.

– Co Bourne robi, kiedy się dowie?

Don Fernando dołączył do niego przy oknie. Niebo się zachmurzyło, wkrótce spadnie jeszcze więcej śniegu.

– Bourne bardzo często jest nieprzewidywalny. Mam nadzieję, że tu wróci, żeby z nami porozmawiać.

– Potrzebujemy go, prawda?

– Tak – powiedział don Fernando z powagą. – Tylko jemu możemy zaufać.

[1](#) Koran 4,29, przekł. J. Bielawski, PIW, Warszawa 1986.